

**Peter Abrahams**

# **Wszystko w mojej mocy**

*(Pressure drop)*

*Przekład Konrad Krajewski*

*Ojca morskie tulą fale;  
Z kości jego są korale,  
Perłą lśni, gdzie oko było;  
Każda cząstka jego ciała  
W drogi klejnot się przebrała  
Oceanu dziwną siłą.*

W. Szekspir, „Burza” tłum. Leon Ulrich

Błękitna dziura wcale nie jest błękitna. Jest szara nawet pod czystym niebem; to tylko zwykły staw w lesie. Każdy z chłopców z wioski mógłby przerzucić nad nim kamieniem, ale nikt tego nie robi. Nie zbliżają się do błękitnej dziury, bo na jej dnie żyje błękitny potwór. Jakiś rybak nawet twierdzi, że go widział – ten, który wypija codziennie butelkę rumu.

Mieszkańcy wioski unikają błękitnej dziury, więc nikt nie może zobaczyć dwóch mężczyzn w źle dopasowanych gumowych kombinezonach, znikających pod powierzchnią przezroczystej wody. Obaj nurkowie, zanurzając się, rozwijają długie liny przymocowane do drzew. Dzięki nim czują się bezpiecznie.

Na głębokości pięćdziesięciu stóp woda śmierdzi zgniłymi jajami i nabiera czerwonej barwy. Trochę głębiej jest bez zapachu i czarna. Mężczyźni są przygotowani: jeden z nich ma latarkę. Zapala ją. Nurkują za żółtym snopem światła.

Na głębokości stu dwudziestu dwóch stóp wchodzi do jaskini. Byli już w niej wcześniej. Przy tylnej ścianie czekają na nich zapasowe butle. Jaskinia jest wąska. Może w niej pracować tylko jeden z mężczyzn. Drugi trzyma latarkę.

To zręczni mężczyźni, ale bez doświadczenia. Popołniają błędy. Po pierwsze, nie zdają sobie sprawy, jak szybko pracujący pod wodą człowiek zużywa zapas powietrza. Po drugie, mężczyzna z latarką oświetla tylko dłonie swojego partnera, zapomina o ciśnieniomierzu. Dlatego też tamten nie zauważa niebezpieczeństwa. Ciężko oddychając z wysiłku, nie zwraca uwagi, że w jego butli zaczyna brakować tlenu, aż w końcu powietrze przestaje docierać do jego płuc. Wypuszcza kamienie z rąk i odwraca się do partnera, w stożku światła wykonuje gwałtowne, spanikowane ruchy. Mężczyzna z latarką ich nie rozumie, cofa się. Jego towarzysz w panice próbuje chwycić za regulator z jego kombinezonu, ale tylko wybija mu z rąk latarkę. Latarka gaśnie. Nic teraz nie widzą.

Mężczyzna bez tlenu kurczowo chwyta w mocnym uścisku partnera. Obaj wciskają się w tylną ścianę jaskini, ich liny są splątane. Teraz mężczyzna z tlenem też wpada w panikę. Szuka swojego noża, znajduje go i na oślep przecina liny. Ze zdenerwowania dopiero po chwili dociera do niego, że jest wolny; otoczony nieprzeniknionymi ciemnościami, w jaskini błękitnej dziury, ale wolny.

**Henrik**

Doskonale znał ten sufit. Białą delikatną gładkość płaszczyzny stanowiącej ekran dla jego związanych z wodą snów na jawie rozbijał tylko pojedynczy zaschnięty włos z pędzla malarza. Ten włos go nie denerwował. Pozwalał mu skupić wzrok. Co innego go niepokoiło: pajęczyna w rogu dokładnie nad jego głową i tłusty brązowy pajak czający się za złożonym gzymsem. Czasami pajak pocierał o siebie przednie odnóża, jakby spodziewał się, że wydarzy się coś przyjemnego, a zarazem trochę wstrętnego.

On sam był ekspertem od tego sufitu. Jednak problem polegał na tym, że nie wiedział, w jakim pokoju leży.

Rozległ się stłumiony odgłos kroków. Jego słuch podobnie jak i wzrok bardzo się wyostrzył. Wychwycił lekki metaliczny dźwięk przekręcanej gałki u drzwi. Pajak schował się za gzyms. A potem na twarzy poczuł chłodny podmuch powietrza; otworzyły się drzwi. Gdzieś rozbrzmiewała muzyka. Tęsknił za muzyką. To Wayne Newton śpiewał „Viva Las Vegas”. Tęsknił za muzyką, a kiedy się zjawiała, był to Wayne Newton. Chciał wybuchnąć śmiechem. Roześmiał się w duchu. Drzwi się zamknęły, odcinając piosenkarza w połowie tremolanda.

Kroki się zbliżały. Był przekonany, że wie, od kogo pochodzą, ale kiedy nie zobaczył żadnej twarzy, stracił tę pewność. Wydawało mu się, że przed oczami zamajaczyła mu pokryta plamami wątrobowymi dłoń. Potem znikła. Nie wiedział, czy to nie przywidzenie.

Chłodne powietrze owionęło jego ciało, ściągnięto z niego kołdrę. Suche niczym stary papier palce pocierały mu brzuch. Potem z jego ciała powoli zaczęło wydostawać się coś długiego i twardego. Poczul ogromną ulgę, zapierającą dech w piersiach, prawie nie do zniesienia.

Ale sucha dłoń nie oderwała się od jego ciała. Zaciskała się, ani delikatnie, ani brutalnie – zdecydowanie. Ta dłoń z plamami wątrobowymi poruszała się zdecydowanie. Boże, Boże! – chciał krzyknąć z całych sił. Ale milczał, jego niezależne ciało reagowało na swój sposób. Przyjemność nadeszła w spazmie rozpaczy, przez chwilę czuł coś chłodnego i gładkiego jak szkło.

Kroki się oddaliły. Gałka u drzwi zapiszczała i do pokoju wpadło świeże powietrze. Tym razem nie rozległy się dźwięki muzyki. Drzwi się zamknęły. Słyszał pojedyncze kroki, a potem zapadła cisza.

Pajak wyszedł zza gzymsu. Przez chwilę pocierał o siebie przednie odnóża. Czy

*nikt go nie widzi? Dlaczego nikt nie zmiecie tej pajęczyny?*

Pająk okrążył gzyms i zaczął schodzić po ścianie. Był coraz bliżej. A potem znikł z pola widzenia. On czekał, aż poczuje odnóża pająka na włosach albo na twarzy.

Tak czekając, wpatrywał się w sufit, który stał się błękitny niczym morze. Zawsze nienawidził morza, tej żyjącej otchłani. Zanurzał się w nim coraz głębiej i głębiej. Morskie stworzenia obserwowały go swoimi małymi oczkami, patrzyły, jak tonie. Utonął. A skórzana walizka opadała powoli, aż mógł zobaczyć jedynie odblaski światła na jej mosiężnych rogach, które były jak zagubione monety.

„Wszystkie szczęśliwe rodziny są do bani. Nieszczęśliwe też. ”

O 6:47, w dniu swoich trzydziestych dziewiątych urodzin, Nina wpatrywała się w te osiem słów. Stanowiły one pierwszy akapit maszynopisu, który leżał na jej stole ze śniadaniem: *Życie bez mężczyzn i dzieci – pokochaj to*. Autorką była doktor Lois Filer. Kawałek niesłodzonej i niskokalorycznej, pozbawionej smaku marmolady zsunął się Ninie z kromki pumpernika wprost na kartkę maszynopisu. Próbowała go usunąć, ale tylko rozmasowała marmoladę na drugim akapicie. Półokrągła pomarańczowa smuga przypominała teraz poprawkę korektora.

Nina wzięła maszynopis i weszła do małego pokoju, który był jej gabinetem. Siadła na rower. Przewracała kartki maszynopisu, gdy kręciła pedałami. Strona 7: „Nadszedł czas na nowe możliwości. Jeżeli nie możesz mieć wszystkiego, to tak naprawdę, czego pragniesz?” Strona 160: „Zadaj sobie pytanie, czy żyjesz dla innych, czy dla siebie. Jeśli dla innych, zastanów się nad tym, kto żyje dla ciebie. Czy chcesz wciąż o tym rozmyślać, nawet wtedy, gdy w końcu zdasz sobie sprawę, że nikt nie poświęca swojego życia dla ciebie i jest już za późno na zmianę?”

W dziesięć minut Nina zrozumiała przesłanie książki, w dwadzieścia – przemierzyła 7, 3 mili. Czerwoną pinezką zaznaczyła przejechaną odległość na dużej ściennej mapie świata. Jechała z Paryża do Rangunu. Pinezka znalazła się teraz w samym sercu Hindukuszu. W przyszłym tygodniu Nina dotrze do Pakistanu, a za miesiąc do Kaszmiru. Poszła do łazienki i umyła zęby pastą z zastrzeżonym środkiem wybielającym, prawdopodobnie nie do kupienia w Khyber Pass. Chciała mieć wszystko, co najlepsze. Jej zęby w lustrze nie wyglądały źle, wprawdzie nie były tak białe jak sztuczne zęby doktora Pearl, jej dentysty, któremu musiała jeszcze zapłacić za trzy wizyty, o co bez przerwy ją nagabywał, ale były wystarczająco białe jak na naturalne zęby. Włosy też były w porządku – ciemnobrązowe, zdrowe i gęste; elegancko obcięte za sto dolarów, nie licząc napiwku. A twarz? Śmiało można powiedzieć, że nie była ani arystokratyczna, ani chłopska; nie seksowna i nie słodka; nie arogancka i nie uległa; nie miała ani orlego, ani zadartego nosa. Oto jaka była: inteligentna i proporcjonalna: twarz kobiety z klasy średniej, twarz, która mogłaby pojawić się na wczesnych obrazach Maneta, o ile jej duże oczy pozwoliłyby mu analizować ją wzrokiem.

Nina, patrząc w lustro, nie zastanawiała się nad tym. Szukała oznak swoich trzydziestu dziewięciu lat. Było ich mnóstwo, ale tylko ktoś nieżyczliwy mógłby

nazwać je zmarszczkami. Jednak dobrze wiedziała, gdzie one się pojawiają... Wystarczy. Spryskała twarz zimną wodą, wytarła ją ręcznikiem, ubrała się, wcisnęła do swojej teczki *Życie bez mężczyzn* i windą zjechała z trzydziestego piątego piętra na ulice Manhattanu.

– Dzień dobry, pani Kitchener – powitał ją Jules, przytrzymując dla niej drzwi. Ubrany był jak gwardzista szwajcarski, tylko trochę wystawniej. – Piękny ranek – dodał, jakby naprawdę tak myślał. A Nina, wychodząc na mróz i sypiący śnieg, przypomniała sobie, że to przecież poniedziałek po Święcie Dziękczynienia. Nadciąga zima.

Idąc do pracy, mijała przemarzniętych i kulących się przed wiatrem ludzi, ich oddechy wydawały się pustymi dymkami z komiksów. Nie spoglądała na twarze przechodniów, patrzyła tylko na obdartego znieruchomiałego włóczkę, który stał na rogu Trzeciej i Czterdziestej Dziewiątej. Nagle obrócił się do niej i wyszeptał: – Wesółych pieprzonych świąt. – Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Trzydzieści dziewięć. Trzy i dziewięć. Nina wyobraziła sobie, jak te cyfry dzwonią niczym dzwony wiejskiego kościoła w filmie o Frankensteinie. Właściwie to zostało jej jeszcze kilka godzin z trzydziestego ósmego roku życia. Urodziła się po południu. Potem nastąpiło dwadzieścia szczęśliwych lat. Okres ten zakończyła śmierć matki na raka piersi, a kilka lat później śmierć ojca na raka okrężnicy. Odsunęła te szczęśliwe lata w niepamięć. To był akt pierwszy: rodzina dwupokoleniowa. Z nim zajął się akt drugi: chłopaki. To niezbyt właściwe słowo, aby ich określić – jeden z *chłopaków* miał pięćdziesiąt dwa lata, przynajmniej tak mówił, choć wyglądał na starszego, szczególnie tego fatalnego dnia, kiedy razem natknęli się na jego córki na plaży nudystów na Tahiti – ale nie ma bardziej odpowiedniego słowa. Kochanek – brzmi za konkretnie, przyjaciel – za ogólnie, utrzymanek – teatralnie, kumpel – za prostacko, ten jedyne – z takiego określenia mógłby się natrząsać John Cleese w *Hotelu Zacisze*.

Chłopaki: David, który zostawił ją dla aśramy w hrabstwie Marin; Richard, którego porzuciła dla Lenny'ego; Lenny, który wrócił do żony; Alvie, który brał prochy; Marc, który podbierał jej pieniądze; Zane, który miał kłopoty z przedwczesnym wytryskiem; kolejny Richard, który w ogóle miał kłopoty z erekcją; Ken, który marudził o trójkątach miłosnych, jak tylko za dużo wypił, co zdarzało mu się nie tak rzadko.

To byli poważni partnerzy. O innych lepiej zapomnieć. Przypuszczalnie powinna wykreślić z pamięci wszystkich jej chłopaków, ale w ten sposób zrezygnowałaby z części swojego życia. David, Richard, Lenny, Alvie, Marc,



Zane, Richard Drugi, Ken. Pozornie dzielili jej przeszłość na dobrze zdefiniowane okresy niczym panowanie poszczególnych królów w targanym konfliktami państwie.

Jednak teraz to wszystko skończone. Nina na dobre zrezygnowała z tej gry. Znalazła na to siły dzięki własnemu interesowi. Czasami zdarzał się wprawdzie powrót do przeszłości – któryś z jej chłopaków zjawił się przy sąsiednim stoliku w restauracji albo w koszmarnym śnie, ale potrafiła sobie z tym radzić. Sama też decydowała o swoim losie. Życie bez mężczyzn i dzieci. Chciała dowiedzieć się o dalszej części – jak to pokochać?

Firma, z długiem jak kamień u szyi, mieściła się w czterokondygnacyjnej kamienicy, którą otaczała niska metalowa balustrada, obok frontowych drzwi znajdowała się mosiężna tabliczka z napisem: KITCHENER & BEST. Spoglądający wściekłym wzrokiem pekińczyk załatwiał się właśnie na schodach. Jego właścicielka ubrana w futro z nerek i różowe kapcie ponagliła go:

– No szybciej, mały łobuzie.

Pociągnęła go za sobą, jak tylko skończył.

– Cholera – mruknęła Nina, przechodząc nad kupą niemal większą od tego małego psa. Weszła do budynku.

Jason Best siedział przy pierwszym biurku, rozmawiał przez telefon. Za nim komputer błyskał kolorowymi obrazkami. – Proszę zaczekać – powiedział Jason, wciskając klawisz. – Proszę zaczekać... Proszę zaczekać.

Spojrzał na Ninę zakłopotanym wzrokiem, przywołującym na myśl Cary'ego Granta. Jason przypominał go też pod innymi względami – może tylko był trochę wyższy, ciemniejszy i bardziej przystojny. – Coś się pieprzy w L. I. R. R. – powiedział do Niny, zakrywając mikrofon telefonu. – Amalia będzie dopiero po południu.

– Przy drzwiach jest psie łajno.

– Ohyda – mruknął Jason i wcisnął inny klawisz. – Kitchener & Best. Proszę zaczekać.

Na biurku leżała świeża prasa. Nagłówek w *Post* głosił: MANIAK SEKSUALNY RANI TRZY OSOBY I POPEŁNIA SAMOBÓJSTWO. Nina wzięła gazetę i sprzątnęła psią kupę. Potem poszła do swojego gabinetu na ostatnim piętrze.

Jason nie wspominał Ninie, że już ktoś tam jest. Nie miał takiego zwyczaju. Na kanapie pod oknem siedziały dwie kobiety. Mogły być w wieku Niny albo trochę starsze. Jedna z nich miała przyprószone siwizną czarne włosy, druga – jasne,

krótkie, i nosiła okulary w za dużych oprawkach.

– Dzień dobry – odezwała się ta z posiwiałymi włosami. – Chyba zjawiliśmy się trochę za wcześnie.

– To przez ten śnieg – dodała druga. – Nie wiedziałyśmy, ile zajmie nam dojazd.

– *Womynpress?* – spytała Nina, kojarząc tę nazwę z ich pisma przewodniego.

– Zgadza się – odparła ta posiwiała. – Nazywam się Brenda Singer-Atwell. Jestem wydawcą.

– M. Eliot – przedstawiła się druga kobieta. – Redaktor naczelny. A pani jest Nina Kitchener, prawda?

– Tak.

– Dużo dobrego słyszałyśmy o pani – rzekła Brenda.

– Od kogo?

– Od wielu osób – odparła M. – Na przykład od Glorii.

– Glorii Steinem?

M. przytaknęła.

– Dziwne, bo my się prawie nie znamy.

– No cóż, cieszy się pani dobrą opinią – rzekła Brenda. – Czy znalazła pani czas, żeby przejrzeć nasz maszynopis?

– Tak – odparła Nina, siadając za biurkiem. – Może kawy?

– Chętnie – rzuciła Brenda. M. tylko przytaknęła.

Nina chwyciła telefon i zadzwoniła na dół. – Rosie jest chora – poskarżył się Jason. – Facet z NBC chce być tu o czwartej, nie o piątej, a Amalia zjawi się dopiero po drugiej. – Wszystko się waliło i głos Jasona przybrał ton, który nigdy nie pojawiał się u Cary'ego Granta, nawet gdy ścigały go helikoptery.

– A jest kawa? – spytała Nina.

– Kawa? – zdziwił się Jason.

– W automacie.

Brenda i M. uważnie przypatrywały się Ninie, przynajmniej Brenda; oczy M. były niewidoczne, bo duże szkła jej okularów błyszczały odbitym światłem.

– Sprawdzę.

– Dzięki. – Nina odłożyła słuchawkę.

M. lekko przekręciła głowę i jej przenikliwe oczy stały się widoczne, rzeczywiście uważnie przypatrywała się Ninie. – Nowy chłopak od kawy? – zapytała.

– To Jason Best – odparła Nina. – Mój partner od interesów. – Na co M.

odwróciła wzrok, a Nina zauważyła, że ton głosu tej kobiety stał się jakby ostrzejszy.

Na chwilę zapadła cisza, zanim Brenda zapytała: – Więc co pani sądzi o tej książce?

Nina wyciągnęła maszynopis z teczki i położyła go na biurku wraz z żółtym notatnikiem. – Zanim zaczniemy, muszę uprzedzić, że wstępna konsultacja kosztuje sto dolarów. Potem, jeżeli zdecydujecie się z nami współpracować, stawka wynosi dwieście pięćdziesiąt za godzinę plus wydatki. Różne. Ale te większe... podróże, spotkania... będziemy konsultować.

Brenda i M. popatrzyły po sobie.

– Mówiono nam – zaczęła M. – że macie... bardziej korzystną strukturę opłat dla organizacji feministycznych.

– Kto tak mówił?

– No, parę osób.

– Na przykład Gloria Steinem?

M. otworzyła usta, żeby to potwierdzić, ale wtrąciła się Brenda: – Nie, nie ona.

– Niestety, nie jest to prawda – rzekła Nina. – Nasze ceny są sztywne. – Próbowała się powstrzymać od dodania: „Czy to się podoba, czy nie” i prawie się jej to udało. Może jeszcze kilka urodzin i będzie w stanie panować nad językiem.

Brenda i M. znów popatrzyły po sobie. W milczeniu i szybko podjęły decyzję. Nina zaobserwowała, że zachowują się, jakby dawały spektakl poskramiania lwów. M. odgrywała rolę poskramianego lwa, a Brenda tresera.

– Umowa stoi – rzekła Brenda.

– Licznik zaczął bić – dodała M.

Nina odwróciła się w jej stronę. – Po pierwsze, książka jest źle napisana. Nie musi to być arcydzieło, ale ta wersja jest nie do przyjęcia. Tu macie pole do popisu. Po drugie, za mało anegdot, szczególnie w dwóch pierwszych rozdziałach. Są zbyt teoretyczne, nudne. Powinno w nich być więcej osobistych wtętów. Po trzecie, konieczny jest wstęp napisany przez kogoś znanego. Najlepiej mężczyznę.

– Mężczyznę? – zdziwiła się M.

– Po czwarte, autorka nie powinna naśladować Tołstoja, czy może jakiegoś innego pisarza. To tylko jej szkodzi, bo wystawia ją na porównania z wielkimi, a te nigdy nie wypadną dla niej najlepiej.

Brenda zerknęła na M. Na twarzy M. pojawił się lekki rumieniec.

– Mimo wszystko – ciągnęła Nina – ta książka może znaleźć nabywców. Jest dużo takich kobiet, jakie autorka opisuje, i one czytają książki. Szczególnie może je

skusić hasło „pokochaj to”. Ten aspekt książki musi być ponownie przemyślany i inaczej przedstawiony. Zakładając, że uda się wam dokonać tych poprawek, dwie rzeczy staną się najważniejsze: osoba autorki i opakowanie, ale to mniej istotne.

Brenda szybko pisała w swoim notatniku. M. siedziała spokojnie, lekko tylko wysunęła dolną szczękę do przodu.

– Czy doktor... – Nina zerknęła do maszynopisu – ... doktor Filer jest być może zameźna?

– Oczywiście, że nie – odparła M.

– To dobrze. A jakieś dzieci?

– Nie.

– Z czego ma doktorat?

M. spojrzała na Brendę. Brenda spojrzała na M. i M. powiedziała: – Dokładnie nie wiem. Chyba z socjologii. A jakie to ma znaczenie?

– Duże – odparła Nina. – Jeśli z metalurgii, to tę książkę można wyrzucić do kosza.

Zapadło milczenie. M. spojrzała na Brendę. – Przypuszczam, że zna pani ludzi z *Donahue show* – rzekła Brenda.

– Tak. Ale oni nie mają zamiaru wyświadczać mi żadnych przysług i nie będę proponowała im czegoś, co mogłoby ośmieszyć Phila.

– Czy pani go zna? – spytała Brenda.

– Spotkałam się z nim kiedyś, ale nie można powiedzieć, że go znam.

M. jeszcze bardziej wysunęła szczękę. – Ale nazwała go pani Phil.

– Przecież nie będę mówiła o nim *pan* Donahue.

Wszedł Jason, niosąc na tacy trzy filiżanki. – Kawa, herbata czy może ja? – spytał.

Brenda spojrzała na niego obojętnym wzrokiem, M. kamiennym, a Nina parsknęła śmiechem.

Piły kawę. Była wyśmienita, z lekkim posmakiem orzechów włoskich. Jason nie potrafił zaparzyć takiej kawy; Nina wiedziała, że posłał po nią. Wydawało się, że Brenda i M. lekko się odprężyły.

– Chciałabym spotkać się z autorką tej książki – rzekła Nina.

Brenda uśmiechnęła się, wprawdzie nie tak promiennie, jak to zrobił Jason, ale też ciepło. Nina poczuła, że mogłyby stać się przyjaciółkami. – Tak przypuszczaliśmy. Zaraz powinna się tu zjawić. Chyba nie ma pani nam tego za złe.

– Jasne, że nie.

Zabręczał telefon. Nina chwyciła słuchawkę. – Halo.

– Mamusia? – zapytał z płaczem mały chłopiec.

– Mamusia? – zdziwiła się Nina.

Głos chłopca się załamał. – Ten pan powiedział, że mamusia jest tutaj.

– Zaczekaj chwilkę. – Nina uniosła wzrok. – Dzwoni jakieś dziecko. Czy któraś z was... – Ale Brenda już zerwała się z miejsca. Wzięła słuchawkę.

– Tu mamusia – rzekła. – Fielding, co się stało? – Słuchała. Do Niny wciąż docierał odgłos płaczu. M. stuknęła butem o dywan. – Ona na pewno tego nie chciała – powiedziała Brenda. – Ona jest naprawdę miła. Nie płacz, aniołku. Wkrótce się zobaczymy. – Zawiesiła głos.

– Niedługo. Jak tylko skończę pracę. – Znów słuchała. – Nie, to w środy. Dziś jest poniedziałek. W poniedziałek pracuję cały dzień. Pa, pa!

Odłożyła słuchawkę. – Cholerna Gina – rzekła do M., a do Niny: – Mamy problemy z nianią. Może przypadkiem wie pani o jakiejś porządnej?

– Nie – odparła Nina. – A ile ma pani dzieci?

– Dwoje, ale starsze chodzi już do szkoły.

Nina odwróciła się do M. – A pani?

– Co ja?

– M. ma córkę – wtrąciła Brenda.

– Która mieszka ze swoim ojcem – powiedziała M. tonem pozbawionym oschłości. „I ma na imię N?” – chciała spytać Nina, ale się powstrzymała.

– A pani ma dzieci? – zapytała Brenda.

Zanim Nina, która wydawała się najbardziej odpowiednim odbiorcą omawianej książki, zdążyła opowiedzieć, otworzyły się drzwi i dało się słyszeć głos Jasona: – Tutaj proszę. – Po chwili do pokoju weszła autorka.

Kobieta miała przyjemną twarz, choć trochę zbyt nałaną. Reszty autorki też było nieco za dużo – autorki, która należała do tej samej grupy socjologicznej co Nina i była kandydatką do występów w telewizji, gdzie nie ma kamer, które nie dodawałyby co najmniej 10 funtów wagi.

Czy ona musi być taka gruba? – pomyślała Nina, kiedy zostały sobie przedstawione. Doktor Filer wcisnęła się między swoich wydawców. Przez chwilę Nina z niepokojem myślała, że zaraz zacznie się jakaś scena rodem z niemych komedii. Jednak doktor Filer zaskoczyła ją, mówiąc: – Cieszę się, że pani chciała się z nami spotkać. Przyszłam tu, żeby się uczyć. – Zaskoczeniem dla Niny nie były te słowa, ale akcent, z jakim je wypowiedziano: kontraltem z Południa,

nasuwającym na myśl głos spikera radiowego.

– Świetnie – rzuciła Nina – a teraz proszę mnie przekonać do tezy *pokościć to*.

Doktor Filer uśmiechnęła się. Jej zęby wymagały interwencji dentysty. Akurat to nie powinno stanowić problemu. – To proste – zaczęła. – Właśnie kobiety odkrywają to, co mężczyźni wiedzieli od dawna: że istnieje życie poza domem. Praca, przyjaciele, samorealizacja, rozrywki intelektualne. Jeśli postanowiły żyć w samotności, powinny nauczyć się czerpać z tego zadowolenie. W ciągu ostatnich dwudziestu lat kobiety dokonały wielkiej rewolucji społecznej, a mężczyźni nie dotrzymali im kroku. Jest niewielu wartościowych mężczyzn i to szybko się nie zmieni.

Nie była to zła odpowiedź, ale też i nie najlepsza. Taka schematyczna. Ale kobieta miała miły głos, melodyjny, uspakajający. Jej promotorki miały czas: czas, by poprawić książkę i wysłać jej autorkę do centrum odnowy biologicznej i do dentysty.

– No dobrze – powiedziała Nina. – To by było tyle. Jutro prześlę wam szczegółową opinię i będziemy mogły zacząć.

– Świetnie – rzekła Brenda.

– Wspaniale – dorzuciła doktor Filer.

Natomiast M. się nie odezwała. Patrzyła na rozmazaną marmoladę na pierwszej stronie maszynopisu Niny.

– Nawiasem mówiąc, doktor Filer – wtrąciła Nina – trzeba zrezygnować z tego naśladowania Tołstoja.

– Całkowicie się zgadzam – odparła zaraz słodko doktor Filer. Uśmiechnęła się do M. – W pierwotnej wersji nie używałam takiego stylu. – Na policzkach M. pojawiły się rumieńce.

Kobiety wyszły. Nina zadzwoniła do *Donahue show*, do Gordiego. Kiedyś razem pracowali w radiu. Nina opisała mu książkę i jej autorkę. Gordie obiecał oddzwonić.

Nina wróciła do pracy. Odbyła dwa kolejne spotkania, dzwoniła, odbierała telefony, napisała notatkę. Amalia w ogóle się nie pojawiła. Zadzwoniła tylko Rosie i powiedziała, że ona ma gorączkę i prawdopodobnie jutro też jej nie będzie. Na zewnątrz zapadał zmrok. Nina zerknęła przez okno i po raz pierwszy w tym dniu zauważyła, że śnieg ciągle pada. Duże płatki błyszczały różowo w światłach miasta. Do pokoju wszedł Jason.

– Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin. – Na biurku postawił butelkę szampana.

– Roederer Cristal – przeczytała Nina. – Ile kosztował?

– Nie pytaj. To prezent.

– No dobrze. To otwórz ją.

– Chcesz tutaj ją wypić? Ze mną?

– A z kim innym?

Nina przyniosła kieliszki z małej kuchenki na trzecim piętrze. Jason napełnił je.

– Twoje zdrowie.

– Dzięki.

Wypili. Różowe płatki śniegu spadały na ziemię. – Przepraszam, że ten prezent jest tak mało osobisty. Nie wiedziałem, co wybrać.

– Nie przesadzaj. Jest wspaniały.

Wyglądali przez okno. Śnieg tłumił odgłosy miasta. Nina położyła stopy na biurku i wysączyła resztki szampana. Dobry trunek: zatrzymywał czas, albo przynajmniej pozwalał zapomnieć o jego przemijaniu. Zamknęła oczy i poczuła, jak ciepło rozpływa się po jej ciele. Przez moment miała kontakt ze wszystkimi Ninami ze swojego życia: małą Niną, Niną w szkole, Niną na studiach, Niną robiącą karierę, Niną kobietą interesu, i w końcu dostrzegła *istotę* Niny. W każdym razie tak się jej wydawało. Alkohol szybko stracił swą moc. Nina otworzyła oczy i zobaczyła, że Jason ją obserwuje.

– A co tak naprawdę chciałyś na urodziny? – spytał.

– Dziecko – odparła Nina. Ta odpowiedź pojawiła się spontanicznie, nieproszona, nieoczekiwana, denerwująca.

– Dziecko?

Nina parsknęła dziwnym śmiechem, który zupełnie do niej nie pasował.

– Mówisz poważnie?

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Jon. – Cześć – rzucił. Uśmiechnął się nieśmiało do Niny, a Jasona pocałował w policzek. Po chwili mężczyźni wyszli.

Nina zeszła do kuchni i nalała sobie whisky. Jeszcze raz przejrzała maszynopis doktor Filer. *Nadszedł czas na nowe możliwości.*

Zadzwonił telefon. Gordie. – Jest dobrze – wykrzyknął.

– Taak?

– Wszystkim spodobała się ta książka.

– Wszystkim?

– Bez wyjątku.

– I Philowi?

- Jemu też. – Zniżył głos. – Przede wszystkim jemu.
- Moja klientka będzie wniebowzięta.
- I mam nadzieję, że odpowiednio ci zapłaci. Kiedy ta książka ma być wydana?
- A kiedy będziecie mieli czas w programie?
- Gordie wybuchnął śmiechem. – Zadzwoń.

Nina rozsiadła się za biurkiem. Dopła whisky, a potem dołała sobie następną porcję, małą. Śnieg przestał padać. Telefon przestał dzwonić. Skończył się dzień pracy nawet dla pracoholików. Mama już była przy małym Fieldingu. Nina wstała z krzesła, zeszła na dół, włożyła płaszcz i zimowe buty. Po zamknięciu biura ruszyła do domu. Próbowwała przypomnieć sobie program telewizyjny, ten ze stolika.

Ulice były pokryte śniegiem i opustoszałe, jakby wyczyszczone. Boże Narodzenie rozgościło się w sklepach, ale wszystkie one były zamknięte. W połowie drogi do domu Nina zatrzymała się przy sklepie ze starociami. Biały błyszczący koń na biegunach stał w świetle żarówki. Dumnie unosił głowę z rozdętymi nozdrzami. Miał czarną jak smoła grzywę i długi, równie czarny ogon oraz czerwone skórzane siodło i uzdę. Nadano mu nawet imię; było ręcznie wypisane na strzemionach – ACHILLES. Nina bardzo długo patrzyła na tego konika.

Usłyszawszy hałas za sobą, odwróciła się. Jakiś włóczęga niepewnym krokiem zbliżał się do niej. Zamglonymi oczami spojrzał na nią, potem na konika i znów na nią. Nina rozpoznała go.

- Wesołych pieprzonych świąt – burknął i odszedł, chwiejąc się na nogach.



### 3

Szyjka jest bez zarzutu – stwierdził doktor Berry, kiedy Nina w końcu złożyła nogi i się ubrała. – W idealnym stanie. Nie widzę powodu, dlaczego nie można by było tego zrobić. – Doktor Berry włożył okulary do czytania ze złotymi oprawkami i zerknął na jej kartę. Był krzepkim mężczyzną z rumianą twarzą i z białymi włosami, prostymi i bardzo delikatnymi. Na ścianie jego gabinetu napis głosił: *Ponad 12000 odebranych porodów*. Mógłby być ekspertem od rozwiązywania nietypowych problemów w jakiejś firmie. – Ogólny stan zdrowia idealny, ciśnienie prawidłowe, żadnych śladów infekcji w narządach rodnych. – Uniósł wzrok. – Czy kiedykolwiek podczas stosunku odczuwała pani ból?

Nie fizyczny, pomyślała. – Nie – odparła.

Doktor Berry spojrzał na Ninę i się uśmiechnął. – Nawet gdyby pani powiedziała, że miała pani aborcję, nie uwierzyłbym. Nie przy takiej szyjce.

Nina zaczynała wierzyć, że jest to jej najlepsza cecha. – Nie chce pan przeprowadzić żadnych testów, badań?

– Nie jest to konieczne, przynajmniej nie w tym momencie. Nie chcę powiedzieć, że pani jest równie płodna jak w wieku dwudziestu pięciu lat. To byłby absurd. Ale kto wie, może jako dwudziestopięcioletnia kobieta była pani równie płodna jak królowa pszczoł. Tak więc, jeśli nawet straciła pani trochę ze swej płodności, nie ma to większego znaczenia. Jest pani jak starzejący się sportowiec, który wciąż może zwyciężać. Rozumie pani, o czym mówię?

– Jasne. Muszę po prostu pogodzić się z upływem czasu.

Doktor Berry z powrotem włożył okulary i zamrugął oczami. – Mógłbym przeprowadzić kilka badań – rzekł chłodniejszym teraz tonem – na przykład HSG, histeroskopię, ale to nie jest szczególnie przyjemne i nie ma powodu myśleć, że coś jest nie tak. Proponowałbym szybko wprowadzić piłkę do gry. Co pani na to?

– No tak – mruknęła Nina. – Ale nie jestem jeszcze zdecydowana. Na razie sprawdzam możliwości.

Doktor Berry spojrzał na nią znad okularów. Potem jeszcze raz przebiegł wzrokiem po jej karcie. – Widzę, że w poniedziałek miała pani urodziny.

– Zgadza się.

Długo patrzył na kartę, zanim zapytał: – Czy to właśnie skłoniło panią do zastanawiania się?

– To i parę innych rzeczy. Nawet jeśli jestem królową pszczoł, to czas i tak

ucieka, prawda?

Doktor Berry przytaknął.

– I czy poza kwestią płodności nie rośnie groźba powikłań u dziecka?

– To prawda, ale kontrolowalibyśmy owodnię, przeprowadzali inne testy... – Jego głos zamarł. Nina wiedziała, o czym pomyślał: o zespole Downa, o miesiącach niepewności, o decyzji o aborcji, o wyrzutach sumienia, które pozostaną do końca życia. Było to niebezpieczeństwo, które łatwo mogła sobie wyobrazić, a z którym on przypuszczalnie wielokrotnie się zetknął. – Ale to odległa perspektywa. Najpierw musi pani zająć w ciążę. To rozsądne, że pani nie spieszy się za bardzo, zastanawia się, ale... Nie chcę powiedzieć, że teraz albo nigdy...

– Ale wkrótce lub nigdy?

Uśmiechnął się. – No tak...

– Pozostał jeszcze jeden problem... – zaczęła Nina.

– Jaki?

– Potrzebujemy ojca.

– Rozumiem.

– Myślałam o sztucznym zapłodnieniu. To dlatego przyszedłam do pana. Czytałam o panu w *Timesie*.

– Wszystko tam źle przedstawili – stwierdził doktor Berry.

– Ale zdjęcie nie było chyba takie złe?

– Bardzo nie spodobało się mojej żonie. – Doktor Berry położył dłonie na stole i wychylił się w stronę Niny. – Czy ma pani na myśli jakiegoś dawcę?

Był Jason. Miał przypuszczalnie geny, które zapewniłyby dziecku zarówno urodę, jak i inteligencję. Ale był jej partnerem. Już mieli wspólny interes. Czy mogliby mieć jeszcze wspólne dziecko? I czy byłaby w stanie sobie wyobrazić jego jako ojca? Poza tym Jason był gejem. Co jeśli homoseksualizm jest dziedziczny? Czy byłaby szczęśliwa z gejowskim dzieckiem? Przeraziły ją te myśli. Jakby pochodziły z innego umysłu. Po raz pierwszy poczuła, jakie zmiany przynosi dziecko.

– Skoro tak długo się pani zastanawia, odpowiedź pewnie brzmi: nie – powiedział doktor Berry.

– Zgadł pan.

– Tak więc musimy zdobyć spermę. – Postukał ołówkiem o stół i na notatniku napisał słowo „sperma”. Wziął je w ramkę i na niej narysował doniczkę z kaktusem.

– Pan się tym zajmuje?

– Czym?

– No „zdobywaniem” spermy.

Doktor Berry pokręcił głową. – Nie, ale mogę skontaktować panią z odpowiednimi instytucjami. Szczególnie polecam Human Fertility Institute.

– Dlaczego tę?

– Dobrze mi się z nimi współpracuje. Są profesjonalni i mają przystępne ceny.

– Będę musiała zapłacić za spermę?

– Oczywiście. Szczególnie za ich.

– A dlaczego?

– Bo u nich dawcami... naturalnie anonimowymi... są ludzie sukcesu. Laureaci nagrody Nobla, znani artyści i temu podobni. Taki był warunek sponsora finansującego otwarcie tego instytutu. Niektóre z moich pacjentek uważają to za uwłaczające, inne nie.

Nina zaliczyła się do tych pierwszych. Ale dlaczego miałyby nie mieć dziecka tak bystrego, jak to tylko możliwe? I znów pojawiło się pytanie, które nie mogło powstać w jej umyśle. – No nie wiem. Muszę się poważnie zastanowić.

– Niech pani da sobie czas.

– Ale w rozsądnych granicach.

Doktor Berry uśmiechnął się. – Tak, właśnie. W rozsądnych granicach. – Przestał się uśmiechać. – Proszę się zastanowić... to bardzo poważna decyzja... do jakiego stopnia jest pani na to przygotowana.

– Nie rozumiem.

– Żeby mieć dziecko.

Nawet tutaj liczy się bezczelność, zauważyła w myślach Nina. – A jaki *stopień* jest odpowiedni? – spytała.

Doktor Berry westchnął. – Skąd mam wiedzieć? – Twarz lekarza lekko rozmiękła. – Ja tylko zajmuję się kojarzeniem plemników z jajeczkami. Biznes jak inny. – Czekał na reakcję Niny. Nie było żadnej. – Przepraszam. Zwykle nie prawię kazań.

– Doktorze, hm, czy ma pan dzieci?

– Czwooro. Czy dlatego według pani jestem taki bezpośredni?

– Chyba tak.

Parsknął śmiechem.

Kiedy Nina wyszła z gabinetu doktora Berry'ego, świeciło słońce. Zadzwoiła

do Jasona. – Czy po południu będę ci potrzebna?

– Jesteś mi potrzebna cały czas.

– Ale poradzisz sobie beze mnie?

– Pewnie, że tak, jeśli tylko ten facet z NBC da mi spokój. Poza tym te świry domagają się odpowiedzi.

– Jakie świry?

– No ci, którzy chcą wydać *Podnoszenie sztang w wyobraźni. Przewodnik zen do ćwiczeń siłowych*.

– Powiedz tak, jeżeli będą mogli coś zademonstrować.

– Zademonstrować?

– Niech na przykład ten chudy gość w dhoti podniesie nasz sejf nad głowę. Jeżeli tego nie zrobi, nie mamy o czym z nim rozmawiać.

– Dobrze.

Nina ruszyła przed siebie. Przeszła tak na południe pięćdziesiąt przecznic. Czasami słońce przedzierało się między budynkami i oświetlało jej twarz, ale przeważnie znajdowała się w cieniu. Jej myśli zaprzętał tylko jeden problem, który rozpatrywała z każdego punktu widzenia. O piątej dotarła do galerii Bertie na Wooster Street. Przez szybę zobaczyła Suze stojącą na drabinie. Weszła do środka.

– Cześć – rzuciła Suze, ustawiając niebieski reflektor. – Jesteś wolna o tej porze?

– Jason się wszystkim zajmuje.

– Masz dobrze. – Suze przekreśliła reflektor.

– Czy ty nie przesadziłaś z tą spódnicą? – spytała Nina.

– Pamiętam, jak sama chodziłaś z gołym tyłkiem na wierzchu.

– Ale to było dawno.

– No jasne. Popatrz. Może tak być?

Nina podążyła wzrokiem za niebieskim snopem światła, który oświetlił przeciwległą ścianę. Była tam instalacja przedstawiająca troje dzieci w obozowych strojach, stojących za drutem kolczastym. Wszystko, dzieci, ich ubrania, drut i barak w tle wykonano z kawałków różowego cadillaca, rocznik 57.

– Nie wiem, ale może Chevrolet z sześćdziesiątego czwartego byłby lepszy. Był bardziej uniwersalny.

– Nie rób sobie jaj, ten artysta jest świetny. Niedługo będzie powszechnie znany.

– Jak Henry Ford?

– No i ma wysokie mniemanie o sobie.

– Tak?

– Ale on z tych co Jason.

– No trudno.

Suze zeszła z drabiny. Miała silny makijaż, mnóstwo biżuterii i rozwianą fryzurę, która częściowo przesłaniała jej oczy – rozbawione, żywe, o ostrym spojrzeniu – oczy, które obcą osobę mogły niepokoić, ale nie Ninę; znała je z różnych sytuacji i zawsze przynosiły jej uspokojenie.

– Może coś zjemy? – zaproponowała Nina.

– Teraz?

– Tak.

Poszły do Wanga na gorącą i kwaśną zupę. Suze sączyła piwo tsingtao, a Nina wypijała kieliszek beaujolais, a potem następny.

– Co się dzieje? – zapytała Suze.

– A dlaczego uważasz, że coś się dzieje?

– Jest wiele powodów. Mam je wymienić?

– Nie. – Nina zamieszała łyżką zupę. – Suze, czy myślałaś kiedykolwiek o dziecku?

– Wiesz, że nie.

– Wiem tylko, że tak mówiłaś. A tak naprawdę?

– Nie.

– Nigdy?

– Nigdy.

– Nawet gdy nie możesz zasnąć albo widzisz dziecko w wózku?

– Nie, po tysiąc razy nie. Czego ty właściwie ode mnie chcesz?

– Ostatnio dużo o tym myślałam.

Suze zmrużyła oczy. – Kto jest tym szczęśliwym facetem?

– Wiesz przecież, że nie ma żadnego szczęśliwego faceta.

– A więc niepokalane poczęcie.

– Coś w tym rodzaju. Teraz to się nazywa sztuczne zapłodnienie. – Nina opisała przyjaciółce swoją wizytę u doktora Berry'ego.

Suze chwyciła butelkę i jednym haustem wypijała resztę piwa. Potem zapytała: – Kiedy ostatnio miałaś faceta?

– A jakie to ma znaczenie?

Barman odwrócił głowę, by na nie popatrzeć.

– Duże. Nie sypiasz z żadnym facetem, właśnie skończyłaś trzydzieści dziewięć lat, czytasz te bzdury o zegarach biologicznych i nowym konserwatyzmie, bez

przerwy spotykasz się z różnymi świrami, nic dziwnego, że nagle wpadłaś w panikę. Myślę, że powinnaś spotkać się z terapeutką Lisy. Jest świetna.

– Nie potrzebuję żadnych terapeutek. – Barman znów się im przyjrzał, tak samo jakiś Chińczyk siedzący kilka stolików dalej. – To obiektywny problem, nie subiektywny.

– I dziecko to rozwiąże?

– Czemu nie? Czy to coś niezwykłego, że chcę mieć dziecko?

– W twoim przypadku to perwersja. Pracowałaś jak niewolnik, żeby stworzyć firmę, masz wspaniałą reputację w niektórych kręgach i za kilka lat możesz znaleźć się na szczycie. Czy chcesz z tego zrezygnować, stracić figurę dla przyjemności sprząwania górien i rzygów przez cały dzień?

– Z niczego nie będę musiała zrezygnować.

– To brednie i dobrze o tym wiesz.

– Tylko trochę zmienię swoje życie. Na drugim piętrze moglibyśmy urządzić mały żłobek, tam, gdzie jest gabinet Rosie. Ona nie potrzebuje tyle przestrzeni.

– Teraz to już pieprzysz od rzeczy. Niedobrze mi się robi.

– A niby dlaczego? Nie zamierzam do końca życia udawać nastolatki.

Suze pobladła. – Lepiej zmieńmy temat – zaproponowała.

Ale nie było innego tematu. Nina wzięła rachunek, ale Suze upierała się, że sama za siebie zapłaci. Rozstały się kilka minut później. Suze wróciła do swojej instalacji z cadillaca, a Nina poszła do domu.

Szła całą drogę. Od poniedziałku bardzo dużo chodziła, ale długie spacery wcale jej nie męczyły. Do domu wpuścił ją Jules.

– Przyjemny wieczór – rzucił. Nie zauważyła tego. W jego oddechu wyczuła zapach alkoholu.

Sama zrobiła sobie drinka, gdy weszła do swojego mieszkania.

Było to ładne mieszkanie. Przed pięcioma laty kosztowało dwieście tysięcy dolarów. Meble i dywany też były ładne, także obrazy, a to dzięki Suze. Rower treningowy był fajny, i łóżko. Położyła się w nim i przykryła kołdrą.

Zaraz potem się rozplakała. Długo szlochała. Nigdy tak bardzo nie tęskniła za swoją matką.

The Human Fertility Institute mieścił się na Upper East Side w pałacu wyłożonym od frontu marmurem. Budynek nosił ślady wielu stylów architektonicznych i został uznany za zabytek. Nina z trudem otworzyła obite skórą frontowe drzwi. Hol był ozdobiony dużym olejnym portretem mężczyzny z zaróżowionymi policzkami, który mógłby być dziewiętnastowiecznym rekinem finansjery, gdyby nie zbyt współczesny garnitur i za chudy podbródek.

Pod portretem stała choinka. Zgromadzeni przy niej ludzie trzymali drinki w dłoniach. I słuchali świątecznej piosenki, w której mały Alvin wyczekiwał gwiazdy. Nie za bardzo nadawała się do tańca, ale mimo to kilka par tańczyło obok zwiniętego perskiego dywanu. Nina podeszła do kobiety ubranej w strój pielęgniarki. Właśnie wrzucała kostki lodu do kieliszka z kalifornijskim winem.

– Jestem umówiona z doktorem Crossmanem – zaczęła ją Nina.

Pielęgniarka zmarszczyła czoło. – Naprawdę? – Kolejna kostka lodu wpadła do wina.

Nina skinęła głową. – Gdzie mogę go znaleźć?

– Nie dzwoniłam do pani?

– Nic o tym nie wiem – odparła Nina.

Kobieta westchnęła.. – Pierwsze piętro – powiedziała, pokazując kieliszkiem. – Trzecie drzwi po lewo. – Kilka kropli różowego napoju spadło jej na buty. – Ojej.

Na drzwiach wisiała tabliczka z napisem: DYREKTOR RUSSEL R. CROSSMAN. DOKTOR MEDYCYNY. Drzwi były lekko uchylone. Nina zapukała i weszła do sekretariatu. Zerknęła na monitor na biurku. „Lista” – widniało na górze. „Mama – pończochy. Benny – CD Prince'a? Jennifer – pończochy. Joannę – pończochy. Melissa – pończochy?”

– No niestety – rozległ się męski głos. – O ile pamiętam, to był twój wielki plan...

Nina zajrzała do gabinetu.

Przy biurku, które mogłoby zagrać w filmie o Mussolinim, siedział mężczyzna. Za nim wisiało zdjęcie jakiegoś faceta o pociągłej twarzy, w białym smokingu, stojącego pod palmą. Ten za biurkiem miał bardziej owalny podbródek i rudawe, starannie przystrzyżone włosy. Ubrany był w jasną marynarkę, a na głowie tkwił mu stożkowaty kapelusz ze srebrnymi księżycami. – Wielki w teorii – rzucił do słuchawki. Spozrzegł Ninę i zamrugał oczami. – No, dobrze, dobrze. Wezmę

drugą. Cześć.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na Ninę.

– Doktor Crossman?

– Zgadza się.

– Mam umówione spotkanie. – Przedstawiła się.

Doktor spojrzał do terminarza. – Ale nie dzisiaj. Wszystkie dzisiejsze wizyty zostały odwołane.

– Nikt mnie o tym nie poinformował.

– A powinien. Właściwie instytut jest zamknięty. Mamy bożonarodzeniowe przyjęcie.

– Myślałam, że tak jest zawsze.

– Zawsze?

– W klinice zapłodnień – wyjaśniła Nina. Crossman zmarszczył brwi. – To głupie – stwierdziła Nina. Zadzwoił telefon. Doktor wziął żółtą drażetkę z pudełka na biurku i włożył ją do ust. Telefon przestał dzwonić. – Na to spotkanie umówiłam się w ubiegłym tygodniu – powiedziała.

– Widzę – odparł, ssąc drażetkę – ale została odwołana jak wszystkie inne wizyty dzisiaj. – Odwrócił notatnik, aby Nina mogła to zobaczyć. – Ponadto – dodał Crossman – to nie jest jakaś klinika zapłodnień. To jest instytut badawczy, który zajmuje się badaniami nad płodnością.

– Ale przecież dokonujecie sztucznych zapłodnień.

Wymierzył w nią palcem. – Ale tylko w przypadku wytypowanych kandydatów. – Miał długie, cienkie i pokryte piegami palce.

– Doktor Berry mnie tu skierował.

– Tak. To też mam tu zapisane. Bardzo go cenię, ale to nie on decyduje, kto jest właściwą osobą. To wyłącznie my podejmujemy takie decyzje.

– A jakie są wasze kryteria?

– Bardzo szczegółowe. Na początek wywiad wstępny.

– To może zrobimy go, skoro już tutaj przyszłam?

Crossman dotknął palcem wąsów. Widok piegowanej skóry na tle rudawych wąsów przyprawił Ninę o dreszcze – dziwnie przywiódł obraz z dzieciństwa, kiedy to jadła kanapkę z mortadellą i w radiu słuchała historyjki o żabie.

Doktor spojrzał na zegarek na rękę, złoty i bez żadnych cyfr. Przypuszczalnie dlatego tak długo mu się przypatrywał. – No dobrze – rzekł. – Dobrze. – Poszedł do sekretariatu i wrócił z niego z teczką z wypisanym na niej nazwiskiem Niny. Otworzył ją i wychylił się na krześle, żeby przeczytać, co tam jest napisane.



Chociaż w zabawnym kapeluszu, wyglądał teraz na zatroskanego i skupionego lekarza.

– Ma pani trzydzieści dziewięć lat – rzekł, nie unosząc wzroku.

– A macie jakieś ograniczenia wiekowe?

– Raczej nie, ale to dość istotne. – Z wewnętrznej kieszeni wyciągnął pióro i na czystej kartce zapisał liczbę 39. – Pięć stóp i osiem cali wzrostu – przeczytał głośno. Waga: sto trzydzieści siedem funtów. Puls: 62. Ciśnienie: 120 na 90. Ogólny stan zdrowia: bardzo dobry. Czy miała pani jakieś poważniejsze obrażenia?

– Kiedyś zerwałam więzadła w kolanie. Czy to coś poważniejszego?

Doktor przeszył ją wzrokiem. – W jakiej sytuacji?

– Podczas gry w hokeja na trawie.

– Miała pani wtedy jakiś zabieg operacyjny?

– Tak.

– Kto go przeprowadzał?

– Doktor Hunneycutt.

– Walter był w tym dobry – stwierdził Crossman, wstając z krzesła. – Teraz jest już na emeryturze. – Obszedł biurko. – Muszę się przyjrzeć.

– Czemu?

– Pani kolanu.

Nina spojrzała na niego zdziwionym wzrokiem. – Czy to kolano ma coś wspólnego z możliwością urodzenia dziecka?

Crossman nie zwrócił uwagi ani na jej spojrzenie, ani na ostry ton w jej głosie.

– W miarę możliwości musimy wszystko wiedzieć o ogólnym stanie pani zdrowia. To rutynowe.

Stanął nad nią. Nina lekko podciągnęła spódnicę. Doktor lekko się pochylił i przyjrzał się bliźnie. – Dobra robota – stwierdził i wyprostował się. Ale zanim to zrobił, jego wzrok powędrował w górę ud.

Nina szybko obciągnęła spódnicę.

Crossman znów usiadł za biurkiem i włożył kolejną drażetkę w kolorze miodu do ust, i zaczął przewracać kartki w kartotece Niny. Spojrzał na nią. – Oboje pani rodzice nie żyją? – Ta informacja przywołała w jego głosie bardziej życzliwy ton.

– Tak.

– Żadnych braci i sióstr?

– Nie.

Crossman zapisał tę informację i podkreślił ją.

– Kto jest pani najbliższym krewnym?

– Mam kilkoro kuzynów w Kalifornii.

– Bliskich?

– Nie, dalszych. Spotkałam się chyba z dwoma z nich, ale to było bardzo dawno. – Doktor zapisał kolejną linijkę na kartce. – Czy ma to coś wspólnego z moją zdolnością do wychowywania dziecka? – spytała Nina.

– To część naszego standardowego wywiadu – odparł doktor Crossman. – Czy spisała pani testament?

– Nie!

– A kto byłby spadkobiercą, gdyby pani go spisała?

– Przepraszam, doktorze Crossman, ale nie widzę żadnego związku.

– Nie? – Wychylił się do niej nad biurkiem. Myślała, że poczuje zapach miodu, ale dotarł do niej tylko nieświeży oddech. – A gdyby pani się coś stało, kto opiekowałby się dzieckiem?

Nie pomyślała o tym. – Czy teraz muszę zdecydować?

– Nie. To tylko jeden z czynników mających wpływ na naszą decyzję. Kończyła pani studia?

– Tak.

– Jaki stopień?

– Mam licencjat z literatury francuskiej.

– Jaka uczelnia?

– Barnard.

– Pamięta pani wynik testu SAT przed studiami?

– Niezupełnie.

– A w przybliżeniu?

– Był dobry, ale dokładnie nie pamiętam.

– Przypuszczam, że będziemy mogli do niego dotrzeć. Proszę powtórzyć w odwrotnej kolejności: pięć, siedemnaście, trzydzieści sześć, dziewięć, dwadzieścia trzy.

– Po co?

Spojrzał na nią surowo, na ile to było tylko możliwe u człowieka w zielonym kapelusiku ze srebrnymi księżycami. – To jest część wywiadu, pani Kitchener.

– Dwadzieścia trzy, dziewięć, trzydzieści sześć, siedemnaście, pięć – wyrzuciła z siebie Nina, zanim zdążyła zapomnieć te liczby. – Nie rozumiem, do czego to potrzebne.

Otworzył szufladę biurka i wyciągnął z niej kartkę papieru z różnymi figurami geometrycznymi. – Która z nich nie pasuje do pozostałych? – spytał.

– Ta pierwsza. Sprawdza pan, doktorze, moje IQ?

– Niezupełnie, pani Kitchener. Ale być może doktor Berry nie wyjaśnił pani, że sperma w naszym instytucie pochodzi od osób wybitnych w swoich dziedzinach. Nie zdradzę pani żadnej tajemnicy, kiedy powiem, że kilkunastu naszych dawców to laureaci nagrody Nobla i to nie tylko z fizyki, chemii czy medycyny. Jeden z naszych dawców dostał nagrodę z literatury. – Przerwał, żeby Nina mogła zapytać, kto to. Kiedy tego nie zrobiła, ciągnął: – Naturalnie, nie mogę ujawniać żadnych nazwisk.

– To nie chodzi przypadkiem o Henrika Pontoppidana?

– Przepraszam, kogo?

– Laureata z 1917 roku. – Tylko tyle Nina o nim wiedziała. Henrik Pontoppidan było ulubionym nazwiskiem jej ojca, podobnie jak Mongo Santamaria i Cotton Mather. Przywoływał je, kiedy był zaskoczony lub zdenerwowany, w momentach, w których inni ludzie przeklinają.

– Nasza technika nie jest taka stara – rzekł Crossman – ale mogę panią zapewnić, że nasz dawca jest bardziej znany niż pisarz, o którym pani wspomniała. Nie chcemy przeświecić pani na wylot, ale nie możemy dopuścić, co jest jednym z celów naszego instytutu, biorąc pod uwagę pozycję naszych dawców, żeby... – Szukał odpowiednich słów.

– Żeby ich nasienie się nie zmarnowało?

– Właśnie. – Palce Crossmana sięgnęły do pudełka z drażetkami, ale się cofnęły. – Mam tu napisane, że pani jest prezesem czegoś, co nazywa się *Kitchener & Best*. Co to za firma?

– Jesteśmy doradcami w sprawach wydawniczych.

– Macie dobrą pozycję?

– Czyżby chciał pan nas wynająć?

Znów obdarzył ją ponurym spojrzeniem, ale po chwili wykrzywił usta w czymś na kształt uśmiechu. Reszta jego twarzy pozostała ponura. – Ile pani zarobiła w ostatnim roku?

– To nie powinno pana interesować. – Nina zerwała się na nogi.

– To wszystko chyba nie ma sensu.

Ku jej zaskoczeniu doktor Crossman też wstał i niespokojnie przygładził włosy. Jego palce natknęły się na zabawny kapelusik. – Chryste – mruknął i wyrzucił go do kosza. – Pani Kitchener, proszę nie być taką porywczą. Musimy coś wiedzieć o pani sytuacji materialnej. Chociażby z tego powodu, że nasze usługi nie są bezpłatne. A poza tym, chcemy, żeby dziecko miało odpowiednie warunki do

rozwoju... przynajmniej pod względem materialnym.

Nina, podchodząc już do drzwi, zapytała: – Ile kosztują wasze usługi?

– Pięćset dolarów. Siedemset pięćdziesiąt za laureata Nobla.

– A pieniądze za ich *dobroczynność*?

– Nie rozumiem.

– Czy oni dostają coś za to?

– To poufna informacja.

– A czy w te koszty jest wliczony poród?

– Ależ nie. Nasze klientki korzystają z usług swoich ginekologów. Proszę usiąść, pani Kitchener. – Usiadła. Tak samo doktor Crossman.

– Możemy polecić pani jakiegoś położnika, jeżeli pani chce.

– Pozostanę przy doktorze Berry. – Nina nie chciała mieć nic wspólnego z długimi piegowatymi palcami Crossmana.

– Jim jest w tym dobry. – Doktor wyciągnął z szuflady formularz. Prostokątne ramki na nim układały się w odwróconą piramidę. – Jeszcze jedno – rzekł, zapisując nazwisko „Nina Kitchener” w górnej tabelce. Podał formularz Ninie. – Proszę w miarę kompletnie wypełnić to drzewo genealogiczne, łącznie z nazwiskami panińskimi, krajami pochodzenia, narodowością, przyczynami śmierci, jeśli znane.

Nina zaczęła wypełniać tabelki. *Matka: Alice Landers. Miejsce urodzenia: Syracuse, stan Nowy Jork. Biała. Zmarła na zapalenie płuc.* To była prawda – tuż przed nadchodzącą śmiercią nabawiła się zapalenia płuc. *Ojciec: John Kitchener. Miejsce urodzenia: Chicago. Biały. Zmarł w wyniku nieszczęśliwego wypadku.* To też była prawda – osłabiony w wyniku chemioterapii spadł ze schodów. Ani *rak piersi*, ani *rak okrężnicy* nie pojawiły się w formularzu. Nina nie chciała, żeby Crossman wiedział, że geny jakiegoś dostojnego noblisty zmieszają się z genami osoby podatnej na raka.

Jeżeli chodzi o dolne rubryki, niedużo mogła wpisać. Czy panińskie nazwisko matki brzmiało Turley czy Tolmey? A głębiej w przeszłość... czy jej przodek, niemiecki Żyd, który musiał wywędrować z kraju nie tylko w poszukiwaniu lepszego życia, ale też oskarżony o bigamię, nazywał się Kupstein, Kapstein czy jeszcze inaczej, i po przybyciu do Ameryki przybrał nazwisko Kitchener, jedyne znane mu angielskie nazwisko zaczynające się na K? Nina tego dokładnie nie wiedziała, więc głównie stawiała znaki zapytania.

– Doktorze Crossman? – Pielęgniarka, która preferowała kalifornijskie wina, stanęła w drzwiach. Błyszczały jej oczy. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale za

chwilę kroimy tort.

– Zaraz schodzę.

Pijana twarz pielęgniarki uśmiechnęła się do Niny. Potem kobieta znikła. Nina oddała doktorowi formularz. Spojrzał na niego.

– Pani Kitchener, czy coś jeszcze chciałaby pani wiedzieć?

Nina już doszła do przekonania, że to on jest od zadawania pytań.

– Czy mogę sobie wybrać dawcę?

– To niemożliwe. Wszyscy nasi dawcy pozostają anonimowi. Jedyne może być pani pewna, że dawca nie jest obciążony jakąś chorobą dziedziczną, ma odpowiednią grupę krwi i spełnia parę innych warunków.

– Jakich warunków?

– Rasa, na przykład. Chociaż to nieistotne, bo wszyscy nasi dawcy to biali.

– Nie wiedziałam, że Nobel zapisał to w testamencie.

– Ależ, pani Kitchener. To tylko dlatego, że...

– ... waszymi klientkami są białe kobiety.

Doktor uśmiechnął się, tym razem całą twarzą. – Tysiąc czterysta – rzekł.

– Tysiąc czterysta?

– Gotów jestem się założyć, że taki miała pani wynik testu SAT. Siedząc po tej stronie biurka, muszę być profesjonalistą. – Zapisał liczbę 1400 obok informacji, że Nina nie ma rodziców, braci ani sióstr. Potem złożył kartkę, schował ją do kieszeni i powiedział: – Dziękuję, że pani do nas przyszła. Zawiadomimy panią.

– O czym?

– Czy pani jest odpowiednią kandydatką. W czwartek jest spotkanie rady. Musimy się głęboko zastanowić.

Nina omal nie powiedziała: „Nie ma takiej potrzeby”. Omal.

Wróciwszy do domu, sprawdziła wynik SAT-u: 1420.

Dwudziesty czwarty wypadł w czwartek. W firmie *Kitchener & Best* odbyło się przyjęcie bożonarodzeniowe. Nina wyszła jako ostatnia. Nie chciała wracać do swojego mieszkania. Pod wpływem kaprysu poszła do Centrum Rockefellera, gdzie wypożyczyła łyżwy i robiła koła na lodowisku w tłumie łyżwiarzy. Jeździła parę godzin, ale wcale nie odczuwała zmęczenia. Przestała dopiero wtedy, gdy zaczęło ją boleć w kolanie. Od wielu lat ją tam nie bolało.

Wróciła do domu. W telewizji właśnie nadawano *Cudowne lata*. Nina zrobiła sobie drinka i usiadła przed telewizorem z pilotem w ręku. Zadzwoił telefon.

– Pani Kitchener? Tu doktor Crossman.

- Tak?
- Kiedy miała pani ostatni okres?
- Po co wam ta informacja? – spytała Nina, próbując ukryć zdenerwowanie.
- Ponieważ musimy ustalić datę zabiegu, pani Kitchener. Gratulacje. Została pani zaakceptowana.
- Zaaakceptowana?
- Bez żadnych wątpliwości, pani Kitchener. Wesołych świąt.

Jestem Percival – przedstawił się mężczyzna w czarnym garniturze, wyciągając w stronę Niny pulchną i ciepłą dłoń.

– Czy to pan będzie przeprowadzał ten zabieg? – spytała Nina. Usłyszała niepokój w swoim głosie. Nie była jeszcze gotowa. Wciąż nie podjęła decyzji. Ale w takim razie, po co ponownie przyszła do instytutu?

– Zabieg? – spytał ze śmiechem. Miał gardłowy śmiech, jakby właśnie napił się gęstej śmietany. Ten śmiech pasował do niego; z łysą głową, delikatną twarzą i różową cerą Percival mógłby być giermkim w czasach, gdy nie znano jeszcze cholesterolu. – Ależ nie – zaprzeczył, podając nad biurkiem wizytówkę.

*Ablewhite, Godfrey, Percival & Glyde* było wytłuszczone na górze. Pod spodem znajdował się adres i numer telefonu kończący się na trzy zera. – Zajmuję się formalnościami.

– Formalnościami?

– Te nigdy się nie kończą – rzekł. – Proszę usiąść.

Nina usiadła na krześle obitym czerwoną skórą. Znajdowała się na pierwszym piętrze instytutu, w komfortowym gabinecie na tym samym piętrze co pokój Crossmana. Przez witrażowe okna widziała spadające płatki śniegu szybko ciemniejące w miejskim powietrzu. Na oknach wisiały grube złociste zasłony, które nie zakryłyby stóp Petera Sellersa w jednym z filmów o inspektorze Clouseau, a na ścianie oprawiona fotografia mężczyzny z pociągłą twarzą, którego portret ozdabiał hol wejściowy. Na zdjęciu mężczyzna ścisnął dłoń z księciem Windsoru.

Percival otworzył teczkę, wyciągnął jakieś papiery i rozłożył je na stole. – Tu są dokumenty, które musi pani podpisać – rzekł.

– Jakie dokumenty?

– Związane z aspektami prawnymi, więc proszę się z nimi najpierw zapoznać. – Przesunął stertę w jej stronę.

Zaczęła je przeglądać, podczas gdy Percival udzielał wyjaśnień. – To umowa finansowa, po prostu zobowiązanie do zapłaty za usługę. A to zrzeczenie się drogi sądowej w przypadku błędu w sztuce, zobowiązanie, że nie będzie pani obciążała instytutu odpowiedzialnością za kłopoty z donoszeniem ciąży czy wady poporodowe. To z kolei dokument, który stwierdza, że instytut nie ma żadnych obowiązków finansowych związanych z wychowaniem, leczeniem, kształceniem

produktu zabiegu. Natomiast to jest gwarancja anonimowości, zobowiązanie, że ani pani, ani dziecko nie będziecie próbowali odkryć tożsamości dawcy. A ten dokument to rezygnacja z roszczeń do spadku po dawcy.

Nina uniosła wzrok. Percival dłubał akurat w nosie. Szybko położył dłonie na biurku. – Jak mogę coś podpisywać w imieniu „produktu zabiegu”, jak pan to określił? – spytała.

Percival się uśmiechnął. Miał duże zęby, żółte jak klawisze w starym pianinie. – Oczywiście nie musi pani podpisywać tych dokumentów – powiedział.

– Nie muszę?

– Tak samo jak nie musi się pani rejestrować, jeżeli nie chce pani brać udziału w wyborach.

– Może pan mnie nie zrozumiał – rzekła Nina. – Jak mogę cokolwiek podpisywać w imieniu osoby, która jeszcze nie istnieje?

Percival wciąż szczerzył żółte zęby. – Rozumiem panią, pani... – Spojrzał do notatek. – ... Kitchener. Jeżeli ma pani jakieś wątpliwości, może się pani skontaktować ze swoim adwokatem.

Nina pomyślała o swoich prawnikach: miała Lisę od podatków i Louise od kontraktów. Był też przyjaciel Jasona – Larry, który specjalizował się we wszczynaniu sporów sądowych. Reprezentował z sukcesem Ninę na rozprawie dotyczącej wypadku rowerowego. Wywalczył dla niej dziesięć tysięcy dolarów, z czego połowę zabrał sobie. Nina nie chciała się kontaktować z żadnym z nich. Nie było to też konieczne: wiedziała, co powiedzą, i nie miała ochoty tego słuchać. Nagle jedna myśl przytłoczyła inne w jej umyśle: chcę się zarejestrować, chcę wziąć udział w wyborach.

W następnym momencie usłyszała siebie, jak mówi: – Czy ma pan coś do pisania? – I zakreśliło się jej w głowie, jakby nagle porwał ją gwałtowny prąd – powoływanie dziecka na świat to bardzo poważna sprawa.

– Naturalnie. – Percival sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyciągnął z niej grube złote pióro i zwyczajny niebieski długopis. Obszedł biurko i podał Ninie długopis, właściwie włożył go jej do ręki. Stojąc obok niej, przekładał potem dokumenty. Jego delikatne pulchne palce z wdziękiem muskały kartki papieru.

– Proszę tu podpisać – mówił.

Nina podpisała.

– Teraz tutaj.

Podpisała.

– I tu, tu, i tu. Inicjały w tym rogu. I tu. I jeszcze jeden. Dobrze. – Kartki



przeływały w powietrzu.

Zadzwoił telefon. – Tak? – rzucił do słuchawki. – Biorę to. – Percival słuchał, jedną ręką muskając stertę papierów. Poła jego marynarki ocierała się o ramię Niny. Nina odsunęła się. – Rozumiem – rzekł Percival. – Zajmę się tym. – Roześmiał się gardłowo. – To jest dobre... Ależ skąd, panie burmistrzu. Do widzenia.

Odłożył słuchawkę, uśmiechnął się i wrócił na swoje miejsce.

– Zatem dobrze – mruknął z gasnącym uśmiechem. – Jakies pytania?

– To już wszystko?

– Tak. Mam zadzwonić po pielęgniarkę?

– Proszę.

Zjawiła się. Była to ta miłośniczka kalifornijskich win. Uśmiechnęła się do Niny, ale nie tak szeroko, jak wtedy, gdy była pijana, i zapytała: – Wszystko załatwione?

– Tak – wtrącił Percival, uprzedzając Ninę.

Nina wstała i poszła za pielęgniarką do drzwi. – Powodzenia – zawołał Percival za nią, chowając dokumenty w teczce.

Pielęgniarka zaprowadziła Ninę do małej windy na końcu korytarza, z mosiężnymi kratowymi drzwiami i z obitą zamszem ławką. Pielęgniarka wcisnęła piątkę. Windą zatrzęsło i płynnie ruszyła w górę.

– Ładna winda, co? – odezwała się pielęgniarka. – Taka romantyczna.

Nina w drodze do zamrożonej spermy nic nie powiedziała.

Obie, Nina i pielęgniarka, wysiadły na piątym piętrze. Znalazły się w szpitalnym otoczeniu: podłogę bez wykładziny i gołe zielone ściany oświetlały świetlówki. Winda znów zadrżała i wróciła do eleganckich wnętrz.

– Tutaj – rzekła pielęgniarka, otwierając drzwi do małego pokoju z małymi laminowanymi szafkami i gablotami, zlewem, wysokim stołkiem, stołem do zabiegów i niebieską papierową sukienką na wieszaku. – Proszę to włożyć.

Pielęgniarka poszła do sąsiedniego pomieszczenia. Nina zdjęła ubranie i włożyła sukienkę. Sięgała jej do połowy ud. Przez otwarte drzwi zobaczyła, że pielęgniarka otwiera wielki metalowy pojemnik przypominający dzban z opowieści o Ali Babie. Obłoki parującego azotu skojarzyły się Ninie najpierw z duchami, a potem z monstrem wyłaniającym się na bagnach w jakimś kiepskim horrorze. Za pomocą szczypiec pielęgniarka wyjęła zamkniętą probówkę i przeczytała nalepkę. Włożyła probówkę do wirówki i wcisnęła przycisk. Zawartość probówki zamieniła się w białą plamę.

– Co to za operacja? – spytała Nina.

– Siła odśrodkowa wyrzuca najlepszych pływaków do góry – odparł doktor Crossman, otwierając inne drzwi. – Teoretycznie. A my chcemy mieć najlepszy materiał. – Przyglądał rude wąsy. – Witam. Jestem doktor Crossman. – Ukradkiem zlustrował Ninę z dołu do góry. Nina skończyła zawiązywać papierowe paski na plecach. – A pani... – Spojrzał na tabliczkę z przypiętymi na niej kartkami. – ... ma na imię Nina. Zgadza się?

Nina przytaknęła. Była panią Kitchener, kiedy po raz ostatni się widzieli, ale wtedy nie miała na sobie papierowej sukienki, która odsłaniała jej nogi i plecy.

Doktor Crossman przyglądał się górze kartki. – Przed chwilą odebrałem z laboratorium wyniki badań krwi. Właśnie ma pani owulację. – Odwrócił kilka kartek. – Zobaczmy. Ostatnią owulację, jak poinformował doktor Berry, miała pani dziesiątego stycznia, a ja spotkałem się z panią... Przerzucał kartki.

– W dniu waszego bożonarodzeniowego przyjęcia.

Crossman zmarszczył czoło. – Niemożliwe. Coś nie tak. – Znacznie uważniej zaczął przyglądać się kartkom. – Wtedy zwykle nikogo nie przyjmuję... – Zawiesił głos. – O tak, już wiem – rzekł wciąż niepewnym głosem. Włożył drażetkę do ust i czytał przez chwilę. – Tak więc dziś – powiedział, teraz bardziej pewnie. Skończył czytać, odpiął teczkę z tabliczki i wydobył z niej wydruk komputerowy, który podał Ninie. – Proszę poznać ojca.

Nina poczuła, że robi się mokra pod pachami, gdy czytała wydruk:

*VT – 3(h)*

*biały mężczyzna /ob. amerykańskie  
pochodzenie – Europa Płn.*

*wzrost – 6 stóp*

*waga – 175 funtów*

*włosy – jasnobrązowe*

*oczy – niebieskie*

*skóra – jasna*

*grupa krwi – A*

*choroby dziedziczne – brak*

*wzrok – 20/20*

*budowa średnia*

*rozmiar kapelusza – 7*

*numer buta – 11B*

*rozmiar obrączki – ?*  
*wykształcenie – mgr sztuk pięknych (muzyka)*  
*sport – piłka nożna w czasie studiów*  
*IQ – 128*  
*status – profesjonalista*  
*uwagi – leworęczny*

– I co – zagadnął doktor Crossman – jak się pani podoba?

Żadna odpowiedź nie przyszła Ninie do głowy. Wciąż jej szukała, gdy weszła pielęgniarka, trzymając w ręku strzykawkę z mleczną zawiesiną.

– Zaczynamy – powiedział doktor Crossman, wciągając rękawiczki chirurgiczne. – Proszę wejść na stół...

Stół był wysoki, a nie było żadnych stopni, żeby po nich wejść. Nina oparła się gołymi plecami o jego bok, położyła na nim ręce i lekko podskoczyła. Wylądowała niezdarnie na wyściełanej powierzchni, papierowa sukienka uniosła się aż nad biodra. Obciągnęła ją błyskawicznie i zauważyła, że Crossman odwraca wzrok. Widział całe to przedstawienie. Ale przecież to bez znaczenia. Po chwili miała rozłożone nogi, a on stał między nimi. Zamyślony przypominał Ludwika Pasteura z pewnego filmu biograficznego. Włączył lampę nad głową.

Pielęgniarka wtoczyła stolik z narzędziami.

– Proszę o betadynę – rzekł doktor Crossman.

Pielęgniarka otworzyła buteleczkę z brązową cieczą. Doktor zanurzył w niej kawałek gazy, a potem wsunął go w Ninę. Nie zrobił tego delikatnie, ale też ją nie zabolalo. Próbowwała odizolować się od rzeczywistości. Myślała o długich piegowatych palcach pod przezroczystą gumą, o żabach, o mortadeli.

– Jestem gotowy, Sal – powiedział Crossman.

Pielęgniarka podała mu strzykawkę z dołączonym plastikowym lejkiem. Zerknął na wydruk. – VT-3(h)? – spytał.

Sal spojrzała na napis na pustej teraz próbówce. – Potwierdzam.

Doktor Crossman znów się nachylił, w jednej dłoni trzymał wziernik, a w drugiej strzykawkę. Nina zobaczyła białą zawiesinę, a potem wszystkie narzędzia znikły jej z pola widzenia, schowały się pod uniesioną papierową sukienką.

Poczekajcie! – chciała krzyknąć, ale nie zrobiła tego. Czowała, jak plastikowa końcówka wsuwa się w nią, czowała włosy z ręki Crossmana na swoim udzie, raz i ponownie, coraz wyżej i wyżej, czowała, jak lekarz powoli wciska tłok strzykawki. Wydawało się to trwać bardzo długo. Pomyślała o aborcji.

Doktor Crossman wyciągnął strzykawkę. Jego goła ręka znów musnęła uda Niny. Spojrzał jej w twarz. – Proszę tak pozostać przez kilka minut – powiedział do niej. Poruszył węsami, jakby go swędziało, ale tym razem nie podrapał się w nie. Wyszedł z pokoju.

Sal popatrzyła na nią. – Nie było tak źle, co?

– Nie.

– To dobrze – rzekła Sal i wytoczyła wózek z narzędziami. – Za moment wracam. – Drzwi się zamknęły.

Nina zastanawiała się, czy kiedykolwiek jeszcze będzie miała orgazm. Wkrótce drzwi znów się otworzyły.

– Ależ nie musi pani leżeć w taki sposób – powiedziała Sal. – Doktorowi chodziło tylko o to, żeby pozostała pani na plecach.

Nina poczuła, że się czerwieni. – Czy mogę już wstać?

– Oczywiście. Odwiozę panią do gabinetu na dole.

Nina ubrała się, zostawiając papierową sukienkę. Sal towarzyszyła jej do sekretariatu na parterze. – Głowa do góry – rzuciła na pożegnanie.

Nina dostała rachunek na pięćset dolarów. – A jeżeli próba okaże się nieskuteczna? – spytała.

– Nie czytała pani umowy? – odparł urzędnik.

– Może czytałam, ale nie pamiętam. – Nina nawet nie próbowała mówić łagodnym głosem.

Urzędnik zamrugał oczami. – Następny zabieg jest bezpłatny. – Znowu zamrugał. – Punkt 13D.

Nina wypisała czek na pięćset dolarów. – Chyba nie dostał mi się noblista – stwierdziła, przypominając sobie dwustupięćdziesięciodolarową dopłatę za takiego dawcę.

– Nic na ten temat nie wiem – odrzekł, biorąc czek. – Czy mogę zobaczyć pani dokumenty?

Nina wróciła do domu z VT-3(h) w sobie i wciąż niezdecydowana. Wzięła długi prysznic, tak gorący, jak tylko mogła wytrzymać.

\*

Trzydzieści pięć dni później doktor Berry złożył jej gratulacje. Nina coś mu odpowiedziała, ale nie wiedziała co.

Wyszła z gabinetu lekarza na zamarzający deszcz. Był to najbardziej paskudny

dzień w roku. Ale dla Niny świeciło słońce i było przyjemnie ciepło. Nikt ze zbolących ludzi na ulicach tego nie zauważył, nikt też nie miał pojęcia o jej tajemnicy. To był najszcześniejszy moment w jej życiu.

Wkrótce przemokła do suchej nitki. Weszła do sklepu ze starociami w połowie drogi między jej domem a firmą. Mężczyzna za ladą oderwał wzrok od *Vogue'a*. – Czym mogę służyć? – spytał.

– Chciałabym kupić Achillesa.

– Achillesa?

– Tego konia na biegunach z czerwonym siodłem.

– Niestety, wczoraj go sprzedaliśmy. Ale mamy uroczą dziewiętnastowieczną lalkę z Bawarii.

Ostatni dzień lipca okazał się podły dla N. H. Matthiasa. Zaczął się źle, bo Matthias musiał założyć krawat. Miał tylko jeden krawat, który zakładał jedynie wtedy, gdy było to konieczne. Kupił go w 1972 roku w Północnej Karolinie za trzy dolary i dziewięćdziesiąt pięć centów. Był kasztanowego koloru w dziwne wzory, które kształtem przypominały zielone słoneczka. Jego szerokość już kilka razy wychodziła z mody. Teraz znów chyba stawał się niemodny. Matthias wmawiał sobie, że nienawidzi nosić krawatów, bo są niewygodne, zwłaszcza w Miami ostatniego dnia lipca, gdy temperatura zatrzymała się na dwudziestu sześciu stopniach, a przy tym wilgotność zbliżała się do stu procent. Ale nie tylko o to chodziło.

Krawaty oznaczają interesy: wszyscy mężczyźni w Carib-American Bank przy bulwarze Biscayne je nosili, kasjerzy, urzędnicy od pożyczek, wiceprezesi od tego i tamtego oraz Dicky Dumaurier. Dicky siedział za małą plastikową plaketką z napisem: DICKY DUMAURIER, ZASTĘPCA DYREKTORA. Matthias miał z nim do czynienia przynajmniej od dziesięciu lat. Kontaktował się z nim rzadko, głównie telefonicznie, ale byli na ty i kiedyś nawet porządnie się razem napili. Wtedy Matthias też, żeby wyglądać poważnie, założył krawat. Dicky Dumaurier wypił bardzo dużo w czasie tego spotkania, gdy oglądali znudzoną gołą tancerkę z równie znudzonym wężem. Mieszał kolorowe alkohole i Matthias musiał zaprowadzić go do taksówki. Ta przygoda sprawiła, że Dicky nie bardzo mógł odmówić. Ale przecież nie był dyrektorem od niczego i musiał podjąć wyzwanie.

– Naprawdę, bardzo mi przykro, Nate – powiedział. Dicky miał wydatne jabłko Adama, które poruszało się w rytm jego słów. – Bardzo mi przykro. Naprawdę tak myślę. Chcę, żebyś wiedział, że rzeczywiście tak myślę. W tym biznesie, tak jak w innych... dobrze wiesz, o czym mówię, bo sam zajmujesz się interesami... często mówi się co innego, niż myśli. Jednak nie tym razem. Proszę, uwierz mi. Ale... – Dicky westchnął. Wydał z siebie odgłos świadczący o beznadziejności sytuacji, rozczarowaniu i rezygnacji. – Ale, no wiesz, tego nie da się zrobić.

Matthias w tym momencie powinien wyjść, lecz pewien pomysł wpadł mu do głowy. Zlekceważył informację przekazaną przez westchnienie i zapytał: – Czy oznacza to, że nie możesz mi pomóc, czy też nie chcesz?

– To oznacza, że nie możemy tego zrobić. Ani Carib-American, ani żadna inna szanowana instytucja.

Wstań, wyjdź – pomyślał Matthias. Jednak zamiast tego spytał: – Dlaczego tak uważasz?

– Nate, pozwól, że będę szczery. – Dicky poprawił krawat – materiał: jedwab, szerokość: aktualnie modna, kolor: żółty z różowymi i lawendowymi ukośnymi paskami. – Nate, zawsze byłem z tobą szczery i chcę taki być, teraz i w przyszłości.

W przyszłości? – pomyślał Matthias. – Na Boga, nie! – powiedział.

– Nate, proszę. Próbuję być szczery. Może powiem ci o facecie, który był u nas w ubiegłym tygodniu. Taki drobny biznesmen z szóstką dzieci i żoną umierającą na raka. Niczego nie zmyślam. Prowadziliśmy interesy od dwudziestu lat, a wcześniej z jego ojcem i dziadkiem, jednak musieliśmy mu odmówić.

Matthias czekał na ciąg dalszy, a gdy się nie doczekał, spytał: – Co ma wynikać z tej historii?

– Że trudne decyzje są trudnymi decyzjami. Nie chciałbyś się znaleźć w mojej skórze.

Matthias próbował spojrzeć Dicky'emu w oczy przez przydymione szkła jego okularów. Dicky spojrział na papiery leżące na jego biurku i rozłożył je. – Widać to czarno na białym. Nawet jeśli na chwilę zapomnimy o tym tutaj orzeczeniu...

– Ja mam zamiar się odwoływać.

– ... pozostają dwie pożyczki hipoteczne i skumulowana pożyczka na rozkręcenie interesu. Tak dalej nie możesz ciągnąć... nie masz zdolności kredytowej. Od lat coraz bardziej toniesz w długach, więc jak możemy rozmawiać o kolejnej pożyczce? Nie spełniasz warunków.

Ale wtedy – pomyślał Matthias – bez tych pieniędzy nie będzie odwołania. A bez odwołania, żegnaj klubie w zatoce Zombie. Jednak to nie były argumenty dla banku, więc powiedział tylko: – Mam coraz więcej rezerwacji.

Dicky przerzucił papiery. – Przejrzałem twoje plany na zimę. Sprawdziłem księgowość, dokładnie, ślezczałem nad tymi cholernymi cyferkami prawie całą noc. Nic nie wskazuje, że twoja sytuacja się poprawi, choć naprawdę chciałbym się mylić. Uwierz mi, bardzo nie chcielibyśmy przejmować mienia...

– Przejmować mienia?

– Nie zrozum mnie źle, Nate. To wspaniałe miejsce i szkoda, że tak ci się ułożyło. My nie będziemy mieli z niego zbyt wielu korzyści.

– No, to wyrazy współczucia.

– Co? – mruknął Dicky. Obliznął usta. – Tak naprawdę to dla nas tylko kłopot. Mimo że to miejsce ma wiele zalet. Ale nie muszę ci chyba mówić, jak trudno się robi interesy na wyspach. Nate, zawsze cię popierałem, my wszyscy w Carib-

American Bank jesteśmy ci przychylni.

Matthias położył dłonie na biurku Dicky'ego i wychylił się nad nim. Czuł, jak marynarka napina mu się na plecach i ramionach. Zdawał sobie sprawę ze swojej postury, siły fizycznej, mocnej opalenizny – nabytej nie dlatego, że chciał być niemodnie opalony albo umrzeć na czerniaka, ale dlatego, że pracował na świeżym powietrzu w tropikach. Zdawał sobie też sprawę z otoczenia, w jakim się znajdował w Carib-American Bank – z ponurych zielonych monitorów komputerów, z telefonów, które zamiast normalnie dzwonić wydawały elektroniczne piski, z klimatyzowanego powietrza. Czuł to wszystkimi porami skóry. – Dicky, cieszę się, że mnie popierasz, naprawdę się cieszę. Ale jak nie dostanę tych pieniędzy, nie będę mógł opłacić adwokata, przegram sprawę przez niestawiennictwo.

Dicky skulił się na krześle. Zagryzł wargi, potem wydał je i znów westchnął. – Siebie jednak ochronisz, Nate. Nie rozumiesz tego?

Matthias wstał, zaciskając pięści. – Nie mów do mnie Nate – powiedział i wyszedł z gabinetu Dicky'ego Dumauriera.

– Ale zawsze mówiłem do ciebie Nate... – rzucił za nim Dicky. – A jak powinienem się do ciebie zwracać?

Dla przyjaciół był Matt, ale nie miał powodu, by zaliczyć do nich Dicky'ego. Długim krokiem przeszedł przez oświetlony korytarz banku. Chciał wyładować swoją złość. Miał już jednak czterdzieści cztery lata i był szanowanym obywatelem dwóch państw. Tylko zerwał z szyi krawat i zamierzył się, by nim rzucić. Ale to nie kamień. Wcisnął go do kieszeni.

Wyszedł na skapaną w słońcu ulicę. Niczym w filmie natychmiast pojawiła się taksówka. Matthias podniósł rękę i poczuł pot pod pachą. Taksówka się zatrzymała. Matthias rzucił adres do odwróconej głowy kierowcy. Głowa przytaknęła. Ruszyli. Wyjrzał przez okno, niczego nie zobaczył. Po kilku przecznicach zorientował się, że taksówkarz go nie zrozumiał, i powtórzył adres po hiszpańsku.

– Przepraszam – odezwał się tamten i zrobił gwałtowny nawrót. Spojrzał na Matthiasa w lusterku. Matthias znał to spojrzenie, teraz taksówkarz zastanawiał się, czy dać mu święty spokój, czy rozpocząć typową pogawędkę. Znów na niego spojrzał, chrząknął i stwierdził po hiszpańsku: – Pan nie wygląda mi na Kubańczyka.

– Bo nie jestem – odparł Matthias.

– Anglik?



- Tak.
- Ale dobrze mówi pan po hiszpańsku.
- To nie takie rzadkie.
- Ale mówi pan jak Kubańczyk.

Matthias burknął. Taksówkarz zmienił pas ruchu i wcisnął pedał gazu. Mimo dużego ruchu bez przerwy zerkał w lusterko.

- A może któreś z pana rodziców było Kubańczykiem?
- Nie.

Taksówkarz skinął. Miał chudą szyję z dwoma wydatnymi ścięgnami. Kurczyły się i wydłużały, gdy kiwał głową, a potem nieruchomiały. Wtedy Matthias miał wrażenie, że głowa jest bardzo słabo umocowana na jego ramionach. Ten widok i pytania taksówkarza o jego przeszłość obudziły w myślach Matthiasa inny obraz, obraz, którego nie chciał sobie przypominać.

Taksówka już docierała do Grove, gdy tamten zapytał: – A czy pan tam mieszkał?

- Gdzie?
- Na Kubie.
- Tak.
- Przed Castro?
- Nie.

Taksówka zatrzymała się przed Cafe Martinique. Matthias zapłacił za kurs. Taksówkarz otworzył usta, jakby jeszcze raz chciał rozpocząć rozmowę, ale powiedział tylko: – *Gracias*.

Matthias wszedł do restauracji. Ze względu na porę lunchu było w niej tłoczno, ale już w drzwiach dostrzegł Marilyn. Siedziała przy pokrytym różowym obrusem stole i malowała usta szminką o takim samym odcieniu. Podchodząc bliżej, stwierdził, że Marilyn prześcignęła nawet Dorianą Grayą, nie tylko zachowywała urodę, ale z czasem stawała się coraz ładniejsza. Policzki wydawały się coraz wydatniejsze, jasne pasemka we włosach jeszcze jaśniejsze, gładka skóra gładza, białe zęby bielsze. Wyglądała jak metafora miliona dolarów; przypuszczalnie ciuchy i biżuteria, które miała na sobie, warte były dwadzieścia tysięcy prawdziwych zielonych, choć Matthias nie potrafił tego określić. Ten jego brak orientacji był jedną z mniej ważnych przyczyn rozpadu ich związku.

Obok niej w okularach przeciwsłonecznych z pomarańczowymi szklami siedział Danny. Strzelał groszkiem z łyżeczki. Tej sztuczki Matthias nauczył go bardzo dawno temu, gdy niezbyt właściwie go wychowywał. Była to dobra

zabawa, świetna nawet, kiedy Danny miał cztery lata. Teraz miał prawie piętnaście.

Jednocześnie zauważyli Matthiasa i popatrzyli na niego z wyrazem, który nie był łatwy do odczytania. – Cześć, Danny – rzucił Matthias, siadając naprzeciw nich. – Witaj, Marilyn.

– Cześć – odparł Danny. Nie zdjął okularów i nie powiedział „tato”.

– Zaczęliśmy bez ciebie – oświadczyła Marilyn.

– Zatrzymało mnie coś.

Marilyn przyjrzała się swoim ustom w małym owalnym lusterku, które zamknęła z trzaskiem, i powiedziała: – Muszę już lecieć. – Zwróciła się do Danny'ego: – Daniel, bądź u Howiego nie później niż o szóstej. Jedziemy do Biermeyerów...

Marilyn podpisała rachunek, wzięła kartę kredytową i wyszła.

Matthias spojrzał na Danny'ego. – Najadłeś się?

– Aha.

– To idziemy.

– Dokąd?

Dokąd... W te popołudnia, w które się spotykali, byli już wszędzie na południu Florydy, od jeziora Okee-chobee po Marathon. – Może pogramy w kosza w klubie – zaproponował Matthias.

– W kosza?

– A co w tym dziwnego?

– Nie lubię.

– A kiedyś lubiłeś.

Danny wzruszył ramionami.

– To może baseball...

Danny wykrzywił twarz.

– Już nie interesuje cię sport? – spytał Matthias, próbując spojrzeć przez szkła okularów Danny'ego, tak samo, jak to robił, rozmawiając z Dumaurierem. Zobaczył jednak, tak jak poprzednio, tylko swoją szeroką opaloną twarz wyrażającą zmieszanie, choć teraz pomarańczową.

– Interesuje.

– A co?

– Golf.

– Lubisz golfa?

Danny zrobił teraz inną minę. Taki wyraz twarzy Matthias widział wielokrotnie u Marilyn, ale nigdy u swojego syna. – Lubię *grać* w golfa.

– A co to za różnica?

Danny nic nie powiedział, tylko środkowym palcem strzepnął ziarnko grochu ze stolika.

– W porządku – dodał Matthias – idziemy. – Uśmiechnął się, ale syn nie odwzajemnił uśmiechu. – Masz jakieś ulubione pole?

– Grywam na Turnberry Island.

– Niezłe miejsce – zauważył Matthias, wstając.

Danny nie ruszył się z krzesła. – Ale trzeba być członkiem.

– A ty jesteś?

– Howie jest. On wszystko załatwił. – Pomarańczowe szkła okularów były skierowane wprost na twarz Matthiasa. Matthias pomyślał o przywódcy więziennego gangu z filmu „Nieugięty Luke”. – Może do niego zadzwonię i zapytam, czy możemy tam pograć – dodał po chwili Danny.

Matthias usiadł. – Kim jest ten Howie?

– Howie? No wiesz, Howie.

– Nie wiem.

– To mamy...

Matthias obserwował reakcję swojej zduplikowanej twarzy w pomarańczowych okularach.

– Deser? – zapytał kelner, podchodząc do stolika.

Matthias pokręcił głową. Znaleźli potem teren treningowy w pobliżu lotniska. Matthias nie miał w rękach kija golfowego od trzydziestu lat, od momentu, kiedy po raz ostatni był chłopcem od noszenia sprzętu. Teraz stojąc obok Danny'ego, poczuł, że jego dłonie pewnie chwytają kij. Obserwował, jak Danny stawia piłkę na podstawce. Chłopak stanął nad piłką i wybił ją za pierwszym zamachem. Uderzenie nie było złe, ale Danny trochę za szybko cofnął kij i uniósł głowę. Piłka uderzona powyżej środka poleciała płaskim torem i tocząc się, zatrzymała przy chorągiewce oznaczającej sto jardów.

– Kurde – mruknął Danny.

Szybko ustawił kolejną piłkę i jeszcze szybciej ją uderzył. Piłka zoczyła w lewo. – Do dupy – burknął, sięgając po następną. Tym razem w odpowiednim momencie uniósł głowę, ale piłka skrzyła w prawo. – O kurwa! – Sięgnął do koszyka i postawił kolejną piłkę na podstawce. Matthias zauważył, że Danny stanął zbyt blisko niej.

– Dlaczego się nie przymierzasz? – spytał.

Ale Danny już odchyłał się do tyłu. Tylko musnął piłkę, która spadła z

podstawki i potoczyła się na wypaloną trawę. Z wściekłością zwrócił się do Matthiasa: – Czy nie wiesz, że podczas uderzeń nic się nie mówi?!

Matthias zmierzył go wzrokiem. Gdyby był moim dzieciakiem – zaczął myśleć – przepędziłbym go z tego pola. Ale Danny był jego dzieciakiem. Matthias odwrócił się.

Z pewnej odległości obserwowała ich jakaś starsza, dobrze ubrana kobieta. Szybko pochyliła się nad swoją piłką i sprawnym uderzeniem wysłała ją na odległość ponad stu pięćdziesięciu jardów.

Kilka stanowisk dalej Danny wziął kolejny wściekły zamach i spudłował. – Cholerne gówno!

– Spokojnie, Danny, to nie jest...

– Nie mów do mnie, kiedy gram! – wrzasnął chłopak. Kilka razy próbnie się zamachnął, ale znów nie trafił. Ze złością walnął kijem o gumową nawierzchnię, kopnął kosz z piłkami i odmaszerował. Piłki wyturlały się na trawę.

Matthias podniósł jedną z nich. Postawił ją na podstawce, stanął nad nią i uniósł kij. W jednej chwili zobaczył piłkę z pełną ostrością: księżyc na północnej półkuli i dołączki na całej powierzchni, na dole ciemne. Nie zamierzał uderzyć jej zbyt mocno, ale w ostatnim momencie zmienił decyzję. Piłka przeleciała ponad trzysta jardów i zatrzymała się na metalowym płotku na końcu pola treningowego. Przez chwilę poczuł się lepiej.

– Brawo – krzyknęła starsza kobieta. Stracił dobry nastrój.

Danny rozmawiał już wtedy przez telefon. Odwiesił słuchawkę, kiedy Matthias się zbliżył do niego. Pot spływał mu po twarzy, ale wydawał się spokojniejszy.

– Co chciałbyś robić, Danny?

– Kiedy dorosnę, o to ci chodzi?

– Nie, teraz. Ale to, co chcesz robić w przyszłości, też mnie interesuje.

– Inwestycje bankowe – powiedział Danny. – A może handel nieruchomościami.

Po drugiej stronie autostrady było multikino. Jako jedyni w małej sali Matthias i Danny obejrzelikomedię, w której Dabney Coleman grał podwójną rolę – bliźniaków rozdzielonych po porodzie. Jeden z nich zostaje sprzedawcą encyklopedii, a drugi szefem KGB. CIA odkrywa to i wysyła Dabneya od encyklopedii z misją do Moskwy. Pojawiają się komplikacje. Dabney z KGB ma żonę i kochankę, która... i tak dalej, i tak dalej. Było zabawnie, kiedy Dabney Coleman pojawiał się na ekranie. Przez resztę czasu Matthias ukradkiem zerkał na Danny'ego, który zdjął teraz pomarańczowe okulary. W migoczącym świetle z

ekranu wyglądał znacznie starszej niż w czasie ich ostatniego spotkania. Być może związane to było ze sposobem, w jaki oglądał film i z jakich dowcipów się śmiał. Jednak jego dzieciństwo już się kończyło. Matthias z łatwością mógł go sobie wyobrazić jako specjalistę od inwestycji finansowych.

Po filmie wrócili taksówką do miasta. – Masz jakieś plany na spędzenie czasu przed pójściem do szkoły? – spytał Matthias. – Rafer często się o ciebie pyta.

– Jaki Rafer?

– Syn Moxiego.

– Ach tak. – Zapadła cisza. Danny odwrócił głowę i odprowadził wzrokiem limuzynę jadącą sąsiednim pasem.

– To jakie masz plany?

– Nie wiem. Może pojedziemy do Grecji na kilka tygodni.

– Świetny pomysł.

– Byłeś tam?

– Nie, ale to na pewno atrakcyjna wycieczka.

– Jasne. – Taksówka zatrzymała się przed wysokim budynkiem ze szkła. Danny otworzył drzwi.

– Wiesz, dokąd iść? – spytał Matthias.

– Do apartamentu na ostatnim piętrze – odparł Danny. – Byłem tam setki razy.

– Zatrzymał rękę na drzwiach, jakby chciał coś powiedzieć. Przez chwilę Matthias myślał, że chłopak wciąż zastanawia się nad tą Grecją. – A jak twoja sprawa? – spytał Danny.

– Ciągłe jestem w grze – odrzekł Matthias. – Na razie nie grozi mi bankructwo, jeśli o to pytasz.

– Chyba to nieprawda. Oni... oni mówią, że nie masz szans.

– Jacy oni?

– Mama i Howie.

– A czym zajmuje się ten Howie?

– Jest psychiatrą.

Matthias zastanawiał się, czy Marilyn poznała go na gruncie zawodowym. Zatrzymał tę myśl dla siebie. – Nie jestem pewien, czy może uchodzić za eksperta od prawa na Bahamach.

– Howie jest ekspertem od wszystkiego. Ma głowę jak komputer.

– Niesamowite – skwitował. Danny postawił stopę na ziemi. Matthias wyciągnął rękę. – Zadzwoń do mnie, kiedy wrócisz z Grecji. – Uścisnęli sobie dłonie. Przez chwilę Matthias czuł męsko-chłopięcy uścisk. Ale tylko przez chwilę.

– To jego wóz – powiedział Danny. Czerwone porsche wyjechało z garażu obok budynku. Ochroniarz wyskoczył ze środka i przytrzymał drzwi. Jakiś mężczyzna szybkim krokiem wyszedł z budynku i wsiadł do samochodu. Danny podbiegł do niego i usiadł na przednim siedzeniu. Mężczyzna nawet nie spojrzął na chłopca.

Matthias wysiadł z taksówki i zbliżył się do porsche. Usłyszał Danny'ego: – Przepraszam za spóźnienie.

– Przepraszam nic tu nie pomoże – warknął mężczyzna za kierownicą.

Matthias położył dłonie na dachu samochodu i pochylił się nad Dannym. – Wcale się nie spóźnił. Jest za pięć szósta.

Mężczyzna spojrzął na niego. Miał identyczne pomarańczowe okulary jak Danny. – Kto to jest? – zapytał.

– Mój ojciec – odpowiedział Danny.

– Doktor Howie Nero – rzucił mężczyzna. – Miło pana poznać, ale już musimy jechać.

Matthias zdjął ręce z dachu samochodu. Spozrzegł u doktora Howiego Nero sygnet z diamentem, jasnobrązowy garnitur i zielonożółtą rozpiętą koszulę. Sięgnął do kieszeni, wyciągnął z niej swój krawat i rzucił go na kolana Howiemu.

– Co to, do cholery, ma znaczyć?

Napijmy się – wrzasnął ktoś z tyłu samolotu. Lot z Miami do Nassau trwa niby tylko czterdzieści siedem minut, ale wystarczająco długo, aby – jak zaobserwował Matthias – niektórzy turyści zdążyli się nieźle upić. Z niecierpliwością czekali, żeby zameldować się w hotelach na Paradise Island albo na West Bay Street, które były bramą do świata alkoholu, papierosów i seksu z partnerkami o trudnych do zapamiętania imionach; już zmieniano tam pościel. Podczas lotów powrotnych nie dało się słyszeć podniesionych głosów.

Samolot prześlizgnął się między dwiema chmurami burzowymi i spłynął nad wodę, która nagle zmieniła barwę z ciemnozielonej na przezroczyściezieloną, przeleciał nad wąskim terenem pokrytym zaroślami i krzewami, by wreszcie wylądować na lotnisku. Otworzyły się drzwi. Napłynęło gorące i wilgotne powietrze. Rozgrzani i parujący wilgocią turyści na cztery dni i trzy noce wyszli z pokładu samolotu. Ustawili się odruchowo w kolejce obok pustego narożnika, gdzie Ślepy Blake od wielu lat grał na swoim banjo dla setek nowych przybyszów. Matthias podszedł do stanowiska bez kolejki, nad którym wisiał napis: REZYDENCI. – Dobrą miał pan podróż? – spytał urzędnik imigracyjny, przepuszczając Matthiasa.

Na parkingu dwóch może dziesięcioletnich chłopców przypatrywało się jego yamasze 535. – Chyba nie chcielibyście mieć takiego gruchota, co, chłopaki? – Wsiadł na motocykl i uruchomił silnik. – Za wolny. – Zachichotali. Matthias odjechał.

Słońce dotknęło horyzontu, kiedy Matthias skręcił w Love Beach i jechał między rzucającymi pierzaste cienie rzewniami. Słońce drgało, jakby było zrobione z galarety, i wkrótce znikło. Po chwili czerwonozłote morze pociemniało. Do tego czasu Matthias dojechał do śródmiejskiej części Bay Street. Niebo będące pastelową wersją morza też zrobiło się ciemne, okrągły srebrny księżyc wisiał nad niskimi dachami sklepów i biur.

Sklepy były zamknięte, urzędnicy wrócili do domów, na ulicy panował spokój. Gorące, parne i gęste powietrze bardziej przypominało wody oceanu niż mieszaninę gazów. Matthias zaparkował motocykl przed budynkiem Island Cameras i podszedł do drzwi. Na ścianie znajdowało się kilka mosiężnych tabliczek: *Islands Imports, Inc., The Bank of Zurich and the Bahamas, the Nassau Panamanian Bank, RP Group. RR Investments Ltd. , Ravoukian and Ravoukian,*

*Kancelaria Adwokacka*, ale tylko jeden dzwonek. Kiedy Matthias wyciągnął rękę, by go wcisnąć, usłyszał z cienia ochryply szept: – Może trawki?

Matthias nie odezwał się.

Znów dotarł do niego ten szept, bardziej natarczywy: – Kolego, nie chcesz zajarać?

– Nie – burknął Matthias.

Po chwili usłyszał oddalające się kroki.

Matthias wcisnął dzwonek. Z głośnika nad drzwiami zaskrzeczał głos: – Tak?

– Matthias. – Drzwi otworzyły się z trzaskiem.

Matthias wsunął się do środka, zamknął drzwi za sobą i wszedł na zniszczone schody. Na górze był kolejny zestaw mosiężnych plakietek. Jedne drzwi pozostały lekko uchylone. Kiedy wszedł do gabinetu przez skromnie urządzoną poczekalnię z pleśniejącymi egzemplarzami *People* i *Ebony*, poczuł zapach dymu tytoniowego, silny i europejski, taki sam, jaki czuje się po otwarciu książki Erika Amblera.

Ravoukian siedział za biurkiem. Pisał coś pośpiesznie w notatniku, niebieski dym unosił się leniwie z jego papierosa, aż docierał do sufitu, gdzie rozpraszał go wirujący wentylator. Ravoukian uniósł wzrok. Był niskim, przysadzistym mężczyzną z dużymi ciemnymi oczami powiększonymi przez grube szkła okularów. – Nie udało się? – spytał.

– Nie.

Ravoukian odchylił się do tyłu na krześle i westchnął, wyrzucając z siebie smugę dymu. – Wygląda pan na zmęczonego, panie Matthias. Niech pan usiądzie.

Matthias usiadł. Dym unosił się do sufitu, a wentylator obracał. Przez ścianę docierały słabe dźwięki gitary, typowe rytmy z Bahamów: jak reggae, ale trochę szybsze i mniej podkreślone. Ravoukian zgasił papierosa w styropianowym kubku do kawy, a potem wpatrywał się w popiół, jakby chciał wyczytać w nim przyszłość.

– Niedobrze – mruknął. – Bardzo niedobrze. Ma pan... miał pan, jak myślę, więcej niż pięćdziesiąt procent szans na wygranie rozprawy odwoławczej.

– Na jakiej podstawie pan tak sądzi?

Ravoukian machnął pulchną dłonią. – Są różne powody. Popełniono kilka błędów proceduralnych. Można udowodnić, że sfalszowano niektóre badania medyczne. I parę innych rzeczy. – Gdzieś za ścianą gitarzysta przestał grać. W pokoju zapadła cisza.

– Czy pan kiedykolwiek pracował za wynagrodzenie wypłacane panu tylko w przypadku wygrania przez pana sprawy? – spytał Matthias.



– Co pan sugeruje?

Matthias mógł to powiedzieć tylko dlatego, że wiedział, jakiej spodziewać się odpowiedzi. – Proszę wnieść odwołanie, a dostanie pan pół zatoki Zombie.

Ravoukian uśmiechnął się. Miał krzywe zęby i nigdy nie starał się tego zmienić. Nie musiał przesadnie dbać o swój wygląd zewnętrzny, jego reputacja była tym, co tak naprawdę się liczyło. – A jeżeli przegramy? Co się stanie z moją częścią?

– Powiedział pan, że mam ponadpięćdziesięcioprocentową szansę...

– I to jest prawda. Ale nie jestem hazardzistą, panie Matthias. Pobieram opłatę odpowiednią do mojego doświadczenia i włożonej pracy. Jak już chyba panu wspominałem, moje honorarium za sprawy w sądzie apelacyjnym wynosi pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Na pierwszym procesie Ravoukian już zarobił trzydzieści tysięcy. Matthias z trudem wstał. Jego ciało nagle zrobiło się ciężkie. Duże czarne oczy obserwowały go bez żadnych emocji, jakby po raz kolejny oglądały jakiś mało interesujący film.

– Ale właśnie coś mi przyszło do głowy, panie Matthias.

– W związku z czym?

– W związku z pana odwołaniem. Proszę usiąść.

Matthias poczuł się jak zwierzę doświadczalne w eksperymencie sprawdzającym jego reakcje na bodźce zewnętrzne. Jednak usiadł.

Ravoukian odsunął notatnik, robiąc wolne miejsce pośrodku biurka. Oparł się o nie z rękami złożonymi jak do modlitwy. – Panie Matthias, kiedy po raz pierwszy przyszedł pan do mnie w tej sprawie, nic o panu nie wiedziałem. W ogóle o panu nie słyszałem. Przepraszam, że wspominam ten fakt. Od trzydziestu pięciu lat pracuję tutaj jako prawnik i sądziłem, że znam wszystkich na Bahamach. Oczywiście wszystkich posiadaczy. Jednak pan jakoś umknął mojej uwadze. A szkoda, bo teraz dowiedziałem się o panu trochę dobrych rzeczy.

– Jakich na przykład?

Ravoukian znów machnął dłonią. Matthias zastanawiał się, czy to jest taki odruch nerwowy, który pojawia się u niego, gdy jest pytany o szczegóły. – Na przykład to, że szkolił się pan w komandzie fok. Zawsze podziwiałem szkolenie prowadzone w elitarnych jednostkach wojskowych. Słyszałem też co nieco o pańskiej przygodzie na Kubie. I...

– Z kim pan o tym rozmawiał?

– Z nikim szczególnym. Takie rzeczy są powszechnie znane, przynajmniej w niektórych kręgach. Dowiedziałem się również, w jaki sposób wszedł pan w posiadanie zatoki Zombie... inspirująca historia, o ile prawdziwa. To wszystko

potwierdza moje przekonanie, że mógłby pan być użytecznym człowiekiem...

– Dla kogo?

Ravoukian ukazał swoje krzywe zęby. – Czy jako członek komanda fok, panie Matthias, ćwiczył pan wybuchy podwodne?

– Pewnie.

– Tak też myślałem. Podziwiam komando fok, zielone berety i te wszystkie oddziały. Podoba mi się panująca w nich filozofia.

– Nie zgłosiłem się do marynarki dla jej filozofii – rzekł Matthias. – Potrzebne mi były pieniądze na studia.

– Tak, tak – mruknął Ravoukian, jakby Matthias dostarczył mu dodatkowych argumentów. – To takie podejście, jakiego oczekują pewni moi znajomi.

– Coś pan mi proponuje, panie Ravoukian?

Ravoukian wychylił się lekko do przodu. – Ci znajomi mogliby mieć pracę dla pana. Gdyby się zdecydowali i pan się zdecydował, gotowy jestem prowadzić pana sprawę za darmo.

– Jaką pracę?

Ravoukian odchylił się do tyłu. – Najlepiej, jak oni sami przedstawią propozycję. Może należałoby zorganizować jakieś spotkanie.

– Może...

– Naturalnie opłacą pana wydatki. Bilety lotnicze, hotele, posiłki i tak dalej.

– Dokąd bilety, panie Ravoukian?

– Myślę, że Paryż byłby dobrym miejscem na to spotkanie. Zna pan Paryż?

– Czy ci pana przyjaciele...

– Znajomi.

– ... czy jak pan chce ich nazwać, są pana rodakami?

– Ma pan na myśli, czy pochodzą z Bahamów?

– Nie, z Armenii.

– Panie Matthias, Ormianie od setek lat żyją rozrzućeni po całym świecie. Ale to nieważne. – Ton w jego głosie pozostawał beznamiętny i profesjonalny, choć palce lekko mu drżały, gdy sięgał po kolejnego papierosa.

– Czy ta praca obejmuje też jakieś podwodne wybuchy? – spytał Matthias.

Ravoukian nie odpowiedział od razu. Zaciągnął się papierosem, którego koniec się żarzył, podobnie jak oczy Ravoukiana. – Na to pytanie moi znajomi sami udzielą panu odpowiedzi.

Ostatnie słowo Ravoukiana nasunęło Matthiasowi na myśl Cesarito, który bez przerwy słuchał Top 40, by poprawić swój angielski. Przypomniał sobie, jak

łagodnym głosem śpiewał: *Odpowiedź, mój przyjacielu, przyniesie ci wiatr.*

– Muszę mieć trochę czasu na zastanowienie się nad pana propozycją, panie Ravoukian.

– Rozumiem. Ale proszę nie zastanawiać się zbyt długo. – Ravoukian wstał i podszedł do szafy z dokumentami. Miał na nogach sandały. Matthias poczuł zapach skóry i potu. Tamten znalazł odpowiednią teczkę i wrócił do biurka. Wyciągnął z niej list. – Z amerykańskiego konsulatu. Grzecznie przypominają, że apelację należy wnieść do dwunastego grudnia... to sześć miesięcy od decyzji niższego sądu. W przeciwnym razie wyrok się uprawomocni i będzie musiał pan wpłacić milion sto tysięcy dolarów. – Ravoukian położył list na biurku. Sam papier wyglądał groźnie: gruby i z nie obciętymi brzegami. Podobnie przerażał nagłówek: Ablewhite, Godfrey, Percival & Glyde.

Matthias znów wstał z krzesła. – Dam znać – powiedział.

Tym razem Ravoukian go nie zatrzymywał.

Matthias pojechał do mariny w Zatoce Wschodniej. Zaparkował motocykl obok budynku klubu płetwonurków, kluczyki wrzucił do skrzynki pocztowej i poszedł do końca nabrzeża, gdzie stała *So What*, jego motorówka o długości dziewiętnastu stóp ze zdwojonym silnikiem. Matthias wszedł na pokład, odwiązał cumę i powoli odpłynął kanałem. Z naprzeciwka płynął ogromny jacht motorowy, zdecydowanie za szybko, rozpryskiwana przez niego woda błyszczała w świetle księżyca. Jacht minął motorówkę Matthiasa z rykiem silników i muzyki. Matthias, kołysząc się na pokładzie, zobaczył kobietę i mężczyznę stojących na rufie z kieliszkami szampana. Mężczyzna miał na sobie biały garnitur, a kobieta białą spódniczkę i nic więcej. Kobieta, zobaczywszy Matthiasa, pomachała mu ręką. Jej piersi zajaśniały jak marmur. Mężczyzna przechylił głowę i opróżnił swój kieliszek.

Matthias minął Paradise Island, okrążył Silver Cay i wziął boczny kurs, aż strzałka kompasu dotarła do 278 stopni. Potem do końca wcisnął gaz. Dziób motorówki uniósł się, zawyła i ruszyła z pełną prędkością. Matthias skierował się do domu.

Morze było srebrzystoszarą płaszczyzną. Łódź ślizgała się tak gładko na powierzchni wody, że zdawała się nad nią unosić. Płynęła tak, jak pływają łodzie w snach małych chłopców. Nic się nie poruszało z wyjątkiem księżyca wznoszącego się na niebie i Matthiasa pędzącego nad taflą wody, jakby to były jedyne fragmenty materii rozrzucone przez Wielki Wybuch. Rozlegał się tylko warkot silnika, ale wkrótce ten dźwięk stał się tłem i Matthias pozostał sam ze swymi myślami.

Myślał o wszystkich, z którymi dziś mu się nie udało: o Dickym Dumaurier, Marilyn, Ravoukianie i Dannym, przede wszystkim Dannym. Dannym nie trafiającym w piłkę, Dannym walącym kijem w podłogę. Danny był dla piłki tym, czym on dla Danny'ego – nie mogli się spotkać. Przypuszczalnie Danny już mu umknął, odrzucony Wielkim Wybuchem rozvodu. A może to była tylko jego wina, nieporadność; nie nauczył się być ojcem.

Matthias nie pamiętał swojego ojca. Ojciec umarł młodo, zostawiając mu okropne imię, niewyraźną fotografię i order. Imię: Nathan Hale. Czy ojciec wybrał je, bo był żarliwym patriotą, czy może przeczuwał, że jego syna spotka podobny koniec? Matthias nie znał odpowiedzi na to pytanie. Zdjęcie: uśmiechnięty marynarz w granatowym mundurze na plaży. Leżało w szafce ze sklejką, która zaginęła podczas jednej z przeprowadzek. Order: Medal Honoru w wyłożonym welwetem pudełku. Matthias wciąż mógł sobie przypomnieć martwy chłód metalu, wspomnienie tego było jednym z jego najwcześniejszych doświadczeń, zanim jeszcze usłyszał o Okinawie i drugiej wojnie światowej. Ojczym numer dwa sprzedał ten order, żeby spłacić miesięczną ratę za samochód coup de ville.

Matthias nie mógł już przypomnieć sobie twarzy ojczyma numer dwa, ale doskonale pamiętał ten błyszczący dwutonowy czerwono-biały wóz bez przerwy pucowany. Któregoś ranka w niedzielę źle trafiona piłka baseballowa rozbiła przednią szybę. Hałas wyrwał ojczyma numer dwa z łóżka; wybiegł, wymachując paskiem. Matthiasa zmroziło, nie mógł zrobić ani kroku. Dostał wtedy, jak to się mówi, porządne lanie. Matthias równie dobrze jak samochód przypominał sobie ten pasek – był z wężowej skóry, ze srebrną sprzączką. Kiedyś, obudziwszy się w nocy, zobaczył matkę ubraną tylko w niego.

*So What* mknęła po oceanie. Matthias nie interesował się kierownicą, nie patrzył w kompas. Motorówka знаła drogę. Na północnym zachodzie, gdzie czarne niebo stykało się z mniej tylko czarnym morzem, Matthias zobaczył okrągłe cienie Berry Islands prawie równie wyraźne jak za dnia. Księżyc w pełni oświetlał niemal tak dobrze świat, jak słońce. Tak samo spokojna noc była wtedy, gdy przybili do plaży u podnóża Sierra Maestra: Cesarito, Rodriguez, Cruz-Romero. I ten chłopak Tonio.

*Cesarito. Odpowiedź, mój przyjacielu, przyniesie ci wiatr.*

Śpiewał nerwowo pod nosem, gdy wyladowywali skrzynki na plaży i czekali na ludzi brata Rodrigueza, którzy mieli zejść ze wzgórz. Matthias zarzucił kotwicę i popłynął, by im pomóc, choć nie musiał tego robić – był tylko wynajętym przewoźnikiem. Ta decyzja kosztowała go drugie porządne lanie.

Z Sierra Maestra zeszedli ludzie, ale to byli ludzie Fidela, nie brata Rodrigueza. Rozpoczęła się strzelanina. Rodriguez upadł na ziemię. I ten chłopiec, Tonio. Drobny dzieciak. Kula karabinowa trafiła go w szyję. Uderzył głową w piasek z odgłosem, który Matthias usłyszał wyraźnie; różnił się od innych odgłosów walki. Potem Matthias odwrócił się w stronę łodzi, ale droga do niej była odcięta, uciekł więc na wzgórze. Dwa dni później, brudny, obszarpany i podrapany wyszedł z buszu wprost pod lufy patrolu. *Yo soy turista* – powiedział, podnosząc ręce do góry. Żołnierze nawet się nie uśmiechnęli.

Potem nadeszły dwa lata na wyspie Pinos, gdzie każdej nocy musiał spać z nożem, zrobionym z widelca, w ręku. *Isla de Pinos*, gdzie uczynił, co mógł dla Cesarito i został za to ukarany, gdzie i tak Cesarito umarł, ale zostawił mu podarunek: zatokę Zombie, jedną z wielu rzeczy należących do syna bogatych hawańczyków. Jednak za żadne pieniądze nie można było kupić wolności dla Cesarito – był wrogiem klasowym. Matthias jako mniej groźny i wartościowy przeciwnik został wymieniony na lekarstwa. Dwa lata na wyspie Pinos. Przeżył.

Miał nawet kilka zabawnych – przynajmniej dla bywalców baru w zatoce Zombie – historyjek. Wrócił więc z tymi opowieściami i bliznami na plecach.

Teraz Matthias mógł zobaczyć kanciasty zarys na zachodzie – Bluff. Zdawało mu się, że widzi nawet żółte światło w zachodniej jego części. Hew miał problemy z zasypianiem. Czytał stare wydania *Puncha* aż do świtu. Matthias wyłączył silnik i motorówka wysoko uniosła się dziobem w stronę nieba, a potem łagodnie opadła.

Dopiero wtedy prawdziwa cisza zapadła wokół niego. Tylko jego oddech, puls i twardy odgłos butów na pokładzie. Butów biznesmena. Zdjął je. Potem garnitur, koszulę, skarpetki, spodenki. Stał na łodzi kołyszącej się na oceanie z dnem głęboko pod jego stopami.

Przeskoczył burtę i zanurzył się w wodzie. Woda była ciepła, cieplejsza niż powietrze. Płynął na plecach obok swojej łodzi dryfującej na leniwym prądzie. Potem złożył się w scyzoryk i zanurkował.

Nie głęboko. Czterdzieści stóp, może pięćdziesiąt, nie był w stanie tego określić, zresztą nie miało to żadnego znaczenia. Otworzywszy oczy, widział to samo co z zamkniętymi: ciemność. Morze szumiało i bulgotało mu w uszach. Matthias przestał poruszać nogami i wyprostował się. Zawisł w wodzie. Ocean mrucał mu swoją łagodną pieśń. *Yo soy turista* – pomyślał i omal nie wybuchnął głośnym śmiechem. Potem uświadomił sobie, gdzie jest: w pobliżu miejsca, gdzie utopiła się jakaś para.

*So What* dryfowała na północ. Prąd był silniejszy, niż początkowo

przypuszczał. Nadchodził przypyływ i zmieniał się kierunek fal. Matthias długimi pociągnięciami ramion dopędził motorówkę, złapał za pawęż i wciągnął się na pokład. Kiedy wycierał ciało koszulą, poczuł, że wydarzenia całego dnia gromadzą się za nim. Odwrócił się i zobaczył, że od wschodu nadciąga mgła. Przez chwilę wszystko było czernią albo bielą. Potem pojawiła się barwa, która błyskawicznie i bez problemów rozlała się po niebie i wodzie. Matthias już wiedział, że jest coś potężniejszego niż człowiek. Może nie Bóg, ale coś równie wszechmocnego. Choć działania tej siły nie można zauważyć w miejscach takich jak wyspa Pinos.

Matthias nie miał odpowiedzi na propozycję Ravoukiana. Tak, znał się na podwodnych wybuchach. Tak, chciał zatrzymać zatokę Zombie; trudno było sobie wyobrazić jego życie bez niej. Ale nie chciał się znaleźć na tureckiej kopii Pinos. Po raz drugi nie będzie taki głupi. Nie był też na tyle głupi, by uwierzyć, że ma duże szanse w rozprawie odwoławczej. Zatem odpowiedź brzmiała: nie. Do dwunastego grudnia musiał wymyślić coś innego.

Włączył silnik i skierował się w stronę Andros. Granatowa woda stała się ciemnozieloną. Kierując się na południe, okrążył Bluff, minął Gun Point, przepłynął między wysepkami koralowymi zwanymi Palcami Anioła i dotarł do zatoki Zombie. Klub znajdował się pod wysokimi palmami, za półkolistą plażą – mały budynek z barem, jadalnią i biblioteką, biuro, domki, magazyn na sprzęt. Jak śmiesznie to wyglądało, niczym miasteczko wybudowane na piasku. Ale było idealne.

Świtało. Był pierwszy sierpnia.

Pierwszy dzień sierpnia nie był dobrym dniem w Nowym Jorku dla kobiety w szóstym miesiącu ciąży. Nina czuła się, jakby znalazła się na planecie z przyciąganiem jak na Jowiszu i temperaturą jak w Kinszasie. Całe jej życie toczyło się w świecie majaków sennych i urojeń, do jej nosa z ciężkim oddechem docierał smród gnijącego powietrza. Każdy, kto mógł uciec z miasta, zrobił to. Suze była w Tanglewood z tym artystą od Auschwitz zrobionym z cadillaca; Jason udał się na wycieczkę ze swoją drużyną krokiet. Nina miała zaproszenie do Nantucket, ale pierwszego sierpnia rozpoczynały się zajęcia w szkole rodzenia.

Niechętnie wyszła z domu. Podjechała taksówka. Nina wsiadła i podała kierowcy adres.

– Cholerne gównu – usłyszała tylko.

Za późno Nina zauważyła, że klimatyzacja w aucie nie działa. Zamknęła oczy. Czuła, jak samochód rusza, zatrzymuje się, rusza, zatrzymuje i tak bez przerwy. Od czasu do czasu taksówkarz rzucał: „cholerne gównu”, ale Nina nie otworzyła oczu, aby zobaczyć, co go tak denerwuje. A potem, gdy tkwili w korku, Nina poczuła nagle coś po raz pierwszy: poruszenie w brzuchu. Czuła, że coś się w nim obróciło, jakby dziecko zmieniało pozycję w czasie długiej nocy.

Nina położyła delikatnie dłoń na dziwnym zaokrąglonym brzuchu, mając nadzieję na kolejne ruchy. – Wszystko w porządku, złotko? – spytała.

– Że co? – zdziwił się taksówkarz.

Dziecko więcej się nie poruszyło.

Szkoła rodzenia znajdowała się na West Side. Wszystkie kobiety przyszły z mężczyznami. Mężczyźni byli albo delikatni i otyli, albo wysocy i chudzi; kobiety miały zaróżowione, pokryte żyłkami twarze. Usiedli w kółku, na niebieskich matach gimnastycznych niczym skauci na zlocie.

– Kto się boi bólu? – spytała instruktorka. Wyglądała szczupło i na osobę energiczną w szerokich spodniach do kolan i bezrękawniku.

Uniosły się ręce. W powietrzu zmieszały się zapachy różnych dezodorantów.

– A pan nie? – spytała jednego z tych delikatnych mężczyzn, który nie podniósł dłoni.

– Jestem bardzo wytrzymały.

Instruktorka uśmiechnęła się. – To niech pan sobie wyobrazi, że musi pan wydalić z siebie dużego arbuza. Co pan na to?

Mężczyzna zaczerwienił się i wbił wzrok w matę. Instruktorka potrafiła sprowadzać zadziornych facetów do parteru. – Dziś – ciągnęła, zwracając się do grupy – zaczniemy naukę różnych technik radzenia sobie z bólem bez uciekania do potencjalnie szkodliwych leków i zabiegów medycznych. Na początek zajmiemy się świadomością. Najpierw ustalmy różnicę między bólem a dolegliwością. Poproszę osoby towarzyszące, żeby szczypały bicepsy swoich ciężarnych partnerek. Ciężarne, proszę zamknąć oczy i skoncentrować się na fizycznych odczuciach. Gotowi? Zaraz, chwilkę... – Nina spostrzegła spojrzenie instruktorki na sobie. – Jest pani bez osoby towarzyszącej?

– Ciągle szukam.

Instruktorka nie uśmiechnęła się, ani nikt z pozostałych osób. – To ja się panią zajmę – rzekła instruktorka, siadając obok Niny. – Gotowi? A więc zaczynamy.

Nina poczuła jej kościste palce na prawej ręce. Szczypały, ale po chwili trudno to było nazwać „szczypaniem” – wbijały się w ciało, powodując ból nie do zniesienia. Nina chciała przyłożyć instruktorce w ten jej mały nosek. Myślała o tym, dopóki kościste palce jej nie puściły.

– Koniec – zaświergotała instruktorka. – Teraz powiedzcie, czego dowiedzieliście się o bólu.

– Że wywołuje cierpienie? – zasugerowała niepewnie jakaś wyglądająca na wyczerpaną kobieta.

– Bardzo dobrze. A czego na temat dolegliwości?

– Ze nie wywołuje cierpienia?

– A co ona powoduje?

Wciąża, pomyślała Nina.

– Dokucza? – odezwała się inna kobieta.

– Wspaniale. Dziś nauczymy się zamieniać ból w dokuczliwość.

Zamieniali więc ból w dokuczliwość. Głęboko wciągali powietrze do płuc, sapali, wystukiwali rytm i stosowali kilka innych technik, o których Nina natychmiast zapomniała.

– A to wystukiwanie rytmu? – zapytał ktoś.

– Szczególnie polecane w drugiej fazie – rzekła instruktorka. – Proszę pomyśleć o ulubionej melodii i wystukiwać jej rytm na prześcieradle. Należy maksymalnie skupić się na tym rytmie, na tej ulubionej piosence, włożyć całą siebie w tę czynność. Jest ważne, żeby mieć wybraną melodię, pełen bak benzyny i odpowiednio spakowaną torbę.

Pary zaczęły zastanawiać się nad piosenkami. Postanowili wrócić za trzy



tygodnie z wybranymi melodiami i przygotowanymi torbami. Nina wyszła z ciemniejącym siniakiem na ramieniu i postanowieniem, że nigdy tu nie wróci. Na ulicy wysoki, dobrze ubrany starszy mężczyzna z błyszczącymi nożycami ogrodowymi rzucił przelotne spojrzenie na jej brzuch.

Skauci wysypali się na chodnik. – Macie już wybrane imię? – zapytał ktoś.

– Anton – padła odpowiedź. – Ophelia, jeśli dziewczynka.

Nina wróciła do domu i wzięła zimny prysznic. Potem położyła się na łóżku i zaczęła myśleć o imionach. Żadne jej się nie podobało. Niech na razie będzie Henrik, zdecydowała. – Kopnij mnie jeszcze raz, ty mój mały laureacie – powiedziała, spoglądając na swój brzuch i po raz drugi mówiąc do płodu, który nie mógł jej słyszeć. Była sobota. Nina miała trochę do roboty w biurze, ale nie ruszyła się z łóżka. O niczym nie myślała, tylko cierpliwie czekała na kolejne kopnięcie Henrika. Po chwili poczuła je. – Dobry chłopiec.

A miesiąc później, w niedzielę, kiedy *Życie bez mężczyzn i dzieci – pokochaj to* trafiło na listę bestsellerów *New York Timesa*, Nina miała telefon z wydziału zdrowia.

– Pani Kitchener?

– Tak.

– Nie uczęszcza już pani na zajęcia w szkole rodzenia na West Side. Czy ma pani jakieś problemy z ciążą?

– Nie.

Nastąpiła krótka przerwa. – Mam nadzieję, że pani wie, jak ważne jest właściwe odżywianie i zdrowy styl życia w trakcie ciąży.

– Naturalnie.

– Palenie i picie może spowodować poważne uszkodzenia.

– Wiem o tym – odparła Nina, która właśnie otworzyła butelkę szampana przesłaną jej przez Womynpress.

– O co właściwie chodzi? Przecież nie ma obowiązku chodzenia na zajęcia w szkole rodzenia.

– Nie. To tylko taka zwykła procedura. Cieszę się, że wszystko w porządku. – Kobieta rozłączyła rozmowę.

Nina wypijała kieliszek szampana, połowę następnego, a potem, wciąż trochę zdenerwowana, zadzwoniła do centrum na West Side i dostała numer domowy instruktorki.

– Czy zawsze pani informuje, że ktoś zrezygnował z zajęć w waszej szkole rodzenia?

– O czym pani mówi?

Nina opowiedziała jej o telefonie.

– Nie mamy żadnych kontaktów z publicznym wydziałem zdrowia – odpowiedziała jej instruktorka. – Żadnych. Jak się ta kobieta nazywała?

Ale Nina nie знаła tego nazwiska. Czy ta kobieta powiedziała, że jest pielęgniarką? Nina nie mogła sobie przypomnieć. Nie mówiła jak pielęgniarka, chyba była za stara, możliwe, że pochodziła z wyższej klasy. Nina wyobraziła sobie babcię, z tych, co chodzą na „herbatki” do Carlyle i mają domy na południu Francji. Przeprosiła instruktorkę i odłożyła słuchawkę. Co się z nią dzieje? Zaczęła jak jakaś idiotka rozmawiać z płodem, a zapomniała, jak się rozmawia przez telefon.

Dopiła szampana z kieliszka i naląła sobie następny. Henrik kopnął, tym razem mocniej. Odstawiła kieliszek.

Pewnego dnia biały sufit się poruszył.

– Czy myśli pan, że wszystko jest w porządku? – zapytała Matka gdzieś z ukrycia.

– Proszę się nie martwić – powiedział lekarz, pojawiając się w zasięgu wzroku. – Jest w normie. Świeże powietrze dobrze mu robi. – Lekarz spojrział na niego z przesadnie szerokim uśmiechem. – Cześć, Happy – odezwał się. – Doktor Robert. Pamiętasz? Ładnie dzisiaj. Może wyjdziemy?

Cały czas sufit się poruszał. Nie widział już gzymsu, pajęczyny, pająka. Oczywiście to nie sufit się poruszał, ale on. Słyszał obracające się pod nim kółka, gdy przejeżdżał przez próg, a potem pod kremowym sufitem, który ciągnął się i ciągnął – był na korytarzu parteru w starej części budynku... a więc cały czas trzymali go w pokoju dzieciennym. W końcu minął kolejny próg i znalazł się na zewnątrz. Błękitne niebo było piękne, tak jak powiedział doktor Robert, piękniejsze od wszystkiego, co do tej pory widział. Błękit sam w sobie jest piękny. Ten błękit silnie działał mu na zmysły. Wchłaniał go, czuł nawet jego smak. Ten smak wywoływał w nim pragnienie. Zamarzył o czymś do picia: o niebieskim napoju z niebieskimi kostkami lodu w wysokiej szklance. Kiedy pił po raz ostatni? Nie miał pojęcia.

Powoli przefrunęła wrona. Happy widział jej żółte łapki podciągnięte pod ogon, słyszał też trzepotanie ciężkich skrzydeł. Znacznie wyżej piętrzące się białe chmury przepływały niczym nic nie ważące góry lodowe. Cała ziemia pulsowała życiem. Jej elektromagnetyczna siła przesywała każdy fragment jego skóry.

– Sądzi pan, że on coś rozumie? – zapytała Matka szeptem.

Doktor Robert westchnął, a potem zaczął mówić normalnym głosem: – Wyniki badań wciąż nie są rozstrzygające. Może występują pewne zaniki pamięci, ale jeśli jest to syndrom zamknięcia, to... tak, możliwe, że rozumie. Może nawet rozumie wszystko. Ale są pewne wskazania, że istnieją uszkodzenia w dolnej części pnia mózgu. Ciągłe to sprawdzamy. Jeżeli okaże się, że...

– Wtedy co? – wtrąciła Matka, jeszcze ciszej niż poprzednio. W ten sposób chciała chyba zmusić lekarza, by też mówił szeptem.

Ale on nie zrozumiał aluzji. – Trudno powiedzieć – odparł.

Matka znów się odezwała, ale tak cicho, że Happy prawie jej nie słyszał. Zdawało mu się, że zapytała o rokowania.

– Pod jakim względem?

Matka udzieliła odpowiedzi, której nie dosłyszał.

– To nie ma żadnego wpływu – rzekł doktor Robert. – Obawiam się, że szanse na to są bliskie zera, o ile nie nastąpi jakiś cudowny przełom w medycynie.

Znów zaczął się poruszać. Nad głową majaczyły mu drzewa. Klon, buk, wiaz, topola; wszystkie w jesiennych kolorach. Tworzyły ostre kontury na błękitnym niebie. Pomyślał, że nowoczesna sztuka nie jest wcale nowoczesna – istnieje od zawsze – i wpadł w zadumę, aż do głowy przyszła mu kolejna myśl: jesień. Jak może być teraz jesień? I którego roku?

To były pytania, które chciałby zadać. Ale nie miał kogo zapytać, nawet gdyby był w stanie. Zdawało się, że nikogo przy nim nie ma. Ani Matki, ani doktora Roberta. Był sam, z niebem, drzewami i metalicznym odgłosem, który rozlegał się coraz bliżej.

A później tuż przy twarzy zobaczył różę. Białą różę, najbielszą z białych, bielszą od wszystkiego, co do tej pory widział. Bielszą od chmur, bielszą od śniegu, bielszą od kredy. Płatki wyrastały w gęstych kręgach, grube, wilgotne, zmysłowe. Czerwony robał, nie większy od główki szpilki, uciekł w głąb kwiatka. I ten zapach: brakowało mu słów, by go opisać. Był to zapach tętniącej życiem planety.

Potem zobaczył rękę trzymającą tę różę: dużą, żyłastą, ze starą, pokrytą plamami wątrobowymi skórą. Chciał zastanowić się nad tą ręką, ale nie zdążył, bo głos powiedział: – Podoba ci się ta róża?

Fritz. Ogrodnik. Zanik pamięci: prawie zapomniał o Fritzu. Ukazała się twarz Fritza: koścista, z oczami niebieskimi niemal jak niebo i włosami białymi jak róża. Fritz był stary. Zawsze był stary. Teraz musiał być bardzo stary – miał osiemdziesiąt pięć, dziewięćdziesiąt lat, może więcej. Ale Fritz chodził, był krzepki, a on nie.

– Sam ją wyhodowałem – rzekł Fritz. – Z niezwykle białej Atheny i hybrydy też z mojej hodowli. – Twarz Fritza przybliżyła się i Happy zobaczył zniszczoną słońcem skórę, pokrytą żółtymi żyłkami, pomarszczoną. – Odpowiednie krzyżowanie to połowa sukcesu – ciągnął. – Tak samo ważna jest właściwa pielęgnacja. Krzyżowanie i pielęgnacja. Rozumiesz mnie?

Czy czekał na odpowiedź? Nie pojawiła się. Fritz wziął nożyce ogrodowe, odciął łodygę i włożył kwiat w klapę starej tweedowej marynarki. – Wiem, że rozumiesz – stwierdził. – Jesteś bystrym chłopcem.

Chłopcem?

Fritz odszedł, a z nim znikł zapach róży. Happy spojrział na niebo. Niemal się

zatracił w widoku. A potem zobaczył walizkę przesuwaną się po niebie. Zrobiło mu się zimno i chciał wrócić do budynku. Czekał na kogoś, kto by go zabrał.

*Kiedy to przychodzi*

*Gdy to czujesz*

*Wiesz, dlaczego jest źle*

*To jest w tobie, oh yeah, yeah, yeah*

*Powiedz sobie, że przyjdzie moc, przyjdzie, oh yeah*

*Moc przyjdzie do ciebie*

Krio, którego dredy kołysały się w świetle świec, śpiewał swym łagodnym barytonem, brzdąkając na wypalonej przez słońce gitarze. Siedział na barowym stołku, bez koszuli, bosy, ale ciągle w fartuchu. Maxie stał za barem, w rękę trzymał precla i próbował skłonić Chicka do mówienia. – Powiedz „skurwysyn”. – Chick patrzył wprost przed siebie i nie otwierał dzioba. Matthias siedział przy stoliku w rogu, przed stertą rachunków i wpisywał liczby do księgi rachunkowej. Wszyscy goście poszli już spać. Główny budynek był zapełniony, tak samo domki, z wyjątkiem szóstki, gdzie znów były kłopoty z toaletą, i ósemki, gdzie zagnieździły się karaluchy.

– Moc przyjdzie? – spytał Moxie.

Krio przestał grać. – Zawsze przychodzi – odparł. Przypalił grubego skręta i puścił go w obieg, przechodził z jednej brązowej ręki do drugiej. Matthias odmówił, nie chciał, by cyferki tańczyły mu przed oczami.

– *Moc* – śpiewał Moxie, fałszując – *oh, moc*.

– *Moc przyjdzie do ciebie* – dokończył Krio, wyciągając ostatnie słowo niczym oddalająca się syrena. Potem zapadła cisza, tylko rozlegał się niespokojny szum morza.

– Chick, powiedz „skurwysyn” – zachęcał Moxie. Chick nie zareagował.

Matthias wziął poplamioną słoną wodą rachunek. – Co dziś robili Loringowie?

– Loringowie? – powtórzył Moxie.

– Ta para z dwójki.

– Od tych, co ta facetka wczoraj wieczorem rzygała w basenie? – spytał Krio.

– Nie. Ci, co odesłali wino.

– A, już wiem – załapał Moxie. – Zabrałem ich do rafy Joultera. – Uśmiech pojawił się w kącikach jego ust. Stłumił go.

– Co w tym śmiesznego? – spytał Matthias.

Uśmiech rozlał się po twarzy Moxiego. – Ja najpierw ostrzegałem. No wiesz... ja pokazywałem na rafę i tego no, krzykiem, że parzą. Machałem: nie, nie!

– I?

– Ten facet zanurkował, urwał kawałek i wsadził do gaci.

Krio parsknął śmiechem, wypuszczając dym z ust. Światło zamigotało.

– Skurwysyn – wyrzucił z siebie Chick, machając zielonymi skrzydłami.

– Moc – rzekł Moxie, wkładając precla Chickowi do dzioba.

– Za ludzi – powiedział Krio, pochylając się nad barem, żeby zdmuchnąć świecę.

Matthias podsumował wszystkie rachunki za nurkowanie. Barka *Two Drink Minimum* zabrała dwunastu nurków na koralowe wysepki za Bluff.  $12 \times \$40 = \$480$ . Moxie z Loringami w *Who Cares* popłynął do raf Joultera, gdzie zjedli lunch.  $2 \times \$75 = \$150 + \$25 = \$175$ . Dwóch nurków z klubu w Baltimore, mieszkających w czwórce, wzięło cztery aparaty i wynajęło *So What* do ćwiczeń.  $2 \times \$50 = \$100 + \$150$  (za łódź) =  $\$250$ . Matthias zapisał im  $\$175$ . Lubił mieć profesjonalistów w klubie.

– Dobre rachunki wyszły? – spytał Krio.

Matthias uniósł wzrok. Obserwowali go, twarz Krio koścista i ascetyczna, Moxiego pełniejsza, jak u chłopca z chóru. Moxie miał trzydziestkę, ale wyglądał na osiemnastolatka. Matthias wiedział, że Krio nie pyta o sam fakt rachunków, pyta o przyszłość.

– Dosyć – odparł Matthias. – Będzie dobrze, jak ta pogoda się utrzyma.

Wszyscy wyjrżeli na zewnątrz, poprzez liście palm otaczających bar, patio, basen i plażę, i zobaczyli pianę wody na rafie i rozgwieżdżone niebo. – Pogoda się nie zmienia – stwierdził Krio. Odłożył gitarę na półkę za barem i zdjął fartuch.

– Co na jutro wieczorem? – spytał Matthias.

– Naleśniki z mięczakami, granik, jak Nottage dostarczy, a na deser pieczone gwajawy.

– Nieźle.

Krio, który znał się na tym co dobre, przytaknął. Zaproponował Chickowi precelka, ale ten nie był zainteresowany. Po chwili wyszedł. Usłyszeli, jak uruchamia swój stary samochód. Z rykiem silnika i dzwoniącą karoserią odjechał polną drogą do swojego małego domku na obrzeżu Couchtown.

Potem z mroku wyłoniła się pani Loring. Była boso i poruszała się bezszelestnie. Miała na sobie przejrzystą koszulę, która sięgała jej do bioder, o ile kobieta nie wykonywała gwałtownych ruchów. Chick przesunął się na swojej

żerdzi i spojrział żółtymi oczami na panią Loring.

Między brwiami pani Loring znajdowały się dwie bruzdy, których Matthias wcześniej nie zauważył. – Czy może ma pan mleczko cynkowo-żelazowe?

– Tak, w biurze – odparł Matthias, wstając z krzesła. Wyszedł z baru, przemierzył patio i otworzył drzwi do biura. Pani Loring podążyła za nim, słyszał tuż za sobą stapanie jej bosych stóp.

Matthias włączył światło i podszedł do półki, gdzie znajdowały się środki pierwszej pomocy.

– To nie dla mnie – powiedziała pani Loring. – To dla El Kabonga. Poparzył się w pewnym szczególnym miejscu.

Zwykły aloes byłby znacznie lepszy, rósł zaraz za drzwiami i wystarczyło tylko wyjść i zerwać kilka liści, ale Matthias nie miał ochoty odgrywać roli miejscowego chłopaka.

– Jest moim trzecim – powiedziała pani Loring, kiedy Matthias zacisnął dłoń na słoiczku z mleczkiem. Od razu znalazła się blisko niego; poczuł zapach wina w jej oddechu, a kiedy się obrócił, jej pierś musnęła mu ramię.

– Proszę – powiedział, podając jej słoiczek.

Wzięła go. Próbowwała jak najdłużej dotykać ręki Matthiasa. Patrzyła na niego, jej oczy wyrażały gorącą obietnicę niczym w filmach, gdy dziewczyna spotyka się z chłopakiem.

– Lepiej trzymać ręce z daleka od koralowców – ostrzegł Matthias – dopóki nie upewni się pani, że nie parzą.

– Czasami lubię się sparzyć – rzekła pani Loring. Dotknęła mu piersi w sposób, który nie pozostawiał żadnych wątpliwości, z jakiego rodzaju filmu było jej spojrzenie. – I proszę mi mówić Rhoda.

Matthias się cofnął. – Dobranoc, Rhoda – rzucił. – I mam nadzieję, że do rana poprawi się pani mężowi.

Namiętność znikła z jej oczu. – To miłe – mruknęła i obróciła się gwałtownie.

Uniósł się brzeg jej koszuli i ukazały się pośladki, ale w sposób, który wskazywał raczej na bezbronność niż atrakcyjność seksualną. Matthias poczuł się źle. Pani Loring znikła w mroku.

Oczywiście istnieje przestrzeń między kobietami a mężczyznami, którą Matthias chciał wypełniać. Jednak sam penis nie wystarczał; Matthias nauczył się tego w swoim małżeństwie i podczas pierwszych lat spędzonych w klubie, z kontaktów z takimi kobietami jak Rhoda. Wrócił do baru.

– Drinka? – zaproponował Moxie.



– Jasne.

Moxie napełnił do połowy szklanekę Mount Gay, wrzucił do niej kostki lodu i kawałki cytryny. Matthias przemierzył salę i wziął drinka; nigdy nie lubił być obsługiwany przez swoich pracowników, zwłaszcza przez Moxiego, który był nurkiem i stawał za barem tylko wtedy, gdy brakowało personelu.

Usiadł na stołku. – Napij się czegoś, Mox.

Moxie otworzył butelkę Pauli Girl, uniósł ją do ust i opróżnił w dwóch łykach. Matthias zacisnął rękę na szklance i zaczął wpatrywać się w namalowane na niej przewrócone zielone łódki pływające po złocistym morzu. Czując spojrzenie Moxiego na sobie, podniósł szklanekę i przełknął trochę rumu, potem jeszcze trochę. Moxie dolał mu. Matthias znów wypił. – Mox, weź sobie następne piwo – powiedział. Czy był teraz sens ograniczać koszty? – Nie musisz pytać.

Matthias czekał, żeby Moxie wybuchnął śmiechem, tym melodyjnym rechotem, który Matthiasowi nigdy się nie znudził.

Jednak Moxie się nie roześmiał. Gapił się na cyscatą kobietę na nalepce butelki. – Danny przyjeżdża? – spytał.

– Nie.

– Rafer ciągle o niego pyta.

– Co u niego?

Moxie spojrział w dół, na swoje rozmyte odbicie na wypolerowanym blacie. – W porządku – odparł. Po chwili dodał: – Chyba.

Chłopak Moxiego mieszkał z matką w Nassau. Nic nie wskazywało na to, że ona wróci do męża.

Matthias wypił następną szklanekę Mount Gay, a Moxie kolejną butelkę Pauli Girl. – To, co mówisz o rachunkach...

– Tak?

– To prawda?

– Pewnie.

Moxie przytaknął. Skierował spojrzenie w stronę morza. – A co z tym, no... wypadkiem?

– Nic nowego. – To była prawda. Jedynie Moxie nie wiedział, że mają mniej niż osiem tygodni na złożenie odwołania. Matthias nie powiedział mu o tym nie dlatego, że nie chciał, ale dlatego, że bał się wypowiadać to głośno. Miał nadzieję, że Moxie zacznie rozmawiać o czymś innym.

Ale Moxie, jak już zaczął, nie mógł się powstrzymać. – Było, jak mówię – powiedział, jak wiele razy przedtem.

– Wiem.

– Przychodzą, pokazują kartę. Brock mówi: w porządku. Napełniam aparaty. Jak zwykle. Drzwi otwarte.

– Wiem.

– No to jak się to stało?

Było to pytanie, na które Matthias nie miał odpowiedzi i które utrudniało Ravoukianowi wygranie procesu.

– Pocałuj mnie – odezwał się Chick.

Moxie posprzątał w pomieszczeniu i poszedł spać. Matthias zaniósł księgi rachunkowe do biura i wyszedł na ścieżkę prowadzącą do Bluff. Zdziczałe psy, które buszowały nocami po okolicy, usłyszały go i zaczęły wściekle ujadać, ich niskie cienie przesuwają się między krzewami.

Na Bluff stały dwa domy. Większy, jeszcze oświetlony, na samym szczycie, był Hewa; mniejszy, w połowie zbocza – Matthiasa. Matthias wspiął się po stopniach na półkę skalną, rozsunął drzwi do domu i wszedł do środka. Nie włączając światła, nalał sobie drinka i usiadł w małym salonie z oknem wychodzącym na południe. Przez nie widział jedynie niebo i morze – dwie olbrzymie płachty materiału zszyte niewidzialnymi nićmi na horyzoncie. Tu kończył się ocean i omywał od południa wyspę. Po drugiej stronie podwodnego kanionu podwójna wysepka, Dwie Głowy, w kształcie zżartej przez erozję litery H, była jedynym widocznym ładem.

Matthias dokończył drinka, poszedł do sypialni i położył się do łóżka. Czuł piasek na prześcieradle, ale nie strzepywał go. Był do tego przyzwyczajony. Zamknął oczy. Jako pierwszy pojawił się obraz białych pośladków pani Loring, ale tym razem nie były już żalosalne, ale podniecające. Otworzył oczy i obserwował, jak sufit zmienia kolor z czarnego na ciemnoszary.

Nie musiał włączać wentylatora. Morskie wiatry każdej nocy wietrzyły Bluff. Słyszał podmuchy między żaluzjami, fale załamujące się na koralowym klifie poniżej. To były odgłosy, które na Matthiasa sprowadzały sen, ale tym razem nie nadchodził. Wycie wiatru i szum fal tylko się wzmogły, aż nie było w tym hałasie nic usypiającego. Matthias wstał z łóżka.

Usiadł przy biurku, włączył światło i z górnej szuflady wyjął teczkę, z której wyciągnął odpis stenogramu z rozprawy. Otworzył go na zeznaniu Moxiego.

*Prokurator: Proszę opisać wydarzenia z drugiego września.*

*Świadek: Jak przychodzą ci dwaj mężczyźni?*

*P: Tak.*

*S: Zapytali o aparaty. Ja na to, że muszę widzieć ich karty. Pan Matthias mówi, że nie ma karty, nie ma aparatów. Oni mieli jakąś kartę, ale nie PADI, nie NAUI. Brock mówi wtedy...*

*P: Brock?*

*S: Brock McGillivray. Trener nurków. Mówi, że to francuska karta i mam napęlnić aparaty powietrzem. Napęlniłem je wieczorem. Rano je zabrali.*

*P: Czy to jeden z tych aparatów?*

*S: Jakich ?*

*P: Jeden z tych, które pan wtedy napęlnił? Nie można zapisać kiwnięcia. Proszę odpowiedzieć głośno. Czy to jeden z tych aparatów?*

*Ś: No tak.*

*P: Proszę zanotować, że aparat tlenowy z logo klubu nad zatoką Zombie... wizerunkiem pletwonurka schodzącym pod wodę... i numerem 27 wchodzi jako dowód rzeczowy D do ewidencji. A teraz, panie Wickham, czy może pan sobie przypomnieć numer tego drugiego aparatu?*

*Ś: 28.*

*P: A gdzie jest aparat numer 28?*

*S: Nie wiem.*

*P: Nie wie pan? Czy nie jest tak, że aparat numer 28, wypełniony – podobnie jak ten z numerem 27 – trafił na dno oceanu razem z mężczyzną, który pokazywał panu tę francuską kartę? Nie możemy zapisać wzruszenia ramion, panie Wickham. Czy ten aparat poszedł na dno?*

*Pan Ravoukian: Sprzeciw. Świadek jest zmuszany do snucia przypuszczeń.*

*Sędzia: Sprzeciw odrzucony.*

Sędzia odrzucił wiele sprzeciwów Ravoukiana, pozwalając mu jedynie na negocjowanie mniej istotnych szczegółów. Ravoukian nie był w stanie podważyć głównego zarzutu, mówiącego, że aparat tlenowy oznaczony numerem 27, należący do klubu zatoki Zombie i ostatnio tam napęlniany, a następnie wypożyczony panu Hiramowi Standishowi juniorowi z Nowego Jorku za cenę dwudziestu pięciu dolarów, zgodnie z wynikami badań laboratoryjnych zawierał siedem procent tlenku węgla, który ze względu na wzrost ciśnienia parcjalnego wraz ze wzrostem głębokości zanurzenia wywołał stan śpiączki u pana Standisha, z której on nigdy się nie wybudzi.

Jak to się stało? Ravoukian bez przerwy zadawał to pytanie. Sprawdzone

kompresor, działał bez zarzutu, choć, jak wskazywał oskarżyciel, nie można było stwierdzić, czy urządzenie nie było naprawiane po wypadku. Moxie zaklinał się, że zgodnie z procedurą drzwi i okna w pomieszczeniu, gdzie znajdował się kompresor, były otwarte, umożliwiając w ten sposób swobodną cyrkulację powietrza. Ale nikt inny nie mógł tego potwierdzić. Było też możliwe, że na zewnątrz stał samochód z włączonym silnikiem, kiedy był napełniany aparat tlenowy i dostały się do niego spaliny. Jednak to nie miało znaczenia, jak utrzymywał oskarżyciel – on nie musiał wykazać, jaki błąd popełniono, ale tylko stwierdzić taki fakt. Co sędzia przyjął.

I jeden milion sto tysięcy dolarów.

Matthias zamknął teczkę i włożył ją do szuflady. Przez chwilę siedział, patrząc się bezmyślnie w przestrzeń. Potem wyłączył światła i wpatrywał się w ciemność.

Po pewnym czasie wstał i odszukał butelkę Mount Gay. Wyszedł z nią na półkę skalną. Od wschodu nadciągał front atmosferyczny. Wzmógł się wiatr. Grube chmury przesłoniły gwiazdy. Wkrótce jedynymi światłami, które pozostały, były te z domu Hewa na szczycie Bluff oraz migoczące światło na wysepce Dwie Głowy. Dwie Głowy należały do Hirama Standisha, o czym aż do procesu Matthias nie wiedział, ale Ravoukian odkrył, że od wielu lat mieszkał tam tylko Gene Albury z żoną. Pilnowali posiadłości, a Standish zawitał tam po raz pierwszy już po przybyciu Matthiasa nad zatokę Zombie.

Wiatr wciąż wiał. Zgasły światła w domu Hewa. Chmury przesłoniły Dwie Głowy. Matthias wyrzucił pustą butelkę w ciemność. Zatoczyła łuk i upadła gdzieś bez żadnego hałasu.

Rozległy się jakieś szmery, jakaś skulona postać szła po ścieżce w górę.

– Nottage?

Cień znieruchomiał. – Nie strasz mnie tak – odezwał się Nottage gardłowym, zniszczonym głosem. Po dłuższej chwili zapytał: – Masz coś do wypicia?

– Wszystko poszło. Może powinieneś się przespać. Krio chce na jutro granika.

– Nie chce mi się spać. Mam jeszcze wypitkę. – Zabułgotało. Nottage podszedł bliżej, na tyle blisko, że Matthias mógł zobaczyć posiwiąłą afrykańską fryzurę wychylającą się nad poręczą, czarna twarz pozostała niewidoczna. – Morze płonie, szefie – powiedział Nottage chrapliwym głosem. – Morze płonie.

– Wszystko w porządku, Nottage, możesz się tutaj przespać.

– Nie – odparł Nottage.

Ruszył ścieżką chwiejnym krokiem i wkrótce znikł Matthiasowi z oczu.

Wciąż było ciemno, kiedy Matthias schodził na plażę. Psy już poszły spać albo

też nie słyszały go z powodu silnego wiatru. Szopa z kompresorem stała między palmami, przy gruntowej dróżce prowadzącej do pomostu. Wszedł do środka i włączył światło. Nie zapaliło się. Przypomniawszy sobie, że w domu Hewa zgasły wszystkie lampy. Znow wysiadł prąd.

Ukląkł przed kompresorem i dotknął wlotu filtra. Był czysty, jeśli to miało jakiegokolwiek znaczenie. Był to nowy kompresor... stary, dowód rzeczowy A, nie został mu jeszcze zwrócony, choć sprawę już zamknięto.

Matthias wyszedł na pomost. Deski skrzybiały pod jego ciężarem. Na końcu pomostu poruszył się jakiś cień. Duży cień.

– Dzieńdoberek, Matt – rzucił Brock.

– Jest jeszcze noc – zauważył Matthias, siadając obok niego.

Brock miał z sobą sześciopak. Pili potem piwo i obserwowali nadciągający świt. Najpierw rozjaśnił chmury, potem morze, a w końcu długie wypalone na słońcu włosy Brocka i złoty kolczyk w jego uchu.

– Popłyniemy do uskoku? – zaproponował Matthias.

– W które miejsce?

– No wiesz.

– Zaczyna ci odbijać – stwierdził Brock, ale poszedł za nim do pochylni, gdzie stała zacumowana *So What*.

Odwinął liny i lekko, jak na tak potężnego mężczyznę, wskoczył na pokład, podczas gdy Matthias uruchamiał silnik.

Wiatr stał się jeszcze silniejszy, powierzchnię morza pokrywały małe ostre fale, które sprawiały, że nie można było zobaczyć dna. Jednak Matthias nie musiał go widzieć. Odpłynął kilkaset jardów na północ i wyłączył silnik tuż za Palcami Anioła. Brock zarzucił kotwicę i sprawdził jej położenie. Potem mężczyźni włożyli maski i uzbroili się w płetwy i fajki. Wskoczyli do wody.

Matthias czuł, jak fale unoszą i wciągają jego ciało; był mikroblem na piersi giganta. Rozejrzał się za kotwicą, zobaczył ją w lesie pomarańczowych koralowców, na głębokości czterdziestu stóp. W tym samym miejscu kotwiczyła *Who Cares*, kiedy Moxie zszedł pod wodę, by sprawdzić, dlaczego to tak długo trwa, i znalazł zawieszony w wodzie ciało Hirma Standisha juniora. Francuz zniknął. Matthias wziął kilka głębokich oddechów, złożył się w scyzoryk i zanurzył się w głębinach. Zostawił za sobą niespokojną powierzchnię wody.

Matthias wykonał długie pociągnięcia nogami, ręce trzymał przy ciele. Sekret nurkowania polega na tym, by zużywać jak najmniej tlenu. To oznacza nurkowanie po linii prostej i korzystanie głównie z płetw. Matthias przemknął obok

wybrzuszenia na skale koralowej i znalazł się na krawędzi uskoku. Spojrzał w błękitną głębie, błękitną, jak tylko sięgał wzrokiem. Zerknął na głębokościomierz – czterdzieści pięć stóp. Czuł obecność Brocka za sobą, gdy poruszał się w dół wzdłuż ściany.

Ze skały wyrastały żółte i różowe koralowce, a na głębokości siedemdziesięciu stóp pojawiła się firana czarnych czułek. Ryby wyczuły ruchy wody wywołane przez nurków i ukryły się w swoich norach – małe rybki z purpurowymi główkami i duże graniki z tłustymi wargami i głupimi upartymi oczami. Na głębokości osiemdziesięciu pięciu stóp zielona murena wysunęła głowę z kryjówki, by mu się przyjrzeć, a po chwili znów się ukryła.

Teraz na głębokości stu stóp zobaczył dużą półkę skalną obrośniętą olbrzymimi koralowcami. Wiele razy oglądał ją po wypadku, kiedy zakładał aparat i nurkował do głębokości trzystu stóp, na tyle, na ile było to możliwe. Szukał śladów, których nigdy nie znalazł, odpowiedzi na pytania, na które nie było odpowiedzi podczas procesu. Kim był ten drugi mężczyzna? Gdzie jest jego karta nurka? Jak to się stało, że aparat tlenowy ZB-27 został napełniony zatrutym powietrzem?

Dwadzieścia stóp niżej była mniejsza półka, wielkości królewskiego łoża. Duży brązowy rekin zastygł prawie nieruchomo nad nią, wygięty, jakby sam Henry Moore go wyrzeźbił. Matthias zawisł na głębokości stu stóp i obserwował rekina. Poczul uderzenie na ramieniu.

Brock pokazywał na powierzchnię wody. Matthias skinął głową. Brock był świetnym nurkiem w nurkowaniu bez aparatu, szczególnie jak na mężczyznę jego postury, ale nie był w stanie tak długo wytrzymać pod wodą jak Matthias. Brock odbił się w górę, pierwsze ruchy jego płetw wzburzyły wodę wokół głowy Matthiasa. Matthias, uniósłszy wzrok, zobaczył krąg światła na powierzchni i Brocka podążającego w tym kierunku. Z pasa mężczyzny zwisał duży, domowej roboty harpun. Brock był doświadczonym nurkiem i najlepszym instruktorem, jakiego kiedykolwiek Matthias zatrudniał, ale jak większość nurków, którzy się szkolili na Wielkiej Rafie Koralowej, zawsze schodził pod wodę uzbrojony.

Matthias poczul drapanie w gardle. Stłumił jednak kaszel. Był to niebezpieczny moment – chwila, w której narastające stężenie dwutlenku węgla w płucach zmusza do zaczerpnięcia powietrza. Ten kaszel to jedyny sygnał ostrzegawczy, następnie jest już tylko utrata świadomości... Matthias spojrział jeszcze raz w niebiesko-czarną otchłań, ale nie zobaczył nic niezwykłego.

Poruszył płetwami i rozpoczął wędrówkę w górę. Minął dużego granika. Każdy granik ma swoją kryjówkę. Ten przypuszczalnie żył w tym samym miejscu od

wielu lat. Matthias spojrział w jego apatyczne oczy, zastanawiał się, co one widziały tego wrześnieowego dnia. Pragnął, żeby naukowcy mogli rozciąć mały mózg tej ryby i wydobyć z niego zapisane tam informacje.

Wynurzył się na powierzchnię, wyrzucił zużyte powietrze z płuc i zrobił głęboki oddech. Wszędzie wokół siebie widział ogniki. Za długo był pod wodą. Leżał na jej powierzchni, wolno i głęboko oddychał przez fajkę. Oszołomienie przeszło.

Matthias wdrapał się do łodzi. Stojący za kierownicą Brock spojrział na zegarek. – Trzy pięćdziesiąt dwie – rzekł. – Nieźle.

– Taa.

Brock zmierzył go wzrokiem. – Pewnego razu nie wypłyniesz.

Matthias ściągnął maskę, ale się nie odezwał. Morze, a w szczególności nurkowanie bez aparatu tlenowego było dla niego jak narkotyk. Nie miał ochoty dyskutować na ten temat.

– Coś zauważyłeś? – zapytał.

– Pewnie, że nie – odparł Brock. – A co według ciebie mógłbym zobaczyć?

– Ten drugi aparat.

– Pięć tysięcy stóp niżej, Matt? A nawet gdybyś go znalazł, co by to udowodniło?

Matthias nie znał odpowiedzi. Brock wyciągnął kotwicę. Zaczął padać deszcz, najpierw ciepły, potem chłodny. Zmył sól z ich ciał, uspokoił morze i pozbawił zatokę Zombie wszystkich kolorów. Matthias i jego instruktor w milczeniu wracali do domu.

Interesy nigdy wcześniej nie szły tak dobrze. *Życie bez mężczyzn i dzieci...* *pokochaj to* wciąż znajdowało się na liście bestsellerów, a prawo do ponownego wydania było już warte ponad milion dolarów. Doktor Lois Filer, z nowym ciałem, zębami i włosami, dwukrotnie była gościem Donahue, a raz Oprah. Występowała też regularnie w lokalnych programach w całym kraju. Pojawiła się również, jako ostatni gość i tylko na cztery minuty, w *The Tonight Show*. Zdażyła jednak pozwolić sobie na żart, który mógł sugerować podobieństwo między polityką a fellatio, co wprawiło we wściekłość konserwatywnych polityków. *Washington Post Book World* poświęcił obszerny artykuł na temat wydawnictwa Womynpress. Zilustrowano go zdjęciem Brendy Singer-Atwell i M. szalejących w jednej z bardziej znanych dyskotek. Wspomniano też o Ninie. Ona w dalszym ciągu ciężko pracowała. Jednak ze względu na nabrzmiewający brzuch nie pedałowała tak często na rowerze, ale to robiła, i tak jak wcześniej mówiła do dyktafonu albo czytała maszynopisy.

Pod koniec października, w sobotę idealną na pikniki w kampusach Ligi Bluszczowej, Nina zajmowała się propozycją wydawcy niewielkiego czasopisma, który zamierzał wystartować z periodykiem poświęconym hodowli egzotycznych ptaków. Ten dokument składał się z trzydziestu stron entuzjastycznego lecz banalnego tekstu i zawierał dane sprzed pięciu lat o liczbie hodowców i błyszczące kolorowe zdjęcia prześlicznych ptaków. O siódmej pojechała do centrum, gdzie spotkała się z Suze w małym alternatywnym teatrze.

– Boże – mruknęła Suze, gdy Nina wcisnęła się w fotel. – Ale zrobiłaś się gruba.

– Och, zamknij się.

Światła, i tak słabe, przygasły, zniszczona kurtyna rozsunała się na małej scenie. Leżała na niej świnia, zabita, uśpiona albo wypchana. Wielkie haki zwisały z rozpiętego drutu.

– Co to jest?! – zdziwiła się Nina.

– Rzeźniczka – poinformowała ją Suze. – Ona jest niesamowita. Będzie największą...

– Ciszej – syknął ktoś za nimi.

Naga kobieta wkroczyła na scenę. Miała potężne mięśnie, ogoloną głowę i gęste włosy pod pachami i między nogami. Zaczęła śpiewać stary kawałek Cream



„Fm So Glad”. *Jestem tak zadowolony*. Potem, trzymając jedną rękę za plecami i nie spoglądając na publiczność, podeszła do zabitej, uśpionej albo wypchanej świni i kucnęła przy niej. Wyciągnęła rękę za pleców, ukazując długi nóż rzeźnicki. Wciąż śpiewając, zaczęła rozcinać swinię. Nóż unosił się i opadał w rytm piosenki. Świnia nie okazywała żadnych oznak życia, więc nie była uśpiona. Z drugiej strony swinia nie mogła być wypchana, bo wszędzie pełno było krwi. Wspaniałe ciało kobiety błyszczało czerwienią, kiedy poruszała się z gracją, rozwieszając kawałki mięsa na hakach. Jej stopy ślizgały się z wyraźnym odgłosem po leżących na podłodze flakach.

– O Boże! – jęknęła Nina.

– Mocna rzecz, co? – powiedziała Suze.

– Nie o to chodzi – odparła Nina. – Chyba zaczynam rodzić.

– O Boże! – wykrzyknęła Suze. – Skąd wiesz?

– Mam bóle, jakich wcześniej nie miałam. Skręca mnie w środku.

– A może to jakieś zwykłe...

– Do cholery, Suze. Nie musisz... – Nina przerwała. Poczowała, że coś się dzieje w jej brzuchu. Po chwili ciepły płyn spłynął jej na nogi. Wstała. – Idziemy.

Nina szybko wyszła z teatru. Suze podążyła za nią. Nikt nie zwrócił na nie uwagi, bo nie były jedynymi osobami opuszczającymi przedstawienie. Wielu widzów wyszło, kiedy artystka zaczęła się okręcać jelitami.

Przed teatrem parkowała taksówka, ale Nina była zbyt wolna i ubiegł ją jakiś krytyk teatralny z *New York Timesa*. Nina stała więc na ciemnej ulicy, podczas gdy płyn wypływał z niej na nogi. Suze podskakiwała nerwowo obok niej.

– Nie mam nawet torby z przyborami – powiedziała Nina.

– Czego? – spytała Suze.

Znów Nina poczuła jakiś ruch w brzuchu. Nie bolało, ale nie było też przyjemne.

– O Boże – ponownie jęknęła, czując, że zbliża się kolejny skurcz.

– O jakie przybory chodzi? – zapytała Suze. – Może po drodze uda nam się coś skombinować.

– Po drodze dokąd?

– Do szpitala. Chyba tam jedziemy?

– Chyba tak. – Potem sobie przypomniała, że najpierw miała zadzwonić do doktora Berry'ego. Miała jego domowy numer. Po drugiej stronie ulicy były dwie budki telefoniczne. Nina ruszyła w ich stronę. Suze pobiegła na skrzyżowanie, by złapać taksówkę.

W jednej z budek była wyrwana słuchawka, z drugiej rozmawiał jakiś mężczyzna. – Nie wiem – mówił. – A ty co chcesz robić? – Wolną ręką podciągnął spodnie, pomagając sobie biodrami. – Nie – mruknął. – Nie chcę tam jeszcze raz iść. To kupa pieprzonych dupków... No dobra, dobra, nie Charlie. On nie jest dupkiem. To menda jakich mało. – Mężczyzna parsknął śmiechem. – Żartowałem. To prawdziwy kolo. Jak ty i ja. Wszyscy jesteśmy bandą napalonych gnojków. Mam rację? – Mężczyzna słuchał odpowiedzi. Potem powiedział: – Więc się nudzisz? Ja też. To co robimy?

Nina klepnęła go w ramię. – Muszę skorzystać z telefonu – powiedziała.

Mężczyzna obrócił się powoli i zmierzył Ninę wzrokiem. Miał długie przetłuszczone włosy i był nieogolony. – Spoko, panienko – burknął. – Nie, nie, Zimmy, to nie do ciebie. Jest tu taka cizia, która ma w dupie moje konstytucyjne prawo do rozmawiania z tobą.

– Zaczynam rodzić, ty głupku – warknęła Nina.

Wzrok mężczyzny przesunął się w dół ciała Niny. Szeroko otworzył oczy. – Zimmy? Później zadzwonię. – Odwiesił słuchawkę, ponownie zlustrował Ninę wzrokiem i szybko się oddalił, tylko raz odwrócił głowę, ale na krótko, jakby się obawiał, że może się zamienić w słup soli albo coś takiego.

Nina wybrała numer do doktora Berry'ego. Telefon odebrała kobieta, która mogłaby użyć głosu niejednej reklamie. – Chwilę, kochana – powiedziała, a potem zawołała: – Jim, Jim! – W tle rozlegały się dźwięki opery Gounoda „Faust”. Doktor Berry podszedł, nucąc: *Salut Demeure, Chaste et Pure*.

– Tu Nina Kitchener. Doktorze Berry, chyba zaczynam rodzić.

– A na kiedy ma pani ustalony termin?

– Na przyszły czwartek.

– W porządku. Jak często występują skurcze?

– Jak często?

– W przybliżeniu.

– Chodzi o to, jak długie są przerwy między nimi?

– Tak. Nie sprawdzała pani tego?

– Zapomniałam, ale odeszły mi wody. Na pewno.

– Świetnie – rzucił doktor Berry. – Proszę przyjechać do szpitala. Czekam na panią. Zobaczymy, co się dzieje.

Nina rozłączyła rozmowę i rozejrzała się za Suze. W połowie przecznicy stał wóz policyjny. Suze rozmawiała z kierowcą, gwałtownie gestykulując. Kiedy Nina podeszła, Suze się odwróciła i powiedziała: – Żadnej cholernej taksówki, a ten

pieprzy coś o swoich obowiązkach.

Gliniarz siedzący w samochodzie zerknął na Ninę. Golił się może od dopiero trzech miesięcy, a z twarzy nie znikły mu jeszcze pryszczki. – Muszę tu zostać, nie mogę opuścić stanowiska – powiedział wysokim tonem. – Ale mogę wezwać karetkę.

– Sranie w banię! – wrzasnęła Suze. – Ta karetka przyjedzie za godzinę. Wiesz o tym, całe miasto o tym wie. Do cholery, skąd ty się wziąłeś? A teraz otwórz drzwi i szybko do szpitala.

– Ale to jest mój pierwszy udział w akcji antynarkotykowej.

– Pewnie – rzekła Suze – tylko że jutro gazety będą pisały o kobiecie, która urodziła na ulicy, bo młody policjant spanikował. A potem zrobimy ci tak koło pióra, że nie przyjmą cię do pracy nawet w zakładzie oczyszczania miasta. To będzie twój koniec, chłopaczku. Koniec przez duże K.

Gliniarz otworzył drzwi, wpuścił Ninę i Suze do środka i odjechał z piskiem opon. – Włącz syrenę – rozkazała mu Suze.

Włączył. Jechali przez miasto na sygnale. Nina miała kolejny skurcz, silniejszy od poprzednich. Tym razem linia graniczna między kurczliwością a bólem stała się bardzo cienka. Nina chwyciła koleżankę za rękę. – Zachowujesz się jak zwariowany ojciec w najbardziej porąbanej komedii.

– No, porąbanej – powtórzyła Suze, ściskając rękę Niny. Uniosła głos. – Zajebicie porąbanej. Czy to nie mówi wszystkiego?

Policjant spojrział na nie w lusterku wstecznym. Nina nigdy nie widziała przerażenia w czystej postaci w oczach mężczyzny, teraz zobaczyła. Znowu pojawił się skurcz. – Jezu – sapnęła. Poczowała pot na brwiach.

– Czy już chce się wydostać?

– Tak.

– Już teraz, mam na myśli?

– Nie wiem.

Policjant wcisnął pedał gazu do końca.

– Cholera – mruknęła Nina.

– Co się dzieje?

– Zapomniałam sprawdzić czas.

– A do czego ci to potrzebne? Przecież nie będziesz jechała na żadne spotkanie.

– Znowu następny – wystękała Nina. Tym razem patrzyła na zegarek. Skurcz trwał trzydzieści jeden sekund. Kolejny zaczął się dwie minuty i czterdzieści trzy sekundy później.

Suze zastukała w szybę oddzielającą kobiety od policjanta. – Czy to gównie nie może jechać szybciej?! – wrzasnęła.

– Robię wszystko, co mogę – odpowiedział tamten, kuląc się nad kierownicą i omal nie wybuchając płaczem.

W szpitalu trzeba było wypełnić jakieś formularze. Nina siedziała na krześle. Suze stała za nią. – Ona za chwilę będzie rodziła – denerwowała się Suze. – Czy te papiery nie mogą poczekać?

– Nie – odparła pielęgniarka, żując gumę. Wzięła formularze od Niny. – Czy przechodziła pani kurs rodzenia? – spytała.

– Tak – warknęła Nina, nie wdając się w szczegóły.

– Świetnie. Zatem położymy panią w pokoju rodzenia na czwartym piętrze. Gdzie jest pani partner?

– Tutaj.

– Co?! – zdziwiła się Suze.

W pokoju rodzenia znajdowało się szpitalne łóżko, krzesło i telewizor. Telewizor był włączony. Julia Child przygotowywała grasicę cielęcą, *ris de veau*. Mięso syczało na ogniu. – Wyłącz to – poleciła Nina.

– Naprawdę? – spytała Suze. – Myślałam, że to uspokaja. Jednak wyłączyła telewizor.

Zajrzała pielęgniarka. – Miała już pani robioną lewatywę? – spytała.

Pół godziny później Nina po lewatywie leżała na łóżku. Miała skurcz po skurczu. Suze stała w drugiej części pokoju, zagryzała wargi i od czasu do czasu zerkła na ciemny ekran telewizora. Wszedł doktor Berry, a za nim czarna pielęgniarka dwukrotnie od niego większa. Miał na sobie czerwony kaszmirowy sweter i zielone tweedowe spodnie. Na jego twarzy wyrosła śnieżnobiała broda, dzięki której przypominał teraz nie jednego z pomocników Mikołaja, ale samego Mikołaja na urlopie.

– No, no, no – zaintonował.

– Miło mi pana widzieć – przywitała go Nina. – To moja przyjaciółka Suze. – Doktor Berry z podziwem pokręcił głową. – Widzę, że wszystko pod kontrolą. Chyba panie nie będą mnie w ogóle potrzebować.

– Ależ będziemy – odezwała się Suze.

Berry wybuchnął śmiechem, ale nie oderwał wzroku od Niny. – Zbliża się kolejny skurcz, tak? – zapytał ją.

Nina, którą przeszył ogromny ból, mogła jedynie przytaknąć. Lekarz położył rękę na jej brzuchu, jego dotyk był spokojny, delikatny, pewny, ale nie uśmierzył

bólu. Kiedy trwał skurcz, Berry nie odzywał się, a potem powiedział: – Jest dobrze. Oczywiście, jeszcze pani nie rodzi, to dopiero przyjemny początek.

– Przyjemny początek? – zdziwiła się Suze.

– Co?! – wydobyła z siebie Nina.

Doktor Berry roześmiał się przesadnie, jakby był prowincjuszem, który przyjechał na Broadway i popisywał się swoim poczuciem humoru i ciętym językiem. Umył ręce i wsunął jedną dłoń w Ninę. Nadstawił ucha niczym myśliwy nasłuchujący dalekich odgłosów. – Przypominam sobie te szyjkę – rzekł. – To będzie bułka z masłem. – Zwrócił się do pielęgniarki: – Trzy centymetry.

– Szukać pana w domu czy w restauracji?

– W domu – odparł doktor Berry. – Już jadłem obiad.

– Wychodzi pan? – spytała Nina.

Uśmiechnął się. – Jak na pierwszy etap wszystko idzie świetnie. Trzy centymetry! Nie jestem tu potrzebny, aż nastąpi pełne rozwarcie.

– Pełne? To znaczy ile? – zainteresowała się Suze.

– Dziesięć centymetrów.

– A w calach?

Doktor Berry znów się roześmiał. Kręcił głową z rozbawieniem, gdy zbliżał się do drzwi.

Teraz pielęgniarka wkroczyła na scenę. – Na razie może pani tu zostać – zwróciła się do Suze – ale kiedy zacznie drugi etap, będzie pani musiała stąd wyjść.

– Dlaczego? – spytała Nina.

– Takie są zasady. Żadnych przyjaciół podczas porodu.

– Ale ona jest moim partnerem.

Pielęgniarka uważnie przyjrzała się Suze. – Czyżby?

Suze energicznie przytaknęła.

– W takim razie musi pani włożyć fartuch – powiedziała pielęgniarka. – Na korytarzu trzecie drzwi po prawej.

Suze wyszła. Pielęgniarka zerknęła na kartę. Postawiła kilka ptaszków. – Czy przynieść epidural na później?

Chcę teraz, pomyślała Nina. Od chwili kiedy uciekła ze szkoły rodzenia, nigdy nie brała pod uwagę możliwości rodzenia bez środków znieczulających. Jednak powiedziała do pielęgniarki: – Jeszcze poczekajmy.

Potem chwycił ją skurcz taki mocny, jakby całe ciało wystąpiło przeciwko niej. Prawie nie czuła ręki pielęgniarki na brzuchu. Próbowwała przypomnieć sobie, jak za pomocą sapania, wdechów i wydechów walczyć z bólem. Powoli i głęboko

wciągnęła powietrze do płuc. Trochę pomogło.

– Nieźle – stwierdziła pielęgniarka, cofając rękę. – W ten sposób nastąpiło rozwarcie o kolejne ćwierć centymetra.

– Ćwierć?

Pielęgniarka uśmiechnęła się znacząco. – Proszę zastanowić się nad epiduralem – powiedziała. – Wszystkie go w końcu biorą, nawet takie zaciekle zwolenniczki naturalnych porodów jak pani.

Wcale nie jestem zwolenniczką naturalnych porodów – pomyślała Nina, ale nie zdołała wydobyć z siebie ani słowa, bo nastąpił kolejny skurcz.

Dziesięć godzin później pojawiła się już inna pielęgniarka, jeszcze potężniejsza od poprzedniej. Właśnie jadła śniadanie. Była też Suze z włosami opadającymi na czoło i sińcami pod oczami. Wrócił doktor Berry, miał na sobie elegancką tweedową marynarkę. Jeszcze nie dostarczono epiduralu, a rozwarcie u Niny doszło do dziewięciu i pół centymetra. Nauczyła się wszystkiego, czego się mogła nauczyć na temat tłumienia bólu przez oddech – że jest mało skuteczne – i zrozumiała, że narodziny, tak jak każda walka o wolność, wiążą się z cierpieniem. Dowiedziała się też, że Suze już od wielu lat uważa ją za upartą wariatkę.

– Zażądaj tego cholernego epiduralu – powiedziała do Niny, kiedy były same w pokoju – albo nigdy więcej się do ciebie nie odezwę.

– Zobaczymy, co dalej.

– Już jest źle, zakuta pało. Nie może być gorzej. Dlaczego jesteś taka uparta?

Ale Nina tego nie wiedziała i nie musiała niczego wyjaśniać, bo obie zgodziły się nie rozmawiać podczas skurczy u Niny.

– Jeszcze trochę – powiedział doktor Berry. – A potem pójdzie jak z płatka.

Wystąpiły kolejne skurcze. Kiedy przeszły, *epidural* było jedynym słowem w umyśle Niny. Potem przypomniała sobie o wystukiwaniu rytmu, ale była w stanie przywołać tylko z pamięci arię *Salut Demeure*. Zaczęła wybijać jej takt, choć ta aria jest prawie bez rytmu, a ona nie знаła jej słów. Przeszyła ją kolejna fala bólu. – Niech pan zaśpiewa to cholerne *Salut Demeure!* – wrzasnęła do doktora Berry'ego.

Lekarz zamrugał oczami. – *Chaste et Pure?* – zapytał.

– Tak, tak.

Zaczął nucić ładnym wyćwiczonym tenorem. Pod koniec arii Nina miała pełne rozwarcie. Leżała na łóżku, pocąc się obficie i ciężko dysząc. Żuła lodowe wiórki, które przyniosła Suze, kiedy zauważyła je na korytarzu u jednego z ojców.

– Lubi pani Pucciniego? – spytał doktor Berry. – Może nie jest dla pani odpowiednio *koszerny*?

Nina nic nie powiedziała, czując, że zbliża się kolejny skurcz. Po chwili doktor Berry po raz pierwszy zdawał się zaniepokojony. Bał się, że popełnił gafę.

Kiedy Nina zmagala się z bólem, Suze powiedziała: – Ona nie jest Żydówką, ja jestem.

Doktor Berry zmieszał się. – Przepraszam, jeżeli panią obraziłem.

– Niech pan tylko zaśpiewa – odparła Suze.

– Puccini?

– Jak najbardziej – powiedziała Nina, dochodząc do siebie po ataku bólu.

Doktor Berry sięgnął do ciała Niny. – Idealne ułożenie.

– Wyczuł go pan? – zapytała Nina.

– Albo ją – odparł Berry. – Ułożenie jak u kawalerzysty.

Doktor zaczął od *Non Piangere, Liu*, potem wybrał Toskę: *Recondita Armonia, E Luceuan le Stelle, O Dolci Mani*. Do tego czasu wszystkie mięśnie u Niny zacisnęły się. Zaczęła krwawić, początkowo pojawiły się krople krwi, potem strumienie; wystarczająco – pomyślała – aby zaimponować nawet tej Rzeźniczce z przedstawienia.

– Rzuciłabym chyba teraz wszystkich widzów na kolana.

– Co? – spytała Suze, unosząc wzrok. Po jednej stronie nosa miała rozmazaną krew.

Zanim Nina mogła cokolwiek wyjaśnić, nastąpił kolejny skurcz, słabszy niż poprzednie. – Nie napierać, nie napierać – zawołała pielęgniarka. Suze ścisnęła nogę Niny z całych sił, ale Nina prawie tego nie czuła.

– Epidural – wystękała Nina. – Dajcie mi ten cholerny epidural.

Doktor Berry, nucąc teraz *Nessun Donna*, zajrzał między jej nogi i przerwał w połowie nuty. – Za późno – stwierdził. – Już wychodzi.

Suze też spojrzała. – To?

– To.

Niespodziewanie Nina zaniepokoiła się. – Coś nie tak z dzieckiem?

– Wszystko w porządku – zapewnił doktor Berry. – Proszę przeć podczas następnego skurczu. Niedługo będzie koniec.

Nina parła podczas tego skurczu i następnego, i jeszcze jednego. – Przeć, kochana. O tak! – dopingowała ją pielęgniarka. Nina parła z całych sił. Czuła, że Suze gładzi ją po nodze.

– Nie przerywaj – mruknęła.

Suze spojrzała na nią. W jej oczach były łzy i miłość, tak wyraźna, jakby została wypisana literami. – Jesteś niesamowita, Nina. Cholernie niesamowita.

– I jeszcze raz – poprosił doktor Berry.

Nina zmusiła się do wysiłku, który tym razem przyniósł ogromną ulgę. – Brawo! – wykrzyknął wtedy doktor Berry, unosząc w górę zakrwawionego chłopca.

Nina próbowała usiąść i prawie się jej to udało. – Czy wszystko w porządku? – spytała.

– Jak najbardziej – uspokoił ją doktor Berry.

Łzy spływały po twarzy Niny, ale jednocześnie się śmiała. Doktor Berry przekazał chłopca pielęgniarce, która zaniósła go do drugiej części pokoju.

Nina przestała się śmiać. – Ale dlaczego on nie płacze?

– Nie ma powodu, żeby płakał – odparł doktor Berry. – Oddycha, to się liczy.

Ostatnie słowo rozbudziło wyobraźnię Niny. – Suze! Policz mu palce.

– Po dziesięć u rąk i nóg. – Suze pochyliła się i pocałowała Ninę w czoło.

– Co za świetna partnerka – uznała pielęgniarce. – Widać, że już wcześniej była pani przy porodzie. – Potem podała umyte niemowlę Ninie. Nina się wystraszyła. On był taki mały. Miał ręce i nogi jak patyczki, delikatne rysy na małej twarzy, ale jego niebieskie oczy zdawały się bardzo duże. Patrzyły wprost na nią. Wyrażały łatwe do odczytania żądanie. On chciał znaleźć się na rękach u Niny. Nina wzięła dziecko, wcale nie delikatnie, jak można było się spodziewać, ale zdecydowanie, jakby przez całe życie zajmowała się niemowlętami. Położyła go na piersiach. Poczowała, jak poruszyły się jego małe usta, wsunęła mu między nie sutek. Próbował ssać.

– Widzi pani? – odezwał się doktor Berry. – Ten mały to będzie prawdziwy pies na baby!

Nina trzymała dziecko. Gładziła jego delikatne włoski, zaskakująco długie i jasne, prawie białe. Kiedy wreszcie odzyskała kontakt z rzeczywistością, zauważyła, że wszyscy wyszli.

Spojrzała na dziecko. Chłopiec znów patrzył wprost na nią, niebieskimi oczami, oczami – jak pomyślała – osoby, która zawsze dopnie swego. To nie był Henrik. Ta istota ludzka potrzebowała dostojnego imienia. Nina nie była w stanie znaleźć odpowiedniego.

– Jak masz na imię, chłopczyku? – spytała.

Znów na niego spojrzała. Teraz miał zamknięte oczy. Nagle ogarnęła ją panika, ale zanim zdążyła zawołać pielęgniarkę, poczuła jego oddech na skórze. Pogłaskała go po długich jasnych włoskach i bardzo cicho zanuciła jedną z melodii śpiewanych przez doktora Berry'ego. Ciągle czuła jego oddech na piersiach,



delikatny, lecz stabilny jak przyływy i odpływy morza. Wszechświat skurczył się do małego pokoju porodowego na czwartym piętrze.

Czy nie jesteśmy najbardziej wydymanym pokoleniem, jakie zna świat? – zapytała Suze następnego dnia.

– Oczywiście, że nie – odparła Nina. Leżała w izolatce ze śpiącym obok siebie dzieckiem.

– A jaki jest nasz rywal do pierwszeństwa?

– No, ostatnie pokolenie dinozaurów.

– Dinozaury, mówisz... – zastanowiła się Suze. – Mam pomysł. Co myślisz o imieniu Rex?

– Rex?

– Nie pasuje? To może Marley?

– Marley? Marley Kitchener?

– Od Boba Marleya. Uwielbiasz go.

– Uwielbiam też Theloniousa Monka.

Obie popatrzyły na dziecko. Nie przypominało Theloniousa. – Z tej pani Monk musiała być ciekawa osoba – rzekła Suze.

Wszedł posłaniec z bukietem róż, orchidei, dalii i butelką Roederer Cristal. Była też kartka od Jasona podpisana przez wszystkich z biura, ze zdjęciem rozsypującej się tamy i podpisem: *Wszystko super. Baw się dobrze.*

Nina i Suze napiły się szampana. – Zgadnij, z kim jem dziś kolację – odezwała się Suze.

– Z doktorem Berrym?

– Bardzo śmieszne.

– Jego żoną?

– Złośliwe, ale bliższe prawdy. Jem kolację z Rzeźniczką.

– To nie przepłacisz. Przyniesie z sobą mięso.

Suze pokazała Ninie wycinek z *Village Voice*. Dziennikarz nazwał to widowisko ze świnią „zapierającą dech w piersiach demonstracją postfeministycznego feminizmu, odważnym aktem powiedzenia wszystkiego o stosunkach między kobietami i mężczyznami w tych podłych czasach”.

– Założę się, że to mięso już skruszało – rzekła Nina.

– Chcę, żeby ona zrobiła coś dla galerii – powiedziała Suze. – Nina, ona będzie wielka.

– Już jest.

Suze zerknęła na Ninę kątem oka. – Mówi coś o napisaniu książki. Chce się z tobą spotkać.

– Nie przejdzie przez mój próg, dopóki nie wygoli się pod pachami – odparła Nina.

Śmiech Suze obudził dziecko. Nina postanowiła sama zmienić pieluchę. Zająłoby to jej dużo czasu – najpierw założyła pampersa odwrotnie, potem nie pasowały zatrzaski, a w końcu pielucha zsunęła się na pierś chłopczyka, odsłaniając mu plecy.

– Po kim ma taki mały tyłeczek? – zaciekawiała się Suze.

Nina wymierzyła delikatnego klapsa. – Po mamie – odparła.

– Możesz tak sobie marzyć – rzekła Suze i po chwili poszła na kolację.

Dziecko kręciło się i cicho kwiliło. Wyrzuciło w powietrze jedną z chudych rączek, tę z bransoletką z napisem *Kitchener*. Nina położyła chłopczyka na piersiach, jego usta nerwowo szukały, aż znalazły sutek. Zaczął ssać. Nina czuła, że jego ciało się odprężyło. Spojrzała na niego, w dużych niebieskich oczach zobaczyła skupienie. Wiedziała, że jest dla niego całym światem, ale nie wiedziała, co o tym myśleć. Pogłaskała go po włosach z tyłu, gdzie były dłuższe. Po chwili zasnął, jego główka opadła na bok. Nina dotknęła sutka, poczuła, że jest wilgotny. Posmakowała. Po raz pierwszy produkowała mleko, wprawdzie mało, ale było słodkie. Uśmiechnęła się. Ciągle miała roześmianą twarz, gdy pielęgniarka weszła do pokoju.

– Jest do pani telefon w pokoju pielęgniarek.

– Czy nie można przełączyć do tego pokoju?

– Niestety, tutaj telefon nie działa. Niedługo go naprawią.

Nina wciąż trochę otumaniona wstała z łóżka.

– Nie może tu pani zostawić dziecka samego – powiedziała pielęgniarka.

– Mam przecież pozwolenie na opiekę indywidualną.

– Tak, ale kiedy pani wychodzi z pokoju, dziecko powinno znaleźć się w sali ogólnej.

Nina, niosąc dziecko, poszła za pielęgniarką na koniec korytarza. Przez szybę zobaczyła rząd łóżeczek, ale wszystkie poza trzema, gdzie leżały niemowlęta w różowych becikach, były puste. Pielęgniarka wyciągnęła ręce po niebieskie zawiniątko Niny.

– Nie mogę sama?

– Nie, matki nie mają wstępu do tego pomieszczenia.

Nina, zwróciwszy uwagę, że po raz pierwszy została nazwana matką,

przekazała dziecko. Obserwowała, jak pielęgniarka wchodzi do pokoju i kładzie chłopczyka do łóżeczka na samym końcu rzędu, przy oknie, a potem mówi coś do innej pielęgniarki, otyłej kobiety siedzącej z gazetą na kolanach. Główka dziecka była odwrócona tak, że Nina mogła widzieć jego twarz. Było to ich pierwsze rozstanie, pierwsza rozłąka, nie licząc tych pierwszych kilku minut po narodzinach. Nina odwróciła się powoli i poszła do pokoju pielęgniarek.

– Podobno jest do mnie telefon.

Pielęgniarka oderwała wzrok od karty, która wypisywała. – Pani nazwisko?

– Nina Kitchener.

– Pokój?

– Czterysta dwadzieścia dwa.

Pielęgniarka przerzuciła żółte karteczki i jedną podała Ninie. Była na niej informacja, by zadzwoniła do biura, do Jasona. – Automat jest na piątym piętrze.

Nina nie skorzystała z windy, postanowiła pójść schodami po drugiej stronie korytarza, aby przejść obok pokoju noworodków. Jej chłopiec w niebieskim beciku nie zmienił pozycji, uwolnił tylko jedną rączkę; wyglądała jak dzieło sztuki na białym prześcieradle. Tłusta pielęgniarka rozwiązywała teraz krzyżówkę. Kiedy Nina zbliżyła się do drzwi prowadzących na schody, minęła kobietę pchającą wózek z czasopismami, gazetami i słodyczami. Miała zniszczoną od słońca, pomarszczoną skórę i nosiła odznakę wolontariuszki. Z silnym akcentem zapytała:

– Może coś słodkiego, kochana?

– Nie, dziękuję – odparła Nina i weszła na schody. Idąc w górę, zdziwiła się, że mimo ćwiczeń – przecież na rowerze minęła już Rangun i jechała w stronę Amuru, przez Szanghaj – musiała się zatrzymać, aby odpocząć. Telefon znajdował się przy drzwiach z napisem: UWAGA! MATERIAŁY RADIOAKTYWNE. Nina wrzuciła monetę.

– Cześć, mamuśka – odezwał się Jason. – Słyszałem, że to słodki dzieciak.

– Od Suze?

– Nie. Mówili o tym dziś rano chyba w kilku w programach! Wybrałaś już imię?

– Nie.

– Jason jest niezłe.

– Ale wprowadziłoby zamieszanie. Gdyby nie to, nie zastanawiałabym się długo. Co się stało?

– Ten Ptasznik chce z tobą rozmawiać. Jak najszybciej.

– Jaki Ptasznik?

– No ten od czasopisma z ptakami.

– A dlaczego to takie pilne?

– Bo Conde Nast chce w połowie sfinansować jego projekt. Tak mówi. Jutro ma z nimi spotkanie i chce wiedzieć, co sądzisz o jego propozycji.

– Zadzwoń do niego – powiedziała Nina, próbując przypomnieć sobie cokolwiek o jego planach. Chyba czytała o nich w swoim poprzednim wcieleniu.

W końcu zadzwoniła do tego Ptasznika. Miał wysoki głos i mówił bardzo szybko. – Na Boga, jak trudno się z panią skontaktować. To może być najważniejszy epizod w moim życiu.

– Ale jednak pan się ze mną skontaktował – stwierdziła Nina. – Co chce pan wiedzieć?

– Oczywiście chcę znać pani zdanie na temat mojego pomysłu. Mam z nimi spotkanie o wpół do dziesiątej rano.

– Az kim konkretnie?

– Z jakąś kobietą... Linsky albo Lansky. Coś w tym rodzaju.

Nina próbowała sobie wyobrazić, co dobrego może wynikać ze spotkania Cynthii Lansky z Ptasznikiem, ale jakoś nie mogła.

– A co do tej pory mówi?

– Chce, żebym w jakiś sposób zmienił swoją koncepcję.

– A w jaki?

– Zanim odpowiem, chcę wiedzieć, co pani sądzi o moim dotychczasowym pomysle.

Gównie mnie obchodzi: twój beznadziejny głos, twój pomysł albo ta cała Cynthia Lansky, pomyślała Nina. Chcę wrócić do swojego dziecka. Jednak powiedziała:

– Zdjęcia są świetne, ale tekst jest głównie skierowany do osób z zacięciem ornitologicznym, do specjalistów, a nie sądzę, żeby Conde Nast chciało tak wąskiego zainteresowania.

Zapadła długa cisza i Nina zapytała: – Halo. Czy pan tam jest?

– Tak. – Nagle zaczął mówić grobowym głosem. – Właśnie tak samo uważa ta kobieta z Conde Nast. Mówi, że „tekst jest zbyt specjalistyczny”.

– A co proponuje?

– Żeby to było efektowne wydawnictwo dla zamożnych miłośników ptaków, ze zdjęciami z ośrodków wypoczynkowych na całym świecie – powiedział Ptasznik, niemal wpadając w histerię. – Chce, żebym się poważnie zastanowił nad takim francuskim tytułem. *Oiseau*.

– I co?

– To okropne – przyznał Ptasznik.

– To niech pan odmówi.

– Ale chcę w połowie sfinansować to przedsięwzięcie. Na tej podstawie będę mógł zdobyć resztę pieniędzy.

– Więc musi pan podjąć jakąś decyzję.

– Ma pani rację – zgodził się Ptasznik. – Ma pani rację... Pani Kitchener?

– Słucham.

– Czy nie poszłaby pani ze mną na to spotkanie?

Nina zastanowiła się. Następnego dnia w południe wychodziła ze szpitala. Ptasznik miał spotkanie o wpół do dziesiątej. Mogła zostawić dziecko na oddziale, a w drodze powrotnej zabrać je do domu. Byłby to pierwszy sprawdzian umiejętności łączenia obowiązków zawodowych z rodzinnymi. Nie spodziewała się, że nastąpi to tak szybko.

– Zadzwoń do pani później – powiedziała do Ptasznika.

– Proszę, pani Kitchener. Więcej pani zapłacę...

– To zrozumiałe – rzekła Nina. – Zadzwoń do pana po obiedzie.

Zejscie po schodach na dół było znacznie łatwiejsze. Nina wróciła na czwarte piętro i zerknęła przez szybę do pokoju noworodków. Małe niebieskie zawiniątko wciąż leżało spokojnie na końcu pierwszego rzędu, ale chłopiec musiał się odwrócić, bo nie było widać jego twarzy. Nina zastukała w szybę. Gruba pielęgniarka oderwała wzrok od gazety. Nina musiała wykonać mnóstwo gestów, aby pielęgniarka zrozumiała, że Nina chce zabrać swoje dziecko. Odłożyła gazetę, wstała ociężale i powoli przemierzyła pokój. Pochyliła się nad łóżeczkiem na końcu pierwszego rzędu, wyciągnęła ręce, by wziąć dziecko... i nagle zamarła. Spojrzała na Ninę z niesamowitym wyrazem twarzy.

To spojrzenie obudziło w Ninie strach, jakiego do tej pory nigdy nie zaznała. Wpadła do pokoju, nie zwracając uwagi na założone u siebie szwy. Słyszała o niewyjaśnionych wypadkach śmierci u niemowląt, o przypadkowych uduszeniach. Odepchnęła pielęgniarkę, która jakby wrosła w podłogę, i chwyciła niebieski becik.

Nie było w nim jej dziecka, tylko szmaciana lalka.

Wypadki potoczyły się następująco:

Nina odwróciła się do pielęgniarki i spytała: – Czy to jakiś żart? Gdzie jest mój mały?

Pielęgniarka gwałtownie kręciła głową.

– Co się dzieje? – dociekała Nina. – Coś się wydarzyło? Wypadł z łóżeczka? Zabrano go na jakieś badania?

Pielęgniarka coraz szybciej kręciła głową.

– Co się pani stało? – spytała Nina. Uklękła i zajrzała pod łóżeczko, nic tam nie znalazła.

Tłusta pielęgniarka przestała kręcić głową. Obróciła się i uderzyła ręką w puste łóżeczko, a potem sprawdziła trzy różowe beciki. We wszystkich były dziewczynki, z bransoletkami na rączkach.

Nina na czworakach zaglądała pod wszystkie łóżeczka.

Pielęgniarka stała nieruchomo pośrodku pokoju.

Nina uniosła się z podłogi i krzyknęła: – Gdzie jest moje dziecko?

– Ja... ja... ja...

Na nogach Niny pojawiła się krew.

Nina podbiegła do pielęgniarki i chwyciła ją za ramiona. – Ale przecież pani tu była. Co się stało? Czy ktoś je zabrał? Gdzie jest moje dziecko? Czy pani jest na jakichś środkach?

– Ja... ja... ja...

Nina potrząsnęła pielęgniarką. Pielęgniarka, choć potężniejsza od Niny, nie stawiała żadnego oporu. Jej głowa odskakiwała do przodu i do tyłu.

Nina wybiegła na korytarz. Krzyk narastał jej w piersiach, ale stłumiła go. Jej szlafrok rozpiął się i odsłonił ramiona. W nieładzie wpadła do pokoju pielęgniarek.

Przełożona zmierzyła ją wzrokiem. Ona widziała już wszystko, co można zobaczyć w wielkomijskim szpitalu. – Jakiś problem? – zapytała.

Dopiero teraz Nina zaczęła wrzeszczeć: – Tak! Cholerny problem! Zniknęło moje dziecko!

– Proszę nie mówić tak głośno – uciszała ją przełożona. – Co pani ma na myśli, mówiąc *zniknęło*?

Nina oparła się o biurko, robiąc bałagan w papierach. – To, że zniknęło – odpowiedziała krzykiem. – Zniknęło! Zniknęło!

Twarz siostry poczerwieniała. Kobieta uniosła się z miejsca i w jej wykrzywionych ze złości ustach zaczęły się formować jakieś słowa, ale wtedy do pokoju weszła ta otyła pielęgniarka. Odzyskała głos.

– Ona ma rację – powiedziała, pochlipując. – Jej dziecko zniknęło i to moja wina. To tylko moja wina.

Przełożona skupiła teraz całą swoją złość na koleżance. – O czym ty mówisz?!

Pielęgniarka otworzyła usta, ale nie była w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Łzy spływały po jej twarzy.

Przełożona wyszła do pokoju noworodków i zobaczyła to, co było do zobaczenia. Wróciła ze szmacianą lalką w rękę. – Co się stało? – spytała pielęgniarki. – Opuściłaś salę?

Pielęgniarka przytaknęła i znów zaczęła płakać. Po chwili już szlochała.

Przełożona, za którą podążyła Nina, ruszyła szybko korytarzem, sprawdzała bransoletki wszystkich dzieci we wszystkich pokojach na oddziale noworodków.

– Co się dzieje? – zapytała jedna z matek, patrząc na Ninę z przerażeniem.

Przełożona nie odpowiedziała. Podbiegła teraz do telefonu na biurku. Wcisnęła przycisk i zawołała do słuchawki: – Czwarte piętro, alarm. Czwarte piętro, alarm.

Przybiegli ochroniarze i inni. Przełożona, wskazując palcem, wydała instrukcje. Ludzie rozbiegli się we wszystkich kierunkach.

Przepychając się między salowymi, pielęgniarkami, lekarzami i ochroniarzami, Nina dotarła do sali noworodków i znalazła się przy ostatnim łóżeczku w pierwszym rzędzie. Było puste. Z jej gardła wyrwał się krzyk, jakiego do tej pory nigdy z siebie nie wydała i nigdy nie słyszała. Obudziła dziewczynki w różowych becikach, wybuchnęły płaczem. Potem Nina zaczęła szlochać nad pustym łóżeczkiem.

Ktoś okrył jej ramiona kocem. Ktoś podał jej coś do picia, a ktoś inny zieloną tabletkę. Nina odrzuciła ją.

– Muszę przeszukać każde piętro – zdecydowała. – I piwnice.

– Już to robimy – ktoś powiedział. – Pani powinna się uspokoić. Musimy pani ponownie założyć szew.

Nina spojrzała w dół i zobaczyła czerwoną kałużę na podłodze.

– Potrzebujemy szczegółów – powiedział jakiś mężczyzna. – Jakie miał imię na bransoletce?

Przełożona sprawdziła w karcie. – Nie ma imienia. Tylko nazwisko: Kitchener.

– Chcę, żeby miał imię! – wykrzyczała Nina.

Silne ramiona wpychały Ninę na wózek. Stawiała opór. – Muszę szukać... –



Ramiona naciskały mocniej. Wcisnęły Ninę w wózek.

Tłusta pielęgniarka spojrzała na krzesło, gdzie leżała gazeta otwarta na krzyżowce. Znow wybuchła płaczem.

Przełożona pielęgniarek po raz pierwszy uniosła głos: – Idź do toalety i nie wychodź stamtąd, dopóki cię nie zawołam!

Pielęgniarka zakryła dłonią usta i szybko się oddaliła.

Wózek z Niną ruszył.

– Nie zapomnijcie sprawdzić pojemników na śmieci – powiedział jakiś mężczyzna.

– Do cholery, co to jest? – to pytał jakiś policjant.

– Szmaciana lalka – odparł mu ochroniarz.

– Po co mi ją dajesz? – zdenerwował się gliniarz.

– Jako dowód.

– Dowód czego?

Nina wjechała wózkiem do windy. Ktoś wbił igłę w jej ramię. Prawie nie poczuła ukłucia.

Drzwi windy zamknęły się ze szmerem. Winda ruszyła w górę.

– Skąd ta krew? – zapytał ktoś.

Otworzyły się drzwi.

– Jedziecie na dół?

– Nie.

Winda ponownie się uniosła.

– Dlaczego znów ogłoszono alarm?

– Dwadzieścia minut temu śmieciarze opróżnili wszystkie pojemniki.

– Dowiedzcie się, gdzie je wywieźli, i wszystkie przeszukajcie.

– I włożcie grube rękawice. Tam mogą być różne medyczne świństwa.

– Jezu, co za dzień.

– Zawieźcie mnie do piwnicy – zażądała Nina, próbując wstać, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. – Chcę moje dziecko. – Jednak środek uspokajający okazał się silniejszy i Nina zamknęła oczy.



**Nina**





Detektyw Delgado z nowojorskiej policji była zmęczona. Nałożyła grubą warstwę makijażu, a włosy miała świeżo zrobione, ale nie mogło to ukryć czerwonych żyłek w jej oczach ani sińców pod nimi. Postawiła krzesło przy łóżku Niny i zapytała: – Jak się pani czuje?

– Nie wiem – odparła Nina. – Fizycznie dobrze. – Nina próbowała usiąść, nie mogła; spróbowała ponownie, udało się. – To pani kieruje poszukiwaniami?

– Raczej śledztwem. Poszukiwania, przynajmniej na terenie szpitala, zostały zakończone. Przeszukaliśmy cały budynek, od góry do dołu.

– I?

Detektyw Delgado pokręciła głową.

– A co z... – Ostatnie słowa nie mogły przejść Ninie przez gardło.

– Z czym?

– Z pojemnikami na śmieci.

– Wszystkie sprawdziliśmy, łącznie z tymi wywiezionymi. Nic. – Przez moment Ninie wydawało się, że detektyw walczy z ziewnięciem. Kobieta zakryła usta dłońmi i mocno potarła.

– A co z piwnicami?

– No właśnie. Te piwnice... – Detektyw Delgado wychyliła się do tyłu na krzesło i wyciągnęła nogi.

Nina poczuła silny zapach od niej – pomarańczowej wody kolońskiej zmieszany z dymem papierosowym.

– Już kilka razy pytała pani o piwnice, pani Kitchener. Czy jest ku temu jakiś powód?

– Nie, nie sędzę.

Detektyw skinęła głową. – Czy zdaje pani sobie sprawę, że w tym budynku jest pięć poziomów piwnic, sześć, jeżeli wliczy się garaże?

– Nie.

Detektyw znów skinęła. Nina miała uczucie, jakby została pokonana w jakiejś rywalizacji, tylko nie wiedziała jakiej.

– Nie bardzo rozumiem, co się dzieje – rzekła Nina. Czowała, że środki uspokajające przestają działać, co sprawiało, że ogarniał ją niepokój. Nagle ten lęk zamienił się w przerażenie, wszystko powróciło z pełną mocą. – O co wam chodzi?

– Chodzi nam o to – podkreśliła detektyw Delgado – że traktujemy to

zniknięcie dziecka jako porwanie. Nina poczuła pulsującą krew. Zabolało ją między nogami. Detektyw sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła z niej notatnik i paczkę papierosów. – Mogę tu zapalić?

– Raczej nie.

Detektyw westchnęła i odłożyła papierosy. Otworzyła notatnik, pośliniła palec językiem, który był żółty i suchy, i przewróciła kilka kartek. – Proszę mnie poprawić, jeżeli coś będzie nie tak – powiedziała bezbarwnym, monotonnym głosem. – Wczoraj o czwartej trzydzieści pięć po południu poinformowano panią o telefonie do pani w pokoju pielęgniarek. Przekazała pani niemowlę pielęgnowarce, która oddała je pod opiekę Vernie Rountree pełniącej dyżur w sali noworodków. Potem poszła pani do pokoju pielęgniarek, gdzie otrzymała pani wiadomość, i następnie udała się pani na piąte piętro, żeby zadzwonić z automatu. Zgadza się jak do tej pory?

– Tak.

Detektyw Delgado znów pośliniła palec i odwróciła kartkę w notatniku. – Około czwartej czterdzieści do sali noworodków weszła wolontariuszka i powiedziała Vernie Rountree, że jej mąż czeka w stołówce i pilnie chce z nią rozmawiać. Oni są w separacji. On ją opuścił kilka miesięcy temu i żyje teraz z inną kobietą. To, jak mówi Verna Rountree... – Detektyw odwróciła kolejną kartkę. – ... cytując: „rozdarło moje serce”. Koniec cytatu. Verna była zdecydowana spotkać się z nim, ale nie mogła opuścić pokoju, a bała się poprosić przełożoną o zastępstwo, bo wiedziała, że nie podobają się jej prywatne wizyty podczas dyżurów. Poza tym przypuszczała, jak się okazało słusznie, że przełożona jej nie lubi.

– I ta wolontariuszka zaproponowała, że to ona ją zastąpi...

Detektyw Delgado spojrzała przenikliwym wzrokiem. – Zgadza się. – Jej zaczerwienione oczy przez chwilę wpatrywały się w Ninę, a potem coś zapisała w notatniku. – Verna skorzystała ze schodów, żeby nie przechodzić obok pokoju pielęgniarek – ciągnęła detektyw. – Poszła szybko do stołówki, gdzie nie znalazła męża, i pospiesznie wróciła na czwarte piętro. Kiedy dotarła do pokoju noworodków, stwierdziła, że wolontariuszki tu nie ma, a cztery noworodki, którymi miała się opiekować, śpią spokojnie. Jednak tego dokładnie nie sprawdziła. Stała tylko pośrodku sali i się rozejrzała. Zobaczyła cztery beciki, trzy różowe i jeden niebieski. Potem wróciła do swojego krzesła, gdzie znalazła batona, którego, jak się domyśliła, zostawiła dla niej wolontariuszka. Spojrzała na zegarek... była czwarta pięćdziesiąt... więc nie było jej najwyżej dziesięć minut. Uznała, że nikt

nie zauważył jej nieobecności. Zjadła batona i wyrzuciła opakowanie do kosza. Znaleźliśmy je i teraz szukamy na nim odcisków palców. Kilka minut później, kiedy ona właśnie skończyła jeść batona, pani wróciła po dziecko. Verna Rountree poszła do łóżeczka i odkryła to, co odkryła.

Nina lekko się uniosła. Czuła się coraz mocniejsza. W jej głowie kłębiło się mnóstwo pytań. Z nieznanym sobie powodem pierwszym, jakie zadała, było: – Co się stało z Verna Rountree?

– Zawieszono ją w czynnościach – odparła Delgado. – Aż do momentu zakończenia dochodzenia. Oczywiście, jeżeli jej wersja okaże się nieprawdziwa, znajdzie się w prawdziwych tarapatkach.

– A dlaczego jej wersja miałaby się okazać nieprawdziwa?

– Chociażby z jednego powodu: nikt w tym czasie na oddziale nie widział żadnej wolontariuszki, nie była też przewidziana w grafiku, a wszyscy wolontariusze z innych oddziałów mogą udowodnić, że wtedy byli gdzie indziej. Ponadto opis wolontariuszki podany przez Verne jest mało precyzyjny.

– Ja ją widziałam.

– Kogo?

– Tę wolontariuszkę.

Detektyw Delgado wychyliła się na krzesło. Wciąż miała zaczerwienione oczy i worki pod nimi, ale teraz nie wyglądała już na mocno zmęczoną. – Gdzie? Kiedy?

– Na korytarzu, kiedy szłam w kierunku schodów i minęłam salę noworodków. Po tym... jak oddałam moje dziecko pielęgniarce.

– Szła pani do telefonu schodami?

– Tak.

– Dlaczego nie skorzystała pani z windy?

Dlatego, że chciała przejść obok pokoju noworodków, by spojrzeć na swojego syna, z którym, jak wyliczył detektyw Delgado, rozstała się zaledwie przed dwiema minutami. Zastanawiała się więc, czy nie odpowiedzieć: „Bo chciałam się przejść”, „Nie lubię wind” albo „Nie wiem”. Jednak powiedziała: – Bo chciałam zobaczyć po drodze moje dziecko.

Detektyw Delgado pisała w notatniku.

– Czy pani ma dzieci? – spytała spontanicznie Nina.

– Dlaczego pani pyta?

– Bez powodu.

– Nie mam dzieci – odparła detektyw. Wbiła wzrok w notatnik, ale nic nie pisała w nim ani też nie czytała. – Mam siostrzeńca, z którym jestem blisko –



rzekła. Znowy wyglądała na zmęczoną. Nina zauważyła, że zbladła. Detektyw mocno potarła nos. – Czy dobrze przyjrzała się pani tej wolontariuszce?

– Patrzyłam na nią, ale trudno powiedzieć, żebym dokładnie się jej przyjrzała.

– Czy rozpoznałaby ją pani, gdyby znowy zobaczyła?

– Być może.

Delgado chwyciła za telefon. Po kilku minutach do pokoju wszedł umundurowany policjant i wręczył jej szarą kopertę. – Sierżant Shapiro chce, żeby pani do niego zadzwoniła – powiedział. – Ezekiel został wypuszczony za kaucją zeszłej nocy.

– Niech to diabli! – mruknęła detektyw. Podała Ninie kopertę.

W środku znajdowały się laminowane identyfikatory wszystkich wolontariuszy ze szpitala. Nina uważnie przyjrzała się zdjęciom.

– Niestety – rzekła.

– Żadna osoba jej nie przypomina? – spytała detektyw.

– Nie.

Delgado westchnęła. – Proszę opisać tę kobietę, którą pani widziała.

Nina zamknęła oczy. W wyobraźni zobaczyła rozmazaną twarz bez oczu, nosa, ust. – Myślę, że była po pięćdziesiątce. Wątła fryzura.

– Co to znaczy „wątła fryzura”.

– No, włosy rzadkie, cienkie. Rozwichrzone.

– Jakiego koloru?

– Posiwiałe. – Niewyraźny obraz kobiety rozplątał się. Nina otworzyła oczy. – Coś sobie przypomniałam. Pomyślałam wtedy, że ta kobieta spędza dużo czasu na słońcu.

– Miała opaleniznę?

– Niezupełnie.

– Biała kobieta, zgadza się?

– Tak.

– Ale nie była opalona?

– Nie.

– Więc dlaczego pani sądzi, że spędzała dużo czasu na słońcu?

– Jej skóra... Była pomarszczona i wysuszona. Jak u kobiety z farmy na Południu.

– Widziała pani jej dłonie?

– Nie przypominam sobie.

Detektyw Delgado pisała w notatniku. Zapisała prawie półtorej strony. – Czy

jeszcze coś może pani sobie przypomnieć?

– Mówiła z akcentem.

– Rozmawiała pani z nią?

– To ona się do mnie odezwała.

– Co powiedziała?

– Nie pamiętam dokładnie słów. Chyba zapytała, czy chcę czekoladowego batona. Nazwała mnie *kochana*.

– Kochana?

– Tak.

– Proszę się głęboko zastanowić. Czy wcześniej widziała pani tę kobietę?

– Nie.

– Czy miała pani wrażenie, że ona panią rozpoznała?

– Nie zauważyłam.

– Jaki miała akcent?

– Przypominał brytyjski.

– A dokładniej?

– Trudno określić.

– Jak księżna Diana?

– Nic takiego.

– *The Beatles*?

– Nie. Był taki staroświecki i... *dystyngowany*.

– Dystyngowany?

– Tak.

– Staranny?

– Tak.

– Jak z wyższych sfer?

– Nie. Raczej afektowany.

– W porządku – rzekła detektyw Delgado. Jej głos stał się nagle ożywiony, jakby wszystko zaczęło nabierać sensu. – Czy ma pani jakichś wrogów?

Nina zastanowiła się. Miała konkurentów w życiu zawodowym, ale niewielu. Brała udział w trudnych negocjacjach, podczas których padało wiele ostrych słów, ale potem okazywało się, że nigdy nie było to nic osobistego. Zatem odpowiedziała: – Nie.

– Jest pani w separacji ze swoim mężem?

– Nie mam męża.

– Jest pani rozwódką?

– Nigdy nie byłam zamężna.

– A jak obecnie wyglądają pani stosunki z ojcem dziecka?

– Nie ma ojca – odparła Nina. Oczy Delgado zwięzły się. Nina dostrzegła w nich twardość, nawet podłość. – Zostałam sztucznie zapłodniona – wyjaśniła Nina.

– Dawca pozostaje anonimowy.

Detektyw odprężyła się. – Więc nie chodzi tutaj o opiekę nad dzieckiem.

– Nie – potwierdziła Nina. – Ale o co może chodzić?

Delgado znów pisała w notatniku, potem wyprostowała się i skrzyżowała nogi. Silne mięśnie napięły szwy w jej spodniach. – Za wcześnie, żeby być pewnym, ale mam przeczucie, że to jeden z tych przypadków, z jakimi już parokrotnie miałam do czynienia. Sądzę, że jakaś niezrównoważona kobieta ubzdurała sobie, że chce mieć dziecko, weszła do szpitala i porwała jedno. W zeszłym miesiącu w Bellevue było takie zdarzenie.

– I co dalej?

– Kilka dni później był anonimowy telefon, przypuszczalnie od sąsiada porywaczki. Pojechaliśmy tam i odebraliśmy dziecko. Nic mu się nie stało. Czasami takiej kobiecie przechodzi i podrzuca dziecko na korytarzu szpitala. Mieliliśmy nawet taki przypadek, że dziecko wróciło do sali noworodków.

– Czy zawsze się znajdują?

Tym razem Delgado nie stłumiła ziewnięcia. – Słowo *zawsze* nie istnieje w mojej pracy.

Nina zrzuciła z siebie kołdrę, nie mogła myśleć, leżąc jak inwalidka. Usiadła na krawędzi łóżka, postawiła stopy na podłodze, wzięła głęboki oddech i wstała.

– Co pani robi? – zapytała detektyw.

Ninie zbyt mocno kręciło się w głowie, aby mogła odpowiedzieć. Podeszła do okna i rozsunała zasłony. Oślepiło ją przyćmione światło słoneczne przedzierające się przez brudne szyby. – Na którym piętrze jestem?

– Na dwunastym. Chirurgia ogólna.

– Która jest godzina?

– Pięć po dziewiątej.

– Wtorek?

– Tak.

Jej dziecko miało dwa dni. Nina spojrzała na kolorowe światełka w dole przesuwające się nie wiadomo dokąd w korku ulicznym. – Czy kobieta, z takich o których pani mówi, jest w stanie tak szczegółowo wszystko zaplanować?

– Co pani ma na myśli?

– To, że musiała zorganizować plakietkę wolontariuszki, wózek ze słodyczami i czasopismami, zdobyć informację o Vernie Rountree i jej mężu.

Nina odwróciła się od okna i zobaczyła, że Delgado wzrusza ramionami. – Nie musiała wcale dużo planować. Naprawdę. Mogła wziąć plakietkę z pokoju dla wolontariuszy, a w drodze powrotnej ją tam zostawić. Stamtąd też mógł pochodzić wózek. A co do Verny... nasza wolontariuszka przypuszczalnie nie wiedziała, że ona ma kłopoty z mężem, ale Verna miała na palcu obrączkę, więc... – Detektyw Delgado znów wzruszyła ramionami. – Improvizowała, odgrywała scenkę, tak jak wtedy, gdy zaproponowała pani batona. To typowe zachowanie dla osób niezrównoważonych psychicznie. Przez moment grała rolę wolontariuszki, teraz zamierza udawać matkę.

Nina znów spojrzała na detektyw Delgado siedzącą na krześle. – Ale dlaczego moje dziecko? Dlaczego... – Przerwała, czuła cisnące się do oczu łzy. Nie chciała płakać przy Delgado.

Detektyw wstała. Była wyższa niż Nina i potężniej zbudowana. Zza poły jej marynarki wyjrzała kolba pistoletu. – To po prostu pech – stwierdziła. – Był jedynym chłopcem w sali, zgadza się? – Nina przytaknęła. – I tyle – mruknęła detektyw Delgado. – Sprawdzimy wszystkie kobiety, które w przeszłości zrobiły coś takiego. Będziemy panią informować. – Detektyw odwróciła się, żeby wyjść.

– Ale trzeba zrobić coś więcej.

– Na przykład?

– Nie wiem. To pani jest policjantką i to pani powinna wiedzieć.

Oczy Delgado znów się zwięziły. – Do cholery! – warknęła i sięgnęła do kieszeni. Wyciągnęła z niej papierosy. Zapaliła, zaciągnęła się głęboko i rzuciła zapalną na podłogę. Dym wypuściła nosem. – Medycyna i psychologia mówią, że jestem uzależniona, jak narkomani. Ja wiem, co to jest uzależnienie. Codziennie mam z nimi do czynienia.. – Znów się zaciągnęła. – Czy ma pani pieniądze?

– Jakie pieniądze? – zapytała Nina, zastanawiając się przez chwilę, czy detektyw nie domaga się łapówki.

– Chodzi o pieniądze na nagrodę – odparła Delgado. – Za informacje pozwalające znaleźć dziecko. W ogłoszeniu o nagrodzie nie może być nic o więzieniu, aresztowaniu; żadnych pytań.

– Ile?

– Niedużo. Nie chcemy, żeby pomyślano, że pani jest bogata. Nie jest pani, prawda?

– Nie. Pięć tysięcy?

– Lepiej byłoby dziesięć. Ludzie są w stanie dużo zrobić za dziesięć tysięcy dolców, nawet coś dobrego.

Kiedy detektyw Delgado wyszła, Nina położyła się w łóżku. Musiała pomyśleć o tej nagrodzie, o jej wysokości i o najlepszym sposobie poinformowania o niej. Powinna się poradzić policjantki. Potem próbowała sobie przypomnieć definicję psychotyka, a zwłaszcza informacje na temat agresji u takich osób. Zamknęła oczy. Przysnęła. Usłyszała *dystyngowany głos* mówiący: „Może coś słodkiego, kochana?” Zadzwoił telefon. Nina zerwała się na łóżku i podniosła słuchawkę.

– Słucham?

– Do cholery, gdzie się pani podziewa? – rozległ się wysoki głos. – Jest dziewięta dwadzieścia trzy, a ja od dłuższego czasu próbuję się z panią skontaktować.

– Kto mówi? – spytała Nina, z wysiłkiem próbując się pozbyć resztek snu i skutków działania leków.

– Jak to kto? Coś z panią nie tak? Rozmawialiśmy wczoraj i pani powiedziała, że do mnie zadzwoni. – To był Ptasznik.

– O Boże.

– O Boże? Co to znaczy? Jestem w Conde Nast i najważniejsze spotkanie w moim życiu ma się rozpocząć za... cztery i pół minuty.

– Niech pan je przełoży na następny tydzień.

– Przełoży?! Co mam im powiedzieć?

– Cokolwiek. Niech pan powie, że umarła panu matka.

– Moja matka nie żyje od dziesięciu lat.

– Więc nie będzie to kłamstwo.

– Do diabła, niech mnie pani posłucha. Czy stosuje pani teraz szantaż? Czy próbuje pani wyciągnąć ode mnie więcej pieniędzy? Jeżeli tak, to jest to wysoce nieetyczne, a co więcej...

Nina odłożyła słuchawkę. Rozbudziła się już całkowicie. Zaczęła wstawać z łóżka. Drzwi gwałtownie się otworzyły i do pokoju wpadł Jason.

– Och, Nina! – jęknął. – O wszystkim słyszałem. – Objął ją. Zaczęła płakać, Jason też. Czują, jak jego łzy spływają jej po ramieniu. Przestała szlochać i poklepała go po plecach.

– Chcę stąd wyjść – powiedziała.

– Pewnie. Pomogę ci.

Trzydzieści minut później była już wypisana ze szpitala. – Gdzie chcesz jechać? – spytał Jason.

– Do domu.

W taksówce Nina powiedziała Jasonowi o nagrodzie.

– Dobry pomysł – przyznał Jason. – Dam ogłoszenia w gazetach, może trzeba będzie rozwiesić plakaty. Ale możemy zrobić coś jeszcze.

– Co?

– Masz pewne znajomości w tym mieście. Czas to wykorzystać.

– O czym myślisz?

– Sądzę, że taka wariatka... niezrównoważona kobieta, która była w stanie zrobić coś takiego, może nie czytać gazet i nie patrzeć na plakaty. Ale ogląda telewizję.

– Więc?

– Więc zadzwonię do Hy Morrisa.

Nazwisko brzmiało znajomo, ale Nina nie mogła dokładnie skojarzyć. Poczowała się nagle słabo, znikła czujność obudzona przez rozmowę z Ptasznikiem. Pozostał jedynie narastający strach i ból między nogami. – Kim jest ten Hy Morris?

– To ten facet z NBC – odrzekł Jason z pewnym zaskoczeniem.

– Ale on zajmuje się rozrywką.

– Będzie mógł cię wkręcić do wiadomości lokalnych. A tego chcemy.

– Tak? – Nina wyobraziła sobie siebie w telewizji, kolejne czterdziestopięciosekundowe ujęcie twarzy matki, która być może zdąży się rozplakać, zanim pojawi się relacja z pożaru na Bronksie albo w innej części miasta.

– Oczywiście, że tak – zapewnił Jason.

Czy była choćby minimalna szansa, by Jason miał rację? – Dobrze – zgodziła się Nina.

Taksówka zatrzymała się przed budynkiem, w którym mieszkała Nina. – Witam – rzucił Jules, kiedy otwierał drzwi. – Już z dzieckiem?

Nina nie była w stanie odpowiedzieć. – Wszystko będzie dobrze – powiedział do niego Jason, gdy go mijał.

– Czy coś... – Jules ugryzł się w język.

W mieszkaniu Jason od razu zaczął dzwonić z telefonu na korytarzu. Nina niczym kosmiczny śmieć przyciągany przez Słońce przepłynęła w kierunku gabinetu. Oczywiście, nie był to już gabinet, w ciągu ostatniego miesiąca przekształciła go w pokój dziecienny. Usunęła rower, biurko, komputer. Zastąpiła je białą kołyską z dorodnymi jabłoniemi na ramach, stelażem z lusterkami w różnych kształtach, stołem do przewijania, dużym pudłem z najmniejszymi pampersami i

równie gigantycznym pudłem ze zwykłymi pieluchami, gdyby dziecko okazało się uczulone na pampersy. Znalazły się tu także różne zasyпки, kremy, pudry.

I pluszowe zwierzątka. Miś polarny z małym niedźwiadkiem, pingwin, gęś ze złotym jajkiem, tygrys, słoń tak duży jak Nina, Kubuś Puchatek. Nina przypatrywała się temu wszystkiemu, kiedy wszedł Jason.

– Załatwione – poinformował. – Będą ogłoszenia w *News*, *Post* i w *Times*. Ekipa telewizyjna przyjedzie tu za godzinę.

Nina odwróciła się do niego. Był to jej partner biznesowy, z którym pracowała od pięciu lat, który śmiał się z jej dowcipów, a ona z jego, człowiek, u którego dostrzegła optymizm i chęć niesienia pomocy, jednak zapytała: – Gdzie jest Suze?

Jego spojrzenie posmutniało. – Nie mogę się z nią skontaktować. Jest w Los Angeles.

– W Los Angeles?

– W sprawie jakiejś artystki. Kobieta z galerii wyrażała się dość mętnie.

– Rzeźniczka... – mruknęła Nina.

– Co?

– Nic. Muszę się położyć.

Nina poszła do sypialni i leżąc w łóżku, zamknęła oczy i zobaczyła namalowane jabłonie uginające się pod ciężarem dużych i czerwonych jabłek, dużych i czerwonych jak jabłko, które Czarownica dała Królowie Śnieżce. Kiedy otworzyła oczy, Jason siedział na krześle obok toaletki, obserwował ją.

– Wracaj do biura, Jason. Nie jesteś mi potrzebny.

– Ale ci z *O piątej na żywo* zaraz tu będą.

– Poradzę sobie.

– Na pewno?

Nina przytaknęła. – Jesteś wspaniały.

Jason machnął tylko ręką. Podeszedł do łóżka, pochylił się i pocałował Ninę w policzek. – Nie przejmuj się, Nina. Znajdziemy go – powiedział łamiącym się głosem.

Jason wyszedł. Nina wstała z łóżka i podeszła do toaletki. W lustrze zobaczyła twarz swojej bliźniaczki, której życie było znacznie cięższe niż jej. Poprawiła makijaż i włożyła ciemną spódnicę i niebieski sweter, w takim odcieniu, w jakim lubią ludzie z telewizji.

Przyjechała ekipa z *O piątej na żywo*. Rozeszła się po całym mieszkaniu: kierownik produkcji, reporterka, kamerzystka, dźwiękowiec, oświetleniowiec, researcherka i kierowca do pomocy. Następnie skupili się w pokoju dziecięcym.

– Fatalnie, fatalnie – powtarzał kierownik.

Przez moment Ninie wydawało się, że mówi do niej, ale po chwili odezwał się oświetleniowiec: – Bez obaw. Ustawię reflektor w kącie i dam czterysta. Będzie dobrze.

Ekipa rozstawiała sprzęt, a dziennikarka spędziła dwadzieścia minut w łazience, poprawiając makijaż i uczesanie. – Koszmarnie wyglądam – stwierdziła po wyjściu z łazienki, kiedy researcherka szeptem próbowała zaznajomić ją ze szczegółami historii. – Wyjątkowo koszmarnie – powtórzyła, jeszcze raz korzystając ze szczotki do włosów.

– Wszyscy gotowi? – spytał kierownik.

Najpierw zrobili ujęcie reporterki. Stojąca poza zasięgiem kamery researcherka uniosła duże karty z tekstem. Reporterka zaczęła: – Znajduję się w pokoju dzieciennym w jednym z mieszkań na Manhattanie, należącym do... Stop! Stop! Jak się wymawia to imię? Na którą sylabę pada akcent?

– Na pierwszą – odparła researcherka i cicho dodała: – Już to pani mówiłam.

– Wcale nie – warknęła reporterka.

– Jeszcze raz – rzucił kierownik.

– Znajduję się w pokoju dzieciennym w jednym z mieszkań na Manhattanie, należącym do Niny Kitchener. W tym pokoju powinno być dziecko, ale jak państwo widzą... – Reporterka obróciła się do kołyski. – ... kołyska jest pusta. Koszmary nocne, jakie nawiedzają rodzące po raz pierwszy kobiety, stały się rzeczywistością. Zaledwie dzień po urodzeniu...

Po solowym występie reporterki przyszedł czas na wywiad. Oświetleniowiec skontrastował twarz Niny. Dźwiękowiec sprawdził poziom dźwięku. – Niech pani coś powie – poprosił. – Cokolwiek.

– Mówię – odezwała się do mikrofonu – mówię coś.

– Jest pani taka dzielna – powiedziała researcherka. Była to skromnie wyglądająca dziewczyna w okularach z grubymi szklami i z delikatnym głosem.

– Skąd pani ma ten sweter? – zapytała reporterka Ninę, a potem zaraz przeprowadziła krótki wywiad. Jej głos był chrapliwy, oczy – współczujące, pytania – pełne długich pauz. Robiła wszystko, żeby Nina rozplakała się przed kamerą.

Nina nie płakała. Odpowiadała na pytania cichym i spokojnym głosem. Skupiła się na przekazaniu informacji: jest nagroda, nie będzie żadnych pytań, a oto numer telefonu. Powtórzyła go dwukrotnie.

Kamera zrobiła ujęcie dziennikarki. Kobieta przytaknęła, spojrzała



zmartwionym wzrokiem, przytaknęła i znów popatrzyła ponuro. Potem odezwał się biper kierownika, researcherki i kierowcy. Ekipa zaczęła się pakować.

– Dzięki – rzucił kierownik z drzwi. – I życzę szczęścia. Dziewięćset trzydzieści tysięcy osób to obejrzy.

Dwadzieścia minut po piątej Nina była jedną z nich. Zobaczyła twarz drugiej Niny, tej, która ma cięższe życie, ale nie zamierzała się poddawać. Usłyszała jej głos podający numer telefonu, ale tylko raz; montażysta wyciął powtórzenie. – A teraz, Jed, oddaję ci głos. – Reporterka połączyła się ze studiem. Jed i współprowadząca program popatrzyli na siebie ze smutkiem. Jed powiedział: – Miejmy nadzieję, że sprawa szybko i szczęśliwie się zakończy.

– Miejmy nadzieję – dorzuciła zdawkowo kobieta. Rozpoczęła się migawka o włamaniu do sklepu.

Nina wyłączyła telewizor, ale siedziała przed nim, aż zadzwonił Jules. – Przepraszam, bardzo przepraszam, że panią niepokoję, ale przyszedł posłaniec z paczką dla pani.

– Co jest na niej napisane?

– Pani nazwisko i że jest z Kitchener & Best.

– Proszę przysłać go na górę. Zjawił się posłaniec i wręczył jej paczkę. Była w niej gruba koperta ze stu banknotami studolarowymi i notatka od Jasona: „Wyciągnąłem to z bieżącego konta”.

Nina z powrotem usiadła przed ciemnym ekranem telewizora. Na kolanach trzymała kopertę. Coś dziwnego poczuła w piersiach. Dotknęła sutka. Był wilgotny. Wiedziała, że trzeba odciągać mleko podczas separacji matki z dzieckiem. Ścisnęła pierś. Nic się nie pojawiło. Zadzwoniła do Centrum Kobiecego na West Side, ale nikt się nie zgłosił. Coraz mocniej ścisnęła piersi. Nie pojawiła się ani kropla mleka. Rozpłakała się. Za późno dla ekipy telewizyjnej.

Nina nie była jedynym widzem tego programu. Wkrótce po dziesiątej tego samego wieczoru, gdy stała przy oknie i myślała o butelce whisky w barku, zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę.

– Tak?

– Halo – rozległ się kobiecy głos, albo raczej dziewczęcy. – To pani była w telewizji w sprawie tego dziecka?

– Tak – potwierdziła Nina, ściskając słuchawkę obiema dłońmi.

– Czy to prawda z tą nagrodą?

– Tak.

- Dziesięć tysięcy dolarów?
- Tak, tak. Ma pani jakieś informacje dla mnie?

Nagle głos kobiety stał się przytłumiony, jakby zakryła mikrofon telefonu dłonią.

- Halo. Halo – odezwała się Nina. – Jest tam pani?
- Jestem – odparła kobieta. – Pieniądze gotówką?
- Tak.
- I żadnych pytań?
- Żadnych. Co pani wie o moim dziecku?

Kobieta znów stłumiła głos.

- Halo! Halo! – denerwowała się Nina.

– Jestem przy telefonie – rzekła zgnębionym głosem. – Niech pani przyjdzie do pizzerii Lumumba na Czternastej Wschodniej, piętnaście po jedenastej dziś wieczorem. Niech pani weźmie z sobą pieniądze. Przyjdzie sama. Inaczej nici z umowy.

- Ale co, jeżeli pani...

Rozmowa została rozłączona.

Nina zaczęła całą drzeć. Zerknęła na zegarek. 10:23. Poszukała pizzerii Lumumba w książce telefonicznej. Po adresie zorientowała się, że pizzeria musi się znajdować gdzieś między Pierwszą a Drugą Aleją. To był jeden z bardziej niebezpiecznych rejonów miasta. – Weź się w garść – powiedziała do siebie głośno. Zadzwoiła po taksówkę, chwyciła kopertę, którą przesłał jej Jason, i zjechała na dół.

Małomówny taksówkarz zawiózł Ninę do centrum. O 11:13 wysadził ją dwa domy od Pierwszej Alei przed budynkiem z mrugającym neonem: PIZZERIA LUMUMBA. Kiedy tylko Nina wysiadła z taksówki, zauważyła, że chociaż neon działa idealnie, to restauracja jest zabita deskami.

Nina rozejrzała się dookoła. Dopiero teraz poczuła, jak chłodno jest tej nocy. Silny wiatr przedzierający się między wysokimi budynkami wiał ze wszystkich stron. Na ulicy nie było żywej duszy, a połowa lamp ulicznych była potłuczona. Nina podeszła do czynnej latarni i zerknęła na zegarek. 11:17.

- Hej – usłyszała cichy głos. Kobięcy, albo raczej dziewczęcy.

Dochodził z za zachodniej ściany pizzerii. Nina, wciąż stojąc pod latarnią, spojrziała w ciemność. Nikogo nie zobaczyła.

- Ty – znów rozległ się szept.

Nina przeszła przed zabitym deskami frontem pizzerii. Z boku była wąska

alejka. Stała na niej piętnasto – może szesnastoletnia blada dziewczyna. Cofnęła się, kiedy Nina podeszła do niej, ale w mrugającym świetle neonu Nina zdążyła zobaczyć wytarty żakiet dziewczyny, jej zgarbioną sylwetkę, źle obcięte przetłuszczone włosy. Trzymała coś na rękach.

– Czy to pani? – spytała dziewczyna. – Z telewizji?

– Tak. Co tam masz?

– Ja...

– Zamknij się – warknął mężczyzna stojący gdzieś z tyłu. Było zbyt ciemno, aby Nina mogła go zobaczyć, ale po głosie mogła powiedzieć, że był znacznie starszy od dziewczyny i brutalny. – Najpierw pieniądze – wyrzucił z siebie.

– Ja nic nie chciałam powiedzieć, Ray – tłumaczyła się dziewczyna.

– Właśnie powiedziałaś moje imię, głupia dziwko. Najpierw bierzemy forszę. – Ręka, ciemna i owłosiona, wysunęła się z cienia. W tym samym momencie z zawiniątka w ramionach dziewczyny rozległ się płacz.

– Daj mi dziecko – nakazała Nina.

Na twarzy dziewczyny odrysował się strach. Cofnęła się.

– Najpierw forsa – powtórzył mężczyzna. – I żadnych pytań. Taka była umowa.

Nina chwyciła dziewczynę za nadgarstek, żeby ta nie mogła uciec, a kopertę z pieniędzmi wcisnęła w wyciągniętą dłoń. Zapaliła się zapalniczka i zaszeleściły banknoty.

– Okej – mruknął mężczyzna. – Daj jej.

Dziewczyna podała Ninie dziecko. Potem ona i mężczyzna szybko uciekli alejką i zniknęli w ciemnościach. Nina wyszła na ulicę i skierowała się w stronę światła, mocno trzymając dziecko.

– Wszystko w porządku, słoneczko? – zapytała.

Dziecko płakało.

Pierwsze, co Nina spostrzegła w świetle lampy, to brudne i zakrwawione prześcieradło, w które owinięto dziecko. Spojrzała na nie i zobaczyła, że to nie jej syn.

To niemowlę było Mulatem. Nina omal nie dostała pomieszania zmysłów. Czy to tylko przywidzenie? Rozerwała prześcieradło i stwierdziła, że to dziecko jest dziewczynką.

Zwierzęcy krzyk wyrwał się z ust Niny. Dziecko poruszyło się i zaczęło rozpaczliwie płakać. Ninie nie pozostało nic więcej, jak przytulić je mocno do siebie. Nawet zaczęła je kołysać.

Nie lubię NBC – przyznał Fritz, zerkając na telewizor. – Jeżeli to ta stacja z pawiem.

Czy oni mają wciąż pawia jako logo? – zastanawiał się Happy. Nie mógł sobie przypomnieć.

– Paw to bardzo głupi ptak i wcale nie taki ładny – dodał Fritz. Na ekranie telewizora czarna rodzina obżerała się radośnie *Big Macami*. Fritz zmarszczył czoło.

Byli w domku, w zimne listopadowe popołudnie. Happy na swoim ruchomym łóżku przed kominkiem, Fritz za stołem kuchennym z surowego drewna. Fritz przez ostatnie kilka godzin zbierał dynie, podczas gdy Happy leżał w swoim łóżku obok poletka z dyniami i obserwował, jak silny zachodni wiatr przesuwają chmury po niebie. Wiatr stawał się coraz zimniejszy. Happy zaczął się trząść, ale Fritz tego nie zauważył. Przyniósł tylko Happy'emu dynie do podziwiania.

– Czyż ta nie jest piękna? Czy widziałeś kiedykolwiek ładniejszą? Ogród był dla nas w tym roku łaskawy, bardzo łaskawy. Oczywiście, pracowaliśmy ciężko, prawda? A ciężka praca przynosi owoce.

Happy bez przerwy się trzął. Dopiero kiedy niebo pociemniało, Fritz zabrał go do domku.

Teraz Fritz odciął czubek dyni i wydobyl pestki. Lekko je posolił i przypiekl nad ogniem. – Pyszne – rzekł, smakując jedną z nich. Potem spojrzał na Happy'ego i westchnął, być może na widok butelki nad łóżkiem zawierającej całe jego pożywienie. Usunął się Happy'emu z oczu. Happy uwielbiał pestki dyni, lekko posolone, takie, jak Fritz przyrządzał na Halloween wiele lat temu.

Fritz umieścił Happy'ego tak, żeby mógł patrzeć na ogień. Po chwili widok płomieni zmęczył jego wzrok, próbował oglądać telewizję. Telewizor stał w rogu pokoju, Happy widział ekran pod kątem. Łóżko należałoby przesunąć o kilka stóp w prawo. Fritz wrócił i otworzył butelkę Schloss Groenesteyn, napełnił kieliszek i powoli popijał wino. Nie zauważył, że Happy'ego trzeba trochę przesunąć.

– Witamy państwa – powiedziała kobieta na ekranie telewizora. – Bonnie Bascom...

– I Jed Turaine – dodał mężczyzna. – Zaczynamy „O piątej na żywo”.

Rozległa się szybka muzyka, a na ekranie migotały szybko zmieniające się obrazy miasta. Potem kamera pokazała twarz Bonnie. – Naszym głównym tematem

dnia są nowe rewelacje dotyczące „skandalu homarowego”. Ale najpierw poprosimy Geddy'ego o krótką informację o pogodzie.

– Dziękuję, Bonnie – powiedział Geddy. – Drodzy państwo, trzeba będzie zapiąć płaszcze...

Kątem oka Happy oglądał prognozę pogody, potem zainteresował się „homarowym skandalem”, dowiedział się co nieco o skutkach zatrucia oceanów dwufenylem polichlorowym, obejrzał historię o bezdomnym, który wygrał fortunę na loterii, ale los dał kobiecie, która twierdzi, że ten los pożarł jej pies, a potem oglądał pożar na Bronksie. Już zaczął myśleć, że równie dobrze mógłby oglądać ogień w kominku, kiedy na ekranie pojawiła się piękna kobieta. Ciemne oczy dominowały na jej twarzy, wyrażały siłę, zdradzały bolesne, z trudem kontrolowane przeżycia, których Happy nie rozumiał, ale które go niepokoiły. Zza kamery padło pytanie dziennikarki:

– Więc pani mówi, że pani jednodniowe... zaledwie jednodniowe, zgadza się?

– Tak – odparła ciemnooka kobieta.

– Pani jednodniowe dziecko zostało po prostu porwane z sali noworodków szpitala?

– Tak.

– Pani Kitchener, co pani czuje?

Kamera skupiła się na twarzy pani Kitchener. Happy'emu zdawało się, że dolna warga pani Kitchener lekko drży, bardzo lekko, ale nie widział tego dokładnie, bo nie mógł poruszyć ani głową, ani gałkami ocznymi.

– Trudno mi opisać moje uczucia – wyznała ciemnooka kobieta. – Bardzo chcę, żeby moje dziecko wróciło do mnie, niczego bardziej nie pragnę. I chcę, wykorzystując okazję, powiedzieć o nagrodzie w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów dla osoby, która pomogłaby mi odzyskać moje dziecko. Nagroda zostanie wypłacona bez stawiania żadnych pytań. – Kobieta podała numer telefonu. Kiedy to robiła, kamera pokazała potakującą reporterkę. Potem ona też powiedziała:

– Dziękujemy pani Kitchener, że chciała podzielić się z nami swoim bólem. A teraz, Jed, oddaję ci głos.

Jed i Bonnie z troską rozmawiali o tym porwaniu. Potem było o wypadku. Fritz wyłączył telewizor.

– Śmieci – orzekł. – Kultura śmietniska. – Happy zauważył, że twarz Fritza, zwykle blada i przezroczysta, zrobiła się różowa. Nalał sobie kolejny kieliszek wina. Jego dłoń trzęsła się lekko, nawet bardziej niż lekko – szyjka butelki kilkakrotnie uderzyła o brzeg kieliszka. Fritz był bardzo starym człowiekiem.



Siadaj na dupie – zaskrzeczał Chick, kiedy wszedł sierżant Cuthbertson z Wydziału Kryminalnego.

Sierżant uśmiechnął się. Miał piękny uśmiech niczym osoba reklamująca pastę do zębów, ale on nikogo nie chciał nim oczarować. Ten uśmiech wydawał się jeszcze jaśniejszy ze względu na kolor skóry mężczyzny. Sierżant Cuthbertson był jednym z tych mieszkańców wysp, którzy nie mieli domieszki krwi handlarzy niewolników. I miał na sobie mundur: nienagannie czystą białą koszulę z czerwoną lamówką, spodnie z ostrym kantem i czerwonymi lampasami, a na głowie kapelusz z rondem z lakierowanej skóry. – Czy to papuga z Saint Lucia?

– Nie wiem – odparł Matthias.

– A skąd ją pan ma?

– Ktoś kilka lat temu zostawił mi ją jako prezent.

– Chyba na pewno to papuga z Saint Lucia – powiedział sierżant Cuthbertson, przyjrzawszy się Chickowi dokładniej. – Albo to gatunek o nazwie Imperial, z Dominiki. – Chick przesunął się na żerdzi. – Równie rzadki – dodał sierżant.

– Tak? – zdziwił się Matthias.

– I równie zagrożony – rzekł sierżant Cuthbertson. – Eksport, handel i sprzedaż tych gatunków są nielegalne. Kwitnie przemyt zwierząt, panie Matthias.

– I ziół.

Jeśli sierżant zrozumiał dowcip, nie okazał tego. – Niejednego już za to aresztowałem – ciągnął. – Naszym obowiązkiem jest ochrona dóbr kultury i zagrożonej przyrody.

– Zgadzam się, sierżancie – rzekł Matthias. – Ale Chick bardziej sam zagraża, niż jest zagrożony.

Sierżant Cuthbertson już się nie uśmiechał. W każdym razie jego uśmiech niewiele znaczył. Cuthbertson, którego Matthias znał tylko ze słyszenia, dokonał więcej aresztowań za narkotyki, kradzieże i napady niż jakikolwiek inny policjant; kilka lat temu zszokował opinię publiczną, składając doniesienie na osobę, która chciała go przekupić. – Panie Matthias, kiedy dokładnie dostał pan tego ptaka?

– Nie pamiętam. Sześć albo siedem lat temu. Czy przyleciał pan tu tylko po to, żeby wypytywać o tę papugę? – Hydroplan sierżanta stał przycumowany przy nabrzeżu, łagodnie kołysał się na wodzie.

Sierżant usiadł na barowym stołku. Plecy trzymał wyprostowane. – Panie

Matthias, gdyby dokładnie była znana data, zgodnie z prawem sprawa mogłaby ulec przedawnieniu.

– To dobrze – rzekł Matthias, siadając dwa stołki dalej. – Nie sędzę, żeby Chick marzył o życiu w lasach Saint Lucii. To nie dla niego.

Sierżant patrzył na papugę przez chwilę. – W jego oczach jest coś niezwykłego – zauważył.

– O tak, najbardziej nikczemny wzrok, jaki widziałem – przyznał Matthias.

– Czy jest przywiązany do żerdzi?

– Nie.

– To dlaczego nie odfrunie?

– Nikt tego nie wie.

– A czasami lata po pomieszczeniu?

– Nigdy – odparł Matthias. – Może piwa?

– Dzięki. Nie teraz.

– Stawiam.

To wywołało uśmiech na twarzy sierżanta. Mogło to być nawet trochę zabawne.

– Teraz – rzekł sierżant Cuthbertson – to chciałbym porozmawiać z pańskim instruktorem. – Zerknął do notatnika. – Czy to pan Wickham, czy pan McGillivray?

– McGillivray. Musi pan poczekać kilka minut.

– Czemu?

Matthias pokazał na morze. *Two Drink Minimum* z Brockiem przy sterze wolno opływała Gun Point. Powietrze było tak przejrzyste, że Matthias widział zielone butelki piwa, które Moxie podawał nurkom na dziobie. W poprzednim roku Moxie pomalował łódź w kolory tęczy. Matthias i sierżant Cuthbertson patrzyli na tęczową łódź, bładoniebieską zatokę i zielone butelki.

– Podwodny świat – oświadczył Cuthbertson – to bez wątpienia najlepszy element życia naszego małego narodu.

Matthias poczuł spojrzenie sierżanta na sobie. – Tak mówią – odparł. W ciszy, która na moment zapadła, prawie nigdy nie przekraczana granica między białymi a czarnymi nie została przekroczona.

Wszedł Brock. – Witam – rzucił. – Czekacie na mnie?

Zatrzymał się przy wejściu na basen, prawie dotykając głową palmowych liści. Wciąż mokre rudawe włosy opadały mu na złocistobrązowe ramiona. Miał na sobie tylko kąpielówki i łańcuszek na szyi.

– Nie przepuszczam, żeby pan miał pozwolenie na pracę – powiedział sierżant



Cuthbertson.

– Mógłbym głupio żartować – odrzekł Brock – ale nie zrobię tego. Chce pan zobaczyć moje pozwolenie?

– Proszę.

Brock wyszedł. Kobieta, która była na łodzi, mająca na sobie niewiele więcej niż on, spojrziała na niego dwuznacznie. Brock obdarzył ją uśmiechem, który mógł nic nie znaczyć. Nie po raz pierwszy Matthias pomyślał, że nurkowanie na głębokości czterdziestu czy pięćdziesięciu stóp i łapanie oddechu mogą być niezłym afrodyzjakiem.

– O co chodzi, sierżancie? – spytał Matthias. – Wszystko jest w porządku z pozwoleniem na pracę dla Brocka.

– Pewnie tak – odparł Cuthberston – ale na początek lubię sprawdzić takie pozwolenia.

– A później?

Sierżant patrzył na kobietę opalającą się przy basenie. Obróciła się na plecy nie kłopotując się, by zapiąć stanik. Oczy sierżanta niczego nie zdradzały. Wentylator rozcinał powietrze.

– Czy kiedykolwiek był pan we Francji?

– Nie – odparł Matthias, zastanawiając się, czy sierżantowi przyszło do głowy St. Tropez lub podobne miasto.

– Ja też nie. I wcale tego nie pragnę.

– Dlaczego nie?

– Nie chciałbym mieć do czynienia z tymi ludźmi z Sûreté.

– Co to jest ta Sûreté?

– Ich policja. Zwłaszcza chciałbym uniknąć pana Perrault. Obywatele francuscy wydają się dla niego wyższą formą życia. Nawet martwi.

Słaba nadzieja obudziła się w Matthiasie. – Czy to znaczy, że on wie, kim był ten facet, który poszedł na dno?

Cuthbertson pokręcił głową. – Właśnie tego on chciałby się dowiedzieć. Bez przerwy przysyła depesze. Pogania nas... – Sierżant Cuthbertson zdjął kapelusz i położył go na barze. – Czy nic już nie może wypłynąć na powierzchnię?

– Po takim czasie?

– To niemożliwe?

– Raczej nie. Tam jest prawie pięć tysięcy stóp.

– Tak głęboko?

– W niektórych miejscach.

Sierżant zapisał coś w notatniku. Wciąż pisał, kiedy wrócił Brock ubrany w wyblakłe szorty i koszulkę z reklamą Broken Hill Lager. – Proszę – mruknął, podając sierżantowi swoje pozwolenie na pracę.

Cuthbertson obejrzał je uważnie. – Wszystko w porządku – stwierdził. – Ale to dość niezwykle.

– Dlaczego?

– Obecnie wydaje się niewiele takich pozwoleń dla płetwonurków z zewnątrz. Rząd chce w ten sposób zachęcić do szkolenia własnych specjalistów.

– Pozwolenie dostałem jakieś dwa lata temu – powiedział Brock.

– Zauważyłem – odparł sierżant.

– Brock ma wysokie kwalifikacje – wskazał Matthias, próbując nie dopuścić do żadnych pytań na temat przepisów imigracyjnych. – Dzięki niemu Moxie zdobył stopień instruktorski, trenuje też chłopaków z Conchtown.

– Świetnie, świetnie – skwitował to sierżant Cuthbertson. – Ale jak już mówiłem, nie jestem tutaj w sprawie pana Gillivraya. Jestem tutaj na prośbę władz francuskich. Muszę dowiedzieć się czegoś więcej na temat zaginionego mężczyzny.

– Tego Francuza? – spytał Brock. – Już mówiłem temu drugiemu sierżantowi, który był tu już wcześniej, że...

– Sierżantowi Morse'owi?

– Chyba tak. Powiedziałem, że nie pamiętam nazwiska z karty. Tak naprawdę to nie przyglądam się nazwiskom. Najważniejsza jest sama karta.

– A ta karta to była... – Sierżant Cuthbertson szukał w notatniku.

– FFSA – wtrącił Brock. – *Fédération Française des Sports Aquatiques* – wyrzucił z siebie płynnie.

– Karta FFSA – powtórzył sierżant. – Jak pan rozpoznał, że jest autentyczna?

– Widziałem wiele takich kart. Przez rok nurkowałem w Ajaccio. – Sierżant zmierzył Brocka takim samym spojrzeniem jak wcześniej Matthiasa. – To na Korsyce – wyjaśnił Brock.

Matthias w tym momencie nie odezwałby się, ale Brock był od niego o piętnaście lat młodszy i nie spędził ani dnia na wyspie Pinos.

– Doprawdy? – zaciekawił się sierżant.

– Tak. Miałem więc do czynienia z francuskimi nurkami. Kiedyś pracowałem nawet z ludźmi Cousteau. Mam od nich list polecający w moich dokumentach. Chce go pan zobaczyć?

– To nie jest konieczne. Wystarczy mi, że zna pan ten rodzaj kart. Nawiasem

mówiąc, czy są na nich numery?

– Nie jestem pewien. Chyba są – odparł Brock.

Sierżant Cuthbertson zwrócił się do Matthiasa: – Czy w rachunku za wypożyczenie butli był zapisany numer tej karty?

– Nie. Tylko: „domek szósty”. Ale policja już to wszystko sprawdzała. Rachunek był jednym z dowodów rzeczowych, myślę, że wciąż znajduje się w sądzie.

– Panie Matthias, tej sprawy nigdy nie traktowano jako przestępstwa kryminalnego. Cały czas mamy do czynienia z procesem cywilnym. Ja tylko współpracuję z władzami francuskimi. Początkowe próby dowiedzenia się czegoś o zaginionym Francuzie od krewnych i przyjaciół pana Standisha zawiodły, a we Francji nikt nic o nim nie wie. Tak więc pana informacje mogą być bezcenne.

Brock, tak jak poprzednio sierżantowi Morse'owi, przekazał wszystkie szczegóły: Tak, pracował w klubie tego dnia, kiedy Standish przyleciał tu ze swoim kolegą; Matthias był wtedy w Miami w interesach. Przylecieli wyczarterowanym samolotem z Nassau późnym popołudniem. Zarezerwowali nurkowanie na następny dzień. Jak sobie Brock przypominał, Francuz był niski i chudy. Miał czterdzieści, czterdzieści pięć lat. Brock nie zapamiętał zbyt dobrze jego twarzy. Wieczorem Moxie napełnił butle. Następnego dnia rano, przed śniadaniem, obaj mężczyźni odплыnęli *Who Cares*, jak to wcześniej ustalono. Kiedy zbyt długo nie wypływali, Moxie spuścił łódkę i znalazł Standisha pływającego twarzą w dół na powierzchni wody. Po drugim mężczyźnie nie było ani śladu. Zaczął reanimować Standisha.

Sierżant Cuthbertson zapisał te fakty w swoim notatniku. – Jak długo pracował pan tutaj?

– Od miesiąca. Zgadza się, Matt?

– Tak. – Pewnego gorącego popołudnia na początku sierpnia zjawił się w barze z workiem marynarskim na ramieniu. Matthias zatrudnił go jeszcze przed obiadem.

Sierżant Cuthbertson to też zapisał. Potem przewrócił kartkę i przez chwilę uważnie czytał. – A co z bagażem, panie McGillivray?

– Jakim bagażem?

– Przecież jedna z pokojówek zeznała, że widziała bagaż w domku numer sześć, kiedy zmieniała pościel.

Brock wzruszył ramionami. – Ja nie widziałem żadnego.

Sierżant Cuthbertson zamknął notatnik. – Dziękuję, panie McGillivray – powiedział.

– To wszystko?

– Tak, wszystko.

Brock wyszedł, żeby się przygotować do popołudniowej wycieczki. Sierżant obserwował go, jak wychodzi. – Panie Matthias, ile on ma wzrostu?

– Na oko sześć i pół stopy. A jak z tym piwem, sierżancie?

– Nie dzisiaj.

Matthias odprowadził sierżanta Cuthbertsona na nabrzeże. Ścieżka wysypana była muszlami; wypastowane buty sierżanta kruszyły je, gdy szedł. Rozlegał się hałas, jakby maszerowała cała armia. – Panie Matthias, a cóż to za ściana, o której wszyscy opowiadają?

– To uskok geologiczny. Prawie pionowa stromizna. Nie schodząc zbyt głęboko pod wodę, można w tym miejscu obserwować różnorodne formy życia.

– I to jest taka atrakcja?

– No tak.

Pilot hydroplanu otworzył drzwi. Sierżant Cuthbertson wszedł na pływak, a potem do kabiny samolotu. Kiedy się już tam znalazł, powiedział: – Sprawdziliśmy kartę PADI pana Standisha. Dostał ją w sklepie dla nurków w Fort Lauderdale w przeddzień swojego przyjazdu tutaj.

– Naprawdę?

Sierżant Cuthbertson podał mu kartkę: fotokopię karty Hirama Standisha. Pilot uruchomił wtedy silniki, zrobił kółko i oderwał się od wody. Po chwili samolot znikł w błękicie nieba.

Matthias wrócił ścieżką. Spotkał Krio, dredy kołysały mu się na głowie, w ręku trzymał zakrwawiony tasak.

– Telefon – rzucił Krio.

Jedyny aparat był w biurze. – Matthias przy telefonie – powiedział, kiedy podniósł słuchawkę.

Nikt nie odpowiedział.

– Halo – denerwował się Matthias. – Czy ktoś tam jest?

Już miał odłożyć słuchawkę, kiedy rozległ się głos:

– Jestem nieszczęśliwy.

Był to Danny.

Lauderdale. Sklep ze sprzętem do nurkowania znajdował się trzy przecznice od miejskiej przystani, między sklepem monopolowym a antykwariatem, wszystkie trzy budynki wymagały natychmiastowej interwencji malarza. Matthias zaparkował i przyjrzał się odbitce karty nurka Hiram Standisha, którą dał mu sierżant Cuthbertson. Karta potwierdzała, że Hiram Standish ukończył podstawowy kurs nurkowania, z i bez aparatu, w wymiarze dwudziestu dwóch godzin. Została podpisana przez Hiram Standisha, nurka, i Wendella Minnsa, instruktora.

Matthias wszedł do środka. Był w wielu sklepach ze sprzętem dla nurków. Na pierwszy rzut oka mógł je zaklasyfikować. Ten miał typowy asortyment: skafandry, kombinezony, aparaty tlenowe, mierniki, regulatory, lampy, baterie, płetwy, maski, zegarki, ale niewiele więcej, a wszystko w nie najlepszym gatunku. Jednak ceny nie były wcale takie niskie, pewnie podnosiło je zdjęcie Valerie Taylor z maską ściągniętą na czoło.

Tylnymi drzwiami wszedł mężczyzna, wycierając dłonie w dżinsy. – Zapraszam. – Stał za ladą, spojrzął do otwartej szuflady kasy i zamknął ją. – Interesuje pana coś szczególnie?

– Raczej ktoś – odparł Matthias. – Instruktor nurkowania o nazwisku Wendell Minns.

– Chce pan się zapisać na kurs?

– Nie. Chcę tylko porozmawiać z Wendellem Minnsem.

– O czymś szczególnym?

– O Hiramie Standishu juniorze.

Mężczyzna jeszcze bardziej zmrużył oczy. – Kto to jest?

– Pan Minns będzie wiedział.

– Skąd?

– Bo sierżant Cuthbertson z Wydziału Kryminalnego już z nim rozmawiał o tym człowieku.

Tamten zdawał się skupić na myśleniu. W końcu spytał: – Jest pan prawnikiem czy co?

– Czy wyglądam na prawnika?

Mężczyzna przyjrzał się Matthiasowi uważniej. – Nie.

– Jestem nurkiem z Andros. Po prostu chcę się o nim czegoś więcej dowiedzieć, to wszystko.

Tamten myślał jeszcze bardziej intensywnie. – To ja jestem Wendell Minns – wydobył po chwili z siebie. – Ale już powiedziałem temu czarnuchowi wszystko, co wiem.

– Ma pan na myśli sierżanta Cuthbertsona? – spytał delikatnie Matthias.

– Słucham?

– Nic.

Wendell Minns był jednym z tych instruktorów, którzy udowodniali, że nie trzeba być dobrze zbudowanym, aby zostać nurkiem. Miał nalaną twarz, wąskie ramiona, ściśniętą klatkę piersiową i wystający brzuch, który wydawał się twardy jak piłka do koszykówki.

– Musi pan chwilę poczekać – rzekł Wendell Minns, zamykając kasę. – Kompresor.

Wyszedł tylnymi drzwiami. Matthias poszedł za nim. Minns miał starego worthingtona, do którego podłączył parę butli. Spojrzał na ciśnieniomierze, wyłączył kompresor i odłączył butle. Butle miały limit ciśnienia 3000 p. s. i. Matthias był na tyle blisko, że mógł odczytać wskazania ciśnieniomierzy: 2400 i 2350. Oszukiwanie klientów na tlenie nie dawało Minnsowi zbyt dużego zysku i mogło być ryzykowne, ale najwyraźniej należał do tych ludzi, którzy oszukują, kiedy tylko mają taką okazję.

Minns wyciągnął butle z cieczy chłodzącej, jedną z nich uderzył się w kolano. – Kurwa mać – warknął. Ustawił je w rzędzie pod ścianą z innymi butlami, stawiał je mocno, jakby chciał ukarać je za swoje bolące kolano.

– Któraś może się zrewanżować i wybuchnąć – zauważył Matthias.

Minns odwrócił się i przeszył go wzrokiem. – A co ma pan wspólnego z tym jakimś Hiramem?

Matthias spojrzał w jego ukryte za zmarszczkami oczy. Oczy mężczyzny niezbyt rozgarniętego, który spędził dużo czasu nad wodą, ale też był bardziej przebiegły i wyrachowany, niż powinien być.

– Jestem z *Andros Hotel Association* – powiedział Matthias. Lubił brzmienie tej nazwy. – Przysłali mnie, żebym dowiedział się czegoś o Standishu. Nie chcą złej prasy.

– Jak już mówiłem temu czarnu...

– Wiem. Ale dla niego to nie jest najważniejsza sprawa i nie ma czasu, żeby zapoznawać nas ze szczegółami. Mam nadzieję, że pan będzie miał więcej wolnego.

Minns zerknął na zegarek. – Zaraz zamykam sklep i idę na lunch. Matthias

szukał magicznego słowa. – Stawiam – spróbował.

– Taa? – Minns znów głęboko się zamyślił. – Czemu nie?

Jedli u Ala. Al zatrudniał barmana, prostytutkę i kelnerkę, wszyscy oni powitali Minnsa bez szczególnego entuzjazmu. Lokal miał „morski” wystrój: sieci rybackie, boazeria z surowego drewna, zardzewiałe kotwice, harpuny i łańcuchy, powietrze pachniało morzem, przynajmniej tym z zatoki Lagos. W żadnej restauracji Matthias nie odczuł tak silnie atmosfery żeglugi jak tu, zwłaszcza że sala udawała wnętrze ładowni statku niewolniczego.

Z szafy grającej płynęły dźwięki *Dixie Duane'a Eddy*. Pojawiła się zatłuszczona karta dań. Minns zamówił podwójną porcję frytek, dwa cheeseburgery i duże piwo. Matthias, upewniwszy się, że ryba jest z puszki, zamówił kanapkę z tuńczykiem.

– A do picia? – spytała kelnerka.

Najchętniej napiłby się wody, ale uznał, że Minns wolałby, żeby i on zamówił piwo. – To samo – powiedział do kelnerki.

Najpierw zjawiło się piwo. Minns jednym haustem wypił połowę, a potem wytarł usta w kotwicę wytatuowaną na lewym przedramieniu. – Andros, tak? – mruknął. – Zadupie i szambo Karaibów.

Po pierwsze, takie porównanie było wyświechtane. Po drugie, Bahamy nie leżą na Karaibach, ale na Atlantyku. Po trzecie, widział wiele wytatuowanych kotwic, ale ta tutaj wyjątkowo nie pasowała do sflaczałej skóry na ręce.

– Dlaczego szambo?

– No wiesz – zaczął Minns, przechodząc na ty. – Brzydko i pełno robactwa.

– Nad wodą nie jest tak źle.

Minns przybrał przebiegły wyraz twarzy. – A co masz mówić, żyjąc z turystów?

– Trafiłeś.

Minns roześmiał się łaskawie, jakby był specjalistą od błyskotliwych dialogów. Zamówił kolejne piwo. – Dwa – krzyknął za kelnerką. – Suszy mnie dzisiaj – przyznał się Matthiasowi. – Chyba po popcornie.

– Trzeba to wyrównać.

Minns zmierzył go wzrokiem i po chwili znów próbował nawiązać kontakt ze swoim wewnętrznym ja, ale już chyba piwo zaczęło przejmować nad nim kontrolę. – No dobrze – zaczął, trzymając ketchup nad frytkami i uderzając w dno butelki – chcesz się czegoś dowiedzieć o tym gościu, Hiramie...

– Zgadza się.

Z butelki wydostała się najpierw duża gula, a potem ketchup popłynął

strumieniem. Minns był zadowolony. – Więc pytaj. – Szeroko otworzył usta, aby włożyć do nich frytki na widelcu, które przypominały teraz jakąś zakrwawioną ośmiorniczkę. – To ty stawiasz.

– Jakim był uczniem?

– Uczniem?

– Na tym kursie nurkowania. W teorii, na basenie, na otwartej wodzie.

– Otwartej wodzie?

– Miał przecież dwadzieścia dwie godziny zajęć. Musiałeś go szkolić na otwartej wodzie.

Wendell Minns dopił swoje trzecie piwo. Nie dociekał, skąd pochodzi i dokąd może prowadzić ta informacja Matthiasa. Wychylił się i poufale spytał: – Powiedziałaś, że jesteś nurkiem, tak?

– Zgadza się.

– Prowadzisz kursy?

– Kiedyś prowadziłem.

– A nie zdarzyło ci się, że ktoś na gwałt potrzebował karty, na przykład przed wakacjami?

– Możliwe.

Minns wychylił się jeszcze bardziej. Żarówka w zakurzonej szklanej kloszu w kształcie sflawika oświetlała jego zatłuszczone wargi, zielonkawe światło sprawiało, że jedzone przez Minnsa frytki wydawały się Matthiasowi jakimiś obrzydliwymi gadami. – Możliwe... – mruknął Minns. – Każdemu instruktorowi to się musi przytrafić. Mam rację?

– Masz.

– Co wtedy robiłeś?

– Kiedy?

– Wtedy, gdy jakiś palant chciał szybko zdobyć kartę.

– To, co chyba robią wszyscy instruktorzy.

Minns znów się roześmiał, śmiechem, który towarzyszył jego zwycięstwom w potyczkach słownych. – Pewnie, że tak, facet. – Wyciągnął rękę. Matthias uściśnął ją. Ciepła wilgotna dłoń pulsowała językiem ciała, sugerowała nieuczciwość, perwersję, złodziejską i pokrętną naturę. Po uścisku Matthias z trudem powstrzymał się od wytarcia ręki w serwetkę. Zamówił piwo, dla siebie drugie, dla Minnsa czwarte. Minns uważnie przypatrywał się dwóm dużym kufłom na tacy. Dla niektórych ludzi piwo za darmo oznacza nie tylko oszczędność, ale także zwalnia ich z poczucia odpowiedzialności.



Minns wypił łyk, stęknął, usiadł wygodnie i położył ręce na swoim twardym brzuchu.

– Ile właściwie godzin z nim miałeś?

– Godzin?

– No z tym Hiramem.

– A. – Minns uśmiechnął się. Znow pojawiał się przebiegłe spojrzenie, teraz trochę niepewne. – Sprawdziłem go raz na basenie.

– Raz na basenie?

– Taa. Ale długo go tam trzymałem. Dla niego zdecydowanie za długo, on nie przepadał za wodą. Łatwo i przyjemnie skasowałem te swoje trzysta dolców, no, było trochę teorii, w ich pokoju. Śmieszne, ale oni naprawdę znali teorię. Już wcześniej. Oszołomienie, embolia, ciśnienia cząstkowe, o tym wszystko oni wiedzieli.

– Oni?

– Hiram i ten jego kumpel. Taki mały zabojad. Zatrzymali się w Tangiers. To niedaleko stąd. Jest tam basen.

– Żabojad?

– No taki *Francuzik*.

– Skąd wiesz, że był to Francuz?

– Widziałem jego paszport. Leżał na stole i było tam napisane: Francja. Ja wszystko zauważę... mówiłeś, że jak się nazywasz?

– Nero. Howie Nero.

– Miło było cię poznać, Howie. – Minns wyciągnął rękę nad stołem. Matthias musiał znow ją uścisnąć.

– Skoro jesteś taki spostrzegawczy – rzekł Matthias – to zobaczyłeś jego nazwisko?

– Czyje?

– Tego Francuza.

Wendell Minns popadł w głęboką zadumę. Zamknął nawet oczy i zmarszczył twarz. – Ten kot... – zastanawiał się.

– Jaki kot?

Minns otworzył oczy, ale jego czoło pozostało zmarszczone. – Z komiksów. Miał takie śmieszne imię.

– Garfield?

Minns niecierpliwie pokręcił głową. – Nie. Wcześniej. Dużo wcześniej.

– Sylwester?

- Jaki Sylwester?
- Ten kot z kreskówki. Był tam też ptaszek Tweety.
- A tak. Ten kot bez przerwy chciał się dorwać do klatki. Śmieszny.
- Więc tak miał na imię?
- Jak?
- Sylwester?
- Nie. Ten kot nie wyglądał jak Sylwester. Mniejszy i nie taki kudłaty.
- Kudłaty?
- Chudszy i starszy.
- Starszy?
- To znaczy był wcześniej.
- Chcesz powiedzieć, że ta postać pojawiła się wcześniej?
- Taa.
- Felix? Kot Felix?

Wendell Minns walnął dłonią w stół. – Felix! Bingo! Kot Felix! – Minns wziął kufel i pociągnął duży łyk, jakby ciężko zapracował na to piwo.

- Więc kolega Hiram nazywał się Felix?

Minns odstawił kufel, dokładnie na tym samym miejscu, gdzie stał poprzednio.

- Właśnie to ci powiedziałem.

- Felix, a dalej?

- Co dalej?

- Jakie było nazwisko tego Felixa?

Minns zamrugał oczami. – Tego kota?

- Nie kota, przyjaciela Hiram.

- A skąd mam wiedzieć?

- A skąd wiesz, że miał na imię Felix?

– Jezu! Bo ten drugi facet tak go nazwał. Powiedział: „Felix, pomóż mi z tym”, czy coś takiego.

- Z czym miał mu pomóc?

– Założyć sprzęt. Obok basenu. Ten mały gościu miał pojęcie o nurkowaniu. Znał się na sprzęcie. – Minns znów wychylił się do przodu. – Wiesz co, on miał ten francuski paszport, ale...

- Ale co?

– Dla mnie wyglądał na Żydkę. Jak ci prawnicy z Miami. – Minns myślał przez chwilę. – Ale jaki Żydek może mieć na imię Felix.

- A Mendelssohn?

– Co?

– Nie, nic. Może wiesz, dlaczego Hiram chciał zdobyć tak szybko kartę?

– Pewnie. Bo chciał wypożyczyć butle na wyprawę. Już ci to mówiłem.

– Myślisz, że to była nagła wyprawa?

– Co?

– Czy oni w ogóle mówili o jakiejś wyprawie?

– Nie.

– Nie wspominali, gdzie się wybierają?

– Nie.

– A może pamiętasz, czy mówili coś o rodzaju nurkowania?

Kufel z piwem zatrzymał się w połowie drogi do ust. – Nie bardzo.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Minns podniósł kufel do ust i opróżnił jego zawartość. – Cholernie dobre piwo.

Matthias zamówił kolejne, tylko dla niego, ale Minns tego nie zauważył. – O jakim rodzaju nurkowania rozmawiali?

– Na dużą głębokość.

– Jak dużą?

– No, dużą. Ten kurdupel zapytał, jak głęboko można zejść z aparatem, jaki jest rekord, takie bzdety.

– Co mu powiedziałaś?

– To, co wszystkim... tylko idiota schodzi więcej niż sto pięćdziesiąt.

– Świetna rada. A oni jak głęboko chcieli zejść?

– A bo ja wiem?

– Ale powiedziałaś im, że po godzinie w basenie nie mogą się wygłupiać?

– To było *półtorej* godziny – poprawił go Minns. Miał teraz czerwone oczy i Matthias zastanawiał się, czy Minns ma przy sobie broń. – Całe pierdolone półtorej godziny – powiedział, znów wykrzywiając twarz w zielonkawym świetle lampy. Po raz kolejny jego widok przypominał, jak wąska jest granica między ssakami a gadami.

– I bez zarzutu – dodał Matthias, spoglądając mu w oczy.

– Co bez zarzutu?

– To szkolenie.

Minns wywrócił oczami. – Idę szczać. – Uniósł się ze stołka i niepewnym krokiem poszedł na tył restauracji.

Matthias nie czekał na jego powrót. Zapłacił rachunek i ruszył w stronę drzwi, co oznaczało, że musi przejść obok baru, przy którym na stołku siedziała służbowa

prostytutka. Shirelles śpiewały: *Czy jutro mnie pokochasz?* Kobieta delikatnie musnęła mu paznokciem rękę, kiedy przechodził obok niej.

– Zajęty mocno jesteś?

– Niestety tak.

– Niedobrze. Jesteś takim ładnym chłopcem. Dostaniesz ulgowo... dwadzieścia dolców.

– Ale muszę już iść.

Chwyliła go za ramię. – Piętnaście, jak jesteś napalony. Dwie minuty i po wszystkim, zwracam kasę, jak będzie dłużej.

– Brzmi zachęcająco, ale nie dzisiaj. – Uwolnił się z uścisku i wyszedł na zewnątrz. Wziął głęboki oddech. Zawsze lubił Shirelles i nie chciał, żeby ten lunch u Ala to zmienił.

Hotel Tangiers był niecałą milę od restauracji. Kiedyś okna tego hotelu wychodziły na ocean, ale teraz ten widok przesłoniły nowsze budynki. Zostało tylko błękitne niebo do podziwiania.

Matthias wszedł do holu. Ledwo mieściło się w nim biurko recepcji i dwóch starych mężczyzn grających w remika pod zdychającym kwiatem. Matthias podszedł do biurka. Mężczyzna, który wstał, był niski i łysy, zaróżowiona skóra na głowie łuszczyła mu się od słońca. Miał wodniste, prawie bezbarwne oczy.

– Życzy pan sobie pokoju?

– Nie, szukam kogoś.

Mały mężczyzna uniósł głos i powiedział do kompana od kart: – Słyszysz, on nie chce pokoju. On kogoś szuka! – Ale nie było odpowiedzi, jego kolega zasnął, karty rozsypały mu się na kolanach.

– Nie ma go tutaj teraz – rzekł Matthias.

– On szuka kogoś, kogo nie ma – krzyknął mężczyzna na całą recepcję.

– Ale mógł tu być pierwszego września zeszłego roku i chciałbym sprawdzić książkę meldunkową.

Mężczyzna pociągnął nosem. – Jest pan z policji?

– Nie.

– A więc nie chce pan pokoju, nie jest pan z policji i szuka pan kogoś.

– Świetnie mnie pan rozumiał.

– On mówi, że go zrozumiałem – powiedział starszek do swojego towarzysza, który się nie odezwał. – Kogo pan szuka?

– Człowieka o imieniu Felix.

– Felix. Nie znam żadnego Felixa. Czy ten Felix ma jakieś nazwisko?

Staruszek miał taką chudą szyję, że Matthias bez problemu mógłby zacisnąć na niej dłoń. Matthias wyrzucił ten obraz ze swoich myśli i powiedział: – Z tym jest pewien problem. On ma kilka nazwisk. Więc to nic nie pomoże. Ale zawsze używa imienia Felix. To po kocie Feliksie, pamięta pan?

Oczy mężczyzny rozbłysły. – Dostał to imię po kocie Feliksie?

– Tak, i bardzo je lubi. Więc czy mogę zajrzeć do książki...

– A co pan chce dokładnie wiedzieć?

– Czy się tu zatrzymał.

– Ale to było dawno temu.

– Tak, ale to najważniejszy element układanki.

– Jakiej układanki?

– Takiej, która pozwoli mi odzyskać moje pieniądze.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, ukazując trzy zęby, dwa na górze i jeden na dole. – Tak myślałem. To albo żonę.

– Jest pan bystry. – Bardziej przebiegły, pomyślał Matthias.

– A jakie pieniądze wchodzi w grę?

– Dość duże.

– Ponad milion?

– Może.

– Milion... – Staruch zadumał się nad tym przepięknym słowem. – To dużo.

– Jasne.

– Więc może mógłbym panu zrobić przysługę i...

Matthias wyjął dziesięciodolarowy banknot.

– Dwudziestka byłaby lepsza.

Matthias dołożył pięć dolarów. – Jest piętnaście.

– Chodzi o milion – krzyknął mężczyzna w przestrzeń – a on skąpi pięciu dolarów. – Jednak wziął pieniądze i pokazał Matthiasowi książkę meldunkową.

Matthias przewrócił ją o czternaście miesięcy do tyłu, na pierwszego września. Tylko jedna osoba zameldowała się tego dnia: H. Standish, do pokoju 109.

– Felix nie rozpoczyna się od litery H – zauważył staruszek, wpychając głębiej pieniądze do kieszeni, na wypadek gdyby nic nie wyszło z umowy.

– Chciałbym zobaczyć ten pokój 109.

– Zobaczyć pokój 109...

– Tak. Żeby mieć jego obraz.

– Jego obraz... Mogę panu przedstawić ten obraz. Dwa podwójne łóżka,

telewizor, przesuwane drzwi na basen. Wie pan teraz, jak ten pokój wygląda?

– Niby wiem, ale dlaczego miałbym go nie obejrzeć?

Staruszek wzruszył ramionami. – Dobrze. Jest pan miłym facetem. Miłym facetem z dużym problemem. Chce pan zobaczyć ten pokój? Zobacz pan.

Przeszli przez wahadłowe drzwi i ruszyli słabo oświetlonym korytarzem. Przez zamknięte drzwi Matthias usłyszał głos z telewizora: – I został zamordowany szpikulcem do lodu w Meksyku.

Idący przed Matthiasem staruszek zadał teleturniejowe pytanie: – Kim był Trocki?

Kobieta w telewizji zapytała: – A mogę raz jeszcze kategorię hasła?

– Proszę bardzo, komunizm.

– Phi – mruknął staruszek. Wyjął klucz i otworzył drzwi do pokoju 109. – Jeden z naszych wizytowych.

Pokój 109 był taki, jak go opisał. Nie powiedział tylko o żółtych zasłonach na przesuwanych drzwiach. Matthias rozsunął zasłony, a potem drzwi i wyszedł na teren basenu. Przypuszczalnie cały basen zmieściłby się w tym pokoju hotelowym. Był za mały na pływanie i zbyt płytki na naukę nurkowania. Matthias ukląkł i włożył rękę do wody. Była zimna. – W tym pokoju musiały zamieszkać dwie osoby.

– Tak? A czy ja jestem z obyczajówki?

– Nie o to mi chodzi. Zastanawiam się, czy pan ich w ogóle pamięta. Ćwiczyli w tym basenie nurkowanie z aparatem.

– Żartuje pan? – roześmiał się staruszek. – Coraz gorzej z moją pamięcią. Mam nawet problemy z liczeniem punktów w kartach.

– Pamiętał pan jednak Trockiego.

Staruszek wyszczerzył swoje trzy zęby. – To było bardzo dawno temu. Z dalekiej przeszłości dużo pamiętam. Gorzej z tym, co niedawno.

– Proszę – powiedział Matthias, podając mu wizytówkę klubu z zatoki Zombie.

– Na wypadek, gdyby przypomniał pan sobie nazwisko tego Felixa.

– Teraz sobie nie przypomniałem, to później tym bardziej – rzekł, ale schował wizytówkę do tej samej kieszeni co piętnaście dolarów.

Matthias poszedł za nim wokół basenu, a potem korytarzem do innego wyjścia. – Dzięki – rzucił, otwierając drzwi na ulicę.

– Nie ma za co – mruknął staruszek, idąc za biurko recepcji.

Drzwi jeszcze się nie zamknęły, kiedy Matthias usłyszał głos kompana od kart: – Trzeba było, kutasie, wyciągnąć dwadzieścia dolców.

Danny czekał na niego przy jednym z okienek linii lotniczej Bahamasair. Nie miał teraz swoich pomarańczowych okularów i Matthias mógł zobaczyć jego zakłopotane spojrzenie i ciemne sińce pod oczami. Stwierdził również, że chłopak zmężniał – nie tylko urósł, ale też był szerszy w ramionach, bardziej umięśniony. Matthias chciał go uściskać, ale powstrzymał się. Podanie ręki też byłoby głupim gestem, tak więc Matthias trzymał się z daleka od swojego syna. Ferie z okazji Święta Dziękczynienia: ojciec i syn.

– Cześć, Danny. Gdzie jest twoja matka?

– Zmęczyła się czekaniem. – Głos Danny'ego też się zmienił.

Wsiedli na pokład samolotu. Byli tam prawie sami. Danny wyglądał przez okienko, patrzył, jak oddala się wybrzeże Florydy. – Chcesz o tym porozmawiać? – spytał Matthias.

– O czym?

– O tym, co cię trapi.

– Wszystko.

– Na przykład?

– Mama. Howie. Tucker.

– Kto to jest ten Tucker?

– Syn Howiego.

– Nie wiedziałem, że Howie ma syna. Ile ma lat?

– Jest rok starszy ode mnie. Koleś Wspaniały.

– Wspaniały?

Danny nie odpowiedział. Samolot wzniósł się w powietrze. Floryda znikła w ciemnoróżowej poświacie podobnie jak i morze. Danny zaczął cicho płakać.

– Co jest, Danny? – spytał Matthias. – Czy Howie coś ci zrobił? – W Matthiasie obudziły się mordercze instynkty.

– Nie! – zaprzeczył Danny. – Nic takiego.

Matthias natychmiast pożałował swego pytania. – Więc co? – Położył dłoń na kolanie Danny'ego. Danny uciekł z nogą. Matthias już więcej się nie odezwał.

Samolot zaczął schodzić do lądowania, kiedy Danny powiedział: – To przez ten pieprzony faks.

– Przez co?

– Howie ma faks w swoim porsche.

– Po co? Myślałem, że jest psychiatrą.

– Prowadzi jakieś interesy, gdy jeździ. Każdej nocy faks wyrzuca setki

dokumentów i rano ja albo Tucker musimy przynosić je do domu, żeby Howie mógł je przejrzeć przy śniadaniu. Kiedyś Tucker zapomniał to zrobić i przez to Howie stracił pięćdziesiąt tysięcy. Ale wina spadła na mnie.

– Dlaczego?

– Dlatego – odparł Danny, spoglądając na Matthiasa ze złością. – Powiedział, że była moja kolejka i mu uwierzyli.

– A co zrobiła twoja matka?

– Stała po jego stronie. On nie może zrobić nic złego, żadnego błędu. Dostaje same piątki i Howie już o nim rozmawiał z kimś z Harvardu. Świetnie gra w golfa i jest kapitanem drużyny tenisowej. On jest wspaniały, a ja jestem dupkiem.

– Nie jesteś wcale dupkiem.

Danny zamilkł. Matthias, wiedząc, że zabrzmiał nieprzekonująco, też milczał. Przez resztę podróży zastanawiał się nad różnymi sposobami pocieszenia Danny'ego. Odezwał się dopiero wtedy, gdy samolot dotykał kołami ziemi.

– Czy któryś z twoich kolegów nurkuje z aparatem?

– Paru.

– Jesteś w tym dobry.

– Ale to nie to samo...

– Jak co?

– Tenis, golf.

Matthias uśmiechnął się. Danny'ego zaskoczył ten uśmiech, bo rzadko widywał uśmiechającego się ojca. – To prawda – rzekł Matthias. Nurkowanie z akwalungiem nie należało do sportów, którymi można było się przechwalać.

– A co sądzisz o nurkowaniu bez aparatu?

– Bez aparatu?

– Chcesz spróbować?

– Z tobą?

– Tak. Wypłyniemy z Brockiem. Założę się, że jesteś w stanie zejść na czterdzieści stóp.

– Tak uważasz?

– Pewnie. Masz odpowiednią budowę.

– Naprawdę?

– No tak. I jesteś do tego przygotowany.



Nina leżała w łóżku. W telewizji właśnie puszczała *Dziecko Rosemary*. Dziwny wybór jak na Święto Dziękczynienia – pomyślała Nina, choć tak naprawdę nie oglądała tego filmu. Myślała o małej Mulatce, którą zaopiekował się sierociniec. Nina mogła wyraźnie wyobrazić sobie twarz tej dziewczynki; twarz jej własnego dziecka była mniej wyraźna. Jedynie w palcach, jakby miały własną pamięć, czuła delikatny dotyk włosów, tak długich z tyłu głowy.

Nie miał imienia. Henrik – pomyślała i natychmiast skarciła się za ten swój brak powagi.

Przy krawędzi stołu stała butelka wina. Nina regularnie z niej popijała. Zaczęła myśleć o wtorku: o swoich czterdziestych urodzinach i pierwszej rocznicy dnia, kiedy w jej ustach niespodziewanie pojawiło się słowo „dziecko” w odpowiedzi na pytanie Jasona, czego tak naprawdę pragnie. „To bardzo poważna decyzja” – powiedział doktor Berry – choć na początku nie docierało to do niej. „Do jakiego stopnia jest pani przygotowana, żeby mieć dziecko?” Nina zastanawiała się nad tym pytaniem lekarza. I w jednym momencie dokładnie zrozumiała jego stwierdzenie, co więcej, jego słowa zdawały się ożyć w jej umyśle. Pierwszą jej reakcją było zwrócenie uwagi na akcję filmu w telewizji. Zbieżność fabuły z jej losem była zaskakująca. Nina wstała z łóżka, wpatrując się w Johna Cassavatesa. Oczywiście był to tylko film, z dobrymi aktorami, którzy starali się zagrać swoje role jak najlepiej i przy tym nieźle się zabawić. Zrozumiała to, dostrzegając lekki uśmieszek na ustach Cassavatesa. Ale podobnie jak Rosemary, pozwoliła, żeby sperma niewiadomego pochodzenia znalazła się w jej ciele, choć w tym przypadku nikt nie konspirował, aby ją do tego skłonić. Zrobiła to z własnej woli.

I teraz została ukarana.

Ale to było chore myślenie. Nina nie potrafiła zaakceptować idei, że istnieje jakaś siła, jakiś sędzia, którzy mogliby pragnąć krzywdy nowonarodzonego dziecka. Nigdy jej nie zaakceptuje. Wyłączyła telewizor.

Została sama, z ciemnym ekranem, pustą butelką i pustym łóżkiem. I pustą kołyską w sąsiednim pokoju. Wyłączyła światła i próbowała zasnąć. Czuła, że gdzieś w eterze toczy się akcja filmu *Dziecko Rosemary*. Zapragnęła się z kimś skontaktować.

Ale z kim? Jason wyjechał na weekend do Vermont. Suze wciąż przebywała w Los Angeles, stając się dla Rzeźniczki kimś w rodzaju agenta. Ta artystka dostała

dużą rolę w jakimś brutalnym filmie, ale podczas pierwszego dnia zdjęć aktorka grająca główną rolę uszkodziła jej ścięgno podkolanowe. Suze pytała Niny, czy ma wracać, ale Nina odpowiedziała, że nie, choć po cichu miała nadzieję na powrót Suze. Jednak z drugiej strony było to jej obojętne, bo Suze nie mogła jej pomóc. A kto mógłby?

Nina ubrała się i zjechała na dół. Spozobiegła, że Jules pospiesznie chowa do kieszeni butelkę. – Szczęśliwego Święta Dziękczynienia, pani Kitchener – powiedział, trochę bełkocząc. Zauważyła na jego twarzy, że zbyt późno przypomniał sobie, w jakiej sytuacji ona się znajduje. Wyszła na ulicę.

Wiał chłodny wiatr. Miasto, mimo silnych podmuchów tego wiatru, miało charakterystyczny zapach, jakby ilość odpadów dookoła zbliżała się do masy krytycznej. Mijała znajome widoki, prawie nie zwracając na nie uwagi: kobietę z kasetami wideo pod pachą, bezdomnego leżącego przy drzwiach baru szybkiej obsługi. Oczy mężczyzny patrzyły na Ninę z wychudzonej twarzy, przez chwilę myślała, że on chce jej coś powiedzieć, ale nie zrobił tego.

Nina szła... aż do zmęczenia, i nawet bardziej. W końcu jej umysł się uspokoił i zawróciła do domu. *Salut Demeure* – zaczęło rozlegać się w jej głowie.

Jednak po chwili nogi zaniósły ją w stronę szpitala. *Mieliśmy nawet taki przypadek, że dziecko wróciło do sali noworodków.* Tak. Oczywiście. Zdrowy rozsądek próbował uratować ją przed tym głupim krokiem, ale bezskutecznie. Szła coraz szybciej, kiedy dotarła do szpitala, już biegła.

Oderwane od siebie wrażenia docierały do jej mózgu: szmer rozsuwających się drzwi, zbyt jasno oświetlony hol, pogniecione kubki na schodach i przyklejona guma do żucia. Potem znalazła się na czwartym piętrze, przy pokoju noworodków.

Od czasu jej pobytu w szpitalu musiała nastąpić eksplozja urodzeń. Niemal wszystkie łóżeczka były zajęte, łącznie z tymi na końcu pierwszego rzędu, gdzie teraz leżało niebieskie zawiniątko. Niebieski becik, z którego wystawały białe włoski.

Następną rzeczą, którą zapamiętała, był fakt, że stoi nad tym łóżeczkiem. Był w nim jasnowłosy chłopczyk, ale nie jej. Widok jego rysów przywołał w pamięci niemal zapomniany obraz syna. Jednak ogarnęły ją wątpliwości, może się myli i jest to jej dziecko. Bardzo delikatnie Nina zaczęła odwijać kocyk, żeby zobaczyć identyfikator na rączce niemowlęcia. Zachowywała się bardzo ostrożnie, więc nie zdążyła jeszcze zobaczyć bransoletki, kiedy z tyłu chwyciły ją mocne dłonie.

– Pomocy! Pomocy! – ktoś krzyknął nad jej uchem.

Nina wykręciła się z uścisku i obróciła. Z tyłu przytrzymała ją wysoka

pielęgniarka, nie Verna Rountree, ale siostra, której wcześniej nie widziała.

– Pomocy! – wrzeszczała pielęgniarka. Dzieci zaczęły płakać. Ze wszystkich stron nadbiegali ludzie. – Złapałam ją na gorącym uczynku. Złapałam ją na gorącym uczynku – mówiła pielęgniarka coraz ciszej. – Właśnie miała zamiar porwać kolejne dziecko.

Otoczyli Ninę. Rzucili ją na podłogę, być może nie umyślnie. Patrzyli na nią i zadawali pytania, a dzieci płakały. Nina leżała na plecach, nic jej się nie stało, ale nie była w stanie wydobyć z siebie żadnego głosu. Potem jedna z twarzy zbliżyła się do niej. Była to twarz przełożonej pielęgniarek.

– O mój Boże! – krzyknęła.

Przełożona wyprowadziła Ninę na korytarz i wezwała taksówkę. – Mogę sama chodzić – powiedziała jej Nina.

– Już odpowiednio dużo pani przeszła. Musiałaby pani pomyśleć o jakiejś terapii.

– Terapii?

– Żeby sobie z tym poradzić.

– Nie potrzebuję żadnej terapii, chcę odzyskać moje dziecko. – Nina była wściekła, ale nie miała siły, aby krzyczeć.

Przełożona przyjrzała się jej uważnie. – Ma pani zamiar nas skarżyć?

– Skarżyć, kogo?

– Szpital. Administracja obawia się tego.

– Nie przyszło mi to do głowy.

– Nie? Mówią, że pani jest *kimś*.

Przyjechała taksówka. Przełożona zaprowadziła Ninę do niej i otworzyła drzwi.

– W każdym razie mam nadzieję, że pani to zrobi.

– Nie rozumiem.

– Oni na to zasługują.

– Za to, co mi się przytrafiło?

– Nie. Za wszystko.

Zamknęły się drzwi. Taksówka odjechała. Taksówkarz słuchał nocnych rozmów w radiu. Kobieta na linii powiedziała: – Nienawidzę wszystkich święt, a zwłaszcza Święta Dziękczyńienia. Jest koszarne.

– To pani jest koszarne – skwitowała dziennikarka prowadząca, zrywając połączenie z kobietą. – Takie gadanie przyprawia mnie o depresję. Halo, linia 2? Haboken? Haboken, jesteś na antenie. Co o tym sądzisz? Haboken?

Nina spędziła resztę nocy w łóżku, nie zmrzywszy oka. Kiedy pojawiły się pierwsze promienie słońca, wstała, przeszła obok zamkniętego pokoju dziecinnego i z szafy na korytarzu wyciągnęła rower treningowy. Zaczęła pedałowac. Niemal natychmiast poczuła się zmęczona. Jej myśli zamiast się rozproszyć, skupiły się na dziecku. Zeszła z roweru zaledwie po kilku minutach.

Zadzwoniła do biura detektyw Delgado. – Delgado nie ma – powiedział męski głos.

– A kiedy będę mogła się z nią skontaktować?

Mężczyzna zapytał kogoś znajdującego się w pobliżu. – Kiedy Delgado wraca?

– A potem odpowiedział Ninie: – Nie będzie jej w mieście przez cały tydzień.

– Cały tydzień?

– Urlop.

– Ale...

– Przepraszam, ale mam drugi telefon.

Rozległ się trzask. Rozmowa została rozłączona jak z tą kobietą, która nienawidzi Święta Dziekczynienia. Łzy cisnęły się Ninie do oczu. Powstrzymała je.

– Koniec z tym – powiedziała głośno. Korzystaj ze swojego umysłu, umysłu kobiety interesów. Ktoś musi pilnować detektyw Delgado...

Sięgnęła znowu po telefon. Zadzwonił, kiedy go dotknęła.

– Tak? – powiedziała do słuchawki.

– Halo. – Był to kobiecy głos, cichy, nawet niepewny, ani detektyw Delgado, ani przełożonej pielęgniarek. Nina nie rozpoznała swojej rozmówczyni. – Czy rozmawiam z Niną Kitchener?

– Tak.

– Mam nadzieję, że nie zadzwoniłam zbyt wcześnie.

– Nie.

Zapadła cisza. W tle słyhać było strzępy innych rozmów telefonicznych. Nina zastanawiała się, czy to jest rozmowa międzymiastowa. Kobieta, jakby wyczuwając myśli Niny, powiedziała:

– Dzwonię z Bostonu. Nazywam się Laura Bain. W stacji NBC oglądałam wywiad z panią.

Cisza.

Nina, przypominając sobie zdarzenie przy pizzerii, dziewczynę i mężczyznę, którzy za dziesięć tysięcy dolarów prehandlowali dziecko i wciąż są na wolności, wcisnęła przycisk nagrywania w automatycznej sekretarce. Ale jeżeli kobieta miała jakieś nieczne plany, to nie spieszyła się, by je zrealizować.

To Nina przerwała ciszę. – I? – zapytała.

– Bardzo pani współczuję. Przepraszam, że niepokoję panią o tak wczesnej porze. Wiem, co pani przeżywa.

– Naprawdę? – wtrąciła, nie mogąc powstrzymać złośliwego tonu w głosie. Po chwili z tego powodu poczuła wyrzuty sumienia – nawet przez telefon mogła stwierdzić, że ta kobieta jest znacznie od niej słabsza psychicznie.

– Niestety wiem – odparła Laura Bain bardzo cicho. – Pięć miesięcy temu porwano mi dziecko.

– O Boże.

Cisza. Znów dało się słyszeć strzępy jakichś innych rozmów, rozległ się nawet śmiech. Nina domyśliła się odpowiedzi, jednak zadała to pytanie: – Odzyskała go pani?

– Ją – kobieta poprawiła Ninę. – Nie.

– Tak mi przykro.

Nina usłyszała, że Laura Bain bierze głęboki oddech. – Dzwonię do pani z jednego powodu. Kiedy oglądałam panią w telewizji, nie mogłam uwolnić się od jednej myśli... muszę panią o coś zapytać.

– O co?

– Czy korzystała pani z banku spermy?

– Tak, dlaczego właśnie o to pani pyta?

– Czy był to Cambridge Reproductive Research Center?

– Nie. Human Fertility Institute. Z Nowego Jorku. A o co chodzi?

– Ja również użyłam spermy z banku. Z Cambridge.

Nina czekała na dalszy ciąg, ale kiedy kobieta się nie odezwała, Nina powiedziała: – Nie wiem, do czego pani zmierza. Dlaczego pani w ogóle pomyślała, że korzystałam z banku spermy? Nie rozmawiałam o tym z dziennikarzami.

– Bo pani sytuacja przypomina moją – odrzekła Laura Bain. – Myślę, że musimy się spotkać.

Dawno temu, na obozie w Wapameo, kiedy inne dziewczęta już spały, a opiekunowie siedzieli przy ognisku na plaży, opędzali się od komarów i próbowali słuchać rock'n'rolla na tranzystorowym radiu, Nina przy świetle latarki czytała w łóżku książkę, historię o pijaku, którego kapelusz spada do tajemniczego kręgu. Mężczyzna, potykając się, trafia za nim do otworu, dziury czasu. Przenosi się w przyszłość. Spotyka tam innego mężczyznę, trochę starszego od siebie, bardzo niepokojącego. Chwilę później wpada do kolejnego kręgu i natyka się na kogoś, kto wywołuje w nim jeszcze większy niepokój. I tak dalej. W końcu uświadamia sobie, że to on jest tym spotykanym człowiekiem, tylko coraz starszym. Nina przypomniała sobie to opowiadanie, gdy zauważyła kobietę, która musiała być Laurą Bain.

Stała za punktem kontroli linii Pan Am w porcie lotniczym Logan. Ubrana była w elegancki tweedowy płaszcz. Nerwowo przygryzała dolną wargę. Wyglądała na około czterdzieści pięć lat. Jej twarz była bardziej pociągła i blada niż Niny; włosy miała prawie w tym samym kolorze, tylko że niektóre siwe. Jej oczy czujnie wypatrywały, kiedy lustrowała pasażerów. Natychmiast rozpoznała Ninę. Nina pomyślała, że to coś niesamowitego, ale po chwili uświadomiła sobie, że przecież ta kobieta widziała ją w telewizji. Jednak ciągle myślała o tej historii z czasem, kiedy Bain podeszła do niej.

– Cześć, Nina – odezwała się kobieta tym samym bezbarwnym głosem co podczas rozmowy telefonicznej. Zupełnie nie pasował do jej nerwowych ruchów. – Jestem Laura Bain. – Mogły uścisnąć sobie dłonie, nawet się ucałować, ale jednak zachowały fizyczny dystans. – Może chciałabyś coś przekazać?

– Nie.

– Ja też nie. – Na twarzy Laury na krótko zagościł szeroki uśmiech. – Już nauczyłam się walczyć z uczuciem głodu – powiedziała. – Kiedyś jadłam jak jakiś prosiak.

– Ale nie będziesz reklamowała nowej metody odchudzania?

Laura wybuchła ostrym i zaskakująco głośnym śmiechem. Lekko ścisnęła Ninie rękę. Skóra Laury była gorąca, jakby kobieta zmagala się z jakąś chorobą.

Laura otworzyła kluczykiem swój samochód, jaguara. Ruszyły w stronę miasta. Nina czekała, by Laura zaczęła rozmowę. Jednak ta przygryzła dolną wargę i milczała, aż zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę. – Halo. – Słuchała przez

chwile. Potem tym samym bezbarwnym, ale zdecydowanym tonem powiedziała: – Na to jest za wcześnie. Powiedz mu, żeby zaczekał, aż wrócę z Accry.

Odłożyła słuchawkę i wjechała do tunelu pod Zatoką Bostońską. Mocno zaciskała ręce na kierownicy, jakby bała się, że ta rzecz sama zacznie wykonywać ruchy.

– Laura, co tak w ogóle robisz?

– Z czego się utrzymuję? Jestem analitykiem na rynku produktów żywnościowych. – Podała Ninie wizytówkę. – Moja specjalność to kakao, ale zamierzam zająć się też kawą. Będzie więcej pracy i mniej myślenia o Clei.

– Clei?

– To moje dziecko. Córka. A twoje dziecko jak ma na imię?

Nina zaczęła żałować, że wybrała się na tę wycieczkę do Bostonu. – Nie ma imienia – odrzekła. Chyba że – pomyślała – ta kobieta z wysuszoną skórą już mu jakieś znalazła. Miała na to dużo czasu.

– Och. – Wyjechały z tunelu i znalazły się pod chłodnymi promieniami słońca. Nina zauważyła, że Laura płacze. Odwróciła głowę, jednak Laura zdążyła dostrzec jej spojrzenie. – Z tą kawą to nieprawda – rzekła nagle. – Jak mogę zabrać się za kawę, kiedy ledwo sobie radzę z kakao.

Nina próbowała coś powiedzieć, ale nie była w stanie nic wymyślić. Nie chciała spędzić całego popołudnia z roztkliwiającą się nad sobą kobietą. Laura, jakby czytając w jej myślach, włożyła kasetę do magnetofonu. Miała świetny sprzęt. Do uszu Niny dotarły dźwięki muzyki *New Age*. Muzyka ta sprawiła, że dziesięć minut spędzonych w korku ulicznym dłużyło się niemiłosiernie.

Laura zaparkowała przed Beacon Hill Bistro. – Przepraszam – powiedziała do Niny, nie płacząc i nawet bardziej ożywionym głosem. – Mój umysł jest czasami jak kosz na śmieci, a czasami pracuje jak u robota.

Kelner znał Laureę. Zaprowadził ją i Ninę do cichego kącika w głębi sali. – Mamy świeżego łososia serwowanego w małych kawałkach z sosem malinowym i kozim serem.

– Brzmi zachęcająco – stwierdziła Laura, ale kiedy danie pojawiło się na stole, nie zjadła ani kawałka łososia.

Wypiła za to całą butelkę wina z wyjątkiem kieliszka Niny.

– No dobrze – zaczęła, pocierając dłonie, jakby spodziewała się czegoś przyjemnego – przejdźmy do sedna sprawy.

– Tylko że ja nie mam pojęcia, jakiej sprawy – rzekła Nina.

Laura przestała pocierać dłonie. Położyła je na jasnioletowym obrusie.

Pomalowane paznokcie miała obgryzione do skóry. – Może to głupie, że zadzwoniłam do ciebie. Ale... bank spermy, porwania, to...

Może gdyby kelner nie przechodził właśnie obok ich stolika, nie zamówiłaby kolejnej butelki wina. Potem zauważyła, że Nina się jej przypatruje, i zatopiła się w myślach.

– Ale... – znów zaczęła, kiedy kelner do nich wrócił. Wyciągnął korek. – Proszę nalać – poleciła mu. Uniósł brwi w sposób, w jaki zrobiłby to David Niven, gdyby się zgodził przyjąć rolę kelnera. – Na pewno jest świetne – rzekła Laura. Kelner napełnił jej kieliszek. – Ale – powtórzyła – minęło już pięć miesięcy od zniknięcia Clei i robię coraz mniej, żeby ją znaleźć. Dzwonię do jednego detektywa, drugiego, jakbym miała to w swoim rozkładzie dnia. Co jeszcze mogę zrobić? Próbowałam już wszystkiego. – Umysł robota przestał pracować i w oczach Laury znów pojawiły się łzy. – Już nawet nie chodzę po ulicach i nie rozglądam się za nią. – Otarła policzki fioletową serwetką. – A potem zobaczyłam ciebie w telewizji. Pomyślałam... no dobrze, jest szansa, żeby coś zrobić.

Nina nie chciała, by Laura znów się rozpląkała, ale pragnęła wiedzieć, co ona ma na myśli. – Na przykład co?

Laura ponownie zaczęła mówić stłumionym głosem. – No nie wiem. – Wpatrywała się w kieliszek z winem.

Nina też skupiła wzrok na tym kieliszku, jakby brała udział w jakimś rytuale. Spojrzała w górę. – Dlaczego trafiłaś do banku spermy?

Laura też uniosła głowę, powoli, jak ktoś, kto wychodzi z transu. – Pomyślałam o zegarze biologicznym i tak dalej. Od dwudziestego ósmego roku życia nie byłam na poważnie związana z żadnym mężczyzną.

– Ile masz teraz?

– Trzydzieści pięć. – Laura zauważyła przelotny grymas na twarzy Niny, ale źle go zinterpretowała. – Chyba jestem trochę od ciebie starsza.

Laura zamilkła, przypuszczalnie chciała, żeby Nina podała swój wiek. Ale Nina zszokowana tym, że jest o pięć lat starsza od Laury, pomyślała o upływie czasu i o tym, jak bardzo to, co dotknęło ją i Laure, może przyspieszyć jego działanie. Wpadła w spiralę czasu; czy w ciągu najbliższych pięciu miesięcy na jej twarzy pojawią się zmarszczki, włosy posiwieją, głos stanie się bezbarwny, a spojrzenie nieufne jak u Laury Bain? Czy będzie miała twarz przegranej osoby? Stłumiła te myśli i próbowała odgadnąć, co błąka się w głowie Laury. – Czy to była osoba w stroju wolontariusza?

– Nie rozumiem.



– Chodzi mi o to, czy twoje dziecko porwał ktoś w stroju wolontariusza ze szpitala?

– Ależ nie. Moja Clea nie została porwana ze szpitala. Już dwa dni byliśmy w domu. To wydarzyło się w sobotę po lunchu. W ostatnią sobotę czerwca. W poniedziałek miała przylecieć opiekunka z Irlandii, a ja miałam wrócić do pracy na cały etat. Był ciepły słoneczny dzień, więc wyprowadziłam wózek na podwórko. Mam dom w Dedham... właściwie to kupiłam go dla Clei. Usiadłam na szezlongu i robiłam jakieś drobne wyliczenia. Clea zasnęła. – Spojrzenie Laury znów skupiło się na kieliszku z winem, jakby odczytywała swoją opowieść ze spokojnej powierzchni płynu. Westchnęła. – Potem ja też zasnęłam. Nie wiem dlaczego. Wystarcza mi sześć godzin snu. Ale ciągle byłam wyczerpana po porodzie, a w nocy Clea mało spała. Po prostu przysnęłam. – Znów otarła policzki serwetką. – Obudziło mnie szczekanie psa. Było już późne popołudnie, musiałam spać kilka godzin. Podeszłam do wózka, myśląc, że Clea też dobrze spała. Pamiętam, że poczułam się wtedy szczęśliwa, bo już zaczynałam się martwić, że może jest dzieckiem cierpiącym na częste kolki albo ma nawet jakąś chorobę... Odsunęłam osłonę przeciw owadom, ale Clei tam nie było. – Wpatrywała się w kieliszek. Nina czekała, ale dalszego ciągu nie było. Laura gwałtownie uniosła głowę i powiedziała: – To wszystko.

– Wszystko?

– Od tamtego czasu nic się nie wydarzyło. Nic dobrego. Przyjechała policja. Zdjęli odciski palców z wózka. Przesłuchali sąsiadów, przesłuchali kobietę, która kiedyś porwała dziecko w centrum handlowym w Dedham. Powiedzieli mi, że bym wyznaczyła nagrodę. Wyznaczyłam. Powiedzieli, że bym czekała. Czekałam. Potem zobaczyłam ciebie w telewizji. Nie było żadnej wzmianki o mężu albo ojcu, więc od razu pomyślałam o banku spermy.

– I miałaś rację. Ale do czego to nas prowadzi?

– Nie wiem. Ale założmy, że byłybyśmy po rozwodzie albo w jego trakcie. Kim na samym początku zainteresowałyby się policja?

– Ojcem dziecka.

– Właśnie.

– Nie ma żadnych ojców, Laura. Jest tylko zamrożona sperma.

– Wiem. Ale to coś nas łączy, może też inne rzeczy.

– Tylko co to nam da?

– Trudno powiedzieć, ale nie mogę tego tak zostawić. – Kieliszek znów przyciągnął wzrok Laury.

– No dobrze, dobrze – powiedziała Nina, starając się mówić uprzejmym głosem. – Spróbujmy więc znaleźć te wspólne cechy, choć ja widzę tylko różnice. Twoje dziecko zniknęło z domu, moje ze szpitala. Policja jest niemal pewna, że widziałam porywacza, ty nie widziałas nikogo... – Nina opisała pomarszczoną kobietę z plaketką wolontariuszki. Laura nie przypominała sobie takiej osoby.

– Ale to nie znaczy, że ona nie mogła porwać mojej córki – rzekła Laura. – Przekażę jej opis policji. Powiedz mi więcej.

Nina wyczuła w Laurze upór. Być może mimo wszystko miały z sobą coś wspólnego. Opowiedziała jej swoją historię, zaczynając od informacji o telefonie do niej w szpitalu, a kończąc na szmacianej lalce. Kiedy Nina mówiła, lekki błysk w oczach Laury powoli zniknął; ta kobieta była uparta, ale prawie straciła nadzieję. Gdy Nina skończyła, zapadła długa cisza.

Podszedł kelner, by sprzątnąć ze stolika. Większość gości opuściła już lokal. Zrobiło się cicho i trochę dziwnie, niczym w teatrze po skończonej sztuce. Laura poszła do toalety. Nina zerknęła na zegarek, zastanawiała się, czy zdąży na najbliższy samolot. Wróciła Laura i zaczęła nalegać, że to ona zapłaci rachunek. Podpisując paragon, zapytała: – Nie miałas telefonu w swoim pokoju?

– Jakim pokoju?

– W szpitalu.

– Był popsuty.

Laura pokiwała głową. Wsiadły do samochodu i ruszyły w kierunku lotniska. Znowu towarzyszyła im muzyka *New Age*. W przerwie na przewinięcie kasety Laura spytała: – Jaki był twój dawca spermy?

– Dlaczego o to pytasz?

– Nie wiem. Clea miała moje rysy, ale jaśniejszą skórę. Nie prosiłam o jasnowłosego przystojniaka. Chciałam kogoś zdrowego i w miarę inteligentnego, to wszystko. Po prostu jestem ciekawa, jak było w twoim przypadku.

– Nie udzielili ci żadnych informacji o dawcy?

– Pokazali mi jakiś wydruk, ale tam niewiele było i nic nie mogę sobie z niego przypomnieć. – Myślała przez chwilę. – Nawet nie wiem, czy mam odblisk.

– Mój dawca nazywał się VT-3(h) – rzekła Nina. – Sześć stóp wzrostu. Niebieskie oczy. Grał w piłkę nożną podczas studiów. Przy rozmiarze obrączki był znak zapytania. To chyba nie zaskakuje u dawcy spermy.

Laura nie uśmiechnęła się. Znowu zagryzła wargę. – Czy mogłabym cię o coś prosić?

– O co?

– Możesz wrócić do domu następnym samolotem?

– Dlaczego?

– Bo chciałabym pojechać do banku spermy w Cambridge – odpala Laura. – Chcę zobaczyć ten mój wydruk.

Nina tego nie rozumiała, nie rozumiała też, do czego potrzebna była jej obecność. Jednak nie spieszyło się jej do domu, a w towarzystwie Laury po raz pierwszy od czasu porwania poczuła się silna; być może było to naganne, ale nie walczyła z tym.

Laura przejechała rzekę i znalazła się w Cambridge. Minęła Harvard Square i skręciła w Massachusetts Avenue. Zatrzymała się przed trzykondygnacyjnym budynkiem ze szkła i stali. Kobiety wysiadły z samochodu i zaczęły iść w stronę wejścia, kiedy Laura nagle się zatrzymała. Rozejrzała się wokół siebie.

– Coś nie tak? – zainteresowała się Nina.

– Nie ma.

– Czego nie ma?

– Banku spermy.

Nina spojrzała na napis na budynku: TWENTY-FIRST CENTURY VIDEO AND SOUND, INC.

– Jesteś pewna, że to tu? – spytała.

Laura przytaknęła. Weszły do środka. Młody mężczyzna w czarnym skórzanym krawacie podszedł do nich. – W czym mogę pomóc?

– Gdzie się przeniósł Reproductive Research Institute? – zapytała Laura.

Młodzieniec zmarszczył gładkie czoło. – Czy to część Massachusetts Institute of Technology?

– Nie. Ta instytucja, o którą pytam, mieściła się w tym budynku. W zeszłym roku.

– Zacząłem tu pracę we wrześniu.

Podał Laurze książkę telefoniczną. Nie znalazła w niej adresu centrum. Operator też go nie znał. Laura zadzwoniła w końcu do swojego położnika, ale odezwała się automatyczna sekretarka. Zostawiła wiadomość i odłożyła słuchawkę.

– Dziwne – stwierdziła.

– Przypuszczalnie skończył się okres wynajmu – zasugerowała Nina.

– Ale gdzie się wyprowadzili? – spytała Laura.

– Szczerze mówiąc, to ja zupełnie nic nie wiem o poprzednich najemcach – rzekł młody mężczyzna. – Ale o piątej wraca właściciel. Może tymczasem panie obejrzą nasz nowy sześćdziesięciocalowy telewizor...

Laura odwiozła Ninę na lotnisko. – Dziękuję, że przyjechałaś. Miało to dla mnie duże znaczenie. Zadzwoń do ciebie, kiedy skontaktuję się z moim położnikiem. O ile nie masz nic przeciwko temu.

– Oczywiście, że nie – odparła Nina.

Laura odprowadziła ją do wejścia dla pasażerów. Stała tam z pustym spojrzeniem, podczas gdy maszyna czasu coraz bardziej oddalała ją od córki. Właśnie o tym myślała Nina, kiedy zrobiła krok do przodu i uściskała Laurę. Znowu poczuła, jaka ona jest gorąca. Potem szybko ruszyła do holu.

– Nina! – zawołała za nią Laura.

Nina zatrzymała się i obróciła. – Co?

– Czy chcieli znać twój wynik SAT?

– Tak. A dlaczego pytasz?

– Nie wiem. A jaki był?

– Mój wynik SAT?

– Tak.

Nina przypomniała sobie, jak to sprawdzała. – Tysiąc czterysta dwadzieścia, o ile dobrze pamiętam.

Po raz drugi na twarzy Laury pojawił się uśmiech. Trwał dłużej niż poprzedni: Laura pięknie się uśmiechała. – Jestem lepsza – powiedziała.

Tuż po północy Nina znalazła się w swoim mieszkaniu. Włączyła automatyczną sekretarkę.

– Mówi Suze. Mam nowy numer telefonu, w Palos Verdes... o, cholera, muszę go mieć w innej torebce. Coś wiesz nowego? Zadzwoń później.

– Tu Delgado. – Na linii rozległy się trzaski. Głos zdawał się dobiegać z oddali.  
– Próbowала pani się ze mną skontaktować? Nie mam nic nowego. Zadzwońmy do pani, kiedy czegoś się dowiemy. – Rozległ się szcęk odkładanej słuchawki.

– Halo. Nina? Tu Laura. Laura Bain. Pewnie nie ma cię jeszcze w domu. Coś mi przyszło do głowy, kiedy się rozstałyśmy. Spróbuję zadzwonić do ciebie jutro.

Na stole w kuchni stał kosz z owocami, a w zlewie były czerwone róże. Przeczytała liścik na papierze firmowym Kitchener & Best: „Najserdeczniejsze życzenia urodzinowe od nas wszystkich”. To było pismo Jasona, ale literki mniejsze, jakby bardziej delikatne. W tym roku obyło się bez szampana. Nina policzyła róże: czterdzieści. Wcześniej ani razu nie pomyślała, że właśnie obchodzi urodziny. Była już dojrzałą kobietą. Matką. W niektórych społecznościach byłaby już babką.

*Pieprzonych wesołych świąt.*

Przypomniała sobie tego włóczęgę, bezdomnego, pijacznę, kimkolwiek był, którego oczy dwukrotnie wpatrywały się w nią; nieszczęsnego trolla z baśni, ostrzegającego właśnie ją. Mógł zamarznąć podczas tej zimy, ale zostawił trwały ślad w jej pamięci, być może tylko tu. Jaki był jego przekaz? *Oto taka jest kara dla kobiety, która chodzi własnymi ścieżkami?*

„Pieprzyć to” – pomyślała Nina. To nie miało nic wspólnego z jakąś karą, przeznaczeniem; to była zbrodnia, a ona stała się ofiarą. Z barku naląła sobie whisky i już zamierzała zwilżyć usta, kiedy pomyślała o Laurze.

Podeszła do telefonu i wyobraziła sobie, jak Laura podnosi słuchawkę. O czym pomyśli, gdy nagle zostanie obudzona? Jaka nadzieja w niej zaświta? Ten telefon nie był rozsądnym krokiem, ale Nina chciała wiedzieć, co Laura ma jej do powiedzenia. Zbrodnia jest gwałtownym aktem, ale pozostawia po sobie bierność – mechanizm obronny, który przeszkadza w dojściu do sprawiedliwości. Nina słyszała tę bierność w głosie detektyw Delgado; widziała ją u innych policjantów zajmujących się tą sprawą. Potrzebna była jakaś antysiła, jakaś moc. Musiała pochodzić od niej.

Nina wyjęła wizytówkę Laury i zauważyła, że jest tam tylko numer służbowy. Zadzwoiła do informacji w Dedham. Numer domowy Laury był zastrzeżony.

Nina wypła szklaneczkę whisky i poszła spać.

Po kilku godzinach wstała i wsiadła na rower. Czowała rozpierającą ją energię, ale nie wiedziała, jak ją wykorzystać. Zaczęła pedałować. Pół godziny, godzinę, półtorej... Nie naznaczała przejechanej trasy na mapie ściiennej. Chciała po prostu się zmęczyć. Później, ociekając potem, wróciła do łóżka i zasnęła.

Rano obudziła się z bolącą głową i gardłem. Połknęła dwa tylenole i poszła do pokoju dziecinnego. Starła się nie patrzeć na książki dla dzieci na półkach, z kolorowymi błyszczącymi okładkami, na pluszowe zwierzaki, na pudła z pampersami i papierowymi ręcznikami ani na łóżeczko z namalowaną na nim jabłonią. Podeszła do ustawionej teraz w kącie szafki na dokumenty i zaczęła w niej szukać wydruku ze szczegółami na temat dawcy spermy. Nie mogła go znaleźć, nie była nawet w stanie sobie przypomnieć, czy ma jego kopię.

Poszła do kuchni. Włączyła ekspres do kawy i wybrała numer do Human Fertility Institute.

– Słucham. – Telefon odebrała pielęgniarka Sal.

„Halo” – chciała powiedzieć Nina, ale to słowo nie wydostało się jej z ust. Znów spróbowała, ale wydobył się z niej tylko niesłyszalny szept. Po raz pierwszy w życiu dostała zapalenia krtani.

– Halo. Halo – powtórzyła pielęgniarka i odłożyła słuchawkę.

Nina chciała krzyczeć. Nie mogła. Mogła jedynie chwycić nie umytą po wczorajszej whisky szklanekę ze szlachetnego szkła, z eleganckim wzorkiem, którą dostała od Richarda Drugiego w okresie, kiedy lubili rozmawiać o małżeństwie w piątkowe wieczory, przed pierwszym kochaniem. Chwyciła więc szklanekę i walnęła nią o ścianę. Wyładowała się. Dawno powinna coś takiego zrobić. Nie potrzebowała żadnego niby-posagu, nigdy nie miało to dla niej znaczenia. Liczyło się tylko dziecko. Musiała cały czas działać, być aktywna, by je odzyskać. Zapalenie gardła było częścią bierności. Trzeba z tym walczyć. Jednak nie mogła wydobyć z siebie ani jednego dźwięku.

Wzięła prysznic i zaczęła czesać włosy. W lustrze zobaczyła pierwszy siwy włos. Przecież miała już czterdziestkę – wszystko idzie zgodnie z planem. Silnym, silniejszym niż potrzeba szarpnięciem wyrwała ten włos. Skrzywiła twarz z satysfakcją, jakby zadała bolesny cios czasowi.

Ubrała się w elegancki kostium, chwyciła notes i pióro i wyszła z domu. Na kartce napisała adres instytutu, dla taksówkarza, ale nie mogła złapać żadnej wolnej

taksówki, więc ruszyła pieszo.

Wiał silny wiatr, unosząc drobne ziarenka piasku. Ta burza piaskowa była doskonałym testem identyfikującym wszystkich noszących szkła kontaktowe. Mrużyli oczy i leciały im łzy. Jednak Nina prawie nie dostrzegła ludzi na ulicach albo tego, że jest zimno. Szła teraz tunelem, na nogach zmęczonych po nocnej wyprawie rowerowej donikąd. Zrobiło się jej gorąco i była cała spocona, kiedy dotarła do instytutu.

Pchnęła obite skórą drzwi i weszła do holu. Dywan perski znów był zwinięty, ale jeszcze nie pojawiła się choinka. Portret mężczyzny z grubym podbródkiem stał oparty o ścianę. Oczy na obrazie znajdowały się teraz na wysokości wzroku Niny. Z tej perspektywy Nina mogła zauważyć brak talentu u malarza – oczy były po prostu niebieskimi plamami bez wyrazu i uczucia.

Nikogo nie było w pobliżu. Nina weszła po marmurowych schodach i ruszyła korytarzem. Zatrzymała się przy drzwiach z tabliczką: DYREKTOR RUSSELL R. CROSSMAN. DOKTOR MEDYCYNY. Kiedy pukała, wyczuła zapach perfum Sal.

– Proszę!

Nina weszła do środka. Ubrana w dzinsy i sweter Sal siedziała przy biurku. Wkładała jakieś papiery do pudełka. Spojrzała na Ninę, ale najwyraźniej jej nie rozpoznała. – Tak? W czymś pomóc?

Nina chciała się odezwać, ale mogła jedynie przytaknąć. Napisała w notatniku: *zapalenie gardła* i podeszła do biurka.

Sal nic nie powiedziała, tylko wzięła notatnik od Niny i odpowiedziała: *Źle pani trafiła. Już miała go oddać, gdy zauważyła, że Nina macha rękami i kręci głową niczym sfrustrowany gracz w szarady, dopisała więc kilka słów i z uśmiechem oddała notes Ninie.*

Nina przeczytała: *Nie leczymy ani uszu, ani gardła.* Pielęgniarka znów lekko się uśmiechnęła. Nina spojrzała na nią wilkiem i usiadła na krześle przy biurku. Napisała: *Me chodzi o zapalenie krtani. Chcę się zobaczyć z Crossmanem.* Odwróciła notatnik, żeby Sal mogła przeczytać.

Pielęgniarka zakreśliła pierwsze zdanie, narysowała od niego strzałkę i zapytała: *To dlaczego pani tu przyszła?*

Nina walnęła pięścią w biurko tak mocno, że spadła z niego porcelanowa figurka Goofy'ego i rozbiła się na podłodze. Sal wciąż patrzyła szeroko otwartymi oczami, kiedy otworzyły się drzwi do gabinetu i ukazała się w nich głowa doktora Crossmana.

– Co się dzieje? – zapytał, spoglądając najpierw na szczątki Goofy'ego, potem na Ninę, nie poznając jej, a w końcu na Sal.

– Ona ma zapalenie krtani – poinformowała pielęgniarka.

– Przykra sprawa – stwierdził lekarz. – To twoja przyjaciółka? Niewiele mogę jej pomóc. Mogę jedynie zalecić odpoczynek i branie aspiryny. – Cofnął się w głąb swojego gabinetu, by po chwili pojawić się z metalową puszką z miodowymi drażetkami. Nie podsunął Ninie puszki, ale wyjął jednego cukierka. Trzymał go między pokrytymi piegami palcami. – Proszę. To nie wyleczy zapalenia, ale złagodzi ból.

Nina odmówiła machnięciem ręki. Przez jej głowę przemknęła myśl: Dostałam od niego spermę, nie chcę teraz komunii. Wzięła notatnik i napisała: *Me poznaje mnie pan? Jestem Nina Kitchener. Zostałam tu zapłodniona, w lutym.*

Wszyscy patrzyli w notatnik. Crossman palcem musnął rude wąsy. Sal obserwowała go, gdy to robił. – Niestety, nie przypominam sobie pani. A ty, Sal?

– Kiedy to było?

Nina pokazała palcem na ostatnie słowo.

*Dokładnie kiedy?* – napisała pielęgniarka.

*Ja słyszę. Ósmego lutego* – odpowiedziała Nina.

Pielęgniarka zaczerwieniła się. Miała mleczną cerę, na której szybko pojawiały się rumieńce.

– Wierzę pani, ale co teraz możemy dla pani zrobić? – zapytał doktor Crossman.

*W szpitalu ukradli moje dziecko* – napisała Nina.

– O Boże – jęknęła Sal.

– Ukradli w szpitalu? – zapytał Crossman. – Chce pani przez to powiedzieć, że je porwali? – Nina przytaknęła. – To straszne.

– Czy pani już je odzyskała? – spytała Sal.

Nina pokręciła głową. Czowała, że jest jej gorąco, była też osłabiona.

– O Boże, o Boże – powtarzała Sal.

– Czy policja się tym zajmuje? – spytał Crossman. Nina znów przytaknęła. – Takie rzeczy czasami się zdarzają. Zwykle robią to jakieś stuknięte kobiety. Czy policja powiedziała pani, że zwykle dzieci się odnajdują?

Nina jeszcze raz przytaknęła.

– Ona nie wygląda zbyt dobrze – rzekła Sal.

– Masz rację – potwierdził Crossman. Dotknął wilgotną i zimną dłońią czoła Niny. – Jezu, pani ma gorączkę. Sal, podaj aspirynę.



Nie – próbowała krzyknąć Nina, ale wydobyła z siebie tylko cichy dźwięk.

– Co powiedziała? – spytał doktor Crossman.

– Chyba nie chce aspiryny – odparła Sal.

– Ale to zbije temperaturę.

Tym razem Nina uderzyła w blat stołu otwartą dłonią. Pielęgniarka i Crossman aż podskoczyli. Nina przewróciła kartkę w notesie i napisała: *Chcę dostać wydruk z danymi dawcy spermy.*

– Wydruk? – spytał Crossman. – Z danymi dawcy? – Nina potaknęła. – Ale pani powinna mieć kopię. Zawsze dajemy.

*NIE MAM!* – napisała Nina.

– No dobrze, dobrze – rzekł doktor. – Możemy go pani dać.

*Świetnie.*

– Ale dlaczego chce go pani właśnie teraz?

Nina napisała: *Trudno to wyjaśnić. PO PROSTU CHCĘ.*

– Okej. Dostanie go pani.

Nina spojrzała na Sal. Pielęgniarka nie zamierzała się ruszyć z miejsca. Tak samo Crossman. Zapytała więc w notatniku: *Czy to długo potrwa?*

– Co długo potrwa? – spytał Crossman.

*Sporządzenie tego wydruku.*

– Och, nie może go pani teraz dostać – powiedział doktor. – Komputer nawalił i wszystko...

– Stało na głowie – wtrąciła Sal.

– Właśnie. Stało na głowie. Ale dostanie go pani najszybciej, jak to możliwe.

– Uśmiechnął się zachęcająco. Tak samo Sal.

*Nie chcecie mojego adresu?* – napisała Nina.

– Jest na dysku. Trzeba tylko naprawić komputer.

– Chyba że ona się przeprowadziła – zauważyła pielęgniarka.

– No tak. Przeprowadziła się pani? – spytał doktor.

Nina pokręciła głową.

– Zatem proszę się nie martwić – rzekł Crossman. – Dostanie pani ten wydruk w tym tygodniu. Zapisz to, Sal. – Sal wykonała polecenie. – A teraz powinna pani wrócić do domu i wypoczywać. Ma pani jakieś tabletki nasenne?

Nina znów pokręciła głową.

– Sal, daj pani buteleczkę z seconalem. Jest w szafce.

Pielęgniarka wyszła. Nina uniosła do góry palec.

– Coś jeszcze? – spytał doktor Crossman.

Nina przytaknęła. Napisała: *Czy współpracujecie z Cambridge Reproductive Center?*

Doktor Crossman pochylił się nad biurkiem i przyjrzał się pytaniu. – Nigdy o nich nie słyszałem – rzekł. – Jesteśmy niezależną instytucją. Dlaczego pani o to pyta?

*Kobiecie, która korzystała z ich usług, też porwano dziecko.*

Doktor Crossman znów się pochylił. Wpatrywał się w napisane zdanie. Spojrzał na Ninę, pogładził wąsy i oderwał wzrok. – Nie wiem, co pani powiedzieć. Gdzie to jest?

*Cambridge, Massachusetts.*

Wzruszył ramionami.

Wróciła Sal z buteleczką tabletek. Podała ją Crossmanowi, a ten przekazał ją Ninie.

– Proszę iść do domu. Wziąć dwie aspiryny i jedną tabletkę seconalu. I zaraz też położyć się do łóżka. Pić dużo płynów. Jest pani wyczerpana i ma pani gorączkę. Chyba nie chce pani nabawić się zapalenia płuc. I proszę zostawić wszystko policji. Przecież za to im płacimy. – Położył dłoń na jej ramieniu. – Powodzenia – powiedział.

– Tak, powodzenia – dołączyła pielęgniarka. – Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze. Proszę później do nas zadzwonić.

Nina wzięła notatnik, tabletki nasenne i wróciła do domu. Nalała sobie szklanek wody i połknęła tabletki. Wypiła drugą szklanek. Potem poszła do pokoju dzieciennego i usiadła na podłodze. Patrzyła na łóżeczko. Przepelnił ją gęsty obłok spokoju. Opadła na podłogę i zamknęła oczy. Otoczył ją hałas i zamieszanie, ale po chwili znalazła się w strefie ciszy i bezruchu.

Obudziła się potem na podłodze, przytuliła się do polarnego misia. Słońce wypełniało pokój, i to już od dawna – była dziesiąta trzydzieści pięć, co właśnie podało radio. Ninie przeszła też gorączka, przestały ją boleć nogi, mogła mówić. Włączyła automatyczną sekretarkę. Nie było żadnych wiadomości.

Odszukała wizytówkę Laury Bain i wybrała numer.

– Słucham? – rozległ się kobiecy głos. Łamiący się i nie wskazujący, że Nina dodzwoniła się do jakiegoś biura. Wydawało się, że kobieta płacze.

– Chciałabym z Laurą Bain.

– Lau... Z kim rozmawiam?

– Jestem Nina Kitchener. Znajoma Laury z Nowego Jorku.

– O Boże. Nie wiem, co powiedzieć.

- Nie rozumiem.
- Boże, ja...
- Co się stało?
- Laura nie żyje.
- Nie żyje?!
- W nocy... ona... oni, to znaczy policja, mówią, że ona...
- Co?
- O Boże... że popełniła samobójstwo.

Brock McGillivray wykonał kuszę, którą tylko on mógł obsługiwać. Gumowa cięciwa miała cal grubości, więc wymagało dużo siły, by ją napiąć, ale najpierw trzeba było do niej sięgnąć, a rękojeść miała pięć stóp długości. Kilku nurków potrafiło naciągnąć gumę na odległość dwóch cali od zaczepu – Matthias nawet trochę bliżej – ale tylko Brock był w stanie napiąć ją do końca i zdawało się, że robi to bez wysiłku.

Unosili się na wzburzonej wodzie przy Palcach Anioła – Matthias, Danny i Brock. Palce Anioła to małe rafy koralowe wyrastające z piaszczystego dna znajdującego się na głębokości trzydziestu pięciu, czterdziestu stóp. Podczas odpływów wystawały stożki, dwie nad powierzchnię wody. Były zaznaczone na wszystkich mapach, ale regularnie, co kilka miesięcy, jakiś żeglarz nadziewał się na nie, zostawiając białe blizny na koralu i jego odłamane kawałki na dnie morza. Potem ci żeglarze trafiali do baru nad zatoką Zombie, gdzie ostro pili i szukali winnego, którego by można było oskarżyć. Następnego dnia wracali i prosili o pomoc.

Matthias czuł, że gwałtownie unosi się na falach; silny zimny wiatr od brzegu pędził je w różnych kierunkach tak, że nakładały się na siebie. Był doświadczonym nurkiem i łatwo przystosował się do warunków; piana rozpryskiwała się wokół niego, ale ani kropla nie dostała się do jego fajki. Zupełnie nieświadomie starał się, by Danny był między nim a Brockiem. Chłopak co chwilę walczył z falami, mocno wymachując nogami i rękami, bronił się przed wyrzuceniem na rafę. Od czasu do czasu woda dostawała mu się do fajki, krztusił się wtedy i kasłał, ale zawsze udawało mu się ją wypluć. Trzymał głowę w dół i nie wpadał w panikę. Właśnie to Matthias chciał widzieć.

Był to ostatni dzień pobytu Danny'ego. Pierwszego dnia Matthias umieścił głębokościomierz na dnie niedaleko pomostu. Urządzenie wskazało głębokość czterdziestu dwóch stóp. Danny wydobył go na powierzchnię przy trzeciej próbie. Od tego momentu większość czasu spędzał w wodzie z Matthiasem, Brockiem albo Moxiem i jego synem, Raferem, po którego Matthias poleciał do Nassau. Późnymi popołudniami Danny i Rafer wędrowali wzdłuż plaży i zbierali muszle pozostałe w kałużach po przypływie. Niewiele z sobą rozmawiali. Nie dziwiło to Matthiasa – jeden z chłopców interesował się nowymi technologiami biurowymi, drugi natomiast już zdążył zrezygnować z nauki w szkole.

Teraz Brock rozciął powierzchnię wody i po ośmiu, dziewięciu długich pociągnięciach płetwami znalazł się na piaszczystym dnie. Patrzył na coś pod koralowym wybrzuszeniem. Danny podążył za nim. Nie poruszał się tak płynnie, jego pociągnięcia nie były tak silne, ale schodził pod wodę w linii prostej, ręce trzymał przy boku. Brock wskazał ręką i zagłębił się w rafie tak, że było mu widać tylko nogi. Danny chciał zobaczyć, co to jest, ale nie mógł dłużej wytrzymać pod wodą i wypłynął na powierzchnię. Pół minuty później wyłonił się Brock. Uniósł palec wskazujący: chciał coś powiedzieć.

Wszyscy trzymali głowy nad falami, ściągnęli maski z ust. – Matt, tam jest cholernie duży wargacz. Ze dwadzieścia pięć funtów. Może chłopak go załatwi?

Matthias spojrzał na Danny'ego. Nie wiedział, czy on tego chce. – W jaki sposób? – zapytał.

– Mam swoją kuszę na łodzi – odparł Brock. – Naciągnę ją i zabiorę na dno. Wszystko będzie w porządku.

– Chyba nie... – zaczął Matthias. – Danny, co o tym myślisz? To zależy od ciebie.

– Okej – mruknął Danny. Jednak miał sine usta i drżał z zimna.

– Nie musisz tego robić.

– Daj spokój – rzekł Brock. – To będzie świetna zabawa.

– Ale chcę – powiedział Danny.

Brock popłynął do łodzi po kuszę. Matthias znalazł się bliżej Danny'ego. – Zimno?

– Nie.

Zastanawiał się, jak odradzić Danny'emu polowanie, ale zrezygnował. Zamiast tego powiedział: – Chodzi o to, że wargacz może nadać skrzela i nie można go wtedy wyciągnąć z jego kryjówki.

Fala omyła twarz Danny'ego. Mocno machnął nogami, uderzając Matthiasa płetwą w kolano. Uniósł się lekko na wodzie. Chłopak był zmęczony. Jak większość ludzi w głębi ducha bał się morza i nie wiedział, jak z tym walczyć. – Może lepiej, jak wrócimy tu jutro – rzekł Matthias. – On się nigdzie nie przeprowadzi.

– Ale ja jutro wyjeżdżam. – Danny szcząkał zębami.

– No tak – rzekł Matthias. Fala wyniosła go nad Danny'ego, już po chwili jednak Danny znalazł się wyżej niż on.

– A co z tym wargaczem?

– Przestraszony albo ranny robi się większy od wejścia do kryjówki, dlatego...

– Trzeba go zabić za pierwszym strzałem? – dokończył Danny. Matthias uśmiechnął się. – Tak.

Brock wrócił ze swoją kuszą. – Gotowy? – zapytał. Danny przytaknął. Brock jedną ręką sięgnął do gumowej cięciwy i naciągnął ją tak, że mógł ją chwycić obiema dłońmi. Oparł wtedy rękojeść o brzuch i umieścił zaczep na swoim miejscu. Chwilę później był już w połowie drogi do dna. Danny pośpiesznie zanurkował, już na początku zużywając zbyt dużo tlenu.

Matthias pozostał na powierzchni, rozdarty między pragnieniem, by być z Dannym, a obawą, że jego obecność mogłaby wszystko zepsuć. Wiedział, że Brock jest już na dnie, zbliżył się do kryjówki ryby, a za nim Danny. Chłopak miał wciąż budowę dziecka, warstewkę tłuszczu, co sprawiało, że musiał ciężko pracować nogami, by pozostać na tej głębokości. Brock machnął pewnie do Danny'ego i położył kuszę na piasku. Danny w kilku energicznych ruchach znalazł się na dnie, wzbijając przy tym chmurę piasku. Chwycił kuszę, a Brock odbezpieczył ją... Matthias ruszył w stronę dna.

Poprzez zawieszinę wzburzonego przez Danny'ego piasku zobaczył wargacza z jego wylupiastymi oczami, tłustymi wargami i dużą głową – archaiczne zwierzę niby bezpieczne w swojej kryjówce. Oczy Danny'ego za zamglonymi szklami wydawały się równie wytrzeszczone jak u ryby. Chłopak wycelował z kuszy, ale niepewnie i ze zbyt dużej odległości. Pociągnął za spust.

Zielona ciecz trysnęła z dziury. Na głębokości czterdziestu stóp krew jest zielona. Matthias ruszył przed siebie, chwycił linkę od harpuna i wyszarpnął rybę z kryjówki, zanim zdążyła powiększyć skrzela. Ostrze utkwilo w jej boku. Nie zabiło wprawdzie ryby, ale było dostatecznie głęboko, by nie dało się wyrwać. Wargacz miotał się, zabarwiając wodę wokół siebie na zielono. Danny odrzucił kuszę i wykonując gwałtowne ruchy, uniósł się ku powierzchni. Matthias puścił linkę i podążył za chłopakiem.

Danny dotarł do łodzi przed nim. Kiedy Matthias wdrapał się na pokład, zobaczył, że Danny wymiotuje. – Wszystko w porządku? – spytał.

Danny przytaknął. Ale wymiotował w dalszym ciągu, kiedy pojawił się Brock i rzucił wciąż miotającą się rybę na pokład.

– Super strzał, Danny – powiedział Brock i mocno poklepał chłopca po plecach. Potem przepchnął harpun przez ciało ryby, by odkręcić ostrze z zadziorem. Wyciągnął harpun. Ryba już się nie poruszała, ale wciąż krwawiła. Teraz krew była czerwona. Danny odwrócił się. – Dwadzieścia pięć funtów jak nic. Zgadzasz się, Matt?

Najwyżej dwadzieścia – pomyślał Matthias, ale nie sprzeczał się z Brockiem.

– Super strzał – powtórzył Brock. Uniósł rybę, wkładając jej palce do oczu, i rzucił ją na rufę. Danny znów zwymiotował. – Coraz bardziej buja – zauważył Brock. – Wciągnąć kotwicę?

– Tak – odparł Matthias, choć wiedział, że Danny nie ma objawów choroby morskiej. Zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy chłopiec zabił coś, czego nie można zabić kapciem. Danny właśnie przekroczył granicę i znalazł się w krainie, w której Matthias, Brock i im podobni znajdowali się od dawna, i ta przygoda przyprawiła go o mdłości. Przecież – pomyślał Matthias – chłopak jada ryby, a je wcześniej trzeba w jakiś sposób zabić, więc co za różnica. Polowanie z harpunem to sport nad sporty, a duże ryby zawsze łapie się za oczodoły, kiedy się je układa na łodzi, to najwygodniejszy sposób. Jednak przez chwilę popatrzył na to oczami Danny'ego i zrozumiał, jak prostacki wydał się chłopcu, co czas i życie z nim zrobiło.

– Na wieczór będzie uczta – zawołał Brock z dziobu łodzi, kiedy wciągał kotwicę. Mięśnie napięły mu się na plecach.

Matthias uruchomił silnik. Danny siedział na pokładzie, blady i drżący. Matthias nie wiedział, co mu powiedzieć. Zawrócił łódź i skierował ją w stronę zatoki Zombie.

Dwie godziny później Matthias odwiózł Danny'ego na mały pas lotniskowy. Szli po ubitej nawierzchni. Matthias niósł torbę Danny'ego. Przy schodach do samolotu Danny odwrócił się do ojca.

– Mama mówi, że jesteś dinozaurem.

– Tak?

– I wiem, co ma na myśli.

– Tak?

– Tak. Ale ja lubię dinozaury. – Uśmiechnął się.

Wyciągnął dłoń i Matthias ją uściskał.

– Do zobaczenia.

– Na razie.

Danny wziął torbę i wszedł po schodach do samolotu. Być może to było najlepsze, co on i Danny mogli zrobić. *Odpowiedź przyniesie ci wiatr.*

Czy cuchnie mi z ust? – zapytał baronet Hew Aikenfield.

– Nie wiem – odparł Matthias.

– To tylko dlatego, że trzymasz się ode mnie z daleka – stwierdził sir Hew. – A

szkoda, drogi chłopcze, wielka szkoda. Ale to nawiasem mówiąc. Chodzi o to, że ten mój nieświeży oddech, to nie moja wina. Nigdy nie nabrałem zwyczaju mycia zębów.

– Kto inny je mył?

– Właśnie – odparł sir Hew. – Jesteś bystry. Ściśle mówiąc, Lizzie.

– Lizzie?

– Służąca. Miała wspaniałe zęby, białe jak śnieg. Oczywiście u ludzi z ciemną skórą zęby wyglądają znacznie lepiej. Kiedyś w Hongkongu widziałem pastę do zębów o nazwie „Czarna. Wybielająca” z Murzynkiem. Ci Azjaci są paskudnymi rasistami, prawie takimi samymi jak my. Chociaż bardzo czysti... – Popadł w milczenie.

Siedzieli na tarasie jego domu, patrzyli na wznoszący się na niebie księżyc i słuchali trzeszczących nagrań Edith Piaf. Księżyc był w pełni, wyraźnie oświetlał długie białe włosy Hewa, jego delikatną jasną skórę, jego zamglone oczy. Dom Hewa na szczycie Bluff miał najlepszy widok na wyspie; miał też nazwę: Les Rochers. Gromadził w swoich wnętrzach sterty starych egzemplarzy *Puncha*, półki pełne kieszonkowych wydań – P. G. Wodehouse, Agatha Christie, Evelyn Waugh – obraz Gauguina przedstawiający odpoczywającego pod palmą młodego Polinezyjczyka oraz skrzynki z armaniakiem z zamkniętymi woskiem butelkami, na których była jedynie data: 1909.

– Jeszcze jedną kolejkę? – spytał Hew. Był białym mieszkańcem Bahamów, ale jego sposób mówienia na to nie wskazywał. Kształcił się w Harrow i Cambridge, jego akcent i ton głosu nasuwał na myśl królową Anglii.

– Jasne – rzekł Matthias. – O ile ty też się napijesz.

– Ja zawsze, drogi chłopcze – rzekł Hew, rozlewając alkohol.

Matthias nigdy nie pił czegoś podobnego do armaniaku Hewa. Tak łagodnie rozpływał się na języku, jakby nie był to płyn, ale czysty aromat.

Hew zwrócił ucho w stronę salonu z marmurową podłogą, skąd dobiegał głos Piaf. – Ach – jęknął, na chwilę zamykając oczy. Matthias słuchał starej płyty i nie poruszał się. Hew otworzył oczy. – Jesteś w stanie zrozumieć słowa?

– Nie znam francuskiego.

– Naprawdę? – zdziwił się Hew. Popił trochę z kieliszka. – Śpiewa o parze, która spotkała się tylko na jedno popołudnie, w jakimś obskurnym hotelu. – Znów słuchał. – Mój Boże, taki właśnie był Paryż. Mój Paryż. Międzywojenny. Tak go widziałem. Najważniejsza jest wyobraźnia. Ale co za rzeczy robiłem! Nie do opisania. Choć inni mogli patrzeć na to wszystko zupełnie inaczej. To był mój



Paryż, nie ich. Cały czas erekcje. Bez przerwy. Non stop. Bez końca. Wielki Boże, to było niesamowite. Nie muszę dodawać, że teraz mam erekcje bardzo rzadko. – Uśmiechnął się podle. Ze względu na stan jego zębów jego uśmiech wydał się wyjątkowo łajdacki. – Ale żadnej nie marnuję. – Zarechotał. – Naturalnie mówię o *Le plaisir tout solitaire*. Chłopcy nie przychodzą tu jak dawniej.

– Masz szczęście, że żaden z ojców nie zjawił się tu z maczetą.

– Zaskakujesz mnie – rzekł Hew. – To nie na Bahamach. Tutaj ludzie nie robią problemów z seksem. Walka z seksem to jak powstrzymywanie przyływów. Tego nie da się zrobić. – Uśmiechnął się szeroko.

Meteor przeciął niebo, zostawiając po sobie pomarańczową smugę. Po chwili niczym w obławie przemknęło kilka następnych. Edith Piaf śpiewała o Paryżu, jaki nigdy nie istniał. Matthias dzięki swojemu hiszpańskiemu rozumiał co nieco. Nie mógł nie polubić piosenki o czymś, czego nie było. Hew znów napełnił kieliszki. – Głodny? – zapytał.

– Nie.

– To dobrze – rzekł Hew. – Chyba mam tylko ciasteczka. Pozwolę sobie na coś więcej, kiedy w połowie miesiąca bank prześle mi czek.

– Mam ci pomóc?

– Dzięki, drogi chłopcze – odparł Hew. – Z tego co wiem, nie jesteś w dobrej sytuacji. Poza tym przyzwyczałem się do życia jako rentier bez grosza. Już długo sobie z tym radzę. – Pociągnął duży łyk. – Swego czasu byłem bogaty. Potem nie miałem nic, tylko ten dom i co miesiąc czek z Barclay's. W szterlingach. Już wtedy było to mało, a teraz jeszcze mniej. Nie pytaj, jak to się stało. Wiązało się to z jakimiś planami inwestycyjnymi i rządami MacMillana. Wyjątkowo nudne. Ale nie skarżę się. Wiesz, że nie przepracowałem dnia w swoim życiu. No, może to niezupełnie prawda. Robiłem za modela u pewnego artysty latem trzydziestego trzeciego. Na Riwierze. Ale dla przyjemności. – Znów zarechotał.

– Kiedy tu wróciłeś?

– Z Paryża?

– Tak.

– Oczywiście, że w trzydziestym dziewiątym. Wtedy miałem jeszcze dom na wysepce Lyford. Ale trzydziesty dziewiąty to koniec Paryża. Nie trawiłem nazistów, i innych.

– Jakich innych?

– Tej bandy drobnych łobuzów, którzy zaczęli rządzić na tych wyspach. *Chłopców Zatoki*. Wtedy Bahamy to było miejsce, gdzie diabeł mówi dobranoc.

Teraz to też jest zadupie świata, ale na bardziej nowoczesny sposób. To dlatego Churchill *zesłał* tu księcia i księżną Windsoru w czasie wojny. Mogli się tu wygłupiać do woli i nikt tego nie zauważał. Ale psuli obyczaję...

– A znasz może Hirama Standisha juniora?

– Ha – parsknął Hew, mrużąc oczy w sposób, który uświadomił Matthiasowi, że ten człowiek jest zdolny do złośliwości. Usiadł wygodniej na szezlongu i założył nogę na nogę. Wyglądał jak Bette Davis w filmie, którego tytułu Matthias nie mógł sobie przypomnieć. – Nie przyszedłeś tu na towarzyską pogawędkę. Ani nawet na armaniak mojego ojca... to był cholerny drań, ale przynajmniej młodo umarł. Przyszedłeś tu z jakąś sprawą.

– Zgadza się. Ale to nie wyklucza czego innego.

Napełnił swój kieliszek, lecz nie Matthiasa. Wypił łyk. – Nigdy nie interesowali mnie faceci tacy jak ty. Wiesz dlaczego?

– Po pierwsze, mam już czterdzieści cztery lata – odparł Matthias. – I nie jestem gejem.

Hew prychnął. Mała kropla smarków zatrzymała mu się na górnej wardze. – Nie masz pojęcia, ile razy już to słyszałem. Od chłopaków, którzy dwie godziny później byli już w moim łóżku. Powód jest taki, że nie lubię potężnych, silnych facetów. Są tacy... obcy.

– Hew, wytrzymaj może usta – wtrącił Matthias.

Hew zrobił to. – Boże, jak długo to miałem? – Wszedł do domu i po chwili wrócił w czystej koszuli i z ciastkami na tacy. Tacę postawił między sobą a Matthiasem. Hew nie tknął krakersów, tak samo Matthias, gdy zobaczył na nich mrówki.

Hew napełnił kieliszek Matthiasa. – Ale z pewnością możesz pić – rzekł Hew. – To mi się w mężczyznach podoba.

– Hew, ile ty właściwie masz lat?

– To nie powinno cię obchodzić – warknął Hew. Wypił mały łyk, a po chwili wahania opróżnił swój kieliszek do końca. – Chciałbyś się czegoś dowiedzieć o Hiramie Standishu juniorze, tak?

– Tak.

– O jego roszczeniach?

– Tak.

– I o śpiączce?

– Zgadza się.

– W takim przypadku, to kto tak naprawdę napędza tę sprawę?

– Adwokaci.

– Naturalnie. Ale kto im płaci?

– Przypuszczam, że jego rodzina. A już na końcu to ja zapłacę.

– A teraz Inge – rzekł Hew.

– Inge?

– Żona Hirama.

– Nie wiedziałem, że on jest żonaty.

– Mówię o Hiramie seniorze – powiedział Hew. – Kiedyś mój kumpel. Jako dzieci razem bawiliśmy się na plaży Cable. Błyskotliwy, można powiedzieć. Ale szybko skończył karierę.

– Dlaczego?

– Utopił się, biedak.

Matthias odstawił kieliszek. – Mówisz o ojcu czy o synu?

Hew uniósł brwi. – Jesteś szybki. Taki duży facet i taki bystry. To wbrew moim doświadczeniom. Ale w tym przypadku mówię o ojcu. Utopił się. Stracił życie.

– Gdzie?

– W błękitnej dziurze.

– W jakiej błękitnej dziurze?

– Twojej. Tej w lesie za polem do shuffleboarda.

Nazywali go Happy – zaczął sir Hew. – Nigdy Hiram... to okropne imię... a na pewno nie Junior, czy coś podobnie wulgarnego.

– Znałeś go?

– Tego chłopaka? Od czasu do czasu go widywałem. Dom Standishów był niedaleko mojego. Mam na myśli ten w Nassau. Ale tak naprawdę Standishowie nie byli w moim guście. Należeli do innego kręgu.

– Jakiego kręgu?

– Chłopcze, czy ty nie wypiełeś o jednego za dużo? – spytał Hew.

– Mówię o Chłopcach Zatoki. Oczywiście mój ojciec był jednym z nich. Na Boga, oni rządzą Nassau niczym prywatną plantacją. Raczej mało efektywnie, muszę dodać. Ale to wszystko nudne.

– Mówiełeś, że stary Hiram Standish był błyskotliwy.

– Naprawdę? – Rozlał resztę z butelki do kieliszków, a potem wyrzucił ją w stronę morza. Po dziesięciu, może piętnastu sekundach usłyszeli odgłos rozbijanej butelki. – Odpływ – stwierdził Hew. – Przyptyw: plusk. Odpływ: butelka na skałach. – Napił się armaniaku. – Hiram Standish... Bardzo konwencjonalny człowiek. W gustach, w zainteresowaniach, w poglądach, w spojrzeniu na świat, w zachowaniach towarzyskich. Jego błyskotliwość, choć być może to zbyt duże słowo, ujawniła się na dość wąskim polu.

– Jakim?

– W nauce. Chyba w biologii. Przed wojną studiował w Europie i poznał tam wiele wybitnych umysłów.

– Myślałem, że Chłopcy Zatoki to byli kupcy, handlarze.

– Tak, jego ojciec był. I dziadek. Standishowie byli bogaci, znacznie bogatsi od nas, nawet w czasie największych machlojek mojego ojca. Byli właścicielami więcej niż połowy New Providence, dosłownie. Do nich należała cała północna część Bay Street, od British Colonial do Rawson Square. Inwestowali też w Miami i innych miejscach. Poza tym jakieś inne drobiazgi. Nie pamiętam dokładnie, nigdy mnie to zresztą nie interesowało. Robienie pieniędzy mnie nudzi. Jedynie wydawanie ich jest naprawdę zabawne, a Standishowie pod tym względem byli przeraźliwie smutni. Nigdy nie zrobili nic ciekawego ze swoimi pieniędzmi.

– Przecież wysłali Hiram do Europy, żeby się tam kształcił.

– I to uważasz za coś interesującego? – spytał Hew. – Sam otrzymałem

wykształcenie... jeżeli to odpowiednie słowo... w Europie. Jak prawie każdy.

– Ja nie.

– Myślę o tamtych czasach. Teraz jest inaczej. Nie ma o czym mówić. Znikło prawdziwe kształcenie i wszyscy są niedouczeni.

– A czemu nie sprzedasz tego Gauguina? – spytał Matthias, nie wiedząc dlaczego. To pytanie po prostu nasunęło mu się bez powodu.

Oczy Hewa pokryła mgielka. – Prędzej umarłbym. – Wstał i wszedł do domu po następną butelkę. Delikatnie ściągnął z niej wosk o balustradę tarasu i odkorkował. – No może nie *umarłbym* – rzekł, napełniając kieliszki. – Ale przynajmniej przez dwa dni byłbym przygnębiony, a czy ktoś tego chce? „Nie ja, powiedziała świnia”. – Hew lekko się zachwiał, kiedy ciężko siadał na szezlongu. Bursztynowy płyn wylał się z kieliszka i ochlapał krok jego plisowanych białych spodni. – Do cholery – mruknął Hew. Wstał i wrócił do domu.

Matthias pozostał na tarasie, pił armaniak i słuchał Edith Piaf, której towarzyszyły płaczliwe dźwięki skrzypiec. Obserwował księżyc, który teraz zaczął spływać w stronę horyzontu.

Hew wrócił na taras w nowych plisowanych białych spodniach, ale boso. Usiadł na szezlongu, ostrożnie zakładając nogę na nogę niczym kobieta w obcisłej spódnicy. Miał długie powykręcane palce, paznokcie wołały o nożyczki. Podnosząc kieliszek, spytał: – Na czym skończyliśmy?

– Na Hiramie Standishu seniorze, w Europie.

– Właśnie. Hiram studiował w Europie. Medycynę i coś więcej.

– Gdzie?

– Chyba w Heidelbergu. Może Berlinie. Nie podobało mi się tam. Miasto jak u Isherwooda. Czytałem jego książkę. Dobry pisarz. – Zakręcił kieliszkiem. Wpatrując się w wirujący płyn, powiedział: – Hiram wrócił tu przed wojną, długo przed wojną, o ile dobrze pamiętam. Ja wciąż byłem w Paryżu. Kiedy i ja też wróciłem, on zdążył założyć praktykę w Nassau.

– Jaką praktykę?

Hew uniósł wzrok. Alkohol w jego kieliszku się uspokoił. – Położnictwo? Czy tak to się nazywa? Miał klinikę na Shirley Street i chyba małe laboratorium na Princess Margaret, gdzie prowadził swoje badania. Jednak zamknął ją zaraz po wojnie.

– Co zamknął?

– Praktykę. Odnoszę wrażenie, że nie słuchasz mnie zbyt uważnie. Może to przez to nurkowanie. Wstrzymywanie na długo oddechu chyba nie jest zbyt

korzystne dla szarych komórek.

– Masz rację – potwierdził Matthias. – Najlepiej, jak opowiesz wszystko po kolei.

– Od czego zaczniemy?

– Od Hirama Standisha.

– Hirama? Myślałem, że to Happy cię interesuje.

– Obaj.

– Obaj – powtórzył Hew, spoglądając na księżyc. Jego blade światło oświetliło delikatne kości Hewa, lekko zakrzywiony nos i wygięte usta jak u Kupidyna. – Piękna noc. W nocy świat wydaje się idealny, natomiast w dzień wygląda jak jedno wielkie śmietnisko. – Zamknął oczy. Edith Piaf ciągle śpiewała. Po piosence o bandziorze na motocyklu i smętnym utworze o wiejskich dzwonach, Matthias dokończył drinka i wstał, aby wyjść. Nie otwierając oczu, Hew powiedział: – Wiesz, chłopak bał się wody.

– Jaki chłopak?

– Happy Standish. – Hew otworzył oczy. – Dokąd idziesz?

– Jest późno.

– Nie chcesz usłyszeć tej historii.

– Ale jesteś zmęczony.

– Bzdury. Siadaj. Nalej sobie. Nie jest zły, chociaż piłem lepszą brandy.

– Tak?

– Raz. W pewnej garderobie, jeśli mnie pamięć nie zawodzi. Był to koniak, *fine champagne*. Musiał pochodzić z połowy ubiegłego wieku albo jeszcze wcześniej. Smakował jak najśłodsza bryza.

Matthias usiadł. – Skąd wiesz, że Happy bał się wody?

– Kiedyś widziałem go z niańką na plaży. Próbowła uczyć go pływać. Nie mógł opanować przerażenia. To było chyba po tym, jak utopił się jego ojciec. Nic więc dziwnego.

– O jakiej plaży mówisz?

– Ich plaży.

– Na Lyford Cay?

– Nie, nie. Już ci przecież mówiłem, pięć minut temu. Hiram zamknął praktykę. Sprzedali Lyford Cay i przeprowadzili się tutaj.

– Tutaj?

Hew wskazał ręką.

– Na Dwie Głowy?

– Właśnie. Jakoś trudno ci cokolwiek zrozumieć. Ale nieważne. Ciągłe się z tym spotykam.

– Więc widziałeś Happy'ego na plaży na Dwóch Głowach?

– Czy wcześniej tego nie mówiłem? Wspaniała plaża, wyjątkowa. Ale jestem pewien, że sam ją widziałeś.

– Nigdy nie byłem na tej wyspie.

– Nie? Nie jest teraz zamieszkała. Jeśli nie liczyć starego Albury'ego i jego żony. – Hew przerwał i zmrużył oczy, oczekując na kolejne głupie pytanie.

– To dozorca?

Hew głośno westchnął jak aktor w teatrze, który chce, żeby jego reakcję usłyszeli nawet widzowie w ostatnich rzędach. – Tak. Ten dom był wspaniały. Ona sprowadziła jakiegoś Włocha, żeby go przebudował. Teraz jest pewno pozabijany deskami.

– Mówisz o pani Albury?

– Pani Albury? Ona była służącą. Zajmowała się chyba głównie niańczeniem chłopca. Mam na myśli Inge. Przecież ci o niej wspomniałem. Hiram przywiózł ją z Europy. Mąż i żona. Aż śmierć ich nie rozłączy. Wiesz, dlaczego masz problemy ze zrozumieniem prostej narracji? To wpływ telewizji.

– Nie mam telewizora.

– Nieważne. Fale telewizyjne unoszą się w powietrzu. – Hew pokazał dłonią na nocne niebo. – I zakłócają pracę twojego mózgu.

– Gówno prawda.

Hew skrzywił się. – Nie lubię tego określenia. – Odstawił kieliszek. – Wiesz, czego ci potrzeba?

– Czego?

– Pomocy wizualnych. Mam takie. – Wszedł do domu i długo z niego nie wychodził. Wrócił z oprawionym w skórę albumem i latarką. – Niestety, jestem trochę nieporządny. Tylko to mogłem znaleźć. Ale tutaj coś może być.

Hew położył album na stole i otworzył go na pierwszej stronie. Do czarnego papieru przyklejone było zdjęcie. Hew skierował na nie snop światła z latarki. Zdjęcie przedstawiało dwóch mężczyzn, jasnowłosego i szatyna; obaj w smokingach, obaj unosili kieliszki z szampanem do obiektywu aparatu fotograficznego. Dopiero po chwili Matthias zdał sobie sprawę, że ten jasnowłosy mężczyzna to Hew.

– Hew, ty przechowujesz takie wycinki z gazet?

Hew znów przymknął oczy. – Jakim ty jesteś snobem, Matthias... Wiesz o tym?

– To podstawa naszej przyjaźni.

Hew parsknął cichym wesołym śmiechem. Potem znów fotografia przyciągnęła jego uwagę. Pochylił się, aby lepiej się jej przyjrzeć. – To musi być Ledoyen – orzekł. – Już wtedy przeceniany.

Zaczął przewracać kartkę, kiedy Matthias zapytał: – A kto to jest ten drugi facet?

Hew spojrzał na niego zszokowany. – Przecież to Niżyński.

Matthias uważnie przyjrzał się zdjęciu. Zauważył, że Hew patrzy prosto w obiektyw, podczas gdy Niżyński skoncentrował wzrok na kimś z boku.

– Był nie do zniesienia – podsumował Hew, przewracając kartki albumu.

Matthias zobaczył zdjęcie jasnowłosego Hewa w kostiumie kąpielowym goniącego z homarem w ręku dwóch mężczyzn też w kąpielówkach, którzy uciekali rozbawieni; Hewa w Wenecji, obejmującego ramieniem gondoliera; siedzącego przy koszyku piknikowym i wpatrującego się w mężczyznę w berecie; ściskającego dłonie z facetem w apaszcze. Hew zaczął szybciej odwracać kartki, pojawiał się w różnych sytuacjach niczym w odtwarzanym w przyspieszonym tempie filmie. Hew zawsze szeroko uśmiechał się do aparatu, jego zęby były w znacznie lepszym stanie niż teraz.

– Tutaj coś mamy – rzekł Hew, zatrzymując się na końcu albumu. – Wiadomości towarzyskie z Nassau. – Pożółkłe wycinki z gazet pokrywały zupełnie dwie ostatnie strony: zdjęcia i komentarze z zaręczyn, ślubów, balów charytatywnych, przyjęć i wizyt ważnych gości na wyspach, ale to dawno temu. Skierował światło latarki na wycinek na dole. Pochodził z *Nassau Tribune*, egzemplarz z dwudziestego siódmego marca tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku. Było tam nieostre zdjęcie trzech mężczyzn stojących przy mikroskopie. Ten po lewej był młody, z wysokim czołem i drobnym podbródkiem, wyglądał na inteligentnego. Mężczyzna w środku był jakieś dziesięć lat starszy. Wysoki, z arystokratyczną twarzą, dominował na zdjęciu. Ten po prawej był na oko w tym samym wieku, ale grubszy, z obfitym podbródkiem i potężną pierśią. Podpis głosił: *Doktor Hiram Standish z Lyford Cay (po lewej) na uniwersytecie w Heidelbergu, gdzie ostatnio obronił doktorat z cytologii, ze swoimi kolegami: doktorem W. von Trautschke (w środku) i doktorem G. Mullerem (po prawej).*

Matthias pochylił się, aby lepiej przyjrzeć się doktorowi G. Mullerowi. Ale im bardziej się przypatrywał, tym więcej widział kropek i plamek na niewyraźnym zdjęciu z gazety.

Hew położył palec na wysokim mężczyźnie pośrodku. – Ten czcigodny



człowiek został teściem Hiram. Von Trautschke. Ojciec Inge.

– Znałeś go?

– Nie. Nie przeżył wojny, jeżeli się nie mylę. Raczej podły typek.

– To znaczy?

– Nigdy jakoś nie poznałem szczegółów.

Matthias uważnie przyjrzał się twarzy von Trautschkego. Ona też rozplynęła się w zbiór kropek. – Więc ten tutaj był dziadkiem Happy'ego Standisha.

– Rzeczywiście tobie bardzo się przydają pomoce wizualne.

– Masz ich więcej?

– Więcej czego?

– Zdjęć albo artykułów o Standishach.

– Może – odparł Hew. – Mam dużo albumów z wycinkami, ale musiałbym je odnaleźć. A ty właściwie czego szukasz?

– Na przykład informacji o śmierci Hiram Standisha.

– Już ci mówiłem. Zginął w tej twojej błękitnej dziurze.

– Kiedy?

Hew zastanowił się. – Zanim musiałem sprzedać dom na Lyford Cay. Tam w Nassau. Czyli na pewno wczesne lata pięćdziesiąte. Po wypadku nie mieszkali zbyt długo na Dwóch Głowach.

– Kto nie mieszkał?

– Inge. Happy. Służba.

– Gdzie się przenieśli?

– Do Stanów. Taka kobieta jak Inge musiała się tutaj nudzić. Piękna i w niektórych dziedzinach utalentowana... na przykład była świetnym myśliwym. Polowała na dziki. Wtedy było ich tu pełno.

Matthias odstawił kieliszek. – Czy dobrze zrozumiałem? Standishowie opuścili Lyford Cay po wojnie i przeprowadzili się na Dwie Głowy. Na początku lat pięćdziesiątych Hiram utopił się w błękitnej dziurze. Potem ty sprzedałeś swój dom w Nassau i przeprowadziłeś się tutaj. Byłeś na Dwóch Głowach i widziałeś Happy'ego, który bał się wody. Co można łączyć ze śmiercią jego ojca. Potem przeprowadzili się do Stanów. Zgadza się?

– Niesamowite – wyrzucił z siebie Hew. – Słuchałeś mnie. – Sięgnął pod stołem i położył rękę na kolanie Matthiasa.

– Weź ją – warknął Matthias.

– Czyż nie jestem wredny? – zaszczebiotał Hew? ale cofnął rękę. Matthias pomyślał o niektórych ludziach z Pinos i odrzekł: – Nie.

– Nie? – spytał z niezadowoleniem Hew.

Matthias przyjrzał się zdjęciu trzech doktorów. – Nie mogę zrozumieć, dlaczego właściciele połowy Bay Street przeprowadzili się tutaj.

– Nikt tego nie rozumiał – odparł Hew. – Chociaż wtedy Standishowie już wiele nie posiadali. Krążyły różne plotki.

– Plotki?

– Mówiono, że źle zainwestowali, wpadli w długi, i temu podobne nudne historie. Ale chyba to nieprawda. Ludzie, którzy ich widzieli po wojnie... w Connecticut albo podobnych koszmarnych miejscach... mówili, że byli wtedy bogatsi niż kiedykolwiek w przeszłości.

Matthias zamknął album i położył go między nimi. – Chciałbym zobaczyć inne.

– Inne?

– Albumy.

– Dzisiaj? – Nagle Hew wydał się bardzo zmęczony. Skóra obwisła na delikatnych kościach jego twarzy.

– To może jutro?

– Wieczorem. Muszę poszperać. Ale nie wiem dokładnie, czego szukasz.

Matthias miał problemy z odpowiedzią. Wypił resztę armaniaku.

– Obaj utonęli, albo w przypadku Happy'ego, prawie – powiedział Hew. – Czyli... ?

– Zastanawiający przypadek. Ćwierć mili od siebie – zauważył Matthias.

– Ale Happy topił się na morzu.

– Zgadza się.

– A błękitna dziura jest na lądzie.

– To też się zgadza.

– A zatem?

– No nie wiem – przyznał Matthias. – Kiedy po raz ostatni widziałeś Happy'ego?

– Chyba wtedy na Dwóch Głowach. Może trochę później też go widziałem, i Inge.

– Nie odwiedził cię, kiedy przyjechał do mojego klubu?

– O czym ty mówisz?

– O zeszłym wrześniu, dzień przed wypadkiem.

– Nie zawitał tu. A niby dlaczego miałby mnie odwiedzić?

– Nie wiem – odparł Matthias. – A co senior Hiram robił w błękitnej dziurze?

– Pływał, jak sądzę.

– Sam?

– Nie mam pojęcia. Dlaczego nie zapytasz o to Gene'a Albury?

W domu Hewa Edith Piaf zaczęła śpiewać *La Vie en Rose*. Czy Hewa pokryła mgiełka. Zasłuchał się.

– Dzięki za przyjęcie – powiedział Matthias, wstając.

Przez chwilę myślał, że Hew go nie słyszał. Ale Hew wtedy powiedział: – Będzie mi brakowało twojego towarzystwa.

– To jeszcze nie koniec. Zostało jedenaście dni do złożenia apelacji.

– Na jakiej podstawie?

To było pytanie!

– Dobranoc – rzucił Matthias i zszedł po schodach z tarasu.

Odnalazł ścieżkę i ruszył w stronę swojego domu. Coś zaszeleściło wśród palm rosnących między ścieżką a plażą. Gdzieś w krzakach zaczął szczekać pies, potem kolejny i kolejny. Księżyc już zaszedł, a słońce miało wzejść za około godzinę. Było ciemno i może z tego powodu Matthias nie zauważył przeszkody na ścieżce. Albo dlatego, że był pijany. Potknął się i omal się nie przewrócił. Pochylił się, wyciągnął w dół rękę i wyczuł coś dużego i miękkiego.

– Kto to? – rozległ się głęboki głos. Nottage.

– Jezu, Nottage. Wstawaj.

– Morze płonie, szefie, morze płonie.

– Wstawaj, Nottage. Nie śpij tutaj. Możesz spać na pomoście.

Ale Nottage nie miał zamiaru wstać. Powtarzał tylko: – Morze płonie, szefie, morze płonie.

Matthias zostawił go na ścieżce i poszedł spać.

Matt?

Matthias poczuł na ramieniu ciężką dłoń.

Matthias nie miał ochoty wstać, chciał zostać tam, gdzie był: w pełnym piasku łóżku. Chciał też pozostać w nieświadomości. Brock spoglądał na niego.

– Co się stało? – spytał Matthias.

– Musisz ze mną iść.

Matthias wstał, włożył szorty, sweter i wyszedł za Brockiem. Słońce znajdujące się dopiero nad horyzontem świeciło oślepiającym blaskiem i w oczach Matthiasa pojawiły się łzy. Bolała go też głowa i paliło w ustach. Kac po wypitym armaniaku rocznik 1909 zdegradował go do bezwładnego stworzenia.

Brock prowadził go po wysypanej muszlami ścieżce na plażę. Szli w kierunku północnym, Bluff wznosił się po ich lewej stronie. Wiatr, silniejszy niż poprzedniego dnia, wiał w stereo: z jednej strony syczał nad wierzchołkami fal, z drugiej z jękiem rozbijał się o skały. Nagle piasek na ścieżce się skończył, dalej leżały martwe koralowce pokryte śliskim mchem. Poszli po nierównej plaży w stronę cypla wyspy. Matthias widział dzieci z Blufftown biegające boso po pokrytych szczątkami koralu plażach, ale jego stopy, choć stwardniałe, bolały go przy każdym kroku. Już miał wrócić po buty, kiedy zobaczył sępa krążącego nad Bluff. Poniżej na skałach stał Moxie, patrzył na coś białego, skręconego. Mogło to być coś wyrzucone przez fale, ale nie było. Matthias wiedział to, zanim zaczął biec.

Był to Hew.

Leżał na boku z jedną wyrzuconą ręką w sposób, który kazał Matthiasowi pomyśleć o zdjęciu z Niżyńskim, te same długie włosy i czyste białe spodnie. Mógł być modelem dla jakiegoś awangardowego fotografa, gdyby nie jego nienaturalnie ułożone nogi i kilka czerwonych krabów, które biegały w tę i z powrotem, czyhając na łatwą zdobycz. Wszędzie wokół leżały kawałki rozbitych butelek z zielonego szkła z 1909 roku, nie zmyte jeszcze przez fale.

*Przyływ: plusk. Odpływ: butelka na skałach.*

Matthias uniósł wzrok. Balustrada tarasu Hewa znajdowała się jakieś trzydzieści, czterdzieści stóp wyżej. Matthias z tego miejsca, gdzie stał, mógł zobaczyć jedynie wystającą szyjkę butelki, wyglądającą niczym małe działo.

– Jezu Chryste – mruknął.

– Taa – jęknął Brock.

Moxie nic nie powiedział. Był lekko ubrany i trząsł się z zimna.

– Która godzina? – spytał Matthias.

Brock spojrział na swojego rolexa. – Ósma piętnaście – odparł.

Matthias przypuszczalnie wyszedł od Hewa zaledwie przed trzema godzinami.

– Kto go znalazł? – spytał.

Brock odwrócił się do Moxiego. Ten rzekł: – Chłopaki na plaży.

– Jakie chłopaki?

– Ci od ryb – odpowiedział Moxie. – Z Blufftown.

– Konkretnie.

Moxie spojrział nad ramieniem Matthiasa. – Jeden to Craig i ten mały z wykrzywioną stopą.

– Larry?

Moxie przytaknął. – To Larry mnie powiadomił.

– Kiedy?

– Rano.

– Czyli godzinę temu?

– Taa. Godzinę.

Matthias spojrział do góry: na urwisko, balustradę, butelkę, wyczekującego sępa. – Tak leżał jak teraz?

– Tak – odparł Moxie. – Ale wtedy był odpływ.

Teraz poziom morza się podnosił. Fale rozbijały się, tworząc pianę na plaży z koralowców, w niewielkiej odległości od wyciągniętej ręki Hewa. Matthias ukląkł i przeszukał mu kieszenie. Były puste.

– Po co to robisz? – spytał Brock.

Matthias nie wiedział. – Czy ktoś widział Nottage'a? – spytał.

– Nottage'a?

– W nocy był na Bluff.

– A jakie to ma znaczenie?

– Może coś widział albo słyszał.

– Na przykład?

– Jak Hew spadał.

– Nottage? – zdziwił się Brock. – On jest narąbany dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Matthiasowi zrobiło się niedobrze.

– Coś nie tak? – spytał Brock.

– Nie tak? – Matthias wciąż klęcząc, delikatnie podniósł głowę Hewa. Ukazała

się zmiądzona czaszka. Oko po tej stronie było otwarte, drugie zamknięte. – To jest nie tak.

Żaden z mężczyzn nie zbladł. Nie odwrócił głowy. Moxie pochodził ze świata, gdzie wady nabyte podczas porodu nie były leczone. Brock patrzył, jak jego partnera od nurkowania pożera rekin. Matthias już wcześniej widział ludzi z rozwalonymi głowami, poczynawszy od kilku kolegów Cesarito na wyspie Pinos. – Trzeba zadzwonić do Conchtown – powiedział. – Na policję. Do Wellesa.

– Po co? – spytał Brock.

– Żeby zbadał zwłoki.

– Welles? – zdziwił się Brock. – On nawet nie potrafi dobrze się podpisać. – Matthias spojrzał na Moxiego. Jego oczy niczego nie wyrażały. – Przecież wiadomo, co się stało – stwierdził Brock.

Wszyscy spojrzeli w górę. – Chyba tak – przyznał Matthias.

– Był śmiesznym starym pedałem – rzekł Brock – ale ciągnął nie gorzej niż Nottage. Tylko nie musiał doprawiać się wodą po goleniu.

Matthias wstał. – Mimo wszystko zadzwonię po Wellesa. Brock, zostań tutaj, a ty, Moxie, poszukaj Nottage'a.

Kiedy Moxie ruszył w stronę plaży, Brock zapytał: – Co ja mam tu robić?

– Odpędzaj od niego kraby. – Popatrzyli na te zwierzątka. Już nie truchtały, przyczaiły się w kałużach, tworząc trójkąt z Hewem w wierzchołku. Obserwowały go.

– Musisz się pospieszyć – powiedział Brock. Woda już zaczęła docierać do pozbawionych krwi palców Hewa.

Poszedł do swojego biura i zadzwonił na posterunek policji w Conchtown. Odczekał trzydzieści dzwonek, ale nikt nie odebrał. Kiedy znów zadzwonił, nie było sygnału. Wychodząc z pomieszczenia, zauważył, że zostawia krwawe ślady stóp. Włożył buty i ruszył ścieżką w stronę domu Hewa.

W środku wszystko wyglądało jak kilka godzin wcześniej: zapleśniałe antyki, książki, sterty *Puncha*, Gauguin – wszystko na swoim miejscu. Taca z ciastkami wciąż była na stoliku między dwoma szezlongami, ale teraz do mrówek dołączył karaluch. Obok tacy stał jeden pusty kieliszek. Drugi, niewidoczny z dołu, znajdował się na balustradzie, niedaleko od przewróconej butelki. Był napełniony w jednej trzeciej. Matthias wziął kieliszek i powąchał. Poczł zapach armaniaku rocznik 1909, który teraz stracił swoją magię.

Matthias spojrzał w dół. Brock założył ręce i patrzył na morze, ciało Hewa leżało u jego stóp. Woda już przykryła połowę jego wyciągniętej ręki i zaczęła

sięgać mu do włosów. Jeszcze dziesięć minut i morze zabierze Hewa. – Przynieś go tutaj – zawołał Matthias.

Brock podniósł Hewa za ramiona i przyniósł na taras. Chciał ułożyć ciało na jednym z szezlongów, ale Matthias powiedział: – Połóż go na podłodze.

– Na podłodze? – spytał Brock, ale Matthias się nie odezwał. Brock położył Hewa na białym marmurze. We włosy martwego mężczyzny zaplątały się wodorosty.

Matthias usiadł na balustradzie, plecami do morza. Brock usiadł obok, po drugiej stronie kieliszka i przewróconej butelki. – Ile wypił w nocy? – spytał Brock.

– Wystarczająco.

– Wyszedłeś od niego, a on dalej pił?

– Na to wygląda.

– Może usiadł na balustradzie.

– Może.

– I obserwował wschód słońca.

Obrócili się, aby spojrzeć w tamtym kierunku. Brock lekko musnął ręką leżącą butelkę, która zaczęła się toczyć. Próbował ją złapać, ale się nie udało, butelka z pluskiem wpadła do wody, w miejscu, gdzie przed chwilą leżało ciało Hewa. Z wody wyskoczył czerwony krab i szybko uciekł.

– Cholera – warknął Brock. – To był dowód.

– Na co?

– Nie wiem. Może to nie był wypadek, może Hew popełnił samobójstwo.

– A dlaczego Hew miałby popełniać samobójstwo? – spytał Matthias.

Brock wzruszył ramionami. Do sępa w górze dołączył drugi, trochę mniejszy i ciemniejszy. Krążyły teraz w tandemie wznoszone przez prądy powietrzne, tylko od czasu do czasu machały skrzydłami.

– Brock, czy byłeś kiedykolwiek w błękitnej dziurze?

– Jakiej błękitnej dziurze?

– Naszej.

– Tym otworze odpływowym w skale przy polu do shuffleboarda?

– Tak.

Brock pokręcił głową. – Trudno ją nazwać błękitną.

– No tak, wszystkie te małe jeziora są takie same.

– Nurkowałeś tam?

– Wiele lat temu.

– Tak? To chyba bez sensu. – Spojrzał na Matthiasa. – Jest tam coś ciekawego na dnie?

– Nic.

Zamilkli. Nadleciały małe brązowe muszki. Obsiadły ciało Hewa. Potem zjawily się inne: tłuste i czarne. Natychmiast odnalazły jego nozdrza, usta i otwarte oko. – Może powinniśmy go przykryć – zauważył Brock. Ale po chwili zobaczyli Wellesa idącego powoli ścieżką. Nawet bez telefonów wiadomości rozchodziły się szybko.

Welles wszedł po schodach na taras. Zatrzymał się i wziął głęboki oddech. Welles był wysokim starszym mężczyzną z kręconymi siwymi włosami i pociągłą twarzą. Budowa jego ciała wskazywała, że był kiedyś bardzo silny. Przez cały rok nosił letni mundur: czarne spodniki z czerwonymi lampasami, czarne skarpety do kolan, popękane, ale starannie wypastowane czarne buty, białą koszulę z czerwoną lamówką. Skinął głową na powitanie i spojrzał na ciało.

– To sir Hew? – spytał. Welles miał niski głos, ale nie ochryply i dudniący jak Nottage'a, tylko miarowy, muzyczny jak u Paula Robesona. Kiedy przyklął, trzasnęło mu w kolanie. Brązowe muszki błyskawicznie uciekły, natomiast tym tłustym czarnym zajęło to więcej czasu.

Matthias powiedział, jak Hew został znaleziony i dlaczego go przenieśli. Powiedział mu też o zeszłej nocy i przewróconej butelce. Policjant przyjął te wyjaśnienia z głębokim westchnieniem, które trudno było zinterpretować. Potem wyciągnął wodorosty z włosów Hewa i uniósł się. Muchy znów zbliżyły się do ciała.

Potem pochylił się nad kieliszkiem i powąchał jego zawartość. – Czy ktoś tego dotykał?

– Ja – odparł Matthias. – Ale stoi na swoim miejscu.

Welles znów głęboko westchnął. Spojrzał w dół, gdzie upadła butelka po armaniaku. Nie było jej widać. Albo zabrała ją woda, albo znalazła się na dnie. Policjant wyciągnął czystą białą chusteczkę z kieszeni i delikatnie owinał nią kieliszek, niczego z niego nie wylewając.

– Chce pan też butelkę? – spytał Brock.

– Przecież jej nie ma – zauważył Welles.

– Możemy jej poszukać – zaproponował Matthias.

Policjant pokręcił głową. Nie patrzył ani na Brocka, ani Matthiasa, raczej między nich. – Sir Hew nie miał żadnych krewnych – dodał.

Czy to było pytanie? – Nie wiem – powiedział Matthias.



– Żadnych krewnych – powtórzył Welles niczym powracająca fraza wygrywana na kontrabasie. Patrzył na wodorosty w swojej dłoni. Czas płynął. Muchy brzęczały, fale uderzały o podstawę klifu, trzeci sęp zerwał się z sosny i zaczął krążyć po swojej orbicie, niżej niż dwa inne ptaki. Brock ziewnął.

W końcu Welles uniósł wzrok. – Nie chciałbym źle mówić o zmarłym.

– Co ma pan na myśli? – spytał Matthias.

– Ale skoro człowiek odbiera sobie życie...

– Są na to jakieś dowody?

Welles obserwował karalucha na ciastkach. – Ten mur jest dość szeroki – rzekł cicho.

Potem zapadła cisza, dopóki nie przybył wielebny Christie z kilkoma ludźmi z Blufftown.

Wielebny Christie miał na sobie poplamioną albę; koloratkę pod szyją oraz złoty zegarek na rękę, na który często zerkał. Spojrzał na ciało. – Biedny grzesznik – powiedział. – Co mu się stało?

– Przypadkowa śmierć – odparł bez zastanowienia Welles. – Wyprawcie mu chrześcijański pogrzeb.

– Niech spoczywa w pokoju – powiedział ksiądz. Pozostali patrzyli na to, co Welles trzymał w rękę: wodorosty i owinięty w chusteczkę kieliszek.

– Nie miał żadnych krewnych – powiedział Welles.

Wielebny Christie zmarszczył czoło. – Nigdzie?

– Nigdzie.

– Zatem, mój przyjacielu – powiedział ksiądz – kto zapłaci za chrześcijański pogrzeb?

*Nie ja, powiedziała świnia.* – Jestem pewien, że pieniądze zostaną zwrócone z masy spadkowej – odpowiedział Matthias. – A tymczasem ja zapłacę.

– Niech cię Bóg błogosławi – rzekł wielebny Christie.

Mężczyźni z Blufftown zabrali zwłoki Hewa. Ksiądz zajrzał przez przeszkłone drzwi do środka domu i ruszył za nimi. Welles podszedł do balustrady i wylał zawartość kieliszka do morza. Odstawił go na swoje miejsce. Potem odszedł, zabierając z sobą wodorosty.

– O co mu z tym chodziło? – spytał Brock.

– Lubił go – odparł Matthias.

– Tak?

Pół godziny później Matthias był w swoim biurze i rozmawiał przez telefon z

człowiekiem o nazwisku Willoughby z Barclay's Bank w Londynie.

– W jaki sposób umarł?

– Wypadek.

– Rozumiem. I tak długo żył. – Zapadła cisza. – W każdym razie dziękuję, że pan zadzwonił.

– Czy przyślecie kogoś, kto się zajmie jego majątkiem?

– Majątkiem?

– Tak. Nie wiem, czy miał jakiegoś prawnika, czy zostawił testament.

– Mogę zapytać, czy jest pan z nim spokrewniony?

– Nie. Byliśmy sąsiadami.

– Hm, a czy utrzymywaliście bliskie kontakty?

– Raczej nie.

– Rozumiem. Zatem być może będzie pan zaskoczony, gdy się dowie, że nie ma żadnego majątku.

– Hew mówił mi, że co miesiąc otrzymywał od was odsetki.

– To nie były odsetki. Hew w ciągu ostatnich dziesięciu lat naruszył sumę kapitału. I to mocno. Stan jego konta wynosi obecnie... dwieście czterdzieści siedem funtów i trzydzieści sześć pensów.

– Tylko tyle zostawił?

– Niestety tak.

– Ale ciągle jest dom do sprzedaży.

– Nie sądzę, żebyśmy musieli się z tym spieszyć – powiedział Willoughby.

– Dlaczego nie? Przecież teraz będzie sporo wydatków, chociażby pogrzeb.

– Panie Matthias, przypuszczam, że nie zna pan wszystkich faktów. Sir Hew nie jest właścicielem tego domu od kilku lat.

– A kto jest?

– My. To znaczy bank. W pewnym momencie hipoteka była tak obciążona, że musieliśmy orzec jej przepadek. Oczywiście pozwoliliśmy mieszkać mu w tym domu za bardzo rozsądną opłatą.

– Która wyczyściła jego depozyt.

– Nie bardzo pana rozumiem.

– Nieważne – rzekł Matthias. Obraz Hewa jedzącego ciastka z mrówkami wywołał w nim wściekłość. – Jesteście też właścicielami wyposażenia tego domu?

– Tak, wszystkiego, co tam się znajduje.

– I Gauguina też? Ten obraz musi być wart setki tysięcy dolarów.

Willoughby wybuchnął śmiechem, ale szybko zamaskował go delikatnym

kaszelem. – Czy sir Hew nigdy nie opowiadał panu historii o tym Gauguinie?

– Jakiej historii?

– Krótko mówiąc, ten Gauguin jest falsyfikatem. Sir Hew musiał to wiedzieć od zawsze; kupił ten obraz w Paryżu za niską cenę, zbyt niską, nawet jak na tamte czasy. Zrozumiałe więc, że przy ustanawianiu hipoteki obraz został pominięty. Gdyby był autentyczny, sir Hew tak łatwo by nie ustąpił.

– A co by się stało, gdyby Hew nie był w stanie płacić czynszu?

– Na szczęście nie stanęliśmy w obliczu takiej sytuacji.

– Ale jesteście zainteresowani jak największym zwrotem kapitału.

– Bez wątplenia. Cieszę się, że pan nas rozumie, sir Hew też by nas rozumiał. Był realistą pod tą swoją barwną... maską. Pod koniec lat pięćdziesiątych spotkałem się z nim kilka razy. Zabawny człowiek. W każdym razie dziękuję za telefon. Będziemy w kontakcie z lokalnymi władzami.

– A co chcecie zrobić z armaniakiem?

– Armaniakiem?

– Czy mam go przesłać do pana osobiście, czy do banku?

– Obawiam się, że nie wiem, o co panu chodzi...

– To do widzenia, panie Willoughby.

Matthias odłożył słuchawkę. Wyszedł na zewnątrz. Akurat przechodził Brock z dwiema butlami.

– Coś nie tak?

– On popełnił samobójstwo.

– Skąd jesteś tego pewien?

– Po prostu mi uwierz.

Matthias wrócił do domu Hewa. Piaf, alkohol, albumy z wycinkami z gazet, dwieście czterdzieści siedem funtów i trzydzieści sześć pensów – wszystko to doprowadziło do samobójstwa. I nadało nowe znaczenie słowom Hewa: *Będzie mi brakowało twojego towarzystwa.*

Matthias stanął przed obrazem z podpisem: *Gauguin 1897*. Dzieło wydało mu się oryginalne, ale przecież zupełnie nie znał się na sztuce. Wciąż patrzył na obraz, kiedy przypominał sobie o albumach z wycinkami. Wyszedł na taras, aby wziąć ten album, który pokazywał mu w nocy Hew – ze zdjęciem Niżyńskiego, ze zdjęciami tych wszystkich młodych mężczyzn i z doktorem Standishem na uniwersytecie w Heidelbergu. Wcześniej leżał na stole, obok tacy z ciastkami. Taca była na swoim miejscu – pusta teraz – tak samo latarka i kieliszek Matthiasa. Ale album znikł.

Matthias przeszukał cały dom. Odkrył szuflady pełne starych listów miłosnych,

kolekcję materiałów pornograficznych, które wydały mu się wyrafinowane w porównaniu ze współczesnymi amerykańskimi wydawnictwami, i egzemplarz „Pan Norris się przesiada” Isherwooda z dedykacją: *Dla Hewa, który przypomina wino, wdzięczny Christopher*. Jednak nie znalazł szukanego albumu ani żadnych innych.

Hew miał trzy stare walizki. Do jednej, z nieznanego powodu, Matthias włożył Gauguina. Do pozostałych zapakował wszystkie butelki armaniaku. Nie chciał, żeby Willoughby dostał je w swoje ręce. Przypuszczał, że Hew też nie chciałby tego.

Teraz był chory.

To wina Fritza.

Fritz dopuścił do tego, że on się przeziębził. Wstrząsały nim dreszcze. Chciał kasłać, ale nie mógł. Czuł, że w płucach zbiera mu się jakiś płyn. Jakby się topił – pomyślał. Wydało mu się to z jakichś powodów logiczne, ale nie wiedział dlaczego. Miał bardzo słabą pamięć.

Zjawił się lekarz. – Cześć, jestem doktor Robert. Przypominasz mnie sobie?

Pewnie, doktorze. Pamiętam nawet, jak powiedziałaś, że mogę mieć kłopoty z pamięcią. Miałaś rację.

Doktor Robert włożył mu rurkę od respiratora do nosa. Stał się teraz elementem, jedną trzecią urządzenia – kroplówka, respirator, on – którego przeznaczenia nie mógł się domyślić. Pomiął cewnik, który z jakichś przyczyn niepokoił go najbardziej.

– To tylko chwilowe – powiedział doktor Robert, wychodząc. – Proszę się nie przejmować.

Ale to „chwilowe” trwało i trwało. Happy nie wyjeżdżał na zewnątrz domu. Stracił kontakt z wywołującą mrowienie siłą elektromagnetyczną i zapachem żyjącej planety. Kroplówka dostarczała mu pożywienia, respirator – powietrza. Jego ciało przyjmowało to. Obserwował biały sufit i brązowego pająka. Myślał o środkach przeciwbólowych, choć nic go nie bolało. Przeziębził się. Teraz był w białym pokoju przez cały czas. Ale nie mógł winić Fritza. Fritz był dla niego miły, a teraz jest zwyczajnie starym prostym człowiekiem. Zawsze takim był: starym prostym człowiekiem.

Była taka piosenka o białym pokoju. I inna – o białym króliku. Czy to ta sama piosenka? Piosenka o białym króliku w białym pokoju? Chyba nie, ale nie był pewien. Zasnął. Obudził się. Zasnął. Kiedy znów się obudził, wiedział, że to były dwie różne piosenki. W końcu jego pamięć zaczęła pracować. Po kilku krótkich drzemkach mógł sobie przypomnieć wszystkie słowa piosenki o białym króliku i wkrótce mógł też zaśpiewać w myślach piosenkę o białym pokoju. Śpiewał różne piosenki; jego pamięć była bezwzględna: bez przerwy nasuwała mu kolejne. Śpiewał i śpiewał: Rodgers and Hart, the Beatles, the Stones, Frank Sinatra, Patsy Cline, piosenki dziecięce, rymowanki, pieśni kościelne, Gilbert and Sullivan, Elvis, Cole Porter, Leon Redbone; czasami w logicznej kolejności, czasami

przypadkowej. *Camptown Races, America the Beautiful, Teen Angel, Positively Fourth Street, Fly Me to the Moon, Jailhouse Rock, Bring It on Home to Me, When Irish Eyes Are Smiling, The Little Old Lady from Pasadena, Big Rock Candy Mountain, Your Cheatin' Heart, Isn't It Romantic? Two Sleepy People, The Locomotion, The Flying Purple People Eater, Marie.*

Potem pewnego dnia po prostu przestał. Nie chciał śpiewać. Nie chciał też słuchać muzyki, choćby nawet go do tego zmuszano, co nigdy się nie zdarzyło. Po prostu leżał jako jeden z elementów urządzenia. Ale wracały mu wspomnienia. Postanowił ponownie przeżyć swoje życie.

Wrócił do najwcześniejszych wspomnień.

Siedzi w wyłożonym drewnem przedziale pociągu. Śnieg zacina o okno i nie pozwala dobrze przyglądać się zalesionemu krajobrazowi na zewnątrz. Jego matka ma na głowie czarny kapelusz ze szpilką. Siedzi obok niego, ale go nie dotyka. Naprzeciwko siedzi Fritz, też w czarnym kapeluszu. Czasami Matka i Fritz rozmawiają z sobą, ale on nie rozumie, o czym oni rozmawiają. Czasami Matka ociera oczy. Płacze. Fritz daje jej niebieską lukrecję. Zjada ją i przestaje płakać. Świat jest czarno-biały: czarny w wagonie, biały na zewnątrz.

Pierwsze wspomnienie. Happy długo o nim rozmyślał. Zajmował się szczegółami, spał, budził się, zasypiał. Wiedział, że nadszedł czas na kolejne wspomnienie, ale się ociągał. Nie dlatego, że go nie lubił. Czuł, że nadciąga, i był pewien jego nadejścia. Pianino, snopy światła słonecznego z unoszącym się kurzem, palec uderzający w ostatni biały klawisz. Ociągał się, bo przeczuwał, że po jego pierwszym wspomnieniu czeka inne niczym kolejna warstwa przy starożytnych wykopaliskach. Czekają na odkrycie. Skupił się na tych dwóch obrazach, przesuwając je, nakładając, ale nie pasowały do siebie, nie współgrały, nie posuwały go naprzód, tam, gdzie chciał.

– Cześć, jestem doktor Robert. Przypominasz mnie sobie?

Doktor Robert pochylił się nad nim. Dotknął go, zmierzył mu puls. Matka stała za lekarzem, w uszach miała diamentowe kolczyki, w których odbijało się całe światło z pokoju. – Nie podoba mi się ta gorączka – rzekł doktor.

A mnie tak. Tak. I to bardzo.

Doktor Robert wyszedł z Matką na korytarz. Zniżyli głosy. – Wyjątkowo mi się nie podoba – dodał doktor Robert. – Chyba będzie trzeba podjąć bardziej agresywne działania.

– Na ile bardziej agresywne? – spytała Matka. Happy, słysząc jej dzwięcący głos, wiedział, że jest zdenerwowana.

– Cały czas mamy kilka możliwości – odparł doktor Robert.

– Ale na jak długo? I czym się to może skończyć? Gdzie jest granica?

– Przepraszam, że muszę to powiedzieć, ale ta granica jest bardzo rozmyta – odrzekł doktor Robert. – Może powinna pani porozmawiać z księdzem albo pastorem. Będę w kontakcie, pani Standish.

Matka wróciła. Jej błyszczące brylanty rozjaśniły pokój. Przez chwilę stała nad Happy. W pewnym momencie położyła dłoń na jego czole. Dłoń wydała się chłodna.

Ktoś zapukał do drzwi. – Proszę wejść – powiedziała Matka.

Wszedł Fritz. W jednej ręce miał list, a w drugiej nożyce ogrodowe. – Proszę – rzekł, podając jej list. Happy zauważył, że koperta była już otwarta. Matka wyciągnęła z niej pojedynczą kartkę, rozłożyła ją i zaczęła czytać. Obserwował jej twarz. Nic nie wyrażała. Matka złożyła list i włożyła go z powrotem do koperty.

– Dziękuję – powiedziała do Fritza, oddając mu list.

Fritz uklonił się i wyszedł. Matka stała przy drzwiach zatopiona w myślach. Potem ona też wyszła. Jednak Happy nie zwrócił na to uwagi. Myślał o znaczku na kopercie z niebiesko-żółtą tropikalną rybą, archeologicznym wykopaliskiem. Tak jak on był trzecią częścią urządzenia, które nie miało żadnego zastosowania, tak ryba była jedną trzecią jego pomocnika pamięci. Ale kiedy próbował wywołać wspomnienie ukryte pod tym pierwszym, mógł jedynie zobaczyć walizkę zanurzającą się w wodzie, z mosiężnymi rogami błyszczącymi niczym monety. I nie było to wspomnienie, jakiego pragnął. W pewien sposób było bliskie wspomnieniu, którego oczekiwał, ale jednak inne. Dotrze do tej warstwy pamięci później. Każdego dnia coraz bardziej się do niej zbliżał. Teraz musiał się skupiać na wspomnieniu pod wspomnieniem, na pierwotnej warstwie pamięci, przedpotopowej.

Kroplówka go karmiła.

Respirator dostarczał mu powietrza.

Happy nie miał nic do roboty, tylko myśleć.

Pomyślał:

Przedpotopowa – przed potopem.

Laura zatrzymała się na etapie wyparcia – powiedział Hal Palmeteer. – Jako terapeuta czuję się z tego powodu źle. Nie jestem w stanie powiedzieć, jak źle.

– Na etapie wyparcia? – spytała Nina.

– Tak. Mamy cztery stadia: wyparcie, gniew, żal, akceptacja.

Nina przypomniała sobie artykuł, który przeglądała w poczekalni u dentysty. – Myślałam, że mają one coś wspólnego z godzeniem się ze śmiercią.

Hal Palmeteer uśmiechnął się uprzejmie. Nina była w jego gabinecie na Brooklynie od kilku minut, ale już zdążyło się jej nasunąć porównanie z podstarzałym hippisem, którego często widywała grającego na gitarze na placu Waszyngtona, choć terapeuta był zdecydowanie bardziej zadbany. Palmeteer miał ten sam błogi, lecz wyrażający pewną wyższość uśmiech, który miał wskazywać, że on już dawno posiadał całą prawdę. – Godzenie się – powtórzył. – Jestem zaskoczony pani doborem słów. Widzę, że nie jest pani obce badanie własnego wnętrza. Godzenie się... – Położył stopy w czerwonych skarpetkach na biurku. – ... oznacza odpowiedź, która musi być w końcu udzielona na wszystkie pytania. I godzenie się oznacza otwieranie drzwi jedne po drugich, drzwi do wyparcia, gniewu, żalu i akceptacji. A potem zamykanie ich, delikatne, ale stanowcze, i przechodzenie dalej.

– A nie trzaskanie nimi?

To znów wywołało uśmiech na jego twarzy. – Nino, czy kiedykolwiek poddała się pani terapii?

– Nigdy – odparła Nina. – Czy chce pani mi wmówić, że Laura powinna zaakceptować zniknięcie dziecka?

Hal Palmeteer lekko zmarszczył czoło. Potem złączył dłonie, stykając z sobą opuszki palców – stworzył w ten sposób sylwetkę kościoła. Po chwili złożył wieżę i miał teraz jakby drzwi. Otworzył je. – Czy to nie byłoby lepsze od tego, co się wydarzyło? Od przedawkowania seconalu... ? Ale nie chciałbym o tym mówić. Chcę jedynie powiedzieć, że ona utknęła w pierwszej fazie i nie mogłem jej stamtąd wyciągnąć. – Drzwi kościoła zamknęły się. – Wie pani, że znaleźli ją w pokoju, który przygotowała dla dziecka. Ale było za późno, zdecydowanie za późno. – Oczy Hala Palmeteera wypełniły się łzami. Jedna z nich spłynęła po policzku, potem następna. Otworzył teczkę, przerzucił kilka kartek, czytał coś w milczeniu. – Byłem bardzo zaangażowany w tę sprawę. Może bardziej, niż



powiniennem.

– Co pan ma na myśli?

Westchnął. – Nie przypuszczam, żeby teraz mogło to wyrządzić komuś krzywdę.

– O czym pan mówi?

Hal Palmeteer uniósł wzrok. – Krótco po zniknięciu dziecka Laury miałem telefon od jej lekarza. Test przeprowadzony w szpitalu wykazał jakieś wady w funkcjonowaniu wątroby u dziecka.

– Zagrażało to jego życiu?

Przytaknął. – Lekarz chciał wiedzieć, czy moim zdaniem należy poinformować o tym Laurę.

– I co pan odpowiedział?

– Nie. I tak jest bardzo roztrzęsiona.

– Zatem ten problem nie został nigdy ujawniony...

Hal Palmeteer znów zmarszczył czoło, tym razem mocniej. – To z tym musiałem sobie poradzić. Nino, my wszyscy czasami jesteśmy zmuszani do podejmowania decyzji, których nie chcielibyśmy podejmować. – Wyjął ostatnią kartkę z teczki i podał ją Ninie. Była to odbitka papieru firmowego ozdobionego kwiatkami. Na górze widniał nagłówek: Biuro Laury Bain. Poniżej był tekst napisany na maszynie. Nina przeczytała go:

Przepraszam, że do tego doszło, ale nie mogę dłużej tak żyć. Proszę, wybaczyć mi i postarajcie się mnie zrozumieć.

Poniżej był podpis. Nic więcej. Nina oddała kartkę Halowi Palmeteerowi, który schował ją do teczki.

– Dziś po południu mam spotkanie ze swoim terapeutą. Aż tak jestem zdruzgotany. – Zdjął nogi z biurka i otarł policzek rękawem swetra. – Łatwe rozwiązania nie istnieją.

– Jestem pewna, że dzięki niemu szybko przejdzie pan do fazy akceptacji.

Ta uwaga nie wywołała uśmiechu na jego twarzy, choć sprawiła, że łzy przestały się pojawiać w jego oczach. – O kim pani mówi? – spytał, odchylając się do tyłu i próbując zachować się bardziej dostojnie. Ale na to było za późno, czerwone skarpetki i spięte w kucyk przyprószone siwizną włosy nie dodawały mu powagi.

– Mówię o pana terapeutcie.

– Właściwie to terapeutka. Kobieta.

– No, to zmienia postać rzeczy.

Hal Palmeteer wyglądał na zmieszanego. Nina też była zdezorientowana. Przyjechała do Bostonu, by poznać szczegóły samobójczej śmierci Laury, a nie spierać się z kimś, kto próbował jej pomóc. Ale było prawdą, że nie lubiła płaczących mężczyzn. Poniżali się, upokarzali, jakby chcieli uniknąć walki. Poza tym nie podobało się jej, że prawie zaczął oskarżać ofiarę, jednocześnie rozczulając się nad sobą.

Nina wzięła głęboki oddech i zaczęła: – Może ma pan rację, doktorze Palmeteer. Może Laura zatrzymała się na etapie wyparcia. Ale kiedy spotkałam się z nią, dzień przed jej śmiercią, nie wyglądała na osobę, która może popełnić samobójstwo.

– Rozpoznawanie nastrojów samobójczych jest bardzo trudne. A tak nawiasem, może lepiej przeszlibyśmy na ty.

Odpowiadało to Ninie. Wiszący na ścianie oprawiony dyplom doktora psychologii nie miał w jej oczach większego znaczenia. – Hal, nie jestem ekspertem od rozpoznawania stanów samobójczych – rzekła – ale spotkanie ze mną... kobietą w podobnej jak ona sytuacji... wyraźnie podniosło ją na duchu. W jej głowie powstało kilka pomysłów. Miała zamiar zadzwonić do mnie po rozmowie ze swoim lekarzem.

Tak naprawdę – pomyślała Nina – to Laura zadzwoniła i zostawiła wiadomość.

Hal bębnił palcami o blat biurka. Aby się od tego powstrzymać, znów utworzył z palców kościół. Patrzył nad nim na Ninę. – A jakie to pomysły powstały w jej głowie?

– Myślę, że one ciągle się formowały. Próbowała odnaleźć bank spermy, z którego korzystała, może przez swojego lekarza. Chodzi o to, że miała plany.

– Które w jej myślach do czego prowadziły?

– Nie rozumiem.

– Co chciała osiągnąć?

– Oczywiście odnaleźć swoje dziecko.

Kościół Hala rozpadł się. Założył ręce na piersi. – Nino, mogę mówić szczerze? Szczerze i otwarcie?

– Naturalnie.

Hal uśmiechnął się z wyższością. – Może ci się nie spodoba, co mam do powiedzenia, ale w mojej pracy muszę podejmować ryzyko. *Prawda cię wyzwoli.* To Dylan.

– Dylan?

– Bob, nie Thomas.

Nina nie mogła sobie przypomnieć, żeby to śpiewał, ale jeżeli tak, to cytował jedynie Jezusa. Zatrzymała to jednak dla siebie. – A jaka jest prawda, Hal?

– Nikt tego do końca nie może wiedzieć. Einstein to udowodnił, i Freud... niezależnie, co sądzisz o nim z feministycznego punktu widzenia, sam zresztą jestem feministą... odniósł to do ludzkiego życia. Jednak w tym momencie sugeruję tylko, żebyś pomyślała, czy te pomysły powstające w głowie Laury nie wzmocniły jej buntu.

– Oskarżasz mnie o to, że pomogłam jej popełnić samobójstwo? – spytała Nina agresywnym, podniesionym głosem.

Hal się wzdygnął. – O nic cię nie oskarżam. Ja nigdy nikogo o nic nie oskarżam. Jestem zbyt doświadczonym terapeutą.

– Więc co chcesz przez to powiedzieć?

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Przeszło jej zdenerwowanie. – Nigdy nie brałaś udziału w zajęciach terapeutycznych?

– Już ci mówiłam, że nie. Sugerujesz, że powinnam?

– To zależy tylko od ciebie. Wielu ludziom takie zajęcia pomagają, szczególnie tym, których przepelnia złość.

– Ja mam dobry powód, żeby być złą.

– Wiem. I wczuwam się w twoją sytuację. Wczuwam się i współczuję. Ale jednocześnie widzę w tym dobry znak.

– Biorąc pod uwagę te twoje cztery etapy?

– Tak. Laura nigdy nie dotarła do fazy gniewu. – Westchnął, odchylił się na swoim obrotowym fotelu i lekko obrócił. – Czy czytałaś kiedykolwiek jakąś książkę o tym, dlaczego dobrym ludziom zdarzają się złe rzeczy?

Przypomniała sobie okładkę pewnej książki, która długa utrzymywała się na czele listy bestsellerów.

– Tylko przekartkowałam.

– Może powinnaś ją uważnie przeczytać.

– Po co?

– Bo jej treść może cię zaprowadzić do fazy akceptacji.

– Jak mogłabym zaakceptować coś tak niewytłumaczalnego?

– Czy świat nie jest w pewnych aspektach niewytłumaczalny?

– Tak mówią księża i rabini. Myślałam, że ludzie tacy jak ty dają alternatywne rozwiązania.

Zagrał mięsień na policzku Hala. – Czy mogłabyś przychodzić tu raz na tydzień?

– W jakim celu?

– Sądzę, że mógłbym ci pomóc. Musisz sobie poradzić nie tylko z tą jedną trudnością.

– Trudnością?

– Tragedią. Różnie to można nazwać.

Nina nie mogła się powstrzymać i parsknęła głośnym śmiechem.

– Co jest w tym śmiesznego?

Otarła oczy. Był to śmiech, który w jednym momencie mógł zamienić się w płacz. – Nic – odparła. – Myślę, że poradzę sobie z tym we własny głupi sposób.

– Dobrze, dobrze – mruknął Hal.

Nina zauważyła, że obserwuje ją uważnie, czeka na coś więcej niż śmiech albo płacz. Jednak Nina niczego więcej mu nie dostarczyła. – Zastanowię się nad twoją propozycją – powiedziała, wstając. – Czy mogę dostać kopię listu Laury?

– Tego pożegnalnego?

– Tak.

– Mogę zapytać, do czego jest ci potrzebny?

– To część sprawy.

– Jakiej sprawy?

– Porwania. Toczy się śledztwo.

– Wiem. Ale przecież były dwa różne porwania.

– Tak.

– Więc po co chcesz ten list?

– Bo Laura uważała, że kontakt ze mną jest bardzo ważny.

– Chyba nadal cię nie rozumiem.

– Jest moim obowiązkiem wobec Laury, żeby ciągnąć to dalej.

– Ciągnąć co?

Do tego czasu Nina rozgryzła Hala na tyle dobrze, żeby zrozumieć, że żadne wyjaśnienia nie pomogą. Żeby dostać ten list, musiała pójść na ustępstwa. – Może to nie ma sensu – rzekła potulnym głosem – ale chciałabym mieć ten list.

Hal przytaknął. – Widzę, że w końcu zaczynasz zmieniać zdanie. Nie wszystko ma sens. Dobrym ludziom zdarzają się złe rzeczy. I jeśli ten list pomoże ci radzić sobie ze smutkiem po śmierci Laury, weź go. – Podał jej kartkę.

– Nie chcesz mieć kopii?

Hal znów złożył dłonie w kościół i spojrzał w niego. – Nie, nie sądę.

Naprawdę nie chcę. Ta rozmowa mi też pomogła, pomogła mi poradzić sobie z emocjami w stosunku do Laury. Oczywiście, nie znałem jej długo. Dopiero od momentu, kiedy utraciła dziecko. Ale, jak już mówiłem, byłem zdruzgotany tym, co się wydarzyło. Samobójstwo to najgorszy koniec... najgorsza rzecz, jaka się może przydarzyć w mojej pracy. – Spojrzał na Ninę. – Jednak ta krótka sesja naprawdę mi pomogła. Chyba nawet odwołałem spotkanie z moją terapeutką.

Nina wzięła list. – To do widzenia – powiedziała.

– Do zobaczenia. I bądź silna.

Nina pojechała wypożyczonym samochodem do Dedham. Przez chwilę miała w głowie pustkę. Potem zaczęła rozmyślać o podejrzeniach Hala, że jej głęboko ukryte problemy nie mają nic wspólnego z porwaniem dziecka. Jakie problemy? Impuls, by mieć dziecko? Bo czuła się niespełniona? Nie mogąc mieć mężczyzny, zdecydowała się na dziecko? Czego tak naprawdę pragnęła? Mężczyzny? Dziecka? Mężczyzny i dziecka? Czegoś równie dziwnego jak to?

– Spieprzaj z tym gównem – powiedziała głośno do siebie i włączyła radio. Poszukała stacji nadającej muzykę dla starszych słuchaczy. Aretha śpiewała *Natural Woman*. Nina dołączyła do niej, najpierw śpiewała cicho, a w końcu wydzierała się z całych sił. Znow miała pustkę w głowie, kiedy zatrzymała się przed domem Laury.

Trzykondygnacyjny budynek stał w pewnym oddaleniu od ulicy. Był większy, niż się Nina spodziewała, pokryty gontem, z pomalowanymi na biało narożami, białymi okiennicami i wieżyczką po lewej stronie. Przy trawniku rósł ogromny klon. Kobieta z papierosem w ustach wbijała akurat w ziemię tablicę z napisem: NA SPRZEDAŻ.

Nina wysiadła z auta i podeszła do kobiety. – Ładny dom – powiedziała.

– I świetna lokalizacja – dodała kobieta, unosząc wzrok i obciągając płaszcz.

– Mogę go obejrzeć?

– W środku?

– Tak.

– No nie wiem – odparła kobieta. – Nie został jeszcze oficjalnie wystawiony na sprzedaż. Ja sama nie byłam w środku. Właściciel nagle się przeniósł czy coś takiego... – Pchnęła słupek, nie stał prosto. Nina przytrzymała go, gdy kobieta znow waliła młotkiem. Słupek wchodził w ziemię dość prosto. – Dzięki – powiedziała kobieta. – W sumie czemu nie? Jest pani zainteresowana tym domem?

– Pomyślałam o nim.

– Gdzie pani teraz mieszka?

– W „mieście”.

– A dokładnie?

– W centrum. – Była to prawda, ona tylko nie powiedziała, o jakie miasto chodzi.

– Kiedyś też mieszkałam w dużym mieście – rzekła kobieta – i nigdy bym tam nie wróciła. – Zgasiła obcasem papierosa na ziemi, przyglądała włosy i zaprowadziła Ninę do drzwi. Wypróbowała kilka kluczy, zanim znalazła właściwy.

Weszły do środka.

– Bardzo tu ładnie – powiedziała kobieta, rozglądając się wokół siebie. – Ale to bardzo.

Obeszły parter. Rzeczywiście było tu ładnie: sosnowe podłogi, kamienny kominek w salonie i drugi w jadalni, wysokie sufity, duża kuchnia z nowoczesnym wyposażeniem, przyjemne dywany, meble, nawet stolik z metalowymi nogami i szklanym blatem, na którym stał wazon ze zwiędłymi kwiatami i leżała książka: „Jak poradzić sobie z nadciągającą depresją?”.

– Ten dom to naprawdę marzenie – powiedziała kobieta. – Pójdzie szybko, chociaż... – Przerwała i podniosła słuchawkę telefonu na korytarzu. – Ja nawet nie znam jeszcze proponowanej ceny. – Do telefonu powiedziała: – Cześć, to ja. Czy pani G. jest gdzieś tam w pobliżu?... Zaczekam...

Podczas gdy kobieta czekała, Nina poszła wyłożonymi dywanem schodami na pierwsze piętro. Zajrzała do pokoju dziecinnego, gdzie znaleziono ciało Laury. Było tam łóżeczko, pluszowe zwierzątko, książki – niektóre takie same jak u Niny. Potem weszła do pokoju Laury. Wszystkie szafki i komody były dokładnie zamknięte, łóżko starannie zasłane, z narzutą w kolorowe kwiaty. Był to ładny dom, ale zawsze bez życia, z wyjątkiem tych dwóch dni, kiedy była tu Clea.

Nina podeszła do okna i wyjrzała na podwórko. Było duże, z plastikowym szezlongiem pokrytym uschlými liściami, stojącym pod wiązem. Przypuszczalnie to na tym szezlongu zasnęła Laura, podczas gdy Clea spała w wózku obok.

Nina odwróciła się od okna. Jej wzrok przyciągnął telefon stojący na stoliku przy łóżku. Obok leżał długopis i notes. Przerzuciła kartki. Wszystkie były puste, tylko na pierwszej był odbity ślad pisma. Wyrwała tę kartkę i popatrzyła na nią pod światło. Zobaczyła na niej swój numer telefonu. Laura musiała dzwonić do niej z tego pokoju, kiedy zostawiała informację.

*Coś mi przyszło do głowy, kiedy się rozstałyśmy.*

I co dalej? Czy zmięła tę kartkę z numerem telefonu i wrzuciła do kosza? Nina zajrzała do niego. Znalazła w nim opakowanie po czekoladzie i puszkę po

bezkofeinowej coli.

Potem wyszła z pokoju Laury i ruszyła na drugie piętro. Z jednej strony były dwa małe pokoje, ale nieumeblowane. Na wprost schodów znajdowała się łazienka, która wyglądała na nieużywaną – nie było w niej żadnych ręczników, zasłony do prysznicy i papieru toaletowego. Sąsiadował z nią pokój w wieżycze. Drzwi do niego były zamknięte, Nina otworzyła je.

Ten pokój wyglądał jak gabinet w biurze. Znajdowały się tam szafki na dokumenty, biurko, komputer i drukarka. Wszystko to Nina zauważyła prawie nieświadomie. Natomiast z pełną ostrością dostrzegła mężczyznę siedzącego za biurkiem.

Nina krzyknęła z przerażenia. Mężczyzna obrócił się na krześle w jej stronę. Był stary, miał delikatne siwe włosy, patrycjuszowską twarz i błękitne oczy. W rękę trzymał jakieś papiery. Położył je na biurku, uśmiechnął się do Niny i wstał.

Chociaż stary, był wysoki i potężnie zbudowany. Wciąż się uśmiechając, podszedł do Niny. Miał potężne dłonie, pokryte żyłkami i plamami wątrobowymi. Nina poczuła zapach pestycydów i od razu pomyślała o nożycach ogrodowych.

– Halo! – zawołała kobieta od nieruchomości. – Jest pani tu na górze? Ja muszę zaraz iść... – Kobieta weszła do pokoju i zobaczyła starca. – Oj! – wyrwało się jej z ust. – Kim pan jest?

Starszy mężczyzna stał nieruchomo. – Kim ja jestem? – zastanowił się. Spokojnie przyjrzał się kobietom, najpierw urzędnicze, a potem Ninie. – Formalnym reprezentantem.

– Co? – zdziwiła się kobieta od nieruchomości.

– Kogo pan reprezentuje? – spytała Nina.

Mężczyzna roześmiał się wesoło, jakby spodziewał się takiego pytania. Przez chwilę Nina zastanawiała się, czy on nie jest zniedołężniały. Potem powiedział: – Prawnicy zajmują się samą nieruchomością, a ja jestem odpowiedzialny za spis dobytku.

– Och – jęknęła kobieta. Odwróciła się do Niny. – Przepraszam... nie kojarzę, jak ten dom trafił już do sprzedaży... chyba właściciel umarł albo coś takiego. – Spojrzała na mężczyznę, szukając pomocy, ale nie znalazła. Potem poszukała w swojej torebce, wyciągnęła z niej notatnik, przerzuciła kartki i powiedziała: – Jest pan od Mullins, Smithson i O'Leary? To oni się z nami kontaktują.

Starszy mężczyzna przytaknął. – Jestem wynajęty przez tych dżentelmenów. – Odpowiadał kobiecie od nieruchomości, ale oczy utkwiał w Ninie.

– Jak to? – spytała Nina.

To pytanie wydało się niegrzeczne. Chyba kobieta od nieruchomości tak pomyślała, bo przyjrzała się Ninie uważnie, jakby dopiero teraz ją dostrzegła. Jednak mężczyzna pozostał niewzruszony. – Jestem rzeczoznawcą – odparł.

Ten rzeczoznawca miał na sobie ciemnoszare wełniane spodnie i grubą tweedową marynarkę z naszywkami na ramieniu. Mógł być bogatym farmerem albo modelem w czasopiśmie dla starszych, dobrze zakonserwowanych ludzi. – Ale – ciągnął – mniemam, że panie mają nade mną przewagę.

– Nie rozumiem – przyznała kobieta.

Odezwał się niczym bohater dziewiętnastowiecznych powieści. Nina zwróciła uwagę na jego akcent, który niezbyt pasował do rytmu języka angielskiego.

– Zastanawiam się – rzekł – kim panie mogą być.

– Jestem pośredniczką w handlu nieruchomościami – powiedziała pośredniczka. – A ta pani...

– Jest potencjalnym klientem – wtrąciła Nina.

– Ach – wyrzucił z siebie mężczyzna. – Jak to teraz szybko ludzie się przeprowadzają.

– Skoro tak – rzekła pośredniczka – to może pan wie, kiedy wszystko zostanie uporządkowane? Dom przygotowany do sprzedaży?

– Wkrótce – odparł staruszek. – Bardzo szybko. – Wsunął duże dłonie do kieszeni i wyjrzał przez okno na podwórze. Wyglądało, że się zastanawia. Nina i pośredniczka czekały, żeby coś powiedział. W końcu się odezwał: – Proszę mnie nie zmuszać, żebym panie zatrzymywał.

Pośredniczka zerknęła na zegarek. – Spieszę się. – Zwróciła się do Niny: – Czy zobaczyła pani wszystko?

– Tak.

Mężczyzna w dalszym ciągu wyglądał przez okno. Nina i pośredniczka zeszły na dół. Były w holu wejściowym, kilka kroków od drzwi, kiedy Nina powiedziała: – Chwilkę. Chciałabym jeszcze popatrzeć na podwórko.

– Ale ja naprawdę...

Nina przebiegła przez kuchnię, pralnię i mały przedsionek do drzwi z tyłu domu. W tych drzwiach był mosiężny zamek, łańcuch i zasuwka. Przekręciła klucz w zamku, odpięła łańcuch i odsunęła rygiel. Potem szybko wróciła do holu.

– Podoba się tu pani, prawda?

Nina uświadomiła sobie, że ma zaczerwienioną twarz. – To bardzo ładny dom – rzekła.

– Ma pani dobry gust. Ale ja jeszcze nie znam pani nazwiska.



– Jestem Nina... Niestety, nie mam przy sobie wizytówki. Może pani da mi swoją i ja zadzwonię.

Kobieta otworzyła usta, jakby chciała zaprotestować, ale tylko powiedziała: – Czekam na telefon od pani. – Podała Ninie swoją wizytówkę. – Jest już za dziesięć czwarta – zauważyła.

Wsiadła do swojego samochodu zaparkowanego na ulicy i odjechała. Nina też usiadła za kierownicą, przejechała kawałek, na następną przecnicę, i zatrzymała się. Siedziała w samochodzie, nie wiedząc, co robi i dlaczego.

Po niecałych pięciu minutach pod dom Laury podjechała taksówka. Drzwi od domu otworzyły się i wyszedł ten rzeczoznawca. Ruszył chodnikiem, sprężystym krokiem niczym aktor grający rolę staruszka, który usłyszał polecenie reżysera „cięcie”. Wsiadł do taksówki, która natychmiast odjechała.

Nina wysiadła z samochodu i podeszła do domu Laury z boku. Podwórko otaczał płot ze sztachet. Nina rozejrzała się wokół siebie i nikogo nie zauważywszy, podciągnęła spódnicę i weszła na płot. Znow się rozejrzała i szybko podbiegła do tylnych drzwi. Przekreśliła gałkę.

Drzwi były zamknięte.

Nina stała przed nimi. Serce waliło jej jak młotem, jakby szybciej od rozumu było w stanie przewidywać zdarzenia, jakby już zrozumiało, co ona zamierza zrobić. Jeszcze raz rozejrzała się wokół siebie. Zobaczyła tylne fragmenty innych domów – tarasy, werandy, ganki – i ogródki, niektóre z rozrzuconymi zabawkami i ustawionymi piaskownicami. A wszystko opustoszałe. Na wiązcie Laury spostrzegła tłustą wronę. W oddali usłyszała odgłos ruchu drogowego, warkot piły, a nad głową przelatujący samolot.

Zdjęła jeden but: wygodny mokasyn z twardym skórzanym obcasem. Zamierzyła się w dolną szybę w drzwiach, gotowa zrobić coś nierozsądnego. Ogarnęło ją dziwne podniecenie, częściowo strach, częściowo przypływ siły; poczuła, że po raz pierwszy przystępuje do działania, robi coś, aby odzyskać swoje dziecko. Bo nie można do działania zaliczyć śledztwa prowadzonego przez zblazowanych detektywów, jej występu przed kamerami telewizji czy też jej wpadki z okupem dla jakichś żalonych gnojzków. Teraz zdecydowała się na czyn gwałtowny, brutalny, nawet kryminalny. Sama padła ofiarą aktu kryminalnego, więc riposta musi być odpowiednia... Nina walnęła obcasem buta w szybę.

Szyba nie pękła, ani też się nie zarysowała. Być może Nina nie była do końca zdecydowana na popełnienie przestępstwa, a może Laura kazała zainstalować specjalne szyby. Jednak Nina nie zamierzała rezygnować. Nie zwracając już teraz

uwagi, że ktoś ją może zobaczyć, wzięła duży zamach i uderzyła z całych sił w szybę. Rozprysła się w drobne kawałki. Rozległ się ogłuszający hałas. Wrona z wrzaskiem zerwała się z wiazu.

Nina, bojąc się odwrócić, świadoma jedynie bicia serca i wstrząsających nią drgawek, wsunęła rękę przez otwór, przekręciła klucz w mosiężnym zamku, odpięła łańcuch, przesunęła zasuwę i otworzyła drzwi. Potem wsunęła but na nogę i weszła do przedsionka domu Laury.

Nina myślała o papierach w ręku rzeczoznawcy. Na biurku leżało dużo dokumentów: wydruki, notatki na temat produkcji kakao w Ghanie, Brazylii, Wybrzeżu Kości Słoniowej, listy od eksporterów i importerów, notatniki zapisane tylko datami i liczbami. To, co znalazła, nie miało nic wspólnego z Reproductive Research Center.

Nina włączyła komputer. Wszystkie zapisane dokumenty związane były z kakao. Tym napojem, które matki dają swoim zziębniętym dzieciom. Nina wyłączyła komputer i przeszukała dom. Znalazła trochę rzeczy, które ją zainteresowały. Na przykład stary kalendarz szkoły ze zdjęciem Laury, jako Dorotki z „Czarnoksiężnika z krainy Oz”, a także coś, co wywołało w niej wyrzuty sumienia. Chociażby list sprzed czterech lat od mężczyzny o imieniu Philip: *Proszę, zrozum, to wcale nie oznacza, że cię nie lubię. Wręcz przeciwnie. To, co wspólnie przeżyliśmy, było wspaniałe i zawsze będzie dla mnie wiele znaczyło, ale z pewnością tak inteligentna osoba jak ty wie, że ludzie czasami się zmieniają i przestają do siebie pasować. To nie jest niczyja wina. Chcę na razie spotykać się z kimś innym i mam głęboką nadzieję, że...* I tak dalej podobne banały aż do podpisu: *Z uszanowaniem, Philip.* Natknęła się też na rzeczy, które powinny pozostać ukryte, jak wibratory i inne erotyczne gadżety w skórzanej torbie w stoliku obok łóżka. Jednak nie znalazła niczego, co by jej pomogło.

Stała we frontowym holu niepewna, co zrobić, kiedy zadzwonił telefon. Aż podskoczyła. Początkowo próbowała zignorować dźwięk, ale telefon nie przestawał dzwonić. Zdecydowała się podnieść słuchawkę i słuchać, ale się nie odzywać. Tak zrobiła, jednak osoba po drugiej stronie też milczała. Nina usłyszała oddech, niezbyt głęboki, ale regularny, miarowy. Słyszała go wyraźnie. Poza tym panowała cisza.

Nina odwiesiła słuchawkę, która błyszczała teraz od potu z dłoni.

Wróciła do przedsionka. Wzięła miotłę, szufelkę i zmiotła potłuczone szkło. Wrzuciła śmieci do kosza pod zlewem, gdzie było opakowanie po czekoladzie i puszka po bezkofeinowej coli. Potem poszła do holu i zadzwoniła do biura Hala

Palmeteera.

Telefon odebrała recepcjonistka.

– W domu Laury Bain jest rozbita szyba – rzuciła do słuchawki Nina. – Proszę powiedzieć doktorowi Palmeteerowi, żeby kazał wstawić nową.

– Co? – zdziwiła się recepcjonistka. – Kto mówi?

Nina rozłączyła rozmowę. Wyszła frontowymi drzwiami i poszła do samochodu do następnej przecznicy. Po drodze minęła chłopca na deskorolce i dwie dziewczynki z książkami. Przypuszczalnie wszystkie te dzieci miały wkrótce napić się kakao. Nina pojechała na lotnisko. Nikt nie założył jej kajdanek, nie rozległy się syreny, nikt się jej nie przypatrywał. Popelnienie przestępstwa było łatwe, ale się nie opłaciło.

Większość pasażerów samolotu stanowili biznesmeni. Niektórzy pracowali, inni popijali, a jeszcze inni siedzieli zatroskani. Nina wypiała kilka drinków. Przypuszczalnie trochę za dużo.

Jules, portier, też pił. Nina zobaczyła go rozwalonego na fotelu, z pustą butelką piwa na kolanach. Nina tłukła w drzwi, aż w końcu Jules otworzył oczy. Z trudem wstał z fotela, doczłapał do drzwi i wpuścił Ninę do środka. Śmierdział wymiocinami, a jego marynarka była poplamiona. Coś mamrotał.

– Jules, weź się w garść – rzekła Nina – bo administracja coś z tym zrobi.

Jules kilkakrotnie otworzył i zamknął usta niczym ryba wyjęta z wody. – Lubię panią – wybełkotał. – Jest pani dla mnie miła. A administracja może pocałować mnie gdzieś.

Nina wjechała windą na swoje piętro. Podeszła do drzwi mieszkania i otworzyła je kluczem. Weszła do środka, włączyła światło i poszła do kuchni napić się wody.

Kończyła pić, kiedy zauważyła swoją maszynę do pisania stojącą na stole. Podeszła bliżej i zobaczyła w niej kartkę. Wyciągnęła ją. Był to papier firmowy Kitchener & Best. Przeczytała:

*Me mogę żyć bez mojego kochanego dziecka. Bardzo proszę, nie myślcie o mnie źle.*

Na dole widniał jej podpis niebieskim atramentem. Podrobiony był idealnie. Nina wciąż wpatrywała się w kartkę, kiedy poczuła zapach pestycydów. Odwróciła się na tyle szybko, że zdążyła zobaczyć dużą dłoń pokrytą plamami wątrobowymi. Potem cała jej twarz została zakryta: oczy, nos, usta. Zaczęła się szarpać, ale w tym samym czasie poczuła inny zapach, silniejszy od zapachu pestycydów, zapach, który przypominał Ninie pracownię chemiczną w szkole średniej.

Potem wszystkie jej zmysły zgasły.

**Matt**

Czy mieszkańcy North Andros lubili baroneta Hewa Aikenfielda? Matthias powiedziałby, że tak, ale ludzie nie zjawili się tłumnie na jego pogrzebie. Może winna była pogoda – chłodny grudniowy ranek i północno-wschodni wiatr, który pędził po niebie czarne chmury.

Kościół Wiecznego Życia, w którym posługę sprawował wielebny Christie, stał przy drodze prowadzącej z Blufftown na południe. Po drugiej stronie był Happy Times Bar. Mieścił się w chatce sklejonej z drewna i papy. Betonowy kościół był niewiele od niej mniejszy. Obie konstrukcje zostały pomalowane tą samą turkusową farbą. Obie należały do wielebnego Christiego. Za kościołem znajdował się znacznie starszy od niego cmentarz. Jedyne studnia w środku miasteczka była równie stara jak on.

Wielebny Christie nadzorował składanie zwłok Hewa do grobu – płytkiego, bo na wyspie wapienne podłoże skalne znajdowało się blisko powierzchni. Został wykopany między grobem z tabliczką: MAŁA PINDER, a innym – z nieczytelnym napisem. Potem wielebny uniósł oczy ku chmurom i zwrócił się do Boga. Chyba miał jakieś widzenie i zdał sobie sprawę, że musi rywalizować z innymi uroczystościami pogrzebowymi odbywającymi się teraz na świecie, bo mówił bardzo głośno, niemal krzyczał.

– Dziękujemy ci, Panie, za Twój dar śmierci – powiedział.

Nikt nie był zaskoczony tym wstępem, bo tak zawsze zaczynał. Potem wyjaśnił, że śmierć jest słodką ucieczką od trudów życia i świadectwem boskiego miłosierdzia. Niektórzy z ludzi stojących w małych grupach potakiwali i szeptali w momentach przeznaczonych na to przez księdza. Jednak Hew stanowił tylko punkt wyjścia i wkrótce Matthiasa przestały interesować słowa wielebnego Christiego.

Po mowie pogrzebowej ministrant przyniósł z kościoła wzmacniacz i wielebny podłączył do niego gitarę. Zaśpiewał *Nie poddam się*. Wielebny nieźle grał na gitarze, może nie tak sugestywnie i z uczuciem jak Krio, ale na tyle dobrze, że kilka osób zaczęło poruszać się w rytm melodii między grobami. Śmierć, niezależnie jaka była, znalazła się w cieniu. Potem żałobnicy wysłuchali *Nikt nie kocha mnie jak Jezus* i rozeszli się przy dźwiękach *Zadziwiającej laski*.

Wielebny podszedł do Matthiasa i podał mu rękę. – Powinniśmy zaśpiewać „La Vie en Rose” – powiedział Matthias.

– A jak to brzmi?

– Niestety, nie jest to pieśń religijna.

– Więc nieodpowiednia. Tutaj jest święta ziemia. – Wielebny Christie wyciągnął z kieszeni rachunek. Koszt pochówku wyniósł dwieście dolarów.

Matthias, patrząc na rachunek, czuł na sobie spojrzenie księdza, który chyba zastanawiał się, czy będzie musiał się targować. Matthias podał mu pieniądze.

– Niech cię Bóg błogosławi – rzekł wielebny Christie.

Matthias okrążył kościół i wyszedł na drogę. Moxie w wełnianej czapce z logo Boston Bruins czekał na niego. Głową wskazał na Happy Times Bar.

Matthias przeszedł ulicę, ominął stertę zardzewiałych części samochodów i przez okno bez szyby zajrzał do środka baru. Na podłodze z ubitej ziemi stało kilka beczek do siedzenia, stół stanowiła sklejka na kozłach do rżnięcia drewna. Kurczak dziobał podłogę, a jednooki kuzyn wielebnego Christiego obserwował kilka butelek na wygiętej półce. Na jednej z beczek siedział Nottage. Drzemał przy stole, dłonią obejmując zatłuszczoną szklanę. Matthias wszedł do środka.

Kuzyn wielebnego Christiego popatrzył na niego zdrowym okiem; nie było drugiego oka, tylko pusty oczodół zakryty wklęsniętą powieką. Nic nie powiedział. Biali nie przekraczali progu Happy Times Bar, nie robił tego ani wielebny Christie, ani inni szanowani mieszkańcy osady.

Matthias usiadł na beczce obok Nottage'a. – Piwo – rzucił.

– Nie ma piwa – odparł jednooki mężczyzna. – Rum.

– Więc rum – zgodził się Matthias.

– Rum – powtórzył Nottage, nie odrywając głowy od blatu stołu. Jego głęboki, zniszczony głos wywołał wibracje w sklejce.

Kuzyn wielebnego Christiego sięgnął po butelkę za barem. Była bez etykiety, w środku znajdował się brązowy płyn. Barman wziął małą zakurzoną szklanę z półki, wyrzucił z niej zdechłą muchę i napełnił po brzeg. Tak samo szklanę Nottage'a. Nottage nie podjął próby napicia się, ale ciągle zaciskał dłoń na szklance.

– Przed chwilą pochowali Hewa – zaczął Matthias.

Mężczyźni nie zareagowali.

– Nottage, wiesz, że on nie żyje?

Nottage nie odpowiedział, ale mocniej zacisnął dłoń na szklance. Kuzyn wielebnego Christiego stał w bezruchu i niewidzącym wzrokiem patrzył w przestrzeń.

– Nottage, chodźmy stąd – powiedział Matthias.

Nottage nie poruszył się. Matthias położył rękę na jego ramieniu. Ciało

Nottage'a zeszywniało. Matthias cofnął rękę. Czas płynął, kurczak grzebał i dziobał w ubitej podłodze. Potem nagle Nottage wstał i ruszył równym krokiem, zostawiając swoją szklanę. Matthias podążył za nim.

Nottage ruszył drogą do Conchtown. Matthias nigdy nie widział idącego go tak szybko – przez chwilę nawet biegł. Minęli ostatnią, nędzną chałupę w miasteczku. Droga stała się węższa, po obu jej stronach rosły drzewa. Nottage, niczym zwierzę na granicach swego terytorium, zwolnił i w końcu się zatrzymał. Matthias stanął kilka kroków za nim. Było cicho, tylko lekki wiatr poruszał gałęziami drzew, kraby chrzęściły w krzakach, a z oddali dobiegał niesłyszalny szum morza.

– Mówią, że Hew spadł – rzekł Matthias. – Ale on skoczył. Prawda, Nottage?

Nottage obrócił się do niego. Miał przekrwione oczy. Jego ciało domagało się kąpieli i nożyczek, a dusza innej historii życia. Spojrzał Matthiasowi w oczy, a potem szybko odwrócił głowę.

– Widziałeś, co się stało? – spytał Matthias.

Nottage nie odpowiedział.

– Przecież byłeś na Bluff. Świecił księżyc.

Nottage wbił wzrok w ziemię. – Nic nie wiem.

– Nie wierzę ci.

Nottage uniósł głowę. Zamachnął się mocno na Matthiasa. Ciało Nottage'a, choć stare i zniszczone, miało brutalną siłę, która nie pochodziła z siłowni, ale jej źródłem była ciężka fizyczna praca. Zaskoczony Matthias nie zdążył uniknąć ciosu. Łądującego na jego ramieniu. Nottage też wydawał się zaskoczony, patrzył na swoją pięść, jakby nie wierzył w to, co zrobił. Potem opuścił rękę, zwiesił głowę i coś cicho powiedział, zbyt cicho, aby Matthias usłyszał.

– Nie słyszę, Nottage.

Nottage zaczął mówić głośniejszym głosem. – Uderz mnie, szefie. Uderz mnie.

– Nie mam zamiaru cię bić. Chcę tylko wiedzieć, co widziałeś na Bluff.

Nottage pokręcił głową.

– Spójrz na mnie, Nottage. – Nottage uniósł wzrok, ale jego oczy ukazywały pustkę. Taką samą pustkę widywał, gdy czarnych pytano o sprawy białych ludzi. Nottage, czarny przedstawiciel narodu czarnych rządzonego przez czarnych polityków wybranych w demokratycznych wyborach przez czarnych mieszkańców kraju, wciąż miał to spojrzenie. Za wcześnie się urodził.

– Coś przede mną ukrywasz – stwierdził Matthias.

– Nic nie ukrywam.

– Hew zeskoczył, co? Ale nie chcesz nic złego mówić o zmarłym. Zgadza się?

Nottage nie odezwał się.

– Czy powiedział coś przed swoją śmiercią? Czy może próbowałeś go powstrzymać, ale było za późno?

Nottage westchnął. Po chwili jego westchnienie przeszło w jęk. – To przeklęte miejsce, facet – powiedział.

– O czym mówisz?

Długo milczał. Potem powiedział: – Morze płonie.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

Nottage gapił się na swoje gołe zakurzone stopy. Jego ciało zwiotczało.

– Jakie morze?

Nottage odwrócił się na wschód. Między drzewami błyszcząły na niebie postrzępione chmury. – Tam, gdzie Happy się utopił – odpowiedział spokojnie.

Matthias zrobił krok w jego kierunku. – Znałeś Happy'ego Standisha?

Nottage się cofnął.

Matthias nie podchodził do niego bliżej. – Znałeś?

Nottage skinął głową.

– Kiedy był chłopcem?

Znów przytaknął.

Matthias spojrzał w jego przekrwione oczy, próbując coś z nich odczytać. Nie udało się. – Ale on nie zginął w pożarze. To był wypadek przy nurkowaniu. Miał zatrute powietrze w swojej butli.

Nottage nie odezwał się.

– Był jakiś pożar w pobliżu kompresora? To chcesz powiedzieć?

Nottage milczał.

Niebo się zachmurzyło. Na głowę Matthiasa spadła chłodna kropla deszczu, potem następna. – Jak poznałeś Happy'ego Standisha?

Nottage znów westchnął. – Pracowałem dla tej rodziny.

– Co robiłeś?

– Pracowałem w ogrodzie, aż przyjechał ten nowy facet.

– Jaki nowy facet?

– Jakiś ogrodnik.

– Kiedy to było?

– Nie wiem. Dawno. Za czasów księcia.

– Standishowie cię zwolnili?

– „Wywalcie Nottage'a", tak powiedział.

– Kto tak powiedział?



– Ten ogrodnik.

Podmuch wiatru zaciął deszczem o twarz Nottage'a. Mężczyzna nie zareagował.

– Ale Happy'ego nie było jeszcze wtedy na świecie – zauważył Matthias.

Nottage wpatrywał się w swoje stopy.

– Jak mogłeś znać Happy'ego, skoro zwolniono cię, zanim on się urodził?

– Poznałem go później. – Nottage uniósł głowę. – A skąd by mieli ryby?

– Dostarczałeś im ryb?

Nottage burknął.

– I to wtedy widywałeś Happy'ego?

– Zabierałem go na łódkę. Pani Albury trzymała go na rękach, a ja wiosłowałem.

– Wiosłowałaś tutaj z Dwóch Głów?

– Nie było żadnych motorówek. To było dawno, szefie.

– Nottage, ja nie jestem żadnym twoim szefem.

Jednak Nottage stał przygarbiony na środku drogi do Conchtown, jakby Matthias rzeczywiście był jego szefem i miał zamiar za chwilę go zwolnić.

– Kiedy po raz ostatni widziałeś Happy'ego Standisha?

– Wieczorem przed utonięciem.

– Widziałeś go w wieczór przed tym wypadkiem? W zeszłym roku?

– Nie wiem, czy to było w zeszłym roku.

– Gdzie go widziałeś? W klubie?

– Nie.

– A gdzie?

Nottage wskazał w kierunku, z którego przyszli.

– W Happy Times?

– Taa.

– Przyjechał tutaj?

– Taa.

– Po co?

– Żeby się ze mną spotkać – odparł Nottage z nutką dumy w głosie.

– Dlaczego chciał się z tobą spotkać?

Nottage wzruszył ramionami.

– Co powiedział?

– „Pamiętam cię, Nottage. Nauczyłeś mnie łowić graniki na zagięty gwóźdź”.

– To wszystko?

– Podał mi rękę.

- A potem?
- Zapytał, gdzie jest ogień na morzu. Powiedziałem mu.
- Co mu powiedziałeś?
- Gdzie jest ogień.
- Nottage, ale nie ma żadnego ognia.

Nottage patrzył na swoje stopy, kurz na nich zamienił się w błoto.

- Widziałeś prawdziwy ogień? – dopytywał Matthias.
- Widzę go.
- Co to znaczy? Widzisz go teraz?
- Co noc.

– Kurwa mać. – Matthias, zanim się zorientował, co robi, chwycił Nottage'a za ramiona i mocno nim potrząsnął. Nottage, choć potężnej postury, nie stawiał oporu.

– Czy to prawdziwy ogień, czy to tylko ogień w twojej głowie?

Nottage nie odezwał się. Czekał na uderzenie. Matthias opuścił ręce. – Do cholery, Nottage – powiedział. – Pójdziemy do mnie.

Ale Nottage nie poruszył się. Otworzył usta, zamknął je, znów otworzył i w końcu wydobył z siebie: – Prawdziwy.

Padła teraz ulewny deszcz, ale Matthias prawie go nie czuł. – Kiedy? – zapytał.

- W nocy.
- Każdej nocy?

Nottage pokręcił głową.

- Której nocy?
- Za czasów księcia.
- Widziałeś jakiś pożar?

Przytaknął.

- Skąd?
- Z Bluff.
- Co to było?
- Morze płonęło. Potem zrobiło się czarne.

– Mówisz o jakiejś łodzi? Spaliła się?

Nottage zaprzeczył ruchem głowy.

– Palił się jakiś wrak?

Znów pokręcił głową.

- Czy ktoś jeszcze to widział?
- Co widział?
- Ten ogień.

- Bóg.
- Bóg?
- Bóg go widział. Przysłał Nottage'owi ostrzeżenie.
- Jakie ostrzeżenie?
- Morze płonie.
- Ale dlaczego Bóg cię ostrzegał? Zrobiłeś coś?

Nottage tylko zwiesił głowę.

Przemokli do suchej nitki. Nottage wciąż trzymał głowę nisko. Woda spływała po jego białych kręconych włosach i pomarszczonym czole. Potem nagle wymiotował. Nie pochylił się, nie cofnął, tylko wymiotował przed siebie. Patrzył na Matthiasa niczym chore bezradne dziecko. Matthias położył rękę na jego ramieniu. Znów zeszytniał. Matthias cofnął dłoń. – Chodźmy – powiedział.

Wrócili do Blufftown. Deszcz oczyścił ciało Nottage'a. Kiedy zbliżyli się do Happy Times Bar, Nottage zwolnił jak zwierzę, które znalazło się przy swojej norze.

- Chodź – rzucił Matthias. – Powinieneś coś zjeść.

Ale Nottage bez żadnego słowa i spojrzenia wszedł do środka. Kurczak leżał teraz na barze, bez głowy i oskubany. Dwie szklanki z rumem wciąż stały. Nottage opróżnił je obie. Matthias odwrócił się i ruszył w stronę zatoki Zombie.

Deszcz padał coraz słabiej, aż ustał zupełnie. Woda kamiennymi rynsztokami spływała do morza. Matthias minął chłopca toczącego obręcz kijkiem, kobietę wyglądającą przez okno od wielu lat nie wykończonego domu z betonowych płyt, a także dziewczynę w ciąży siedzącą w drzwiach i oglądającą zdjęcia w zniszczonym egzemplarzu *Mademoiselle*.

Kiedy Matthias dochodził do plaży, *So What* podpływała do brzegu. Brock zacumował ją. Turysta, którego ciało już dawno temu zapomniało o wysiłku, odstawił butelkę z piwem i próbował pomóc przy rozładunku łodzi. Upuścił butelkę, ale Moxie, spodziewając się tego, zdążył ją złapać. Kobieta w różowym kombinezonie spytała: – Jak ta ryba się nazywała?

- Niech pani zapyta Krio – odparł Moxie.
- To ten groźnie wyglądający?

Moxie sam zajął się wyposażeniem.

Matthias wszedł na pokład i sprawdził poziom paliwa.

- Wy pływasz? – spytał Brock, niosąc dwie butle na ramionach.
- Tak.

– Paskudnie dzisiaj – rzekł Brock. – Morze jest niespokojne.

Matthias zapalił silniki.

– Mam z tobą płynąć? – spytał Brock, przekrzykując hałas.

Matthias pokręcił głową i popłynął łodzią do tyłu. Zrobił nawrót i dodał gazu. Brock z założonymi rękami obserwował, jak odpływa.

*So What* przecięła zatokę Zombie, okrążyła Palce Anioła i znalazła się na otwartym morzu. Z zachodu w niekończących się formacjach napływały wysokie ostre fale. Bujały trochę łodzią i przelewając się po pokładzie, moczyły Matthiasa. Woda morska wywierała na niego inne działanie niż deszcz: budziła w nim nadzieję, celowość działania. Pędząca łódź i ryk silników nadawał sens życiu. Pozostał mu tydzień na złożenie apelacji. Nie miał pieniędzy na opłacenie adwokata, ale przypuszczalnie znalazłby jakiegoś, gdyby szansa na wygranie sprawy była stuprocentowa. Po raz pierwszy od wyjścia z biura Dicky'ego Dumauriera czuł, że można to osiągnąć. Na horyzoncie pojawiła się wysepka Dwie Głowy. Skierował łódź w stronę ciemnej luki między dwoma urwiskami.

Kiedy zbliżał się do wyspy, szybko niczym pociągnięcia pędzla na płótnie ujawniały się kolejne szczegóły krajobrazu: dwa skaliste urwiska częściowo obrośnięte roślinnością. Plaża w kształcie łuku między nimi, z rosnącymi przy niej palmami i rzewniami. i ślady obecności człowieka: statek wielorybiczny zacumowany przy długim drewnianym pomoście i biała fasada domu za drzewami.

Nagle morze zmieniło barwę z ciemnoszarej na zielonobrazową, a fale straciły swoją siłę. Matthias znalazł się po drugiej stronie rozpadliny.

Zwolnił i zbliżył się do pomostu. Przestała go bronić tarcza hałasu. Przypomniał sobie, że już wcześniej morze wprowadzało go w błąd, każąc mu wierzyć, że jest silny, ma wszystkie możliwości. Chociażby wtedy, gdy postanowił, że wysiadzie na plaży u stóp Sierra Maestra.

Wciąż o tym rozmyślał, kiedy na pomoście zjawił się Gene Albury ze śrutówką w ręku. Jej lufa była skierowana w dół. Obok niego stała wysuszona kobieta z siwymi włosami: pani Albury. Coś trzymała w ręku. Była to duża szmaciana lalka.

TEREN PRYWATNY – głośił napis na końcu pomostu na wyspie Dwie Głowy. NIE PROWADZIMY ŻADNEJ SPRZEDAŻY. WSTĘP SUROWO WZBRONIONY.

Matthias wyłączył silniki i zrobiwszy kilka ósemek, zarzucił cumę na pachoł. Wskoczył na wyblakłe od słońca deski pomostu. Gene Albury i jego żona nie poruszyli się. Obserwowali go z drugiej strony nabrzeża. Matthias już się z nimi spotkał. Raz, gdy zatrzymali się przy klubie, żeby zatankować, drugi raz podczas regat w Conchtown, podczas których Albury ścigał się swoją łódką w kształcie cygara, ale Matthias nie spostrzegł w jego oczach tego, by go teraz rozpoznał. Wyjaśnił, kim jest.

– Wiem, kim pan jest – rzekł Albury. Mówił łagodnym melodyjnym głosem, lekko przeciągając samogłoski. Był to akcent białych mieszkańców Bahamów, odziedziczony po lojalnych obywatelach Korony. Typ fizyczny też został zachowany: Gene Albury był niski, szczupły, z jasnymi oczami. Pani Albury była do niego podobna. Jej skórę, podobnie jak jego, wypaliło słońce, jej włosy też były siwe, wysuszone, delikatne. Mogliby uchodzić za rodzeństwo i przypuszczalnie byli dalekimi kuzynami – pomyślał Matthias. Biali mieszkańcy Bahamów tworzyli niewielką społeczność, a rzadko zawierali małżeństwa z obcymi.

– Chciałbym z panem porozmawiać, panie Albury – powiedział Matthias.

– O czym?

– O doktorze Standishu.

Kobieta pokręciła głową, ale ten gest był prawie niezauważalny. Albury patrzył na Matthiasa, ale musiał spostrzec reakcję żony, bo powiedział do niej: – Idź do domu, Betty. To nie potrwa długo.

Pani Albury odwróciła się do męża. Wymienili między sobą spojrzenia, które dla Matthiasa nic nie znaczyły. Pani Albury odeszła, wrzucając szmacianą lalkę do beczki na śmieci na początku pomostu. Gene Albury nie ruszył się z miejsca. – Słucham – rzekł. Mężczyzna z dwunastką w ręku mógł się zdecydować na takie ryzyko.

– Próbuję ustalić okoliczności śmierci doktora Standisha – powiedział Matthias.

– Hew Aikenfield mówił, że pan może mi w tym pomóc.

– Nie cierpiałem Hewa Aikenfielda.

– Słyszał pan więc nowinę?

Albury oblizwał usta. – Tak.

– On mówił, że znał pan doktora Standisha.

Albury tylko przytaknął.

– Mówił mi też, że Standish utopił się w błękitnej dziurze, tej za moją posiadłością.

– To wtedy nie była pana posiadłość – odparł Albury delikatnym głosem.

– Duża mi różnica...

– Co to ma znaczyć? – Albury zmarszczył czoło.

– Ma pan całkowitą rację, panie Albury. Przypuszczam, że w tamtym czasie to miejsce należało do senora Pereza.

– Nie – zaprzeczył Albury. – To było jeszcze przed tym Latynosem. Wtedy tam nie było żadnych właścicieli.

– W którym to dokładnie było roku?

– Trudno powiedzieć – odrzekł Albury, ani chwili nie zastanawiając się nad tym.

– Ale pamięta pan, że wydarzyło się to, zanim Perez wybudował ten klub.

– Już to panu mówiłem.

– Gdzie pan wtedy był, panie Albury?

– Kiedy?

– Kędy doktor Standish utopił się w błękitnej dziurze. Przecież on się tam utopił, prawda?

Albury przeszył go wzrokiem. – To pan jest tym człowiekiem od zatrutego powietrza w butli, zgadza się?

– Powiem tylko, że ta sprawa nie została wyjaśniona.

Albury zignorował go. – Tym, który tak skrzywdził Happy'ego Standisha. A teraz przybywa pan tutaj i pyta mnie, czy znałem go od dzieciństwa, zadaje różne pytania...

– Szukam u pana pomocy, panie Albury. Przypuszczam, że lubił pan Happy'ego Standisha. Załóżmy, że to, co się wydarzyło, to nie był wypadek. Nie chciałby pan wiedzieć, co tak naprawdę zaszło?

Albury jeszcze bardziej zmrużył oczy. – Do czego pan zmierza?

To pytanie zmusiło go do tego, żeby swoje przypuszczenia ubrał w słowa: nie mógł uwierzyć, że śmierć Hirma Standisha w błękitnej dziurze i wypadek jego syna w pobliżu były przypadkowe. Jednak nie wypowiedział głośno tych słów. Nie miał żadnych dowodów, żadnej teorii, a poza tym nie spodobał mu się sposób, w jaki Albury mówił o Hewie i ojcu Cesarito. Powiedział więc tylko: – Nie zmierzam

do niczego konkretnego. Próbuję jedynie dowiedzieć się czegoś więcej o śmierci doktora Standisha.

Albury musnął palcem orzechowy korpus swojej śrutówki. Była to stara markowa dubeltówka, z takiej broni jego ojczym numer dwa wybijał całe stada kaczek i gęsi. – Nie jestem w stanie panu pomóc – rzekł Albury.

– Nie było wtedy pana nigdzie w okolicy?

Albury wciąż pocierał palcem broń. – Już mówiłem, że nie potrafię panu pomóc.

– A pani Albury?

– Pani Albury... – Lufa broni uniosła się lekko, jakby samoistnie. Albury opuścił ją.

– Może ona pamięta?

– Nie – mruknął Albury. – Nie pamięta.

Matthias stał na pomoście w milczeniu. Widział niebieskie szczeliny oczu Albury'ego, słyszał fale rozbijające się o pale, czuł zapach morza, ale nie był w stanie wymyślić niczego sensownego. Potem zauważył, że Albury obserwuje coś w oddali. Odwrócił się.

Z północnego zachodu zbliżała się łódź. Płynęła bardzo szybko, wyrzucając za sobą w górę strumienie wody niczym ogon koguta. Dobiegł warkot silników. Matthias rozpoznał tę czerwono-czarną łódź w kształcie cygara. Była Albury'ego. Matthias spojrzał na niego. Zagryzał wargi.

Łódź zatoczyła półokrąg i tyłem podpłynęła do pomostu. Ustawiła się równolegle do niego, pół stopy od pali, z dziobem w stronę morza. Łodzią przyплыnęła kobieta, w goglach, czerwonym kombinezonie i czerwonym kasku. Rzuciła linę Albury'emu i wyskoczyła na pomost.

– Jacyś goście, panie Albury? – spytała zaraz, zdejmując kask i gogle. Potrząsnęła długimi srebrzystymi włosami.

Były to piękne włosy, gęste i błyszczące; znosiły równowagę między starym a siwym. Trudno było określić wiek kobiety: miała jasną cerę, gładką skórę, delikatne kości, a jej ciało pod kombinezonem wydawało się sprężyste. Jedyne jej niebieskie oczy, głęboko osadzone i czujne, wskazywały, że ma więcej niż trzydzieści pięć lat. Może nawet dwa razy więcej – pomyślał Matthias, kiedy odwróciła się i przenikliwie spojrzała na niego.

– To ten człowiek z zatoki Zombie – wyjaśnił Albury.

Kobieta przyglądała się przez chwilę, potem powiedziała: – Pan Matthias, zgadza się?

– Zgadza – odparł Matthias. – Czy my się spotkaliśmy?

Kobieta uśmiechnęła się, ale nie był to przyjacielski uśmiech, przynajmniej ironiczny, a może pogardliwy. – Jedyne przez adwokatów – odparła kobieta. – Jestem Inge Standish – przedstawiła się i dodała: – Matka Happy'ego... to jest Hiram juniora.

Głęboko osadzone oczy Inge Standish wpatrywały się w twarz Matthiasa, jakby chciała się dowiedzieć, co on myśli.

– Czego pan tutaj chce, panie Matthias? – spytała.

– On zadaje różne pytania – wtrącił Albury, zanim Matthias zdążył otworzyć usta.

– Jakie pytania, panie Matthias?

– Niedawno się dowiedziałem, że pani mąż utopił się na terenie, który jest teraz częścią mojej posiadłości. Chciałbym poznać okoliczności tego zdarzenia.

Na twarzy Inge znów pojawił się uśmiech, wieloznaczny i nasuwający myśl o okrucieństwach z dalekiej przeszłości. – Jakie to chorobliwe – rzekła Inge Standish. – Czy pan z jakichś osobistych powodów jest zainteresowany naszą małą rodzinną tragedią?

– To nie tak, pani Standish. Staram się wszystko ułożyć w całość. Pozostało wiele wątpliwości co do wypadku pani syna.

– Myślałam, że sąd miał jasny pogląd na ten temat.

– Hitler też miał jasne poglądy i co z tego wyszło? – ripostował Matthias ku swojemu zaskoczeniu, bo nie lubił, jak używano tego nazwiska jako argumentu w dyskusjach, ale słowo się rzekło.

Czekał na jakiś wybuch wściekłości, który nie nastąpił. Inge wyglądała tylko na zaskoczoną. – Hitler? – spytała.

– Na przykład – powiedział Matthias.

– No tak, oczywiście – mruknęła Inge Standish. – Poddaję się. – Rozpięła kieszeń w swoim kombinezonie, wyjęła z niej kilka pierścionków i po kolei włożyła je na palce – z brylantami, rubinami i szafirami, zbyt dużymi jak na wilka morskiego. – Jednak ciągle nie rozumiem, dlaczego interesuje pana śmierć mojego męża. To było tak dawno, panie Matthias. Przypuszczalnie nie było jeszcze wtedy pana na świecie.

– To zależy, kiedy to się wydarzyło.

Inge Standish spojrzała na ocean. Jej oczy pochłaniały światło odbite od wody i nieba, stały się teraz ciemnoszarymi plamkami. – W pięćdziesiątym trzecim – rzekła.



– Więc tak.

– Ale z pewnością nie miał pan wtedy nic wspólnego z moją rodziną. Pan nie jest stąd, prawda?

– Nie.

– Zatem dlaczego to pana ciekawi?

Matthias zastanawiał się nad kilkoma odpowiedziami. – Hew Aikenfield podsunął mi ten pomysł.

– Czy pan jest jego przyjacielem? – Wydęła usta, wymawiając słowo „przyjacielem”.

– Byłem. Został pochowany dziś rano.

– Nie wiedziałam. Właśnie dopiero tu przybyłam, jak pan widzi.

– Z Florydy?

– Trochę okrężną drogą... Nie widziałam Hewa Aikenfielda chyba od trzydziestu lat.

– Według niego dłużej.

– Rozmawiał pan z nim o mnie?

– Pani nazwisko pojawiło się przypadkiem.

– Sądzę, że powinnam być zaszczycona. I to wtedy zasugerował, by pan tu przypłynął?

– Tak. Było to tej samej nocy, kiedy zginął... – Na długo zapadła cisza. Inge Standish obserwowała mewę pikującą w dół. Ptak w ostatniej chwili zmienił plany, nie uderzył w tafle wody, ale zmienił kierunek i odleciał.

– Spadł ze swojego tarasu – dodał Matthias, kiedy wydawało się, że nikt już nic więcej nie powie.

– Potworne – stwierdziła Inge Standish. Spojrzała na Albury'ego stojącego na drugim końcu pomostu. – Niech pan odłoży tę broń. I dopilnuje, żeby rozładowano łódź. Zabiorę pana Matthiasa do domu.

– Do domu, proszę pani?

– Jasne. Odpowiem na jego pytania. Hew Aikenfield był wspaniałym człowiekiem.

Albury opuścił pomost i wszedł do małego magazynu. W tym samym czasie na ścieżce prowadzącej z góry pojawiło się dwóch mężczyzn, którzy nieśli drewniane dziecięce łóżeczko owinięte w folię. Oni też weszli do magazynu. Albury wrócił na pomost bez śrutówki, byli z nim ci dwaj mężczyźni. Wyglądali na około trzydzieści lat, krępi, z włosami uczesanymi na Elvisa z 1956 roku, ale jasnymi.

– Panie Matthias, zna pan synów pana Albury'ego? Billy'ego i Bobby'ego?

Matthias przytaknął. Billy i Bobby nie dali poznać po sobie, że go znają. Ojciec i synowie weszli na łódź i zaczęli wyładowywać walizki, torby z zakupami.

– Chodźmy, panie Matthias – rzekła Inge Standish.

Matthias ruszył za nią. Weszli na ścieżkę obrośniętą różowym i białym poświrnikiem. Matthias zajrzał do magazynu, kiedy przechodzili obok. Śrutówka Albury'ego była zamknięta w stojaku z innymi strzelbami, a owinięte folią łódeczko stało przy tylnej ścianie, obok starego kompresora.

– Dużo pani nurkuje, pani Standish?

– Nurkuje? – zapytała, nie zatrzymując się.

– Z akwalungiem?

– Wcale, panie Matthias. A ocean stracił dla mnie swój urok.

Matthias, sądząc po tym jak zajęła się papierosem, nie uwierzył jej, ale nic nie powiedział. Ścieżka biegła obok małego budynku, kilku domków letniskowych, a potem skręcając, omijała wzgórze i przecinała elegancki ogród. Ogród ozdabiała wyłożone różowym marmurem oczko wodne, głębokie na trzy, cztery stopy i wypełnione słoną wodą. Matthias rozpoznał to po rybach w nim pływających i niespokojnym koralowcu. Wokół rosły równo przycięte w kształty kul i gruszek krzewy, za nimi – oleandry, czerwone, białe i różowe, a dalej drzewa owocowe, różne cytrusowce i flaszowce.

– Nigdzie tu na wyspach nie widziałem takiego ogrodu. Czy wszystkim zajmują się państwo Albury?

– To nie takie trudne. Te rośliny zostały posadzone wiele lat temu.

– Nottage je sadił? – spytał Matthias, próbując sobie wyobrazić młodego Nottage'a zdolnego do systematycznej pracy.

Inge Standish zatrzymała się przy marmurowym basenie i spojrzała na Matthiasa. – Pan Nottage jeszcze żyje? – spytała.

– Tak. Zaskakuje to panią?

– Jak dobrze pamiętam, on dużo pił. Nie spodziewałam się, że będzie tak długo żył, to wszystko. – Przez chwilę patrzyła na Matthiasa, potem odwróciła się i zaczęła iść. – Pan Nottage nie miał nic wspólnego z tym ogrodem – rzuciła nad ramieniem.

Ukazał się główny dom. Matthias nigdy wcześniej nie widział czegoś takiego, ani na wyspach, ani gdzie indziej. Był olbrzymi, barokowy, ozdobiony frontonami, kolumnami, rzeźbami i innymi elementami architektonicznymi, których Matthias nie potrafił nazwać. Kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że okna pozabijane są deskami, fasada jest splekana i się kruszy, a niektóre rzeźby uległy zniszczeniu.

Kawałki odtrąconych głów i ramion leżały w trawie niczym szczątki starożytnych zabytków w poetyckich opisach z dziewiętnastego wieku. Inge Standish zdawała się tego wszystkiego nie zauważać. Weszła dostojnie po marmurowych schodach i pchnięciem otworzyła ciężkie drewniane drzwi.

– Proszę – zachęciła.

Matthias wszedł za nią do środka. Było ciemno, przez kilka sekund nic nie widział. Potem jego źrenice rozszerzyły się i zobaczył, że jest w holu wejściowym dużym jak w hotelu. Pomieszczenie oświetlało jedynie światło wpadające przez wpółotwarte drzwi, ale wystarczyło, żeby Matthias spostrzegł dużo mebli przykrytych białym materiałem, schody znikające w ciemnościach, żyrandol i obrazy na ścianach. Snop światła padł na jeden z obrazów, oświetlając jego dolną część. Matthias mógł zobaczyć dwie blade ręce, ciemną marynarkę i drobny podbródek. Przypominał sobie ten podbródek z albumu Hewa z wycinkami.

– Proszę usiąść, panie Matthias.

Przy drzwiach stał mały stolik i dwa składane krzesła. Inge i Matthias usiedli. Na stoliku stał kryształowy wazon z białą różą i leżał radiotelefon. Inge Standish przez chwilę ścisnęła palcami swój nos i wtedy nagle wydała się bardzo stara. Potem odrzuciła do tyłu srebrzyste włosy i zbędne lata znikły.

– Powinam pana nienawidzić, panie Matthias. Ale z pewnych powodów nie żywię do pana takich uczuć.

– Może zdała pani sobie sprawę, że nie miałem nic wspólnego z tym, co się przytrafiło pani synowi.

– To nie tak. – Westchnęła. – Wiem, że osobiście nie miał pan nic z tym wspólnego.

– Więc dlaczego mnie oskarżyliście?

Ton jej głosu stał się ostrzejszy: – Ale w kategoriach prawnych wszystko pana obciąża.

Matthias spojrzął na nią, nic nie powiedział. Ona też popatrzyła na niego, a potem odwróciła wzrok. – Właściwie nie – rzekła. – Wcale nie czuję do pana nienawiści. – Zapadło długie milczenie. – Jestem zmęczona, panie Matthias. Niech mi pan powie, po co tak właściwie pan przyplynał.

– Już mówiłem.

– Żeby się czegoś dowiedzieć o śmierci mojego męża. Ale do czego to panu potrzebne?

– Czy nie wydało się pani dziwne, że oba wypadki wydarzyły się tak blisko siebie?

– Ja nie użyłabym słowa „dziwne”. Nie mam pańskiego dystansu.

– Czy pani uważa, że te zdarzenia są mi całkowicie obojętne?

– Tego nie jestem w stanie powiedzieć. Nie znam pana. Poza tym nie sądzę, żeby pana uczucia w tej sytuacji miały znaczenie.

W strumieniu światła przebiegł szczur z wyjątkowo długim ogonem i zniknął w ciemnościach. Matthias długo jeszcze słyszał drapanie jego pazurków po marmurze. Inge Standish wydawała się nie zauważyć szczura. Matthias czekał na ciąg dalszy, czekał, aby powiedziała, że ma wyjątkowy tupet, skoro mówi o swoich uczuciach, podczas gdy jej syn leży w śpiączce spowodowanej przez jego zaniedbanie. Jednak nic takiego nie stwierdziła. Chwilę patrzyła na olejny portret, niemal się uśmiechnęła i rzekła: – Uspokoję pana, panie Matthias. W tym naprawdę nie ma nic dziwnego. Obaj kochali morze, obaj uwielbiali nurkować z aparatem. To niebezpieczny sport, nawet jak zachowa się wszystkie środki ostrożności.

– O kim pani mówi?

Zmrużyła oczy. – Oczywiście o moim mężu i synu.

– Pani syn kochał morze?

– To takie zaskakujące? Tutaj spędził swoje dzieciństwo. Pływał jak delfin.

– I lubił nurkować z aparatem?

– Bardzo. Jestem pewna, że wiedział wszystko o rafach koralowych i rybach tropikalnych. Był w tym ekspertem.

– Pani mąż też?

Inge Standish przytaknęła. – Tu na Bahamach jako jeden z pierwszych miał aparat do nurkowania.

– Chce pani powiedzieć, że miał z sobą aparat, kiedy utopił się w błękitnej dziurze?

– Tak. Znow pan jest zaskoczony?

– Co on tam robił?

– Interesowały go te zapadliska. Chyba to ma coś wspólnego z naukową ciekawością?

– Ale wtedy jeszcze nic nie wiadano o tych „dziurach”.

– Chciał je badać. Przede wszystkim był naukowcem.

– Myślałem, że lekarzem.

– To prawda, ale badania naukowe były jego pierwszą pasją.

– Jakie badania?

– Nad płodnością ludzi.

– Nie widzę żadnego związku z błękitnymi dziurami.

– Opisuję panu jego mentalność, charakter – odparła uniesionym głosem. Potem łagodnie dodała: – On był po pierwsze naukowcem, jak już mówiłam.

– A co mu się przytrafiło w błękitnej dziurze?

– Chyba zabrakło mu powietrza.

– Na jakiej podstawie pani tak sądzi?

– Jego butla była pusta.

– I kto go wyciągnął?

– Wyciągnął?

– Na powierzchnię.

– Nikt. On... ciało samo wypłynęło, kiedy błękitna dziura... się zagotowała. Czy to nie zdarza się w takich zapadliskach?

– W niektórych. Czasami. – To wydzielanie się pęcherzyków powietrza związane jest z przypływami, nie z żadnym oddziaływaniem gorących źródeł. Jednak Matthias tym się nie zajmował. Zapytał tylko: – Nurkował sam?

– Tak.

– To nie wygląda na naukowe podejście.

– Co pan ma na myśli?

– Naukowcy są ostrożni. Ostrożni ludzie nie nurkują sami.

– To było dawno temu. Może miał jakiegoś partnera...

– Kto to mógł być?

– Nie mam pojęcia.

– Może Nottage?

– Na pewno nie.

Matthias spojrzał jej w oczy. Były nie do przeniknięcia. Nic z nich nie mógł odczytać. – Więc ciało wypłynęło...

– Tak, wypłynęło. Coś jeszcze, panie Matthias?

Matthias chciał ją poprosić, żeby wycofała pozew, ale od razu odrzucił ten pomysł. Uśmiechnęła się: być może odgadła jego myśli. – Nie – powiedział.

– Zatem odprowadzę pana...

Zatrzeszczał radiotelefon. Było coś nie tak z głośnikiem. Rozległ się męski głos zakłócany przez trzaski i piski: – Dwie Głowy. Wzywam Dwie Głowy. Ode...

Inge Standish wyłączyła telefon. Zerknęła na Matthiasa, wstała i powiedziała: – Proszę, panie Matthias.

Poszedł za nią do drzwi. Przemierzyli ogród, minęli basen i weszli na ścieżkę. Za krzewami spostrzegł mały cmentarz otoczony drewnianym, pomalowanym na

biało płotem. Pośrodku niego znajdowało się kilka zwietrzałych nagrobków. W rogu stał inny, pojedynczy; mały, biały i nowy, tak nowy, że nie było na nim jeszcze napisu.

Matthias i Inge Standish szli obok siebie. Czuł zapach jej perfum i bardzo słaby potu. Oczywiście każdy się poci, ale on nie spodziewał się tego po niej.

Łódź Inge została już rozładowana i wyszorowana. Matthias wszedł na pokład *So What*. Chmury na niebie znajdowały się teraz niżej i były ciemniejsze. – Zanosi się na paskudną pogodę – powiedziała Inge Standish. Odwiązała linę i trzymała ją, aż zapalił silniki. – Do widzenia, panie Matthias. – Rzuciła mu linę gestem, jakim rzuca się monetą żebrakowi.

Matthias skierował dziób łodzi w stronę Andros. Znów zaczął padać deszcz, ulewny i chłodny, ale Matthias go nie czuł. Musiał głęboko się zastanowić.

Po pierwsze, wiedział, że Inge Standish mówiła prawdę, twierdząc, że go nie nienawidzi. Ale dlaczego? Mogła wybuchnąć gniewem, okazać złośliwość; mogła mówić więcej o procesie, mogła nawet przepędzić go z wysepki. Ale nie zrobiła nic takiego.

Po drugie, Inge Standish powiedziała mu, że Happy pływał jak delfin i był bardzo doświadczonym nurkiem. Ale Wendell Minns i Hew twierdzili zgodnie, że on bał się wody, a Minns powiedział, że jego doświadczenie w nurkowaniu, to półtorej godziny w basenie.

Po trzecie, głos w radiotelefonie, tak szybko odcięty, był głosem Brocka McGillivraya.

Matthias szybko wyszedł na pomost, zacumował łódź i pobiegł ścieżką do baru. Poza Chickiem na żerdzi, nikogo tam nie było. Pora lunchu. Ptak przechylał głowę, gdy Matthias pobiegł za bar i wszedł do kuchni.

Krio pochylony nad pieńkiem rzeźnickim wolno i dokładnie kroił cebulę, tak wolno i dokładnie, że musiał być na haju. Matthias jednak nie zaprzętał sobie tym głowy. – Gdzie jest Brock? – spytał.

– Wyjechał – odparł Krio.

– Dokąd?

Krio uniósł wzrok. Łzy spływały mu po twarzy. – Na rozmowę o pracy.

– Ale dokąd?

– Do krainy wolności – odrzekł Krio – i siedziby odwagi.

– Kiedy wyjechał?

– Wkrótce – rzekł Krio i zamykając jedno oko, równo ustawił cebulę.

– Wkrótce?!

Krio przytaknął. – Moxie zawiózł go na lotnisko. – Rozkroił cebulę.

Matthias spojrział na zegarek. 12:25. Był tylko jeden lot do Nassau – za piętnaście pierwsza. Wbiegł na podjazd przed budynkiem. Klub miał dwa dżipy i vana. Jeden z dżipów wciąż czekał na gaźnik z Nassau, a drugi wyjechał. Matthias wskoczył do vana. Kluczyk był w stacyjce. Matthias przekręcił go i ruszył drogą do Conchtown.

Lotnisko – to znaczy pas z ubitej ziemi o długości tysiąca pięciuset stóp, rękaw lotniskowy oraz domek z kasą biletową i przechowalnią bagażu – znajdowało się cztery mile od zatoki Zombie. Matthias wciskał pedał gazu do końca. Zatrzymał się gwałtownie przed domkiem, obok swojego drugiego dżipa. 12:33. Wbiegł do środka.

Było tam tylko dwoje ludzi: Moxie i pracownica Bahamasair. Całowali się nad ladą kasy.

– Gdzie jest Brock? – wyrzucił z siebie Matthias.

– Och – jęknęła urzędniczka i zmieszana zrobiła krok do tyłu.

– Gdzie jest Brock?

Pracownica pokazała palcem na niebo. Matthias wybiegł na pas startowy, by zobaczyć, jak w chmurach właśnie znika Hawker-Siddeley 748. Nie było żadnych innych samolotów, ani prywatnych, ani wyczarterowanych. Nikt nie mógł zabrać

go do Nassau. Wrócił do budynku. Kobieta była teraz sama, układała dokumenty.

– Jest dopiero za dwadzieścia pięć pierwsza – powiedział Matthias.

Urzędniczka zmrużyła oczy, spoglądając na swój zegarek. – Samolot wystartował dziś wcześniej, tylko trochę wcześniej.

To nie było nic niezwykłego. Czasami pilot był zmęczony czekaniem, czasami spieszył się na ciepły posiłek w Nassau, czasami urzędniczka mówiła mu, że już na pewno nikt się nie zjawi. Zdarzało się też, że samolot w ogóle nie przylatywał.

Matthias wyszedł na zewnątrz. Moxie stał przy vanie, kopał kamyczki. – Gdzie ma tę rozmowę kwalifikacyjną? – spytał Matthias.

– Na Florydzie – odparł Moxie, patrząc w dół.

– Na Florydzie?!

– Tak powiedział.

– Mówił coś jeszcze?

Moxie pokręcił głową. – Był na łodzi, a potem podszedł do mnie i powiedział: „Mox, zawieź mnie na lotnisko”.

– Na jakiej łodzi?

– *Two Drink*.

To jedyna łódź z radiotelefonem, pomyślał Matthias. – I zawiozłeś go bezpośrednio na lotnisko?

– Nie. Zatrzymaliśmy się najpierw przy obozowisku dla wędkarzy, żeby zabrać jego rzeczy.

– Jakie?

– Walizkę – odparł Moxie. – I resztę... – Kopnął jeden kamyczek, potem następny.

– O co chodzi, Mox?

Moxie uniósł wzrok i na krótko spojrzał Matthiasowi w oczy. Cicho, przypuszczalnie, żeby urzędniczka nie usłyszała, powiedział: – Brock mówi, że my wszyscy powinniśmy poszukać sobie nowej pracy.

– Brock się myli – odparł Matthias. Wsiadł do vana i odjechał. Niemal natychmiast pożałował, że trzasnął drzwiami.

Skierował się na północ w stronę Blufftown. Po trzech milach skręcił w poręty koleinami trakt. Jechał między karłowatymi sosnami, aż dotarł do skalistego wypiętrzenia o nazwie Żółwi Cypel, południowego krańca zatoki Zombie. Stały tam cztery domki otoczone wyginanymi przez wiatr palmami. Było to obozowisko dla wędkarzy, którego właścicielem był klub, ale znacznie starsze od reszty. Ludzie mówili, że dawno temu zatrzymał się tu Hemingway, lecz nikt sobie nie przypominał, żeby go widział. Nikt też nie wiedział, kto wymalował wyblakłe teraz



napisy na domkach: *Nick Adams, Lady Brett, Robert Jordan, Stary Człowiek*. Tylko Stary Człowiek był zajęty. To Brock mieszkał tutaj – ten domek był największy i jako jedyny miał bieżącą wodę.

Drzwi do niego pozostały lekko uchylone. Matthias pchnął je stopą i wszedł do środka. Były tam dwa pomieszczenia: sypialnia z łóżkiem, komodą, plakatem na ścianie i regulatorem na gwoździu oraz bardzo mała łazienka z sedesem i umywalką. Prysznic znajdował się na zewnątrz.

Matthias otworzył wszystkie szuflady i wyrzucił ich zawartość na podłogę. Znalazł pięć koszulek, trzy pary kąpielówek, pięć par bawełnianych szortów, sweter, płaszcz przeciwdeszczowy, dżinsy i górę od gumowego kombinezonu. Zajrzał pod nie zasłane łóżko. Nic tam nie zauważył. Zerwał prześcieradło pełne piasku – tak jak jego – i zrzucił materac na podłogę. Rama i sprężyny łóżka były zardzewiałe. Między sprężynami tkwiła kartka papieru. Był to rachunek z Plaża Hotel w Nowym Jorku ze stemplem: „Zapłacone”. Ktoś o nazwisku B. Muller mieszkał tam dwudziestego ósmego, dwudziestego dziewiątego i trzydziestego lipca poprzedniego roku. Wydał 1366, 02 dolara, wliczając w to pralnię, sprzątanie pokoju i podatek. Matthias włożył rachunek do kieszeni.

Wszedł do łazienki. Wilgotny ręcznik z logo zatoki Zombie leżał na podłodze. Podniósł go, nic pod nim nie było. Na brzegu umywalki stał pojemnik z pianką do golenia. Matthias wcisnął zamknięcie i rozległ się syk aerozolu. Spozstrzegł złamany grzebień, kawałek mydła rozpuszczający się w mydelniczce, długie białe włosy w umywalce i plamki pasty do zębów na lustrze. Odbijająca się w nim twarz była mroczna i złowieszcza.

Wziął maczetę z vana, rozciął nią materac i wyrzucił na podłogę pachnącą wilgocią podściółkę. Niczego nie znalazł.

Przez chwilę Matthias stał nieruchomo pośrodku pokoju, potem odwrócił się i zerwał plakat ze ściany. Pod nim też niczego nie było, tylko chropawe, niechlujnie pomalowane sosnowe deski.

Matthias poszedł do vana i wrócił z łomem. Zaczął wyłamywać deski z podłogi. Pracował pospiesznie. Deski pękały, a pot spływał mu po twarzy.

Wszedł do łazienki. Wyrwał zlew ze ściany, kopnięciem roztrzaskał sedes, a uderzeniem łomu rozbił lustro. Rozwalił też komodę i łóżko, a w końcu łomem wybił kilka dziur w ścianie. Deszcz zaczął padać do środka.

Jednak znów niczego nie znalazł.

Matthias wyszedł na zewnątrz. Deszcz zmył z niego pot i go ochłodził. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że trzyma w ręku łom. Wyrzucił go. Potem przeszukał inne

domki. Tym razem niczego nie rozbijał. Prawie nie dotykał mebli. I znów na nie nie natrafił.

Poszedł na sam koniec Żółtego Cypla i usiadł na wzniesieniu nad skałami. Był odpływ. Cofające się morze zostawiało za sobą zielone i brązowe wodorosty, kilka drgających meduz, łysą oponę od ciężarówki i błyszczące jeżowce w kałużach. W skalnej szczelinie Matthias dostrzegł coś jeszcze, coś czarnego, kwadratowego. Może jakąś tabliczkę, fragment deski z łodzi. Albo książkę.

Matthias zszedł po obrośniętych mchem kamieniach. Kucnął przy szczelinie. To nie była ani tabliczka, ani kawałek deski, ale album podobny do tego, jaki widział u Hewa, tylko że z przemoczoną i zniszczoną oprawą z czarnej skóry. Wziął go do ręki i otworzył na pierwszej stronie.

Znajdowało się tam luźno przyklejone do czarnego kartonu małe zdjęcie Hewa stojącego obok greckiej kolumny. Matthias nie przypominał sobie, żeby widział to zdjęcie w albumie, który pokazywał mu Hew, ale nie mógł dokładnie mu się przyjrzeć, bo porwał je wiatr, zostawiając ciemny prostokąt na kartce. Obok były podobne prostokąty. Matthias próbował odwrócić kartkę, została mu w dłoniach.

Zamknął album i zaniósł go do vana. Usiadł na przednim siedzeniu i osłonięty od wiatru i deszczu ponownie otworzył album i przejrzał go, powoli i ostrożnie oddzielając od siebie kartki. Na większości z nich znalazł tylko ciemne prostokąty albo grudki zaschniętego kleju. Ale w środku albumu, tam gdzie woda morska wyrządziła najmniej szkód, było kilka zdjęć Hewa, których nigdy dotąd nie widział: Hew na koniu, Hew grający z jakimś wąsatym mężczyzną w tryk-traka, Hew w hełmie *carabinieri*. Znalazł również pożółkłe wycinki z gazet, z kronik towarzyskich, z opisami rozrywek ludzi, o których nigdy nie słyszał.

Był jeden wyjątek: zdjęcie wycięte z *Nassau Tribüne* z 18 marca 1936 roku. Przedstawiało mężczyznę i kobietę stojących przed trapem. Było nieostre i trochę zniszczone. Matthias pewnie nie zidentyfikowałby mężczyzny, gdyby nie podpis: *W ubiegłym tygodniu doktor Hiram Standish powrócił ze studiów w Europie z niedawno poślubioną żoną Inge, córką doktora Wilhelma von Trautschke z Heidelbergu.*

Matthias przypominał sobie doktora von Trautschke z fotografii z 1934 roku wklejonej do innego albumu Hewa. Był tym arystokratą w środku. Standish stał po jednej stronie, a jakiś dobrze zbudowany mężczyzna po drugiej. Doktor Miller?

Doktor Müller.

Matthias włączył światło nad głową i przyjrzał się niewyraźnym twarzom pary młodej. Oboje mieli kapelusze. Jasne włosy Inge sływały jej na ramiona. Standish

wydawał się uśmiechać. Inge nie. Czy to była tylko jego wyobraźnia, czy może zniszczone zdjęcie wciąż promieniowało uosobieniem piękna? Matthias wpatrywał się w nie, aż w końcu zobaczył przebijający z drugiej strony druk.

Zamknął album i położył go na siedzeniu obok siebie. Uruchomił silnik i ruszył w stronę zatoki Zombie.

Godzinę później Matthias stał nad brzegiem błękitnej dziury w lesie za klubem. Była to jedna z wielu błękitnych dziur na Andros. W epoce lodowcowej, kiedy poziom oceanu był znacznie niższy, powstały jako jaskinie w nietrwałych wapieniach. Po ustąpieniu lodowców powierzchnia mórz podniosła się i woda wypełniła te puste przestrzenie. Niektórzy z rybaków z wyspy wierzyli, albo tylko tak udawali, że żyją tam monstra uzbrojone w czułki, które jedynie czyhają, by ich porwać. Matthias nie wierzył w te stwory, ale też nie nurkował w błękitnych dziurach. Oznaczało to bowiem skomplikowane wyposażenie: butle, przyrządy pomiarowe, regulatory, latarki, obciążniki... o ile się chciało zachować wszystkie środki ostrożności. A on nie lubił być skrepowany. Tak naprawdę nie cierpiał nurkowania z aparatem. Różnica między nurkowaniem z aparatem a bez niego jest taka, jak różnica między turystą a podróżnikiem.

Matthias zaczął wkładać kombinezon. Nie był do tego nurkowania odpowiednio przygotowany, ale już kiedyś był w tej błękitnej dziurze i nie zauważył tu nic szczególnego. Deszcz przestał padać i na powierzchni wody odsłoniętej przez drzewa od wiatru nie pojawiały się prawie żadne zmarszczki, a pod zachmurzonym niebem przybrała ciemną barwę. Jezioro było okrągłe i nieduże. Matthias mógłby łatwo przetrzucić nad nim kamieniem. Wciągnął maskę, włożył do ust regulator i wszedł do wody.

Nie poruszając się, szybko znalazł się na głębokości jednej stopy. W takich zagłębieniach na lądzie często na górze jest warstwa słodkiej wody o mniejszej gęstości niż słona woda poniżej. Ta warstwa była doskonale przezroczysta. Matthias widział wokół siebie szare wapienne ściany, poszarpane, zniszczone przez erozję, z wnękami dużymi jak kapliczki w kościele. Na głębokości pięćdziesięciu stóp dotarł do granicy. Nagle – jakby operator światła wcisnął jakieś guziki – woda zrobiła się czerwona i mętna. Śmierdziała siarką. Była też bardziej gęsta. Matthias zrobił przewrót i zaczął wykonywać ruchy nogami. Dwa wystarczyły, żeby przebił się przez czerwoną warstwę. Zatrzymała go słona morska woda. Mocniej pomachał nogami i popłynął w stronę ciemności.

Czerwona warstwa zatrzymywała całe światło z powierzchni. Matthias podniósł

rękę do oczu, ale nie mógł odczytać liczby; nie widział nawet głębokościomierza. Włączył latarkę: sześćdziesiąt pięć stóp. Omiótł latarką wokół siebie: zobaczył szare wapienne ściany. Skierował światło niżej: nic nie zobaczył. Andros jest jak gąbka, wchłania morze w czasie przyptywów i wypłuka je podczas odpływów; błękitne dziury są najgłębszymi otworami w tej gąbce.

Matthias płynął dalej w dół. Wciągnął do płuc powietrze i wydychał je; bąbelki gazu unosiły się w ciemnościach. Schodził powoli, ciągle oświetlając ściany. W żółtym kręgu widział tylko skały, żadnych ryb, krabów, węgorzy, żadnych form życia.

Na głębokości dziewięćdziesięciu stóp w zachodniej ścianie ukazała się jaskinia. Przypominał ją sobie. Wlot do jaskini był na tyle duży, że można było w niej stanąć. Ta jaskinia o długości dwudziestu, trzydziestu stóp niczym szczególnym się nie wyróżniała. Na sto piątej stopie natrafił na kolejny otwór, nie tak duży jak poprzedni. Tej jaskini sobie nie przypominał. Przypuszczalnie podczas wcześniejszych nurkowań dotarł tylko do tej pierwszej. Oświetlił ją latarką: była o połowę mniejsza od poprzedniej i równie pusta. Spojrzał na zegarek. Był pod wodą od dwunastu minut. Potrafił oszczędnie gospodarować tlenem, ale zapas powietrza wystarczyłby mu na kolejne piętnaście minut przy tej głębokości, mniej na niższej. Chciał uniknąć dekompresji. Zastanawiał się, co zrobić, kiedy to światło z latarki odkryło kolejne wejście do innej jaskini, tylko trochę niżej. Zszedł do niego i spojrzał na głębokościomierz: sto dwadzieścia dwie stopy.

Matthias wsunął głowę do grotu i skierował tam snop światła. Otwór, jak w innych, zwężał się i kończył na wklęsłej ścianie. Cofnął się, gotowy, by wypłynąć na powierzchnię. Potem zatrzymał się i skierował światło na tylną ścianę. Czy rzeczywiście ona jest tak jednolita?

Chyba niezupełnie. Przed nią leżała sterta kamieni. Matthias nie uważał, że to było coś niezwykłego, niemniej jednak wpłynął do jaskini.

Jej dno lekko się obniżało, lecz strop i ściany zamykały przestrzeń. Po chwili przy każdym ruchu nogami uderzał płetwami o skały. W końcu wciągnął się do jamy ręką, w drugiej trzymając latarkę. Czuł bąbelki powietrza omywające jego ciało.

Matthias dotarł do sterty kamieni i podniósł jeden. Był cięższy, niż się spodziewał, i miał dziwny kształt, jakby odpadł z kolumny. Porastał go mech. Zdrapał paznokciem trochę zielonej warstwy i oświetlił go z bliska. Kamień był taki ciężki, bo był to marmur. Różowy marmur. Matthias podniósł jeszcze kilka kamieni i przyjrzał się im. Były bardzo podobne do pierwszego. Ostrożnie, aby nie

wzburzyć wody, zaczął układać je u wylotu z jaskini. Ale kiedy z dołu wyciągnął duży kamień, wywołał małą lawinę.

Matthias szybko cofnął się do wylotu z jaskini. Poczł silny strumień wody na swojej twarzy i musiał się przytrzymać występu w ścianie. W świetle latarki woda zrobiła się mętna. Coś mocno uderzyło w jego maskę, omal nie rozbijając szkła. Potem przepływ osłabł, ale nie zupełnie, a woda zrobiła się bardziej przejrzysta. Matthias wrócił do jaskini.

Kamienie leżały teraz na dnie. W miejscu, gdzie się wcześniej znajdowały, Matthias zauważył otwór w wapiennej ścianie wielkości włazu kanalizacyjnego, może mniejszy. Podpłynął do niego i skierował strumień światła do środka. Zobaczył wąski tunel, który znikał w ciemnościach. Wcisnął się do niego na kilka stóp. Butla otarła się o skały. Zatrzymał się. Podążył wzrokiem za światłem latarki. Wciąż nie było widać końca tunelu. Zaczł zmieniać swe niechętne zdanie na temat linek bezpieczeństwa.

Potem dostrzegł jakieś rumowisko na dnie tunelu. Zaczł zbierać te przedmioty i przyglądać się im.

Kawałek zielonego szkła.

Zardzewiały gwóźdź.

Okulary z metalowymi oprawkami. Szkła były całe, ale metal mocno zardzewiały – rozsypywał się w palcach.

Matthias sprawdził ciśnienie powietrza. Tylko 550 p. s. i. Najwyższa pora wracać. Zaczł wycofywać się z tunelu. W tym momencie jego ręka musnęła coś okrągłego z uchwytem. Bez spoglądania na przedmiot wiedział, że to filiżanka albo kubek. Trzymał go w ręku cały czas, gdy wydostawał się z tunelu, a potem z jaskini.

Matthias popłynął do góry. Przeciał czerwoną warstwę i zatrzymał się w słodkiej wodzie na głębokości dziesięciu stóp. Musiał dokonać dekompresji. Woda była przejrzysta i rozświetlona. Nie potrzebował włączać latarki, że zobaczyć, co zabrał z tunelu.

Był to porcelanowy kubek do kawy, gruby i ciężki. Matthias oczyszczał go, gdy jednocześnie zużywał resztki tlenu. Kubek był biały z czerwoną obwódką wokół brzegu. Nieuszkodzony, z wyjątkiem małej szczyrby na uchu. Zwykły tani przedmiot powszechnego użytku. Nie było w nim nic interesującego, poza miejscem, gdzie został znaleziony, i czarną swastyką na boku.

Nic.

Nawet ciemności. Tylko pustka.

Potem zapiekło ją w usta i nicość stała się ciemnością. Znowu poczuła pieczenie w ustach i przed jej oczami na zmianę pojawiała się jasność i ciemność, jakby oglądała szybko zmieniające się slajdy. Potem rzutnik wyświetlił obraz Jasona. Mężczyzna był bardzo zdenerwowany, płakał, kręcił głową i powtarzał: – O mój Boże, o mój Boże. – Nina bardzo mu współczuła, dopóki ponownie nie podrażnił jej ust.

„Nie” – powiedziała, albo raczej próbowała powiedzieć. Odwróciła głowę. Czowała, jak gorący płyn spływa jej po szyi, na ramiona. Na początku był gorący, potem ciepły, a potem przestała go czuć.

– O mój Boże. Pij, Nina. Proszę, proszę, proszę.

Opadły jej powieki. Ważyły chyba tysiące funtów, tak że nikt nie byłby w stanie ich otworzyć. Pojawił się zapach kawy, potem znikł.

Spojrzała w dół długiego tunelu i na jego końcu zobaczyła błyskającą ciemność i jasność. Ciemność, jasność. Ciemność, jasność.

Potem znowu tylko ciemność. A po niej nicość. Jest ogromna różnica między ciemnością a nicością – jak różnica między życiem a śmiercią.

Zanurzyła się w nicości. Było to łatwe. Do zaakceptowania.

Jednak do jej ust dostał się palec. Dotknął jej podniebienia, dotarł do gardła. Próbowała uciec od niego, ale nie potrafiła. Palec drażnił jej gardło. Zebrało się jej na wymioty. – Rzygaj, Nina. Wyrzygaj wszystko.

Palec dalej ją drażnił. Zaczęła wymiotować. – Dobra dziewczynka. Dobra.

Ręce objęły jej ciało. – Wstawaj. Pochodzimy.

„Nie” – powiedziała, albo raczej próbowała powiedzieć.

Palce na tyle silne, by unieść tysiące funtów, otworzyły jej powieki. Zobaczyła, że załzawione oczy Jasona wypełnia przerażenie. – Chodź.

„Nie. ”

– Możesz mówić?

„Nie. ”

– A wydobyć z siebie jakiś dźwięk?

„Nie. ”

– No chodź. – Jason postawił ją na nogi. – Ruszaj. – Skuliła się. Podtrzymał ją.

– Idź.

„Nie. ”

Prowadził ją po pokoju, w tył i w przód.

„Nie, nie, nie. ”

– Do cholery, Nina. Otwórz oczy. Idź. Powiedz coś. O mój Boże. Co jest, Nina? Nina znów zwymiotowała. Wprost na niego.

Ptasznik miał wspaniałe czerwone upierzenie i okulary w rogowych oprawkach. Szybował nad dżunglą z niebieskim zawiniątkiem w szponach. Wyciągnęła głowę, żeby zobaczyć, co to jest. Od razu zaczęła wzbijać się w powietrze, aż zrobiła błąd w locie i zerknęła na zieloną powierzchnię na dole. Natychmiast zaczęła spadać, kręcąc się wokół własnej osi.

– Siostró! Ona chyba się budzi.

Nina otworzyła oczy. Była w sali szpitalnej, daleko od dziewiczego lasu.

– Siostró, ma otwarte oczy.

Oślepiające światło zaświeciło w jedno jej oko, potem następne. Zamrugowała powiekami kilka razy. Zobaczyła dwie twarze. Mogła dostrzec na nich każdy włos, pieprzyk, por w skórze. Jedna twarz miała szorstką i suchą skórę. Ta była pielęgniarki. Natomiast druga – gładką, delikatną. Jasona.

– Nina – odezwał się Jason. – Słyszysz mnie?

– Tak.

– Jak się czujesz?

Miała sucho w ustach, sztywny język. Próbowwała przełknąć ślinę. – Gówniano – mruknęła.

– Ale przynajmniej... – Jason przerwał. Wymienił spojrzenie z pielęgniarką, spojrzenie, które Ninie się nie spodobało.

– O co chodzi? Coś ze mną nie tak? – Próbowwała usiąść, ale nie mogła. Jej mięśnie były zwiotczałe i słabe. To był jeden powód, że nie mogła się podnieść. Drugi – była przywiązana do łóżka skórzanymi pasami. – Co, do diabła, się dzieje?

– To środek bezpieczeństwa – rzekł Jason. – Na wypadek, gdyby nie było nikogo, kiedy się obudzisz.

– Środek bezpieczeństwa?! Przed czym ma mnie chronić?

– Cóż – westchnął Jason, nie patrząc jej w oczy. – Właściwie przed niczym. Chodzi o to, żebyś czuła się całkowicie bezpieczna.

– Jason, o czym ty mówisz? – Nina chciała unieść głos, ale powstrzymała się, gdy poczuła ból w gardle.

– Jest pani na obserwacji po próbie samobójczej.

Nina wrzasnęła. Krzyk przedarł się jej przez gardło. Pochodził, nawet w jej uszach, z krańców emocji, był taki sam jak z ust szaleńców krążących po ulicach, których należało czasami krępować. Jednak ta myśl nie powstrzymała jej przed kolejnym skowytem. Rzuciła się na łóżku, znów próbowała wstać. Bez efektów.

– O Boże, Nina, proszę. – Jason położył dłoń na jej ramieniu. Chciała się wyrwać z uścisku. – Proszę – powtórzył Jason.

Nina przestała się wykręcać, zmuszała się, by uspokoić swoje ciało. Leżała spokojnie bardzo długo – jak się zdawało – ale przypuszczalnie nie dłużej niż pół minuty. Potem wzięła głęboki oddech i powiedziała łagodnym tonem: – Rozwiążcie mnie.

Jason odwrócił się do pielęgniarki. – Nie mogę – stwierdziła.

– Dlaczego nie? – spytała Nina, znów zaczynając tracić panowanie nad swoim głosem.

– Już pani mówiłam – odparła pielęgniarka, przypuszczalnie zmęczona sytuacją – że jest pani na obserwacji po próbie samobójczej. A może pani nie pamięta, że zjadła pani całą buteleczkę seconalu?

– Seconalu? Nie wzięłam ani jednej pieprzonej... – Nina przerwała w połowie zdania.

– Na dole wypompowaliśmy wszystko z pani – powiedziała pielęgniarka tylko trochę łagodniej.

– Ja... ja nie... – Wszystko zaczęło się jej przypominać: list w jej maszynie, jej podpis, pokryta plamami wątrobowymi ręka. – Nie zrobiłam tego – rzekła.

– Faza zaprzeczania, co? – spytała pielęgniarka.

– Musiała pani kończyć tę samą szkołę co Hal Palmeteen – Co to ma znaczyć? – zapytała pielęgniarka.

– Nina – wtrącił Jason – o czym ty mówisz?

– Mówię, że ktoś mi to zrobił.

– Kto?

Nina nie miała odpowiedzi. Jason i pielęgniarka znów popatrzyli po sobie. Nina wiedziała, że pielęgniarka jej nie wierzy. Diagnoza pielęgniarki była prosta: ktoś, kto tak się zachowuje i przerzuca swoje problemy na innych, jest paranoikiem. To bolało, ale bardziej czuła się upokorzona tym, że najwyraźniej Jason też jej nie wierzył. Był zmartwiony, współczuł jej, ale jej nie wierzył. Nina zaczęła płakać. Płakała, jak nigdy dotąd. Był to lament, który towarzyszy złym emocjom: wściekłości, goryczy, rozczulaniu się nad sobą. W tym płaczu nie było nic



szlachetnego, nic wzbudzającego współczucie. Wyrażał prymitywne, niekontrolowane cierpienie kobiety.

– Nina, proszę. Proszę...

– Odejdź – wrzasnęła Nina. – Po prostu odejdź.

– Nina, ja...

– Odejdź!

– Nie mogę patrzeć, jak cierpisz.

– Idź!

Wyszli. Szloch Niny powoli przeszedł w pojedyncze spazmy jak u dziecka.

Jak dziecko poczuła się zmęczona.

Później zasnęła.

Nic jej się nie przyśniło, dopiero pod koniec zobaczyła trzepoczące czerwone skrzydła. Ptasznik wracał ze swoim niebieskim pakunkiem. Nina otworzyła oczy, zanim przybył.

Jason wyszedł. Tak samo pielęgniarka. Zastąpiła ich dobrze zbudowana kobieta z przyprószonymi siwizną włosami i świeżą opalenizną. Kobieta przypominała Ninie kogoś, kogo widziała w przeszłości, ale teraz ta osoba wydawała się bardziej wypoczęta i zrelaksowana niż wcześniej. Chyba tylko dlatego, że znów znalazły się w takiej samej sytuacji: Nina w szpitalnym łóżku, kobieta na krześle obok niego. Nina rozpoznała swojego gościa: detektyw Delgado z nowojorskiej policji.

– Wróciła pani – rzekła Nina.

– Tak.

– Z opalenizną.

– Byłam w Cancun.

Umysł Niny zaczynał pracować. Wypowiedziała pierwszą myśl, która przyszła jej do głowy. – Znaleźliście go?

– Kogo?

– Mojego syna.

– Niestety. Nie znaleźliśmy. – Detektyw Delgado obserwowała ją uważnie. Białka oczu detektyw były białe, znikły też sińce. – Nie wygląda pani dobrze – stwierdziła detektyw Delgado.

– Czuję się świetnie. – Nina zaczęła się podnosić, ale powstrzymały ją pasy. – Do cholery, po co oni to zrobili?

– Żeby panią chronić. I siebie, przed odpowiedzialnością.

– A kto by ich oskarżył, gdybym wyskoczyła przez okno? Mój duch?

Detektyw Delgado nie uśmiechnęła się. Jej twarz lekko się zapadła. Cancun

szybko się od niej oddalał, niczym kolejna galaktyka w ekspandującym wszechświecie. – To rutynowe – rzekła.

– Ale ja nie próbowałam popełnić samobójstwa.

– Tak też twierdzi pani partner. Właśnie dlatego tu jestem.

– Jason dzwonił do pani?

Detektyw Delgado wyjęła notatnik i wyciągnęła długopis zza ucha. – Tak. – Przerzuciła kartki. – To pani partner w biznesie?

– Zgadza się.

Detektyw Delgado omiotła wzrokiem stronę w notesie. – Jason – powiedziała – przyjechał do pani z jakimś jedzeniem. Kiedy pani nie otwierała, zaniepokoił się i próbował znaleźć portiera, aż w końcu wyważył drzwi do pani mieszkania. Pani leżała na podłodze. Na stole znalazł list i pustą buteleczkę po tabletkach. Wtedy zadzwonił pod dziewięćset jedenaście. To on również wywołał u pani wymioty, dzięki czemu pani przypuszczalnie przeżyła.

– Jason wyważył drzwi?

Delgado odwróciła kartkę. – Tak naprawdę to tylko wyłamał zamek. To wystarczyło. – Delgado wzięła metalowy pojemnik na dowody, otworzyła go i podeszła do łóżka. Wyciągnęła z niego kartkę papieru firmowego Kitchener & Best. *Me mogę żyć bez mojego kochanego dziecka. Bardzo proszę, nie myślcie o mnie źle* – przeczytała Nina.

– Czy to pani papier firmowy?

– Tak.

– Pani podpis?

– Tak. Ale nie ja napisałam ten list i nie ja go podpisałam.

– A kto?

– Nie wiem.

Delgado sięgnęła do pojemnika i wydobyła z niego pustą brązową buteleczkę po lekarstwie. Na naklejce było napisane: *Seconal. 100 mg x 36*. – To stało na pani stole. Czy to pani?

– Nie wiem.

– Nie trzymała pani w swojej apteczce seconalu?

– Tak, ale wzięłam tylko jedną tabletkę i to nie tego wieczoru.

– Zatem jak pozostałe trzydzieści pięć tabletek znalazło się w pani żołądku?

Nina nie odpowiedziała od razu. Słuchała dźwięków dobiegających z korytarza: pisku wózków, mężczyzny podśpiewującego jakąś melodię. Potem zapadła cisza i Nina powiedziała: – Ktoś próbował mnie zabić.

– Kto? – spytała detektyw Delgado.

– Nie wiem kto. Widziałam tylko jego dłoń.

– Dlaczego powiedziała pani *jego*?

– Bo to była duża dłoń, stara, z wyraźnymi żyłami.

– Niektóre kobiety też mają duże ręce.

– Tak, ale...

– Co ale?

– Myślę, że widziałam tę dłoń już wcześniej. Tego samego dnia. Takie dłonie miał ten mężczyzna, stary mężczyzna. Ale silnie zbudowany.

– Jaki mężczyzna?

– Rzeczoznawca.

– Jaki rzeczoznawca?

– Nie przypominam sobie jego nazwiska. Nie wiem nawet, czy się przedstawił.

– Więc dlaczego nazywa go pani rzeczoznawcą?

– Bo tak powiedział.

Detektyw Delgado potarła czoło. Kiedy przestała, pojawiły się na nim dwie pionowe linie, których nie było, kiedy Nina otworzyła oczy, ale które przypominała sobie z ich pierwszego spotkania. – Co oceniał? I gdzie?

– W Dedham – odparła Nina.

– W Dedham?

– To przedmieście Bostonu. Około...

– Wiem, gdzie jest Dedham – przerwała jej Delgado. – Co pani tam robiła?

Nina opowiedziała jej o Laurze Bain, o Clei w wózekczku w ogrodzie, o Cambridge Reproductive Research Center, który stał się teraz sklepem z elektroniką, o ostatniej rozmowie z Laurą pełną nadziei, o liście pożegnalnym Laury, o jej seconalu. Wspomniała też o pośredniczce w handlu nieruchomościami i rzeczoznawcy w domu Laury.

Detektyw Delgado cały czas uważnie się jej przypatrywała. Białka jej oczu nie były już idealnie białe. Długo milczała, kiedy Nina skończyła. Potem spytała: – Też Seconal?

– Tak. To podejrzane, prawda?

– Tylko w jeden sposób można to wyjaśnić.

– To znaczy?

– Teraz nie używa się seconalu. Przynajmniej jako tabletek nasennych. Łatwo go przedawkować. Są bezpieczniejsze środki.

– Więc?

– Pani znajoma zostawiła list i pani zostawiła list. Ona brała Seconal, pani brała Seconal.

– Nie nadążam za pani rozumowaniem.

Delgado otworzyła usta, ale nic nie powiedziała.

– Proszę mówić.

– Nie chciałabym pani wpędzać w jeszcze większą depresję. Już I tak jest pani ciężko. – Delgado sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła z niej paczkę marlboro. – Czy mogę tu zapalić?

– Nie wiem. A gdzie jesteśmy?

Delgado parsknęła śmiechem. – Cholera – mruknęła. Zapaliła papierosa, zaciągnęła się mocno i powoli wypuściła dym. – Pierwszy porządny papieros od momentu, kiedy wyleciałam z Nowego Jorku.

– Wciąż mi pani nie powiedziała, do czego pani zmierza.

Delgado znów się zaciągnęła. – Mówię, że to by było zrozumiałe w pani przypadku.

– Co?

– Proszę mnie nie zmuszać, żebym to powiedziała.

– Niech pani mówi.

– Dobrze. Czy słyszała pani o samobójstwach wzorowanych na innych? Jedno pociąga za sobą następne.

– Ale już pani mówiłam, że nie brałam tych tabletek, że nie pisałam tego listu. – Nina mówiła uniesionym głosem, chciała się też podnieść na łóżku, ale powstrzymały ją pasy.

– Niemniej jednak...

– Jakie niemniej jednak? Co to ma znaczyć?

– Znaczy to, że niedawno rodziła pani dziecko. Cała pani gospodarka hormonalna została zaburzona. Potem nastąpiło porwanie, co zrujnowało pani psychikę. A na koniec, na pani nieszczęście, spotkała się pani z tą kobietą z Bostonu. Wzmacniałyście swoje niepokoje. Identyfikowałyście się ze sobą. Wmawiałyście sobie, że jesteście do siebie podobne. Potem ona robi to, co robi... i pani idzie w jej ślady. – Delgado przerwała, czekała, żeby Nina coś powiedziała.

Nina spytała: – Ma pani penisa pod swoim płaszczem?

Detektyw Delgado zaczerwieniła się. – Jest pani w złej kondycji psychicznej – rzekła. – I bardzo pani współczuję. Ale teraz pani mówi jak jakaś dziwka.

– Może. Ale nie chcę słuchać od pani o jakichś tam hormonach. Delgado zaciągnęła się po raz ostatni, potem rzuciła niedopałek na podłogę i zdusiła go

obcasem. – W porządku – rzekła. – To może bzdury. Niech pani opowie o tym rzeczoznawcy.

– Już wszystko powiedziałam.

– Dla kogo pracuje?

Nina zastanowiła się. Podał nazwę firmy prawniczej. A może zrobiła to ta pośredniczka? Usiłowała sobie przypomnieć. Mullin... ktoś tam... i jeszcze ktoś?

– Nie pamiętam, ale ta kobieta od nieruchomości będzie wiedziała. Mam jej wizytówkę w torebce. – Rozejrzała się po pokoju. – Gdzie jest moja torebka?

– Nie wiem.

– Czy może pani przeszukać moje mieszkanie?

– Tak – odparła detektyw Delgado. Ciężko wstała, jej grube nogi napięły szwy na spodniach. Worki pod oczami obwisły. Wyglądała staro. – Mogę to zrobić.

– Może pani też powiedzieć, żeby mnie rozwiązali? Przecież pani wie, że nie jestem narażona na ryzyko popełnienia samobójstwa.

– Skąd mam to wiedzieć?

– Bo się nie poddałam. I nie poddam się. Nigdy.

Detektyw Delgado spojrzała na nią. – Zobaczę, co da się zrobić – powiedziała.

Delgado wyszła. Nina pomyślała: A jeżeli go nie odzyskam i się poddam, jakie będzie ryzyko popełnienia przeze mnie samobójstwa? „Nigdy” jest tylko słowem. Nina wciąż rozmyślała, gdy do pokoju weszła Salowa. Odpięła pasy. Mężczyzna ze stetoskopem na szyi obserwował wszystko, stojąc w drzwiach.

– Dobrze się pani czuje?

– Świetnie.

– Proszę sobie ze mnie nie żartować.

– Postaram się – odparła Nina.

Zmarszczył czoło, ale dostał informację o telefonie i wyszedł. Salowa podążyła za nim. Nina wstała. Odkryła, że jej nogi zapomniały, jak się chodzi. Z trudem doczłapała do okna i chwyciła się parapetu. Z okna rozciągał się widok na mur zniszczony przez zanieczyszczone powietrze. Przez dłuższy czas bezmyślnie patrzyła na niego. Prawie się wyłączyła. Potem uświadomiła sobie, że już nie podąża za Laurą Bain w maszynie czasu. Ścieżka Laury prowadziła do śmierci, podczas gdy ona uniknęła tragicznego końca. To oznacza, że ma szansę. Teraz już pewnym krokiem wyszła na korytarz w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia.

Kiedy już najedzona i ubrana siedziała na brzegu łóżka, wróciła Delgado.

– No proszę, proszę – powiedziała detektyw.

– Ma pani? – spytała Nina, wstając z łóżka.

– Mam. – Delgado podała jej torebkę.

Nina zajrzała do środka. Czegoś brakowało. Nie wizytówki pośredniczki, ta była w zamkniętej kieszonce. Musiało upłynąć trochę czasu, zanim Nina domyśliła się, co znikło: list pożegnalny Laury.

– Coś nie tak? – spytała Delgado.

– Nie. – Nina wybrała numer do pośredniczki.

Kobieta odebrała po pierwszym dzwonku.

– Pewnie, że panią pamiętam – powiedziała, kiedy Nina zaczęła mówić, kim jest. – Nie chciałabym pani poganiać, ale powinna się pani pospieszyć i złożyć ofertę. Poważną. Już poza panią pojawiło się dwóch zainteresowanych nabywców.

– Zanim złożę ofertę – odparła Nina – chciałabym porozmawiać z kimś z firmy prawniczej.

– Jakiej firmy prawniczej?

– Tej, o której pani wspomniała. Działającej w imieniu sprzedawcy.

– O czym chce pani z nimi rozmawiać?

– O raporcie rzeczoznawcy.

– Mianowicie?

Nina czuła na sobie spojrzenie Delgado, kiedy dopowiadała: – Martwi mnie trochę ten wiąz.

– Jaki wiąz?

– W ogrodzie. Według mnie nie wygląda za zdrowe drzewo. Jeżeli ma tę holenderską chorobę, chciałabym wcześniej o tym wiedzieć. Może trzeba będzie je usunąć, żeby uchronić się przed roszczeniami ze strony sąsiadów.

– Roszczeniami?

– No tak. Drzewo może zarażać inne. Ale to wcale nie zmniejsza mojego zainteresowania tym domem. Chcę po prostu wiedzieć.

Nastąpiła chwila ciszy. – Rozumiem – rzekła pośredniczka.

– Więc gdyby mogła pani podać numer telefonu tej firmy... Mullin i coś tam, prawda?

– Mullins, Smithson i O’Leary. W Newton Center. – Kolejna przerwa. – Myślę, że to ten – powiedziała kobieta, podając jej numer. Nina zapisała go. Znow czuła spojrzenie Delgado na sobie. – Ale proszę nie zwlekać. To wspinała okazja.

– Na pewno. Dzięki.

– Chwileczkę – wtrąciła pośredniczka. – Jak się mogę z panią skontaktować?

– Teraz jestem poza miastem – odparła Nina. – Zadzwoń do pani.

– Ale...

Nina rozłączyła rozmowę i odwróciła się do detektyw Delgado, która lekko się uśmiechała. Między zębami tkwiło jej coś zielonego. – Nieżle pani kłamie – stwierdziła. – A tutaj mogę być ekspertem.

– Jestem typową kobietą interesu.

Delgado wybuchła śmiechem. Nina też by się roześmiała, ale już wykręcała numer do Mullins, Smithson i O’Leary. Recepcjonistka połączyła ją z sekretarką, sekretarka z praktykantem, a ten dopiero z panem O’Learym.

– Rzeczoznawca? – zdziwił się. Mówił z irlandzkim akcentem.

– Który wyceniał wartość domu Laury Bain. Ona była moją koleżanką. Pomyślałam, że to może wy zajmujecie się tą nieruchomością.

– Zgadza się. Ale w ubiegłym roku dokonano gruntownego remontu tego domu, a poza tym w tamtych stronach przeprowadzamy wiele operacji.

– Nie rozumiem.

– Co tam wyceniać? W Dedham co do centa znamy wartość każdej nieruchomości. Po co tracić pieniądze.

– To znaczy, że nie wynajęliście rzeczoznawcy?

Cisza. – Przepraszam, jak pani nazwisko? – Nina podała je. – Pani Kitchener, czy kwestionuje pani naszą wiarygodność? Jeżeli tak...

– Wcale nie, panie O’Leary. Jestem pewna, że wszystko jest w porządku. Chcę tylko wiedzieć, czy zatrudniliście rzeczoznawcę.

– Po co?

– Moja przyjaciółka chce sprzedać dom. Pytała mnie, czy nie mogłabym kogoś jej polecić.

– Nie udzielamy takich informacji. A odpowiedź na pani pytanie brzmi: nie. Nie zatrudniliśmy rzeczoznawcy. A teraz proszę wybaczyć... – Rozłączył rozmowę.

Detektyw Delgado już się nie uśmiechała. – Nie było żadnego rzeczoznawcy?

– Tak mówi. Ale w tym domu był ten mężczyzna, mężczyzna z dużymi dłońmi, takimi samymi jak... – Zawiesiła głos. – Pani mi nie wierzy?

– Jest pani kobietą interesu... sama pani to mówiła.

– Powiem prosto. W domu Laury był jakiś mężczyzna – rzekła Nina. – I nie tylko ja go widziałam...

Zadzwoniła znowu do pośredniczki, ale włączyła się automatyczna sekretarka. Kiedy rozległy się takty *V Symfonii* Beethovena, Nina trzasnęła słuchawką.

Nina i Delgado popatrzyły po sobie. Nina wiedziała, co Delgado o niej pomyślała: to kobieta, która utraciła równowagę psychiczną. Być może widziała

jakiegoś mężczyznę, którego nie powinno być w tym domu, przypuszczalnie złodzieja, i wyobraziła go sobie, kiedy próbowała popełnić samobójstwo. Albo wymyśliła go, żeby się bronić, gdy obudziła się po nieudanej próbie samobójczej.

Szukała czegoś, co by zmieniło zdanie Delgado, ale nie znalazła. Powoli usiadła na łóżku.

– No dobrze – rzekła Delgado. – Niech pani da mi jej numer.

Nina podała jej wizytówkę pośredniczki. Delgado przepisała numer. – Będziemy w kontakcie – powiedziała i wyszła.

Nina pozostała na łóżku. Przypomniała sobie piosenkę o pogłębiającej się paranoi. Powtarzała ją w myślach, aż przestała słyszeć odgłos wózków z jedzeniem na korytarzu, rozmów, szybkich kroków. Potem do pokoju wpadła Suze.

– Och, Nina. Wszystko w porządku? – Mocno objęła Ninę, przytuliła ją, siadła na łóżku i zaczęła ją kołysać. – Nie powinnam jechać do tego Los Angeles – orzekła.

– Nie wygłupiaj się.

– Możesz o tym rozmawiać?

– Mogę, ale nikt nie chce mi wierzyć.

– Mów.

Nina mówiła. Opowiedziała Suze wszystko. Na twarzy Suze malowały się różne emocje, ale nie było wśród nich niedowierzania. – Chyba mi wierzysz – powiedziała na koniec Nina.

– Oczywiście, że ci wierzę.

– Więc jak to wszystko wyjaśnić?

– Nie mam pojęcia. Powinniśmy jeszcze raz to dokładnie przemyśleć, od początku do końca. Ale najpierw musisz się stąd wydostać.

Wydostanie się ze szpitala nie było takie proste. Wymagało kilku godzin wyczekiwania, podpisania wielu formularzy i trzech głośnych kłótni, wszystkich wygranych przez Suze. W walce ze szpitalną biurokracją pomogły jej nastroszone włosy, ciężka dźwięcząca biżuteria i używanie takich słów, jak: adwokat, odpowiedzialność prawna, sąd i proces. W końcu triumfalnie weszła z Niną do windy i wcisnęła przycisk, jakby to było oko dyrektora szpitala. Wyszły na ulicę.

Przez całą drogę do domu śmiały się, ale kiedy płacili kierowcy, nastrój Niny się zmienił.

– Nie mogę tu zostać.

– Racja – przytaknęła Suze. – Pojedziemy do mnie.

– Co robimy, drogie panie? – spytał taksówkarz.



– Niech pan czeka – odparła Suze, zabierając dziesięciodolarowy banknot z zasięgu ręki taksówkarza.

Idąc do mieszkania Niny, natknęły się na wychodzącego z budynku Julesa. Był bez uniformu. – Miała pani rację, pani Kitchener – powiedział.

– W związku z czym?

– Wylali mnie. Za pijaństwo. To niesprawiedliwe. Bo potrafię nie pić. – Jednak teraz był już podpity.

– Kiedy ostatnio pana widziałam, nie był pan w najlepszej formie.

– To dlatego mnie zwolnili. Pomylili się. To nie alkohol, rozchorowałem się. – Nina nic nie powiedziała. Jules podszedł bliżej. Cuchnął alkoholem. – Wypiłem wtedy tylko jednego. Przysięgam. Jakiś starszy facet dał mi butelkę. Wypiłem tylko jeden łyk. To wszystko. Może dwa. I rozchorowałem się.

– Jaki starszy facet?

– Taki duży, stary, z białymi włosami. Przyszedł z ulicy. Powiedział, że to taki prezent na święta od jednego z mieszkańców.

– Wpuścił go pan do środka?

– Nie. Nie chciał wejść. Dał mi tylko butelkę i poszedł sobie.

– I potem pan ją wypił?

– Tylko łyk, jak już mówiłem.

– I zrobiło się panu niedobrze?

– Strasznie niedobrze. Padłem za biurkiem.

– Na jak długo?

– Chyba nie na długo.

– Byłem na nogach, kiedy pani wróciła, prawda?

– Więc ktoś mógł wejść do budynku, jak pan spał.

Jules spojrział na Ninę, na Suze, a potem w bok. – Jezu, a myślałem, że pani jest po mojej stronie, po stronie małego biednego człowieka... – Przeszedł przez drzwi, zrobił kilka kroków chodnikiem, ale zmienił zdanie, obrócił się i poszedł w innym kierunku.

W mieszkaniu Niny ekipa sprzątająca zrobiła swoje. Sprzątaczkę wytarły wymiociny, poustawiały meble. Nina wrzuciła kilka ubrań do walizki i wychodząc, zajrzała do pokoju dziecinnego. Sprzątaczkę wrzuciły wszystkie pluszowe zwierzątka do łóżeczka. Nina zaczęła je ustawiać. Długo dotykała lwa, polarnego misia, Kubusia Puchatka. Pochylała się nad łóżeczkiem, aż straciła poczucie czasu.

– Nina, chodźmy – powiedziała delikatnie stojąca w drzwiach Suze.

Wyszły z mieszkania.

W holu Nina zajrzała jeszcze do skrzynki pocztowej. Było tam ostatnie wydanie czasopisma *Bicycle*, dwa formularze na karty kredytowe, kupony z *Gerber* oraz list od Laury Bain wysłany w dniu jej śmierci. Nina natychmiast otworzyła kopertę. Kiedy czytała list, Suze zaglądała jej nad ramieniem.

Droga Nino!

Dzwoniłam do Ciebie wieczorem, ale domyślałam się, że nie było Cię jeszcze w domu. Na wypadek, gdybyśmy nie skontaktowały się w ciągu dwóch najbliższych dni – mam teraz urwanie głowy przed wyjazdem do Accry – piszę do Ciebie ten list, żeby powiedzieć, jak bardzo się cieszę z naszego spotkania. Naprawdę natchnęłaś mnie ogromną nadzieją, jesteś tak silną osobą.

Nie udało mi się jeszcze porozmawiać z moim ginekologiem. Jest na wakacjach. Tymczasem spróbuję dotrzeć do lekarza z Reproductive Research Center. Do doktora Crossmana. To trochę przerażający człowiek. Bez przerwy wypytywał mnie, czy nie jestem po części Żydówką. Musiałam narysować mu moje drzewo genealogiczne, żeby wykazać, że nie jestem. To miało być ważne ze względu na chorobę Tay-Sachsa. Chciałabym mieć ten wydruk. Na razie przypominałam sobie jedną informację o dawcy. Był leworęczny. Na samym początku zwróciłam na to uwagę, bo sama jestem leworęczna.

Pomyślałam sobie o czymś jeszcze. Czy dowiedziałaś się dokładnie, co było nie tak z twoim telefonem w szpitalu? Sądzę, że warto byłoby to sprawdzić.

Muszę kończyć, bo w tym momencie mrugają przede mną trzy telefony. Poza tym mówi się o przewrocie w Nigerii, gdzie prowadzimy duże interesy... Porozmawiamy wkrótce.

Pozdrawiam,  
Laura

– I ona popełniła samobójstwo? – spytała Suze. Musiała powtórzyć pytanie, bo Nina wpatrywała się w słowa na środku strony: *Do doktora Crossmana. Trochę przerażający człowiek.*

– Seconal. Tak jak ja – odparła Nina. Spojrzała na kopertę. – Przypuszczalnie zażyła go, zanim na tym znaczku przybito stempel.

– Jej nastrój musiał się wyjątkowo szybko zmienić.

– Tak.

Wsiadły do taksówki. – Dokąd teraz? – spytał taksówkarz.

– Mój dawca też był leworęczny – rzekła Nina.

- Tak? – zdziwiła się Suze.
- To oznacza, że Laura pod jednym względem miała rację.
- Jakim?
- Musimy znaleźć ojca. Tak jakby to była sprawa opieki nad dzieckiem.
- Myślisz, że obie miałyście tego samego dawcę?
- Dlaczego nie? Lekarz też był ten sam.
- Licznik bije – wtrącił taksówkarz.
- Human Fertility Institute – rzuciła Nina i powiedziała mu, gdzie to jest.

Tutaj? – spytał taksówkarz, zatrzymując się przy chodniku piętnaście minut później.

Nina oderwała wzrok od listu Laury. Byli na Upper East Side, na właściwej ulicy, na właściwej przecznicy. Dopiero gdy wysiadła z taksówki, zauważyła, że instytut znikł. W miejscu marmurowego pałacu znajdowała się wypełniona gruzem dziura w ziemi. W środku niej stał buldożer. Przed pulpitem siedział mężczyzna w ocieplanej kurtce w kratę i jadł kanapkę. Nina podbiegła do ogrodzenia przy dziurze.

– Co się tu dzieje? – wrzasnęła.

Operator buldożera uniósł wzrok. – Przerwa śniadaniowa.

– Pytam się, co się stało z Human Fertility Institute.

– Nie wiem – odparł mężczyzna. – Może Trump albo Zeckendorf kupili ten teren.

– Ale to był zabytek.

– Pewnie przestał być zabytkiem – odparł operator. – To dlatego Ameryka jest wielka. – Wyrzucił resztki kanapki i ruszył buldożerem po gruzowisku.

Suze, ty całkiem dobrze wyglądasz – powiedziała Nina, gdy szły po schodach do jej mieszkania.

– Naprawdę?

– Tak. Jak tam sprawy z Rzeźniczką?

– Mindy? Jest świrnięta.

– Rzeźniczką ma na imię Mindy?

– Mindy Sue Lubke. Jednego wieczoru pobiła bramkarza w lokalu. Jest tak napompowana sterydami, że nie wie, co robi. Ale będzie gwiazdą.

– W tych barbarzyńskich filmach?

– To na początek. Ma zagrać główną rolę w biograficznym filmie *Ma Barker*.

– A ty jesteś jej agentką?

– Na Boga, nie – odparła Suze, otwierając drzwi – ona jest niebezpieczną wariatką.

– Jednak mimo wszystko dobrze wyglądasz!

To była uwaga nieczytelna dla innych, ale zrozumiała dla Suze. Uśmiechnęła się i nic nie powiedziała. Weszły do jej mieszkania.

Mieszkanie Suze zajmowało całe najwyższe piętro przebudowanego magazynu. Znajdowało się kilka przecznic od jej galerii. Gdyby nie żeliwne podpory sufitu można by tu grać w polo w deszczowe dni albo organizować połączone posiedzenia Izby Reprezentantów i Senatu. Podłoga z sosnowych desek niosła odgłos kroków.

– Nie ma to jak w domu – stwierdziła Suze.

Mieszkanie Suze miało wydzieloną przestrzeń na kuchnię, stół, kanapę, krzesło, biurko, telefon, dywan i trochę dalej łóżko królewskich rozmiarów, szklaną kabinę prysznicową i toaletę częściowo ukrytą za niską metalową ścianką wygrzebaną ze starego francuskiego szałetu.

– Co to? – spytała Nina, pokazując na metalowych ludzi za drutem kolczastym w końcu pokoju.

– Auschwitz Cadillac – odparła Suze. – Na magazynie.

– Nie sprzedał się?

– Mieliśmy kilka ofert, ale nas nie zadowalały.

– A ile chcieliście?

– Siedemdziesiąt pięć tysięcy. Ale dostaniemy więcej, jak pokażemy to, nad

czym on teraz pracuje.

– A nad czym?

– To się nazywa tortura roślin. Wstrząśnie to światem artystycznym. On jest prekursorem sztuki eko-instalacyjnej.

Nina podeszła do instalacji. Nie mogła zrozumieć, jak drut kolczasty, choć pomalowany na różowo, mógł pochodzić z eldorado model 1957. Ale baraki były zrobione z różowych zderzaków i drzwi, więźniów wykonano z kołpaków, ich oczy z migaczy, pasiaki z tapicerki.

– Te oczy świecą. Chcesz, żebym je włączyła? – spytała Suze.

– Nie – odparła Nina, lekko dotykając palcem drutu kolczastego. Co artysta chciał przez to powiedzieć? Ze wszyscy jesteśmy w jakiś sposób odpowiedzialni za Auschwitz? Oskarża koncerny z Detroit o współpracę? Twierdzi, że żyjemy w kulturze konsumpcyjnej, w której wszystko jest na sprzedaż? A może pokazuje tylko, że z odpadków można wykonać dzieło sztuki, jak zrobił to Picasso, przemieniając rower w byka?

– Nina?

– Co?

– Wyglądasz na zmęczoną.

– Nie jestem.

– Może się położysz?

– Muszę raczej przeprowadzić kilka rozmów telefonicznych.

– Jakich? Zrobię to za ciebie.

– Z doktorem Crossmanem. I muszę dowiedzieć się o tym telefonie w szpitalu.

– Połóż się. Wszystkim się zajmę.

– Nie, ja sama...

– Chodź. – Suze chwyciła ją za rękę i zaprowadziła do łóżka stojącego blisko instalacji z cadillaca. – Zaufaj mi. – Delikatnie położyła ją do łóżka i przykryła kołdrą.

Nina słyszała, jak Suze idzie na drugi koniec mieszkania, wykręca numer i cicho rozmawia. Na zewnątrz zapadał zmrok. Pochłaniał wszystkie barwy z cadillaca, pogrążał go w cieniu. Pozbawiona światła instalacja zbliżyła się do granicy między sztuką a rzeczywistością. Nina zamknęła oczy.

Trochę później Suze położyła się w łóżku obok niej. – Suze?

– Obudziłaś się?

– Tak.

– Dobrze się czujesz?

– Dobrze. Dowiedziałaś się czegoś?

Suze westchnęła. – Numer do gabinetu doktora Crossmana jest taki sam jak numer Humań Fertility Institute. Nie odpowiada. Nigdzie w informacji nie ma numeru domowego doktora. Próbowałam na wszystkich przedmieściach, na Long Island, w Jersey, w Connecticut. Zadzwoiłam do Towarzystwa Medycznego, ale oni nie udzielają takich informacji.

– Udzielią ich Delgado. Zadzwonię do niej jutro rano.

– Ale dowiedziałam się o tym telefonie w szpitalu, gdzie rodziłaś.

– Tak?

– Wtyczka została zmiażdżona.

– W jaki sposób?

– Fachowiec mówi, że nie wie. Może ktoś zrobił to przypadkowo.

– A tą wolontariuszką mogła być jakaś wariatka, która weszła do szpitala prosto z ulicy. Przypadek Laury Bain nie ma ze mną nic wspólnego. I ja mogłam napisać ten list i podpisać go, a potem połknąć buteleczkę seconalu. Ale tego nie zrobiłam!

– Nina, wiem, że nie zrobiłaś.

– Więc?

Jednak Suze nie wiedziała, co odpowiedzieć. Przez okna Nina widziała padający śnieg. Patrzyła na niego chwilę, a potem zamknęła oczy. Pod ciepłą kołdrą, z Suze obok siebie szybko zasnęła. Sen oznaczał bezpieczeństwo, o ile nie pojawiał się w nim Ptasznik.

Kiedy Nina się obudziła, poczuła dłoń Suze na swoim udzie i usłyszała dzwoniący telefon. Odrzuciła rękę. – Suze...

– Co?

– Telefon.

Suze wyskoczyła z łóżka i podbiegła do biurka. Nina jeszcze przez chwilę czuła uścisk dłoni Suze na swoim udzie.

Światło poranka wlewało się przez wiele okien mieszkania Suze. Znów zamieniło instalację w dzieło sztuki i sprawiło, że ciało Suze błyszczało jak perła. Nina nie słyszała, co Suze mówi przez telefon, ale widziała, że patrzy na nią. Po kilku minutach Suze wróciła w drugi koniec pokoju, wciągając po drodze sweter.

– Nina?

– Co?

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Mów.

– Spotkałam kogoś.

– Kogoś innego niż Rzeźniczką?

Suze skrzywiła twarz, dość mocno. – Zapomnij o niej. Ona po prostu mnie wykorzystała. – Suze uśmiechnęła się. – I vice versa, jak sądzę. To co innego. Przede wszystkim to mężczyzna. – Suze usiadła na brzegu łóżka i zaczęła wciągać dżinsy.

– Mów dalej – zachęciła Nina.

Suze wyprostowała się. – Może to nieodpowiednia pora, żeby ci to mówić.

– Dlaczego nie? Czy to Richard Nixon?

Suze parsknęła śmiechem i odwróciła twarz do Niny. – Faktycznie ma podobne brwi. Ale nic więcej. Jest producentem filmowym. Przynajmniej potencjalnym.

– Potencjalnym?

– Był asystentem producenta przy *Wysokich brzydulach*.

– Nie przypominam sobie tego filmu.

– Nie było go w kinach. I nie będzie. Tylko na wideo. Pojawiły się pewne problemy. Ale Ernesto wiele nauczył się na planie i teraz ma scenariusz, nad którym sam chce pracować.

– Ernesto?

– Ernesto Cohen. Ernesto Che Cohen, tak naprawdę. Ale wszyscy mówią mu Ernie.

– Z wyjątkiem ciebie.

Suze uśmiechnęła się tajemniczo. – Ma dwadzieścia pięć lat. Prawie.

– Co za ulga. Już myślałam, że to jakiś podstarzały playboy.

– Nina, chciałabym, żebyś przejrzała ten scenariusz...

– Jasne. A o czym jest?

– Dan Aykroyd i John Candy są poważnie zainteresowani. A Ernesto ma wujka, którego wspólnik zna agenta Aleca Guinnessa. Chcą dotrzeć do niego i namówić go, żeby gościnnie zagrał rolę.

– Świetne. Zatem jest to film, jak zebrać ekipę do filmu.

Suze znów się roześmiała. – Jest o olbrzymich szczurach z kosmosu. To parodia. Ale nie w stylu Mela Brooksa. Raczej Jonathana Swifta.

– Czy Ernesto wie, skąd weźmie pieniądze na tę parodię w stylu Jonathana Swifta?

– Zastanawiamy się.

– Wy?

– Zamierzam być współproducentem.

Nina obawiała się tego. Ojciec Suze spał na pieniądzech. Był właścicielem

budynku, w którym mieszkała Suze. Budynek z galerią też należał do niego. Jednak Nina nie powiedziała: „Bądź ostrożna”, „Co ty wiesz na temat kręcenia filmów?” albo „Straciłaś kontrolę nad sobą”, choć takie myśli przebiegły jej przez głowę. Spytała tylko, czy ona ma ten scenariusz.

– Nie tutaj. Ernesto nie chce spuszczać go z oczu. Ale dostaniesz kopię. – Pochyliła się i pocałowała Ninę w czoło. – Dzięki – powiedziała i zapięła dzinsy.

Nina usiadła. – Nie rozumiem, dlaczego nie chciałaś mi o tym od razu opowiedzieć.

Tym razem Suze nie była w stanie spojrzeć Ninie w twarz. – Bo to nie wszystko.

– Co jeszcze?

– Jestem w ciąży.

Pod kołdrą dłonie Niny zacisnęły się w pięści. – Ernesto jest ojcem?

Suze przytaknęła.

– Ale nie było cię tylko... – Próbowwała policzyć, jednak od porwania straciła rachubę czasu.

– Nina, nie miałam okresu. A wiesz, że u mnie były wyjątkowo regularne.

Nina wyskoczyła z łóżka i zaczęła wkładać ubranie najszybciej, jak tylko potrafiła.

– Powiedz coś – poprosiła Suze.

– O czym?

– O mnie i moim dziecku.

– Gratulacje.

– Wiedziałam, że to nie jest odpowiednia pora, żeby ci o tym mówić.

Nina wrzuciła na siebie płaszcz i szybko go zapięła. – Mówiłaś, że nigdy nie myślisz o dziecku, ani późno w nocy, ani kiedy widzisz wózek! Nigdy, za cholere!

– I co, teraz jestem zdrajcą?

– Straciłaś nad sobą kontrolę, Suze.

Suze nie poruszyła się, nie powiedziała ani jednego słowa. Nina przemierzyła olbrzymi pokój, wyszła z mieszkania i zeszła po schodach. Na dole zatrzymała się, by zaczerpnąć powietrza. Cała siła zgromadzona w jej nogach podczas wielu godzin pedałowania nagle znikła. Była słaba, słaba po porodzie, słaba po stracie dziecka, słaba po seconalu, słaba po wszystkich wysiłkach, by wrócić do normalnego życia. Stała w drzwiach, wciągała do płuc mroźne powietrze i wydychała je, aż obok niej przeszedł jakiś obdarty mężczyzna rozmawiający z Jezusem. Nina wyszła wtedy na pokryty rozmokłym śniegiem chodnik. Miała parę



rzeczy do zrobienia.

Z budki telefonicznej zadzwoniła do Delgado, chcąc powiedzieć jej o doktorze Crossmanie. Delgado była w sądzie. Nina zaczęła opowiadać komuś innemu o Crossmanie. Po trzydziestu sekundach mężczyzna powiedział: – To dość skomplikowane. Najlepiej, jak pani bezpośrednio porozmawia z Delgado.

– Kiedy będzie z powrotem?

– Trudno powiedzieć. Jest na procesie Ezekiała. Przy takim przedstawieniu, jakie urządzają jego prawnicy, rozprawa może trwać wiecznie.

Nina odwiesiła słuchawkę. Humań Fertility Institute znikł. Tak samo doktor Crossman. Pozostał jedynie prawnik, pan Percival. Z Ablewhite, Godfrey, Percival & Glyde. Giermek w czarnym garniturze, który był świadkiem podpisywania dokumentów.

*Teraz proszę tu podpisać. I tu, i tu, i tu. A teraz tu. Dobrze.*

Pół godziny później Nina jechała windą na ostatnie piętro jednego z śródmiejskich drapaczy chmur ze stali i szkła. Mężczyzna niosący trzy aktówki szeptał do kobiety z czerwonymi szelkami: – Punkt szósty. Nie mogę sobie przypomnieć punktu szóstego.

– Na miłość boską, brak klauzuli uprawniającej do uwolnienia od zobowiązania – syknęła kobieta, kiedy drzwi otwierały się na przedostatnim piętrze. – Bart, to najważniejsze spotkanie w twoim życiu – dodała głośniej, gdy wychodzili z windy. – Jeżeli mnie zawiedziesz, to... – Drzwi zamknęły się, zanim kobieta zdążyła dokończyć zdanie. Nina wysiadła sama na ostatnim piętrze.

Weszła do recepcji umeblowanej skórzanymi kanapami i fotelami, ozdobionej olejnymi obrazami przedstawiającymi wiejskie życie, wyglądającymi na wierne kopie Constable'a. Gdyby nie mosiężna tabliczka na przeciwległej ścianie – ABLEWHITE, GODFREY, PERCIVAL & GLYDE – i kobieta przy biurku pisząca na maszynie Nina mogłaby pomyśleć, że weszła do jakiegoś męskiego klubu. Kobieta miała męski typ urody. Miała też podobny głos.

– Czym mogę służyć? – odezwała się.

– Chciałabym się zobaczyć z panem Percivalem.

Kobieta założyła okulary, które wisiały jej na szyi. Przyjrzała się Ninie. – Jest pani z nim umówiona?

– Nie – odrzekła Nina. – Ale kiedyś podpisywałam z nim umowę i jestem pewna, że nie odmówi spotkania ze mną. To bardzo ważne.

– Pani nazwisko?

– Nina Kitchener.

Kobieta wcisnęła przycisk na biurku. – Pani Kitchener chce się widzieć z panem Percivalem. I zwróciła się do Niny: – Za chwilę ktoś wyjdzie. – Zdjęła okulary i wróciła do pisania na maszynie.

Nina usiadła w fotelu obitym czerwoną skórą, z mosiężnymi końcówkami przy poręczach. Był tylko trochę mniej wygodny niż siedzenie w autobusach linii średnicowych. Kartkowała *Pieniądze i Rynki Kapitałowe*. Podobnie jak czasopisma pornograficzne te pobudzały pożądanie, kierowały zainteresowania w jedną i tylko jedną stronę. Ninę rozboleła głowa. Zamknęła oczy. Natychmiast wyraźnie zobaczyła twarz swojego dziecka. Od wielu dni jego obraz się zacierał. Jednak teraz jego oczy, poważne, niebieskie, wypełniły całe jej pole widzenia. Były to oczy chłopca, który od samego początku próbował jej pokazać, że zawsze będzie walczył do końca.

A nie miał nawet imienia.

– Pani Kitchener?

Nina otworzyła oczy. Stała przed nią kobieta w szarym kostiumie. – Tak? – odezwała się Nina.

– Jestem asystentką pana Percivala. Pan Percival jest dzisiaj bardzo zajęty. Gdyby pani powiedziała, w jakiej sprawie pani przyszła, to może udałoby się ustalić późniejszy termin spotkania.

Ninę bolała głowa, bolał ją też żołądek, całe jej ciało było słabe. Tak było najprościej: umówić się na później, a teraz zaszyć się gdzieś i porządnie wypocząć. I może by tak zrobiła, gdyby nie miała w wyobraźni obrazu dziecka z poważnymi, niebieskimi oczami. Nina nie wierzyła w świat duchów, nadprzyrodzone moce i postrzeganie pozazmysłowe, co więcej, czasami nie wierzyła swoim zmysłom, jednak w tym momencie czuła spojrzenie tych oczu. Tak więc, nie unosząc głosu – była na to zbyt zmęczona – powiedziała: – Nie. Chcę się z nim spotkać dzisiaj.

– To niemożliwe – odparła kobieta, robiąc krok do tyłu.

Nina się nie awanturowała. – Proszę mi powiedzieć, że chodzi o Human Fertility Institute. I o Cambridge Reproductive Research Center.

Czuła chłodne spojrzenie kobiety, ale nie spojrzała jej w oczy. Była zbyt zmęczona, aby krzyczeć, zbyt zmęczona, aby się klócić, walczyć na spojrzenia. Nagle zrozumiała siłę milczącego protestu matek na jakimś placu w stolicy Argentyny. Nie była zbyt zmęczona, by usiąść. Usiadła. Asystentka pana Percivala wyszła. Recepcjonistka przestała stukać w klawiaturę, ale Nina nie uniosła wzroku. Sięgnęła po *Wall Street Journal* i zaczęła czytać jakiś krytyczny artykuł redakcyjny na temat podaży pieniądza. Przeczytała go do końca, nic z niego nie rozumiejąc.

Wróciła asystentka Percivala. – Pan Percival spotka się z panią teraz – rzekła oficjalnym tonem, jakby między nimi nic nie zaszło.

Znów rozległo się stukanie w klawisze maszyny do pisania. Nina wstała i podążyła za asystentką pana Percivala, przez recepcję, potem wyłożonym grubym dywanem korytarzem, do narożnego gabinetu. Asystentka wpuściła Ninę do środka i poprosiła, żeby usiadła na krześle w stylu Ludwika któregoś tam, naprzeciw biurka w tym samym stylu, i wyszła niepostrzeżenie niczym podrzędna dworka.

Pan Percival miał wspaniały widok na Central Park. Teraz go podziwiał, kręcąc się na swoim krześle obrotowym i rozmawiając przez telefon. Nina widziała jego nabrzmiały profil. Francja starego reżimu nie bardzo do niego pasowała, lepiej wyglądałby w oświeceniowej Anglii.

– Edgar, wszystko w swoim czasie – mówił ciężkim, pewnym głosem – to wcale nie znaczy, że jutro. Trzeba zastanowić się nad innymi sposobami dojścia do porozumienia. – Podczas gdy Edgar odpowiadał, Nina przypatrywała się fotografiom na ścianie: panu Percivalowi ściskającemu dłońie z gubernatorem, senatorami, prezydentem i Johnem Wayne'em.

Pan Percival skończył rozmowę i odwrócił się do Niny, zaciskając pulchne dłońie na blacie biurka. – Więc, pani... – zaczął, zerkając do notatnika – ... pani Kitchener, bardzo chciała się ze mną spotkać.

Wydawał się w ogóle jej sobie nie przypominać. Chyba to nie było zaskakujące: widział ją tylko kilka minut, dziesięć miesięcy temu.

– Spotkaliśmy się już kiedyś.

– Naprawdę?

– W lutym. W Human Fertility Institute. Kazał mi pan wtedy podpisać wiele dokumentów.

Percival nie powiedział, że przypomina sobie to spotkanie. Nie powiedział też, że go sobie nie przypomina. – I?

„I?” I zostałam zapłodniona, moje dziecko porwano, a instytut znikł. To była histeryczna, kobieca odpowiedź, która mogłaby poruszyć serce Johna Wayne'a, kazać mu wskoczyć na rumaka i powybijać wszystkie czarne charaktery, ale tutaj, w biurze Percivala, nie doprowadziłaby do podobnego rezultatu. – I – powiedziała Nina – mam kilka pytań dotyczących tego instytutu.

– Obawiam się, że nie jestem upoważniony, żeby na nie odpowiedzieć.

– Nie rozumiem. Przecież był pan upoważniony, żeby prosić mnie o mój podpis.

– Pani podpis?

– Już panu mówiłam, że dał mi pan do podpisania mnóstwo dokumentów.

– Być może – odparł Percival. – Ale sądzę, że wszystkie pytania powinna pani kierować bezpośrednio do instytutu.

– A gdzie, do cholery, jest teraz ten instytut? Na jego miejscu została tylko dziura w ziemi i buldożer.

Ten wybuch złości nie poruszył Percivala. – To tak daleko już są? Ostatnio prawie wcale nie wychodzę z biura.

– Jednak pan jest zorientowany. Co się dzieje?

Percival rozłożył dłonie, potarł je o siebie, znów je złączył. – Nie wyjaśniła mi pani powodu swojego zainteresowania tym instytutem, pani... – Jego wzrok powędrował na notatnik.

– Kitchener – rzekła. – Nina Kitchener. A oto powód, dlaczego ten instytut mnie interesuje: Tam zostałam zapłodniona, dziecko zaraz po urodzeniu porwano, ktoś chciał mnie zabić i upozorować samobójstwo. A teraz zamiast instytutu jest dziura w ziemi i chcę wiedzieć, co się dzieje.

John Wayne pozostał na ścianie, ale słowa Niny wywołały gwałtowniejszą reakcję u pana Percivala. Poruszył ustami, jednak nic nie powiedział, a kiedy zaczął mówić, ton jego głosu stracił swą łagodność. – To... straszne – wydobył z siebie. – Czy policja została poinformowana?

– Tak.

– I jakie podjęli działania?

– Prowadzą dochodzenie.

– Nikt się ze mną nie kontaktował – rzekł Percival.

– Tak naprawdę nie podsunęłam im tego powiązania.

– Jakiego powiązania?

– Między instytutem a porwaniem.

– A co jest między tym wspólnego?

– Ojciec. To jedyny możliwy związek. Chcę odnaleźć tego ojca.

– Ojca?

– Dawcę. Czy gdyby to była zwykła sprawa o opiekę nad dzieckiem, kogo by najpierw szukano?

– Nie zajmuję się prawem rodzinnym, pani Kitchener. – Percival nie musiał już więcej spoglądać w notatnik, by przypomnieć sobie jej nazwisko. Nie kwestionując nawet pani pomysłu, nie sądzę, żeby można było poznać dane dawcy. Po pierwsze, instytut nie działa. Został sprzedany Standard Foods.

Przez moment Ninie wydawało się, że wyszukany fotel pod nią znikł i ona

zaraz znajdzie się na podłodze. Przytrzymała się złoconych oparc. – Nie działa?

– Nie ma go już na rynku. Nowi właściciele zrezygnowali z prowadzenia programu, który był jedynym celem działania instytutu.

– Więc dlaczego go kupowali?

Uśmiechnął się. Zapomniała, że jego zęby są żółte jak stara kość słoniowa. – Sama powinna pani w tym się orientować...

– Orientuję się. I wydaje mi się dziwne, że ten instytut został nagle zlikwidowany.

Percival przestał się uśmiechać. – Czyżby pani sugerowała, że koncern obracający miliardami dolarów jak Standard Foods, z tysiącami udziałowców, przeprowadził tę transakcję tylko ze względu na panią? – Nina nie wiedziała, co odpowiedzieć. – To była przede wszystkim transakcja na rynku nieruchomości, wymiana udziałów na grunt. Wątpię, czy zachowała się dokumentacja zgromadzona w instytucie. Nawet jeśli przetrwała, to nie dowiedziałyby się pani nazwiska dawcy. Podpisała pani zgodę na jego anonimowość. „Dawca pozostaje anonimowy. Ani ja, ani moje dziecko nie będziemy próbowali odkryć jego tożsamości”.

– Skąd pan wie, że to podpisywałam, skoro pan mnie nawet nie pamięta?

To wywołało kolejny uśmiech na twarzy Percivala. – Każdy to podpisywał. Sam układałem formułę. Było to najważniejsze w tej całej idei.

– Dlaczego?

– Ponieważ, pani Kitchener, jaki mężczyzna oddałby swoją spermę, gdyby obawiał się, że później z tego powodu będzie miał kłopoty.

Nina nie była w stanie ripostować. Myślała o doktorze Berrym: *Ja tylko zajmuję się kojarzeniem plemników z jajeczkami. Biznes jak inny.* Kupiła trochę spermy jako drobny klient. Spermy zabezpieczonej przed odpowiedzialnością prawną. Natomiast Standard Foods zakupił całą firmę od spermy jako duży klient. Nina powiedziała: – Może ta zgoda na przestrzeganie anonimowości też nie istnieje?

Percival znów zaczął mówić nasyconym głosem. – Wszystkie dokumenty dotyczące aspektów prawnych znajdują się w tym biurze. Co do tego mogę panią uspokoić. – Przywołał asystentkę, napisał coś na karteczce i podał ją jej. Asystentka zostawiła w pokoju zapach drogich perfum.

Percival wstał i podszedł do okna. Wsunął kciuki do kieszeni kamizelki i powiedział: – Proszę przedstawić mi swoje przypuszczenia.

– Odnośnie czego?

– Tego, co się wydarzyło.

- Nie wiem, co się wydarzyło. Właśnie to próbuję odkryć.
- Ale sądzi pani, że dawca jest w jakiś sposób w to zamieszany.
- Tego nie powiedziałam.
- Więc dlaczego chce pani znać jego nazwisko?

Nina nie odezwała się.

Percival ciągnął dalej: – O tak, uważa pani, że dawca jest w to wplątany. Zatem czy zakłada pani, że dawca w jakiś sposób poznał pani tożsamość?

Co zakładała? Jakiegokolwiek jej podejrzenia opierały się na kruchych podstawach, więc trudno było je wyrazić w prostych słowach. – Tak – rzekła. – Tak przypuszczam.

- A co o tym sądzi policja?
- Już panu mówiłam, że o tym właściwie z nimi nie rozmawiałam.
- A w jaki sposób oni wyjaśniają zniknięcie pani dziecka?
- W ogóle nie wyjaśniają.
- Ale oni muszą mieć jakąś roboczą teorię. Kto prowadzi to śledztwo?
- Detektyw o nazwisku Delgado. Ona uważa, że jakaś wariatka weszła do szpitala prosto z ulicy i... zabrała dziecko.
- Ale pani nie wierzy w taką wersję?
- Nie.
- Dlaczego?

Dlaczego? Bo była plakietka wolontariuszki. Zmiażdżona wtyczka telefonu. Próba morderstwa, które wyglądałoby na samobójstwo. Poza tym była Laura Bain. – Czy słyszał pan o Cambridge Reproductive Research Center? – spytała Nina.

Percival odwrócił się od okna i wyduł swe pełne usta.

– To jest... był... bank spermy – ciągnęła Nina. – On chyba też już nie istnieje. Kobieta o nazwisku Laura Bain tam trafiła... – Nina opowiedziała mu o Laurze. Słuchał w milczeniu, jego twarz i oczy niczego nie wyrażały. Nina zastanawiała się, czy on nie zmusza się do kontrolowania swoich reakcji.

Kiedy skończyła, Percival usiadł za biurkiem i złączył dłonie.

- Pani Kitchener, czy pani szukała jakiejś profesjonalnej pomocy?
- Ma pan na myśli prywatnego detektywa?
- Nie. – Percival westchnął. – Terapeutę.

Nina uderzyła pięścią w biurko, zanim zorientowała się, co wyprawia. – Niedobrze mi się robi, jak słyszę coś takiego.

Percival szeroko otworzył oczy. – Nie miałem zamiaru pani obrazić. Chciałem tylko powiedzieć, że pani spotkanie z tą kobietą było być może nieszczęśliwym

przypadkiem.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– To duży kraj, pani Kitchener. Nie wiem, czy zdaje sobie pani sprawę jak duży. Ja jestem jak kontroler ruchu lotniczego. W pełni uświadamiam sobie, jak ten kraj tętni życiem. W takim społeczeństwie żadne doświadczenie nie jest wyjątkowe. Historie się powtarzają. To prosta matematyka. Jeżeli istnieją banki spermy, kobiety z nich korzystające i ludzie, którzy porywają dzieci, to te trzy elementy nie raz muszą się znaleźć w tym samym równaniu. To pech, że trafiła pani na przypadek podobny do pani. To zbieg okoliczności, pani Kitchener. Kiedy jeden samolot rozbija się w Chicago, a drugi w Denver, to nie mówi się o żadnym spisku, prawda?

Było to racjonalne wyjaśnienie. Pasowało do doświadczeń takich ekspertów jak Delgado i odwoływało się do podstawowych przekonań Niny. Najłatwiej byłoby skinąć głową, podziękować Percivalowi, że poświęcił swój czas, i wyjść. Ale to nie ułatwiłoby jej odzyskania dziecka. Powiedziała więc: – Mówiłoby się tak, gdyby doktor Crossman podłożył bomby w obu samolotach.

Percival mocno zacisnął swe pulchne dłonie. – Obawiam się, że pani nie rozumiem.

– Mówię o doktorze Crossmanie. Dyrektorze Human Fertility Institute. To on się mną zajmował. Tak samo Laurą Bain, w Cambridge.

– Nie znam tego nazwiska – odparł Percival. – Nie miałem żadnego kontaktu z personelem medycznym.

– Chce pan powiedzieć, że nie był dyrektorem tego instytutu?

– Mówię tylko, że nie wiem – odparł Percival. – Nie chcę kwestionować jego pozycji.

– To dobrze. Bo chciałabym, żeby pan pomógł mi go znaleźć.

– Zaginął?

– Nie wiem. Nie mam numeru jego domowego telefonu.

– Nie rozumiem, w jaki sposób mógłbym pani pomóc.

– Mógłby pan zadzwonić do właścicieli instytutu.

– Instytut nie miał właścicieli. Działał jako fundacja non-profit.

– Ale ktoś musiał nią zarządzać. Ktoś musiał przekazywać jej pieniądze. Ktoś musiał zatrudnić doktora Crossmana. Musi istnieć jakaś osoba, która wie, jak do niego dotrzeć.

Percival wstał i znów podszedł do okna. Widok się nie zmienił, ale chyba Percival wcale się nie przyglądał temu, co na zewnątrz. – Zobaczę, co da się zrobić

– rzekł.

– Naprawdę?

– Proszę mi dać kilka dni. W jaki sposób mogę się z panią skontaktować? – Nina dała mu numer do biura. – Mogę dzwonić obojętnie kiedy? – spytał.

– W ciągu dnia.

– A jak będę chciał się z panią skontaktować w nocy?

– Proszę wtedy zostawić wiadomość na automatycznej sekretarce. Często dzwonię do biura.

– Dobrze.

– Czy... pańska chęć do pomocy oznacza, że zmienił pan zdanie i chce ujawnić tożsamość dawcy?

– Ale to nie ma ze mną nic wspólnego. To kwestia prawna. Zapis o anonimowości chroni wszystkie strony: klientów, dawców, fundację. I, jak już mówiłem, nie ma gwarancji, że ta dokumentacja jeszcze jest. Sądzę jednak, że powinniśmy wyjaśnić związek doktora Crossmana z tą drugą kliniką zapłodnień.

Nie wiadomo, czy ze względu na staranny dobór słów, czy na uspokajający ton głosu Percivala, ale Nina uświadomiła sobie, że sprawa doktora Crossmana zostanie wyjaśniona w jakiś banalny sposób. Już mogła się domyślić tego wyjaśnienia: „Doktor Crossman specjalizuje się w sztucznym zapłodnieniu. Dlaczego więc, jak inni specjaliści, miałyby się nie przenosić z miejsca na miejsce?” Nina siedziała w ozdobnym fotelu i w wyobraźni widziała kolejną swoją porażkę.

– Czy jeszcze coś, pani Kitchener? – Percival wrócił do biurka i pisał coś w notatniku.

Czy było coś jeszcze? Przypomniała sobie portret mężczyzny w instytucie. Podczas jej ostatniej wizyty stał oparty o ścianę, a doktor Crossman i jego pielęgniarka pakowali rzeczy do pudeł. Dziura w ziemi nie powinna być tak wielką niespodzianką.

– Jeśli nie... – Percival oderwał wzrok od notatnika.

– Jeszcze jedno – rzekła Nina. – Jak się nazywa ta fundacja?

– Jaka fundacja?

– Ta fundacja, która sprzedała ten instytut.

– Technicznie rzecz biorąc, to nie była sprzedaż. To była prosta wymiana gruntu na udziały, jak już wspominałem.

– Udziały w Standard Foods.

– Zgadza się.

– I kto posiada teraz te udziały? – Widząc jego wahanie, dodała: – Ale, panie



Percival, to nie jest tajemnica. Mogę to sprawdzić w *Wall Street Journal*.

Percival zwilżył usta. – Fundacja Standisha – odparł. – Ale nie rozumiem, jakie to ma znaczenie.

– Co to za fundacja?

Wzruszył ramionami. – Organizacja non-profit zajmująca się badaniami naukowymi.

– I oni mogą wiedzieć, gdzie jest doktor Crossman?

– Możliwe. – Wstał. – Proszę się nie martwić. Skontaktuję się z panią, jak tylko będę coś wiedział. A teraz, jeśli nie ma już pani...

Odprowadził Ninę do drzwi. – Proszę być cierpliwą – powiedział, podając jej dłoń. Delikatny uścisk uspokajał podobnie jak jego głos, widok na Central Park i zdjęcie Johna Wayne'a.

Asystentka Percivala czekała na nią w recepcji. Pokazała Ninie dokument zawierający zgodę na zachowanie anonimowości. Nina zaczęła go czytać. Na dole był jej podpis. Niebieskim tuszem. To dlatego, że taki dali jej długopis. Nie dali; on dał. Przypomniała sobie kieszonkę w marynarce Percivala – było tam grube złote pióro i tani niebieski długopis. Ona sama zawsze używała czarnego atramentu.

– Może pani spytać pana Percivala, czy mogłabym dostać odbitkę tego dokumentu?

– Naturalnie – odparła asystentka i ruszyła korytarzem.

Kiedy tylko znikła z pola widzenia, Nina wstała i weszła do windy. Dokument ze swoim podpisem włożyła pod koszulę. Nie chciała go zgubić. Jej podpis na liście pożegnalnym też był wykonany niebieskim tuszem.

Detektyw Delgado, która siedziała samotnie w kawiarni przy Foley Square, wyglądała okropnie. Skóra zwisała na kościach jej twarzy. Jej oczy wpatrzone w filiżankę z parującą kawą były zaczerwienione i opuchnięte. Czyżby płakała? – zastanowiła się Nina – siadając na krześle naprzeciw niej. Delgado zmierzyła Ninę wzrokiem, a potem znów zaczęła wpatrywać się w filiżankę. Nie przywitała Niny w żaden sposób.

– Co się stało?

Delgado prychnęła. – Nic. Wszystko wspaniale.

Nina siedziała w milczeniu, czekała na odpowiedni moment, żeby zacząć. Kiedy nie nadchodził, mimo wszystko zaczęła. Rozłożyła dwie kartki papieru: dokument ze zgodą na zachowanie anonimowości i list pożegnalny. Położyła je przed Delgado. – Chcę, żeby pani popatrzyła na te podpisy.

Delgado spojrzała na kartki bez szczególnego zainteresowania. – Patrę.

– I co pani widzi?

Delgado przeszła Ninę ostrym spojrzeniem. – Nie jestem w nastroju do zagadek. O co pani chodzi?

*Chcę odzyskać dziecko, a pani obowiązkiem jest mi w tym pomóc.* To była pierwsza odpowiedź, którą Nina zatrzymała dla siebie. Powiedziała: – Oba podpisy wykonano niebieskim długopisem. Odcień tuszu jest ten sam.

– I co z tego?

– Ten dokument podpisywałam w Human Fertility Institute, ale nie swoim piórem. Dokładnie pamiętam, że dostałam długopis. Poza tym nie mógł być mój, bo ja zawsze piszę czarnym atramentem.

– Dlaczego?

Dlaczego pisze czarnymi piórami? To było pytanie, którego Nina się nie spodziewała. Tylko mętnie przypominała sobie powód: miał coś wspólnego z dziewczęcym buntem przeciwko nauczycielowi plastyki. – Takie przyzwyczajenie – odparła. – Chodzi o to, że nie korzystam z niebieskich piór ani długopisów. Chyba nawet nie mam takich w swoim mieszkaniu. – Nina czekała, żeby Delgado przetrwała te słowa.

– I co niby znaczy?

– Co?! To znaczy, że nie mogłam podpisać tego pożegnalnego listu. Jednak, jeśli to nie jest idealne fałszerstwo, to jest mój podpis. Przyznaję. Zatem musiałam

go złożyć gdzie indziej, kiedy indziej... wcześniej, mówiąc innymi słowami. Może nawet, zanim list pożegnalny został napisany na maszynie. Na przykład kiedy byłam w Human Fertility Institute.

Kiedy Nina wypowiedziała to głośno, obudziła się w niej jakaś wątpliwa nadzieja, choć oczy Delgado pozostały obojętne. – Do czego pani zmierza? – zapytała detektyw. Niczego nie rozumiała. Czy w ogóle chciała coś zrozumieć?

– Do jasnej cholery, to potwierdza, że nie próbowałam popełnić samobójstwa! Ktoś...

Delgado sięgnęła nad stolikiem i chwyciła Ninę za klapy marynarki. – Nie przeklinaj, ty świrnięta babo. I tak nawet bez ciebie mam dużo kłopotów.

Patrzyły na siebie. Adrenalina przepłynęła przez ręce i nogi Niny. W wyobraźni widziała, jak rzuca filiżanką z kawą w twarz Delgado, ale po chwili w jej myślach pojawił się obraz dwóch kobiet grających rolę krewkich mężczyzn. – No już dobra – mruknęła.

Delgado przez chwilę patrzyła na Ninę, a potem ją puściła i westchnęła. – Niech to diabli.

– Padłam ofiarą przestępstwa – rzekła cicho Nina. – Nawet jeśli próbowałam popełnić samobójstwo, co nie jest prawdą, to porwanie pozostanie przestępstwem. A te dwie kartki pokazują, że to porwanie nie było przypadkowym aktem. To są dowody.

Delgado wzięła głęboki oddech. – Dowody na co?

– Na przygotowane działanie. Dowody, że opracowano okropny... straszny plan.

Delgado sięgnęła po kartki. – Tylko dlatego, że oba zostały podpisane niebieskim tuszem?

– Tak. I to jeszcze o tym samym odcieniu. Czy to nie nasuwa pani żadnych wniosków?

– Jakoś nie. Czy rzeczywiście nie ma pani w swoim mieszkaniu żadnego niebieskiego długopisu?

– Nie mam.

– Nawet na dnie szuflady albo między poduszkami na kanapie?

– Nic o tym nie wiem.

– Nic pani o tym nie wie... A sprawdzała pani? Zanim przyszła pani z tą swoją teorią?

– Nie.

– Dlaczego nie?

Nina nie odpowiedziała.

– Dlaczego nie?

– Zmusza mnie pani, żebym to powiedziała.

– Co powiedziała?

– Boję się iść tam sama – rzekła Nina. – A pani by się nie bała?

– Mam to. – Detektyw poklepała wybrzuszenie pod lewą pachą.

Bałabyś się, pomyślała Nina. – Więc to wykorzystajmy – powiedziała.

– Chce pani, żebym poszła z panią do mieszkania?

– Żeby zakończyć kwestię niebieskiego długopisu.

– Teraz?

– A kiedy?

– Cholera. To ja powinnam ustalić. – Jednak Delgado wstała. Ciężko i powoli wyszła na zewnątrz. Policyjny wóz stał przy krawężniku. Za kierownicą siedział policjant w mundurze. Delgado i Nina usiadły na tylnych siedzeniach. Samochód ruszał, kiedy podbiegł do niego mężczyzna w kurtce Metsów i zapukał w szybę.

– Tak? – odezwała się Delgado i opuściła szybę.

– Po zmianie kapitan chce się z panią widzieć.

Delgado zbladła. – Wypuścili go?

Mężczyzna przytaknął.

– Zaskoczony, co? – spytała Delgado. Mężczyzna oddalił się, nic nie mówiąc. Oczy Delgado napęłniły się łzami. Nina wiedziała, że detektyw próbuje stłumić płacz. Samochód ruszył. Ludzie wypływali z gmachu sądu, schodzili po schodach. Ekipy dziennikarskie skupiły się, nad głowami wystawały wysięgniki z mikrofonami. Okrążyły potężnego siwowłosego mężczyznę w garniturze w prążki. Mężczyzna nie wydawał się z tego niezadowolony, jego szeroki uśmiech można było zobaczyć z daleka. Delgado obserwowała to wszystko niczym zawodnicy z przegranej drużyny patrzący na radość zwycięzców. Radiowóz skierował się w stronę centrum.

– O co chodzi? – spytała Nina.

– Nie pani sprawa – odparła Delgado.

Jechali całą drogę w milczeniu. Delgado patrzyła wprost przed siebie. Raz, może dwa razy nerwowo przygryzła paznokcie. Na ostatniej przecznicy przed domem Nina zapytała: – Czy rozmawiała pani z tą pośredniczką z Dedham?

– Tak – odrzekła Delgado.

– I?

– I ona mówi, że w tym budynku był mężczyzna, który określił się jako

rzeczoznawca. Jak pani myśli, dlaczego tu jestem?

Poszły do mieszkania Niny. Nina otworzyła kluczem drzwi. Delgado weszła pierwsza. Nie było się czego bać. Wszystko wyglądało tak jak wtedy, gdy Nina i Suze przyjechały zabrać trochę rzeczy.

Delgado zlustrowała korytarz, pokój dziecienny, salon i weszła do kuchni. – A co to?

– Co? – spytała Nina, wchodząc za detektyw do kuchni.

Delgado stała przy stole kuchennym. Stole, na którym kiedyś Nina położyła książkę *Życie bez mężczyzn i dzieci – pokochaj to*. I przeczytała: „Wszystkie szczęśliwe rodziny są do bani. Nieszczęśliwe też”. Na stole, na którym stała maszyna do pisania z listem pożegnalnym. Oczywiście listu już tu nie było, a maszyna została przeniesiona. Teraz na stole stał tylko pusty wazon, młynek do kawy i leżał długopis.

Niebieski długopis.

Delgado wzięła go do ręki. Wyrwała kartkę ze swojego notatnika i napisała na niej: *Nina Kitchener*. – Ma pani te papiery? – rzuciła nad ramieniem niczym jakaś kobieta interesu, jednak ton jej głosu był jadowity.

– Tego długopisu wcześniej tu nie było! Nie widziałam go na oczy!

– Proszę mi dać te dokumenty.

Nina dała jej zgodę na anonimowość i list pożegnalny. Delgado położyła je na stole, po obu stronach kartki wyrwanej z notatnika. Dowody: A, B, C. Nina patrzyła na trzy podpisy, dwa takie same, trzeci inny, ale wszystkie wykonane tuszem tego samego koloru. Pod jej spojrzeniem *Nina Kitchener* straciło swoje pierwotne znaczenie, każda litera zdawała się zawierać w sobie zakodowaną wiadomość.

Delgado obserwowała ją.

– Nie było tego, kiedy po raz ostatni wychodziłam z tego mieszkania – powiedziała Nina. Jak słabo to brzmiało. Próbowwała mówić mocniejszym głosem. – Nigdy go tu nie było. Ktoś musiał...

– Czyżbym nie zauważyła tego w kalendarzu – przerwała jej Delgado.

– Nie wiem, o czym pani mówi.

– To jasne. Dzisiaj jest dzień ustanowiony dla mnie, żeby zrobić ze mnie durnia.

– Ja nie...

Delgado uniosła głos. – Najpierw Ezekiał wyszedł na wolność, bo zawiódł mój najważniejszy świadek. A teraz pani z tymi swoimi gierkami.

– Gierkami?

Delgado machnęła Ninie przed nosem długopisem. – To jest długopis firmy Bic. W mieście musi być takich długopisów co najmniej milion, nie więc dziwnego, że ma pani jeden z nich.

– Ależ nie mam. Nie miałam.

– Ma pani, przynajmniej jeden – powiedziała Delgado, unosząc długopis na wysokość oczu Niny. – Ten tu. Niebieski długopis Bica. Może też są inne, między poduszkami na kanapie albo na dnie szuflad. Ale nie musimy ich szukać. Wystarczy ten jeden. Zrozumiała pani? – Delgado rzuciła długopis na stół i wyszła z mieszkania. Trzasnęły drzwi. Nina usiadła przy stole.

Złożyła papiery i wcisnęła je do kieszeni. *Nina Kitchener. Nina Kitchener. Nina Kitchener.* Potem mogła patrzeć już tylko na wazon i młynek do pieprzu. Młynek nasunął jej na myśl szachy. Wydawało się jej, że musi grać w szachy z jakimś nieprzeciętnym przeciwnikiem bez twarzy. Zwycięzca zatrzymuje dziecko. Położyła głowę na stole. W jej oczach nie pojawiły się łzy, nawet łzy frustracji. Czy to oznacza, że została pokonana? Nie wiedziała. Może należała do tych osób, które nigdy nie uświadamiają sobie swoich porażek. Czy czyni ich to zwycięzcami? Raczej głupcami. Nina wstała od stołu. Uderzaj, głupia. Albo przynajmniej stój twardo na nogach.

Nina stała przez kilka minut. Później przypomniała sobie o Fundacji Standisha. Sprawdziła w książce telefonicznej. Nie była ujęta. Zadzwoiła do informacji telefonicznej. Też nie mieli numeru do tej fundacji. W końcu zadzwoniła do biblioteki publicznej, do działu katalogów. Zaczynała uderzać. – Szukam listy fundacji.

– Jak na przykład Fundacja Forda? – Głos wskazywał, że mężczyzna po drugiej stronie jest bardzo młody.

– Tak.

– Właśnie mam przed sobą spis fundacji.

– Naprawdę?

– Ludzie bez przerwy o nie pytają. Chcą zmniejszyć sobie podatki. Potem dopiero interesują się szczegółami.

– Czy jest tam Fundacja Standisha?

– Nie wiem. Musiałaby pani zobaczyć.

– Ale ja nie mam tej listy.

Mężczyzna roześmiał się i ją przejrzał. Nina zwróciła uwagę na jedną fundację.

– Fundacja Standisha. Skrzynka pocztowa 101, Washington, Connecticut,

06793 – podał jej ten chłopak. Nie było numeru telefonu.

Nina próbowała czegoś się dowiedzieć w Washington, w Connecticut. Nie mieli numeru. Znalazła to miasteczko na mapie. Niewielkie, ukryte wśród wzgórz. Nina oszacowała odległość do niego, zadzwoniła do firmy wynajmującej samochody i zamówiła od razu auto. Była już w drzwiach, kiedy zadzwonił telefon. Zamarła. Na kilka minut zapomniała, że jest sama w swoim mieszkaniu. Strach powracał falami, z każdym dzwonkiem telefonu. Podniosła słuchawkę.

– Nina Kitchener? – zapytał mężczyzna, przypuszczalnie młody, ale nie tak, jak ten w bibliotece. I miał australijski akcent.

– Kto mówi? – odezwała się Nina.

– Nazywam się Muller. Bernie Muller. Jestem producentem w *Australian Broadcasting Corporation*. Oddział interwencji. Słyszałem, co się pani przytrafiło. To straszne. Jeżeli jest pani Niną Kitchener, to chciałbym z panią się spotkać.

– Przyleci pan z Australii, żeby zrobić o mnie reportaż?

Mężczyzna roześmiał się. Miał głośny i serdeczny śmiech, który kazał myśleć o plażach, piwie i beztróskim życiu, reklamowanych w agencjach turystycznych. – Już tu jestem, kochana. Pracuję nad filmem dokumentalnym o zaginionych dzieciach w Ameryce. Byłem w Kanale Czwartym i powiedzieli mi o pani... – Zawiesił głos. – O ile jest pani panią Kitchener.

– Jestem – odparła Nina.

– Wspaniale – wyrzucił z siebie Bernie Muller. – Zatem co chce pani powiedzieć?

– Naprawdę nie widzę powodu, żeby australijski film dokumentalny mógł mi pomóc odzyskać dziecko.

– Nie będę się sprzeczał – zgodził się Bernie Muller. – Bardziej zyskam na tym ja niż pani. Ale zebrałem trochę materiałów o porwaniach dzieci, które może pani zobaczyć. Nie proponuję nagrania na taśmie czy coś takiego. Tylko swobodną pogawędkę. Nie zajmę pani dużo czasu.

– O jakich materiałach pan mówi?

– Takich jeszcze nie opracowanych. Zaledwie kilka przypadków. Jesteśmy dopiero w początkowej fazie.

– Przypadków z Nowego Jorku?

– Nie. Filadelfia, San Francisco, Boston, o ile dobrze pamiętam. I parę innych.

– W porządku – mruknęła Nina.

– Świetnie. Gdzie się spotkamy? W moim hotelu? U pani? – Ninie nie spodobały się te propozycje. Zapadło milczenie. Potem Bernie Muller powiedział:

– A może Grand Central Station?

– Grand Central Station?

– W centrum. Jest tam lokal, gdzie serwują doskonale ostrygi.

– Wiem.

Bernie Muller znów się głośno roześmiał. – Czy zachowałem się jak typowy turysta?

– Wcale nie. Ta restauracja będzie odpowiednia.

– Wspaniale. Uwielbiam owoce morza. Może spotkamy się dziś wieczorem?

– Nie mogę. Jestem... zajęta.

– To jutro?

– Dobrze.

– O szóstej?

– Zgoda.

– Świetnie. Zatem do zobaczenia.

– Chwileczkę – szybko wtrąciła Nina. – Jak ja pana poznam?

Bernie Muller parsknął śmiechem. – Olbrzymi prostak. Ale proszę się tym nie kłopotać. Wiem, jak pani wygląda.

– Skąd?

– Widziałem panią na nagraniu. Proszę mi wybaczyć, ale pomimo tej ogromnej osobistej tragedii dobrze się pani prezentuje na ekranie.

Pożegnali się. *Pomimo tej ogromnej osobistej tragedii.* Jakże to typowe do telewizji. Nina prawie bez wahania zadzwoniła do programu *O piątej na żywo*. – O tak – odpowiedziała researcherka, która była na nagraniu w jej mieszkaniu. – Ten Australijczyk. Był u nas wczoraj.

Nina odebrała wypożyczony samochód i podjechała pod dom Suze. Nie chciała sama jechać do Connecticut. Ale Suze wyjechała. Zostawiła tylko liścik:

Nigdy nie przepraszaaj, nigdy nie wyjaśniaj, dobrze? Ale ja przepraszam i wyjaśniam, że mam ważne spotkanie w Paramount i muszę tam być. Zatrzymaj się u mnie. Lodówka jest pełna, a na górnej półce stoi butelka wina. Do zobaczenia wkrótce. Uściski, Suze.

Nina pomyślała o Jasonie. Ale Jason był w biurze. Nie mogła go o nic prosić. Od tygodni sam prowadził interesy. To byłoby nie fair. W tym momencie Nina postanowiła, że wróci do pracy, jak tylko z powrotem znajdzie się w Nowym Jorku. Z kolei pomyślała o tym Australijczyku, Bernieem Mullerze. Ale on nie podał nazwy hotelu, w którym się zatrzymał. Tak więc Nina sama pojechała do



Connecticut.

Terazniejszość ciągnęła się i ciągnęła.

Element numer trzy, bez kontaktu z pulsującą siłą elektromagnetyczną i zapachem żyjącej planety, przyjmował to, co elementy pierwszy i drugi mu dostarczały: pożywienie bez smaku i powietrze bez zapachu. Element trzy był wolny, wolny od odpowiedzialności, wolny od rozterek, wolny, by podążyć za swoim celem, którym było myśleć i przypominać sobie. Element numer trzy: żywy mózg w umierającym ciele.

To niezupełnie prawda z tym brakiem rozterek. Pominąłby w ten sposób doktora Roberta. – Zapalenie płuc – powiedział jakby cicho, znajdując się poza zasięgiem wzroku Happy'ego. – Obawiałem się tego.

– Co ma pan zamiar zrobić? – spytała Matka, też niewidoczna.

– Może niepotrzebnie użyłem słowa „obawiałem”. Raczej powinienem powiedzieć, że należy brać pod uwagę różne możliwości.

– Ale co pan zamierza zrobić?

– Potrzebne będą agresywne środki – usłyszał głos doktora Roberta. – Mamy kilka rozwiązań. – Wymienił trzy albo cztery leki niczym pogański kapłan wzywający bogów.

O Hero, Posejdonie, Anubisie, Thorze – uleczcie mnie. Doktorze, zaszczep mi Wenus, Marsa. Połóż boską tabletkę na moim języku. Tak, gorączka to dobra rzecz. Sprawiała, że przypominałem sobie imiona bogów i nie tylko to.

Zrobiło mu się gorąco i w tym ciepłe rozkwitła pamięć, a wspomnienia były jego celem. „Co pamiętasz? – zapytał go pierwszej nocy w Aix ten jego łaciński imiennik, Felix. – Co pamiętasz?”

Wtedy niewiele. Ale wystarczająco dużo, żeby mieć spocone dłonie – głupi żart. Niejasne wspomnienia, jak te historie czarnego rybaka, który opowiadał mu o ogniu na wodzie.

Teraz przypomniał sobie znacznie więcej. Na przykład słowa do *Mackie Majchra*. Po niemiecku. To nie tak, że on, element numer trzy znał teraz niemiecki. Znał go kiedyś. Rozumiał ten język, a może nawet nim mówił. Matka znała niemiecki. Fritz znał niemiecki. I także tata potrafił mówić w tym języku, z bardzo śmiesznym akcentem.

Tata. Tata przeniósł go do wspomnienia numer jeden, wspomnienia obudzonego przez kolorową tropikalną rybę na znaczku pocztowym,

przedpotopowego, ukrytego w najgłębszych zakamarkach jego rozgorączkowanego umysłu. Obsada: Happy, niania Betty, Tata, Fritz. Akcja, pierwsza scena: łódka na błękitnej tafli, palce zanurzone w ciepłej wodzie, muskane przez bąbelki białej piany wzbijanej przez łódkę, aż w końcu Betty uderza go lekko w dłoń i mówi, żeby uważał, bo wpadnie do wody i utonie. Druga scena: dzień na plaży z nianią Betty. Upalny dzień, schłodzone kokosowe mleko w papierowym kubku, a potem Betty śpiąca pod drzewem, Tata i Fritz gdzieś odchodzą.

Scena trzecia: spacer w lesie. Jest sam. Dookoła sosny i gąbczasty grunt pod nogami. Coś zaczęło przeblyskiwać między drzewami. Jezioro. Stanął na jego brzegu. Różne rzeczy unosiły się na nieruchomej wodzie. Zapleśniałe. Drewniana skrzynka. Kufer z mosiężnym zamkiem pokrytym patyną. Coś białego w rozsypanej się kamizelce ratunkowej.

Mały chłopiec stał przy jeziorze. Patrzył na pływające na wodzie przedmioty. Po chwili spostrzegł dwie liny przywiązane do drzewa blisko brzegu. Znikały pod powierzchnią wody. Wokół nich wydobywały się dwa strumienie pęcherzyków powietrza. Było tak cicho, że chłopiec słyszał, jak pękają. W pewnym momencie wydawało mu się, że usłyszał, jak niania Betty krzyczy między drzewami: Happy? Happy? Nie odpowiedział. Nie lubił niani Betty. Miała wysuszoną skórę, nie tak delikatną jak Mama, i chociaż nie uderzyła go wtedy mocno w łódce, to tylko dlatego, że był tam Tata. Biła go znacznie mocniej, gdy byli sami.

Stał i obserwował bąbelki, czasami unoszące się w długich sznurach, czasami pojedynczo. Dwie grupy bąbelków. Potem nagle została jedna.

Teraz pęcherzyki powietrza wydostawały się szybciej, zygzakami unosiły się w wodzie. Jedna lina napięła się, druga, całkowicie luźna, zaczęła wypływać, jej luźny, postrzępiony koniec znalazł się około stopy od powierzchni. Potem druga lina też się poluźniła i coś olbrzymiego wypłynęło z głębin, wzbijając w górę białą pianę. Skrzynka, wieko kufra, kamizelka unosiły się i opadały.

Był to potwór. Morski potwór. Nazywał się łuska, jak mu powiedział ten rybak. Miał tylko jedno oko, ale ogromne, większe niż głowa chłopca. Z pleców wyrastały mu błyszczące czarne czułki. Ich końce trzymał w ustach. Rozejrzał się wściekle wokół siebie, zobaczył linę z postrzępionym końcem, złapał ją, ale po chwili ją puścił i znów się rozejrzał.

Wtedy zobaczył chłopca. Słońce odbijało się w jego gigantycznym oku. Chłopiec próbował uciekać, ale nie mógł, próbował krzyczeć, ale nie był w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Stracił mowę, był sparaliżowany. Mógł tylko widzieć i słyszeć. Zobaczył, jak potwór wypływa z ust czułki. Usłyszał jego głos.

– *Geh veg.*

Potwór miał donośny i straszny głos, ale chłopiec dalej nie mógł się odezwać i wykonać żadnego ruchu.

– *Um himmels Willen, geh veg Kind.*

Chłopiec wrósł w ziemię. – Potwór possał swoje czułki, ale po chwili znów je wypluł. Wrzasnął. – *Du Lieber Gott! Keine Luft.*

Teraz chłopiec też krzyknął. Potwór znów wzbił pianę. Potem zanurzył się, ukazując błyszczące czarne stopy, złączone błoną, nienaturalnie duże. Chłopiec uciekł.

Biegł przez las, potykając się i upadając, ciężko dysząc i krzycząc. Gdzieś z oddali nawoływała niania Betty: – Happy? Happy? Happy? – Chłopiec próbował odpowiedzieć, ale nie mógł. Mógł jedynie potykać się i upadać, dyszeć i krzyczeć.

– Happy? Happy?

Przedpotopowe wspomnienia.

Trzy dni przed ostatecznym terminem złożenia apelacji z zatoki Zombie wyjechali ostatni goście: ostro pijąca para z Atlanty i kilku nurków z Montrealu. Matthias zwolnił wszystkich swoich pracowników, z wyjątkiem Moxiego, i zapłacił im za osiem tygodni. Na koncie w banku zostało mu tylko dziewięćset siedemdziesiąt dolarów. Kilku z jego ludzi pojechało do Nassau, kilku do Freeport, ale większość wróciła do swoich domów w Blufftown i Conchtown. Matthias zrozumiał to, co powinien wiedzieć od dawna: oni na niego już nie liczyli.

Krio dostał propozycję pracy z Barbadosu i St. Vincent. Zapakował swoje noże. Matthias odwiózł go na lotnisko.

– Zapalisz? – spytał Krio, proponując mu skręta, kiedy dzip podskakiwał na nierównej drodze.

Matthias pokręcił głową. – Nurkuję dzisiaj.

Krio przytaknął, wypuszczając ustami dym. Nie odzywał się, aż do momentu, kiedy podali sobie ręce przed schodami do samolotu. – Wszystko będzie dobrze – rzekł. – Dla mnie i dla ciebie. – Krio był pełen nadziei.

Jednak Matthias nie wierzył w Ras Tafari ani w inną dobrotliwą ponadnaturalną siłę. Zostały tylko trzy dni, a nie miał pieniędzy na złożenie apelacji, ani, wbrew temu, co mówił Ravoukian, żadnych szans na wygranie sprawy. Wrócił do zatoki Zombie i dokładnie pozamykał wszystkie domki. Na przystani Moxie mył łódki. Było tak cicho, że Matthias słyszał bulgot wody wydobywającej się z ogrodowego węża. Pomyślał o niedalekiej przeszłości i w wyobraźni zobaczył, jak nowi właściciele otwierają domki, zatrudniają niemal tych samych pracowników, wydają za dużo na broszury reklamowe i witają pierwszych gości może zbyt hucznie. Pieprzyć ich – pomyślał i ruszył w stronę magazynu. Pod koniec drogi prawie biegł.

Matthias zabrał wszystko, czego potrzebował: parę połączonych ze sobą nowych aluminiowych butli, każda z maksymalnym ciśnieniem 3300 p. s. i. oraz z oddzielnym regulatorem, następną parę butli z pojedynczym regulatorem do dekompresji, kombinezon, płetwy, fajkę, tablice dekompresji, piętnastofuntowy pas, dwie wodoodporne latarki z gwarancją do dwustu pięćdziesięciu stóp, długą nylonową linę, głębokościomierz, zegarek, kompas. Dostosował się do wszystkich zasad nurkowania w jaskiniach, z wyjątkiem pierwszej: nigdy nie nurkuj sam. Moxie był dobrym nurkiem, ale nie nurkował w jaskiniach, i Matthias nie miał

prawa, by go do tego zmuszać. Był to powód wynikający z zasad moralnych. Drugim powodem było to, że Matthias zawsze wolał nurkować sam.

Włożył sprzęt na dzipa i pojechał wąską dróżką, która okrążała zarośnięte zielskie pole do shuffleboarda i kończyła się w lesie niedaleko błękitnej dziury. Świeciło słońce, co sprawiało, że błękitna dziura przeblyskiwała między drzewami. Matthias założył sprzęt do nurkowania.

Nurkował dwa razy. Za pierwszym razem dotarł do czerwonej warstwy na głębokości pięćdziesięciu stóp i zostawił zapasowe butle w niszy w wapiennej skale. Za drugim – zanurzył się, nie korzystając na początku z aparatu tlenowego. Zszedł na głębokość stu dwudziestu dwóch stóp, włączył latarkę, kiedy dotarł do mrocznej słonej wody i wsunął się do jaskini, gdzie wcześniej znalazł marmurowe kamienie. Tutaj, przed otworem wielkości człowieka, włożył jeden z regulatorów do ust, przedmuchał go i zaczął oddychać powietrzem z butli. Włączył światelko w zegarku nad wskazówką minutową i następnie przywiązał koniec nylonowej linki do występu w ścianie, i wcisnął się do szczeliny. Butla ocierała się o skały, kiedy się przeciskał przez tunel, ale po kilku stopach zrobiło się luźniej i Matthias mógł poruszać się swobodnie. Lina z kołowrotka zaczepionego przy pasie rozwijała się po cichu. Matthias sprawdził, czy na dnie tunelu nie ma mułu, który wkrótce zredukowałby widoczność do zera, potem skierował światło latarki na sklepienie. Tam też nie było osadu, który mógłby opaść niczym deszcz przy najmniejszym poruszeniu. Zobaczył jedynie bąbelki powietrza przyczepione do szarego wapiennego sufitu wyglądające jak małe spłaszczone baloniki. Tkwiły nieruchomo: przesilenie pływu. Kiedy będzie wracał, rozpocznie się przyptyw. Na dnie Matthias zauważył kolejne śmieci: kawałki porcelany, zardzewiałe gwoździe, widelec z trzema zębami, ale nie miał czasu, by się im przyjrzeć. Płynął w głąb tunelu.

Nurkowie pracujący w jaskiniach lubią powtarzać, że to nie jaskinie zabijają nurków, ale oni zabijają się sami. Matthias jednak miał zbyt duże doświadczenie – przed wieloma laty nurkował w jaskiniach na Florydzie, gdy był przydzielony do specjalnego oddziału wojskowego z Panama City – żeby wiedzieć, że to nieprawda. Jaskinie zabijały nawet najbardziej ostrożnych i najlepiej przygotowanych nurków. Oficjalne orzeczenia zawsze brzmiały podobnie: awaria sprzętu, utrata butli, nieodpowiedni sprzęt, odurzenie azotem, zaburzenie pracy błędnika, zwykłe zabłądzenie, zbyt długie przebywanie pod wodą, nieumiejętność odczytania tablic dekompresji, choroba kesonowa, pomylenie kierunków, oddalenie się od partnera, zbyt długie poszukiwanie partnera, kurczowy uścisk umierającego partnera.

Jednak nieoficjalnie wszyscy wiedzieli, że jaskinie zabijają nurków. Na

otwartej wodzie też może przydarzyć się nieszczęście, ale zawsze jest czas, by wypłynąć na powierzchnię. W przypadku kłopotów w jaskini trzeba się najpierw z niej wydostać. Nurkowanie w jaskiniach to dla Matthiasa najbardziej niebezpieczny sport – bardziej niż boks, lotniarstwo, korrida, zapasy z niedźwiedziami. Ale nagrodą była możliwość przeżycia wrażeń podobnych do doświadczeń górników. Matthias sunął więc tunelem.

Tunel był typowy: rozszerzał się, zwężał, rozwidlał. Matthias spojrzał na kompas. Jeden z tuneli prowadził na północ, przynajmniej w zasięgu światła z latarki. Znieruchomiał przy nim. Nie wyczuł żadnych prądów. Drugi tunel prowadził w kierunku wschodnim. Ten był właściwy; Matthias czuł też lekki prąd wody niczym letnia bryza. Ta myśl wywołała u niego uśmiech, spojrzał na głębokościomierz: sto pięćdziesiąt pięć. Nie na tyle głęboko dla niego, żeby odczuwał skutki odurzenia azotem, a może precyzyjniej: jeszcze nigdy nie przytrafiło mu się to na takiej głębokości. Więc dlaczego się uśmiechał? Przestał.

Przywiązał linę przed rozwidleniem i sprawdził ciśnienie w butli: 2400 p. s. i. Spoko – jak lubił mawiać jego dowódca w Panama City. Jedna trzecia na wejście, jedna trzecia na wyjście, reszta w rezerwie. Matthias chwycił za występ we wschodnim tunelu i wciągnął się do środka. Dotknął liny na pasie, upewnił się, że się rozwija. Lina wzbijała trochę pyłu, ale niewiele. Jego dowódca też używał liny, ale nie uchroniło go to od zniknięcia w podwodnym labiryncie.

Matthias płynął na końcu świetlnego stożka. Zaczął myśleć o dniu, kiedy urodził się Danny. Było to zbyt freudowskie, ale nie mógł się powstrzymać. Myślał tak intensywnie, że niemal nie zauważył groty po lewej stronie. Zatrzymał się i zaświecił latarką. Snop światła dotarł do przeciwległej ściany znajdującej się jakieś trzydzieści stóp od wejścia. Kilka stalaktytów zwisało z sufitu, a dno pokrywał ciemny muł. Matthias machnął nad nim wolną ręką. Muł wzbił się w wodzie. Teraz Matthias zanurzył w nim rękę po ramię. Nie dotknął dna jaskini, jednak wyczuł coś palcami. Chwycił to i cofnął się do tunelu.

Był to dobrze zachowany wojskowy but. Muł chronił go przed działaniem tlenu rozpuszczonego w wodzie. Mógł być tu miesiąc, rok, kilkadziesiąt lat. But był zawiązany. Oczyszczył go paznokciami, a potem spojrzał na podeszwę, żeby sprawdzić, czy nie ma na niej jakiegoś napisu. Nie było, ale z buta wypadły jakieś małe kostki.

Matthias przywiązał but do liny i sprawdził ciśnienie: 1650. Popłynął dalej. Jego kompas wskazywał, że płynie w kierunku wschodnim. Odczytał głębokość: osiemdziesiąt stóp. To go zaskoczyło. Znaczyło to, że płynął w górę. Tunel wzniósł

się na siedemdziesiąt stóp, potem znów opadł do osiemdziesięciu, a dalej – dziewięćdziesiąt, sto, sto dziesięć. Na głębokości stu trzydziestu stóp tunel ciągnął się horyzontalnie, ale zrobił się węższy. Dno pokrywał gruz. Coraz grubiej, tak że w końcu Matthias nie mógł się dalej poruszyć. Cały tunel był zawałony kamieniami, z wyjątkiem otworu w górze wielkości pięści. Matthias włożył tam rękę, nic nie poczuwszy, cofnął ją. Czy to był koniec tunelu, czy może zawaliła się ściana? Jeśli tak, to jak duży jej fragment? Matthias skierował światło latarki w ten otwór. Zobaczył małego rekina, pierwsze żywe stworzenie w tej jaskini. Ryba uciekła. Matthias zastanawiał się, co może znaczyć jej obecność tutaj, potem zaczął szybko odrzucać kamienie. Staczały się w tunelu.

Mały rekin zniknął. Tunel ciągnął się dalej, rozszerzając się trochę. Matthias płynął nim, ale po niecałej minucie poczuł lekkie szarpnięcie na pasie. Spojrzał w dół i zobaczył, że skończyła się mu się lina. Zerknął na zegarek. Był pod wodą od dwudziestu pięciu minut. Ciśnienie: tysiąc sto. Głębokość: sto dwadzieścia. Jedna trzecia tlenu została już zużyta, lina się skończyła. Znow się uśmiechnął. Takie jest nurkowanie w jaskiniach: nic nie idzie, jak powinno.

Matthias odpiął kołowrotek z pasa i wcisnął go na stalagmit na lewej ścianie. Potem, bez liny, jak najgłupszy z amatorów, których ciał nigdy nie znaleziono, popłynął dalej.

Płynął teraz szybko. Tunel stał się szeroki jak garaż. Matthias mocno machał płetwami, nie spoglądał nawet na ciśnieniomierz. Potem nagle wszystko znikło, ściany, sklepienie, dno. Jakby nagle przekroczył urwisko wielkiego kanionu, tylko że nie spadł. Skierował światło latarki za siebie. Zobaczył wejście do tunelu, z którego wypłynął. Nad nim była wysoko zawieszona kopuła. Skierował teraz światło w dół. Prawie nie docierało do przeciwległej ściany. Jego wzrok podążył za żółtym kręgiem na ścianie. Głębokość przepaści wynosiła co najmniej sto stóp. Nie widział jej dna. Była to wyjątkowo ogromna podwodna jaskinia, gdzieś pod Andros, albo być może pod zatoką Zombie. Jego serce zaczęło szybciej bić. Niedobrze. Wziął kilka równomiernych oddechów, żeby uspokoić jego akcję. Sprawdził głębokość – sto pięćdziesiąt – i ruszył w dół.

Schodził powoli, poruszając się spiralnym ruchem, cały czas omiatając wokół siebie latarką. Widział mroczne jaskinie w ścianach, wypustki, białe wapienne kolumny. Ale nie widział dna. Dotarł do głębokości dwustu stóp, dwustu dwudziestu, dwustu trzydziestu. Na tej głębokości wciągał do płuc dziesięć funtów powietrza za każdym oddechem. Musiał coś zrobić, ale co? Coś freudowskiego? Roześmiał się i omal nie wypadł mu ustnik do oddychania. Mocniej zacisnął



zębami gumę.

– Cholera – mruknął i silnie uderzył płetwami.

Dwieście osiemdziesiąt stóp. Dwieście dziewięćdziesiąt. Trzysta. Odpowiedni moment na chwilę odpoczynku. Znów się uśmiechnął. Nagle zaczął marzyć o kobiecie, która czekałaby na niego na powierzchni. To marzenie było tak silne, że do oczu napłynęły mu łzy. Chciał je wytrzeć, ale po chwili przypomniał sobie, że ma na twarzy maskę.

Oszołomienie. Matthias chwycił do ręki ciśnieniomierz. O tym powinien pomyśleć. Sprawdził ciśnienie: 100 p. s. i. Jak tylko zobaczył tę liczbę, zaczęło brakować mu powietrza. Przełączył się do drugiej butli. Trzysta stóp pod powierzchnią. Siedemset albo osiemset od błękitnej dziury. „Etap pierwszy – mawiał jego dowódca – oszołomienie. Etap drugi – odurzenie. Etap trzeci, pochówek, o ile znajdą ciało”.

*Uciekaj.* Matthias po raz ostatni skierował latarkę w głąbiny. Tym razem zobaczył dno, a na nim stożkową stertę kamieni i innych obiektów, których nie był w stanie zidentyfikować.

– Cholera – mruknął, bo wiedział, że powinien wypływać na powierzchnię, jednak popłynął w dół. Matthias nigdy nie schodził niżej pod wodę niż na głębokość trzystu dziesięciu stóp. Nieliczni próbowali głębiej i tylko niektórym z nich udało się wrócić. Trzysta stóp to teoretyczna granica bezpieczeństwa. Poniżej azot nie stanowi już głównego problemu. Sam tlen może być zabójczy. Matthias zanurzał się coraz głębiej. Trzysta dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści. Czuł się niczym mały ptak latający po nocnym niebie. Powoli wykonał przewrót, chciał, żeby kobieta, która w marzeniach czekała na niego przy jeziorze, mogła to zobaczyć. Myślał, żeby zrobić dla niej kolejny przewrót, gdy zauważył jakieś przedmioty na stercie kamieni: rozerwaną i zardzewiałą metalową płytę. Zerknął kilka razy na głębokościomierz, ale jego umysł nie odnotował żadnej liczby. Zszedł głębiej i zobaczył teraz nity na metalu. Potem dostrzegł duży cylinder między skałami. Uświadomił sobie, że widzi kiosk okrętu podwodnego. Matthias zawisł nad stertą. Już miał zamiar sprawdzić głębokość, gdy zauważył coś białego. Nie mógł patrzeć na dwie rzeczy jednocześnie, więc zapomniał o głębokościomierzu. Podniósł ten biały przedmiot. Była to ludzka czaszka.

Czas płynął. Jezu, naprawdę? Matthias wpatrywał się w puste oczodoły. Jak długo to robił? Odłożył czaszkę. *Wycofuj się.* Ale się nie wycofywał. Patrzył, jak odłożona czaszka stacza się między innymi czaszkami i kośćmi, a w końcu znika z pola widzenia.

Wycofuj się.

Matthias wzbił się w górę. Po chwili latarka implodowała. Jego oczy jeszcze przez pewien moment widziały żółty krąg na stercie kamieni. Niczego nie był w stanie zobaczyć: ani kompasu, ani głębokościomierza. Otaczała go ciemność. *Nie panikuj. Panika równa się śmierć.* Matthias nie panikował. Oddychał powoli, regularnie. Dopiero po chwili przypomniał sobie o drugiej latarce, a kiedy sobie przypomniał, nie wiedział, gdzie ona jest. Obszukał całe ciało, znalazł ją z tyłu pasa. Trochę czasu zajęło mu odpinanie latarki, szukanie wyłącznika. Kiedy ją zapalił, światło oślepiło go. Skierował je przed siebie, a potem nad głowę. Zobaczył stertę kamieni niedaleko od siebie. Był do góry nogami. Zmienił pozycję i rozpoczął odwrót ku powierzchni.

Na głębokości trzystu dwudziestu stóp spojrział na ciśnieniomierz: 1900. Korzystał już z rezerwy. Powinien już się wynurzać, a tymczasem był bardzo głęboko. „Umrzesz, chłopie” – powiedział albo mu się tylko zdawało, że powiedział. Potem coś zobaczył na wschodniej ścianie, duży czarny wlot do jaskini z dużą wystającą półką. Leżała na niej walizka. Matthias podpłynął do półki i chwycił walizkę. Potem, mocno uderzając płetwami, ostro ruszył w górę. Jego serce znów zaczęło szybko bić, ale nic nie mógł na to poradzić. Trzysta stóp, dwieście osiemdziesiąt, dwieście pięćdziesiąt, dwieście. Za szybko szedł do góry, ale nie patrzył ani na mierniki, ani na zegarek. Patrzył na zachodnią ścianę. Gdzie był ten wylot? Na dwustu stopach? Dotarł do głębokości stu siedemdziesięciu pięciu stóp. Czyżby przegapił ten wylot i natrafi teraz na sklepienie nad sobą? Nikt tego nie wiedział.

Potem zobaczył wylot i szybko popłynął w jego kierunku. Zaczął jasno myśleć. Co było przed nim? Zaczepiony kołowrotek, rumowisko, jaskinia z butem. Nie miało to znaczenia. Gdyby dotarł do liny, byłby w domu. O ile starczyłoby mu powietrza. Spojrział na miernik: 950.

Przed nim tunel się zwężył, jak sobie przypominał. Potem się rozgałęział, czego sobie nie przypominał. Tunel rozwidłał się pod ostrym kątem i wcześniej Matthias nie zauważył tego rozwidlenia. Matthias zatrzymał się i zaświecił latarką w oba wejścia. Wyglądały tak samo. Jednak jeden tunel prowadził do błękitnej dziury, a drugi donikąd. Ciśnienie: 600. Nie mógł się pomylić. Znieruchomiał, miał nadzieję, że wyczuje jakiś prąd wody. Niczego nie poczuł. Czy nie powinno być już przypływu? Przypuszczalnie w tej jaskini występują różne inne zjawiska. Być może, albo już popełnił błąd i wszedł do złego tunelu z tej olbrzymiej komory ze sklepieniem?

*Podjmij decyzję.* Matthias znów zaświecił latarką do tych dwóch tuneli, miał nadzieję znaleźć coś, co je różni. Nic nie znalazł. Zamknął oczy, próbując siłą woli znaleźć właściwą odpowiedź. Z tego powodu omal nie umknął jego uwadze mały rekin, który wypłynął z tunelu po prawej stronie. Matthias popłynął nim, najszybciej jak tylko mógł.

Przełynął koło kołowrotka, nie zauważając go, więc nie był pewien, czy płynie w dobrym kierunku, aż światło latarki odkryło linę ciągnącą się na ścianie po prawej ręce. Czy to jego wyobraźnia, czy rzeczywiście zaczynało brakować powietrza w butli? Nie patrzył na ciśnieniomierz, bo nie miał na to czasu i poza tym nie chciał tego robić. Walizka spowalniała jego ruchy, ale nie miał zamiaru jej zostawiać. Ciągnął ją po rumowisku, minął jaskinię, gdzie znalazł but, dotarł do drugiego miejsca przywiązania liny. Miał coraz większe problemy z oddychaniem.

Wciągał do płuc powietrze, wypuszczał je, a potem szybko poruszał płetwami. Przełynął obok pierwszego miejsca przywiązania liny. U góry znajdował się otwór wielkości człowieka. Przepchnął przez niego walizkę i potem sam się precisnął. Płynął teraz pochyłym wlotem do jaskini, w kierunku błękitnej dziury.

Przestał pracować płetwami, wznosił się bardzo powoli. Zostało mu bardzo dużo powietrza, na trzy albo cztery wdechy. Spoko, komandorze. Przebił się przez czerwoną warstwę.

Jego zapasowe butle leżały tam, gdzie je zostawił: w niszy na głębokości pięćdziesięciu stóp. Położył walizkę na występie skalnym, zdjął plecak, położył go obok walizki, otworzył zawór zapasowych butli i go podłączył. Potem włożył regulator do ust. Wypuścił z płuc ostatnią porcję powietrza ze starych butli i wciągnął pierwszą z nowych. Powietrze płynęło swobodnie przez zawór. Wspaniale. Planuj, kiedy nurkujesz, wpaja się początkującym nurkom, i realizuj swoje plany.

Matthias zawisł przy półce skalnej, głęboko oddychał. Przez moment tylko to robił. Potem spojrzął na błękitną poświatę u góry. Oddychał i patrzył na błękit w górze. Miłe uczucie.

Matthias wyjął z kieszeni kombinezonu tabele dekompresji. Patrzył w nie przez kilka minut, ale nie były pomocne; kończyły się na głębokości trzystu stóp. Próbował przypomnieć sobie najwyższy odczyt na głębokościomierzu. Trzysta dwadzieścia? Trzysta trzydzieści? Potem przypomniał sobie, że nie spoglądał na miernik, kiedy był najgłębiej. Zszedł na głębokość siedemdziesięciu stóp. Pozostawał tam przez dziesięć minut. Tyle samo czasu spędził na głębokości sześćdziesięciu stóp. Wrócił na pięćdziesiąt. Piętnaście minut później uniósł się na

czterdzieści stóp. Potem trzydzieści, dwadzieścia, dziesięć. Z coraz większym trudem wciągał powietrze z butli. Zaczął żałować, że nie zabrał więcej zapasowych butli. Mógł więc jedynie opróżnić butlę do końca i wypłynąć na powierzchnię.

Kilka minut później wciągnął do płuc ostatnią porcję powietrza z butli i powoli machając płetwami, popłynął w górę. Jego ciało nie skręcało się ani pochylało, nie stracił kontroli nad nogami, nie czuł żadnych ukłuc w kręgosłupie, ramionach, biodrach, nie mrowiło go w palcach, nie bolały go oczy. To oznaczało, że bąbelki azotu nie krążyły w jego krwi, nie doznał odurzenia tym gazem. Szczęściarz.

Matthias przebił się nad powierzchnię wody i wziął głęboki oddech. Poczł na sobie promienie słońca i lekki wiatr i rozkoszował się tym. Potem położył walizkę na brzegu błękitnej dziury i wyszedł z wody. Siedział teraz na suchym lądzie. Ciepło słońca było jego, a jako bonus miał nieograniczoną ilość powietrza do oddychania. Nagle był szczęśliwym człowiekiem. Szczęśliwym i przebiegłym *jaskiniowcem*. Ta myśl przypominała mu o marzeniu, które miał w tej ogromnej komorze, marzeniu, żeby na powierzchni czekała na niego kobieta. Jego mózg też był komnatą ze sklepieniem. Spenetrował go i stwierdził, że nie stracił jeszcze zdolności do odczuwania miłości.

Spojrzał na walizkę.

Był to niewielki skórzany neseser z mosiężnymi rogami i dwoma mosiężnymi zatrzaskami. Mosiądz pokryła zielona patyna, a skóra z przyklejonymi do niej algami była jak namoknięty karton. Z rączki zwisała wizytówka. Napis był rozmazany, ale Matthias mógł go odczytać:

NAZWISKO: Goldschmidt

ADRES: 33. Wsch. 216, p. 234, Nowy Jork

TELEFON: (212) 555-6127

Matthias wcisnął przyciski, żeby otworzyć zamki, ale nic to nie dało. Z kieszonki na ramieniu wyciągnął nóż i rozciął walizkę. W środku znalazł dwie pary spodni, trzy koszule, majtki i skarpetki – wszystko się rozsypywało; plastikowe pudełko z maszynką do golenia, pęknięty pojemnik z pianką do golenia, pastą do zębów i grzebieniem; resztki książki, bilet lotniczy, coś, co mogło być paszportem i inne papiery, które rozpadały się w rękach i były nie do odczytania.

Na dnie walizki była kieszeń z zardzewiałym zamkiem błyskawicznym. Rozerwał go. Wypadły dwie plastikowe karty. Jedna wyglądała jak karta Visy, ale napis na niej głosił: *Carte Bleu. Banque National de Paris*. A na drugiej: *Fédération Française des Sports Aquatiques*. Właścicielem obu kart był Felix Goldschmidt. *Ale jaki Żydek może mieć na imię Felix* – przypomniał sobie słowa Minnsa.

Matthias usiadł przy błękitnej dziurze, składając razem karty. Różne możliwości zaświtały mu w głowie, ale jedna była najbardziej wyraźna: powinien jeszcze raz zanurkować do błękitnej dziury. Matthias przypomniał sobie występ, gdzie znalazł walizkę, oraz mroczne wejście do tunelu za nim. Nikt jeszcze nie znalazł błękitnej dziury z dwoma wejściami, ale przecież nikt nie zbadał wszystkich błękitnych dziur. Istnieją jaskinie mające dwa wejścia. A niebieskie dziury są jaskiniami. Poza tym rekin musiał skądś przyplłynąć. Czyli należało jeszcze raz ponurkować w błękitnej dziurze. Ale nie dzisiaj. Żadne tabele dekompresji nie przewidywały, co powinien zrobić, gdyby dziś po raz drugi zszedł tak głęboko.

Coś błysnęło między drzewami. Pojawił się Moxie ubrany w koszulkę bez rękawów. – Wszystko skończone – oznajmił.

- Skończone?
- Czyszczenie.

Matthias wyobraził sobie Moxiego szorującego łódzie, podczas gdy on był bezpośrednio pod nim, pod piaszczystym dnem i pod porowatą skorupą wyspy, sam w tunelu. Szczęściarz.

Moxie przyjrzał się sprzętowi rozłożonemu wokół błękitnej dziury, jego wzrok spoczął na walizce. – Co to?

- Walizka Felixa Goldschmidta.
- Felixa Goldschmidta?
- Tego faceta, który nurkował z Hiramem Standishem juniorem.

Moxie kucnął obok walizki, lekko musnął palcami mosiężne rogi i kiwnął na błękitną dziurę. – Tam ją znalazłeś? – spytał.

- Powiedzmy. Nurkowałeś kiedyś w tej błękitnej dziurze?
- Nie.
- A w innych?
- Też nie.
- Nie byłeś ciekawy?

Moxie pokręcił głową.

- Chyba nie wierzysz w te łuski?

Moxie uśmiechnął się nieśmiało. – Nottage mówi, że tam są.

– Nie ma żadnych potworów w błękitnych dziurach – oświadczył zdecydowanie Matthias. W każdym razie nie takie, o jakich myślał Moxie. Ale muszą być potwory innego rodzaju – uznał zaraz, przypominając sobie czaszki w jaskini. Podał kartę nurka Felixa Goldschmidta Moxiemu. – Widziałeś ją kiedyś?

- To ta francuska – odparł Moxie. – Zaniósłem ją Brockowi.
- I co potem?
- Mówiłem już wiele razy. Policji, sędziemu, wszystkim.
- Opowiedz mi raz jeszcze.
- Brock powiedział, żebym napełnił butle.
- Nie zauważyłeś u niego nic dziwnego? Może był zdenerwowany albo zmartwiony?
- Nie.
- Czy pokazałeś mu tę drugą kartę?
- Drugą?
- Kartę Hirma Standisha.
- PADI? Nie, wiedziałem, że ta karta jest w porządku.

– Czy Brock spotkał się tam z Hiramem Standishem?

– Nie wiem.

– Czy widziałeś ich razem?

– Nie.

– Więc może Brock nawet nie słyszał nazwiska „Standish”.

– Może. – Moxie dotknął paznokciem karty. – A jak to się znalazło w błękitnej dziurze?

– To jest pytanie. – Matthias zrobił rysunek na piasku. Narysował błękitną dziurę, tunel, jaskinię z wysokim sklepieniem, występ skalny. Na występie postawił znak X. – Tu była walizka.

Moxie wpatrywał się w rysunek. – To wszystko pod wodą?

– Pod dnem, pod zatoką Zombie. Stąd dotąd jest jakieś siedemset stóp. Ale dotąd około pięćset. Tu skończyła mi się linka.

– Pod zatoką Zombie? – spytał Moxie spokojnym głosem. Dotknął litery X. – Jak głęboko?

– Jak głęboko ją znalazłem?

Moxie przytaknął.

– Trzysta dwadzieścia.

Moxie zmierzył wzrokiem Matthiasa. – Robisz mnie w konia. – Jednak dostrzegł coś w wyrazie twarzy Matthiasa, co odpowiedziało na jego pytanie. Odwrócił wzrok. Potem zaczął się śmiać. – Zszedłeś na trzysta dwadzieścia? Trzysta dwadzieścia stóp?

– Głębiej.

– Głębiej? To dlaczego żyjesz? Dlaczego oddychasz?

– Szczęście.

– Szczęście? – Moxie znów się roześmiał. Ten ostry śmiech był nietypowy dla niego. – Zwariowałeś. Szukasz śmierci?

– Chcę odkryć, kto zabił tego Felixa Goldschmidta, kto jest odpowiedzialny za śpiączkę Standisha i dlaczego – powiedział Matthias.

Moxie przestał się śmiać.

– Zabił? – spytał.

– I upozorował na wypadek – rzekł Matthias i pomyślał: wypadek, który obciążył mnie. Wstał. Przez chwilę poczuł zawroty głowy, zachwiał się. Szczypały go oczy, w palcach pojawiło się mrowienie, skóra stała się napięta.

– Dobrze się czujesz? – spytał Moxie.

– Nic mi nie jest – odparł Matthias i zaczął zbierać rzeczy.

Moxie mu pomógł. Zanieśli wszystko do dżipa i pojechali do klubu.

Moxie prowadził. Matthias raz się odwrócił, by spojrzeć na błękitną dziurę prześwitującą między drzewami.

Usiedli potem w barze. Matthias oddychał czystym tlenem z butli i skóra przestała go boleć. – Piwo? – spytał Moxie, kiedy Matthias odstawił butlę.

– Armaniak – odparł Matthias i wysłał Moxiego po butelkę. Wcale nie miał tak dużej ochoty na ten trunek, ale jego ciało zaczęło lekko drżeć i nie chciał, by Moxie to widział. Nalał sobie szklanekę wody i wypił ją, potem następną i następną. Dreszcze ustąpiły. Odezwał się Chick.

Matthias zaniósł walizkę Felixa Goldschmidta do biura. Położył ją na biurku, obok telefonu. Było tak cicho, że zastanawiał się, czy nie uszkodził sobie słuchu. Potem usłyszał fale rozbijające się o brzeg i Chicka mówiącego coś w barze. Podniósł słuchawkę i podał operatorowi numer z walizki. Słyszał wybieranie numeru, a potem na długo zapadła cisza. Już zaczął czekać na informację o zmianie numeru albo jego zablokowaniu, gdy rozległ się dzwonek. Odebrała jakaś kobieta.

– Słucham? – Powiedziała tylko to jedno słowo, ale Matthias wiedział, że kobieta jest stara i angielski nie jest jej ojczystym językiem.

Zastanawiał się, co powiedzieć.

– Halo. Halo – odezwała się znowu.

Matthias bał się, że może odłożyć słuchawkę, więc zapytał wprost: – Czy zna pani Felixa Goldschmidta?

– Felixa? Felixa? Ma pan jakieś nowe wiadomości od Felixa? – Nagle zaczęło się wydawać, że kobieta jest bardzo blisko, jakby emocje były w stanie zmniejszyć odległość.

– Niezupełnie. Znalazłem jego walizkę. Był na niej numer pani telefonu.

– Walizkę?

– Małą skórzaną.

– Z mosiężnymi rogami?

– Tak. Widziała ją pani wcześniej?

– To moja walizka. Pożyczyłam mu ją, kiedy... Ale mówił pan, że nie ma pan o nim żadnych nowych wiadomości...

– No, nie wiem. Czy jest pani jego znajomą?

– Jestem jego matką, proszę pana. A pan, kim jest, jeśli mogę zapytać?

Matthias wyobraził sobie, że ona siedzi skulona nad aparatem, w obu rękach ściska słuchawkę. – Nazywam się Matthias. Jestem właścicielem hotelu na Bahamach.



– Walizka była w pana hotelu?

– W pobliżu. Znalazłem ją dziś, ale...

– Ale co, panie Matthias?

– Kiedy po raz ostatni widziała się pani z synem?

– Trzydziestego sierpnia ubiegłego roku. W tym miejscu. Ale dlaczego pan o to pyta?

– Ponieważ sądzę, że pani syn utopił się tutaj w oceanie kilka dni później.

– To niemożliwe. Felix pływał... pływa jak delfin.

Jak Happy Standish – przynajmniej tak twierdziła jego matka, przypomniał sobie Matthias.

– Pani Goldschmidt, obawiam się, że to prawda.

Zapadła cisza na dłuższą chwilę. – A teraz pan tak po prostu znajduje tę walizkę?

– Pod wodą, pani Goldschmidt. A my nie mieliśmy możliwości zidentyfikować pani syna. Jego ciało nigdy nie wypłynęło na powierzchnię.

– Więc dlaczego pan uważa, że utonął? Może gdzieś żyje.

– Nie sądzę. Poszedł nurkować i nigdy nie wrócił...

W tle rozległ się męski głos: – Hilda, o co chodzi? – Pani Goldschmidt uciszyła mężczyznę, a potem zwróciła się do Matthiasa:

– Jest pan tam?

– Tak. Przykro mi, że musiałem pani to powiedzieć.

– Panu jest przykro...

Matthias nie odezwał się. Słysząc było strzępy jakichś innych rozmów telefonicznych. Potem do Matthiasa dotarł odgłos chyba tłumionego płaczu.

– Pani Goldschmidt?

Cisza.

– Pani Goldschmidt?

– O co chodzi? – spytała spokojnym teraz głosem, bez wyrazu.

– Może pani wie, dlaczego pani syn właśnie tutaj przyjechał?

– Nie wiem, co ma pan na myśli.

– Czy czegoś szukał?

– Nic na ten temat nie wiem. Zupełnie.

– Ale pani mówiła, że widziała się z nim, bezpośrednio przed jego przyjazdem tutaj. Dała mu pani walizkę.

– Tak.

– I nie mówił pani, co zamierza?

– Nie.

– A dlaczego miał francuską kartę nurka i francuską kartę kredytową?

– Bo był obywatelem Francji – odrzekła, nie walcząc już z czasem przeszłym.

– Czy kontaktowała się pani z kimś z Francji?

Zapadło długie milczenie. Potem pani Goldschmidt powiedziała: – Dzwoniłam do szkoły. Nie wrócił tam.

– Jakiej szkoły?

– Uniwersytetu Aix-en-Provence. Felix tam wykładał.

– Co?

– Historię. Specjalizował się w historii Żydów.

– A jak poznał Happy'ego Standisha?

– Słucham?

– Hirama Standisha juniora. Człowieka, z którym nurkował, kiedy... z którym tu przyjechał.

– Hilda – powiedział mężczyzna w tle – dlaczego nie... – Coś stłumiło jego głos. Na linii zapadła cisza. Potem Matthias usłyszał, jak pani Goldschmidt szepcze: „sza”.

– Zapytałem panią o Happy'ego Standisha – powiedział Matthias.

– To nazwisko nic mi nie mówi.

– Pani syn go znał. Spędzili wspólnie trochę czasu na Florydzie.

– Przepraszam, ale nie mogę panu pomóc.

– Nie może pani?

– Nie, ja... Dziękuję, że pan zadzwonił. Muszę kończyć.

– Chwilę, pani Goldschmidt. Czy nie chce pani wiedzieć, co przytrafiło się Felixowi...

– Przecież pan mówił.

– Mówiłem, co się wydarzyło, ale nie dlaczego. Nie chce pani tego wiedzieć?

– Powiedział pan, że utonął. Wiem, co to znaczy. Zamiast powietrza do płuc dostaje się woda. Do widzenia.

Usłyszał, jak odkłada słuchawkę, a potem delikatny szum. Uniósł wzrok i zobaczył Moxiego w drzwiach, w ręku trzymał butelkę armaniaku i dwa kieliszki.

– To była matka Felixa Goldschmidta – wyjaśnił mu Matthias. – Ona nie chce wiedzieć, co się mu stało.

– Jest we Francji? – spytał Moxie.

– W Nowym Jorku.

– Nowym Jorku? – Moxie zmarszczył czoło.

– Właśnie. Dlaczego?

Moxie uniknął jego spojrzenia.

*Jeśli chcesz mi coś powiedzieć, mów.* Matthias zachował tę myśl dla siebie; wypowiadając ją głośno, skłoniłby Moxiego do milczenia. Czekał więc.

Moxie wyszedł z biura i ruszył trawnikiem między nim a barem. Oparł się o maszt. Flagi – bahamska, klubu i wesoły Roger – łopotały na wietrze. Moxie spojrzał na nie i westchnął. Matthias z daleka słyszał to westchnienie.

Moxie odwrócił się do niego. – Znasz Casey?

– Casey?

– Tę od biletów?

Matthias wyszedł na zewnątrz, oparł się o framugę drzwi. – Tak.

– Ma przyjaciółkę w Nassau...

Matthias nic nie powiedział.

– Ta jej przyjaciółka też sprzedaje bilety.

– No i?

– W liniach amerykańskich. – Moxie głęboko zaczerpnął powietrza. – To prawda, że znalazłeś tę walizkę na trzystu dwudziestu stopach?

– Mogę ci pokazać to miejsce.

Moxie roześmiał się radośnie, po chwili ten śmiech przeszedł w chichot. Matthias wiedział, że Moxie nie uważa go za przyjaciela, jednak w jego oczach było coś przyjaznego, gdy powiedział: – Brock wcale nie poleciał na Florydę, jak mówił. Ta dziewczyna z Nassau powiedziała Casey, że wsiadł na samolot do Nowego Jorku.

Jeszcze tego samego dnia Matthias znalazł się na pokładzie samolotu Nassau-Nowy Jork. Włożył najcieplejsze rzeczy, jakie miał: sztruksy, flanelową koszulę i wiatrówkę, ale to nie był odpowiedni ubiór na zimę w Nowym Jorku. Już dawno nie jeździł na północ od Florydy. Było mu zimno, kiedy czekał na taksówkę na lotnisku Kennedy'ego, zimno w taksówce, gdzie nie mógł porozumieć się z kierowcą ze względu na barierę językową i grubą szybę, i powiedzieć mu, żeby zamknął okna i włączył ogrzewanie. Było mu zimno, gdy przechodził przez Piątą Aleję i wchodził do hotelu Plaža.

Zapomniał już, jak żyją niektórzy ludzie. Zapomniał o futrach, diamentach, starych ludziach bez zmarszczek na twarzy, o tym wszystkim, co tak pociągało Marilyn, aż w końcu rzuciła go i zaczęła prowadzić bogate życie przy boku Howiego Nero. Matthias w swojej wiatrówce, sztruksach i flanelowej koszuli

przeszedł obok kobiety w czarnej jedwabnej sukience, która stała na niewielkim podeście i grała Mozarta na skrzypcach. Podeszedł do recepcji.

Recepcjonista, który wyglądał jak partner do tańca dla Katharine Hepburn w komediach z lat trzydziestych, odwrócił się do niego i angielszczyzną jak u Hewa, zapytał: – Czym mogę służyć? – Uprzejmie, profesjonalnie i bezosobowo. Jednak coś w jego oczach kazało Matthiasowi pomyśleć o Dannym. *Mama mówi, że jesteś dinozaurom.*

– Chciałbym zobaczyć się z jednym z waszych gości. Nazywa się Brock McGillivray.

– Chwilkę – odrzekł recepcjonista, stukając w klawiaturę. Przez kilka sekund patrzył w ekran, a potem powiedział: – Nie mamy gościa o tym nazwisku.

– Może się już wyprowadził? – zasugerował Matthias.

– Wyprowadził?

– I zostawił swój następny adres.

Recepcjonista znów wcisnął kilka klawiszy. Wydawał się nieszczęśliwy, kiedy mówił: – Niestety, nikt o nazwisku McGillivray nie mieszkał tu w ciągu ubiegłego tygodnia. – Zawiesił głos, a potem lekko wydał usta. – Jeszcze w czymś panu pomóc?

– Proszę sprawdzić nazwisko Muller.

– Słucham?

– B. Muller.

Recepcjonista jeszcze bardziej wydał usta. Już chciał coś powiedzieć, kiedy zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę i rozpoczął rozmowę.

Matthias zaczął sobie nie dowierzać. Trudno było wyobrazić sobie Brocka w Płaza. Kiedy Matthias sięgał do kieszeni po rachunek, który znalazł w sprężynach łóżka Brocka, kątem oka dostrzegł otwierające się drzwi windy z drugiej strony holu i wychodzącego z niej Brocka.

Prawie go nie rozpoznał. Brock miał teraz krótkie włosy, kolczyk w uchu i łańcuch na szyi znikły. Niósł na ramieniu płaszcz, ubrany był w czarny garnitur, białą koszulę, brązowy krawat, a na nosie miał okulary w oprawkach ze skorupy żółwia. Matthias nigdy nie widział, żeby nosił okulary. Z wyjątkiem postury Brock doskonale pasował do hotelu Płaza. Jego wzrost przyciągnął kilka dyskretnych spojrzeń. Brock zdawał się nie zwracać na nie uwagi. Włożył płaszcz – długi, czarny, z rozcięciem z tyłu, taki, jaki mógłby nosić bogaty ranczer – i wyszedł na Piątą Aleję.

Dinozaur odwrócił się i podążył za nim.



Ogromne bożonarodzeniowe drzewo leżało na prowadzących na północ pasach drogi ekspresowej Bruckner. Zablokowało tysiące pojazdów na Bronksie, między innymi wypożyczone auto Niny. Wywołało też ogromny entuzjazm u reportera zajmującego się korkami drogowymi.

– Nigdy nie widziałem czegoś takiego – wykrzyknął, nie próbując ukryć swojej radości.

W samochodzie stojącym obok wozu Niny mężczyzna z zaczerwienioną twarzą coś krzyczał do telefonu komórkowego. Nina poszukała w radiu stacji z muzyką klasyczną. Śpiewał Caruso. Słuchała go, dopóki nie rozległy się pierwsze dźwięki *Salut Demeure*. Potem wyłączyła radio.

Zaczął padać śnieg. Minęła wreszcie miejsce wypadku. Robotnicy przeciągnęli choinkę na pobocze. Cięli ją piłami, jakby dla przykładu chcieli ją ukarać. Policjant gwizdnął i nerwowym ruchem nakazał Ninie jechać dalej.

Aż do Danbury były korki. Śnieg ograniczał widoczność, odcinając Ninę od świata zewnętrznego. Jedyne musiała jechać z bezpieczną prędkością we właściwym kierunku. Bez żadnych czynników zakłócających jej myśli wróciła do wspomnień pobudzonych przez *Salut Demeure* – przypomniała sobie noc, kiedy rodziła. Pamięć już przetworzyła te wydarzenia. Wyrzuciła czekanie, ból, pielęgniarstwo, nawet Suze; został głównie koniec: śpiewający doktor Berry i dziecko z poważnymi niebieskimi oczami. Idealne dziecko, ze wszystkimi palcami u rąk i nóg.

*Mam nadzieję, że pani wie, jak ważne jest właściwe odżywianie i zdrowy styl życia w trakcie ciąży.*

Kto to powiedział? Nina nie mogła sobie przypomnieć. Czy to było ważne? Skreśliła na Route 7, próbowała się skoncentrować. Jednak umysł nie chciał jej pomóc. Zajął się imionami dla chłopców i zatrzymywał się na każdym z nich. Imiona materializowały się niczym fotografie w ciemni. Nina zmuszała się, by ich nie widzieć, odmawiała sobie tej przyjemności, zwykle tak ciepłej, matczynej, ale w tym przypadku nieistotnej, masochistycznej. Nie mogła szukać żadnej przyjemności w tym, co jej zrobiono. Nigdy nie zapomni, nigdy nie wybaczy, nie zaakceptuje, nie podda się kuracji. Chyba że ktoś udowodni jej, że jej dziecko żyje, jest gdzieś. A to oznaczało, że nie powinna rezygnować. Spoczywał na niej pewien obowiązek.

Nina wmówiła to sobie i przez kilka mil czuła się silna i zdeterminowana. Ale w fotograficznej ciemni imiona chłopców nadal nabierały kształtów. Włączyła głośno radio, by się ich pozbyć. W samochodzie rozległy się dźwięki reggae.

*Kiedy to przychodzi*

*Gdy to czujesz*

*Wiesz, dlaczego jest źle*

*To jest w tobie, oh yeah, yeah, yeah*

*Powiedz sobie, że przyjdzie moc, przyjdzie, oh yeah*

*Moc przyjdzie do ciebie*

Nina wjechała na wzgórze. Przez moment śnieg padał dużymi gęstymi płatkami. Nina skręciła w wąską drogę, potem następną. Jednak kiedy przekroczyła granice miasteczka Washington, śnieg nagle przestał padać. Po krótkiej chwili znów zaczął, ale bardzo powoli i delikatnie.

Miasto było jak ze snów o starej dobrej Ameryce. Niewielkie ogrody otaczały białe domy w stylu kolonialnym. Nie było żadnych śmieci, błota, żadnych ogłoszeń, żadnych śladów biedy, konfliktów ani czegoś równie niemilego. Nie widziało się nawet żadnych oznak, jak zarabiane są tu pieniądze. Nieskazitelnie biały śnieg pokrywał wszystko: białe domy, trawniki i olbrzymie stare dęby i świerki. Nina czuła się, jakby znalazła się w kryształowym naczyniu, na które jakiś olbrzym delikatnie prószył śniegiem. Ściszyła radio i przecięła trawnik.

Poczta znajdowała się za nim, obok kościoła kongregacyjnego. Nina zaparkowała samochód i weszła do środka. Za okienkiem zobaczyła pierwszą żywą istotę w tym mieście. Był to mały mężczyzna z odstającymi uszami i spiczastym językiem, którego używał do lizania naklejek z napisem: OSTROŻNIE – SZKŁO.

– Czy mógłby mi pan pomóc? – spytała Nina. – Szukam Fundacji Standisha.

– Fundacji? – powtórzył urzędnik, przyklejając naklejkę na paczce, którą postawił na stercie za sobą.

– Fundacja Standisha. Skrytka pocztowa 101.

– To pani Standish – rzekł mężczyzna. – Nie wiem o żadnej fundacji. – To słowo zdawało się go zirytować, jakby pochodziło z jakiejś bardziej rozwiniętej cywilizacji.

– Zgadza się – odparła Nina. – Czy mógłby pan powiedzieć, jak ją znaleźć?

– Już pani wie.

– Już wiem?

– Skrytka 101.

Urzędnik na poczcie w Nowym Jorku mógłby też nie udzielić jej żadnych informacji, ale zrobił to ku swojej własnej satysfakcji. Ten człowiek chronił prywatność pani Standish niczym stary służący. – Ale ja chciałabym z nią rozmawiać – powiedziała Nina.

Urzędnik pocztowy zlustrował ją wzrokiem od dołu do góry, ale nie oceniał jej seksualnej atrakcyjności, lecz tylko status społeczny. – Czy spodziewa się pani wizyty?

– Nie znam jej – odparła Nina – ale przejeżdżałam tędy, a jej dobra znajoma z Paryża poprosiła mnie, żebym ją pozdrowiła, jeżeli to możliwe. – Mówiła obojętnym głosem, jakby ten urzędnik miał też przyjaciół w Paryżu i było to dla niego coś normalnego.

Mężczyzna potarł jednodniowy zarost na podbródku. Chyba wyobraził sobie, że pani Standish odkryje, iż jej prośba „utknęła” gdzieś na prowincjonalnej poczcie. Potem wziął stertę listów i odwróciwszy się plecami do Niny, zaczął je szybko segregować. – Sto dziewięć, na wschód – rzucił. – Musi pani skręcić w trzecią drogę po prawej. Zobaczy pani bramę.

– Dziękuję – rzekła Nina.

Urzędnik włożył do przegródki jakiegoś odbiorcy czasopismo o architekturze.

Nina znalazła trzeci skręt w prawo niemal milę za ostatnim domem w mieście. Była to nie odśnieżona droga gęsto porośnięta po obu stronach przez gęste krzewy, które przesłaniały niebo i ocierały o dach samochodu. Tylne koła ślizgały się na śniegu i często rzucało pojazdem. Nina, która rzadko prowadziła samochód, a nigdy w takich warunkach, tak się skupiła na kierownicy i pedałach, że omal nie przegapiła bramy wjazdowej. Zjechała na pobocze i wysiadła.

Brama zamontowana na dwóch betonowych słupach znajdowała się między drzewami. Wykonana była z ostro zakończonych wysokich prętów. Nacisnęła kławkę, ale brama była zamknięta. Bezskutecznie szukała jakiegoś dzwonka.

Spojrzała między prętami. Biel śniegu ciągnęła się do odległego domu. Tę monotonię rozbijało tylko kilka drzew bez liści i wystające spod śniegu drewniane słupki ogrodzenia. Był to dom z takich, jakie wydawcy czasopisma *Wiejskie Życie* lubią umieszczać na okładce – czterokondygnacyjny, z główną bryłą i dwoma skrzydłami, z kamienia, który przypuszczalnie błyszczał, kiedy świeciło słońce.

– Halo! – krzyknęła Nina. – Halo!

Pomachała ręką na wypadek, gdyby ktoś obserwował ją przez okno. Nie było żadnej odpowiedzi. Potem potrząsnęła bramą, miała nadzieję, że zamek tylko



zamarzł. Znow spróbowała. Potem stała w śniegu, który padał teraz znacznie mocniej. Robiło się coraz zimniej. Nina nie widziała żadnych śladów stóp, opon, żadnego zaparkowanego samochodu, żadnych śladów życia.

Ludzie, którzy mają takie domy jak ten, może nie mieszkają w nich w grudniu – pomyślała Nina. Zastanawiała się, czy nie wrócić na pocztę i zapytać, czy ktoś odbiera przesyłki dla pani Standish. Ale nie chciała kolejnej rozmowy z urzędnikiem. Zamiast tego podeszła do jednego z kamiennych słupów i usiłowała precyzyjnie się między nim a rosnącym obok drzewem. Tym drzewem był świerk, więc kiedy poczuła ukłucie w udo, pomyślała, że to igła, i dalej się przepychała. Potem coś ostrego dotknęło jej policzka. Odskokzyła do tyłu z ręką na twarzy. Kiedy spojrzała na swoją rękę, zobaczyła na niej krew. Delikatnie odsunęła teraz gałęzie. Między nimi był gęsto założony drut kolczasty. Nina wróciła do bramy, znow spojrzała przez nią i spostrzegła, że posiadłość otacza nieprzerwany mur wiecznie zielonych roślin. Poszła dwadzieścia albo trzydzieści jardów w jednym kierunku, potem w drugim, rozchylała gałęzie drzew, ale wszędzie znajdowała drut kolczasty. Wróciła do bramy, patrzyła na śnieg, paliki, na dom. Robiło się jej coraz chłodniej. Czerwone kropki pojawiły się na śniegu obok jej stóp. Nina dotknęła ręką policzka. Tym razem na jej ręce było więcej krwi. Przypatrywała się jej przez kilka sekund. Potem wcisnęła nogi między żelazne pręty i zaczęła się wspinać. Najpierw u Laury Bain, a teraz tu: stawała się powoli uporczywą włamywaczką.

Wspięcie się na szczyt bramy było łatwe. Dopiero później zaczęły się problemy. Po pierwsze, musiała w jakiś sposób zrobić obrót i znaleźć się po drugiej stronie. Po drugie, mosiężne zakończenia prętów były tak ostre, na jakie wyglądały. Po trzecie, było wyżej, niż się to wcześniej wydawało. Z rękami na zimnych metalowych prętach Nina uniosła nogę i postawiła ją na mosiężnym ostrzu. Potem po kolei chwyciła rękami pręty po drugiej stronie. Musiała teraz jedynie przerzucić drugą nogę nad prętami i jednocześnie zmienić chwyt. Wszystko było idealnie zaplanowane niczym duże spotkanie w pracy. Nina mogła nawet sobie wyobrazić ten układ ruchów. Wyobraziła go sobie kilka razy. Potem spróbowała.

Idealnie uniosła stopę i szybko zrobiła obrót. Jednak ze zmianą ułożenia rąk jej nie wyszło. Zamiast tego usłyszała, jak coś się rozdziera, poczuła ból z tyłu nogi i zobaczyła niebo, a na nim szare chmury nad drzewami. A potem usłyszała łomot, który wydawał się pochodzić z jej piersi. Uszło z niej całe powietrze. Próbowwała ponownie wciągnąć je do płuc, ale nie mogła.

Leżała na plecach w śniegu i walczyła o oddech. Powoli zaczęła oddychać normalnie. Usiadła, przyjrzała się rozdarciu z tyłu spodni i zadrapaniu na nodze,

strząsnęła śnieg z kołnierza. Z wyjątkiem krwi to zdarzenie przypomniało jej przygodę na wycieczce na narty, na którą pojechała z jednym ze swoich *chłopaków*. W końcu wstała i ruszyła w kierunku domu.

Podjazd nie był odśnieżony, ale widoczny. Nina zbliżyła się do budynku. Był większy, niż się wydawał z daleka, wykończony z przepychem: okna witrażowe, kolumnada na drugim piętrze, masywne podwójne drzwi ozdobione witrażami z gotyckimi głowami aniołów. Nina zobaczyła przycisk w kamiennej ścianie obok drzwi. Wcisnęła go.

W domu rozległ się odgłos dzwonek. Potem zapadła cisza. Nina znów wcisnęła przycisk. Dzwonki. Cisza. I już ponownie wyciągnęła rękę w kierunku przycisku, kiedy usłyszała szczęknięcie. Drzwi się otworzyły.

Siwowłosa kobieta stała w drzwiach, a obok niej największy, najczarniejszy, najbardziej błyszczący doberman, jakiego do tej pory Nina widziała. Jego oczy obserwowały Ninę. Nie podobało się im, co widziały. Napięły się mięśnie na grzbiecie psa, wściekle zaszczekał.

– Cicho, Zulu – powiedziała kobieta, nie unosząc głosu ani też nie dotykając ani nie spoglądając na psa. Natychmiast przestał szczekać, ale jego mięśnie pozostały napięte. Kobieta spoglądała na policzek Niny. – Tak? – odezwała się.

– Pani Standish? – spytała Nina.

– Zgadza się.

Nina przygotowała mały wstęp, ale wskutek upadku wszystko się jej poplątało. To, i wygląd pani Standish, sprawiło, że nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Nina uznała, że pani Standish chyba nigdy nie brała pod uwagę tego, że rysy jej twarzy albo budowa ciała kiedykolwiek się zmienią. Miała idealny układ kości, idealną skórę, idealną postawę. Gdyby nie gęste siwe włosy opadające jej na ramiona i głęboko osadzone oczy z tęczówkami tak intensywnie niebieskimi, że wyglądały na wykonane z ceramiki, pani Standish mogłaby uchodzić za osobę w wieku Niny. W ciemnoszarym tweedowym kostiumie, z diamentowym naszyjnikiem i szafirowymi kolczykami wyglądała, jakby spodziewała się w każdej chwili fotografa z *Wiejskiego Życia*. Do tego wszystkiego nie pasował jedynie niebieski sweterek, który właśnie robiła na drutach. Musiała jeszcze dokończyć jeden rękaw.

– Jestem Nina Kitchener – przedstawiła się Nina.

Kobiety wymieniły spojrzenia. – Czy my się znamy? – spytała pani Standish. – Nie sędzę, żebym się kiedykolwiek z panią spotkała.

– Nie, nie spotkałyśmy się – odparła Nina. – Przyjechałam tu z Nowego Jorku,

mając nadzieję, że będzie pani w stanie mi pomóc.

– W jaki sposób?

– To dotyczy Human Fertility Institute.

– Human Fertility Institute?

– Jest własnością Fundacji Standisha, prawda?

– O Boże – wyrzuciła z siebie pani Standish. – Obawiam się, że przyjechała pani za późno.

– Co pani ma na myśli?

– Chyba niedawno sprzedaliśmy ten instytut. Nie pamiętam dokładnie komu.

– Standard Foods. Prosta wymiana na akcje.

– Niemożliwe, wie pani więcej ode mnie.

– Mam nadzieję, że nie – powiedziała Nina.

Pani Standish uśmiechnęła się. Miała małe zęby, białe, idealne; uśmiech – wieloznaczny.

– Rozcięła sobie pani twarz – zauważyła.

– Wiem.

– Proszę iść ze mną. Mam w kuchni apteczkę.

Nina weszła do domu. Pies zawarczał i zablokował jej drogę.

– Zulu – skarciła go pani Standish – bądź grzeczny.

Zulu przestał warczeć. Wpuścił Ninę, ale potarł o nią swój twardy pysk, kiedy przechodziła obok. Poszła za panią Standish korytarzem z podłogą z biało-różowego marmuru. Obraz przedstawiający męczeństwo Świętego Sebastiana wisiał na przeciwległej ścianie. Olbrzymi święty, z wyrazem ogromnego cierpienia na twarzy, wbijał wzrok w niebo. Nina nie musiała czytać podpisu, żeby wiedzieć, że to dzieło El Greco.

Na korytarz wychodziło wiele drzwi, które były otwarte. W przelocie Nina zobaczyła perskie dywany, obite pluszem meble, gobeliny i rzeźby. Dalej, prostopadle, był korytarz prowadzący do jednego ze skrzydeł budynku. Znajdowała się tam kuchnia. Weszły do niej. Stała tam zamrażarka, dwie lodówki, dwie zwykłe kuchenki i jedna mikrofalówka; na ścianie wisiały rondle i patelnie. Jednak chyba z niej nie korzystano; nie czuło się żadnych zapachów, nie było miski z owocami, żadnych naczyń w zlewie. Pani Standish otworzyła szafkę i wyjęła z niej brązową buteleczkę i pudełko z opatrunkami.

– Niech pani podejdzie do światła – powiedziała.

Nina stanęła przy oknie. Wychodziło na wzgórze. U ich stóp znajdował się kamienny domek. Przed jego drzwiami stała taczka pełna śniegu, a z komina unosił

się dym.

– Niech zobaczę... – powiedziała pani Standish. Uniosła podbródek Niny i przyjrzała się rozcięciu na policzku.

Dłoń pani Standish była chłodna i pachniała perfumami o aromacie róż. Jednak Nina wyczuła bardzo słaby zapach świeżego potu.

– Płytką raną – oceniła pani Standish. – Sądzę, że nie trzeba jej zszywać. – Puściła podbródek Niny, otworzyła brązową buteleczkę i zanurzyła w niej wacik. – Trochę będzie bolało – rzekła, ponownie chwytając Ninę za podbródek i dotykając jej policzka wacikiem.

Być może dlatego że Nina nie była na to przygotowana, bolało ją bardziej, niż powinno. Nie potrafiła powstrzymać krzyku, cofnęła głowę. Czuła, jakby pani Standish wbiła w jej twarz gorącą igłę. Głęboko osadzone oczy obserwowały ją niewzruszenie.

– Do diabła, co to? – spytała Nina.

– Jodyna – odparła pani Standish. – Chyba nie chce pani nabawić się jakiejś infekcji.

– Jodyna? Przecież już się jej nie używa.

– Naprawdę? – zdziwiła się pani Standish. – Mój mąż był lekarzem i często ją stosował.

– Ale to musiało być dawno temu – zauważyła Nina i zaraz zaczęła żałować, że to powiedziała.

– O tak. – Pani Standish uśmiechnęła się. Wzięła mały opatrunek i usunęła osłonę. – Mogę?

Nina podeszła bliżej. Pani Standish sprawnym ruchem przykleiła opatrunek na twarzy Niny, jej wzrok skupił się na tym zadaniu. Nina spojrzała jej w oczy. Były jak dzieła sztuki, ale z kultury, której Nina nie знаła – nic nie mogła z nich odczytać. Nina czuła zapach róż i potu, ale nie potu pani Standish. Ona sama się spociła.

– To wszystko – rzekła pani Standish, zamykając butelkę i odstawiając ją do apteczki.

– A teraz, pani Kitchen, może...

– Kitchener.

– Och, czy może pani jest z rodziny lorda Kitchenera? O ile się nie mylę, mój ojciec kilka razy się z nim spotkał.

– Nie – odparła Nina. – Powiązanie jest jednostronne.

– Powiązanie?

– Przybraliśmy tylko to nazwisko.

Pani Standish zamrugła oczami. – Nie rozumiem.

– Ktoś ze strony ojca. Przed pierwszą wojną światową.

– Chce pani powiedzieć, że zmienił nazwisko?

– Właśnie. Chyba to nic niezwykłego.

Pani Standish skierowała wzrok w stronę okna. – Oczywiście, że nie, pani Kitchener. – Spojrzała na Ninę i uśmiechnęła się. Oczywiście uczestniczyły w tym uśmiechu. – Może gdzie usiądziemy? – Pani Standish wzięła swoją robótkę i poprowadziła Ninę jednym korytarzem, potem drugim. – Może w tym małym salonie – rzekła pani Standish, otwierając drzwi. – Tutaj będziemy mogły spokojnie porozmawiać. Jest tu cicho.

W całym domu jest cicho jak w grobie – pomyślała Nina. A ten mały salon był większy niż całe jej mieszkanie. – Proszę usiąść – powiedziała pani Standish, wskazując na krzesło obite złotym jedwabiem. Nina usiadła, świadoma, że ma rozdarte spodnie i rana na nodze przypuszczalnie jeszcze krwawi.

Pani Standish usiadła na drugim, bliźniaczym krześle. Oba stały zwrócone do marmurowego kominka z brzoźowymi kłodami. Ogień jednak się nie palił. Nad kominkiem wisiał El Greco, ten obraz przedstawiał ukrzyżowanie. To nie był jedyny tego rodzaju obraz w pokoju, inny wisiał w rogu. Ten przedstawiał Chrystusa i dwóch świadków jego męczeństwa ze złotymi, wypłowiałymi aureolami.

– Myślę, że autentyczny – powiedziała Nina, mając na myśli obraz nad kominkiem.

Pani Standish źle ją zrozumiała. – O tak – odparła. – Z kamieniołomów w pobliżu Sieny. Kiedyś to było łatwo dostępne.

– Mówię o obrazie, nie marmurze.

– O tym *Ukrzyżowaniu*?

– Tak.

– Czy autentyczny?

– Właśnie, czy to autentyczny El Greco?

– A, rozumiem. No tak. Nie należy do najlepszych jego dzieł, ale nie jest pozbawiony artyzmu. – Nina spojrzała na pięć krwawych ran, pomyślała o czterech u świętego Sebastiana, i przypomniała sobie, że pani Standish nie zapytała, w jaki sposób rozcięła twarz.

Pani Standish założyła nogę na nogę – miała długie ładne nogi, wciąż dobrze umięśnione. Sięgnęła po robótkę. – Więc chciałaby pani porozmawiać o fundacji?

Mam nadzieję, że nie chodzi pani o stypendium. To zupełnie nie leży w mojej gestii.

Nagle w głosie pani Standish rozległo się coś znajomego. Jednak Nina nie była w stanie przywołać żadnych skojarzeń. – Nie, nie chodzi mi o stypendium, pani Standish.

– To dobrze. Miło jest przyjmować gości tu na wsi, o ile nie przyjeżdżają w sprawie pieniędzy albo stypendium.

– Nie przyjechałam tu w sprawie pieniędzy ani stypendium – rzekła Nina. – Jak już wspomniałam, jestem tu w sprawie Human Fertility Institute.

– No tak – mruknęła pani Standish, uśmiechając się. Ten uśmiech niósł swoje znaczenia.

– Czy może pani wie, gdzie jest teraz doktor Crossman? – spytała Nina.

– Doktor Crossman? – Pani Standish zrobiła kilka oczek na drutach. Druty szczykały o siebie i rękaw zaczął nabierać kształtu. Był to ładny sweter, z kotwicą na piersi.

– Dyrektor tego instytutu. Przynajmniej nim był.

– Nie znam tego nazwiska.

– Ale pan Percival powiedział, że zatrudniła go pani.

– Ten Percival ma nieprecyzyjne informacje – odparła pani Standish, nie reagując zupełnie na dźwięk tego nazwiska.

– Może inaczej, fundacja go zatrudniła.

– To nie jest niemożliwe. Nie miałam żadnego kontaktu z ludźmi zajmującymi się sztucznym zapłodnieniem.

– A kto miał?

– Mogę zapytać, dlaczego ten lekarz panią interesuje?

– Byłam klientką tego instytutu. Doktor Crossman przeprowadzał zabieg zapłodnienia. Moje dziecko zostało porwane ze szpitala. A teraz doktor Crossman znikł i instytut przestał funkcjonować. Czy to wystarczający powód mojego zainteresowania tym lekarzem?

Pani Standish odłożyła robótkę. – To straszne. – Położyła ozdobioną biżuterią dłoń na robótkę. – Jednak ciągle nie rozumiem, czego pani chce od tego lekarza. Czy jest podejrzany o porwanie?

– Nie. Ale przypuszczalnie zna nazwisko dawcy spermy i ja chcę je znać.

– Czy ten dawca jest podejrzany?

– Tak.

– W takim przypadku jestem zaskoczona, że policja się ze mną nie

skontaktowała.

– Policja nie bardzo chce mi pomóc.

– O Boże – jęknęła pani Standish, znów biorąc robótkę. Wykonała kilka szybkich ruchów drutami i znalazła się za łokciem.

– Problem polega na tym, że nie mogę znaleźć Crossmana i nikt nie wie, co się stało z archiwum instytutu.

– To rzeczywiście kłopot.

– Dla mnie to znacznie więcej niż kłopot – rzekła Nina.

– Naturalnie. – Pani Standish znalazła się teraz w połowie drogi do nadgarstka.

– Pani Standish, ma pani tę dokumentację?

– Ja? – zdziwiła się, unosząc wzrok.

– Więc musi ją mieć fundacja.

– Nie mam pojęcia. Właśnie tego pani chce? Żeby pomogła pani znaleźć tę dokumentację?

– Tak – odrzekła Nina. – Ktoś z fundacji musi o niej wiedzieć. Kto zajmował się instytutem?

Pani Standish westchnęła. – Rada.

– I kto w niej był?

– Ja. Percival. I Happy.

– Happy?

– Mój syn.

– Czy mogłabym z nim porozmawiać?

– Porozmawiać z Happyem?

– Ponieważ pani i pan Percival nic nie wiecie. Zostaje więc tylko pani syn, o ile nie ma jeszcze innych członków rady.

– Nie ma – rzekła pani Standish. Zrobiła ostatni rząderek oczek, odcięła wełnę nożyczkami, które wyciągnęła z kieszeni żakietu, uniosła sweter i mu się przyjrzała. – Możemy porozmawiać z Happyem, jednak problem polega na tym, że on nic nie odpowie.

– Nie rozumiem.

Pani Standish złożyła starannie sweter i położyła go na kolanach. – Czy słyszała pani o syndromie zamknięcia?

– Nie.

– To rodzaj śpiączki – wyjaśniła, patrząc Ninie w oczy. – Chory jest świadomy, ale całkowicie sparaliżowany. Największa trudność to stwierdzić, że to ten przypadek. Jeżeli chodzi o mojego syna, to jesteśmy niemal pewni, że nie utracił

świadomości. Ale nie na sto procent.

– Jest w stanie śpiączki?

– Od półtora roku. I tak do końca życia, które będzie dla niego męką, bo teraz stał się podatny na różne choroby.

Nina odwróciła wzrok. Żadne słowa nie przychodziły jej na myśl. Ziemia zawirowała jej pod nogami. Pani Standish to wyczuła. Spuściła wzrok na sweterek.

– Teraz pani widzi, dlaczego pani współczuję. – Milczała przez pół minuty, może dłużej, patrzyła w przestrzeń i palcami gładziła sweter. – Zrobię co w mojej mocy, żeby pani pomóc.

– Tak?

– Jutro rano porozmawiam z Percivalem. Ale musi mi pani dać trochę czasu. Percival się z panią skontaktuje. – Wstała.

Nina też podniosła się z krzesła. – Dziękuję pani, pani Standish. Pani Standish uśmiechnęła się.

Nina zauważyła, że na złotym jedwabiu zostawiła krwawą plamę.

Pani Standish odprowadziła ją do frontowych drzwi. Przed nimi leżał Zulu z napiętymi mięśniami. – Bądź grzeczny – uspokoiła go pani Standish. Zulu pozostał naprężony. Pani Standish otworzyła drzwi.

Na korytarz wpadły płatki śniegu. Na dworze szalała śnieżycą, wiatr pędził tumany śniegu, przed progiem usypał z niego zaspę. – Dobry Boże! – wydobyła z siebie pani Standish, przekrzykując wycie wiatru. – Nie może pani wyjść w taką zawieję. – Zatrzasnęła drzwi.



Zapadł zmrok. Natura ukazała swoją siłę, blokując ruch na okolicznych drogach i odcinając od świata małe miasteczka wśród wzgórz zachodniego Connecticut.

– Proszę mówić do mnie Inge – zaproponowała pani Standish.

Siedziały w jadalni, jadły kanapki z tuńczykiem i piły wodę. W kominku paliły się brzoźowe kłody, choć Nina nie widziała, żeby ktoś je podpalił. – Mieszka tu pani sama? – spytała.

Pani Standish skończyła przeżuwać. – Dzisiaj służba ma wolne – odparła. – A ten dom nie jest taki duży, na jaki wygląda, zwłaszcza że południowe skrzydło jest zamknięte.

Siedziały na końcu dużego ciemnego stołu, pani Standish na szczycie, a Nina z boku, twarzą do kominka. Pośrodku stołu paliły się świece, ale wydawały się tak odległe, tylko nieznacznie oświetlały pokój. To pomieszczenie mogłoby być średniowiecznym refektarzem i przypuszczalnie nim było, zostało przewiezione przez ocean i zrekonstruowane. Sufit i ściany pokrywała ciemna boazeria ozdobiona rozetami. W kątach pokoju stały ozdobne szafy i kredensy, nad kominkiem wisiał olejny portret przedstawiający bladego mężczyznę w ciemnym garniturze. Nina wcześniej widziała tę twarz.

– Kto to jest? – zapytała.

Pani Standish uniosła wzrok. Światło świec i z kominka zamigotało na jej delikatnej twarzy, ale głęboko osadzone oczy pozostały w cieniu. – Hiram Standish. Mój mąż. – Patrzyła na mężczyznę na portrecie. – Oczywiście, dawno już odszedł. Wydaje się, że minęło całe życie. – Oderwała wzrok od obrazu, uniosła do ust szklanekę i napiła się. – Jak większość kobiet mam trzy życia: przed małżeństwem, małżeństwo, po małżeństwie.

Czasy się jednak zmieniły, Nina i wiele innych kobiet mają teraz tylko jedno życie, to pierwsze, albo przez to drugie przeszły tak szybko, że to zupełnie się nie liczy. – W instytucie był inny jego portret – rzekła Nina.

Pani Standish przytaknęła. – Założyliśmy ten instytut, żeby uczcić jego pamięć.

Nina czekała, żeby pani Standish mówiła dalej. Kiedy tak się nie stało, spytała: – Jaką miał specjalizację?

– Położnictwo. Ale jego pasją były badania naukowe. Większość czasu spędzał w laboratorium.

– Jakiego rodzaju badania prowadził?

– Zajmował się płodnością. Jak mój ojciec.

– Pani ojciec też był położnikiem?

– Nigdy nie praktykującym. Uczył i prowadził badania. – Odwróciła się do Niny. – Tak otrzymał pierwszy lek na bezpłodność. – Nina słyszała dumę w jej głosie, zastanawiała się, czy w jej oczach pojawiły się łzy, ale mogła zobaczyć jedynie cienie. Pani Standish chrząknęła. – To było w 1922 roku – ciągnęła normalnym głosem.

Normalny głos – zastanowiła się Nina – który już wcześniej słyszała. I czy był normalny? Uznała, że ten angielski, doskonały, nawet stylowy, niekoniecznie był pierwszym językiem pani Standish.

– Gdzie?

– Co gdzie?

– Gdzie pani ojciec prowadził te badania?

– Na różnych uniwersytetach, w różnych instytutach – odparła pani Standish. – Tam, gdzie znajdował fundusze.

– Czy trafił na rynek? – spytała Nina, zastanawiając się, skąd pochodziły te wszystkie pieniądze.

– Na rynek?

– No ten lek na bezpłodność.

– Niezupełnie – odparła pani Standish. – Był wykorzystywany w dalszych eksperymentach i oczywiście stanowił punkt wyjścia do syntezy nowoczesnych leków.

– Wygląda to na bardzo istotne odkrycie. Jak się nazywał?

– Ma pani na myśli mojego ojca?

– Tak. Czy on jeszcze żyje?

Pani Standish odsunęła talerz z resztkami kanapki i wstała. – Mój ojciec zmarł w czasie wojny – powiedziała. – A jego nazwisko nic pani nie powie. Nie zdobył sławy, na jaką zasłużył. – Podeszła do okna. – Niech pani na to spojrzy.

Nina odwróciła się. Za oknem widać było jedynie padający śnieg. Zerknęła na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Wypiła wodę, ale zostawiła większość kolacji, którą przygotowała dla niej pani Standish. – Czy któreś z pani dzieci też zostało położnikiem?

Pani Standish zmarszczyła czoło. – Happy jest jedynym moim dzieckiem – odparła. – A on nie. Miał upodobania artystyczne... ma, powinnam powiedzieć. Nie sądzę, żeby zainteresowania zmieniały się. nawet w takich okolicznościach, prawda?

Pani Standish już nie wyglądała przez okno. Patrzyła teraz na Ninę, oczy miała oświetlone, surowe i błękitne.

– Tego nie wiem – rzekła Nina.

Pani Standish prychnęła, jakby zobaczyła coś wulgarnego w twarzy Niny. Wróciła do stołu, usiadła i zaczęła pić wodę.

– Może wina?

– Nie, dziękuję.

– Mogę przynieść butelkę ze spiżarni.

– Ale ja nie mam ochoty.

– To ja też zrezygnuję – powiedziała pani Standish, wpatrując się w miniaturowe płomyki w brylancie pierścionka.

– Czy pani syn rozpoczął już karierę artystyczną?

– W pewnym sensie. Studiował na wydziale muzycznym, został krytykiem. Publikował recenzje.

– Gdzie?

– W różnych gazetach i czasopismach.

– Jako wolny strzelec?

– A co w tym złego?

– Nic. Jaką muzyką się zajmował?

– Popem – odparła pani Standish. To słowo wydało się wywołać u niej odrazę.

– Czy to sweterek dla jego dziecka?

– Sweterek?

– Ten, który robiła pani na drutach. Myślałam, że to dla pani wnuka.

– Wnuka?

– Bo jest taki niebieski.

Zmarszczka w kształcie litery V pogłębiła się na czole pani Standish. – Happy nigdy się nie ożenił. – Znów spojrzała na Ninę, jej oczy jeszcze raz znalazły się w cieniu. – Nie, nie był homoseksualistą, czy coś w tym rodzaju. Miał dziewczyny, ale wszystkie nieodpowiednie. – Jej szklanka z wodą napełniona była w trzech czwartych. Opróżniła ją jednym haustem. Kiedy znów się odezwała, jej głos był spokojny. – Nie było pośpiechu, rozumie pani. Mężczyzna może ożenić się w każdym momencie. Kobieta musi się spieszyć. Myślę o posiadaniu potomstwa. – Przerwała i jej głos stał się mocniejszy, kiedy dodała: – Nie muszę chyba pani o tym mówić.

– To właśnie dlatego trafiłam do tego instytutu.

Pani Standish potaknęła. Zamilkła. Drewno trzaskało w kominku. Pani Standish

uniosła rękę i wygładziła zmarszczkę na czole. Nina próbowała sobie wyobrazić ją jako babcię i przyszło jej to bez trudu – babcię, która chodzi na herbatki do Carlyle i ma dom na południu...

Pewna niespokojna myśl wpadła Ninie do głowy, ale nie zdążyła jej dokładnie przeanalizować, bo pani Standish powiedziała:

– Proszę powiedzieć mi coś o pani rodzinie.

– Mój ojciec pracował w banku, a matka była nauczycielką. Oboje nie żyją, a nie mam rodzeństwa.

– Ale pani jest jeszcze młoda. Jak umarli pani rodzice?

– Na raka.

– Raka?

– W końcu pojawiły się inne choroby, ale wszystko zaczęło się od nowotworów.

– O Boże – jęknęła pani Standish. Wyglądała na zdenerwowaną. – Czy w przeszłości było dużo takich przypadków w pani rodzinie?

– Nie mam pojęcia.

Ukryte oczy pani Standish przez dłuższą chwilę obserwowały Ninę. – No dobrze. – Potem spojrzała na zegarek.

– Wie pani, która godzina?

– Tak.

Obie wyjrzały za okno i zobaczyły to, co mogły zobaczyć od dłuższego czasu. – Niestety, chodzę wcześniej spać – rzekła pani Standish. – Będzie musiała pani zostać tu na noc.

– Naprawdę nie mogę.

Pani Standish znów uśmiechnęła się wieloznacznie. Ogień z kominka odbił się na jej małych równych zębach.

– A ma pani jakieś inne wyjście?

Nina wyobraziła sobie wypożyczony samochód zakopany gdzieś w śniegu, nieprzejezdne drogi. Nie było innego wyjścia.

– Mamy przyjemny mały pokój dla gości w północnym skrzydle – powiedziała pani Standish. – Wszystko jest tam przygotowane.

Poprowadziła Ninę długim korytarzem, potem dwa piętra po schodach i innym korytarzem do narożnego pokoju z jednym oknem wychodzącym na drogę, a drugim na południowe skrzydło. Był to ładny pokój, z meblami w kwiatowe ornamenty, firanami i łóżkiem z baldachimem. – Łazienka jest tam – pokazała pani Standish. Odchyliła kołdrę i poklepała poduszkę. – Proszę dobrze spać. – Wyszła i

zamknęła drzwi.

Kroki pani Standish ucichły na korytarzu. Nina podeszła do okna wychodzącego na drogę i zobaczyła świat, który mógł być wykreowany przez Jacksona Pollocka używającego tylko bieli i czerni. Usiadła na łóżku, jej ciało zapadło się w miękkim puchowym materacu. To kazało Ninie pomyśleć o Europie. Tak samo wzory na ścianie: ciemne niebo z miejskim krajobrazem na dole. Otworzyła wszystkie szuflady i szafki z nadzieją, że może znajdzie tam telewizor, radio albo coś innego, co połączy ją ze światem zewnętrznym, nie dotkniętym śnieżną burzą. Znalazła jedynie drewniane wieszaki, książkę – *Cierpienia młodego Wertera* w oryginale – dwa ręczniki, mydło z hotelu Plaža i wizytówkę. Na jej dole był pletwonurek, niebieskie bąbelki unosiły się na całą wysokość. *Klub zatoki Zombie* – przeczytała Nina na tej wizytówce. *N. H. Matthias, skrytka poczt. 9, Blufftown, Andros, Bahamy. Tel. (809) 555-9865.*

Nina weszła do łazienki. Wszystko, co można było pokryć złotą farbą, pokryto, nie wyłączając ramy lustro nad umywalką. Spojrzała na swoje odbicie. Zobaczyła fioletowy siniec wystający spod opatrunku i smugę zakrzepłej krwi. Dlaczego pani Standish nie wspomniała o krwi, a nawet zdawała się jej nie zauważyć? Nina spryskała twarz zimną wodą i wytarła krew. Siniec pozostał.

Nina zdjęła buty i położyła się na łóżku. Nie wchodziła pod pościel, naciągnęła tylko na siebie kołdrę. Pościel była ładna: delikatna, w tulipany i niebieskie dzwonki, ale Nina nie chciała jej dotykać. Włączyła nocną lampkę i zamknęła oczy. Pod powiekami czekała na nią biel i czerń Jacksona Pollocka – te dwa kolory przedstawiały stan jej umysłu. Trudno było wybrać. Skupiając się na jednym fakcie – obietnicy pomocy ze strony pani Standish – Nina próbowała zasnąć.

Długo próbowała, leżała na miękkim łóżku w olbrzymim domu, wsłuchiwała się w swój własny mały świat oddechu i duży – burzy śnieżnej. Potem poddała się. Wstała z łóżka.

Wyrzała przez okno wychodzące na drogę. Nie zobaczyła jej. Widziała jedynie śnieg. Potem szybę pokryła mgiełka z oddechu i zamazała nawet widok zamieci. To przez tę mgiełkę Nina nie była pewna, czy widziała żółte światło dochodzące z drogi. Zanim wytarła szybę, światło, jeżeli w ogóle istniało, znikło.

Nina stała przez chwilę przy oknie, czekając na ponowne pojawienie się światła. Potem zrezygnowała. Znow położyła się do łóżka i naciągnęła na siebie kołdrę. Nie potrafiła nawet zamknąć oczu. Wstała, wyrzała przez okno, zobaczyła śnieg, potem wyrzała przez inne, to wychodzące na zamknięte skrzydło.

Spostrzegła zielone światło w oknie na parterze. Nie było zbyt jasne, ale stałe.

Zamknęła oczy, otworzyła i ponownie spojrzała; światło wciąż się świeciło.

Nina obserwowała je. Mijały minuty. Nina wiedziała, co ma zrobić na długo przed tym, jak to zrobiła.

Otworzyła drzwi od swojego pokoju. Ruszyła korytarzem. Światła były wyłączone, ale przez okna wpadał blask nocy, nawet tak bezgwiazdnej i bezksiężycowej. Dotarła do schodów i zaczęła cicho schodzić w dół. Pokonała dwa piętra i znalazła się na dużym korytarzu bez okien. Szła teraz w całkowitej ciemności, wyczuwając drogę rękami. Wiele pokoi było otwartych na korytarz – ogromne przestrzenie pełne cieni, które zdawały się poruszać pod jej spojrzeniem, choć wiedziała, że to tylko meble. Doszła do jadalni. W kominku żarzyły się węgielki na tyle silnie, że można było zobaczyć Zulu śpiącego na dywanie. Nina zamarła. Zulu wzdrygnął się, ale się nie obudził. Przypuszczalnie pomyślał, że jej zapach jest częścią jakiegoś złego snu. Nina przeszła na palcach.

Na końcu korytarza były już okna. We wpadającym przez nie świetle Nina spostrzegła zamknięte drzwi. Przekreśliła gałkę, otworzyły się bez żadnego skrzypienia: pani Standish była zbyt bogata, by mieć skrzypiące drzwi. Przed sobą Nina zobaczyła schody prowadzące w ciemność i korytarz obok nich. Znalazła się w południowym skrzydle...

Nina poszła tym korytarzem. Pod bosymi stopami czuła dywan; czy wciąż byłyby dywany w zamkniętym skrzydle domu? Nie wiedziała. Nigdy wcześniej nie była w budynku ze skrzydłami, chyba że jako turystka. Przed sobą zobaczyła zieloną poświatę.

Przebijała się przez szczelinę w drzwiach po jej prawej stronie. Stanęła przed nimi, nasłuchiwała. Nic nie słyszała. Położyła dłoń na gałce. Powoli obróciła ją i lekko pchnęła drzwi.

Prowadziły do pokoju. Nina wyraźnie zobaczyła, że to monitor na ścianie oświetla wszystko na zielono. Zielona linia ciągnęła się na ekranie, unosiła się, tworząc pik, potem opadała. I tak bez końca. Pośrodku pokoju stało łóżko. Biegły od niego przewody, także od urządzeń przy nim. W łóżku leżał jasnowłosy mężczyzna. Kołdrę, podobną do tej, jaka była w pokoju Niny, miał naciągniętą pod brodę. Nad nim wisiała torba kroplówki, w nosie miał rurkę do oddychania. Oczy tego jasnowłosego mężczyzny były otwarte. Patrzyły na sufit – biały, oddzielony od białych ścian połączonym gzymsem. Przy nim wisiała pajęczyna. Tłusty pająk, zielony w świetle monitora, tkwił w bezruchu przy ścianie.

Nina weszła do pokoju, zbliżyła się do łóżka. Nie tłumiła kroków, ale jasnowłosy mężczyzna nie przestawał wpatrywać się w sufit. Nina stanęła obok

łóżka i spojrzała na mężczyznę. Miał delikatną twarz, z niebieskimi oczami równie pięknymi jak u pani Standish, ale łagodniejszymi.

– Happy?

Mężczyzna wciąż patrzył w sufit.

Umieranie jest jak życie: pełne niespodzianek. Kiedy doszedł do wniosku, że stał się jednym z trzech elementów urzędnika, a świat zewnętrzny ograniczył się do trzech osób: Matki, Fritza i doktora Roberta, nagle pojawiła się obca osoba, mówiąc: – Happy?

Ta obca kobieta znalazła się w zasięgu jego wzroku. Była zielona, ale wiedział, że to ze względu na noc. Noce są zielone, kiedy umierasz. To kolejna niespodzianka.

Kobieta miała piękne ciemne oczy. Było coś znajomego w tych oczach, wypełniała je siła, bolesne przeżycia z trudem kontrolowane. A może zbyt dużo w nich wyczytał. Prawdopodobnie. Nigdy nie był dobry w takich ocenach, a teraz znajdował się we władzy doktora Roberta i jego leków.

Homary? Czy ta zielona kobieta miała coś wspólnego z homarami? Był jakiś skandal. Z PCB. Czy to ona zatruła ocean tymi związkami? Raczej nie. Kobieta wciąż mu się przypatrywała.

Powiedz coś.

– Jestem Nina – powiedziała kobieta, jakby na komendę. Miała ładny głos. – Czy mnie słyszysz? Twoja matka mówi, że jesteś w stanie słyszeć.

Potem sobie przypomniał: nie chodziło o tę aferę z homarami, ale o porwanie. *Bardzo chcę, żeby moje dziecko wróciło do mnie.* Jaką wspaniałą miał pamięć. A dlaczego by nie? Pamiętanie było jedynym celem elementu numer trzy.

Ciemne oczy obserwowały go. Jakże były różne od oczu Matki, Fritza, doktora Roberta – niczego nie ukrywały. A jeśli coś ukrywały, to robiły to bardzo umiejętnie, co na jedno wychodzi. Tak? Do cholery! Jego umysł zaczął pracować niczym silnik na jałowym biegu. Nie myśl za dużo. Spójrz na tę kobietę. Wyjątkową kobietę, to oczywiste. Która odezwała się do niego, kiedy miał na to nadzieję. Odpowiednia kobieta, Matko? To zależało od jej pochodzenia. Spojrzał w jej ciemne oczy, ale nie był w stanie nic powiedzieć o pochodzeniu tej kobiety.

Mów do mnie.

Ale ta kobieta się nie odezwała. Spoglądała na niego przez jakiś czas, patrzyli sobie w oczy, chyba jak kochankowie? A potem ona się cofnęła, poza zasięg jego spojrzenia, poza jego horyzont. Usłyszał oddalające się kroki, ale nie słyszał otwierania lub zamykania drzwi. Zamiast tego dotarł do niego szelest papieru.



Nina przemierzyła pokój Happy'ego Standisha. Przyjrzała się trzem fotografiom wiszącym nad biurkiem. Wszystkie przedstawiały Happy'ego, który prawie nie przypominał mężczyzny leżącego w łóżku. Zdjęcie pierwsze: młody długowłosy Happy Standish, ubrany w sweter, klęczy w pierwszym rzędzie drużyny piłkarskiej. Zdjęcie drugie: trochę starszy Happy Standish, z trochę krótszymi włosami serwuje piłkę tenisową, raketę trzyma w lewej ręce. Zdjęcie trzecie: jeszcze starszy Happy Standish w stroju wieczorowym, uśmiechający się do kamery, z dłońmi na klawiaturze pianina.

Nina otworzyła szafę. Była pełna ubrań: zimowych i letnich garniturów, tweedowych marynarek, koszul i krawatów. I butów: do tenisa, biegania, wędrówek, wspinania, żeglowania; buty z dziurkowanymi noskami, mokasyny – wszystkie w pudełkach. Nina wzięła jedno do ręki. Happy miał rozmiar 11B.

Na półce nad ubraniami leżała teczka. Nina zajrzała do niej. Były tam wycinki z gazet i czasopism – *Billboard*, *Melody Maker*, *The Boston Phoenix*, *Toronto Life*, *The Atlanta Constitution*, *The St. Louis Post-Dispatch*, *The Vancouver Sun*, *The Independent* – wszystkie z linijką z nazwiskiem Hiram Standish, Jr. Ostatni wycinek to jednokolumnowa recenzja z festiwalu muzyki północnoafrykańskiej w Aix-en-Provence. Wydrukowany w *The Village Voice* z dwunastego lipca ubiegłego roku, sprzed prawie osiemnastu miesięcy.

Happy pisał o takich muzykach i zespołach, jak: Sonny Rollins, Joe King Carrasco, Doc Watson, Etta James, Jay McShann, Dwight Yoakum, Linda Ronstadt, Lou Reed, Red Rodney, the McGarrigle Sisters, the Everly Brothers. W teczce było ponad dwadzieścia wycinków. Nina zastanawiała się, czy to cały dorobek Happy'ego. Odłożyła teczkę, zamknęła drzwi do szafy i zerknęła na monitor. Zielona linia utworzyła pik, opadła, wzniosła się, opadła, znikła na brzegu ekranu, a potem pojawiła się z drugiej strony. Nina wróciła do łóżka.

Ciemnooka kobieta znów znalazła się w jego świetle. Nina. Spojrzała na respirator, kropłówkę, na niego.

Mów do mnie.

Kobieta odezwała się, ale bardzo cicho, bardziej mówiła do siebie niż do niego. – Ja też lubię Ette James – powiedziała. Patrzyła na niego, ale jej spojrzenie było odległe, miało w sobie jakiś niepokój.

Mów.

Kobieta skupiła na nim swoje spojrzenie. Tym razem mówiła normalnym głosem. – Widziałam twoje wycinki w szafie.

Od razu domyśliła się, że jego oczy nie mogą jej śledzić w całym pokoju. Zrozumienie tego zajęło Matce wiele tygodni, a nawet teraz zdarzało się jej o tym zapominać.

Kobieta zagryzła wargi. Miała delikatne, kształtne usta. Ponętne. – Chyba nie powinnam jej otwierać. To twoja szafa. – Westchnęła. – Boże, jak ja bym chciała, żebyś mógł mówić. – Zamknęła oczy. – Co byś powiedział? Bo... – Do jej oczu wróciło nieobecne spojrzenie.

Mów.

Kobieta pokręciła głową – miała gęste, puszyste włosy – jakby chciała się pozbyć jakiejś kłopotliwej myśli. Jej spojrzenie pojaśniało. – Bo... jeśli Percival nie zajmował się instytutem i twoja matka też nie, to ty musiałeś to robić. Byłeś trzecim członkiem rady. Prawda?

*Rady? O tak, podpisywałem coś od czasu do czasu. Ale o czym ona mówi?*

– Chryste, posłuchaj mnie... zaczynam przegrywać. – W oczach kobiety pojawiły się łzy.

Nie płacz.

Jednak płakała. Łzy spływały jej po twarzy. Dopiero teraz spostrzegł opatrunek na jej policzku i siniec.

– Ale ja potrzebuję tych dokumentów. – Głos kobiety się załamał. Otarła twarz rękawem. – Muszę wiedzieć, kto był tym dawcą. Tylko o tym myślę. Czy mam inną możliwość? – Spoglądała na niego wilgotnymi ciemnymi oczami, jakby czekała na odpowiedź, traktowała go jak normalną istotę ludzką. Długo czekała na odpowiedź.

I ta odpowiedź od razu pojawiła się w myślach Happy'ego. Była okropna. *Boże. Boże.* Chciał krzyczeć. Musiał krzyczeć. Z całych sił próbował krzyczeć. Rozkazał sobie podnieść rękę, usiąść, krzyknąć. *Krzyczeć. Krzyczeć.* Ale nic nie mógł zrobić. Był oszalały, stracił kontrolę nad sobą jak nigdy w życiu. Ale nie było tego widać.

Kobieta lekko się uśmiechnęła. – To niesprawiedliwe w stosunku do ciebie – rzekła.

Nie odchodź. Mów... Zrozumiała go. Happy'emu przebiegła przez głowę dziwna myśl, że oni są stworzeni dla siebie, że wszystko jest w porządku.

Nina zaczerpnęła głęboko powietrza i wypuściła je z płuc. Przeniosła wzrok na ścianę za jego głową. Mógł teraz zobaczyć pająka badającego powietrze jednym wyciągniętym odnóżem. Wtedy ona zrobiła coś, co go zaskoczyło: podeszła do szczytu łóżka, stanęła na ramie, uniosła wysoko rękę i zgarnęła pająka. Po prostu. A potem ta Nina zeskoczyła na podłogę i wytarła rękę w spodnie. Było to takie

łatwe: jedno uderzenie i po pająku. Po tak długim czasie.

– Nie lubię tych grubych – wyjaśniła. – Gryzą. – Pochyliła się nad nim, odgarnęła Happy'emu włosy z czoła, a potem chwilę przytrzymała delikatną ciepłą dłoń. – No cóż... do widzenia. – Potem ciepła dłoń znikła, tak samo ona.

*Nina.* Pragnął powiedzieć to imię głośno.

Nina wróciła do ładnego pokoju gościnnego w północnym skrzydle domu pani Standish i położyła się do łóżka. Ale nie zasnęła. Przy pierwszych promieniach słońca wstała, włożyła buty i zeszła do kuchni. Przy stole siedział jakiś mężczyzna z czarną torbą. Pił kawę i czytał komiks.

– Witam – odezwał się. – Jest pani tu gościem?

– Tak.

– Jestem doktor Robert. Pani Standish wyjechała na cały dzień, ale proszę się częstować. – Odwrócił stronę.

– Czy pan jest lekarzem Happy'ego? – spytała Nina.

– Jednym z wielu.

– Co mu się stało?

– Nie wie pani?

– Nie.

– Wypadek podczas nurkowania z akwalungiem. Tak właściwie to вина klubu dla płetwonurków. Gdzieś na Bahamach. Dali mu butlę z zatrutym powietrzem. Spowodowało to zator w pniu mózgu.

– Czy jest jakaś nadzieja?

– Nadzieja?

– Na poprawę.

– Jakiego rodzaju poprawę?

– Że będzie mógł chodzić, mówić, sam jeść.

– Niestety – rzekł doktor Robert. – Nic takiego. Staramy się tylko utrzymać go przy życiu. Teraz ma zapalenie płuc. – Doktor Robert wypił łyk kawy.

Nina włożyła płaszcz i wyszła z domu. Niebo było błękitne, powietrze nieruchome i mroźne. Gruba warstwa śniegu pokrywała wszystko z wyjątkiem odśnieżonego podjazdu. W oddali zobaczyła wysokiego siwowłosego mężczyznę, który owijał plastikiem pień drzewka owocowego. Przepuszczalnie służba już wróciła.

Nina doszła do bramy. Była otwarta. Przekroczyła ją i zobaczyła swój samochód stojący na poboczu. Ktoś odśnieżył drogę i odkopał z zasypany podjazd.

Wsiadła do niego i wróciła do Nowego Jorku. Drogi były przejezdne. Myślała tylko o jednym: o delikatnych włosach Happy'ego Standisha i jego poważnych niebieskich oczach.

Zaparkowała w pobliżu domu Suze. Weszła do jej mieszkania, ale Suze w nim nie było. Usiadła na łóżku. Zadzwoiła do Delgado. Nie zastała jej. Zostawiła wiadomość: *Proszę jej powiedzieć, że właścicielem Human Fertility Institute była Fundacja Standisha. Może powinna się dowiedzieć, do kogo należało Cambridge Reproductive Research Center.* Potem się położyła.

Obudziła się po zmroku. Leżała w bezruchu na łóżku Suze. Potem przypomniała sobie, że na szóstą umówiła się z Berniem Mullerem, australijskim producentem telewizyjnym. Zerknęła na zegarek. Piętnaście po piątej.

Nina wstała, wzięła prysznic, ubrała się i wypożyczonym samochodem pojechała do Grand Central Station.

Brock McGillivray był co najmniej o głowę wyższy od innych ludzi na Piątej Alei. Siedzenie go było łatwe. Szedł sprężystym krokiem, blisko krawężnika, czasami wychodził na ulicę. Poły jego płaszcz łopotwały. Nie oglądał się za siebie.

Matthias szedł za nim.

Robiło się coraz zimniej. Matthias zapiął do końca wiatrówkę i włożył ręce do kieszeni. Zapadł wieczór, ale nie przyniósł ciemności. Niebo błyszczało stłumioną zielenią, żółcią, pomarańczem i różem, jakby nie powiódł się jakiś gigantyczny eksperyment chemiczny. Wszyscy – powracający z zakupów ze świątecznymi paczkami, urzędnicy z teczkami, turyści z aparatami fotograficznymi, bezdomni ze swoimi kartonami – wyglądali ponuro i upiornie. Kiedy Matthias przechodził obok obdartego mężczyzny z butelką, ten wyszeptał: – Wesołych pieprzonych świąt.

– To ty tak mówisz – mruknął Matthias.

Mężczyzna nie przyzwyczajony do takiej odpowiedzi, a może i do żadnej innej, wrzasnął wściekle za Matthiasem: – Ja tak mówię. Ja. I dlatego jesteś złodziejem i włamywaczem.

Brock skręcił w Czterdziestą Drugą. Matthias nie spuszczał go z oczu, ale nie skupiał się na tej czynności. Myślał o tym, co widział wokół siebie. Na Bahamach też byli bezdomni. Na przykład Nottage, który chyba nie miał żadnego domu. Ale tu było coś innego. Po chwili Matthias uświadomił sobie, że niedługo on też będzie bezdomny. Ta myśl wzbudziła w nim mordercze instynkty. Przyśpieszył kroku i zmniejszył odległość między nim a Brockiem.

Brock nie oglądał się za siebie.

Wciąż różnym krokiem wszedł do Grand Central Station. Szybko przemierzył brudną poczekalnię pełną bezdomnych i włóczęgów. Ten widok w tak dostojnym budynku przypominał Matthiasowi pewnego gościa w barze w jego klubie, który twierdził, że Nowy Jork jest teraz dickensowskim miejscem. Matthias był innego zdania. Dickens, jak sobie przypominał, skłaniał się ku szczęśliwym zakończeniom albo przynajmniej nie tragicznym, a czego dobrego tutaj można było oczekiwać?

Brock wszedł na szerokie schody w głównej hali. Było na niej tylko kilkoro ludzi. Matthias poczekał. Zszedł na dół w tym momencie, kiedy Brock – omijając dwóch sanitariuszy, którzy próbowali włożyć na nosze zakrwawionego mężczyznę – doszedł do baru *Ostryga*. Matthias był tu kiedyś z Marilyn. Odesłała wtedy swoją porcję ostryg *Rockefeller*. Usiłował sobie przypomnieć dlaczego, kiedy zobaczył,

że Brock odwraca się w drzwiach. Matthias się skulił.

– Odpierdolcie się – warknął zakrwawiony mężczyzna.

– Facet, my się nie odpierdolimy. Musimy cię zabrać do szpitala.

– Do żadnego szpitala. Chce mi się rzygać. – Potem zauważył Matthiasa kulącego się przy ścianie. Nie spodobało mu się to. – Jakiś problem, szefie?

– Ostrygi Rockefeller – rzucił Matthias.

– Ostrygi Rockefeller? – powtórzył z zainteresowaniem mężczyzna.

– Włóż na nosze – powiedział sanitariusz. – Jest szósta. Powinienem już być w domu.

Sanitariusze próbowali podnieść tego krwawiącego mężczyznę. Stawiał opór. Z ukrycia Matthias zobaczył, że Brock zatrzymał się przy wejściu do baru i się obrócił. Matthias stanął za sanitariuszami. Brock spojrzął na zegarek i zmarszczył czoło. Pięścią uderzył w drugą, otwartą dłoń. Znow sprawdził godzinę. I znow powtórzył swój gest, tym razem mocniej. W końcu sanitariuszowi udało się położyć krwawiącego mężczyznę na noszach. Ten przekręcił się na brzuch i znieruchomiał.

– Do jasnej cholery – mruknął sanitariusz, który chciał jak najszybciej do domu.

Potem zza rogu przy schodach wyszła kobieta. Zawahała się i po chwili przeszła obok zakrwawionego mężczyzny, sanitariuszy i Matthiasa. Matthias nie znał jej, nie było powodu, by po raz drugi na nią spoglądał, ale spojrzął. Miała ciemne włosy, ciemne oczy i coś ją dręczyło. Matthias nie przywiązywał do tego szczególnej uwagi, dopóki nie spostrzegł, że zmarszczki na czole Brocka znikły, zastąpił je szeroki, przyjazny uśmiech, szerszy i bardziej przyjazny niż kiedykolwiek wcześniej widział Matthias. Brock zrobił krok do przodu i wyciągnął dłoń. – Nina? – spytał.

Kobieta coś powiedziała, ale Matthias tego nie słyszał. Ucisnęła dłoń Brockowi i uniosła wzrok. On znow się uśmiechnął. Potem coś powiedział, a później ona. Odwrócił się i weszli do restauracji. Brock dotknął dłonią jej pleców, rozpostarł dłoń na całą szerokość. Pojawił się kierownik sali. Poszli za nim w lewo.

Krwawiący mężczyzna stracił przytomność i w końcu sanitariuszom udało się odpowiednio ułożyć go na noszach. Zabrali go. Matthias wszedł do restauracji. Jak sobie dobrze przypominał, po lewej stronie były stoliki i boksy, po prawej bufety. Brock i ta kobieta rozmawiali w boksie na końcu sali. Matthias siadł przy bufecie między dwoma mężczyznami, którzy uważnie studiowali notowania giełdowe w gazetach. Kwiat w doniczce przesłaniał Matthiasowi Brocka, ale Matthias widział profil kobiety, a także drogę do drzwi.

– Słucham? – zapytał kelner.

– Ostrygi – odparł Matthias.

Jeden z czytających wiadomości giełdowe przebiegł palcem po drobnych cyferkach i jęknął.

Olbrzymi prostak – tak się opisał Bernie Muller.

Olbrzymi, tak – pomyślała Nina, siadając obok niego w boksie restauracji pod Grand Central Station – ale nie prostak. Prostacy są głupi, Bernie Muller nie wyglądał na takiego. Widziała to w jego żywym spojrzeniu. Prostacy są niewychowani, Bernie Muller zaprowadził ją do stolika i pomógł jej zdjąć płaszcz. Poza tym prostacy nie nazywają się prostakami.

Ale olbrzymi. Mężczyźni tak wysocy i tak dobrze zbudowani, z tak dobrze zaznaczonymi męskimi cechami wydają się niemal należeć do innego gatunku. Wszystko u Berniego Mullera było duże: głowa, ramiona, klatka piersiowa, ręce, dłonie – wszystko z wyjątkiem ruchliwych oczu, które chyba były normalnych rozmiarów, ale wydawały się małe w porównaniu z innymi częściami ciała. Miał na sobie elegancki garnitur, włosy starannie przystrzyżone i wypalone przez słońce. Był opalony, a jego potężna budowa nie pochodziła z siłowni. Tak reklamowała się Australia.

Bernie Muller sięgnął do kieszonki kamizelki i wyciągnął wizytówkę. *Piąta władza* – pisało na niej. *Bernard Muller, Australia*.

– Domyślam się, że pani też pracuje w mediach – zaczął.

– W pewnym sensie – odparła Nina. – Co to jest ta *Piąta władza*?

– Coś jak amerykańskie *Sześćdziesiąt minut*, ale krótsze kawałki. Azjatyccy imigranci w Sydney. Człowiek, który żywi się kaktusami. Szwindle z domami opieki dla starych ludzi. I przesadnie drogie Biblie w nich... Takie rzeczy.

– I chce pan coś zrobić na temat porwań dzieci.

– Jest to w moich planach – odrzekł Bernie Muller. Rozejrzał się po sali. Nina zauważyła niewielką dziurkę w jego lewym uchu. – Ale – dodał – w przeciwieństwie do człowieka jedzącego kaktusy, o którym łatwo opowiedzieć, ta historia o porwaniach musi mieć jakiś punkt centralny.

– I pan uważa, że ja mogę być tym punktem centralnym?

Bernie Muller uśmiechnął się. Uśmiech miał też duży, ukazał w nim wszystkie zęby aż do trzonowych. – Domyśliłbym się, że pracuje pani w mediach, nawet gdyby nie powiedzieli mi tego w Kanale Czwartym.

Podszedł kelner. – Mam nadzieję, że lubi pani ostrygi – rzekł Bernie Muller. – Powinienem wcześniej zapytać.

– Lubię.



– Świetnie. Ja uwielbiam wszystkie owoce morza. – Zamówił dwanaście ostryg dwóch gatunków, Nina połowę jego porcji i szklanę wody. – Tylko tyle? Myślałem, że pani lubi ostrygi.

– Nie jestem głodna.

Bernie Muller położył rękę na jej dłoni, całkowicie ją zakrywając.

– Nie powinna pani tracić sił – powiedział – zwłaszcza w takim okresie. Zabrał rękę, rozejrzał się po sali i uśmiechnął się do Niny.

Zjawiły się ostrygi. – Nie będzie pani przeszkadzało, jak będę je wysysał? – spytał Bernie Muller.

– To najlepszy sposób – odparła Nina.

– Jest pani do mnie podobna – zauważył. Wyssał dwie ostrygi i splukał je piwem.

– Wspominał pan o porwaniu w Bostonie, panie Muller...

– Proszę mówić do mnie Bernie. Wszyscy się tak do mnie zwracają. – Uniósł kolejną ostrygę do ust i wyssał jej delikatne ciało z muszli.

– Czy to nie chodziło o Laurę Bain?

Bernie zmarszczył czoło. – To nazwisko mi coś mówi. Czy to dziecko miało na imię Clara?

– Clea.

– O właśnie. – Machnął muszlą, z której duża kropla cieczy opryskała twarz Niny. – Bardzo przepraszam – powiedział, wyciągając nad stołem rękę z chusteczką.

Nina była szybsza. – Nic się nie stało.

Bernie patrzył na jej twarz. – Co się pani przytrafiło? – zapytał, wskazując na opatrunek.

– Wpadłam na coś.

– Powinna pani uważać – zauważył Bernie. – Podczas takich kryzysów emocjonalnych często zdarzają się wypadki. Robiliśmy o tym program.

– Postaram się o tym pamiętać.

Bernie uśmiechnął się, ale tym razem przelotnie. Wycisnął cytrynę na pozostałe ostrygi. – W jaki sposób poznała pani Laurę Bain? – spytał.

– Stacja w Bostonie puściła program z Kanału Czwartego i Laura skontaktowała się ze mną.

– Dlaczego to zrobiła?

– Ponieważ nasze przypadki były podobne.

– Pod jakim względem?

– Obie korzystałyśmy z banku spermy, to po pierwsze. Banki te potem rozwiązano, to po drugie. Dowiedziałyśmy się o tym, jak próbowałyśmy poznać personalia dawców.

– Poznać personalia dawców?

– Oni pozostają anonimowi.

– Dlaczego chciałyście je poznać?

– To był pomysł Laury. W przypadku porwań dzieci każde śledztwo rozpoczyna się od jego ojca.

– Jednak w tym przypadku to chyba co innego.

– No nie wiem. Jednak założmy, że jakiś mężczyzna chciał mieć dziecko, ale bez matki.

– Ale kto mógłby tego chcieć?

Nina nie miała odpowiedzi.

Bernie dopił piwo i wytarł pianę z kącików ust delikatnym gestem, zupełnie do niego nie pasującym. – A co wykazało śledztwo?

– Nic. Detektyw od tej sprawy ma też inne na głowie.

– Jak on się nazywa? – spytał Bernie, wyjmując notatnik.

– Ona. Delgado.

Bernie zapisał to nazwisko. – Czy wie o Laurze Bain?

– Tak.

– Czy bierze pod uwagę tę wersję o udziale dawcy?

– Nie, nie kupiła tego.

Bernie zamknął notatnik i odłożył go. Zapadła cisza. Potem powiedział: – Skłamała pani.

– Skłamałam?

– Mówiąc, że lubi pani ostrygi. Nawet pani ich nie tknęła.

– Nie jestem głodna.

– Mogę w takim razie zjeść pani porcję?

– Proszę.

Zgarnął wszystkie ostrygi z jej talerza z wyjątkiem jednej i zamówił kolejne piwo. – Może pani też się napije piwa. Zawiera dużo protein.

– Dobrze.

Ale kiedy kelner podał jej piwo, wypiła tylko jeden łyk. – Czego się pan dowiedział o Laurze Bain? – spytała.

– Niewiele. Popelniła samobójstwo, prawda?

– Podobno.

Bernie zakręcił szklanką i popatrzył na wirujący płyn. – Ale pani w to nie wierzy?

– Nie wiem, w co wierzyć. – Ta odpowiedź była prawdziwa. Pozwalała też uniknąć pytań na temat przedawkowania przez nią seconalu, niebieskiego długopisu na kuchennym stole, a także na temat spiskowych teorii, o których można opowiadać tylko w plotkarskich programach. – Jednak jestem przekonana, że nasze przypadki są z sobą powiązane.

– Ponieważ obie korzystałyście z banku spermy?

– Nie tylko z tego powodu.

– A co więcej?

– W obu przypadkach zabiegu zapłodnienia dokonywał doktor Crossman. Znikł. Tak samo ulotniła się dokumentacja.

– Co na ten temat sądzi ta detektyw?

– Mało to ją obchodzi.

– A te banki spermy rozwiązano?

– Tak.

– Co to dokładnie znaczy?

– Laury przekształcił się w skład ze sprzętem elektronicznym, a po moim pozostała tylko dziura w ziemi.

Bernie uniósł brwi, jasne, wypalone przez słońce. Łatwo mogła go sobie wyobrazić na desce surfingowej albo grającego w tenisa po pracy. – Doprawdy?

– Co doprawdy?

– Mówię o tym wykopie.

– Tak.

– To interesujące – stwierdził Bernie.

Nina zastanawiała się, czy przemówiła do jego wyobraźni. Może dała mu instrument, żeby wyciągnął pieniądze od swoich mocodawców? – To był zabytkowy budynek – dodała. – Jego zdjęcia łatwo odszukać.

Bernie podniósł do ust ostatnią ostrygę.

– Stał na Wschodniej Dziewięćdziesiątej Drugiej.

Bernie znów zlustrował wzrokiem salę i potarł dłonie o siebie. – Chciałbym to zobaczyć.

– Teraz?

– Czemu nie? Nie pracujemy od dziewiątej do piątej.

– Dobrze – odparła Nina. – Mam samochód.

– Świetnie – rzucił Bernie. – Nie zje pani tej ostrygi?

Nina pokręciła głową. Bernie załatwił się z nią i dopił piwo. Zapłacił gotówką i wstał, aby wyjść.

– Nie chce pan rachunku? – spytała Nina.

– Rachunku? – zdziwił się Bernie. Potem się uśmiechnął. – Mam dzienną stawkę. – Wyszli na ulicę i skręcili za róg do samochodu Niny. Wsiadając do niego, Nina zauważyła mężczyznę w wiatrówce też przywołującego taksówkę.

Bernie Muller zdawał się wypełniać cały samochód. – Jak długo pracuje pan w telewizji? – spytała.

– Od zawsze – odparł Bernie. Włączył ogrzewanie w samochodzie.

Zatrzymała się przy ogrodzeniu okalającym teren pełen gruzu na Dziewięćdziesiątej Drugiej Ulicy. Wyszli z samochodu. – Tutaj? – spytał Bernie. To słowo uniosło się białą mgiełką. Była mroźna noc.

– Tutaj.

Bernie spojrzął na ulicę. Nikogo nie było w pobliżu. Podeszedł do płotu, spojrzął tam. Nina podążyła za nim. Najbliższa lampa była dość daleko, ale Nina zauważyła, że prace przy wykopach posunęły się od czasu, kiedy była tu ostatnio. Przy dziurze stał buldożer.

– Nadaje się – rzekł Bernie. – Nawet bardzo.

– Na zdjęcia?

– Na zdjęcia – potwierdził. Podeszedł do bramy i uniósł kłódkę. – Chyba pani nie przypuszcza, że zniszczyli całą dokumentację?

– Wątpię, żeby to zrobili.

– Ale na sto procent tego pani nie wie – stwierdził Bernie i włożył rękę do kieszeni. – Bez przerwy zdarza się coś niespodziewanego. Może niczego się nie nauczyłem, ale tego tak. – Wyjął coś srebrzystego z kieszeni, włożył to do kłódki i obrócił. – O tak, tak... – Otworzył bramę i uśmiechnął się do Niny. – Proszę pierwsza.

Nie ruszyła się z miejsca. – Jak pan otworzył tę kłódkę?

Bernie uniósł do góry klucz. – Zawsze noszę kilka przy sobie. Zwykle któryś z nich pasuje. Mam nadzieję, że nie jest pani zszokowana. To część pracy reportera.

Nina próbowała wyobrazić sobie któregoś znanego reportera noszącego pełną kieszeń wytrychów, ale nie mogła. Ale mogła wyobrazić sobie, że któryś z asystentów robi to za niego. Przeszła przez bramę. Za nią na teren wszedł Bernie. Szli po gruzie. Bernie kopał od czasu do czasu kamień, cegłę. Potem ukląkł i odrzucił kawałek rurki. Obok znajdowały się inne. Wziął jedną rurkę i zamyśleniu uderzał nią o otwartą dłoń. Przypominał teraz oficera kawalerii ze szpicrutą.

Podeszli do brzegu wykopu i spojrzeli w dół. Był to głęboki wykop. Na dole też znajdował się gruz. Nina zauważyła, że Bernie ją obserwuje. – Jest pani ładną kobietą – stwierdził.

Nina cofnęła się o krok, potykając się o kamienie.

– Ostrożnie. Chyba nie chce pani tam wpaść.

– Chciałabym już iść – rzekła Nina. – Czy wszystko już pan obejrzał?

Bernie uderzył metalową rurką w dłoń. – Jeszcze jedno.

– Co takiego?

– Chodzi o tego przodka ze strony pani ojca. Jak się nazywał, zanim zmienił nazwisko na Kitchener?

– Skąd pan o tym wie?

– Rozmawiałem z kilkoma osobami.

– Z kim?

– Dojdziemy do tego. Ale pomogłoby mi, gdyby znała pani tamto nazwisko.

– W czym by to panu pomogło?

Bernie uśmiechnął się. – To bardziej skomplikowane, niż pani sobie wyobraża. A czas może być ważnym czynnikiem. – Czekaj.

– Nie rozumiem – przyznała Nina. – Brzmiało Kapstein albo Kupstein, coś w tym rodzaju. Ale jakie to ma znaczenie?

– Żydowskie?

– Zgadza się.

Bernie pokręcił głową. – To źle, że nie wspomniała pani o tym wcześniej.

– Komu? O czym pan mówi?

Bernie nie odpowiedział na to pytanie. Po prostu powiedział: – Wtedy do tego by nie doszło.

– Do czego by nie doszło?

Podszedł do niej. – Proszę mi wierzyć, to nie jest sprawa osobista. – I uniósł metalową rurkę nad swoją głowę.

Nina odwróciła się, by uciekać, ale chwycił ją za rękę tak mocno, że aż krzyknęła. Spojrzała do góry, w jego oczy. Wpatrywały się w nią, ale wydawały się niczego nie widzieć.

– Nie – wydobyła z siebie Nina.

Znów pokręcił głową. – Przykro mi, kochanie, ale nie mam czasu na wyjaśnienia. – Zamachnął się.

Nina po raz drugi chciała krzyknąć: „nie”, ale nie zdążyła. Tak wiele rzeczy wydarzyło się w tak krótkim czasie. Najpierw z ciemności wypadł jakiś cień i

rzucił się Berniemu na nogi. Bernie z rurką w dłoni sztywno niczym słup opadł na ziemię. Rurka zadzwoniła na kamieniach. Cień przybrał teraz kształt mężczyzny w wiatrówce. Ten ktoś stał nad Berniem. Nie był tak wysoki jak on, ale chyba potężniej zbudowany. Czy go wcześniej widziała? Nina próbowała sobie to przypomnieć, kiedy Bernie odwrócił się na ziemi i spojrzał w górę. Zobaczył mężczyznę i rozpoznał go – Nina widziała w jego oczach przerażenie.

– Cześć, Brock – powiedział mężczyzna.

Lekki uśmiech pojawił się na twarzy Berniego. W tym samym czasie ręką sięgnął po rurkę. Mężczyzna w wiatrówce zdawał się tego nie zauważyć, ale odkopnął rurkę, zanim Bernie mógł zamknąć na niej dłoń.

– Byłeś nieostrożny, Brock – powiedział mężczyzna. – Zostawiłeś odciski palców na butelce Hewa. Zadzwoniłeś na Dwie Głowy, kiedy ja tam byłem. To nie w twoim stylu.

– Nikt z nas nie jest idealny – odparł Bernie, wciąż się uśmiechając. Potem pokazał, że potrafi też kopać. Jego noga wystrzeliła w górę i trafiła mężczyznę w wiatrówce w brzuch. Zacharczał i upadł przy dziurze. Bernie znalazł się na nim i wymierzył mu cios pięścią. Nina nie wiedziała dlaczego. W następnym momencie obaj byli już na nogach, na twarzy mężczyzny w wiatrówce pojawiła się krew, a Bernie już się nie uśmiechał. Próbował trafić prawym sierpowym tego drugiego mężczyznę, lecz ten był szybszy, uchylił się i sam zadał cios. Był to ostatni fragment walki, który Nina wyraźnie widziała, bo tamten w wiatrówce przypadkowo uderzył ją łokciem w podbródek. Znalazła się na ziemi.

I leżała tak pod różnokolorowym niebem na ruinach Humań Fertility Institute. A dwóch olbrzymich mężczyzn wciąż nad nią walczyło: coraz więcej uderzeń, jęków, więcej krwi, teraz też na twarzy Berniego. Nina usłyszała jakiś trzask. Bernie znów wrzasnął. Kolejny chrzęst. Coś upadło na nią, przynosząc ciemność.

Nina otworzyła oczy, usiadła. Mężczyzna w wiatrówce klęczał obok niej. Miał zakrwawioną twarz, złamany nos. Jego ciemne oczy pełne były niepokoju. Wydawało się, że to z jej powodu. – Wszystko w porządku? – spytał.

– Chyba tak. Co się z nim stało?

– Już go nie ma. Słabiej od niego biegam.

– Chce pan powiedzieć, że uciekł?

– Tak bym tego nie ujął. W końcu by mnie pokonał, ale nie zdał sobie z tego sprawy, to wszystko.

– Tak? Ale pana twarz fatalnie wygląda...

Mężczyzna w wiatrówce roześmiał się. Był to radosny śmiech, głośny i

swobodny. Jedynie nie pasowała do niego krew wypływająca z nosa. Nina nigdy nie spotkała mężczyzny, który by się tak śmiał w takich okolicznościach. Przypomniała sobie kilku ze swoich *chłopaków*, którzy potrafili zepsuć jej i sobie cały weekend z powodu zacięć przy goleniu. – Zawsze wyglądała nie najlepiej – Przestał się śmiać. – Czy może pani wstać?

– O tak – odparła Nina, uznając, że on myli się na temat swojej twarzy. To była przyjemna twarz. – Mogę wstać.

Jednak nie mogła, dopóki nie podał jej ręki i nie pociągnął jej do góry. Spojrzała na niego, ale nie musiała zadzierać tak wysoko głowy jak w przypadku Berniego. – Ten Bernie jest wyższy od pana. Znacznie wyższy.

– Bernie?

– Mężczyzna, z który się pan bił.

– Bernie... – Znów się roześmiał, a potem dotknął swojego nosa. – Znajdowałem się w gorszych sytuacjach. A pani przyjaciel nie. Taka jest różnica.

– On nie jest moim przyjacielem.

– To dobrze – powiedział mężczyzna w wiatrówce. – I on nie nazywa się Bernie.

– Nie?

Jakaś kobieta podeszła do płotu, zerknęła i zobaczywszy ich, odeszła.

– Potem porozmawiamy – powiedział mężczyzna. – Najpierw trzeba wymienić koło. – Podprowadził ją do bramy.

– Dlaczego? – spytała Nina.

– Ma flaka.

– Skąd pan wie?

– Wiem, bo sam wypuściłem powietrze z opony.

– Wypuścił pan powietrze?

– Na wszelki wypadek.

– Jaki wszelki wypadek?

– Tak daleko nie kombinowałem.

Wyszli przez bramę. Mężczyzna w wiatrówce zamknął ją potem i zatrzasnął kłódkę. Podeszli do samochodu Niny. W tylnym kole przy krawężniku nie było powietrza. – Ma pani kluczyki? – zapytał.

Nina zawahała się. Ten mężczyzna był wysoki, jak Bernie był opalony, ale nie mówił z australijskim akcentem. Może on też jest zabójcą? Ale jeżeli chciałby ją zabić, nie zrobiłby tego za ogrodzeniem? Nina podała mu kluczyki. Uśmiechnął się nie tak szeroko jak Bernie, ale jego oczy błyszczały w przeciwieństwie do oczu

Berniego.

Mężczyzna w wiatrówce otworzył bagażnik. – Co to? – spytał.

Nina zrobiła krok do przodu i zajrzała do bagażnika. Zobaczyła skulonego jak dziecko doktora Crossmana. Rączka noża wyglądającego jak jeden z jej kuchennych noży wystawała z jego piersi.

Mężczyzna w wiatrówce odwrócił się do Niny. Miał złamany nos, zakrwawioną twarz i trupa przed sobą, ale wyglądał na ucieszonego. Przez moment Nina pomyślała, że go to bawi. – Nazywam się Matthias – powiedział. – Chyba się nie znamy.



N. H. Matthias? – spytała Nina, kiedy mężczyzna w wiatrówce wymieniał koło jej wypożyczonego samochodu. – Z tego hotelu o śmiesznej nazwie gdzieś na Bahamach?

– Zatoka Zombie – wyjaśnił, spoglądając na nią. Próbowwała rozszyfrować wyraz jego twarzy, ale ze względu na krew na niej nie mogła. – Czy mimo wszystko się nie spotkaliśmy? – spytał.

– Widziałam pana wizytówkę wczoraj wieczorem – rzekła Nina. – W pewnym pokoju gościnnym.

– Czyim?

– Nie wie pan?

– Chciałbym się dowiedzieć.

– Twierdzi pan, że jej tam nie zostawił?

– To prawdziwe przesłuchanie – powiedział N. H. Matthias, w dalszym ciągu zajmując się wymianą koła. – Ale niewłaściwej osoby.

– Tak?

– Tak. To nie ja chciałem rozwalić pani głowę rurą.

Nina omal nie parsknęła śmiechem. Nie roześmiała się tylko dlatego, że w tym momencie zastanawiała się, czy w ogóle może być teraz w dobrym nastroju. – W porządku – mruknęła – mam wobec pana dług wdzięczności.

– Nie ma pani żadnego długu – odparł, długo się jej przypatrując. Aż Nina odwróciła wzrok.

– Ten pokój gościnny jest w domu w Connecticut należącym do kobiety o nazwisku Inge Standish.

– To pani znajoma?

– Nie.

Matthias zaczął montować koło zapasowe. – Chyba znamy tych samych ludzi.

– Na przykład kogo? – Światła na skrzyżowaniu zmieniły się, teraz czerwien na całej twarzy Matthiasa nadała mu demonicznego wyglądu.

– Na przykład Inge Standish – odparł. – Brocka McGillivraya.

– Brocka McGillivraya?

– Tego, który się przedstawił jako Bernie. To profesjonalny nurek, pracował u mnie.

– Na Bahamach?

– Tak.

Nina sięgnęła do kieszeni. – Więc co to jest? – spytała, podając mu wizytówkę Berniego: *Piąta władza. Australia. Bernard Muller*. N. H. Matthias podszedł pod lampę uliczną i przestudiował wizytówkę.

– Muller – przeczytał. – Jak on to wymawiał?

– Z angielska.

– Czy on też był u Inge Standish?

– Nie – odparła Nina. Potem przypomniała sobie żółte światło na drodze podczas śnieżycy. – W każdym razie nic o tym nie wiem.

– I ta wizytówka była w szufladzie?

– Były tam też dwa ręczniki i mydło z hotelu Plaža.

– To interesujące – rzekł, oddając Ninie wizytówkę i pochylając się, by dokręcić koło.

– Co?

– To mydło.

– Dlaczego?

– Łączy go z Inge Standish. A to oznacza, że popełnił dwa morderstwa, nie jedno.

– Zamordował doktora Crossmana i kogo jeszcze?

– Doktora Crossmana?

Nina pokazała na bagażnik samochodu.

– Jego nie liczyłem. Brock zabił mojego starego sąsiada i mężczyznę, który nurkował w pobliżu hotelu.

– Dlaczego?

– Nie wiem, ale te morderstwa są ze sobą powiązane. – Matthias przerwał. – Domyśla się pani, z jakiego powodu chciał panią zabić?

– Nie – odparła Nina. – Myślałam, że chce mi pomóc.

– W czym?

– W odnalezieniu mojego dziecka. Mój... syn został porwany ze szpitala dzień po urodzeniu.

Nina znów poczuła na sobie spojrzenie Matthiasa. Zapadła cisza przerywana tylko od czasu do czasu przez zgrzyt metalu przy dokręcanym kole. – Jak dawno temu to było? – spytał w końcu Matthias, wrzucając podnośnik na tylne siedzenie samochodu.

– Minęło już prawie sześć tygodni.

– I w jaki sposób Brock miał pani pomóc?

– Powiedział, że pracuje nad reportażem o porwaniach dzieci. Sprawdziłam w Kanale Czwartym. Znali go. Zebrał już jakiś materiał. Wiedział o... – O Laurze Bain. Skąd Bernie wiedział o Laurze Bain? Dlaczego go o to nie zapytała? – Boże, jaka ja jestem głupia – stwierdziła.

– Wcale nie – zaprzeczył Matthias.

Nina spojrzała na niego. Światło na skrzyżowaniu znów zmieniło się na czerwone. – Czy nie powinniśmy pojechać do szpitala?

– Po co? – spytał.

– Pana twarz.

– Nic mi nie jest. To pani wymaga opieki.

– Nie – odparła. Uśmiechnął się do niej. Na jego zębach była krew. – Wszystko ze mną w porządku.

Matthias nie przestawał się uśmiechać. – Ze mną też. Więc zapomnijmy na razie o szpitalach.

Nagle dotarło do Niny, że zmienił koło bez żadnych westchnień, postękiwań, protestów. To znów odróżniło go od jej *chłopaków*. Potem pomyślała: dlaczego nad tym się zastanawiam. I niemal upuściła kluczyki, które jej podał.

– Czy będzie pani w stanie znaleźć numer dwieście szesnaście przy Wschodniej Trzydziestej Trzeciej? – spytał.

– Pewnie.

– To dobrze – powiedział, wsiadając do samochodu. – Musimy się pośpieszyć.

– Dlaczego? – Nina też wsiadła i uruchomiła silnik.

– W mieszkaniu dwieście trzydzieści cztery jest starsza para. Nie chciałbym, żeby skończyli jak ten facet w bagażniku.

– Nie rozumiem.

– Pani o mały włos też by tak skończyła.

To prawda, ale tego też nie rozumiała. – Czy ta starsza para ma coś wspólnego z doktorem Crossmanem?

– Nie wiem. Może pani wie, dlaczego on znalazł się tu w bagażniku?

Znów Nina pomyślała o żółtym świetle na drodze podczas śnieżycy. – Nie – odparła. – Ale...

– Co ale?

– Myślę, że to jeden z moich kuchennych noży.

– W jego piersi?

– Tak.

– Zatem – powiedział Matthias – zakładając, że Brock miał zamiar zostawić

samochód na ulicy, policja znalazłaby panią w wykopie, a doktora Crossmana w bagażniku z pani nożem w piersi.

Nina zastanowiła się nad tym. – Czy pan sądzi, że Bernie... Brock chciał upozorować wypadek?

– Tak zrobił w przypadku Hewa.

– Co pan ma na myśli?

– Powiem pani później. Najpierw chciałbym się czegoś dowiedzieć o doktorze Crossmanie.

– O nie – burknęła Nina nagle uniesionym głosem. Dlaczego teraz? Dlaczego wobec niego? Nie wiedziała. Ten głos pochodził gdzieś z jej środka, był poza kontrolą. – Dlaczego bez przerwy muszę walczyć o każdą informację? Chcę wiedzieć to teraz. – Usłyszała w swoim głosie histerię.

On również musiał ją zauważyć, bo odezwał się bardzo spokojnie: – To był ten mój sąsiad, o którym już wspominałem. Policja uznała, że pijany spadł ze swojego tarasu. Jednak Brock coś zamieszał ze śladami.

– Dziękuję. – Jakie znaczenie miała dla niej ta informacja? Niewielkie, ale w jakiś sposób ją uspokoiła, nawet napełniła lekkim optymizmem niczym narkotyk. Histeria, optymizm: co się z nią dzieje? Skupiła więc myśli na doktorze Crossmanie i próbowała krótko o nim opowiedzieć, kiedy odezwał się Matthias:

– Niech pani się zatrzyma przy tej budce telefonicznej.

– Po co?

– W Australii jest teraz rano.

Nina zatrzymała samochód. Matthias wziął wizytówkę Berniego, wysiadł i podszedł do telefonu. Potem odwrócił się i cofnął do samochodu. Zastukał w okno. Nina opuściła szybę. – Ma pani kartę?

– Tak.

– Może mi pani ją pożyczyć? Chyba nie mam tylu drobnych, żeby zadzwonić do Australii.

– Jest pan właścicielem hotelu i nie ma pan karty telefonicznej?

– To nie jest taki hotel, o jakim pani myśli.

Nina dała mu kartę. Wrócił do telefonu. Wykręcił numer, mówił, słuchał, potem znów mówił. Nina obserwowała go. Wiał silny wiatr, ale Matthias zdawał się go nie zauważać. Teraz znów słuchał, rozstawił nogi niczym sternik na burzliwym morzu. W głowie Niny niewielkie źródło bólu rozkwitło z pełną mocą. Zamknęła oczy.

Kiedy je otworzyła, Matthias już siedział obok niej. – Ból głowy?

– spytał.

– Już wszystko w porządku.

– Gdzie jest najbliższy szpital?

– Do żadnego szpitala.

– Tak właśnie powiedział ten facet na Grand Central Station.

– Śledził mnie pan od Grand Central?

– Śledziłem Brocka, a pani była z nim.

– Dlaczego pan go śledził?

– Ma pani zamiar na mnie znów krzyknąć, kiedy powiem, że teraz nie ma czasu, żeby to wyjaśniać?

Nina parsknęła śmiechem. To sprawiło, że głowa rozbolała ją mocniej. – Nie. Ale to ma coś wspólnego z Happyem Standishem, prawda?

– Jest pani jak Clarence Darrow.

– To znaczy?

– Nie zadaje pani pytań, gdy nie zna na nie odpowiedzi.

– Myślałam, że chodzi o coś innego.

Matthias wciąż się uśmiechał. – Miała pani rację, jeżeli chodzi o Brocka. Chyba rzeczywiście nazywa się Bernie Muller... w każdym razie pod takim nazwiskiem znają go w ABC. I przypuszczalnie w hotelu Plaża.

– To znaczy, że on naprawdę jest producentem filmowym?

– Nie. *Piątej władzy* nie emitują już od dwóch lat. Rozmawiałem z kierowniczką z działu aktualności. Przypomina sobie Berniego. Nigdy nie był zatrudniony na stałe. Pięć lat temu robili program o zanieczyszczeniu Wielkiej Rify Koralowej i zaangażowali Berniego jako przewodnika. To całe jego doświadczenie telewizyjne.

– A był taki przekonujący.

– No cóż. – Podał Ninie wizytówkę Berniego. Był tam napisany ołówkiem jakiś numer telefonu. – Bernie wrócił do Sydney i starał się na pewien czas u nich zaczepić. Stąd ta kierowniczka ma ten numer telefonu. To numer do domu jego ojca. Myślę, że powinniśmy tam zadzwonić.

– Do ojca Berniego?

– Tak.

– Po co?

– Żeby się dowiedzieć, czy Bernie czegoś nie ukrył.

– Ukrył?

– Na przykład opuścił umlaut w swoim nazwisku. – Matthias spojrzął na Ninę.

– Lepiej, żeby to pani zadzwoniła.

I co powiem – pomyślała Nina – zupełnie nie wiem, o czym ty mówisz. Jednak głośno powiedziała: – I przedstawiła się jako pracownik Kanału Czwartego?

– Coś w tym rodzaju.

Rozmawiali jeszcze przez minutę albo dwie. Potem Nina wysiadła z samochodu i zadzwoniła do ojca Berniego Mullera w Sydney. Matthias stał obok niej. Czy świadomie stanął tak – zastanawiała się Nina – żeby osłonić ją od wiatru? Jakiś mężczyzna odebrał telefon po pierwszym dzwonku.

– Słucham?

Starszy – pomyślała Nina – mówiący z niemieckim akcentem, nie z karykaturalnym, ale delikatnym jak u jej nauczyciela gry na pianinie z dzieciństwa.

– Halo – odezwała się Nina – chciałabym rozmawiać z Bernardem Mullerem. – Połączenie było dobre, przeszkadzało tylko echo, słowa wracały do Niny, jakby odbijały się od jakiegoś obiektu na niebie.

– Berndem? – Coś jeszcze dodał, ale Nina nie dosłyszała.

– Tak – rzekła Nina. – Jestem Mary Good. Dzwonię z Kanału Czwartego z Nowego Jorku. – Kątem oka dostrzegła, jak Matthias się uśmiecha. – Chodzi o sprawę tych nagrań.

– Nagrań?

– Czy pan mnie słyszy? Przeszkadza to echo. Może powinnam... – Przerwała. Matthias kręcił głową.

– Dobrze panią słyszę.

– Niestety, będzie pewne opóźnienie – powiedziała Nina. – Coś pomieszali w archiwum. Chcę się dowiedzieć, czy Bernie życzy sobie, abym przesłała mu tę taśmę do Sydney.

Cisza. Tylko echo mówiło: „... taśmę do Sydney”.

– Halo – odezwała się – jest pan jeszcze przy telefonie?

Długa chwila milczenia. Potem mężczyzna powiedział: – Tak. Ale Bernda tu nie ma.

– To musi być w drodze. Wymeldował się już z hotelu.

Cisza.

– Jest pan jego ojcem? Bernie powiedział, że najlepiej się z nim kontaktować przez jego ojca.

– Tak powiedział?

– Tak, proszę pana. Co w takim razie...

– Doktorze.

- Nie rozumiem.
- Doktorze, nie żadne „proszę pana”.
- Zatem, doktorze Muller, wyślę...
- Müller. Jestem doktor Müller.
- Müller? Może mam zły numer telefonu.
- Numer jest dobry. To ja jestem doktor Müller.
- Czy mógłby pan przeliterować to nazwisko? Prześlę panu taśmę dla Berniego, kiedy będzie gotowa.
- M-U-L-L-E-R. z umlautem.
- Nad u?
- A gdzie indziej?
- Oczywiście. Potrzebne mi jest jeszcze pana imię. W następnym tygodniu wyślemy do pana tę taśmę.
- Gerd.
- G-E-R-D?
- Tak.
- W porządku, doktorze Müller z umlautem. Proszę powiedzieć Berniemu, że w ciągu dwóch tygodni dostanie tę taśmę...
- Chwileczkę – powiedział doktor Müller.
- Tak?
- A co to za taśma?
- Program, który niedawno robiliśmy na temat porwań dzieci. Bernie zajmował się czymś podobnym.
- Czymś podobnym?
- Dla waszej telewizji. Miło się z panem rozmawia, doktorze Müller, ale muszę już kończyć.
- Jak pani się nazywa? – zapytał.
- Jednak Nina już zdążyła odwiesić słuchawkę. Odwróciła się do Matthiasa i zobaczyła podziw w jego oczach. – Wspaniale pani kłamie – stwierdził.
- To moja praca.
- Wyciągnął rękę. – Mary Good? – spytał.
- Nina Kitchener – odparła, chwytając jego dłoń. Była duża i ciepła. Nina pomyślała o powiedzeniu: „Bezpiecznie jak w domu”.
- Była pani znakomita, pani Kitchener.
- Proszę mówić mi Nina.
- Nina.

– A czy ja mam nazywać pana N. H. ?

– Wolałbym Matt.

– Dobrze, Matt. Wypuściłeś mi powietrze z opony. Wymieniłeś potem koło. Dowiedziałeś się, że ojcem Berniego Mullera jest doktor Gerd Müller. Czy powiesz mi, o co tu chodzi?

Wybuchnął śmiechem. – Gerd Müller pracował na uniwersytecie w Heidelbergu z ojcem Inge Standish. Ojciec Happy'ego Standisha studiował u nich. Wystarczy jak na początek?

– Studiował położnictwo?

– Położnictwo.

– To dobry początek – stwierdziła Nina. Wsiadli do samochodu i pojechali na Wschodnią Trzydziestą Trzecią. – A jak się nazywał ojciec Inge?

– Von Trautschke – odpowiedział Matthias. – Wilhelm von Trautschke.

– Jeszcze żyje?

– Według mojego przyjaciela Hewa, von Trautschke nie przeżył wojny.

Wysiedli z samochodu i schodami podeszli do budynku 216. Był to blok z cegły, może dziewięciopiętrowy, zaniedbany. W środku nie było portiera, tylko wewnętrzne drzwi z domofonem. Kiedy Matthias studiował listę mieszkańców, ze środka wyszedł mężczyzna w jarmułce, zapalając papierosa. Matthias zdążył przytrzymać drzwi. Nina weszła za nim.

– Raczej podły typek – powiedział Matthias.

– Kto?

– Von Trautschke. Tak powiedział He w, choć nie wyjaśnił dlaczego.

Mieszkanie 234 na drugim piętrze miało zwykłe drzwi z judaszem i z miejscem na tabliczkę z nazwiskiem. Do framugi przybita była mezusa. Matthias zapukał.

W judaszu pojawiło się duże oko, potem znikło. Matthias znów zapukał. Drzwi pozostały zamknięte. Nina nic nie słyszała po drugiej stronie.

– Nazywam się Matthias – powiedział spokojnie. – Dzwoniłem do pani z Bahamów. W sprawie Felixa.

W judaszu ponownie pojawiło się oko. Szczęknęła zasuwka, trzasnęło w zamku, potem znów. Drzwi uchylły się lekko, przytrzymywane przez łańcuch. Przez szczelinę w drzwiach Nina zobaczyła drobną siwowłosą kobietę zaciskającą dłonie.

– Pani Goldschmidt? – zapytał Matthias.

Kobieta spojrzała na niego, nie spodobał się jej jego wygląd.

– Miałem drobny wypadek – wyjaśnił – ale to nic poważnego. Sięgnął do kieszeni wiatrówki i wyciągnął z niej kopertę. – Myślę, że to należało do Felixa.



Kobieta wzięła kopertę i wyjęła z niej dwie plastikowe karty. Jedna wyglądała na kartę Visy, drugiej nie rozpoznała. Starsza kobieta założyła okulary i przyjrzała się kartom. Jej usta lekko się poruszały, kiedy je czytała. Gdzieś z tyłu odezwał się mężczyzna. Z akcentem pochodzącym z jidysz zapytał: – Co się dzieje, Hilda? – Na chwilę oczy kobiety wypełniły się łzami, które znikły tak szybko, że Nina zastanawiała się, czy nie było to tylko przywidzenie.

– Czego pan od nas chce? – spytała kobieta.

– Chcę porozmawiać.

– O czym?

– O Feliksie.

– Mówił pan, że utonął.

– Tak.

– Więc o czym tu rozmawiać?

– Sądzę, że nie utonął przypadkowo, pani Goldschmidt. Myślę, że ktoś mu w tym pomógł... – dodał. Starsza kobieta obracała w dłoniach plastikowe karty, ale nic nie powiedziała. – Nie chciałyby pani znać sprawców, widzieć, jak zostają ukarani?

– A nie znam? – spytała pani Goldschmidt. – Czy cały świat ich nie zna?

– Więc proszę mi powiedzieć – poprosił Matthias.

– Powiedzieć? Dlaczego miałabym panu mówić? Niech pan poczyta podręczniki szkolne. Oni wszyscy zginęli w czterdziestym piątym.

– O czym pani mówi, pani Goldschmidt?

Mężczyzna z tyłu zapytał: – Hilda, co się tam dzieje?

Pani Goldschmidt mlasnęła zniecierpliwiona i zdjęła łańcuch. Matthias i Nina weszli do mieszkania. Było niewielkie. Pod jedną ścianą stała kanapa i krzesło, pod drugą – kuchnia i lodówka. W rogu wisiały fotografie. Wszystkie przedstawiały mężczyznę z ciemnymi oczami i wąsami, szczupłego, bez uśmiechu. Pod zdjęciami na wózku siedział starszy mężczyzna. Chyba był nawet drobniejszy niż pani Goldschmidt. Miał na sobie niebieską koszulę zapiętą pod szyję i brązowy wełniany krawat. Na kolanach trzymał koc. Miał delikatne siwe włosy i łagodne ciemne oczy.

– To pan Goldschmidt – powiedziała starsza kobieta. – Mój mąż.

Matthias się przedstawił. Przemierzył pokój i podał rękę panu Goldschmidtowi. Błada dłoń mężczyzny zniknęła w dużej opalonej dłoni Matthiasa. Potem znów się pojawiła i ukryła pod kocem.

– Miło pana poznać – rzekł. Spojrzał na Ninę i uśmiechnął się. Miał ładny

uśmiech. – A to jest pana żona? – spytał.

– Nie – odparł Matthias. – Nina Kitchener.

Pan Goldschmidt uśmiechnął się do niej. – Żydówka?

– Nie – zaprzeczyła Nina.

– I taka piękna – ciągnął pan Goldschmidt, jakby jej nie słyszał. – Proszę usiąść.

Nina i Matthias usiedli na kanapie. Pani Goldschmidt stała ze zmarszczonym czołem przy drzwiach. Potem je zamknęła, podeszła do krzesła i usiadła, na brzegu, sztywna i wyprostowana.

– Panie Matthias, czy znał pan mojego syna? – spytał mężczyzna.

– Nie. Byłem gdzie indziej, kiedy on...

– Zginął?

– Tak.

– Niech pan się nie boi tego słowa, panie Matthias. Jeśli to prawda – rzekł. Nina zauważyła, że bardzo uważnie przyglądał się w tym momencie Matthiasowi.

– Prawda.

Mężczyzna próbował znów się uśmiechnąć, ale nie potrafił. Pokazał na zdjęcia wokół siebie. – To Felix.

Spojrzeni na fotografie i zobaczyli Felixa na plaży ze stertą książek obok siebie, Felixa pochylonego nad szachownicą, Felixa za kierownicą eleganckiego samochodu, Felixa piszącego na tablicy po francusku – właśnie podkreślał słowa: *przed pogromem* – Felixa w uniwersyteckiej todze ściskającego dłoń z mężczyzną tak samo ubranym.

Pan Goldschmidt obrócił się wózkem i też patrzył na fotografie. – Był profesorem. Zwyczajnym.

– Pan Matthias już to wie – wtrąciła pani Goldschmidt.

– Profesorem zwyczajnym na uniwersytecie w Aix – ciągnął mężczyzna.

– Aix-en-Provence? – spytała Nina.

Pan Goldschmidt obrócił się, by na nią spojrzeć. – Czy to zaskakujące?

– Nie, ale...

– Felix był błyskotliwy. W Paryżu miał czwarty wynik z matury. Jako mały chłopiec potrafił w pamięci dodawać duże liczby – Oblizwał usta. – Trzysta osiemdziesiąt dwa plus siedemset dwadzieścia siedem plus dwieście sześć i plus tysiąc dziewięćset jednaście. Ile to wynosi?

– Nie mam pojęcia – odparł Matthias.

Pan Goldschmidt zwrócił się do Niny: – Ile?

– Nie wiem.

– Felix wiedziałby. Felix by wam powiedział.

Twarz pana Goldschmidta poczerwieniała i koc zsunął się na podłogę, odsłaniając jego chude nogi koloru kości. Był tylko w gatkach. Pani Goldschmidt podeszła do niego i przykryła go kocem. – Pinchas, oni nie są zainteresowani takimi historiami.

– Ja tak – wtrącił Matthias. – Interesuje mnie Felix.

Starszy mężczyzna się uśmiechnął. – Świetnie – mruknął. – Dobrze jest porozmawiać o Feliksie.

– Więc niech pan mi powie, co Felix robił na Bahamach.

Pan Goldschmidt zerknął na żonę. – Nic o tym nie wiemy – przyznała.

– Jak poznał Happy'ego Standisha?

– Już to panu mówiłam. Nie znam tego nazwiska.

– Hirama Standisha juniora.

– To ktoś inny?

– Nie, ta sama osoba.

– I ta sama odpowiedź.

Zapadła cisza. Nina widziała, jak Matthias najpierw patrzy na kobietę, potem na mężczyznę. Nina nic nie wiedziała o Feliksie Goldschmidcie, nie miała pojęcia, do czego zmierza Matthias, ale wiedziała, że Standishowie kontrolowali Human Fertility Institute i wszystko z tym związane ją interesowało. Zapytała więc Matthiasa: – Kiedy wydarzył się ten wypadek podczas nurkowania?

– W zeszłym roku, we wrześniu – odparł. – Trzeciego września.

– Happy Standish był w Aix w lipcu na festiwalu muzyki północnoafrykańskiej – powiedziała Nina. – Widziałam wycinek z *The Village Voice*.

Coś zmieniło się w spojrzeniu Matthiasa, ale Nina nie miała czasu, by to analizować. Potem zwrócił się do pani Goldschmidt: – To może wtedy się spotkali? – Pani Goldschmidt nic nie odpowiedziała, bawiła się plastikowymi kartami Felixa.

Matthias wstał i podszedł do niej. Wystraszył starszą kobietę. Cofnęła się przed jego posturą, jego zakrwawioną twarzą, jego pytaniami. Zatrzymał się. – Nie wyrządę pani krzywdy.

– Więc proszę stąd odejść.

– Nie mogę.

– Dlaczego? Dlaczego nie może pan odejść?

– Może pani nie chce wiedzieć, co się stało z pani synem. To pani prawo. Ale nie tylko on zginął. Chcę, żeby ludzie, którzy to zrobili, ponieśli konsekwencje.

Oczy pani Goldschmidt znów wypełniły się łzami. – Ci ludzie nie poniosą żadnych konsekwencji. Pan jest naiwny – dodała gorzkim tonem.

Ton głosu Matthiasa pozostał łagodny. – Proszę dać mi szansę na udowodnienie tego, że pani się myli.

– Hilda, proszę – odezwał się pan Goldschmidt, podjeżdżając do niej wózkiem. Koc dostał się pod kółka i zsunął się, znów osłaniając kościste nogi mężczyzny. – Proszę.

– Wielki Boże! – wyrzuciła z siebie pani Goldschmidt. Do jej oczu jeszcze raz napłynęły łzy. Tym razem nie znikły tak szybko, spłynęły po twarzy. Kobieta zakryła twarz rękami i zaczęła rozpaczliwie szlochać.

Plastikowe karty spadły na podłogę. Nina szybko je podniosła. Przykryła też nogi panu Goldschmidtowi.

– *Shayna maidel* – wyszeptał do niej. – *Shayna maidel*.

– Tak – krzyknęła pani Goldschmidt. – Tak, tak. To wtedy się spotkali. Przeklęty dzień. – Wybiegła z pokoju.

Nina chciała za nią pójść, ale pan Goldschmidt położył na jej ręce swoją lodowatą dłoń. – Nie – rzekł. – Niech płacze. To jej pomaga. – Cofnął się w róg.

Matthias wyjrzał przez okno. Nina usiadła na kanapie, skupiła się na datach. Lipiec: Happy spotyka się z Felixem. Wrzesień: Happy zapada w śpiączkę, Felix umiera. Październik: Laura zostaje zapłodniona w Bostonie. Luty: Nina w Nowym Jorku. Ten kalendarz należało zinterpretować jak kalendarze innych cywilizacji.

Ściany mieszkania państwa Goldschmidt były bardzo cienkie. Do salonu dobiegł odgłos płynącej do zlewu wody, otwieranej szuflady, odgłos kroków. Pani Goldschmidt wróciła z chusteczką wetkniętą pod rękaw swetra i zniszczoną teczką. Usiadła obok Niny i wyciągnęła z teczki jej zawartość.

Był to maszynopis, choć nie tak gruby jak *Życie bez mężczyzn i dzieci – pokochaj to* oraz kilka odbitek ksero jakichś dokumentów. Nina przeczytała tytułową stronę maszynopisu: *Wilhelm von Trautschke: Histoire d'un Homme de la Science Moderne*. Spojrzała na kopie dokumentów. Jeden z nich miał swastykę na górze, wszystkie były po niemiecku i na wszystkich też figurowało nazwisko von Trautschke.

Matthias przerzucił kartki maszynopisu. – Nie znam francuskiego.

– Ja znam – powiedziała Nina i przebiegła wzrokiem po akapicie, który chyba przedstawiał strukturę wydziału medycznego na uniwersytecie w Heidelbergu po pierwszej wojnie światowej.

– Czy słyszała pani o tym człowieku, von Trautschke? – spytała pani

Goldschmidt.

– Położnik, który otrzymał lek na bezpłodność? – odpowiedziała Nina.

Pani Goldschmidt prychnęła. – Położnik...

– Co to ma znaczyć?

– Lek na bezpłodność. Dobrodziejstwo dla ludzkości. – Pani Goldschmidt wyrwała maszynopis z rąk Matthiasa. – Nie rozumiecie. Bo skąd możecie zrozumieć. To arcydzieło. Arcydzieło Felixa.

– Ta biografia von Trautschke? – spytał Matthias.

Pani Goldschmidt przycisnęła kartki do piersi. – A jaki może być lepszy temat na biografię w dzisiejszym świecie? – spytała. – Położnik... – powtórzyła. – Nawet on sam się tak nie określał.

– A jak? – zainteresowała się Nina.

– Eugenik – odparła pani Goldschmidt. – Wie pani, co to jest?

– Myślę, że tak.

– Myśli pani. A czy pani wie, że są dwa rodzaje eugeniki: pozytywna i negatywna?

– Nie.

– Nie. Nie, mówi pani... Więc dobrze, młoda damo. Doktor von Trautschke wiedział. Był ekspertem od obu. Ekspertem. Od pozytywnej i negatywnej. Hodowla i karczowanie, tak je nazywał. – Jej głos stawał się coraz ostrzejszy.

– Hilda – szepnęła jej męż. Wzięła głęboki oddech, potem podeszła do niego, położyła mu dłoń na ramieniu i mocno uściśnęła. Pan Goldschmidt popatrzył na Ninę. – My go znaleźliśmy, rozumie pani.

– Von Trautschke?

– Tak. Pracował w bloku dziesiątym.

– Bloku dziesiątym? – spytała Nina.

– Tym, gdzie przeprowadzano eksperymenty medyczne – wyjaśnił jej cicho Matthias. – W Auschwitz.

– *Mazzi tov* – mruknęła pani Goldschmidt. – Goj, który słyszał o bloku dziesiątym.

– Hilda! – upomniał ją pan Goldschmidt.

– *Mazel tov*. Naprawdę tak myślę.

– Hilda!

– Nic nie szkodzi, panie Goldschmidt – uspokoił go Matthias. Otarł policzek. Nina widziała, że z zaskoczeniem patrzył potem na krew na swojej ręce. – Była tam pani? – zwrócił się do pani Goldschmidt.

– Byliśmy – odparła.

– I Felix?

– Felix nie.

– Urodził się po wojnie?

– Nie – odrzekła pani Goldschmidt. – To byłoby niemożliwe. Felix urodził się w 1941 roku. Pan Goldschmidt i ja trafiliśmy rok później do Velodrome, ale wcześniej ukryliśmy Felixa u znajomych na wsi.

– A potem przewieziono was do Auschwitz.

– To były normalne losy ludzi z Velodrome.

– I...

– I?

– I von Trautschke tam był?

– O tak, był. – Pani Goldschmidt stała obok męża i zaciskała dłoń na jego ramieniu. On uważnie przysłuchiwał się rozmowie.

Matthias wstał, przemierzył pokój i wyjrzał przez okno. Potem znów przeszedł przez pokój i oparł się o ścianę. Matthias był za duży na mieszkanie państwa Goldschmidt, za ciężki na ich podłogę: skrzypiała pod jego stopami. – Przykro mi, że zmusiłem panią do wspomnień.

– Ale pan to planował? – powiedziała pani Goldschmidt.

– Hilda! – warknął jej mąż.

– Tak, planowałem, choć wiem, że pani nie chce o tym mówić, nie chce o tym pamiętać.

Pani Goldschmidt uniosła głos: – Skąd pan to wie? Skąd pan może to wiedzieć.

– Ja też byłem w obozie. Nie w obozie śmierci, ale ludzie tam też umierali, i też nie chcę o tym mówić.

Wszyscy popatrzyli na niego. Opierał się o drzwi, miał złamany nos, zakrwawioną twarz. Dobrą twarz – pomyślała Nina.

– No dobrze – odezwała się pani Goldschmidt. Nie przestawała masować ramion męża. – Byliśmy w bloku dziesiątym. Doktor von Trautschke... wykorzystywał nas w swoich eksperymentach.

Pan Goldschmidt sięgnął po dłoń żony i poklepał ją. – Ale znaleźliśmy się wśród wybrańców. Nie umarliśmy.

Pani Goldschmidt cofnęła rękę. – Umarliśmy – powiedziała.

Pan Goldschmidt zeszywniał na wózku. Jego oczy zablęskły, zwiesił głowę.

– A czego oczekiwaliście? – spytała pani Goldschmidt. – Umiera się, kiedy taki niby lekarz... położnik, jak go określiliście... wstrzykuje żrące płyny do jajowodów

młodej kobiety i ty jesteś tą młodą kobietą, głodną życia, pełną pożądaniami. Pinchas, dlaczego o tym nie mówić... umierasz, nawet jeśli potem chodzisz. I wtedy, gdy człowiek mieniący się lekarzem umieszcza jądra twojego męża na podstawce i bombarduje je promieniami rentgenowskimi przez pięć, dziesięć minut, dzień po dniu, a potem pobiera spermę do ważnych badań naukowych, stosując wymyślone przez siebie środki pobudzania erekcji.

Pinchas Goldschmidt uśmiechnął się nieśmiało.

Nikt się nie odzywał przez dłuższy czas. W końcu Matthias spytał: – A potem?

– Potem? – Pani Goldschmidt wzruszyła ramionami. – Skończyła się wojna.

Wróciliśmy do Francji, odszukaliśmy Felixa i żyliśmy dalej. Co jeszcze?

– Był cudownym chłopcem – powiedział pan Goldschmidt.

– Tak – potwierdziła jego żona. – Dostarczył nam dużo radości.

– Bardzo dużo.

– A potem dorósł i wstąpił na uniwersytet.

– A my przybyliśmy tutaj – wtrącił pan Goldschmidt. – Do Ameryki.

– Ponieważ gardziliśmy Francją – dodała jego żona. – Za to, co pozwoliła z nami zrobić. *Liberté, Egalité, Fraternité*.

Matthias wrócił na kanapę. – Mówiła pani, że Felix zajmował się historią Żydów...

– Nie tylko, ale to była jego specjalizacja.

– I zainteresował się von Trautschke.

Pan Goldschmidt spojrzął na nią nad ramieniem. – To bystry człowiek, Hilda. – Jego żona nic nie powiedziała. Starszy mężczyzna wychylił się na wózek. – Tak, proszę pana, zainteresował się von Trautschke. Z ciekawości intelektualnej. – Za nim pani Goldschmidt pokręciła głową. Starszy mężczyzna musiał zdać sobie z tego sprawę, bo dodał: – Może niezupełnie z tego powodu. Ale ta ciekawość była częścią jego motywacji. Chciał wiedzieć, jak człowiek, który otrzymał pierwszy lek na bezpłodność, który zaczął jako osoba pomagająca ludziom, mógł skończyć w bloku dziesiątym, gdzie przeprowadzał straszliwe eksperymenty.

– To wszystko było częścią eugeniki – rzekła pani Goldschmidt. – Pozytywnej i negatywnej.

– Tak – potwierdził jej mąż. Wyciągnął rękę. Pani Goldschmidt podała mu maszynopis. Przerzucał kartki, a potem przestał. – Tłumaczę: „Pozytywna eugenika polega na powielaniu pożądanym elementów. Negatywna – na eliminowaniu niepożądanych”. Rozumiecie teraz punkt widzenia Felixa. Pozytywna i negatywna strona złączyły się w jednym człowieku. Były częścią tego samego. Jak

*Lebensborn*. Von Trautschke też był w to zaangażowany.

– *Lebensborn*? – spytała Nina.

– Naprawdę? Nie słyszała pani? – jakby się ucieszył.

– Dlaczego się uśmiechasz? Ze ona nie zna tego określenia? – spytała pani Goldschmidt.

– To czyni życie lepszym – odparł starszy mężczyzna. – Taka niewiedza. – Odwrócił kartkę na drugą stronę. Pokazał ją Ninie. Był tam epigraf Himmlera, po niemiecku.

– Nie jestem w stanie tego przeczytać – powiedziała Nina.

– Nie? Himmler stał na czele programu *Lebensborn*. Źródło życia. Pomysł polegał na tym, żeby zorganizować sieć domów, w których niezamężne kobiety będą mogły rodzić dzieci SS-manów, czyste rasowo. Była to pozytywna eugenika.

– Przerzucił kartki. – W roku 1936 von Trautschke opracował kwestionariusz dla kobiet, które chciały być objęte tym programem.

– Ale to nie wszystko – wtrąciła pani Goldschmidt.

– Wiem, Hilda. Właśnie to jej wyjaśniam. Reszta jest w słowach Himmlera.

– Co mówił?

– Himmler – odrzekł pan Goldschmidt – przemawiając ósmego listopada 1938 roku do oficerów, powiedział... tłumacząc: „Naprawdę zamierzam szukać niemieckiej krwi wszędzie na świecie, zabierać ją, skąd tylko będę mógł”.

Serce Niny zaczęło walić jak młotem. – Co to znaczy?

– Porywanie dzieci, droga pani – odpowiedział Goldschmidt. – Podczas okupacji podbitych terytoriów SS-mani płodzili dzieci z miejscowymi kobietami. Jeśli uznano ich czystość rasową, były zabierane do Niemiec.

– O Boże.

– Tak, to straszne – rzekł pan Goldschmidt. Wyciągnął rękę i poklepał ją po kolanie. – Nie chciałem pani przerazić.

– A von Trautschke był w to zamieszany? – spytał Matthias.

– Pomagał stworzyć ten plan – odpowiedział Goldschmidt. – Napisał dużo naukowych opracowań dla Himmlera. Był przecież ekspertem od zapłodnień. Zaproponował nawet sztuczne zapładnianie niezamężnych kobiet, aby zwiększyć pulę... jak to Felix nazwał? – Przerzucił kartki i szybko znalazł odpowiedni fragment. – „Osób biologicznie wartościowych”. Ale tego było za dużo dla Himmlera. Wierzył w tradycyjną rodzinę.

Pani Goldschmidt prychnęła.

– Hilda!



– Co? Uważasz, że nawet w Himmlerze było coś dobrego?

– Nie, tego nie mówię – odparł. A ona potarła mu ramiona.

– Co się stało z von Trautschke? – spytał Matthias. Pan Goldschmidt uniósł jedną z odbitek dokumentów.

– To – powiedział. – Akt zgonu. Stwierdza się w nim, że zginął w wypadku samochodowym drugiego kwietnia 1945 roku.

– Tuż przed zakończeniem wojny.

– Właśnie.

Nina przyjrzała się aktowi zgonu. Mogła jedynie odczytać dwa nazwiska: Wilhelm von Trautschke i Gerd Müller. – Wskazała palcem to drugie. – Dlaczego ono się tu znalazło?

– Doktor Müller – odparł Goldschmidt – podpisał ten akt zgonu. Taki dokument musi być podpisany przez lekarza.

– Czy to ten sam Müller, który pracował z von Trautschke? – spytał Matthias.

Pan Goldschmidt spojrzał nad ramieniem. – To bystry człowiek, Hilda. – Odwrócił się do Matthiasa. – Tak, Müller też był w dziesiątym bloku. Po wojnie trafił do więzienia.

– Na dwa lata i trzy miesiące – dodała pani Goldschmidt.

– Ale trafił, Hilda.

Potarła mu ramiona.

– W przeciwieństwie do von Trautschke – stwierdził Matthias.

– Którego uratowała śmierć – skwitowała pani Goldschmidt.

Jej mąż westchnął. – Jednak...

– Którego uratowała śmierć – powtórzyła pani Goldschmidt trochę głośniej.

Pan Goldschmidt ścisnął jej dłoń. – Bądźmy uczciwi w stosunku do Felixa. Sądzę, że ci ludzie chcą kontynuować jego zadanie. Nie widzisz tego?

– Jednak co, panie Goldschmidt?

Spojrzał na żonę, zachowywała kamienną twarz. – Jednak Felix nie mógł znaleźć grobu von Trautschke – dokończył Goldschmidt. – Wszystko co znalazł, to ten akt zgonu. Próbował wszędzie, oficjalnymi kanałami, nieoficjalnymi. Odszukał nawet córkę von Trautschke, tutaj w Ameryce, i doktora Müllera w Australii. Napisał do nich. Nie odpowiedzieli.

– Skontaktował się z nimi?

– Jako naukowiec. Niejako syn tych, którzy przeżyli.

– Ofiar – poprawiła go pani Goldschmidt. Ścisnął jej dłoń.

– Kiedy pisał te listy? – spytał Matthias.

– Mniej więcej dwa lata temu.

– A dokładnie?

– A jakie to może mieć znaczenie?

– Ponieważ syn Gerda Müllera zjawił się w moim hotelu w sierpniu ubiegłego roku.

– Felix pisał te listy wcześniej, wiosną – powiedziała pani Goldschmidt.

Nikt przez chwilę się nie odzywał. Potem Matthias powiedział: – Wtedy Bernie znalazł się na Andros, a Happy Standish... wnuk von Trautschke... pojechał do Aix.

– Z tym Bernie ma pan rację – stwierdził pan Goldschmidt. – Ale żadnego związku między tym wnukiem a listami nie było.

– Dlaczego pan tak uważa?

– Felix zetknął się z nim przypadkowo, na przyjęciu. Znał jego nazwisko z badań. Tak to się zaczęło. Felix zbliżył się do niego, polubił. Był wnukiem potwora, ale on sam nie był potworem. Nic nie wiedział o swoim dziadku – W każdym razie tak mówił – wtrąciła pani Goldschmidt.

– Nie, Hilda. Felix nie mógł się mylić w tym przypadku. Chłopak wiedział, że dziadek był Niemcem i zginął w czasie wojny, to wszystko.

– Czy razem tutaj przyjechali? – spytał Matthias.

– Słucham?

– Kiedy pani syn pożyczył walizkę.

– Felix przyjechał sam.

– Zatem spotkali się na Florydzie.

– Nic na ten temat nie wiemy – powiedziała pani Goldschmidt. – Felix był tutaj tylko kilka godzin. Bardzo się śpieszył. Wspomniał o Happy Standishu, ale nic nie mówił, o czym rozmawiali ani... nic.

– Morze płonie – powiedział Matthias tak cicho, że Nina myślała, że mówi do siebie.

Pani Goldschmidt też go usłyszała. – Co?

Matthias wstał, przeszedł przez pokój i oparł się o drzwi. Nina zastanawiała się, czy on może dobrze czuć się w mieszkaniu. Słyszała o takich mężczyznach, ale z nikim takim się nie spotkała.

– Wiem, o czym mówicie – rzekł Matthias. – Von Trautschke nie umarł. – Nina spojrzała na starszą parę. Ich twarze były bezbarwne, wydawali się prawie nie oddychać. – Przynajmniej nie drugiego kwietnia 1945 roku. Uciekł na Bahamy łodzią podwodną. Sądzę, że potem spowodował jej wybuch, żeby nie było świadków. Większość wraku poszła na dno. Ale przez kaprys geologii nie cały. –

Opowiedział im, co widział w jaskini pod zatoką Zombie. – W 1953 roku szczątki wraku zaczęły wypływać w błękitnej dziurze. Może to sztorm je wyrzucił albo zwykłe pływy. Hiram Standish, senior, i jego partner nurkowali i łatali wyciek, ale coś poszło nie tak i Hiram utonął. Jego partner o wszystkim powiadomił Inge Standish.

Pan Goldschmidt zwilżył usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz nie wydobył z siebie ani słowa. Pani Goldschmidt wzięła głęboki oddech i powiedziała: – Czy ten partner jeszcze żyje?

– Nie wiem – odparł Matthias. – Teraz byłby bardzo stary.

– My jesteśmy bardzo starzy – powiedziała pani Goldschmidt. Łzy w jej oczach szybko wyschły. Pan Goldschmidt odwrócił się do niej i jak wcześniej uśmiechnął się nieśmiało. Wzięła ręce z jego ramion. Uśmiech pozostał na jego twarzy, bez wyrazu, głupkowaty, nie mający nic wspólnego z tym, co działo się we wnętrzu mężczyzny.

Nina i Matthias wyszli z małego mieszkania. – Są bezpieczni? – spytała Nina.

– Tak. Inaczej by już nie żyli.

Nina i Matthias podeszli do samochodu. Wiedziała, że noc jest mroźna, widziała wydostającą się z ust parę wodną, ale jej skóra była gorąca. Wyjęła kluczyki do samochodu, ale z jakichś powodów nie mogła go otworzyć. Potem poczuła dłoń Matthiasa na swojej; zimną dłoń, bardzo dużą. Otworzył drzwi samochodu.

– Lepiej opowiedz mi o wszystkim – zaproponował.

– Nie wiem, od czego zacząć.

– Zaczynaj od dziecka.

Zacząła się trząść. – On nie jest biologicznie wartościowy – powiedziała. – Mam w sobie żydowską krew. – Nadal drżała. Z wahaniem objął ją ramieniem. Bezpiecznie jak w domu – znów pomyślała, ale ta myśl nie dotarła do jej głębokiej świadomości. Nina długo dygotała w cieniu budynku 216 przy Wschodniej Trzydziestej Trzeciej.

Matka założyła czarny kapelusz. Fritz założył czarny kapelusz. Gdzieś jechali.

Czy to tylko wspomnienie? Wspomnienie numer dwa. Przedział pociągu. Matka ociera oczy. Fritz daje jej czarną lukrecję, za oknem pada śnieg.

Nie. Matka jest teraz starsza, Fritz jest starszy, i on, Hiram Standish jest starszy. Im jesteś starszy, tym bliższy śmierci. A może odwrotnie? Jeśli tak, to on byłby najstarszy.

Kolejna wyprawa. Wszyscy są starsi. W kapeluszu matki nie ma szpilki, ubrana jest w futro z norek, pod nim trzyma jakieś zawiniątko. Fritz wyprowadził jego wózek z białego pokoju. Potem pojechali korytarzem do frontowych drzwi. Matka otworzyła je. Leżąc na plecach, Happy poczuł chłód i zobaczył padający śnieg.

Śnieg. Czy to mimo wszystko wspomnienie numer dwa?

Nie. Leżał na plecach, podłączony do tych urządzeń. I nie czekał na nich żaden pociąg. Kątem oka spostrzegł dużą ciężarówkę.

– Umieście go w środku – nakazał Fritz.

Usłyszał trzaśnięcie drzwiami samochodu, a potem odgłos ciężko stawianych kroków na progu. Olbrzymi człowiek stanął nad nim. Miał spuchniętą wargę i podbite oko. To dlatego Happy nie przypomniał go sobie zbyt szybko. Ale o tak potężnym mężczyźnie trudno zapomnieć, nawet jeśli teraz miał krótsze włosy i jaśniejszą opaleniznę. W końcu Happy przypomniał go sobie; jego pamięć doskonale pracowała. Widział tego mężczyznę wcześniej: jak spacerował po nadbrzeżu w tym śmiesznym małym klubie na wyspie Andros.

Co on tam robił?

Mężczyzna patrzył na niego. – Jezu – mruknął.

Potem w zasięgu wzroku pojawiła się Matka. – Wybacz, ale... – powiedziała do olbrzyma.

– To nie była moja wina – rzekł mężczyzna. – Skąd miałem to wiedzieć?

– Mogłeś sprawdzić to nazwisko – stwierdziła Matka. – Ze zwykłej ciekawości...

– Natychmiast przestańcie – warknął Fritz, gdzieś spoza zasięgu jego wzroku. – To był zwykły pech, nic więcej.

– Pech – powtórzyła Matka.

– *Hor auf!*

Matka zamilkła.

Olbrzym pchnął wózek w stronę drzwi. Happy poczuł zimno. Płatki śniegu dostały się do domu, opadały na twarz Happy'ego. Były lekkie jak puch. Topiły się na jego skórze i zamarzały. Potem nagle wózek się zatrzymał.

– Kto to? – spytał ten olbrzymi mężczyzna.

Matka spojrzała gdzieś w dal. Otworzyła szeroko oczy. Happy usłyszał odgłos nadjeżdżającego samochodu.

– Szybko! – rzucił Fritz. A Matka wyciągnęła swoje zawiniątko spod futra i włożyła mu je pod koc. Zawiniątko było ciepłe.

Zamknęły się drzwi samochodu. – Pani Standish? – usłyszał kobiecy głos.

– Słucham?

– Jestem detektyw Delgado z nowojorskiej policji.

Matka zamrugła oczami. – Tak. W czym mogę pomóc? – zapytała.

– Chodzi o porwanie dziecka. Prowadzę tę sprawę. Tak naprawdę to były dwa porwania, jedno w Bostonie i jedno na Manhattanie. W obu przypadkach kobiety korzystały z banków spermy. Odkryłam, że oba... *Cambridge Reproductive Research Center* i *Human Fertility Institute*... były wspierane przez Fundację Standisha. Chciałabym, żeby pomogła nam pani w śledztwie.

Matka się uśmiechnęła. – W jaki sposób? – Pod kocem ciepłe zawiniątko obróciło się. Happy poczuł małe paluszki na swojej owłosionej klatce piersiowej.

– Mogłaby pani udostępnić nam dane dawców spermy – powiedziała kobieta.

– Chcę wam pomóc i zrobić, co będę mogła, ale my już nie zajmujemy się tymi bankami spermy.

– Wiem o tym – rzekła kobieta. – Podeszła bliżej, ale wciąż była poza zasięgiem wzroku Happy'ego. Jednak mógł wyczuć jej zapach: zapach papierosów. Poczul małe usta na swojej piersi i usłyszał ciche stęknienie. Kobieta mówiła dalej.

– Ale nie widzę...

– Przepraszam – przerwała jej Matka. – Fritz, nie chcę, żeby on się przeziębził.

– Oczywiście, proszę pani – rzekł Fritz i pstryknął palcami.

Olbrzymi mężczyzna wprowadził wózek Happy'ego z powrotem do domu.

– Proszę mówić dalej – powiedziała Matka.

Fritz zamknął drzwi, tak, że Happy nie usłyszał słów detektywa.

– Cholera – szepnął olbrzym.

– Zamknij się – burknął Fritz.

Wjechali wózkiem do jadalni. Kiedy ostatnio tu był? W poprzednim życiu. Postawili go pod portretem jego ojca. Happy patrzył mu w oczy. Wyglądały na

zaniepokojone; czyżby przypuszczał, że dorwie go łuska? Happy zaczął rozmyślać o dziwnym stawie w lesie, kiedy usłyszał Fritza: – Idź poczekać w kuchni.

Usłyszał oddalające się kroki olbrzyma.

Potem Fritz spojrział na niego. Happy wpatrywał się w jasnoniebieskie oczy i nic nie zobaczył. Tylko jasnoniebieskie kółka z czarnymi dziurkami pośrodku. Mogłyby być wykonane z jakiegoś nowoczesnego materiału. Fritz westchnął i pokręcił głową.

– Wnuczku – szepnął.

Wnuczek. Czyżby cały czas o tym wiedział? Możliwe. A może bronił się przed tą wiedzą? Prawdopodobne. Ale Fritz zawsze był dla niego dobry. Nieprawdaż? Nagle Happy przypomniał sobie, co mu mówił Felix. Zakotłowało mu się w pamięci, w jego wewnętrzny świat wdarł się chaos. W tym samym czasie małe usta wbijały się w jego pierś.

– Wnuczku – powtórzył Fritz. – Wszystko mogłoby być inaczej... – Skrzywił się i dodał: – ... gdybyśmy nie zaatakowali bolszewików. – I machnął swoją starą dłońią pokrytą plamami wątrobowymi. Happy spojrział na rękę i zrozumiał, może nie wszystko, ale już wiedział, co jest pod kocem.

– Być może nie jesteś taki, jak chcieliśmy – ciągnął Fritz – ale to nic dziwnego w takim kraju jak ten. – Happy spojrział w ciemne dziurki. – Wciąż jednak jesteś moim wnukiem. I nie zrobiłbym tego, gdyby nie było to tak racjonalne i humanitarne, biorąc pod uwagę twoją przyszłość. – Potem Happy usłyszał trzask przełącznika. – A poza tym – mówił Fritz – zostało tak mało czasu.

Coś było nie tak. Co? Brakowało powietrza. Tak, właśnie to. *Keine Luft*. Tak jak ojciec, tak i syn. Płuca nie miały czym oddychać. Były puste, a maszyna nie pompowała do nich powietrza. W pokoju było cicho. Happy chciał oddychać, ale nie miał czym. Mógł jedynie czekać. Patrzył w czarne dziurki w oczach i czekał. Powietrze nie dotarło.

Pod kocem małe usta wreszcie znalazły jego brodawkę i zaczęły ssać.

Siedzieli w wypożyczonym samochodzie, z pracującym silnikiem i włączonym ogrzewaniem, z ciałem doktora Crossmana w bagażniku, i rozmawiali. Nina wszystko Matthiasowi opowiedziała. Opowiedziała mu o dokumentach, które podpisała w Human Fertility Institute, i o pytaniach doktora Crossmana o jej pochodzenie; o Laurze Bain i rzeczoznawcy w jej domu, o niebieskim długopisie i butelczce seconalu, którą dostała od Crossmana. Opisała wolontariuszkę ze szpitala, mówiącą z dziwnym akcentem, opisała też tego rzeczoznawcę. Powiedziała wszystko, co mogła sobie przypomnieć o dawcy VT-3(h).

Później mówił Matthias. Opowiedział Ninie o wypadku podczas nurkowania i o butli dwadzieścia siedem zawierającej tlenek węgla. Mówił o albumach Hewa Aikenfielda i jego śmierci. O podwodnej jaskini i majakach zapijaczonego Nottage'a.

Mijały kolejne godziny. Okna samochodu pokryły się mgłą. Mogli wyglądać jak nastoletni kochankowie, którzy nie mają się gdzie podziać. Chyba właśnie tak pomyślał kierowca radiowozu, który zwolnił, oświetlił ich auto i pojechał dalej. A potem niczym nastoletni kochankowie siedzieli zamyśleni. Na wschodzie pojawiła się złota poświata. Nina zobaczyła ją w bocznym lusterku.

– Jak to ma się do siebie?

– Jak błękitna dziura – odparł Matthias.

– O czym mówisz?

Matthias narysował coś na przedniej szybie. – Niebieska dziura. Tunel. Komora. I półka, na której znalazłem walizkę. – Narysował kolejny tunel prowadzący od półki do otworu w ścianie. – Takie podwodne urwisko. Tam gdzieś w niej musi być jaskinia, z tylnym wejściem, przypuszczalnie z następną półką, wystarczająco dużą, żeby mogła zatrzymać części łodzi podwodnej i walizkę Felixa. Potem przyływ wepchnął je do środka. Chodzi o to, że muszą być do niej dwa wejścia.

– Zatem jesteśmy w błękitnej dziurze?

– Właśnie. Ty przypląnęłaś z jednej strony, ja z drugiej.

– I zderzyliśmy się głowami w ciemnościach.

Matthias parsknął śmiechem. Po raz pierwszy spojrzął w lusterko i zobaczył swoją zakrwawioną twarz i złamany nos. Stłumił śmiech i zmasał rysunek. – Sprawdźmy, co Inge Standish ma do powiedzenia na temat Goldschmidtów.

Nina była zmęczona. Bolał ją policzek. Bolała ją głowa. Ale w mężczyźnie obok siebie wyczuwała coś, co promieniowało na cały samochód, przenikało ją i kazało powiedzieć: – Niezły pomysł.

– Prowadzisz czy pilotujesz?

– Pilotuję.

– Miałem nadzieję, że tak odpowiesz. Ja jestem kiepski w pilotowaniu.

Zamienili się miejscami. Nina mówiła mu, którądy jechać. Po pewnym czasie Nina oparła głowę o szybę. Chłodne szkło sprawiło, że ból ustąpił. Zasnęła.

Obudziła się w pocztówkowym krajobrazie. Błękitne niebo, pokryte śniegiem iglaki i mały wiejski sklep z wawrzynem na drzwiach. Te drzwi się otworzyły i ze środka wyszedł mężczyzna w wiatrówce. Niósł brązową torbę. N. H. Matthias. Matt. Zmył krew z twarzy i uczesał włosy – wciąż były wilgotne. Pomyślała o uczniach idących rano do szkoły.

Zobaczył, że się obudziła, i uśmiechnął się.

– Szynka i ser czy tuńczyk? – spytał.

– Szynka i ser. Jadłam tuńczyka u pani Standish.

To wywołało na jego twarzy kolejny uśmiech.

Nina jadła ser i szynkę z żytnim chlebem. Wspaniale smakowało. Kawa też była wyśmienita.

– Może być musztarda? – spytał.

– Jak najbardziej.

– Była musztarda i majonez.

– Wolę musztardę.

– Ja też.

Przejeżdżali przez położone na wzgórzach miasteczka zachodniego Connecticut. Zjedli kanapki i wypili kawę. Nina niemal czuła, jak pokarm przepływa przez jej ciało i odżywia każdą komórkę. Na kilka minut zapomniała nawet, że w bagażniku wiozą ciało doktora Crossmana.

– Naprawdę siedziałeś w obozie?

Potaknął.

– W Wietnamie?

– Na Kubie. – Na dłużej zapadła cisza. – Dawno temu. Byłem głupi.

– Nie sędzę.

Dojechali do miasteczka Washington, minęli pocztę, biały kościół. – Masz dzieci? – spytała Nina.

– Chłopca – odparł Matthias. – Mieszka z matką.



– Och...

Skręcili w prawo na trzecim skrzyżowaniu za ostatnim domem w miasteczku. Jechali drogą z dużymi drzewami na poboczach. Brama do posiadłości pani Standish była otwarta. Wjechali.

Przed domem stała karetka. Matthias zatrzymał się przy niej. Sanitariusz zamykał tylne drzwi. Obok stał mężczyzna ze stetoskopem na szyi, z zimna zacierał dłonie. Doktor Robert.

Matthias i Nina wysiedli z samochodu. Lekarz spojrział na nią, na niego, a potem znów na nią. – Doktor Robert? – odezwała się.

– Tak, to ja.

– Spotkałam się z panem wczoraj rano.

– A, tak. – Zacisnął dłonie. – Dobrze, że tak się stało – powiedział. – Stan był beznadziejny.

– O czym pan mówi?

– Happy Standish umarł dziś rano. Odszedł. – Pokazał głową w kierunku karetki.

– Na co?

– Na co? – powtórzył. – Niech pani sama odpowie sobie na to pytanie.

– To chyba pański zawód? – wtrącił Matthias.

Doktor Robert zmarszczył czoło. – Przypuszczam, że bezpośrednią przyczyną było zapalenie płuc.

Matthias podszedł do karetki i zajrzał przez szybę. Zmarszczki na czole lekarza pogłębiły się. – Gdzie jest pani Standish? – spytał Matthias.

– Poza miastem – odparł doktor Robert. – Stary Fritz mnie wezwał.

– Stary Fritz?

– Ogrodnik. Ale jego chyba też tu nie ma. Sprawdziłem w jego domku.

– Wszystko gotowe, doktorze – powiedział sanitariusz.

– Dobrze. Zaraz odjeżdżamy.

Matthias ruszył w stronę domu. Drzwi były otwarte. Nina poszła za nim.

– Chwileczkę – odezwał się doktor Robert. – Gdzie państwo idziecie?

– Wszystko w porządku – uspokoiła go Nina. – Jestem krewną.

– Krewną?

Nina zamknęła drzwi za sobą. Poprowadziła Matthiasa do pokoju Happy'ego. Ekran monitora na ścianie był ciemny. Na łóżku leżała tylko w połowie napełniona torba do kroplówki. Matthias popatrzył na zdjęcia na ścianach. – Leworęczny – stwierdził.

Nina wcześniej to zauważyła, ale wtedy nie zwróciła na to szczególnej uwagi. Teraz poczuła się, jakby ktoś mocno ją uderzył. Głęboko nabrała powietrza do płuc. – I dawca Laury też był leworęczny.

– VT-1 – powiedział Matthias. – Wilhelm von Trautschke. VT-2, Inge. VT-3, Happy.

A więc stąd wzięło się to (h) – pomyślała Nina. Próbowwała przypomnieć sobie chronologię zdarzeń. – Czy sperma została pobrana po wypadku? – spytała.

– I z tego powodu.

Nina zastanowiła się nad tym. Wiele rzeczy stawało się jasnych – na przykład pytania Crossmana o jej pochodzenie i reakcja Inge Standish na informację, że oboje rodzice Niny zachorowali na raka. Pomyślała też o reakcji Berniego, gdy dowiedział się o pradziadku z żydowskim nazwiskiem. *Wtedy do tego by nie doszło*. Na to wspomnienie zrobiło się jej zimno. Chciała, żeby nie była to prawda. – Ale to możliwe? – spytała.

Wyszli na zewnątrz. Karetka odjechała. Doktor Robert wsiadał do swojego samochodu.

– Doktorze? – zawołała Nina.

– Słucham?

– Czy pana zdaniem ten wypadek wpłynął u Happy'ego na wytwarzanie spermy?

– Dziwne pytanie. Bez sensu.

– A na ciała jamiste?

Doktor Robert wykrzywił twarz. – Ciała jamiste?

– Chodzi mi o to, czy ktoś mógł pobrać Happy'emu spernę, gdy zapadł w śpiączkę.

Doktor Robert spojrzał na nią ze wstrętem. – Co za odrażający pomysł. Kto miałby robić coś takiego. – Wsiadł do samochodu i chwycił za klamkę u drzwi, by je zamknąć. Matthias przytrzymał je jedną ręką. Doktor Robert wciąż ciągnął za klamkę.

– Pytamy tylko, czy to było możliwe.

– Tak. A teraz proszę wziąć tę rękę.

Matthias ustąpił. Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Doktor Robert spojrzał na nich wilkiem i szybko odjechał.

– Zadzwoń na policję – stwierdziła Nina.

– Prawdopodobnie.

– A my mamy doktora Crossmana w bagażniku.

– Trzeba coś z tym zrobić – uznał Matthias.

Otworzył bagażnik, zarzucił Crossmana na ramię i zaniósł go do domku starego Fritza. Z komina unosił się dym, ale w domu nikogo nie było. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Weszli do środka. Po jednej stronie znajdował się duży pokój i kuchnia, po drugiej salon. Na stole w kuchni stała pusta butelka Rüdesheima. Na półkach stały książki, większość po niemiecku – podręczniki naukowe, książki medyczne, historyczne. Ogień w kamiennym kominku prawie wygasł. Przed nim leżał zastrzelony Zulu. Obok Matthias położył zwłoki Crossmana. Wyciągnął z nich nóż Niny i obmył go pod zlewem. Podał go Ninie. Nie wykonała żadnego ruchu, żeby go wziąć.

– Czy czasem nie fałszujemy dowodów?

– Raczej sprowadzamy śledztwo na właściwe tory – odrzekł Matthias.

Nina wzięła nóż. – Nie ufali mu, prawda?

– A ty byś ufała?

Matthias ukląkł przed kominkiem i przegarnął popiół.

– Palili papiery – stwierdził. – Dużo.

– Gdzie oni teraz są? – zapytała.

– Uciekają.

– Ale dokąd? – spytała i natychmiast pomyślała: Bernie wie o moim dziecku.

Poczuła, że znów zaczyna drżeć. *Nie czas na to.* Wybiegła z domku starego Fritza. Cały czas biegła do samochodu.

Matthias i Nina zdążyli na ostatni samolot z Nowego Jorku do Nassau. Siedzieli obok siebie. Samolot wzbił się w powietrze. Słońce zaszło. Samolot zanurzał się w nocy, cieplej, spokojnej, nierzeczywistej, jakby od czegoś uciekał. Nina zamknęła oczy i też zaczęła swoją ucieczkę. Po chwili niczego nie była świadoma z wyjątkiem tego, że obok niej jest Matthias. Siedział wyprostowany, nie położył rąk na oparcia, ale czuła go przy sobie. Kiedy zasnęła, po jej głowie zaczęła krążyć jedna zwariowana myśl, nieodpowiednia, ale jednocześnie praktyczna: wkrótce będę potrzebowała większego łóżka.

Tej nocy Nina wkroczyła do świata Matthiasa. Był to świat *andros* w greckim znaczeniu tego słowa. Świat, w którym po raz pierwszy siedziała na motocyklu przytulona do Matthiasa, kiedy ten pędził wąską drogą wzdłuż wybrzeża. Świat, w którym płynęła małą łodzią po ciemnej wodzie, a nigdzie na horyzoncie nie było żadnych świateł. Świat, gdzie wysiadła na małej wyspie, która pachniała sosnami, i szła pod rozgwieżdżonym niebem tak jasnym, że światło gwiazd odbijało się na muszlach wzdłuż ścieżki. Świat, w którym istniał opuszczony bar ze wspaniałą papugą, która przywitała ich krzykiem: *Spierdalaj, spierdalaj!*

– To Chick – powiedział Matthias. – Nie zwracaj na niego uwagi.

– *Amazona versicolor* – stwierdziła Nina. – Papuga z Saint Lucia.

– Skąd wiesz?

Nina uśmiechnęła się i nic nie powiedziała. Na barze stała miska z preclami. Wzięła jednego dla Chicka, świadoma, że Matthias ją obserwuje. Chick wyciągnął dziobem precla z jej palców. Mogłaby przeżyć na Andros. Ciągłe się tym zachwycała, kiedy Matthias nagle zgasił światła. Słyszała, jak cicho przechodzi w stronę patio, ale nic nie widziała.

– Matt?

– Tak – odparł Matthias i włączył światła.

Na patio ukazał się jakiś mężczyzna, wszedł do baru. Miał na sobie zjedzony przez mole sweter, a na głowie czapkę z logo Boston Bruins. Najpierw spojrzał na Ninę, a potem zwrócił się do Matthiasa.

– Brock tu był.

– Na wyspie?

Mężczyzna przytaknął.

– Rozmawiałeś z nim?

Pokręcił głową. – Był na nadbrzeżu. Ja schowałem się w krzakach.

– Dlaczego?

Mężczyzna wzruszył ramionami. Zapadła cisza. Nina słyszała fale rozbijające się o brzeg, przypominało to dźwięk cymbałów. – Nie ma chyba powodu, żebyś bał się Brocka, Moxie? – spytał Matthias.

Moxie wbił wzrok w podłogę.

Matthias obserwował go przez chwilę. – Kto wyrzucił tę walizkę, Mox?

Moxie zdjął czapkę i miał ją w rękach. – Brock – odpowiedział – zaraz po

wypadku. Mówiłem: co robisz? A on, że dla Matta nie ma lepszego wyjścia, nie ma ubezpieczenia. – Moxie próbował uchwycić spojrzenie Matthiasa, ale nie mógł. – Myślisz, że to ja? – spytał cicho.

– Nie, Moxie, nigdy tak nie myślałem.

Moxie podszedł, ściskając w dłoniach czapkę, ale nie spoglądał na Matthiasa.

– Gdzie on teraz jest? – spytał Matthias.

– W błękitnej dziurze – odparł Moxie.

– W błękitnej dziurze? Miał ze sobą sprzęt?

– Mnóstwo. Miał też ze sobą Danny'ego.

– Danny'ego? O czym ty mówisz? – Matthias nic więcej nie powiedział, ale mimo to Moxie się cofnął.

– Danny przyjechał tu wczoraj. Na krótkie wakacje, tak mówił.

Matthias wybiegał na zewnątrz. Nina za nim. Jasny sierp księżyca wisiał nad drzewami. Nie dawał zbyt wiele światła, ale odpowiednio dużo, żeby Nina nie straciła Matthiasa z oczu. Biegła, słysząc wiatr poruszający drzewami, dostrzegając fragmenty krajobrazu: zniszczone pole do shuffleboarda, pomarańczowego kraba na kamieniu, pnie wąskich sosen. Potem na ścieżkę wpadł pies, wściekle ujadając. Nina tak się wystraszyła, że nie wiedziała, czy to Matthias tak warknął, ale pies opuścił uszy i uciekł.

Księżyc prześwitywał między drzewami. Po kilku następnych krokach Nina dostrzegła jego odbicie w małej okrągłej tafli jeziora. Matthias klęczał przy drzewie, do którego nylonową linką był przywiązany chłopak. Chłopak z szerokimi ramionami. Nina od razu wiedziała, kto to jest. Matthias uwolnił go.

– Tato – jęknął chłopiec. Cały drżał.

Matthias wziął go w ramiona. Chłopak próbował nie płakać, ale nie mógł się powstrzymać. Nina patrzyła na ręce Matthiasa na jego plecach. Początkowo były nieruchome, ale po chwili Matthias zaczął klepać chłopca. – Nic ci się nie stało? – spytał Matthias.

Chłopak skinął głową.

– Gdzie on jest?

– Tam. Powiedział, że zajmie się mną później.

Twarz Matthiasa przybrała taki wyraz, że Nina nie była w stanie go opisać. Zaczął obchodzić staw, zatrzymał się i podniósł duże tekturowe pudełko. W środku były kawałki woskowanego papieru. Powąchał je. – Plastik – stwierdził.

Matthias dalej szedł wokół stawu. Uważnie. Znalazł nylonową linę przywiązaną do innego drzewa. Zaczął za nią ciągnąć. Na powierzchni wody pojawiły się dwa

aparaty tlenowe. Matthias przyjrzał się im. Nina widziała odbijające się w jego oczach światło księżyca. Potem puścił linę i butle znikły pod wodą.

– Nie rozumiem – powiedziała Nina.

– To są jego butle do dekompresji – odparł Matthias. – Nie chciałbym zabijać ludzi w ten sposób.

Ale nie o tym Nina myślała. – O co chodzi z tym plastikiem?

– Materiał wybuchowy. Ma zamiar wysadzić półkę skalną w powietrze.

– I ukryć ślady?

Matthias przytaknął. – Moxie – zawołał nagle.

Odpowiedział mu głos z ciemności. Nina nie wiedziała, że jest gdzieś w pobliżu.

– Potrzebny jest mi mój sprzęt: dwie butle osiemdziesiątki, trzy regulatory, kompas, głębokościomierz, obciążniki. Weź dzipa.

– Pomogę mu – zaproponował chłopak.

Matthias się uśmiechnął.

Nina usłyszała ich kroki. Potem zapadła cisza, słychać było jedynie wzmagający się wiatr. Tafla wody wyglądała jak markiza przy restauracji.

– Będiesz nurkował w nocy? – spytała Nina.

– To jest zaleta nurkowania w jaskiniach. Dzień czy noc, nie ma znaczenia.

– Czy ten twój znajomy będzie nurkował z tobą?

– Moxie? Nie.

Po chwili Nina usłyszała dzipa. – Nie powinieneś robić tego sam. – Nie mogła się powstrzymać. – Może ja.

Matthias uśmiechnął się szeroko. – Dużo nurkowałeś?

Trochę pływałam z fajką pod wodą na Tahiti, kiedy byłam tam z Richardem Drugim – pomyślała. Przyznała więc: – Nigdy.

– To nie jest czas na stawianie pierwszych kroków. Najbardziej mi pomożesz, jak zostaniesz tutaj.

– W jaki sposób ci pomogę?

Nie odpowiedział.

Moxie i chłopiec przybyli ze sprzętem. Matthias zdjął z siebie ubranie. Jego nagie ciało, błyszczące w świetle księżyca, było potężniejsze, niż Nina myślała, ale miało w sobie też coś podatnego na zranienie. W jakiś niewytłumaczalny sposób świadczyły o tym nie tylko te dwie białe blizny na plecach. Syn obserwował go z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Matthias wciągnął na siebie kombinezon, założył płetwy, maskę, butle i wiele

innego skomplikowanego sprzętu, którego Nina nie była nawet w stanie nazwać. – Opuść zapasowe butle na czterdzieści stóp – powiedział do Moxiego. – Albo trochę głębiej. – Potem podszedł do brzegu, naciągnął maskę na twarz i spojrzał na zegarek.

Włożył ustnik do oddychania. – Ta-ta – powiedział. Potem wszedł do wody i znikł. Odbicie księżyca rozpadło się na kawałki, a potem połączyło w całość. Moxie przywiązał butle do liny, drugi jej koniec umocował wokół drzewa. Opuścił butle do jeziora. Jego skóra była koloru popiołu.

– Żyją tu łuski – powiedział.

– Łuski?

– Potwory. Ukrywają się w błękitnych dziurach.

Mocniej naciągnął czapkę na głowę. Wiatr przywiał kawałek woskowanego papieru. Nina podniosła go i powąchała. Pachniał spalonym cukrem. Stała przy brzegu jeziora.

Cholera – pomyślał Matthias, gdy zimna woda dostała mu się pod kombinezon. To nie jaskinie zabijają nurków, ale oni zabijają się sami. Włączył latarkę i szybko zszedł w dół, przez warstwę świeżej wody i czerwoną warstwę. Znalazł się w słonej wodzie na głębokości stu dwudziestu dwóch stóp. Przepłynął nad stertą kamieni do wejścia do tunelu. Wyłączył latarkę, zajrzał do środka... i zobaczył ciemność. Wydawało mu się, że czuje prąd wody wpływającej do tunelu i przypomniał sobie zasadę, że nigdy nie należy wpływać do jaskiń na wyspach podczas odpływów. Zanurkował do tunelu.

Latarka wydobyla znajome szczegóły: kawałki chińskiej porcelany, zardzewiałe gwoździe, szare wapienne ściany. Jednak Matthias nie tego szukał. Szukał bąbelków powietrza spłaszczonych pod sklepieniem. Zobaczył je.

Matthias szybko popłynął tunelem do pierwszego rozwidlenia. Jego stara lina wciąż była przywiązana do wapiennego występu. Znów wyłączył światło i znów niczego nie zobaczył poza ciemnością.

Przepłynął obok jaskini, w której znalazł wojskowy but, minął urwisko, gdzie po raz pierwszy zobaczył małego rekina. W końcu dopłynął do miejsca, gdzie skończyła mu się lina. Kołowrotek wciąż tkwił wciśnięty między stalagmit a ścianę. W tym miejscu nurek musiał zamocować nową linę, ale Bernie Muller nie zrobił tego. Była to oznaka pewności siebie; Bernie uznał, że nie czekają go już żadne niespodzianki. Ale to nieprawda. Matthias przypominał sobie, że tunel jeszcze raz się rozgałęział, ale niewidocznie, bo do tyłu. Matthias odkrył to dopiero

w drodze powrotnej. Płynął dalej.

Tunel rozszerzył się. Matthias oświetlał ściany, czekał na jakiś odblask. Kiedy dostrzegł, wyłączył latarkę. Przez ciemność z oddali przebijał słaby stożek żółtego światła. Nie włączając latarki, ruszył w stronę komory ze sklepieniem.

Żółty stożek lekko drżał na przeciwległej ścianie, blisko sklepienia. Oświetlał niewielką niszę i gołe ręce nurka z małym plecakiem, coś robiącego. Widać było tylko jego sylwetkę, ale Matthias wiedział, że to Bernie Muller – rozpoznał go po jego kuszy, którą tylko on mógł naciągnąć. Matthias podpłynął bliżej.

Wiele lat temu był ćwiczony, jak zachować się w takich sytuacjach. Po pierwsze: zaatakować z tyłu od góry. Po drugie: zerwać przeciwnikowi maskę. Po trzecie: użyć noża albo węża z regulatora przeciwnika. Ale Matthias nawet nie dotknął swojego noża. Tutaj w jaskini wystarczyło tylko wytrącić Berniemu latarkę z ręki. Spadłaby na dno i byłby bezradny, musiałby podążyć za Matthiasem. Gdyby podpłynął za blisko, Matthias musiałby tylko wyłączyć swoją latarkę i odpłynąć od niego. Matthias unosił się, aż dotarł do sklepienia, potem płynął wzdłuż niego i znalazł się nad Berniem.

To był prosty logiczny plan, ale logiczne plany w podwodnych jaskiniach nie zawsze da się zrealizować. To była pierwsza wada. Wada druga: Bernie Muller był świetnym nurkiem, a świetni nurkowie mają szósty zmysł. Kazał mu spojrzeć w górę, kiedy Matthias płynął na niego. Zobaczył Matthiasa wyłaniającego się z ciemności i przerażenie wypełniło mu oczy, ale od razu sięgnął po kuszę. Matthias wyciągnął rękę po latarkę Berniego. Bernie nie miał czasu, żeby naciągnąć kuszę, tylko po prostu się nią zamachnął.

Bernie Muller był silnym mężczyzną. Nawet gdy używał jednej ręki i pod wodą. Jednak jego cios nie byłby groźny, gdyby nie trafił Matthiasa w lewy łokieć. Matthiasowi zdrętwiała ręka. Wypuścił swoją latarkę.

W tym samym czasie prawą dłoń zamknął na latarce Berniego. Ale Bernie ją trzymał. Mocowali się wśród bąbelków powietrza. Coś uderzyło Matthiasa w szyję. Puścił latarkę. Bernie cofnął się, próbując odszukać Matthiasa w ciemnościach. Strumień światła przesunął się po niszy. Matthias wyciągnął rękę i chwycił za pasek plecaka. Zobaczył, że metalowa końcówka nie została jeszcze zmiażdżona. Oznaczało to, że Bernie nie nastawił jeszcze zapalnika. Na razie plecak był tylko torbą ze związkami chemicznymi. Matthias przepłynął przy ścianie za Berniem i wyrzucił plecak.

Latarka Berniego oświetliła pustą niszę, Matthiasa i szybko opadający plecak. Zniknął w głębinach. Potem snop światła uniósł się i oślepił Matthiasa. Matthias



nie widział kuszy. Pojawiła się z ciemności i uderzyła go prosto w głowę.

Matthias otworzył oczy. A może miał je już otwarte. Dotknął maski, regulatora; były na miejscu. Rozejrzał się we wszystkich kierunkach albo wydawało mu się, że we wszystkich. Otaczała go ciemność. Żadnego sklepienia, dna, ścian; żadnej góry ani dołu. Miał wciąż głębokościomierz, ciśnieniomierz, zegarek, ale nie mógł ich odczytać. *Pomyśl. Nie panikuj.* Ale mógł jedynie myśleć o kobiecie, która czekała na niego przy brzegu błękitnej dziury. Widział tylko jego obraz. Paraliż mentalny jest formą paniki. *Panikujesz. Pomyśl.* Pomyślał: Czy ona rzeczywiście istnieje, czy tylko ją sobie wyobraził. Czy byłem już w tej jaskini, czy może jestem tu dopiero pierwszy raz, tak długo i tak głęboko, że nie mogę mieć żadnej nadziei?

Nie. Miała na imię Nina. Nie była wytworem jego wyobraźni. Zamrugał kilka razy powiekami, żeby się upewnić, że ma otwarte oczy. Potem w oddali zobaczył błysk światła. Światło znikło i znów wróciła ciemność. *Pomyśl.* To musiało być światło Berniego Mullera wracającego do tunelu. Zatem Bernie był wyżej od niego. Opadł, kiedy Bernie go uderzył. Niżej niż Bernie chciał schodzić. Albo Bernie pomyślał, że nawet jeśli odzyska świadomość, nie wydostanie się z jaskini bez światła, a gdyby jakoś dostał się do tunelu, to on tam na niego poczeka.

Świetnie. Zaczynał jasno myśleć. Bernie był na górze, on na dole. Tunel znajdował się w zachodniej ścianie. Oceniając na podstawie położenia światła z latarki Berniego, uznał, że on sam musi być bliżej wschodniej ściany. Tutaj, na głębokości trzystu dwudziestu stóp był występ skalny, na którym znalazł walizkę Feliksa. Pomyślał o tylnym wejściu do błękitnej dziury na diagramie, który narysował dla Niny na szybie. Miał nadzieję, że ten rysunek był prawdziwy.

Patrząc na zachodnią ścianę, zaczął się cofać. Jego butla otarła się o skałę. Wschodnia ściana. Teraz jasnym i logicznym pytaniem było, czy znajduje się pod, czy nad tą półką na głębokości trzystu dwudziestu stóp. Jeśli był pod nią i to więcej niż kilka minut, to wkrótce zacznie mu się kończyć tlen. Zaczął zatem, utrzymując pozycję pionową, schodzić w dół.

Ciągle w dół. Zastanawiał się: może lepiej gdyby zdecydował się na pojedynek z Bernie w tunelu. Ale mógłby wcale nie odszukać wejścia do niego, a poza tym w środku nie miałby żadnych szans. Pomyślał o Ninie i łzy napłynęły mu do oczu. To były pierwsze prawdziwe łzy od jego starcia z ojczymem numer dwa. Przypominał sobie jego coupé de ville, kiedy płetwami dotknął twardej skały.

Występ. Matthias rękami odnalazł brzeg półki. Obniżył się i zrobił obrót, jak mu się zdawało o sto osiemdziesiąt stopni, i ruszył, dotykając dna.

Matthias płynął w ciemności. Pomyślał: Co, jeśli ten tunel się rozwidła? Donikąd nie prowadzi? Albo prowadzi w dół? Nie było sensu teraz się nad tym zastanawiać. Zamiast tego pomyślał o Ninie: / *zderzyliśmy się głowami w ciemnościach*. Pomyślał o sposobie, w jaki jadła kanapkę, jak mówiła doktorowi Robertowi: „Jestem krewną”. O tym, jak drżała przy tym budynku 216 przy Trzydziestej Trzeciej. Był zadowolony, że mógł ją wtedy objąć ramieniem, ale chciał mieć więcej wspomnień z nią związanych. A może było ich więcej? Próbował sobie przypomnieć, kiedy zauważył, że zrobiło się jaśniej. Światło było stłumione, ale prawdziwe, naturalne. Jak długo już do niego docierało?

A może ma halucynacje i tylko tak mu się wydaje? Spojrzał na głębokościomierz i zobaczył, że może go odczytać: sto pięć stóp. Dobrze. Płynął dalej. Był w tunelu i nie był sam. Miał teraz towarzystwo różowych i żółtych gąbek. Kiedy się do nich zbliżył, zaczęło mu brakować powietrza. Może już od pewnego czasu? Płynął teraz szybciej, ale starał się oddychać powoli. Każdy następny oddech stawał się coraz trudniejszy. Potem nie mógł już nabrać powietrza do płuc. Nic nie zostało w butli. Był bez powietrza, jak jakiś głupi początkujący student na Florydzie.

Matthias wstrzymał oddech i płynął, obserwując jednocześnie głębokościomierz, gotowy do wypuszczenia powietrza z płuc, gdyby poszedł w górę. Wszystko robił dobrze, ale nie miał szans. Nawet jeśli dotarłby do powierzchni, zginie.

Matthias płynął najszybciej, jak mógł. Wskazówka głębokościomierza zatrzymała się na stu pięciu stopach. Krew dudniła mu w uszach, coraz głośniej. Zamykała się nad nim ciemność. *Płyn. Płyn.* I wtedy przed sobą, na dnie tunelu coś zobaczył.

Butlę.

Z dołączonym regulatorem. Mógł odczytać jej symbol: ZB-27, i ciśnienie: 2900. Matthias włożył regulator do ust, wyrzucił dwutlenek węgla z płuc i nabrał świeżego powietrza.

Powietrza Happy'ego Standisha. Wciągał je i wypuszczał. I wtedy wszystko zrozumiał: Bernie Muller napełnił trującym gazem dwie butle na Dwóch Głowach i umieścił na nich symbole klubu z zatoki Zombie. Potem podmienił je. Butle z dobrym powietrzem zatopił wraz z walizką Feliksa. Matthias płynął z ZB-27 w rękach.

Zrobiło się jeszcze jaśniej. Światło zdawało się pochodzić ze szczeliny w ścianie. Matthias popłynął w tym kierunku. Nie była to ściana, tylko olbrzymia

narośl koralowa z otworem na górze. Matthias wypłynął przez niego na otwarte morze, nieskończone i pełne światła. Przyjrzał się uważnie rafie. Był to twór na półce znajdującej się na głębokości stu stóp. Widział go wcześniej. Był wyższy od wejścia do jaskini i przesłaniał je całkowicie, położony idealnie, by przechwytywać rzeczy z góry.

Matthias wzniósł się na pięćdziesiąt stóp z ZB-27 w ramionach. Potem czterdzieści, trzydzieści, dwadzieścia, dziesięć. Oddychał powietrzem Happy'ego, aż ciśnienie doszło do 50 p. s. i. Wystarczy do analizy laboratoryjnej. Matthias już wiedział, że to powietrze jest dobre – w przeciwnym razie nie żyłby – ale sąd też powinien to wiedzieć. Wciąż miał czas na złożenie apelacji; prawie cały dzień.

Dopłynął do powierzchni i zobaczył słońce wschodzące właśnie nad Dwoma Głowami. Morze było wzburzone. Matthias obrócił się: był w zatoce Zombie, nie dalej niż trzysta jardów od nadbrzeża. Bernie nie czekał już na niego w tunelu. Może jeszcze poddawał się dekompresji w błękitnej dziurze albo już wypłynął. Matthias włożył fajkę do ust i zaczął płynąć najszybciej, jak tylko mógł.

Gwiazdy znikły, potem księżyc. Niebo zrobiło się mleczne. Wiatr zaczął wiać mocniej. Nina, Moxie i chłopiec stali przy błękitnej dziurze. – Ile powietrza jest w tych butlach? – spytała Nina.

Moxie rysował coś butem na piasku i nic nie powiedział.

– Osiemdziesiąt stóp sześciennych w każdej – poinformował ją Danny.

– Na jak długo to starczy?

– To zależy.

Zanim Nina zdążyła zapytać, od czego to zależy, na powierzchni wody pojawiły się bąbelki powietrza. Potem więcej. Nina nachyliła się na brzegu. Coś szybko się w niej poruszało. Nina poczuła, że Moxie ciągnie ją za rękę.

– Wracaj – powiedział.

Ale ona stała jak wryta. Po chwili na powierzchni pojawił się mężczyzna. Ściągnął maskę i szybko popłynął w stronę brzegu. Był to Bernie.

– Wracaj – powtórzył Moxie.

Ale Nina nie mogła. Bernie dopłynął do brzegu jeziora. Stał na nogach. Spojrzał na Ninę stojącą dziesięć stóp od niego. Jego oczy były czerwone. Odpiął kuszę z pasa i zaczął ją naciągać. Mięśnie napięły się pod jego mokrym kombinezonem, na szyi naprężyły się żyły. Ciężka znalazła się cal od zaczepu. W tym momencie Danny zrobił krok naprzód, zacisnął dłonie w pięści. Bernie spojrzał na niego zaskoczony. Nikt się nie poruszył. Potem nagle z uszu, nosa i ust

Berniego trysnęła krew. Zacharczał i osunął się na ziemię.

Zaraz potem rozległy się jakieś trzaski w lesie. Nadbiegł Matthias. Zatrzymał się. Ciężko dysząc, patrzył na Ninę, Danny'ego, Moxiego, Berniego. Ukląkł przy Berniem i palcem dotknął mu szyi. Potem spojrział na ciśnieniomierz. – Wciąż ma powietrze – powiedział niemal do siebie. Wyciągnął zapasowe butle Berniego. – Pełne.

– Wystraszył się – stwierdził Moxie. – Zobaczył łuskę.

Matthias pokręcił głową.

– Nie ma tam na dole potworów? – spytał Moxie.

– Zgubił się, to wszystko – odparł Matthias. – Musiał skręcić w niewłaściwy tunel w drodze powrotnej i spanikował.

– Brock?

– To nic dziwnego, Mox. – Matthias uśmiechnął się. – Ja zawsze gubię się i panikuję, kiedy nurkuję w błękitnej dziurze.

Nagle zaczął się głośno śmiać. Nina myślała, że może nie jest w stanie przestać, ale mógł. Następną rzeczą, którą zrobił, to pocałował ją w usta. To wydawało się najnaturalniejszą rzeczą na świecie.

Matthias podniósł kuszę Berniego Mullera. Naciągnął ją jednym sprawnym ruchem.

Wzmógł się wiatr. Pędził po niebie ciemne chmury deszczowe, smagał morzem o nabrzeżne skały, przerwał łączność telefoniczną między zatoką Zombie a małym posterunkiem policji w Conchtown. Moxie wskoczył do dżipa i pojechał do miasta. Danny pozostał przy telefonie, próbował skontaktować się z sierżantem Cuthbertsonem w Nassau. Matthias z Niną pobiegli na przystań.

Jak tylko weszli na pokład *So What*, Matthias przypomniał sobie Cesarito i nocną wyprawę na plażę u stóp Sierra Maestra. *Odpowiedź, mój przyjacielu, przyniesie ci wiatr* – śpiewał Cesarito dla dodania sobie odwagi. Był to wstęp do wszystkiego złego, co później się wydarzyło – zaczynając od dwóch lat na Pinos, a kończąc na małżeństwie z Marilyn.

Ta wyprawa miała być zupełnie inna. Już była inna: odbywała się w dzień, nie w nocy; silny wiatr zagłuszał pracę silników, a na pokładzie nie zgromadzili się żadni kontrrewolucjoniści. Zamiast nich miał Ninę. Patrzył, jak odwiązuje cumę. Widział, że nie ma zbyt dużo doświadczenia żeglarskiego, ale obserwowała go uważnie i robiła to, co on. Nie przewidywał problemów: miał Ninę, wiatr, światło dnia. A sam był starszy i miał nadzieję, że mądrzejszy... Uruchomił silniki.

*So What* sunęła naprzód. Wielka szara fala przewaliła się po pokładzie. – Lepiej cofnij się na rufę – polecił Matthias Ninie, przekrzykując silniki. – Na pełnym morzu będzie porządnie kołysać.

Kurczowo trzymając się okrężnicy, Nina przesuwiała się do tyłu. Łódź przecięła ścianę wody. Czyżby fale unosiły się w powietrzu? Z pewnością nie, ale w następnej chwili tak zakołysało łodzią, że Ninie ugięły się nogi w kolanach. Pojawiła się kolejna ściana wody; była za duża, żeby można było nazwać ją falą. Sforsowali ją. Obrazy zaczęły się powtarzać: ściany wody, a potem powietrze pełne wodnego pyłu i być może kropel deszczu. I brązowe ręce Matthiasa na kierownicy. Czyżby coś nucił pod nosem? Tak. Ale fałszował. Nina mimo to rozpoznała melodię: *Blowin' in the Wind*. Próbował być zabawny? Spojrzała mu w twarz, ale nie znalazła odpowiedzi. Woda zmoczyła jego włosy, wiatr odrzucił je do tyłu. Wyglądał niczym foka w swoim naturalnym środowisku.

– Wy płynęliśmy z zatoki – powiedział. – Mogło być gorzej.

Przed nimi pojawiło się morze, jakie do tej pory Nina widziała tylko w relacjach o zbliżających się huraganach. Łódź – tak śmiesznie mała – unosiła się i opadała na falach. Fale, całe, nie tylko ich wierzchołki, przewalały się po pokładzie

i smagały Ninę. Kurczowo zaciskała dłonie. Tak bardzo trzymała się łodzi, że nie zauważyła, iż zrobiło jej się niedobrze. Po chwili skupiła się tylko na tym.

Matthias coś do niej mówił. Nie słyszała. Silniki warkotały, wiatr huczał. – Nic, do cholery, nie słyszę! – wrzasnęła Nina.

Matthias złożył dłonie i przystawił je do ucha Niny. Poczowała twardą skórę na policzku i jego oddech na uchu. – Jest idealnie – powiedział. – Płyniemy z wiatrem. Nie usłyszą nas.

– A jak zobaczą?

Roześmiał się. – To wtedy nie będzie idealnie.

Po chwili jakiś szary zarys odróżnił się od innych szarości. Była to mała wysepka w kształcie górnej części litery H. Nina zobaczyła drzewa, plażę, długie nadbrzeże. Matthias nie skierował się w stronę przystani. Popłynął w prawo – chyba do południowej części wysepki, uznała Nina – i wyłączył silniki łodzi.

Morze było spokojniejsze pod osłoną wyspy. Przed nimi rozciągała się wąska plaża. Byli od niej jakieś piętnaście, dwadzieścia jardów, kiedy Matthias zarzucił kotwicę. – W taką pogodę nie mogę dopłynąć do samej plaży – powiedział. Teraz jego głos zabrzmiał wyjątkowo głośno. – Resztę będziemy musieli przepłynąć sami.

Morze było spokojniejsze, ale nie spokojne. Nina nigdy nie pływała, w takich warunkach. Ale usłyszała, jak sama do siebie mówi: Naprzód. Matthias wziął kuszę i oboje skoczyli do wody.

Nie tak źle – pomyślała Nina. W morskiej wodzie nie było chłodniej ani bardziej mokro niż do tej pory. Co więcej, przeszła jej choroba morska. Płynęła na jednej fali, potem przenosiła się na inną. Powtórzyła to kilka razy. W końcu nogami mogła stanąć na dnie. Stanęła, ale przewróciła ją fala. Ledwo utrzymując równowagę, Nina dotarła do plaży.

– W porządku? – zapytał idący obok niej Matthias.

– W porządku.

Ruszył w stronę skupiska wodorostów i rozdzielił je kuszą. Zniknął. Nina podążyła za nim. Dopiero po kilku krokach zobaczyła ścieżkę.

Ciągnęła się na wzgórze. Nina spojrzała w dół. Dostrzegła niewielki oszalowany dom, dwa domki, budynki gospodarcze, a w oddali ogród z różowym basenem pośrodku i dużym domem za nim. Nie dostrzegła żadnych ludzi, żadnych psów, żadnych żywych istot.

– *Yo soy turista* – powiedział Matthias.

– To nie zadziała.

Uśmiechnął się i zachęcił, żeby szli dalej.

Mocno padało. Na ścieżce w dół było ślisko. Musieli bardzo uważać. Przed nimi rozciągał się trawnik i stał niewielki dom, który Nina widziała ze wzgórza. Był to schludny dom, z białymi ścianami, firankami w oknach i oszkloną werandą. Na samym końcu werandy stał dziecięcy wózek.

– Biegnijmy – rzucił Matthias.

Biegli. Między krzewami, przez trawnik. Ominęli werandę i znaleźli się pod oknem domku. Wolno podnieśli głowy i zajrzeli do środka.

W kuchni Nina zobaczyła trzech mężczyzn siedzących przy stole. Jedli jajecznicę i popijali kawą. Dwóch z nich przypominało Elvisa Presleya, tylko że mieli jasne włosy. Trzeci był znacznie starszy. Nina nigdy ich wcześniej nie widziała, ale rozpoznała kobietą z wysuszoną skórą, smażącą bekon na kuchence. Była to ta wolontariuszka ze szpitala, która zaproponowała jej cukierka, wywabiła Verne Rountree ze szpitalnej sali, porwała dziecko i zostawiła szmacianą lalkę. Ninie wściekle zabiło serce.

Matthias pociągnął ją w dół. Podczołgali się za róg domu. Nina posuwała się za Matthiasem. Zatrzymali się przy drzwiach. Z ich położenia Nina wiedziała, że muszą prowadzić do kuchni. Matthias wstał. Nina też, świadoma tylko bicia swojego serca: wystraszonej istoty uwięzionej w jej klatce piersiowej. Matthias spojrział na nią. – Tylko spokojnie – zwrócił się do niej. Potem zrobił półobrót i kopnął drzwi. Wpadły do środka razem z zawiasami.

Po chwili stali obok siebie w kuchni. Przy stole dwóch mężczyzn z potężnymi karkami spoglądało na nich ze zdziwieniem. Jeden z nich otworzył usta jeszcze pełne jajecznicy. Starszy mężczyzna uniósł się na krześle, wzrok skierował na strzelbę w rogu. Matthias wymierzył w niego kuszę. – Rozegrajmy to fair, Gene – powiedział. Mężczyzna usiadł. Matthias cofnął się do rogu i wziął strzelbę. Wydawało się, że od początku o niej wiedział. – Ręce od patelni, pani Amury – rzucił w stronę kobiety, nawet nie spoglądając na nią. – Niech pani siada między Billym a Bobbym. – Kobieta wytarła dłonie w fartuch i usiadła za stołem.

– Gdzie jest moje dziecko? – spytała Nina.

Pani Albury zmrużyła oczy. Przez chwilę wydawało się Ninie, że chce splunąć. Ale nie zrobiła tego. Odwróciła głowę, nic nie mówiąc.

– To nie w porządku, Gene – powiedział Matthias.

– Nie wiem, o czym mówisz, chłopie.

Matthias otworzył śrutówkę, wyciągnął naboje i wyrzucił je za drzwi. Potem uniósł strzelbę i walnął nią o kuchnię, łamiąc ją na dwie części. Podszedł do stołu,

trzymając w ręku lufę. – Nie denerwuj mnie, Gene, bo się nie powstrzymam.

Gene Albury otworzył usta, ale zanim zdążył coś powiedzieć, jego żona mruknęła: – Trzymaj gębę na kłódkę.

Albury posłuchał żony. Trzej mężczyźni siedzący przy stole popatrzyli najpierw na Matthiasa, a potem na panią Albury. Nina zrozumiała, dlaczego wybrano tę kobietę, by porwała dziecko. Nic nie mogło jej wystraszyć. Matthias podszedł bliżej do stołu. Nina zdała sobie sprawę, że jest gotowy teraz uderzyć. Wszyscy to wiedzieli. W kuchni zapadła cisza; Nina słyszała tylko wiatr i deszcz. I jeszcze coś innego: płacz dziecka.

Wybiegła z kuchni i pobiegła korytarzem do pokoju na końcu. W rogu stało łóżeczko. Leżało w nim jasnowłose dziecko. Leżało na brzuchu i płakało, bo nie mogło się podnieść. Miało na sobie niebieski sweterek, który robiła Inge Standish. Oczy dziecka były niebieskie jak Happy'ego Standisha.

Jej dziecka.

Nina wyjęła je z kołyski i przytuliła. Przestało płakać. Nina natychmiast zapomniała o wszystkim; o wszystkim, co się wydarzyło, o wszystkim, co mogło się wydarzyć. Przez kilka chwil pogrzyła się w zupełnym spokoju, ramionami obejmowała dziecko, a dziecko obejmowało ją. Jej palce gładziły delikatne włosy chłopca, tak delikatne, tak długie z tyłu. Szybko przypomniała sobie ich dotyk.

– Nina?

Usłyszała Matthiasa i poszła z dzieckiem do kuchni. – Znalazłaś go? – spytał Matthias.

– Ale nie ją. – Spojrzała na panią Albury. – Gdzie jest Clea?

– Clea?

– Córka Laury Bain. Ta, którą porwałaś z ogrodu w Dedham.

Pani Albury zaczęła mówić, przerwała, znów zaczęła. Nie była w stanie opanować głosu. – Sześć stóp pod ziemią.

– Zabiłaś ją.

– Nie. Od urodzenia miała wady.

– Leczyliście ją?

Pani Albury spojrzała w oczy Ninie, ale nic nie powiedziała.

– To tak samo, jakbyś ją zabiła. – Nina usłyszała w swoim głosie nienawiść. – I zapłacicie za to.

W pani Albury też zgromadziła się nienawiść. Nina zdała sobie sprawę, że ta kobieta ma stalowe nerwy. – Umiecie tylko gadać.

– Więc jak to się stało, że ja odzyskałam swoje dziecko, a ty pójdziesz siedzieć?



– Nie sędzę – rozległ się jakiś głos za plecami Matthiasa. – Zbyt dużo poświęciłam.

Inge Standish stała za drzwiami z lufą wycelowaną w plecy Matthiasa. Matthias nawet się nie obrócił, by spojrzeć. Uderzył do tyłu lufą od śrutówki. Trafił panią Standish w głowę. Zachwiała się, ale nie wypuściła broni z ręki. Kątem oka Nina dostrzegła, że pani Albury się poruszyła. Sięgnęła pod fartuch, wyciągnęła spod niego nóż do ryb i rzuciła nim w stronę Niny. Nina odwróciła się, by ciałem osłonić dziecko, kiedy coś srebrzystego przeleciało przez pokój i trafiło w nogę panią Albury, przyszpilając ją do ściany.

– Mama – krzyknął jeden z młodych mężczyzn. Potem stół się wywrócił i trzej panowie Albury zerwali się na nogi. Matthias rzucił w ich kierunku rozładowaną kuszę i wybiegł na korytarz, pociągając za sobą Ninę.

Za nimi rozległ się wystrzał ze strzelby. Posypały się drzazgi. Pobiegli korytarzem do pokoju dla dziecka. W tylnej ścianie nie było żadnych okien. Matthias przykucnął i ramieniem wybił dziurę w ścianie. Wybiegł przez nią, Nina za nim.

Z dzieckiem na ramieniu, biegła najszybciej, jak tylko mogła, przez trawnik, na urwisko, a potem znów w dół. Morze wyglądało na bardziej wzburzone niż wcześniej, łódź na mniejszą i bardziej oddaloną od brzegu.

– Daj mi je – rzucił Matthias, wyciągając ręce po dziecko.

Nina nie chciała go oddać.

– Tak będzie szybciej – stwierdził Matthias.

Nina dała mu dziecko. Popłynęli do łodzi. Nawet z dzieckiem na ramieniu Matthias był szybszy od Niny. Wdrapał się na łódź i wyciągnął kotwicę. Nina też wciągnęła się na pokład. Na wzgórzu pojawiły się jakieś postacie. Coś odłupało kawałek włókna szklanego z konsoli.

– Schowaj się – nakazał Matthias, podając jej dziecko i uruchamiając silniki. Zawrócił łodzią i wcisnął gaz do dechy. Łódź pomknęła naprzód. Coś trafiło w osłonę jednego z silników. Zaczął kopcić i przestał pracować. Łódź zwolniła. Matthias zerknął na Dwie Głowy. – Jest niezła – powiedział. Ukląkł na pokładzie, odłączył uszkodzony silnik i wyrzucił go w morze. Łódź przyspieszyła, ale nie płynęła tak szybko jak poprzednio. Opłynęli cypel wysepki. – Stań za kierownicą – polecił Matthias. – Kieruj się bezpośrednio na urwisko.

Nina chwyciła kierownicę jedną ręką. W drugiej trzymała dziecko. Wpatrywała przed sobą to urwisko. Nic nie widziała, tylko wędrujące fale. Łódź unosiła się na nich i opadała. Kręciła kierownicą, ale z tego powodu nie płynęli

wcale łagodniej. Zerknęła na dziecko. Chłopiec spał.

Matthias otworzył magazyn na łodzi i zaczął wyrzucać z niego różne przedmioty: butle, ołowiane obciążniki, kotwicę. Wrócił do konsoli i chwycił kierownicę. Spojrzał przed siebie.

– Kurs idealny – stwierdził. Nagle obrócił się za siebie, wyraz jego twarzy kazał Ninie też się obrócić. Między wzgórzami wyspy Inge Standish zobaczyła wznoszący się pióropusz wody. – Cygaro – powiedział Matthias. Chciał dodać gazu, ale wciśnięty był do końca.

Nina chciała zapytać: „Jak daleko?”, ale się powstrzymała. Ze szczytu fali zobaczyła zarys łądu. Z każdą falą stawał się coraz wyraźniejszy. Nina mogła dostrzec teraz wzgórze, cypel, zatokę. Potem obejrzała się za siebie. W pierwszej chwili zobaczyła tylko morze, wydało się jej więc, że są bezpieczni. Ale chwilę później zza fali wyskoczyła łódź w kształcie cygara. Była tak blisko, że Nina widziała oczy, wszystkie skupione na niej, oczy Gene'a Albury'ego przy kierownicy, oczy jego synów na rufie i oczy Inge Standish mierzącej z broni.

– Matt!

Matthias szarpnął kierownicą. Rzuciło łodzią. Nina upadła na pokład. Mocno przytuliła dziecko. Rozpłakało się. Nina widziała ciemne niebo, twarz Matthiasa, pióropusz wody za nimi w kształcie ogona koguta. Potem Inge Standish znów strzeliła, kula rozbiła kompas. Cygaro przemknęło obok nich, błyskając na czarno i czerwono. Nina uniosła się na kolana. Przed nimi rozciągała się zatoka Zombie. Cygaro nawróciło i znów zaczęło się do nich zbliżać. Matthias skreślił w prawo, nie w kierunku nadbrzeża, które Nina widziała teraz przed sobą, ale w stronę północnego końca zatoki. Powiedział coś. Chyba: „Mam nadzieję, że jest odpływ”. Potem cygaro znów znalazło się za nimi i Inge Standish strzelała. Matthias skreślił w lewo. Cygaro podążyło za nimi, robiło większy łuk, bo płynęło znacznie szybciej. W następnej chwili uniosło się w powietrze, obróciło i uderzyło pokładem w taflę wody. Matthias rzucił się na pokład i osłonił swoim ciałem Ninę i dziecko. Usłyszała odgłos wybuchu i zobaczyła kulę dymu i ognia. Kawalki metalu spadały niczym deszcz. Potem, pomimo wiatru, odgłosu fal i silnika zrobiło się cicho.

Wstali. Matthias nawrócił. Czerwone i czarne szczątki łodzi pływały po powierzchni, ale nie było tego wiele. Inge Standish, Gene Albury, jego synowie zniknęli. Woda syczała.

Nina zerknęła na Matthiasa.

– Palce Anioła – powiedział. – Często zdarzają się tu wypadki. – Poklepał dziecko po główce.

Kiedy ostatnio spała? Nina nie mogła sobie przypomnieć. Jednak to się nie liczyło. Nie było jeszcze pory lunchu i dziecko nie chciało zasnąć. Chciało leżeć na jej kolanach. Chciało się bawić. Chciało trzymać butelkę. Chciało patrzeć na swoje rączki. Chciało patrzeć na nią. Chciało patrzeć na wszystkich, którzy przychodzili do baru w zatoce Zombie.

Na posterunkowego o nazwisku Welles.

Na sierżanta o nazwisku Cuthbertson.

Na prawnika o nazwisku Ravoukian.

Wszyscy oni głaskali dziecko Niny po główce, jakby zrobiło coś ważnego. Chłopczyk wyrzucił piąstki w powietrze. Nina trzymała go. Po chwili zaczęła go bujać. Chyba to mu się spodobało.

Prawnik coś mówił do Matthiasa, skorzystał z telefonu, potem znów coś powiedział. Matthias przytaknął. Prawnik uśmiechnął się, jakby mu gratulował, i wyciągnął rękę. Matthias ochoczo ją uścisnął. Pojawiła się butelka armaniaku. Było wspaniale.

Sierżant i posterunkowy wyprawili się na Dwie Głowy. Odnaleźli grób małej dziewczynki. Aresztowali Betty Albury i zabrali ją do szpitala w Conchtown. Potem wszyscy oglądali zdjęcia w nasączonych wodą albumach. Wilhelm von Trautschke postarzał się, ale Nina go rozpoznała. Był tym rzeczoznawcą, którego Nina widziała w domu Laury Bain. Sierżant i posterunkowy ponownie udali się na wyspę Dwie Głowy, ale nikogo tam nie znaleźli.

Posterunkowy pojechał land roverem do Blufftown. Przywiózł starego człowieka o nazwisku Nottage. Wszyscy znów patrzyli w album. Nottage też rozpoznał Wilhelma von Trautschke, ale myślał, że to ogrodnik Fritz, który dawno temu pozbawił go pracy.

– Widziałeś tę łódź podwodną? – spytał wtedy Matthias.

– Była noc.

– Ale patrzyłeś z Bluff?

Nottage przytaknął.

– I pożyczyłeś mu swoją łódkę...

– Zapłacił mi pięćdziesiąt dolarów. Nie miałem żadnej roboty.

– Pomogłeś mu zapakować materiały wybuchowe?

– Ale nie wiedziałem, co on robi. – Nottage zwiesił głowę. – Bardzo potrzebowałem tej pięćdziesiątki – rzekł. – Byłem wtedy młody, miałem ambicje...

Nottage odszedł. Matthias poszedł na plażę ze swoim synem. Zapadała noc.

Dziecko spało. Nina owinęła go kocem i położyła na kanapie w salonie Matthiasa. Ona sama położyła się w łóżku Matthiasa. Wszędzie było dużo piasku. Matthias wrócił i stanął na progu rozsuwanych drzwi do salonu. Wiatr rozwiął chmury, potem ucichł. Pojawiły się gwiazdy. Nina obróciła się na bok i zobaczyła, że Matthias patrzy w morze.

– Musisz być bardzo śpiący – głośno powiedziała do niego Nina.

– Nie.

– Nie chcesz się położyć?

– To coś innego.

Wszedł i położył się obok niej. Morze się uspokoiło. Nina słyszała, jak fale cicho rozbijają się o skały. – Nie wiem, co powiedzieć – przyznała.

– Powiedz: pocałuj mnie.

– Tylko wtedy, gdy będzie coś więcej.

Pocałował ją.

Więc to ten chłopak – powiedziała detektyw Delgado następnego dnia. – Jak ma na imię?

– Ciągłe się nad tym zastanawiam – odparła Nina.

Delgado wiozła Ninę, jej dziecko i Matthiasa z lotniska Kennedy'ego. W samochodzie cuchnęło papierosami, detektyw od czasu do czasu zerkała na otwarte pudełko ukryte za osłoną przeciwsłoneczną, ale nie zapaliła. Nina zastanawiała się, czy w ten sposób chciała ją przeprosić.

– Przetrzęsaliśmy ten dom w Connecticut od dołu do góry – powiedziała Delgado. – Włączyło się FBI, a Interpol został poinformowany. Pomijając wszystko inne, stanie przed sądem oskarżony o zbrodnie wojenne... mają bardzo dużo na niego. Poza tym są dowody, że zgromadził ogromną ilość kosztowności zabieranych Żydom. Obserwujemy porty lotnicze, dworce kolejowe i autobusowe. To tylko sprawa czasu. – Wjechali z tunelu na Manhattan. – Dokąd teraz?

Nina się zastanowiła. Miała parę rzeczy do zrobienia. Powinna zajrzeć do biura. Znaleźć pediatrę. – Do domu – powiedziała.

– Do pani domu?

– A czemu nie?

– Nie ma sprawy – rzuciła Delgado. – Jeśli pani chce, postawimy na zewnątrz ochronę.

Nina tego nie chciała. Szukała normalności. – Mam klucz do mieszkania mojej przyjaciółki. Lepiej tam zostaniemy.

Detektyw zatrzymała się przy domu Niny, żeby ta mogła zabrać ubrania dla siebie i dla jej dziecka. Delgado poszła z nimi, jako pierwsza weszła do mieszkania. Nina spakowała dwie walizki. W jednej znalazły się ubrania, w drugiej pluszowe zwierzaki: miś polarny, lew, Kubuś Puchatek. Włączyła automatyczną sekretarkę. Była jedna wiadomość, od Suze. *Jesteś wciąż u mnie!? Chciałam się z tobą skontaktować. Z tego projektu Paramount gównem wyszło. A Ernesto... szkoda gadać. W przyszłym tygodniu wszystko ci opowiem. Niedługo wracam.*

Zeszli schodami i wsiedli do samochodu. Delgado ruszyła w stronę centrum. Matthias pokazywał dziecku, jak Kubuś Puchatek może latać. Kiedy przejeżdżali obok księgarni, Nina powiedziała: – Może się pani na chwilę tu zatrzymać?

– Pewnie – odparła Delgado. Była w wyjątkowo dobrym humorze.

Nina weszła do księgarni. Były w niej promocyjne egzemplarze *Życie bez*

*mężczyzn i dzieci – pokochaj to.* Popatrzyła na obwolucę, którą ona i Jason zaproponowali. Wydawała się jakaś obca, dziwna i niezrozumiała. Całe miasto takim się wydawało. Bez przerwy myślała o zatoce Zombie.

Nina kupiła książkę *1001 imion dla dzieci* i wróciła do samochodu. Delgado zawiozła ich do mieszkania Suze. Poszła razem z nimi na górę. – Tu jest bezpiecznie – tłumaczyła jej Nina. – Mieszkałam już tu wcześniej.

Mimo wszystko Delgado weszła pierwsza. – Jezus Maria! Wszyscy Delgado, którzy kiedykolwiek żyli, zmieściliby się tutaj. – Spojrzała na kanapę, fotel, biurko, na olbrzymie łóżko, paryski pisuar i prysznic za szkłem, i pokazała na instalację *Auschwitz Cadillac*. – Co to, do diabła, jest?

– Sztuka – odpowiedziała Nina.

Delgado wyszła. Matthias przyjrzał się bliżej temu dziełu sztuki. – A gdzie jest tłumik? Można z niego zrobić komin. – Nina usiadła z dzieckiem na kolanach i otworzyła książkę z imionami.

– Lance?

– Lance?

– Ferguson?

– Ferguson?

– Rudy?

– Rudy?

– Więc jakie?

– Myślę.

Nina zamknęła książkę. Dziecko spojrzało na nią poważnie swymi niebieskimi oczami. – Jak masz na imię, chłopczyku? – spytała.

Zaczął płakać.

Nina kołysała go. Nie przestał. Matthias usiadł na łóżku i pokazał mu, jak Kubuś Puchatek fruwa. Nie był już dłużej tym zainteresowany. Nie przestawał płakać.

– Może jest głodny – powiedział Matthias.

Nina otworzyła torebkę. Miała w niej butelkę, którą ktoś jej dał w zatoce Zombie, ale była pusta.

– Gdzie jest najbliższy sklep? – spytał Matthias.

– Za rogiem.

Matthias wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Nina zaczęła kołysać dziecko. Przestało płakać. Przypuszczalnie nie było głodne. Nina znów otworzyła książkę z imionami. Próbowała coś znaleźć. *Remi, Richard, Roone, Randolph, Ramesh, Ri...*

Przerwała. Czy coś poruszyło się pod nią, pod materacem? Nina zeskoczyła z łóżka, z dzieckiem w ramionach. Za późno. Jakaś ręka złapała ją za kostkę. Upadła. Próbowwała chronić dziecko i obróciła się. Uderzyła głową w gołe deski podłogi.

A potem on stanął nad nią, z patrycjuszowską twarzą i przejrzystymi błękitnymi oczami. Wilhelm von Trautschke. W swojej olbrzymiej, pokrytej plamami wątrobowymi dłoni trzymał jeden z noży z zastawy Suze. Dziecko zaczęło płakać.

– Ukryłaś informacje – powiedział von Trautschke. Mówił z silniejszym akcentem, niż sobie przypominała. – To równa się kłamstwu. To tak samo podłe. Rozumiesz?

– Jeżeli chodzi o pana, nic nie rozumiem – odrzekła Nina. I pomyślała: odsłuchał Suze na automatycznej sekretarce. Próbowwała powoli wstać.

– To mnie nie dziwi... nic mnie nie dziwi ze strony takich osób jak ty. Pomieszałaś rasy. Panno Kapstein. Zepsułaś mój materiał genetyczny. – Ta myśl kazała mu się skrzywić. – Mógłby być z mojego nasienia... mógłby... pomijając prawdopodobieństwo mutacji. – Spojrzał na nią. – W swojej pracy też byłem narażony na działanie promieniowania rentgenowskiego. – Błękitna żyła pulsowała mu na czole. – Teraz, jako naukowiec, muszę zrobić to, co powinienem. Dokonać eliminacji.

– Ale to nieprawda. Wszystko zmyśliłam.

– Nie! – Żyła na jego czole znów zapulsowała. – To wszystko prawda. Żeby być pewnym na sto procent, wczoraj sprawdziłem w dokumentacji urzędowej. Teraz daj go, panno Kapstein.

Nina uniosła się trochę i mocniej przytuliła dziecko.

– Świetnie – powiedział von Trautschke. – Nie myśl, że znajduję w tym przyjemność. – Uniósł nóż i uderzył, nie w nią, ale w dziecko. Nina odturlała się, jednocześnie mocno kopiąc. Trafiła go w kolano. Na chwilę był bezradny. Nóż upadł na podłogę, odpadła mu rączka. Potoczyła się po pokoju. Nina poderwała się z dzieckiem płaczącym jej w ramionach. Ale von Trautschke też był na nogach. Stał między nią a drzwiami. Spoglądał na nią z innym teraz wyrazem twarzy. Chyba z przyjemnością. Potem ruszył w jej stronę, unosząc ręce do góry. Nina cofała się, aż plecami dotknęła drutu kolczastego.

Von Trautschke zatrzymał się, patrzył na *Auschwitz Cadillac* i zmarszczył czoło, jak człowiek, któremu uciekła jakaś myśl. Nina, ostrożnie, jedną rękę zacisnęła na drucie. Von Trautschke nie zauważył tego, wpatrywał się w dziecko. Żyła na jego czole znów zaczęła pulsować, rzucił się na Ninę. Wpadli na różowy drut kolczasty. Von Trautschke położył dłoń na twarzy jej syna. Dziecko zawyło.

Nina znalazła się pod ramieniem mężczyzny. Szarpnęła z całych sił i wyciągnęła rękę. Owinęła kawałek drutu wokół jego szyi i pociągnęła. Von Trautschke puścił twarz chłopca i chwycił za drut. Drugą ręką wymierzał ciosy Ninie, których nie czuła. I ciągnęła coraz mocniej. Jego twarz zrobiła się czerwona. Zaczął tracić oddech, charczał. Krew wypłynęła mu z ust... Nina ciągnęła za drut, nawet wtedy, gdy von Trautschke przestał wydobywać z siebie jakiegokolwiek dźwięki, a jego twarz zrobiła się purpurowa. Nie przerwała, dopóki nie wrócił Matthias i delikatnie nie rozprostował jej zaciśniętej dłoni.



Spierdalaj facet – zaskrzeczał Chick.

Dziecko w foteliku spojrzało na papugę poważnym wzrokiem. W odpowiedzi Chick łypnął na niego żółtymi oczami.

Wszedł Matthias. – Telefon do ciebie – poinformował.

Nina, bosy – od wielu dni nie nosiła już butów – przeszła przez biuro i podniosła słuchawkę. Dzwonił Percival.

– Pani Kitchener – rzekł słodkim głosem. – Tak się cieszę, że wszystko dobrze się skończyło. – Nina nie odezwała się. Kontynuował: – Mam dobre wiadomości. W końcu dotarliśmy do tych dokumentów z Human Fertility Institute.

– Doprawdy?

– Tak. Wymagało to wiele zachodu. Ale jestem szczęśliwy, że mogę pani zakomunikować, iż bez wątplenia Hiram Standish junior jest ojcem pani dziecka. – Chwila milczenia. – Żadnych co do tego wątpliwości. – Tym razem dłuższa przerwa. – Być może nie docenia pani konsekwencji tego faktu...

– Jakich konsekwencji? – spytała Nina. Za oknem słońce oświetlało zatokę Zombie. Nad powierzchnię wody wyskoczyła jakaś ryba.

– No cóż, legalnie pani syn jest jedynym spadkobiercą fortuny Standishów, pani Kitchener. Mówimy o ogromnych pieniądzach.

– A co z klauzulą dotyczącą braku roszczeń?

– Klauzulą?

– Że ani ja, ani „produkt zabiegu” nie będziemy rościć sobie praw do spadku po dawcy.

– Ach to – rzekł Percival. – Nie ma żadnych dowodów, że pani to podpisywała, pani Kitchener.

Nina milczała.

– To są miliony. Setki milionów – ciągnął Percival, żeby wszystko stało się jasne. Chrząknął. – To ogromna fortuna. W naszej firmie robiliśmy wszystko, żeby jak najlepiej służyć naszym doświadczeniem. To nie działa się *per se*. Naturalnie chcieliśmy, żeby inaczej to przebiegło, ale nasze możliwości nie są nieograniczone. Zajmujemy się tylko pieniędzmi, nie ludźmi. Czy wie pani, o czym mówię?

– Nie za bardzo.

Percival znów chrząknął, ale nie mógł się pozbyć lepkiego akcentu. – Po prostu chcę powiedzieć, że robiliśmy wszystko co w naszej mocy, a ośmielam się

twierdzić, że jesteśmy jedną z najbardziej szanowanych firm w kraju, aby chronić i pomnażać zasoby, które przypuszczalnie przejdą pod pani zarząd powierniczy – mówił Percival. – I mam nadzieję, że pani pozwoli nam dalej służyć naszą pomocą.

– A jaką mam pewność, że w ten sposób nie podpiszę listu pożegnalnego?

– Obawiam się, że nie rozumiem.

Nina odłożyła słuchawkę.

Wróciła do baru. Matthias trzymał dziecko. Danny miał na ramieniu Chicka, żeby chłopiec mógł się lepiej przyjrzeć tej papudze. Dziecko zagruchało i zaczęło się ślinić.

– Ślini się, bo jest jedynym spadkobiercą fortuny Standishów – powiedziała Nina. To mówiło wszystko odnośnie *hodowli* potomstwa. Nie mogli pozwolić, żeby na Happyym wygasł ród. Najpierw użyli Laury, a potem jej; może dlatego je obie, bo chcieli mieć chłopca albo też w ten sposób zwiększali szansę na przeżycie kogoś ze Standishów.

– Ile? – zapytał Matthias.

– Miliony, setki milionów.

– I on potrzebuje kogoś do podpisywania tych wszystkich dokumentów.

Nina usiadła przy barze. Głaskała włosy dziecka.

– Coś nie tak? – spytał Matthias.

– To są kradzione pieniądze. Przynajmniej część z nich. Może powinniśmy utworzyć fundację. Na przykład na rzecz tych, którzy przeżyli holokaust. Na pewno trzeba wesprzeć państwa Goldschmidtów.

– Masz rację. Miliony, setki milionów. Kto tego potrzebuje? – Objął ją ramieniem. Dziecko zaczęło marudzić. Nina wzięła je na ręce i pogłaskała po włosach. Przez chwilę była świadoma tylko tego. Potem przypomniała sobie pytanie doktora Berry'ego: *Do jakiego stopnia jest pani przygotowana, żeby mieć dziecko?* Podobnie jak on nie wierzyła, że ludzie są tylko fabrykami spermy i jajeczek, ale nie miała precyzyjnej odpowiedzi. Nie było tu praktycznych zasad.

Dziecko zamknęło oczy. Nina uniosła wzrok. Matthias ją obserwował. – A może Felix? – spytał.

– Straszne.

– Więc jakie?

– Pocałuj mnie – zaskrzeczał Chick.